

Józef Ignacy Kraszewski

Król chłopów



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski

KRÓL CHŁOPÓW

Panu

WŁADYSŁAWOWI CHODKIEWICZOWI

w Paryżu

Kochany Władysławie! Pierwsz z szeregu tych powieci historycznych przepisałem nieodżałowanemu Bronisławowi Zaleskiemu tę przesyłam Tobie jako dowód przyjani szczerej, szacunki i wdzięczności za wiele oznak życzliwoci. Przyjm tę maluczks ofiarš takim sercem, jak ja przesyłam, a bšd W ogóle dla całego szeregu tych opowiadań pobłażajšcym. Trudnoć zadania, o które się pokusiłem, zuchwalstwo, z jakim się podjšłem, nie potrzebuje wyjanienia. Bije w oczy ogrom i wszystko, ca było i jest do zwalczenia, aby podołać temu obrazowi dziejów wcielonych w główne postacie historyczne.

Nie łudziłem się też nigdy, bym w zupełności wymaganiom nader rozlicznym mógł odpowiedzieć. Czyniłem i czyniś, na co mnie staje sšdzšc, że mi w rachunek i to zaliczonym będzie, że potrzeba było rodzaju ofiary i wyrzeczenia się, by taki ciężar dobrowolnie Wziść na, ramiona, pod którego brzemieniem, upać się musi.

Dla jednych jest tu za wiele, dla drugich za mało, dla nikogo prawie to, czego chciał i jak mieć życzył. Z rezygnacjš przyjmuję najsprzeczniesze sšdy, w duszy będąc przekonanym, że szereg tych powieci, jakiegokolwiek one sš, wiele rysów zatartych odwieży, wiele nowych uwydatni, wiele postaci godnych pamięci przypomni. Sama polemika, choćby najdziwaczniesza bo i z takš mi się spotkać zdarzało, która dowodziła, że krytyk

nie przeczytał z uwagš tego, o czym sšdził ma swe dla ogółu pożytki. Na wszystko odpowiadam: uczyńcie więcej a nade wszystko lepiej cieszyć się będę.

Zarzutów, jakie mi czyniono, poczšwszy od drobnostkowych szczegółów, które do mnie nie należały aż do tendencji, popiechu itp. odpierać nie będę. Co do popiechu dodam tylko, że często po trzy razy przepisuję, a zawsze cztery razy odczytuję. Jest zresztš w słaboci natury mojej, w jej właciwoci to, że zwykle opracowanie, dla innych pożyteczne u mnie daremnym się staje lub nawet szkodliwym. Sš tacy nieszczęśliwi, dc których ja należę, którym nie dano jest nic przerobić bez zepsucia. Nieubłagana jaka, choć może fałszywa logika zmusza, co sir narodziło ułomnym, ortopedycznym dowiadzczeniom nie poddawać, aby większego nie cišgać nań kalectwa.

Wszystkie prawie bez wyjštku krytyki, które mi do ršk wpadły, z nadzwyczajnym staraniem wszelkie możliwe usterki podnosiły, nie zdarzyło mi się ani jednej czytać, która by jakš stronę lepszš podniosła.

Takie jest u nas pojęcie krytyki w ogóle i zadania krytyka. Každy z tych sędziów chce tym swš wyjšzoć nad autorem pod skalpel wziętym okazać, że wszystkie plamy i plamki dostrzeżga nadzwyczaj bystro. Idzie mu o siebie, nie o rzecz, którš rozbiera. Jest to dotykalnie widocznym, że często umiech wywołuje... Słaboć to ludzka.

Ale najgorsza nawet krytyka ma swój dobrs̄ stronę.

Chwalić się samemu nie podobna, propria laus sordet, mówiono nam w szkołach, bronić się nawet nie przystało. Niech więc wolno będzie przypomnieć, że opowiadania te historyczne wymagają wielkiej pracy przygotowawczej, która nie postrzeżonš dla czytelnika pozostaje i wsiška w utwór fantazyjš ubarwiony. Autor starał się i stara szczegóły dobyć z pyłu i za-poranienia, gdy sš charakterystyczne, wysnuwa z nich wnioski i do przesady może posuwać sumiennóć w czerpaniu ich u ródła. Jak trudno przy tym z często nader niedostatecznych napomknień, z tych okruchów i obłamków odtwarzać żywe postacie nie potrzeba mówić o tym.

Za długo się może, za obszernie o tym rozpisujš, chociaż przedmiot wcale wyczerpany nie jest. Chciałem się po prostu w tym otwartym liście do Ciebie poskarżyć. Skarga to próżna może, którš mi ty i czytelnicy przebaczs̄, próżna, bo co żyć warto i ma w sobie życie to mimo krytyki nie zginie; a co ma w sobie zaród mierci i brak warunków żywotnych, umierać musi. Na to żadne rodki kunsztowne ani przyjacielskie pochwały nie pomogš. Zatem bšd co bšd człowiek czynić powinien, co może, a sprawiedliwość dokona, do czego jest obowišzanš.

Proszš Cię o współczucie, a z Tobš razem wszystkich Czytelników moich.

Przyjaciół i słuęa wierny

J. I. KRASZEWSKI

CZĘĆ PIERWSZA

PROLOG

W wielkiej sklepionej sali krakowskiego zamku, na dole, mrok się już wieczorny rozpocierał. Włoskie okna głęboko w mur wpuszczone w większej części były gęstymi przysłonięte oponami, przez inne mało się już gasnącej wiatłoci wkradało. Włoska lampa oliwna zapalona stała w kście, ale słaby jej ognik ledwie małą przestrzeń ruchawym rozjaniał promykiem. Cisza głęboka panowała w obszernej izbie, w przedsionkach; na podwórzach ledwie się co poruszało.

W kocie w. Waclawa na zaniku dzwoniono cicho, żałobnie na wieczorną modlitwę.

W jednym rogu sali na szerokim łożu skórami i sukniami okrytym widać było z ciemnego tła jedwabnych przykryć, na których spoczywała twarz wybladła, z oczyma zamkniętymi, jakby upionego człowieka lat podeszłych.

Z jednej strony łoża stał w czerni, w sukni duchownych, mężczyzna stary wpatrzony w leżącego z brwiami ciśniętymi, z drugiej, na wielkim siedzeniu, w półklęczący, pochylony troskliwie, niespokojne oczy wlepiając w chorego młodzieniec w kwiecie wieku, silny, piękny, rysów szlachetnych, pańskiego oblicza Ręce trzymał załamane na kolanach.

Opodał nieco niewiasta w długiej, szarej, obcisłej sukni, z zasłoną na głowie, z różańcem w ręku, modliła się, żywo paciorki przebierając palcami wychudłymi.

W nogach łoża z rękami do modlitwy złożonymi, cicho co szepcąc, oczy wzniosłszy ku niebu, stał mnich w sukni białej, w płaszczu czarnym.

Na łożu tym wyczekiwał mierci i wyzwolenia król, co przeszło pół wieku walczył dla połączania w jedno rozszarpanego dziedzictwa Mieszka i Chrobrego Władysław, zwany Łoktkiem, mąż wielki małego ciała a potężnej ducha siły.

Czuł on sam, widzieli wszyscy przybliżając się ostatnią godzinę. Nie choroba, nie rany zwyciężyły go i obaliły: długi trud, niezmierne troski wyczerpały sił ostatek.

Gasnął powoli, bo życia ogień wypalił się w nim do dna. Umierał z tą mocą duszy, z jaką żył, mężny i spokojny; nie bronił się mierci, pożądając jej, zstępując do grobu z pociechą w sercu.

Nie dokonał wszystkiego, co zamierzał, ale niewiele brakło do spełnienia myśli jego zrodzonej w dzieciństwie, wykołysanej życiem, dojrzałej w bojach... Myśl swą spucizną zostawił synowi.

Mnich stojący w nogach łoża, pobożny dominikanin Heliasz, już był przejednął króla z Bogiem. Władysław dnia tego wolę swą objawił mężom dostojnym, ojczycom królestwa swego i pożegnał wszystkich; rozstał się z żoną, pobłogosławił syna, któremu Polskę oddawał, ziemianom zleciwszy jedyne dziecko.

Lekarz, kanonik Waclaw, przepowiadał bliski zgon; królowa Jadwigi, płacząc powtarzała modlitwy za konających, lecz mić nie przychodziła jeszcze... Stary wojownik bronił się jej resztą potęgi w

bojach mnogich nabytej.

Król tylko usypiać się zdawał. Oddech jego stawał się to przypieszonym gorśczkowo, to słabym tak, że go ledwie czuć było. Zapadłe powieki podnosiły się nagle, głowa poruszała, zaschłe usta otwierały, zbladłe oczy biegały po otaczających i Łoktek chwilowo powracał do życia. Duch starego wojownika, jak przykuty do tego starganego wiekiem ciała, nie mógł się z niego wyzwolić.

Nadchodziła noc, po której wracający dzień już, wedle przepowiedni lekarza, króla nie miał zastać między żywymi. Medyk patrzył zdumiony i upokorzony, bo na tym łożu mierci działał się cud walka się odbywała nie przewidywana, niewiadoma, nie znana mu, życie opierało się zniszczeniu.

Łoktek powracał doń snem pokrzepiony. Oblicze jego przybrało już dawno tę barwę trupiś, bezkrwiś, wyzółkś, która nadchodzący zgon czytać na nim dozwalała; lecz piersi się poruszały, oddech był widoczny. Zeschłe płuca odzywały się w nim jeszcze głucho i smutnie... powietrze w nich chrzęszczało.

Stojący nad chorym kanonik-lekarz dał z lekka znak, aby mu spoczynku nie przerywano, i sam poczęł na palcach chodzić. Cofnął się też ujrawszy to mnich Heliasz i królowa po cichu powolnie ku drzwiom zwróciła.

Król usypiał.

Wszyscy po dniu tym wzruszeń pełnym zapragnęli usunąć się do bocznej komnaty i tam czekać przebudzenia, gdyż jeszcze się go spodziewano. Jeden Syn pochylony przy ojcu pozostał nieruchomy.

Na dany przez matkę znak potrzebował głowś, wskazał na ojcowskie łoże dając łatwo zrozumieć, że chciał czuwać przy nim. Niedawno jeszcze z ust jego słyszał ostatnie wyrazy błogosławieństwa i przestrogi, niedawno brzmiały tu głosy zwołanych, panów rady królewicz-następca wzruszony był.

Do łoża konającego wiślała go miłość, wdzięczność i ta troska o jutro, która brzemieniem całej nieznanej przyszłości leżała na piersiach jego. Łzy kręciły mu się w oczach...

Złotś była korona, którą miał włożyć na młodocianś skroń, ale ciężkś.

Zwolna wysunęli się wszyscy ku drzwiom bocznym, których zasłonę królowa podnieść kazała, aby na najmniejszy szelest, na zawołanie powrócić była gotowa.

Nieruchomy w tej półkłępczej postawie królewicz został jak przykuty do siedzenia i łoża. Wzrok jego na bladej twarzy ojca spoczywał.

Oblicze to było żółkłe jak karta pergaminowa i jak ona życiem zapisana długim. Nigdy może wprzód, gdy był w pełni sił, nie stały na niej wyryte dobitniej męstwo, rezygnacja, siła, spokój i żelazna wola. Teraz tylko wszystkie te charakteru znamiona oblewała wiatłociś przedmiertelnś jaka błogoć pogoda dnia ostatniego. Któż nie widział na obliczu umierających, mocnych.

na duchu, bojowników zwycięskich tego wyrazu szczęśliwoci, jaki wdziewa mierć wiodąc ich do grobu? Wszystkie cierpień ziemskich lady zgłasza palec anioła mierci.

Zza bruzd, marszczek i fałdów promieniało stare króla oblicze wypięknione i jasne. Syn patrzył na nie z pobożnym zdumieniem, bo nigdy go takim nie widział. Jeszcze przed chwilą, gdy król z gorścociś przemawiał do panów rady, do syna, miał starš swš twarz, jakš nosił na pobjowiskach, teraz mierć przyoblekła jš majestatem i powagš swojš.

Królewicz zadrzał było to dlań zwiastunem chwili ostatniej. Lecz król żył: piersi poruszały się prawie łagodnie, dostrzegał lekkie twarzy drganie starzec jeszcze oddychał.

Płomyk lampki, który podniósłszy się żywszym rzucił blaskiem na rysy króla, dozwalał rozeznąć lekkie ust cišgnięcie i na powiekach wysiłek i drganie. Dwignęły się one z ciężkociš, z głębin ich blado zawieciły oczy. Zatrzymały się długo na synu, wargi zatrzęśły się, jakby je przewiew umiechu przebiegł bezsilny.

Kamirz jeszcze bardziej pochylił się do ojca.

Cud tego życia przerywajšcego konanie coraz był widoczniejszym, głowa zwróciła się ku ukochanemu dziecięciu. Oddech piersi stał się głoniejšszym i głucho dobył się z nich głos:

Kamirz.

Jam jest! odparł syn cicho.

Jak za mgłš cię widzę szepnł król wyraniej nieco. Wody! usta spieczone! dodał chcšc dobyć na próżno spod przykrycia osłabiłš rękę.

Wnet Kamirz popieszył z kubkiem rzewišcego napoju Stojšcym tuż przy łożu i ostrożnie nachylił go do ust ojca wlewajšc w nie płyn po kropli.

Usta się rozwarły nieco, trochę życia wstšpiło w twarz, której oczy nabrały blasku. Umiechnł się Łoktek.

Noc? zapytał cicho.

Wieczór póny.

Król oczyma potoczył po komnacie, jakby się chciał przekonać, czy byli sami

Chwilę trwało milczenie, pier pracowała, aby się na głos zdobyć ostatni.

Koronę rzekł silniej. Koronę niech ci nie zwlekajš, włożš, niech namaszczš. Bóg z niš daje moc. A potrzeba jej, aby utrzymać wszystko w jednej dłoni. Polskę całš, Kujawy, Mazowsze, Pomorze... Pomorza Niemcom nie ustšpic nigdy! Tamtędy droga w wiat, jedyna wolna, wkoło wrogi, bez niego więzienie...

Mówił odpoczywajšc chwilami; Kamirz słuchał pochyłony. Nie była to rzecz do niego zwrócona, lecz jakby mimowolnie snujšce się myli wyrazy, wpół do siebie, do Boga, do niego... Co jak marzenie, jak modlitwa.

Mazowsze posłuszne, lenne być musi i twoje, pod prawem jednym ciśgnął dalej lśsko...

Mówiąc to przymknął powieki, ale natychmiast podniosły się znowu i usta dalej szeptały, dla syna tylko dosłyszalnym szmerem:

Z siostrz, z Węgry musi być wieczne przymierze, za ręce trzymajcie się oboje... Pod Rzymem stać wiernie, pod Awinionem, bo tam głowa nasza i siła. Papież mnie ratował, rozgrzeszył, dwignął, wiele lat temu... Królestwo nasze pod Piotrowś stolicś, hołd mu winniny...

Zamruczał co niewyranie i poruszył się niespokojnie.

Znajdziesz ludzi dobrej rady. Jako z Melsztyna, mśz prawy, Trepka wierny... ziemianie szczyty rycerstwa dobre, ale nie oni jedni... Jest ubogi lud, jest biedny chłop... to także ojczyce nasi. Pamiętaj! ja pomnę, gdy z błogosławieństwem miłociwego lata powrócił z tułactwa sam, sam jeden jak palec, nie miałem wówczas nikogo. Ziemianie nie chcieli mnie, zamiast rycerstwa szli za mnś chłopki z siekierami Polskę budować. Szli i bili się... a dopiero po nich przysły szczyty, a na końcu barany i comites. Chłopkom wdzięcznym być!

Spojrzał na syna.

O chłopkach pamiętaj! Kamirz skłonił głowę.

Tarczś im bśd i opiekś szeptał król cicho sędziś im bśd sprawiedliwym, obrońcś, oni mnie obronili...

Wtem głos coraz cichszy i słabszy szeptem niezrozumiałym utonś w piersi i była znowu chwija milczenia.

Z bocznej izby na palcach podszedł ks. Waclaw nadśluchujśc ostrożnie. Stanś zdziwiony pochwywszy szeptanie, rękś sięgnś po kubek i przyłożył go do ust króla. Chory wnet poczuł obcego, zamilkł ciśgnśwszy wargi, ale napój połknśł chciwie.

Ks. Waclaw zatrzymał się chwilę, zrozumiał to, że ojciec chciał sam na sam z synem pozostać, i usunśł się powoli.

Wpółpodniesione powieki ledziły ruch jego i nie otwarły się, aż zniknśł.

Z Krzyżowcami niemieckimi rzekł nigdy pokoju... Przeciwno nim przymierze i pokój choćby z pogany! mówił niezrozumiale, głos mu drżał. O! nigdy zgody z nimi! Kruki czarne, wilki żarłoczne, wrogi wiekuiste... Z Pomorza ich wygnąć potrzeba precz lub oni tę koronę prędzej póniej żelaznym klinem rozsadzś. O! z nimi nigdy pokoju... Z pogany się jednać lepiej, Litwie żoninej dać rękę, Ru zagarnść... Węgry zsojuzzone, nasze, Czech się grzywnami przejedna, daj mu ostatniś koszulę... choćby kielichy ze skarbców kocielnych, byle zjednać przeciw Krzyżakom, wszystkich przeciw nim.. Brandenburczyków głaskać, lśzaków zagodzić... a Pomorze odbić, bo tchnść nie będzie czym... Gocinieć w wiat nam zaprś i uduszś.

Spoczśł nieco i dodał:

Krwi się tam dużo poleje... będzie strumieniami ciekła jak pod Płowcami.

Zmarszczki na czole króla wygładziły się, pogoda zwycięstwa opromieniła je na chwilę.

Płowce! powtórzył Płowce! Drugie Płowce przyjdź nieprędko, ale ja je widzę, widzę. Stosy chorągwi ich po ziemi się tarzają i trupów stosy w posoce.

Kamirz klęczący już przy łożu, aby mógł słyszeć lepiej, przychylił się ku ustom ojcowskim.

Od przepowiedni tej serce mu zadrgało żywiej. Łoktek smutnie się umiechnął.

Nie ty ich poskromisz... dodał nie, tobie nie dano! Ty gdzie indziej musisz szukać zwycięstwa.

Ojczy mój ozwał się Kamirz, gdy stary zamilkł nieco ojczy mój, a nie mam miecza twojego ani dłoni twej...

Da ci je Bóg, gdy będzie potrzeba przemówił król nie miecz wojuje ani ludzka dłoń, ale wola i opieka Boża. Spełni się wszystko, jak On postanowił. Ty, ty kleić i spajać musisz, co rozerwały wieki, żelazną wiżając obręcz... miłociś ożenić, prawem zjednać...

Ostatnie słowa wyrzekł gorńco i znużony nagle mówić poprzestał. Ujrzał z dala stojąca, z głową zwieszoną królową. Wpatrzył się w jej postać smutną i wejrzeniem żegnali się długo.

Jadwiga stała chwilę i milczeniem króla odprawiona odeszła. On mowę odzyskiwał tylko dla syna.

Bóg z tobą rzekł. On dla mnie czynił cuda. On przeze mnie, słabego i małego stworzył znów królestwo, które do potęgi wielkiej uronie... Dziś ta stara szata królewska poszarpana na skrajach: zszywać już trzeba, odbierać obcięte kawały, wojować, na straży stać i latać, aż płaszcz z niej będzie pański.. Bóg wielki tworzy z niczego i przez małych.

Po krótkim milczeniu szepnął cicho:

Błogosławię!

Głos zamierać się zdawał, oczy się przymykały. Wtem wśród ciszy szelest dał się słyszeć, naprzód niewyrany, stłumione mowy kilku ludzi, sprzeczkę jakąś u progów. Łoktek oczy otworzył niespokojnie, królewicz powstał. Niepojętym to było, by w ostatniej godzinie pokoju pana umierającego nie poszanowano.

Spór coraz dobitniej dawał się rozpoznawać w pomieszanych głosach, na ostatek błagające, płaczliwe doleciały wyrazy:

Puście mnie, puście mnie, jam najstarszy jego sługa. Poruszył się Łoktek niespokojnie i oczy jego synowi znak

dały, aby drzwi nie zamykano prosiącemu.

Nim Kamirz miał spełnić rozkazanie ojcowskie, zwolna odchyliły się podwoje i ukazała się w nich dziwna postać.

Był to starzec zgarbiony z długą za pas, zrzędłą, siwą brodą i czaszką wyłysiałą, na której lniściej skórze mnogie szramy widać było... Odziany suknią tercjarską dzieci świętego Franciszka, zgrzybiały człek nie mógł już iść o swej sile... Dwóch chłopaków ubogo odzianych, na których ramionach się opierał, wiodło go pod ręce. Twarz z oczyma zakrwawionymi, pomarszczona, biała, miała wyraz niepokoju i zarazem radoci... Ręce trzymał złożone, jakby szedł do ołtarza,

Król mój! pan mój! wołał głosem drżącym puszczajcie mnie do niego... Niech pożegnam pana mego!

Z ust Łoktka wyrwało się:

Jarosz... Jarosz... pójd tu! do mnie, stary!

Potoczył się powołany do łóża cały drżąc z radoci i dopadłszy do nóg króla, płacząc, ciskać je poczył.

Król mój! pan mój! a mnie do ojca mego puszcząć nie chcieli! wołał. A mymy razem dziećmi biegali, a ja z nim był w bojach i na tułactwie, i w Rzymie, i po jaskiniach, i na poboju, i na noclegach, i w niewoli, i wszędzie.

Królowi oczy drżały i pod osłoną poruszał rękami, których dobyć nie miał siły.

Ty idziesz mówił płacząco Jarosz klękając u łóża wemijże mnie z sobą, życie już ciższy. Za grzechy pokutę sprawiłem, oczy zagasły, ręce obozwładniały... Wemij mnie z sobą, jak brał dawniej...

Z drugiej komnaty wybiegli wszyscy i ksiądz Wacław pierwszy chciał starego odciągnąć sługę, lecz król dał znak. Jarosz pozostał u nóg jego.

Kiedy tobie, panie mój, Bóg zesłał wyzwolenia godzinę, może i mnie w miłosierdziu swym zabierzesz z sobą. Ja bym się u stóp twych położył jako legalem po lasach, gdymy sami byli, biedni, głodni a cigani.

Twarz królewska ożywiła się tymi wspomnieniami; nie mówił, ale się na niej rysowało rozrzewnienie pogodne. Jarosz ledwie odetchnąwszy cisnął dalej;

Król mój, pan mój! a mnie do niego puszcząć nie chcieli. Jamże powinien tu być w godzinę mierci, bom w życiu był wiernym towarzyszem.

Łkanie mu przerywało.

Nie zlekniemy się mierci, widzielimy już nieraz mówił spokojniej. Spoczść czas!

Kończył te słowa Jarosz, gdy król dobył głosu z piersi:

Ojcie Heliaszu! zawołał Heliasz!

Mnich, który się spodziewał być powołanym, stał już blisko i przysunął się do łoża samego krzyż podnosząc w rękę.

Kamirz usunął się nieco, Jarosz milczał i modlił się.

Wśród ciszy zabrzmiała uroczysta modlitwa kapłana. Była to ostatnia, którą żywi przeprowadzają duszę ku lepszym ulatującym wiatom.

Oddech umierającego stał się nagle żywszym i cięższym, w piersiach wyraniej odzywało się chrześzczenie, pot występował na czoło. mierz, która się oddalać zdawała, wracała po swoją ofiarę.

Z drugiej strony łoża stojący kanonik Wacław wejrzeniem i ruchami dawał poznać, iż stanowcza chwila nadeszła.

Głowa króla głębiej w pociel i niżej opadała na piersi. Wysiłek jaki poruszał całym ciałem, które się podnosiło i cięgało na przemiany. Królowa klęczała przy mężu tuż obok starego Jarosza.

Głos mnicha coraz wyraniej, coraz mocniej podnosząc się, aby stępiącego już doszedł ucha, rozbrzmiewał po całej sali.

Oczekujący w sąsiednich komnatach, usłyszawszy go, zjawili się na progu gromadnie. Byli to ludzie poważni, w szatach ciemnych, smutnego a zadumanego oblicza. Oko ich na przemiany to szukało łoża, na którym spoczywał umierający, to pochylonej młodego królewicza głowy. Niespokojni szeptali po cichu, Jarosz opadłszy ku ziemi, z głową na piersi zwieszoną, bezsilny, zdawał się razem z królem swym dogorywać.

Kapłan w głos już z zapalem odmawiał resztę modlitwy, poklękli wszyscy. Królowa twarz spłakaną zanurzyła w pocieli i łkała z bólu.

Raz jeszcze podniosła się twarz starca, powieki odsłoniły oczy zbladłe, westchnął ciężko,

Westchnienie to odbiło się w piersi Jarosza, którego chłopcy utrzymać nie mogli, potoczył się na ziemię.

Lekki, stłumiony okrzyk wyrwał się z ust królowej.

Z rana już, na łożu w tej samej sali rozpostartym szeroko, spoczywały Łoktka zwłoki przydane do grobu, w hełmie na skroni z koroną, pasem objęte, z mieczem wiernym u boku, z berłem w dłoni, w spiczastym obuwiu ze złożonymi ostrogami, z twarzą wypogodzoną, jakś mu dał zgon.

Dokoła stali posiwiali ostatni jego towarzysze broni, najmłodszy, a najstarszy z młodoci czasów sługa leżał w kaplicy u Franciszkanów, w tercjarskiej sukni, czekając też pogrzebu.

Rycerze spoglądali na wyciągniętego konaniem, drobnych zawsze rozmiarów, człowieczka tego, którego żelazny miecz, nieruchomy teraz, wyciosał królestwo wielkie. Patrzyli i milczeli.

Podwórza zalegały ciche tłumy. Smutek był na twarzach wszystkich.

W przedsieni, na marcowego wiatru zimnym przewiewie, nie czujśc go, poopierani o słupy, nieruchomi jak posłgi, stali u wnijcia Jerzy Trepka, który królewiczowi towarzyszył nieodstępnie w latach ostatnich, poważny Jako z Melsztyna, którego król synowi do rady naznaczył, Mikołaj Wierzynek, rajca krakowski, starego i młodego pana ulubiony sługa, Kochan Rawa, powiemy dworzanin Kamirza, i Suchywilk, kapłan, siostrzeniec arcybiskupi.

Kochan Rawa, którego wszyscy znali, najbliższy królewicza, choć się powinien radować z tego, iż pan, którego był ulubieńcem, miał włożyć koronę, posępny stał i smutny. Mężczyzna to był młody, silny, przystojny, w kwiecie wieku, Kamirza rówieny, twarzy rozumnej, lecz namiętnego i zuchwałego wyrazu.

W bystrych oczach jego czytać było można, iż sprawcš mógł być lepszym niż doradcš. Marszczyło mu się białe czoło od myli ciężkich. Rękcš ujšwszy się w bok, a razem rękojeć miecza, ciskajśc, drugš to czoło pocierał, to wšs targał i brodeę.

Zbliżył się doń Trepka, wyglšdajšcy poważnie a rycersko.

Nie pójdziecie zajrzeć spytał co się z młodym panem dzieje?

Byłem tam odparł krótko Kochan spoczynku mu potrzeba. Sam pozostał... Stara królowa modli się, młoda krzšta się niespokojna. Jam go zamknšł od nich, bo siły pokrzepić trzeba. Teraz ich dużo mieć musi.

Zbliżył się do rozmawiajšcych Wierzynek.

Stracilimy ojca jęknšł smutnie. Nie odpowiadali mu długo.

Kto by tego pana nie żałował podchodzśc poczšł spokojnie Suchywilk, którego rozumna twarz we wszystkich uszanowanie wzbudzała.

Strata to niepowetowana, aleć Bóg opatrzny dał nam godnego z lędwi jego następcę. Ten podejmie i dokona, co tamten rozpoczšł. Nie trapmy się zbytnio. Czas było znużonemu spoczšć i pójć po zasłužonš nagrodę. Któryż z królów tak długo i skutecznie dla tej korony pracował? Starzy tylko pomnš poczštki, my z ich ust o nich wiemy... Z niczego on stworzył koronę tę na kawałki rozbitš, a pomylcie, z jakimi o niš walczył mocarzami! Z liczbš, z przewagš, ze złotem, ze złociš, ze sprzymierzonymi, nie majšc nic nad łaskę Pańskš! Cuda przezeń czynił Bóg!

Tak potwierdził głowę skłaniajśc Jako z Melsztyna a tym trudniejsze zostawił dziecku dzieło na wpół dokonane, gdy pamięć trwa, ile uczynił, i nadzieja z niš, ile dopełnić syn musi. Ani się dziwować, iż królewicz po ojcu tak boleje i pod brzemieniem się ugina. Wielkie ono.

Każdy dzień ludzki ma troskę swš odrzekł Suchywilk lecz na ciężkie godziny z pomocš Opatrzność pieszy.

Spoglšdali po sobie smutni.

My, wszyscy też tak winnymi młodemu służyć, jakemy starego miłowali.

Głosy się podniosły potwierdzajšce. Kochan Rawa obojętnie na nich spoglšdał.

Mnie pana mojego Źal rzek! popędliwie srogi Źal! Skończyły się dla nas dni swobody i wesela. Z kolei zaprzęczenie go do tego pługą, z którego jarzma ani się na godzinę wyzwolić! Tak teraz ani dnia, ani nocy, ani wytchnienia mieć nie będzie... We snach nawet troska zajrzy w oczy. Biedny pan mój! Korona liczna, ale nie samš skroń, cinie ona całego człowieka, a zrzucić jej ani na chwilę nie można. Wojna? musi być Źołnierzem; pokój? gospodarzem mu być trzeba; nocš stróŹem... hej! hej! dola nasza! Królem się będzie zwał, a w rzeczy niewolnikiem zostanie...

Jako z Melsztyna potwierdził głowę pochylajšc.

Tak jest rzekł ale królestwo kapłaństwo, królestwo ojcostwo! Przez króle mówi Bóg i Źeby się stać godnym tego, wielkim a czystym trzeba być.

Kochan Rawa wšsa pokręcił i skrzywił się.

No dodał i człowieczeństwa się wyrzec. Mnie mojego pana Źal!

Spojrzeli nań drudzy nie odpowiadajšc. Kochan posunšł się zwolna ku drzwiom, które wiodły do izb królewicza, inni pozostali w przedsieni.

Mnie się zdaje rzekł Suchywilk spoglšdajšc za odchodzšcym iŹ temu Rawie nie tyle królewicza Źal, co samego siebie. Lęka się, aby z łask nie wypadł i przystęp mu się nie utrudnił. Nie byłoby to moŹe wielkš szkodš dla młodego pana. choć on słuŹy mu wiernie, lecz człek goršcy, popędliwym, pan młody... Oliwy do ognia dolewać nie jest bezpiecznie.

Jako z Melsztyna spojrział na mówišcego i zamilkł. Inni nie przeczyli ni potakiwali. Wierzynek troche na bok się usunšwszy stał sam zadumany. Nadcišgała starszyzna i dzwony pogrzebowe wszystkich kociołw w miecie jęczeć zaczęły. Lud na Wawel płynšł...

KSIĘGA PIERWSZA

W dziedzińcu królewskiego zamku na ławie pod murem odpoczywało dwóch młodych ludzi. Po wytwornym ich stroju, postawach miałych i butnych, głosach dononych, a obejciu się zamaszystym, po twarzach napiętnowanych wyrazem dumy, jakś daje łaska pańska, łatwo się było domyleć, że się tu czuli jak w domu i że do dworu królewskiego należeli, a nawet mogli być bliskimi osoby królewskiej.

Wiosenne słońce, na którym usiedli w zakśtku tym od chłodnego powietrza przysłoniętym, wcale przyjemnie dogrzewało,, Wiosna była młoda jeszcze i nie bardzo ciepła.

Jeden z tych dworzan wyciśgnął się swobodnie na kamiennej ławicy i rękę pod głowę podłożywszy, podniósłszy nogi do góry, przypatrywał się lekkim, białym obłoczkom przesuwałjącym się po niebiosach.

Niekiedy rękś swobodnś podkręcał wśsa i poprawiał trefionś bródkę, która w brunatnych zwojach na piersi mu spadała.

Pięknej twarzy, wyrazistych rysów, brwi miał ruchliwe, usta dziwacznie się wykrzywiałjące, fizjonomię całś jak woda od wiatru wzburzona, falujśca i zmieniajśca się ciśgłe. Krew, która w nim grała, nie dawała mu uleżeć spokojnie, nogami tupał, wybuchał miechem, porywał się, kładł, przerzucal z boku na bok.

Drugi, który w końcu ławy z nogś na nogę założonś, sparty o mur, odpoczywał, choć równie z pańska i butno wyglśdał, spokojniejszej był natury, krzepki za to, silny, miały, a dumny. Z góry spoglśdał na towarzysza swego jak na kapryne dziecię, nie zdajśc się brać do serca jego wybryków i popisów dowcipu.

Jak jeden, tak drugi mieli na sobie naówczas w całej Europie po stolicach, i dworach księżęcych przyjętego kroju ubiory. Obuwie spiczaste z zadartymi do góry nosami, obciste spodenki, pasy ozdobne i kurtki z rękawami przystajścymi do ciała. Na wierzch za narzucone płaszczyki z rozciętymi długimi rękawy, które się dosyć malowniczo nadawały do stroju. U pasów kaletki nabijane srebrem i w pięknych pochwach małe mieczyki dopełniały ubioru.

Leżścy na ławie z większym staraniem i wytwornociś był przyodziany; troskliwoć o wdzięk, rodzaj zalotności właciwej tym, co się za pięknych majś, objawiały się w kosztownych tkaninach i ich przyozdobieniu. Włos, który mu w pukłach na ramiona spadał, był starannie uczesany, a nawet namaszczoney, aby nabrał blasku. Pochwy mieczyka, kaletka, nosy obuwia wieciły srebrnymi i pozłacanymi ozdobami.

Młodym mógł się on jeszcze nazywać, ale już młodzieniaszkiem nie był. wieża i piękna twarz miała na sobie ludy życia nie bardzo szanowanego; trzydzieci lat już pewnie mu minęło, ale ruchami i powierzchownociś chciał być młodszym.

Towarzysz jego, mniej więcej tego samego wieku, zdrowy, zbudowany jak do zbroi, szerokich ramion, ani tak pięknym był, ani się zbyt troszczył, jak się ma wydawać. Zdrowiem kwitły mu policzki, miało patrzyły szare oczy, ale usta, miasto słodkiej zalotności, miały dumny wyraz człowieka, który pewien jest swojej siły.

Suknie jego podobnego kroju jak pierwszego, z pospolitszej tylko tkaniny, czyste były, leżały dobrze, nie wiecśc niczym. Od leższego na ławie miał więcej powagi i męskiego wyrazu spokoju.

Na zamku dosyć było cicho, bo król wyciśgnął na łowy z niewielkim orszakiem; w bliskoci czelad się nie kręciła, młodzi dworzanie mogli rozmawiać swobodnie.

Nie miarkowali też głosu i gdy leżscy miał się, a siedzscy obok odpowiedział mu głono, rozlegało się po tej części podwórza ciasno dosyć murem opasanego.

Wytwornie strojny był znany nam już ulubieniec króla, Kochan Rawa; drugi zwał się Dobiesławem (Dobkiem) Bończś. Oba równie dobrze byli u młodego pana położeni, Dobek nawet miał urzśd doranego sędziego sporów między dworzany.

Nie byli oni doradcami króla w sprawach ważnych, bo tych Kamirz szukał gdzie indziej; ale w chwilach spoczynku, przy stole i biesiadach, którymi młody pan nie gardził, na łowach i wycieczkach, przy wesołych rozmowach, do drobnych zleceń posługiwał się nimi najchętniej. Kochan sam przekonany był i drudzy z obejcia się królewskiego wnosili, iż mu był najmiłszym.

Król mu się nieraz zwierzał w sprawach, o których nie mawiał z innymi, zdajśc się być pewien jego serca i wiernoci dla siebie. Od dzieciństwa byli razem. Kochan młody igraszek i zabaw nieodstępnym był towarzyszem; nieraz go za królewicza karano. Nikt nad niego lepiej nie odgadywał myli króla i do jego upodobań nie umiał się zastosować. Znał go na wylot, jak powiadał, i był tym dumny. Dawało mu to zarozumiałość faworyta, bo nieraz poważni panowie rady jego zasiękali.

Dobiesław był także w łaskach, król na nim polegał, używał go chętnie, lecz z przenikliwociś, która mu była właciwa, czuł, iż Bończa nie do wszystkiego by się nadał, a pochlebiać nie miał ani ochoty, ni umiejtnoci.

Powięcenie obu równe było, miłość gorśca, charaktery wielce różne.

Słysz, Dobek gwarzył miejśc się i na ławie rzucajśc Kochan ja sobie mylę, co by stary król nieboszczyk powiedział, gdyby wstał teraz z kamiennej trumny swej i popatrzył, jak się tu u nas przez te lat osiem od mierci jego zmieniło wszystko... Zamku, dworu ani poznać! no i po ziemiach inaczej. Od wojny się jako odpędzamy, ludzie przecie mogś odetchnść! Z Krzyżakami, co pokoju nie dawali, rozejm za rozejmem. W końcu my ich nie dobywajśc miecza zmusimy siedzieć cicho, aż póki...

Odchrzśknął znaczśco Kochan i zamilkł. Dobek nań popatrzył z góry.

Eh, eh! rzekł trochę szydersko. Co ty albo ja wiedzieć możemy, jak król sobie radę daje z Krzyżakami! To nie nasza sprawa! Kasztelan krakowski, ks. Suchywilk, wojewoda, biskup, ci może co znajś; król nasz ze swoich myli przed lada jakim nierad się spowiadać!

Jakbym ja potrzebował, ażeby mi mówiono to, czego ja się sam domyleć mogę! rozemiał się Kochan. Albo oczów i rozumu nie mam?

Dobek niedowierzajšco ramionami poruszył.

Daj pokój powtórzył nie nasze to sprawy. W tym z tobš zgoda cišgnšł dalej że się u nas wiele zmieniło. Za nieboszczyka starego z prosta było wszystko, młody pan lubi, żeby mu się wieciło i błyszczało, a niegorzej wyglšdało w Krakowie jak w Budzie i Pradze.

Boć tak u nas powinno być zawołał Kochan z przejęciem wielkim. Nasz pan, choćby obok cesarza stanšł, nie powstydzi się i nie da zaćmić nikomu. Jemu mało królewskiej korony! Takiego drugiego na całym wiecie nie ma. Czego mu brak? Uroda, tylko patrzeć nań, rozum, bystre oko, serce złote, postawa rycerska, wszystko u niego jest.

Tylko szczęcia nie ma! zamruczał Dobek chmurzšc się. Brwi się Kochanowi cišgnęły, nie odpowiedział nic.

Ano odezwał się po dumaniu przedłużonym młody jest. Jeszcze wszystko, co zechce, może mieć. Co dla mężczyzny lat trzy dziesištki! Przed nim wiat i życie... Chybaby Bóg niełaskaw; wiele i wielkich spraw dokaże. Ja go znam, w nim jak w kopalni, im głębiej zajrzeć, coraz skarby większe...

Daj mu Boże wszystko dobre! westchnšł Bończa któž by jemu le życzył? jemu, co najbiedniejszego człeka, żebraka, chłopa jak dziecko do siebie przygarnie... Dla każdego ma dobre słowo i serce dobre.

Milczeli znowu czas jaki. Dobek duże i silne ręce wyciągnął, jakby mu próżnowanie dokuczyło. Kochan pokręciwszy się na twardej ławie zerwał się,, usiadł starajšc umiecić wygodniej. Spojrzał na Dobka.

Jego na gwałt ożenić trzeba! szepnšł.

Mnie się zda, że on o tym i sam myli odparł Bończa.

O ożenieniu jak o ożenieniu przerwał Kochan boć niewiast po wiecie grzecznych i bez tego dosyć, ale jemu trzeba syna... On chce koniecznie potomka męskiego mieć... To jego jedyna troska, aby korona nie poszła po kšdzieli albo na Mazury, lub na jakie cudze ręce... Syna, syna mu trzeba, a tu...

Kochan się zadumał.

Wiecie, co ta czarownica babsko mu przepowiadała? dodał zwracajšc się do Dobka.

Dobek potrzšł głowš.

Nie wiem nic rzekł krótko.

Tocie chyba nie ciekawi rzekł Kochan wszyscy przecie o tym wiedzš. Ja, co się mojego pana tyczy, muszę wiedzieć wszystko. Co jego boli, mnie boli.

O! żeby nie ta Klara poczęła dalej pomrukując żeby nie ta Klara, której cień za nim chodzi, byłby on szczęśliwy! I ta przepowiednia głupia nie byłaby do niego tak przystała... Nieraz o niej przez sen gada, uchowaj Boże, niech mu który z tych Węgrów nawinie się przed oczy, jakby go podcisł.

Dobek słuchał obojętnie, patrząc w górę na ulatującą w powietrze parę gołębi.

Ja z tej całej węgierskiej historii rzekł ledwie co piśte przez dziesięte wiem, bom naówczas na dworze nie był. Latałem jeszcze po ojcowskich lasach. Ludzie o tym różnie prawiś. Wycie pono byli z nim?

A jakże? gdzieżem ja z nim nie był! W Pyzdrach nawet mało mnie Krzyżacy nie pochwycili mówił Kochan. Byłem, gdy się żenił z poganką, jedziłem na te Węgry, no wszędzie! Mówię wam, od tego pobytu w Wyszehradzie stał się jakby innym człowiekiem. Wprzódy wesół zawsze, żyć i biesiadować lubił, pomiać się był rad... Nie od tego on i teraz, ale rzadko i tylko, gdy się zapomni. Postarzał nagle, posmutniał... Ten tylko, co jak ja widuje go, gdy sam na sam się zostanie, wie, jak cierpieć musi. Zdaje się, nie brak mu nic, a na nim co ciższy jak kamieniem.

Trosk bo ma dużo odparł Bończa. Z czasem choćby mu tam co dolegało... zapomni.

Zapewne rzekł Kochan ale na to potrzeba, aby jaka lepsza dola zatarła wspomnienia tego smutku, a my sobie szczęścia napytać nie możemy. Teraz się niby co błyszczycy, mnie się i temu wierzyć nie chce.

Dobek słuchał nie bardzo chętnie, jakby się nierad był rozgadywać w tym przedmiocie. Kochan przeciwnie, że się z tych spraw lada komu zwierzyć nie mógł, rad był się przyjacielowi spowiadać. Ciżżyły mu na piersiach.

Od poczętku się jemu w domowych sprawach nie wiodło ciżgnął dalej. Jam się na to wszystko patrzył. Ożenili go z tą Litwinką nie dla niego, ino dlatego, że staremu królowi trzeba się było z Litwą zwiśzać, a Litwie z nim przeciwko Krzyżakom. Tylemy zyskali, że nam w posagu polskich jeńców przyniosła, co ich poosadzano na pustkach po Tatarach... Soroków też soboli i kun nie wiem ile na kożuchy nam przyszło. Na nieboszczkę paniś nic nie powiem, piękna była, dobra była, ptaszę nie kobieta. Wsadzono ją do klatki, wywieziono z jej lasów, płoszyła się coraz jak ptaszę. Królewicza gdzie indziej, ją kędy indziej ciżgnęło. Jemu się chciało na szeroki wiat, na takie dwory, jak francuski, włoski, węgierski, a Hannie do lasu zawsze. Prostaczkowata sobie była jakby chłopianka, miała się na głos nie zważając na ludzi, mówiła, co jej przyszło do głowy, nie pilnując dworskiego obyczaju. Księża ręce łamali, bo się ledwie przeżegnać nauczyła. Król by ją był kochał może, ano do jej humoru zdziczyć mu trzeba było. Więc nie mógł... Żeby mu była choć syna dała, a tu córka.

Dobek przerwał od niechcenia.

Masz mówić, no to powiedz mi lepiej całą tę nieszczęsną węgierską sprawę. Dobrze jej nie znam.

Starś biedę i smutek przypominać odezwał się pomyławszy Kochan to jak zagojona ranę rozdrapać. Ano, kiedy się zmówiło o tym, powiem. Byłem ci tam z nim.

Jechaliśmy naówczas z rozkazu starego pana do Wyszehradu do Karoberta i naszej królowej Elżbiety,

żony jego. Wycie u tych Francuzów nie bywali! Takiego dworu jak u tych państwa na wiecie widzieć trudno. Po naszym jak raj się jaki wydawał. Przepych wielki, a wesołość, a piewy, a muzyki i wszystko strojne, pańskie, wietne, a obyczaje osobliwe, francuskie i włoskie. Z całego wiata kuglarze, piewaki, rzemiełniki, mśdrale, suknie od złotogłowów, opony od jedwabiów.

W więta, gdy występowali królestwo, mówiono, że i na cesarskim dworze piękniej być nie mogło. Wszystkimi językami słyszałe tam mówiących, poczśwszy od tej mowy madziarskiej, którejem się ja nigdy ani słowa nauczyć nie mógł, aż do francuskiej, włoskiej, niemieckiej i łacińskiej.

A że królowa, siostra naszego pana, bardzo zabawy, skoki, muzykę i turnieje lubiła i do dzi dnia lubi, było na co patrzeć i czym się cieszyć dzień w dzień.

Dopieroż na przyjęcie brata, którego Elżbieta kochała bardzo, gdy poczęła się zмагаć, nie było chwili spoczynku. Łowy, turnieje, bankiety po bankietach, skoki, piewy, igraszki różne, Kobiety na dworze Węgierki, Włoszki aż oczy rwały. Powiedziałbym, piękne jak anioły, ale chyba do nich nie były podobne. Krasne dziewczęta i niewiasty, jakich u nas nie widać, ale gdy która spojrziała na człowieka, jakby ogniem rzucił. Krew zdawała się kipieć w tych pogankach... Strach! aż mrowie przechodziło! Wziśł z nas który do tańca, to nim miotała jak piórem... . Ucztowaliśmy i biesiadowaliśmy tydzień z górś jak w raj! Między dziewczętami, co przy królowej były, najpiękniejsza zwała się Klara, a była córks urzędnika Karobertowego, imieniem Felicjana Amadeja. Powiadano o nim, że z małego był wyrósł służśc pierw na dworze Maćka z Tręcyna siedmiogrodzkiego, od którego do Karoberta przystał.

Dziewka była godnś choć królowś się zwać: twarz jak mleko biała, oczy czarne, włos kruczy, postać osobliwa, a i duma, którś jak koronę na głowie nosiła, piękności jej dodawała.

Za to ojciec wyglśdał straszno, jak zbój i drab. Olbrzymiego rostu, niezgrabny, oczy miał szatańskie koso patrzśc, a głos chrapliwy; gdy zagadał, mrozem przejmował. Co w nim było dzikiego, jakby tylko co z lasu wyszedł. Dumś też obrażał, bo choć chłopisko proste było, królowi ledwie głowś skłaniał.

Z nim pod wieczór na gocińcu spotykać się najmężniejszemu nie było wygodnie. Ale król tego niedowiedzia lubił, bo mu silnś pięciś ład na dworze utrzymywał.

Jam zaraz spostrzegł w tańcu, że ta Klara naszemu królewiczowi w oko wpadła. Jednego wieczora, gdymy do naszych izb szli na spoczynek, zagadnśłem o niś, rozemiał się tylko. Na drugi dzień sam mnie o niś zaczepił i rzekł:

Królewski kśsek!

Mnie ten drab ojciec z kosymi oczami stał na pamięci, odpowiedziałem więc:

Niech no się miłość wasza temu staremu przypatrzy, a od tej czarownicy ochota odejdzie.

Pan to w miech obrócił.

Królowa Elżbieta, że rada była brata jak najlepiej przyjśc i ugocić, spostrzegłszy, iż na Klarę oczyma

rzucał, poczęła go niś przeladować.

Nie zapierał się, iż mu w oko wpadła.

Piękniejszej w życiu nie widziałem rzekł.

Więc mu potem Klarę i do tańca, i przy biesiadzie ciśgle do boku dawano, aby sobie niś choć oczy napasł. Mówił mi o niej ciśgle, ale narzekał.

Jak z kamienia jest powiadał im ja się więcej staram w łaski wkupić, tym sroższa. Podarunku żadnego przyjmować nie chce, a odezwie się zmuszona, to jak żelazem w pier żgnie...

W kilka dni jako królewicz nam zachorował. Ksiśdz Włoch, doktor królewski, kazał mu dzień albo dwa w łóżku spoczywać. Królowa o brata troskliwa, choć nie chciał,

zmusiła go leżeć, Ażeby mu się nie nudziło, ciśgle przy nim siadywała sama. Wieczorami za panny swoje przyprowadzała z sobś każśc im na cytrach grać i pieni piewać.

Ile razy do królewicza szła, Klara z niś razem ić musiała. Nas sprzed sieni wyprawiano jako niepotrzebnych, żebyśmy się z dworem królewskim zabawili.

Trzeciego dnia tej choroby, gdym póno już do królewicza powracał i miałem do drzwi się zbliżyć, nagle się one otwarły i Klara z rozrzuconymi włosami, blada, zapłakana, jak oszalała wypadła z izby królewicza, przemknęła się mimo mnie nie widząc i znikła.

Strach mnie jaki ogarnśł, ale sśdzśc, że królowa u brata jest, czekałem u progu.

Gdy tak siedzę, słyszę, woła mnie pan. Wchodzę i zastaję go samego na łóżku, ręce pod głowś, niespokojny był jaki, namarszczony, gniewny.

Jutro mi się sposobić do drogi! zawołał zobaczywszy mnie.

Chciałem rozmowę poczęć, aby się czego dowiedzieć; milczeć mi kazał.

Nazajutrz, choć mielimy bawić dłużej, mimo prób króla i królowej, Kamirz, jakby stśd uciekał, co żywiej pędził w drogę... Znajśc go nie próbowałem już się więcej od niego dowiedzieć. Milczścy był, zasępiony, niecierpliwy,

Z Wyszehradu wyjechalimy z popiechem wielkim, jakby nam do Krakowa bardzo pilno było, tymczasem dalej podróż szła opieszale, małymi dniami. Raz wraz kazał stawać na spoczynek. Było to w maju jak teraz: wiosna była liczna. Droga by się pewnie nie przykrzyła, gdyby nasz pan nie włókł się zasępiony i bezmówny.

Jużemy do granicy naszej się zbliżali i na nocleg mieli jednego wieczora rozkładać, gdy patrząc, znany mi dobrze dworzanie Elżbiety, młody Janusz, we trzy konie jak szalony nas dopędza. Nim usta otworzył, jużem wiedział, że co lichego wiózł za nadrž. Królewicz zobaczywszy go wybiegł, zbladł i zatrząśł się cały.

Poszedł z nim Janusz do namiotu, a my tylko krzyki, głosy i wołania różne słyszeliśmy. Czuliśmy, że się coś stać musiało, lecz co z sobą przywiózł, niesposób się było domyśleć. Łamaliśmy głowy na próżno. Służba pytana milczała.

Dopiero gdy Janusz wyszedł, dowiedzieliśmy się o wszystkim. Wkrótce nieszczęśliwa ta przygoda nie miała być tajemniczą dla nikogo.

Po dzi dzień nie wiem, czy królewicz, pan mój, któremu siostra ową Klarę Felicjanównę zostawiła, aby pilnowała chorego, winien był co czy nie.

To pewna, że dziewczyna poszła się jakoby skarżyć ojcu na królową i na niego, a stary wpadł we wciekłość wielką.

Drudzy powiadali, iż staremu zbójowi tego tylko było potrzeba, aby znalazł pozór do pomsty nad królem i królową, bo miał od dawna przeciw nim spiskować i sam po wymordowaniu całej rodziny królewskiej chciał nad Madziarami panować.

Więc gdy we wtorek po przewodach, po wyjedzie naszym, król Karobert z królową i syneczkami Ludwikiem i Andrzejem w małej gromadce, prawie bez dworu, obiadowali spokojnie w domu swym pod Wyszehradem nie obawiając się ani domylając niczego, nagle stary ów zbój z kilkunastu zbrojnymi przyjaciółmi wpadł do sali. Wprost z mieczykiem rzucił się na króla, którego królowa bronić chciała i chwyciła za miecz prawą ręką, a cztery palce jej odcięte padły.

Król też rękę miał skaleczoną.

Czeladź przerażona nieprędko się wzięła do obrony pana swego, dopiero gdy ów wciekł z kolei na młodych królewiczów się rzucił ich chcąc mordować, Jan z Potoken, młody Węgrzyn rycerskiego rodu, dobywszy miecza między szyję i łopatkę zbrojną trafił tak, że padł zaraz w miejscu omdlały.

Dopiero na wrzawę zbiegli się dworcy, służba, pochwycono winowajców i okrutną, strasliwą domierzono na nich karę.

Szarpano ich żywcem końmi na sztuki... Zginął tak ojciec, córka Zeba z mężem Kopy, a Klarę poobcinaną obwożono po całym królestwie, aż i ją cięto... Po wszystkich miastach porozsyłano ćwierci zbrodniarzy, głowę Felicjana w Budzie nad bramą

przybito. Litoci nie było dla nikogo, ale też i królowa Elżbieta, którą teraz Kikutś, to jest bezręką zwą, cd tej pory z prawej ręki rękawiczki nie zrzuca, bo jej mało co dłoni zostało. Opowiadający Kochan odetchnął trochę.

Nigdy ja pana mojego dodał po przestanku nie widział takim, jakim był w pierwszych dniach po przybyciu Janusza. Chciał naprzód zaraz nazad jechać do Wyszehradu, do siostry; ledwiemy odprosilili. Potem zachorzał i leżeliśmy dni kilka na samej granicy nie mogąc dalej do Krakowa. Nie wiedział co czynić i tak rozpaczał, choć nie sądzę, aby winnym się czuł; ale mu siostry i straconej tak okrutnie Klary srogi żal było.

Jużemy nareszcie do Krakowa jechać mieli, gdy nad ranem patrzymy, kupa Węgrów nadbiega.

Mylelimy, że pogoń jaka, że zemsta. W mgnieniu oka do obrony się uszykowali, aż białymi chusty poczęli nam dawać znaki wołajśc, że na miłosierdzie Boże z królewiczem chcš mówić.

Poznalimy w nich wtedy jednego Klary brata i kilku powinowatych nieszczęśliwej dziewczki, którzy popadawszy na kolana przed panem o bezpieczny przytułek w Polsce go prosili. Poprowadziliśmy ich z sobš i siedzš do tego czasu u nas spokojnie, tyle tylko, że się im królowi na oczy pokazywać nie wolno.

Dobek głowš potrzšsał.

Wiem ich rzekł oni się Amadejami zowiš, a na szczycie majš orła poobcinanego.

A tak odparł Kochan królewicz u ojca jeszcze ziemię wyprosił znaczš. Włos im tu nie spadł z głowy, tylko żeby się nie okazywali na dworze, przykazanie majš, bo na nich król patrzeć nie może, zaraz mu te krwawe dzieje na pamięć przychodzš... Chcšli czego, muszš przez kasztelana prosić, a co zšdajš, otrzymujš.

Bończa wysłuchawszy opowiadania cierpliwie rzeki tylko:

Krwawe dzieje! bodaj o nich nie pamiętać.

Posłuchajcież końca o babie dodał Kochan. Temu już rok jedenasty, jak się to stało, com mówił. W kilka lat jako potem przypadło nam znów jechać na Węgry. Pamięć się tam o Amadejach trochę zatarła. Jechaliśmy do Budy, gdzie znowu

przyjęcie było wielkie, ale królewicz poród tych wesołoci Chodził jak struty.

Królowa Kikuta znowu go zabawiać chciała, bo na niej przestachu i smutku nie pozostało ni ladu. Wesoła była jak przedtem i dwór jej znowu piewał a brzdškał. Ucztowaliśmy na zamku dni z dziesiętek, nim powracać nam przyszło.

Drugiego dnia podróży trafiło Się, że na nocleg do żadnej osady nie mogliśmy nadšżyć... Noc nas zaskoczyła, musieliśmy w lesie rozbić podrózne namioty.

Zapalono ognie, ludzie zaczęli mięso piec i kaszę warzyć, gdy babsko jakie stare do obozu Się nam przyplštało. Ludzie chcieli jš biczyskami odpędzić, aż królewicz z namiotu wyszedłszy, jak to on zawsze dla najbiedniejszych litonym jest bez miary, zawołał zaraz, aby babie żadna się krzywda nie działa, jałmužnš kazał jš obdarzyć i nakarmić.

Baba już od ludzi dowiedziała się, comy byli za jedni, oczyma jakimi straszonymi poczęła się w królewicza wpatrywać držśc cała. Na ostatek puciła się wprost do niego, aż nas strach jakiego uroku ogarnšł. On stał miało.

Językiem mieszanym poczęła co mało zrozumiałego pleć, to na niebo, to na ziemię ukazujśc, to W piersi się bijśc, to płaczśc. Potem ręki królewicza się domagała dla wróžby.

Stałem wówczas przy nim i mówię:

Nie dawajcie, na miły Bóg, niech się ona was nie dotyka... Uparł się i rękę wyciśgnął.

Stała baba nad niś brwi namarszczywszy, trzęsła się, mruzczała, głowś rzucała, pokrzykiwała... na ostatek pleć zaczęła...

Co? co? Zapytał Dobek.

Koszalki opałki jak w gorścze, sama pewnie nie wiedziała, co plotła mówił Rawa. Ci, co rozumieli, powiadajś, że mu prorokowała, iż miał panować królestwu wielkiemu i mocnemu, na równi stać z cesarzami i największymi mocarzami wiata, a potem nachmurzywszy się dodała:

Co potem! krew nad tobś! Amadeje! Amadeje... Ludzie przez cię szczęliwymi bęđś, ziemie twoje zakwitnś, nieprzyjacioły położś się pod nogi, zawładniesz ich krajami, a sam nie

zaznasz szczęcia w życiu... tego, czego najgoręcej pragniesz, Bóg ci nie da! Amadeje!...

Królewicz zrozumiawszy nieco spytał niespokojnie:

Czegóż ja to pragnś mam?

Męskiego potomka z żadnej żony ci Bóg nie da i na tobie ród twój zginie, a korona pójdzie na obcś głowę.

Chcielimy babę przegnać, aby więcej mówić nie miała, lecz ledwie dokończywszy chwyciła się za włosy i z krzykiem Amadeje pobiegła w las... Odszedłszy sporo palcem się w piersi poczęła stukać ukazujśc na siebie i powtarzajśc jeszcze Amadeje!

Ale królewicz już był wrócił do namiotu i nie słyszał ani widział.

Węgrowie, co tam szli, powiadali nam, że z rodu tych Amadejów musiała być.

Mylelimy, że on o tym łatwo zapomni, ano proroctwo to było jak trunek, którego mocy człowiek nie poczuje, gdy go pije, aż póniej, gdy go rozmarzy. Od tej pory król je ciśgłe przypomina.

Mało co głupie baby wróżś odezwał się Dobek. Na psa urok! Skśd jedna taka żebraczka może wiedzieć, co Bóg komu przeznacza.

A! a! mów zdrów odparł Rawa baba, żebraczka, włóczęga, kto wie, skśd ona to bierze, jakś ma siłę i kto jś jej daje, Pan Bóg czy szatan, a przecie to całemu wiatu wiadomo, że wiedmy przyszłoć wiedźś.

Ty temu dajesz wiarę? rozmiarł się Bończa ja nie... Za co by go Pan Bóg karać miał, kiedy winien nie był?

Kochan milczał.

Niech no się on ożeni dodał spoczśwszy Dobek niewiastę sobie dobrawszy, jak słychać, i do serca,

i do obyczaju swego, przyjdź synowie i babie kłam zada.

Tak szepnął Kochan ta, która mu Czech swata, jemu bardzo do smaku, a co potem, potem powiadaj, że ona się go lęka i nie chce.

Dobek się obruszył.

Jakby tak było, niech innej poszuka, jest ich dosyć. Byle mu Niemki nie swatali znowu. Niemców, jako ta zgaga Hans von Pforten, zagęciło się u nas na dworze i po miastach do zbytku. Jakbyśmy jeszcze królówś dostali niemieckś, a z niś napłynęło dworzani i czeladzi!... choć uciekać stśd na kraj wiata.

Rozprawiajśc tak nie postrzegli, że gdy Dobek ostatnich słów domawiał, zwolna i podsłuchujśc zbliżył się ku nim mężczyzna nieco starszy od nich obu, gruby i duży, okrśgły, włosów rudawych, twarzy piegowatej, pogardę i lekceważenie dumne wyrażajścej, jak gdyby czuł się daleko znacniejszym i wyższym nad tych, na których dziko spoglśdał.

Drgnął posłyszawszy przez Dobka wymówione nazwisko Hans von Pforten. On to był sam, Niemiec, w usługach króla od lat kilku zostajścy, do urzśdzania gonitw i turniejów obyczajem zachodnim używany. Zaufany wielce w swoje u króla fawory, opryskliwy, dumny, szczególnie z Dobkiem Bończś z powodu poswarków z dworzany i jego sśdów był w ciśgłych zatargach.

Usłyszawszy, co o nim i o Niemcach powiedział, Hans prychnśł głośno i rzucił diabłem!

Ocknął się Dobek, spojrział nań umiechajśc się spode łba i zawołał:

Patrzajcie no tego szwaba, jak mu mowa moja nie w smak! a ja ci, ty Niemcze przekłety, powtórzę raz jeszcze, że bycie wszyscy sobie szli stśd do tego diabła, którego wspomniał, albo do twej ziemi nazad. Wy nam tu na naszych mieciach mierdziecie...

Niemiec warczśc za rękojeć miecza pochwycił.

Milcz ty jaki! krzyknśł milcz! Niemcy wam mierdzś! a od nich, żaki, musicie się uczyć wszystkiego! Co bycie bez nas mieli? co bycie mieli? Skórami bycie się jeszcze odziewali!

Nie dajśc mu dokończyć Dobek się porwał, ale z majestatycznś powagś, bez widocznego wybuchu gniewu.

Na naszej ziemi się spasłe, nasz chleb jesz..., milcz ty, przybłędo! krzyknśł rozkazujśco.

Nie zamkniesz mi gęby! zawołał Hans burzśc się nie, nie.

I nagle krok naprzód się posuwajśc miecz obnażył. Dobek stał nie pomyławszy nawet dobyć żelaza, wargi tylko zakśsił,

Hans się pienił z gniewu.

Pójdże precz stśd, ty szwabie, póki cały! odezwał się usiłując spokoj utrzymać ruszaj, bo le będzie!

Z tobś le będzie! krzyknś Hans podnosząc miecz, jakby bezbronnego przez łeb ciśc zamierzał.

Lecz Dobek Bończa w mgnieniu oka przypadł do niego, rękę, w której miecz trzymał, pochwycił dłoniś silnś jak w obręcz żelaznś, drugś chwiejścy się miecz szarpnśwszy wyrwał i natychmiast nim okładać go poczśł.

Nim się ciężkie niemczysko opatrzyło, leżał już na ziemi, a na szerokie plecy jedne po drugich spadały razy, aż żelazo rozprysło się na kawałki.

Przyduszony kolanem Hans na próżno się wyrwać usiłował.

Fried herr! Fried herr! jęczał przycinięty do ziemi sśdzśc, że ostatnia godzina nadeszła, bo Dobek, dawno doń zśb majścy, Nielitociwie go okładał.

Na wrzawę tę czelad się zbiegać zaczęła ze wszech kśtów dworzanie, służba, kobiety, powtarzając ze miechem niezrozumiałe wyrazy,

Fredry! Fredro! Dobka Fredrś nazywał! co to znaczy?... Szczęciem dla pokonanego Dobek nie był krwi chciwy; zbiwszy dobrze, pucił ofiarę nie myśląc się więcej znęcać nad niś.

Podnosił się miejśc Bończa, gdy oczy zwróciwszy na tłum ludzi, który umilkł nagle, postrzegł z przerażeniem o trzy kroki stojścego króla.

Ż łowów powracajścy Kamirz wprost z konia przybył na krzyk i grono, ale z maś ironiś na ustach spoglśdał na Dobka, który stał jak winowajca...

Pięknym był Kamirz w tej dobie swojego życia. Słusznego wzrostu, dorodnych kształtów, w pełni sił i zdrowia, z twarzś rysów szlchetnych, której jaki obłoczek smutku dodawał uroku miał w sobie majestat pański bez dumy, osłodzony dobrociś wielkś.

Ubrany jak na łowy, z trśbkś przez ramię przewieszonś, w czapeczce aksamitnej na głowie, w sukni opiętej i płaszczku, z mieczykiem u pasa stał wziśwszy się w boki, na przemiany mierzśc oczyma to Bończę, to Niemca, który się z ziemi jęcźc dwigał opylony i zobaczywszy króla zwrócił się ze skargś ku niemu...

Kto rozpoczśł? o co poszło? zapytał Kamirz zwracając się do Kochana.

Niemiec się pierwszy do miecza porwał odparł Rawa.

Widzisz, Hans! zawołał król masz za swoje! I pogroził Bończy.

Ty by zaraz ludzi zabijał! rzekł i odwrócił się szybko. Skończyło się na tym; ale tegoż wieczora król miejśc się

Bończę poczśł przezywać Fredrś i przydomek ten tak przylgñśł do niego, że i na rodzinę przeszedł.

Kochan jeden domyślał się, dlaczego król tak prędko z łowów powrócił: oczekiwano wiadomości od króla Jana z Pragi i syna jego, margrafa Karola.

Kamirz tym wszechmogącym groszem, którym z królem Janem, niespokojnego ducha, rycerskiej gorączki mężem, ciśnie wyprawy jakie znaczącym, wszystko można było uczynić, przejednał się i pogodził. Nieprzyjaciele niedawno, byli teraz sprzymierzeńcami.

Został Janowi czeskiemu na jego pieczęci na pamistkę w tarczy małej orzeł polski, obok lwów czeskich na chorągwi i luksemburskiego na okryciu... do korony Kamirzowej nie rocił praw żadnych. lśsko mu ustąpiono, a kilkadziesiąt tysięcy kop groszy dał Kamirz odczepnego.

Przyjań Jana nie była dlań za drogo okupionś, bo mu za tarczę przeciw Krzyżakom służyła.

Szło teraz o bliższe jeszcze połsczenie się z Luksemburczykami, których rycerskiego ducha król po części oceniał.

Piękna Margareta, córka Jana, siostra Karola, owdowiała była po Bawarczyku. Uczyniono Kamirzowi nadzieję małżeń-

stwa; chwycił się jej z tym większym zapalem, że dwudziestosiedmioletnia wdowa słynęła z wdzięków, z rozumu, a mogła mu dać do tego upragnionego potomka, którego Kamirz tak pożądał; synaczek jej niedawno był zmarł wkrótce po mężu.

Margareta którś do Pragi sprowadzić miano, była mu przyrzeczonś. Starali się smutnś wdowę do małżeństwa tego nakłonić ojciec i brat, Chodziły wieci, że była mu przeciwnś, że lękała się kraju, który, na rozterki i napaci Tatarów wystawiony, nie słynł ani bogactwy, ani przepychem, do jakiego ona była nawyklś.

Kamirz oczekiwał wiadomości co godzina; nie chciał się z zamku oddalać nawet, aby gońca z Pragi nie stracić, nie dać mu czekać, nie zwlec ani chwili. Wyglśdano go niespokojnie.

Tymczasem ufny w moc ojcowskiej poręki, Kamirz czynił wszelkie przygotowania do wesela. Nie mówiono o nim jeszcze głośno, aby w razie zwłoki nie mieć wstydu, lecz niepokój był na Wawelu, bo się tu wszystko do wielkiej i wystawnej gotowało podróży.

Król, z łowów powróciwszy, natychmiast do siebie podskarbiego kazał przywołać.

Znoszono do komnaty pańskiej kosztownoci, z których miał wybór uczynić: złoczone puchary, srebrne misy, dzbany, rogi kute złotem, pasy perłami szyte, naszyjniki, naręczniki, kolce, piercienie z oczyma błyszczącymi leżały porozrzucane po stołach. Kilka. opon szkarłatnych, perłami bogato szytych, rozpostarto w pół na ławie, pół na ziemi.

W porodku tych bogactw, na które stary Zyndram, podskarbi, patrzył z żalociś jakś, czujśc, że one z Pragi pewnie nie powrócś, Kamirz stał roztargniony nasłuchujśc i za najmniejszym szelestem ku oknom podchodźc. Nie przybywał ów poseł z Pragi.

Chociaż o zamierzonym małżeństwie króla nie wolno było głośić zawczasu, wiedzieli o nim wszyscy.

Zdania dworu były podzielone, jedni dla króla, chociaż wdowca, wdowy Sobie nie życzyli, drudzy przewidywali, że u chciwego na grosz Jana drogo je przyjdzie okupić.

Kamirz pragnął połączyć się z tym domem, a Margaretę odmalowano tak, że zawczasu w niej był rozmiłowany. Sędzisz

z ojca i brata, z tego dworu, który stał ogładz i obyczajami na równi z francuskim, Kamirz widział to w Margarecie, czego mu wspanie brakło w Aldonie. Marzył o niej jako o niewieście, która go potrafi zrozumieć, podzielić myli jego i osłodzić mu życie.

Każda chwila przedłużająca niepewność i oczekiwanie wiekiem mu się wydawała.

Zyndram stał patrząc to na pana, to na kosztowności przed nim rozrzucone, czekał słowa, rozkazów.

Stary mój przemówił wreszcie król, jakby ocknąwszy się z zadumy wszystko to piękne jest... a wszystkiego tego dla córki Jana za mało... Rad bym jej pod nogi rzucić co najpiękniejsze i najdroższe na wiecie. Warta jest tego. Wybierz co najwspanialsze, nagromad jak najwięcej. Była w Pradze? zapytał nagle.

Stary Zyndram podniósł powoli swoją głowę zdziwiony nagłym pytaniem. Chwila upłynęła, nim się zebrał na odpowiedź.

Dawno już, miłociwy panie.

Takim bym ja, z pomocą Bożą, chciał mój Kraków uczynić odezwał się król ręce składając. Wspaniałe, przepyszne, wielkie, bogate i silnie obrotowe miasto... Tam się nam uczyć rzemiosła, budować i ład zaprowadzać.

Zyndram nierychło odpowiedział.

A jednak od tych, co tu przybywają, miłociwy panie, skargi słyszemy mnogie. Ta wspaniałość, mury, królewskie wyprawy po wiecie, dwór, rycerstwo ogromnie kosztują. Żydzisz się do nas wynosząc, tak ich tam podatkami okładając niemiłosiernie, uciekając mieszczanie, tyle z każdym powrotem do Pragi król Jan od nich wyciąga...

Kamirz potrząsnął głową.

Kiedyż się nie skarżysz ludzie? odparł. Naród czeski może się swym monarchą pochlubić! za wzór go rycerzom stawić.

Milczał Zyndram gładząc brodę; przeczytać nie miał.

Ludzie powiadają dodał po cichu widząc króla zamylonego że monarcha ten zapewne niedługo już panować będzie, musi się synem wyręczyć.

Chory jest na oczy rzekł Kamirz. Lekarz Arab, niecny człek, już go prawego pozbawił, lecz jedził do francuskich

doktorów, wraca właśnie z Montpellier i Awinionu, Bóg da...

Król zadumany nie dokończył i po małym przestanku rzekł westchnwszy:

Margrabia morawski, Karol, godzien ojca! Jego i żonę jego, Biankę, Czesi kochajš...

Ma on i nieprzyjaciół szepnął Zyndram, który się zdawał dobrze uwiadomionym.

Król popatrzył nań i zamilkł.

W przyległej sali, w której zwykł był przyjmować, siedzący dworzanie, marszałek i służba poruszyła się, szeptano, Kamirz baczno ucha nastawił.

Wtem z lekka podniosła się u drzwi opona i cichym głosem dworzanin oznajmił przybycie dostojnych gości.

Król zostawując Zyndrama przy rozłożonych klejnotach żywo wszedł do sali.

W porodku jej stali oczekujący nań dwaj duchowni z krzyżami na piersiach, w sukniach biskupich. Wesołš twarzą witał ich król.

Pierwszy z nich był słusznego wzrostu, okazałej postawy, rozumnego oblicza, któremu tylko odbierały nieco zmrużone, zmęczone i chore oczy wyrazu. Wejrzenie spod powiek wychodziło natężone, niepewne, z wysiłkiem; rękš zasłaniał się od wiatła. Pomimo tego cierpienia twarz odznaczała się pogodą i majestatem; rysy jej pełne były energii męskiej i razem łagodności. Był to Jarosław Bogoria, arcybiskup gnieźnieński, ojciec duchowny i umiłowany królowi kapłan; najbliższy jego serca powiernik myśli i doradca.

Stojący za nim skromnej, niepozornej postaci, chłodnego wyrazu twarzy, z rękami zsuniętymi w szerokie sukni rękawy, młsz niemłody już wiekiem nieco pochylony, był Jan Grot, biskup krakowski.

Nawiedziny te Kamirz przyjmował z widoczną radością, jakby ich pożądał i czekał.

Dwór otaczający usunął się natychmiast, zostali sami; arcybiskup usiadł przy królu, Jan Grot przy nim milczący.

Sš wieci jakię? zapytał Bogoria ze współczuciem zwracając się do króla.

Spodziewam się! czekam! pożdam, ale dotąd nic z Pragi poczęł Kamirz wzdychając. Obawę wielką mam dodał ciszej nieco. Komuż na nieprzyjaciółach zbywa? Mnie i mój kraj odmalowano pono księżnie Margarecie tak, by ją zrazić i nastraszyć... Na dworze Jana, przy margrabi Karolu, ludzie sš różni i zamiary ich rozmaite. Sš tacy, którzy przeszkodzić by radzi.

Lecz miłość wasza przerwał arcybiskup masz za sobą ojca, masz brata. Ci najbliżsi sš, od nich dzi wdowa zależy. Małżeństwo to, da Bóg, przyjąć musi do skutku... Podniósł ręce do góry. Da Bóg! powtórzył.

Najżywiej go pragnę poczęł król lecz im dłużej się przeciśga niepewność, tym więcej się trwożę.

Modlimy się rzekł biskup krakowski.

Wprawdzie dodał Kamirz zniżając głos i spuszczaając oczy zapewniłem siostrzeńcowi Ludwikowi następstwo po łunie... lecz jeszcze się nie wyrzekł nadziei, że mnie Bóg męskim potomkiem obdarzy.

Biskupi milczeli, król posmutniał.

Wiem, że w Budzie nieradzi będś ożenieniu mojemu i siostra Elżbieta żal uczuje do mnie, nie mogą się jednak pogodzić z tś myśl, abym miał być ostatnim.

Arcybiskup przeżegnał mówiącego w cichoci i szepnął:

Ja mam dobre przecucie, nie odmówiś wam. Da się córka króla Jana nakłonić.. nie do pogardzenia jest królestwo, które Bóg coraz nowym przyrostem obdarza... zdobycie Ru, odzyskanie kiedy Pomorze. Mazowsze też musi się kiedy połączyć...

Mylę dodał powoli Jan Grot że i owe skarby na Rusi zdobyte, o których po wiecie szeroko prawiś, królowi Janowi ochoty dodadźś do swatania córki, bo żśdny jest grosza... a rozsypuje go niebacznie...

Sławę zdobywa odparł Kamirz a ta więcej warta niż złoto.

Rycerz prawy rzekł arcybiskup ale też jako rycerz niepohamowany i nieunoszony w namiętnociach. Szkoda, że piękne swe przymioty kazi tym zuchwalstwem...

Król zarumienił się nieco.

Wiele przebaczyć trzeba tym, którzy brzemiona ciężkie nosźś na barkach rzekł zwrócony do Bogorii.

Jarosław odparł łagodnie:

Wiele przebaczyć trzeba, ale wszystkiego nie można....

Rozmowa przerwana została... wszedł kanclerz, niesiono do wiadomości króla przygotowane zapisy dla kociołów, zamiany wiosek, nadania.

Kamirz słuchając i potakując oczy miał ciśgłe zwrócone ku podwórcom, uszy wytężone na szmer, jaki z nich tu dochodził.

Po wyjściu biskupów nadeszli inni urzędnicy, odprawieni łaskawie, ale obojętnie; myśl był pan gdzie indziej.

Kochan Rawa znajścy go dobrze, czytając w oczach tę niecierpliwoć i zawsze chciwy przysługi, stał w przedsieniu, aby spodziewanego z Pragi gocia pierwszy pochwycił i panu przyniósł, jak się

spodziewał, wesołš nowinę.

Lecz wieczór nadchodził, a pošta požšdanego nie było. Coraz frasośliwszym stawał się Kamirz...

Z końcem dnia uchodziła nadzieja, aby wiec nadejć mogła rychło. Niechętnie naówczas podróżowano nocami, drogi były niepewne, rozboje częste.

Kochan poszedł do pana, któremu ochmistrzyni włanie przywiodła była córkę sierotkę. Król ze smutkiem w milczeniu ciskał szczebioczšce dziecię, a na widok nadchodžšcego powiernika żywo jš odprawił.

Gdy sam na sam znajdowali się z sobš, ulubieniec, który przy ludziach głębokie, królowi należne okazywał uszanowanie, przybierał dawny poufały ton...

Kamirz takim go mieć lubił.

Kochan zawołał wybuchajšc co ty mówisz na te zwłoki? Ja przeczucie mam złe!

Ja najlepsze odparł wesoło ulubieniec. Lecz gdyby mnie ono omyliło, miłociwy panie, czyż tak trudno o księżniczki dla młodego i pięknego króla?

Ja chcę tej a nie innej żywo poczšł król, a spostrzegłszy, że się Kochan umiechnšł, dodał:

Powiesz mi, zem jej nie widział, lecz odmalowali jš na dworze Karola ci, co jš znajš od dzieciństwa... jakbym miał przed oczyma jš i jej piękność! Jest piękniejszš od innych i ma w sobie ten charakter szlachetny, który ja w jej rodzinie cenię. Co ze krwi bohaterskiej Jana. Innej nie chcę nad Margaretę!

Kochan słuchajšc ramionami poruszył.

Już dla tego samego, žecie mogli, miłociwy panie, tak jš umiłować nie widzšc, powinna być waszš.

Musiła przybyć do Pragi! dodał król. Margrabia Karol przyrzekł mi, iż dołoży starań, by jš przekonać, że za mšż ic powinna.

Do królewskiej korony nie tak bardzo namawiać potrzeba odparł Kochan szydersko. Podroży się piękna wdowa, ale ręki nie odmówi.

Dałby to Bóg rzekł król.

I zwrócił się zbliżajšc szybko do dworzanina swego.

Kochan rzekł wszak prawda, wstydu sobie uczynić nie damy w Pradze! Potrzeba wystšpić tak wietnie, jak na króla polskiego przystało, ty mi pilnuj! Ja głowę tracę z tej niecierpliwej miłoci dla kobiety, której nie widziałem w życiu. Najlepsze konie, najwspanialsze opony, najkosztowniejsze suknie, zbroje...

Cały skarbiec trzeba zabrać z sobą, bo tam łakomych nań ręk wyciśnie się siła odparł Kochan.

Skarbiec? Niech idzie cały! zawołał Kamirz potrafimy go napełnić, a w Pradze musimy ich olnić. Lud mi wybierz dorodny! dodał ja na ciebie wszystko zdaję. Nie żałuj nic... odpowiesz mi.

Uczynię wedle rozkazu rzekł Kochan ale czas, aby miłość wasza kazał dać wieczerzę i zapomniał przy stole o trosce... Mnie już z wieczernika dochodzi zapach mięsiwa...

Tym sposobem, jak zwykle, Kochan usiłował króla rozerwać. Wywiódł go do jadalni, stanął za nim ze dzbanem, skinął na Szubkę, dworskiego błazna, aby pana zabawiał, zagadał sam, pobudził drugich i nieco chmury z czoła królewskiego rozpędził.

Za każdym jednak głoniejszym w dziedzińcu u bram wołaniem Kamirz odwracał się, nasłuchiwał, posyłał. nił jeszcze o pole z Pragi, którego się nie doczekał dnia tego.

Kochan od brzasku na gociniec ku Pradze na najszybszym koniu wyprawił młodego Przedbora Zadorę, przyjaciela swego, w nadziei, że ten może spotka gońca, dowie się co od niego i z dalszą wieciś go wyprzedzi.

Stało się włanie, jak żśdał. Przedbór, który do króla był wielce przywiśzanym, jak wszyscy, co go otaczali, ani siebie, ani konia nie szczędził, i w istocie o parę mil od Krakowa spotkał Mikulasa z Lipy, którego król Jan wyprawił, aby przybycie Margarety i jej zezwolenie na małżeństwo zwiastował Kamirzowi.

Margrabia Karol dodać kazał poufnie, aby król polski odebrawszy wiadomość popieszał na wesele, dopóki by wahajśca się księżna nie zmieniła postanowienia pod wpływem osób, które się o to starały.

Do popiechu zachęcać króla nie było pewnie potrzeba.

Przedbór chwyciwszy języka, Czechom dajśc spoczywać i do wyjazdu się sposobić, sam konia poparł tak, że ostatnim tchem jego dobiegł do Wawelu.

Dwa słowa zamienił z Kochanem i ulubieniec pański biegł z twarż rozweselonś do komnaty, w której król wielkimi, niespokojnymi przechadzał się krokami.

Umiech jego i oczy błyszczśce dały odgadnśc dobrś nowinę.

Czechy przybywajś za godzinę! zawołał w progu Kochan niosś zaproszenie na wesele.

Kamirz rzucił mu się na szyję, Kochan go całował po rękach.

Skśdże wiesz?

Posłałem Przedbora...

Złoty łańcuch ze stołu chwyciwszy król zawiesił na szyi Kochanowi.

Zadørze nagrodę, jakš chce! zawołał. Rozkazy wydawać do podróży, na jutro... Rad bym dzi...

Kamirz poruszony wielce ręce łamał, miał się i sam miarkować się usiłował, gdyż sobie nawet miesznym się i zbyt młodym wydawał. Wielka radoć nie dawała mu spokoju. Żywa wyobrania malowała piękńš Margaretę, życie z niš, kolebkę syna, przyszłość jasńš i wielkš. Przymierze z Janem osłaniać miało Polskę, na Rusi jeszcze czekały zdobycze, Krzyżacy musieli być pokonani.

Zdało mu się, iż wszystko to od ożenienia zawisło, że z nim miała się rozpocząć w życiu nowa era: przebaczenia, pokoju, domowego szczęcia, błogosławieństwa Bożego.

Około południa Czesi przedziawszy się w miecie w gospodzie, jak na posłańców króla przystało, zbrojno wjechali na krakowski zamek. Tu już dwór cały, okazały, liczny czekał na przyjęcie, król w posłuchalnej sali z kasztelanem i wojewodš krakowskim, w mnogich dostojników otoczeniu, gotował się na powitanie Mikulasa z Lipy.

Był on synowcem wielkiego podkomorzego króla Jana i proboszcza wyszehradzkiego, Jędrzycha. Z postawy i ubioru łatwo w nim poznać było można rycerza, co przy swym królu długo wędrował po wiecie i umiał z tego korzystać. Włanie miał to Mikulas, czego na dworze Kamirzowym wielu brakło, ogładę, pańskoć, wytworne i miłe obejcie się, zachodniš cywilizację zmiękczonego człowieka.

Każdy ruch jego był obrachowany i wdzięczny. Nie brakło mu siły, bo cóż był wart wówczas rycerz bez niej, gdy coraz bardziej zaczynano się okuwać żelazem i okrywać nim od stóp do głowy, gdy tak odzianemu potrzeba było zwijać się z ręcznie na równie opancerzonym do turniejów koniu.

Znaczna część polskiego dworu z pewnš zazdrociš spoglšdała na tego wyelegantowanego posła, którego strój, uzbrojenie, koń, ryszunek były nowe, kształtów niezwykłych i form wytwornych.

Poselstwo król przyjšł uprzejmie. Stoły gotowe były na ugoszczenie. Zasiadł Kamirz pierwszy raz od dawna z myślš wesołš, z mowš swobodnš dopytując o króla, o margrabiego, o przyszłš narzeczonš.

Mikulas z Lipy nadto był zręcznym dworakiem, aby całš prawdę miał wyznać, odpowiadał więc okólnikami i starał się wszystko w wietnych barwach malować.

Ucztowano długo; Kamirz wstał wreszcie, a Kochan dodany posłowi za towarzysza zaprowadził go do jego komnat dla spoczynku.

Tu dopiero Mikulasowi rozwišzały się usta. Kochan był mu poufale znanym z Pragi.

Nie smućcie pana waszego rzekł poseł cicho. Wieci takim przywiózł, jakie mi dano, ale nie wszystko u nas dobrze się dzieje. Król Jan olepl już i na drugie oko, tak go dobrze doktory francuskie kurowały. Chodzi i myli o pokucie za grzechy. Margrabia ma wrogów, choć Mikulasa z Podstajnu zmógł, a królowna Margareta, choć słowo dała, płacze, i trzeba je pieszyć wzišć, aby nie odebrała. Więc w drogę! ale królowi o złym nie mówcie. Ujrzy je prędko oczyma własnymi... Kochan się zachmurzył.

Na miłość Boga, o tym nikomu ani wy, ni ludzie Wasi nie powiadajcie na dworze. Królowi staremu

wzroku nie przywrócimy! ale gdy Margareta wasza zobaczy narzeczonego, otrze łzy pewnie i z dobrej woli rękę mu poda. Mikulas skłonił głowę milczący.

Nazajutrz ogromny orszak kilkuset jezdnych, wozy kryte, konie podwodne, czelad mnoga wycisnęła z zamku na Wawelu. Wesele rozjaniało twarze; spodziewano się dobrych, pięknych dni majowych nad Wełtawš.

Król jechał otoczony panami, odmłodzony, szczęśliwy i na progu kocioła wziwszy biskupie błogosławieństwo podniósł oczy miało ku niebu.

W mieście czekali nań rajcy, wójt, ławnicy, lud tłumnie zebrany. Żegnano go i błogosławiono, by żyw a zdrow z królowš powracał. miały się oczy i usta Kamirzowi i mijajšc rękš pozdrawiał. Wtem pod cianš starego domu zatrzymało się jego oko, twarz zbladła, usta zatrzęsły. Ukryty tak, jakby nie chciał być spostrzeżonym, stał w kšcie mężczyzna blady, czarnego włosa, oczu dzikich, ust zapadłych. Miał na sobie rycerskš zbroję, a w rękę toporek, na którym się podpierał. Ujrzawszy króla przycisnął się do ciany, twarz osłonił, lecz Kamirz spostrzegł go i jechał jak rażony pociskiem. Nie widział już nic. Przed oczyma jego poszarpane ćwierci ciała ludzkich latały krwawe.

Szatan, tu przyniósł Amadeja! mruknł Kochan mijajšc.

wietnš już i wspaniałš była owa złota Praga nad Wełtawš za króla Jana Luksemburczyka. Niewiele miast w Europie mogło się z niš równać.

Natura dała jej położenie urocze, malownicze, jakby stworzone dla królewskiego grodu, a pokoleń kilka pracowało nad upiększeniem i wzrostem zamków, które panowały nad miastem, i murów, co je otaczały i zdobiły.

Z dala już mury te najeżone wspaniałymi wieżami, wśród których wielka wieżyca w. Szczepana i wyniosła przy w. Franciszku górowały, dachy i dzwonnice licznych kociołów, ogromne, warowne ciany, dzielšce stare miasto od nowego pod grodem, dawały wyobrażenie o potędze stolicy, która wkrótce ulubionš siedzibš cesarza Niemiec być miała.

Stare miasto, civitas antiqua, odznaczało się szczególnie wielkš ilościš pięknych kociołów i mnogociš murowanych wspaniałych domostw. Zakony w. Franciszka, Dominika, benedyktyni, wištynie w. Jacka, w. Krzyża, w. Mikołaja zdobiły tę część miasta, która była ziarnem, co puciło latorole dokoła.

Dumny swš starożytnociš gród-matka murami się osobno opasał i ogrodził od nowego, które teraz już z pierwotnš osadš

walczyło o lepsze. Szeć wspaniałych po większej części bram wiodło do niego. Tu był piękny dom biskupi niedawno wytwornie przyozdobiony, w którego malowaniami okrytym, rzebami strojnym wieczerniku pasterz mógł królów przyjmować.

Stary pański gród z najdawniejszš w. Wita wištyniš i klasztorem przy niej, z pałacami, z wieżami swymi, rajskim dworcem, po którym wspomnienie i imię zostało, z dworami burgrabiego i innych

urzędników królewskich, dumnie ponad miastem się wznosił.

Dokoła szeroko już rozlegały się przedmiecia na Porzeczu, Podskale, Zderaz, pod Wyszehradem, Podole, niemal aż do Zbrasława się rozchodząc.

Żydzi, z których król Jan ciśnieł tak wielkie dochody, mieli już nie tylko swój cześć w starym mieście, ale i zahradę na Porzeczu.

Na Wyszehradzie, którego dawny królewski pałac darowany był dziekanowi, wznosił się dwignięty z ruin kociół w. Piotra. Miasto, jedno z pierwszych naówczas, już nawet około porządku i czystości swych ulic i targów się krztało. Piękna była, domami bogatych mieszczan otoczona Długa ulica, a Sukiennice praskie może do budowy później urządzonych krakowskich posłużyły. Jak w polskich miastach rzadkie jeszcze naówczas były mury, które by im powierzchowność wspaniałą nadać mogły, tak tu już niemal cały gród stał z kamieni i cegły.

Były one nie tylko ozdobą, ale rękoma bezpieczeństwa, bo osłonięta nimi Praga w ówczesnym stanie sztuki wojennej i oblężniczej za niezdobytą uchodzić mogła. Poza tymi grubymi cianami, których wysokie wieże dzielnie bronić pozwalały, mogły się bezsprzecznie gromadzić bogactwa, jakie przemysł i handel sprowadzał.

Rycerskiego ducha królowi Janowi stolica taka przystała. Należał on do najmężniejszych, chciwych panowania, władzy, sławy i blasku monarchów współczesnych, ciśnie potrzebował nowych wypraw, zdobyczy, gorączkowego zajęcia, namiętnie ciganego celu.

Praga była mu za ciasną jeszcze, nazbyt odległą, ale z miłości ojcowską zdołał ją, rozszerzył i zazdrośnym był o panowanie nad nią. Gdy, zmuszony podzielić się władzą, zwierzył rządy Czech synowi Karolowi, margrabiemu morawskiemu, który wraz z małżonką swoją Bianką wkrótce pozyskał wielką miłość narodu, Jan niespokojny o współzawodnika we własnym synu od rządów go wkrótce oddalił.

Lecz wnet znowu miał być zmuszonym do wypuszczenia z rąk tych wódzów, które tak zazdrośnie trzymał w rycerskiej dłoni. Rycerzowi nie szczęciło się. W czasie drugiego swego wesela z Beatrycą, ranny silnie w turnieju, wkrótce potem cierpieć zaczął na oczy. Lekarz arabski sprowadzony doń pozbawił go prawego oka. Vox populi to nieszczęście przypisywał karze Bożej za mnogie wiewtokradztwa i zbytki.

Wkrótce i lewe oko cierpieć zaczęło. Nie pomogła podróż do lekarzy w Montpellier: król Jan właśnie teraz oślepnął zupełnie. Nie przeszkadzało mu to prowadzonemu przez kompanów turnieju odprawianiu i zabawianiu się jak dawniej rycerskimi sprawami.

Przymierze z królem Kamirzem, które się teraz małżeństwem cielej jeszcze skojarzyć miało, już od lat sześciu, od zjazdu w Wyszehradzie węgierskim trwało prawie nienaruszone. Naówczas to młody król po raz pono pierwszy odwiedzał Pragę, bawił w niej dni dziesięć, przyjmowany wspaniale, rozmiłował się w obyczajach zachodnich, w oglądzie rycerskiego dworu, we wszystkich tych zdobyczach cywilizacji Zachodu, które w otoczeniu króla Jana go olniewały.

Wówczas też może Widząc kwitnące miasta czeskie, wspaniałe grody, porządek i surową karność panującą tu, powziął szczęśliwą myśl zagospodarowania w podobny sposób własnego kraju.

Dwory węgierski i czeski były mu pewnie pierwszym wzorem do urzędzenia polskiego. Bystry umysł jego widział, co stąd wziąć mógł, a co odrzucić, co zastosować się dawało do Polski, a co jej nie przystało.

Lecz, jakkolwiek troiste przymierze między Węgrami, Czechami a Polską pozornie istniało nienaruszone, nie było już ono tak ciętym jak w pierwszej chwili. Połączenie koron polskiej z węgierską, które już było osnute i ułożone staraniem siostry Kamirzowej, Elżbiety, nie mogło podobać się Janowi czeskiemu. Tworzyło ono siłę, która dlań niewygodną była.

Dlatego król Jan radził Kamirzowi, za wzenie rozpaczającemu o płci męskiej potomku, ożenienie, a gdy własna córka jego Margareta owdowiała, starał się już wyswatać polskiemu królowi.

Od kilku już dni księżna Margareta powróciła cięgnięta przez ojca do Pragi. Przybyła, jakby na okazanie wstrętu swego do nowego małżeństwa, w szatach żałobnych po mężu i po synu swym, którego niedawno straciła. Ojciec, który nie widział już nic, o żałobie się dowiedziawszy zrzucić ją kazał.

On i margrabia Karol otaczali Margaretę najtroskliwszymi staraniami, piecili usiłując skłonić, ażeby Kamirzowi lubowała, lecz wieci, jakie w Bawarii będąc jeszcze miała o Polsce Margareta, wcale już do tego zwiżku zachęcać nie mogły. Malowano jej kraj jako dziki i pustynny, lasami zarosły, zimny i smutny, nędzny i ubogi, na cięgłe wystawiony wojny i napady. Króla jako półpoganina, który żon brał tyle, ile chciał, i życie prowadził rozwiżłe.

Wcale inaczej mówił o Kamirzu król Jan i margrabia morawski. Chwalili go jako najszlachetniejszego serca, umysłu bystrego, najlepszymi chęciami ożywionego człowieka, pana wielkiego królestwa i ogromnych skarbów na Rusi zdobytych. Samś zresztś osobę młodego pana, który rycersko i pięknie się przedstawiał, a w gonitwach i turniejach nikomu nie ustępował, król Jan wynosił i sławił.

Na próżno Margareta ojca ciskając zapewniała, że za mż: ic nie chce. Despotyczny Jan zśdał od córki powięcenia, dla

interesu własnego i chciał już widzieć koniecznie na królewskim tronie. Nie dawano jej prawie spoczś, odetchnś, rozmylić się, nalegając o słowo.

Jednego z tych dni, które poprzedziły wysłanie Mikulasa z Lipy do Krakowa, po długiej przy stole wieczerzy, rozmowie z ojcem i bratem, Margareta znużona wyszła nareszcie do izb dla siebie przeznaczonych.

Doć liczny dwór niewieci, po większej części z Niemek złożony, już otaczał. Pomiedzy tymi paniami i pannami, rozdzielonymi na dwa obozy, jedne potakiwały wdowie, drugie idśc za rozkazaniem króla Jana starały się już do małżeństwa nakłonić.

Stara niegdy piastunka Margarety, pół-Włoszka, pół-Niemka, Agnes, przez przywiśzanie do wychowanki stawała w jej obronie. Obawa ciśgnięcia na siebie gniewu ojca może by była jś powstrzymywała od zbytnej gorliwoci, gdyby za przybyciem do Pragi nie znalazł się kto, co znajśc jej wpływ, natychmiast starał się z niego korzystać.

Był nim, od dawna w Pradze osiadły, znaczny handel wiodšcy z Węgrami, majšcy na dworze tamtym stosunki, Hinko Pelarz. Był to człowiek nieodgadnięty, milczšcy, umiejšcy się wcisnąć wszędzie, znikajšcy często na długo, odbywajšcy podróże, liczne majšcy zwišzki, dobrze widziany od duchowieństwa i dworu, podejrzewany jednak przez swych współbraci o jakie polityczne konszachty.

Nikt nad Pelarza niżej się nie kłaniał królowi Janowi, nie służył gorliwiej margrabiemu Karolowi, nie przykładał się hojniej do pożyczek, jakich król od mieszczan wymagał; a pomimo to po cichu oskarżano go o cale niewiernopoddańcze intrygi.

Hinko powrócił był z Węgier niedawno i zdał się czatować pilno na przybycie Margarety. Nazajutrz zaraz popieszył do ogrodu powitać dawnš swš dobrš znajomš i przyjaciółkę Agnes. Bogaty Pelarz był zawsze u dworu gościem poźsdanym. Agnes, jak wszystkie podżyłe niewiasty, potrzebowała mówić wiele, nie mogšc już nic robić prawie. Narzekanie było dla niej pociechš.

Narzekła na losy swoje, swej pani, całego rodu, na nieszczęśliwe czasy i na wszystkie klęski, jakie na ród ludzki spadały.

Lat trzy upłynęło, jak szarańcza nawiedziła Czechy; Agnes i o niej jeszcze dotšd zapomnieć nie mogła.

Pelarz, który mówił niezbyt wiele, słucał za to przykłaicznie. Zasedli we dwoje w izdebce, gdy Margareta modliła się w jednej z kaplic w kocie w. Wita.

Agnes opowiadała najprzód, jak mšz jej pani nagle i nieszczęśliwie życie zakończył, potem, jaki był żal po nim, jak zachorzał jedyny synaczek, na którym spoczywały wszystkie pani jej nadzieje, i jak ten znowu nagłš mierciš młodš Margaretę do rozpaczy niemal przyprowadził.

Pelarz słucał tego wszystkiego z wielkim zajęciem i współczuciem. Dodał, iż na wiecie teraz cale lekarzy nie było, co by człowiekowi radzić mogli, czego dowodem był nieszczęśliwy król Jan przez nich olepiony.

Płakała i łzy ocierała Agnes.

Zgadało się o nowym małżeństwie, tak wstrętliwym młodej wdowie. Pelarz wysłuchał pierwszych zwierzeń i dopiero teraz przerwał uparte milczenie. Półgłosem, cichutko, jako przyjaciel rodu królewskiego, odradzał najmocniej to połšczenie. Agnes powinna była przez miłość dla swojej pani zapobiec mu, aby Margarety nie uczynić najnieszczęśliwszš.

Bywam często na Węgrzech rzekł tajemniczo tam i w Krakowie, gdzie przyjaciół mam, nasłuchałem się dosyć o Polsce, przeszłym i teraniejszym jej królu. Księżna przywykła do innych obyczajów,

wyżyć by tam nie mogła. Kraj dziki, prawie bez dróg, rozbojów pełen, lasami zarosły. Niszczł go raz wraz Tatarzy, Litwa, Krzyżacy, Ru, sšsiedni księżęta. Miasta sš drewniane, Wsie jak szałas, lud skórami ledwie okryty, głody częste, niedostatek wielki.

Agnes słuchała ręce załamujšc, żegnajšc się i wzywajšc na ratunek patronów świętych.

Pelarz powoli od słowa do słowa poczęł z niechęciš mówić o młodym królu Kamirzu. Wiedział on pewnš historię węgierskš...

Stara ochmistrzyni zakłęta go, aby jš opowiedział. Naówczas Pelarz, dawszy się uprosić i jakby zmuszony, z pięknymi dodatkami własnego pomysłu wypiewał całš sprawš Amadejów czernišc królowš i jej brata.

Według niego miał to być człowiek dziki, namiętnoci niepohamowanych, rozwišzłoci najstraszliwszej. Zresztš, jak to on powiadał, obyczaj kraju pogański jeszcze upoważniał do zwišzków niezliczonych, które się jak małżeństwa uważały. Margareta więc miałyby być nie-żonš, ale jednš z żon polskiego króla.

Opowiadanie to napełniło staruszkę zgrozš a zarazem wdzięcznościš dla człowieka, co jej tak ważne odkrywał tajemnice.

Tegoż dnia popieszyła je zwierzyć swej pani, wymieniła ródło. Margareta zażšdała usłyszeć to z ust samego Pelarza. Wezwano go potajemnie. Wahał się, wypraszał, lecz uległ, a gdy usta mu się rozwišzały, łatwo było biednš wdowę przejšc trwoğš i wstręt, jaki miała do nie znanego Kamirza, stokroć powiększyć . jeszcze.

Ze łzami wypraszała się księżna ojcu i niecierpliwemu bratu swojemu, którzy uczuli łatwo, iż wpływ jaki złowrogi uporowi jej dodał siły.

Kilka dni tak na łzach, na probach, na sporach i na naleganiu upłynęło.

Agnes co wieczora już osłabłš i złamanš wolš ojca i brata Margarete na nowo pobudzała do upor. Pelarz nawiedzał jš i oliwy do ognia podlewał.

Lecz walka z ludmi tak silnej woli i goršcego temperamentu, jakimi byli król Jan i syn jego Karol, dla słabej, znękaney kobiety za ciężkš się stała, aby z niej zwycięsko wyjć mogła.

Król Jan nalegał gniewnie, groził, przyszły los wdowy zależał od niego. Margrabia Karol wszystkie plotki o Kamirzu wymiewał. Żona jego Biana niewieciami argumentami starała się Margarete przekonać. Nie dano jej odetchnšc, zmuszono do dania słowa. Księżna w ostatku przyrzekła być ojcu posłusznš.

Natychmiast wyprawiono poselstwo do Krakowa, a król kazał czynić przygotowania do wesela. Miało ono być najwspanialszym, najwystawniejszym i natychmiast burgrabia Hynek młodszy z Dube, wezwany do króla, otrzymał polecenie, aby w miecie przygotowania czyniono.

Czas wiosenny dobrze się nadawał do uroczystości, która była zarazem dworską, ludową i ze współudziałem całego duchowieństwa miała się odbywać.

Gdy Margareta we łzach się rozpląwała, na grodzie i w mieście już obmyślano wspaniałoci, występy, z jakimi króla polskiego miano przyjmować, witać, zabawiać i obchodzić wesele.

Zapowiadano wielki turniej, w rynku starego miasta stoły dla ludu, na zamku ucztę dla Polaków, piewy, skoki i zabawy.

Lecz tego dnia, gdy na niej wymożono słowo już się odwołać nie dajšce, biedna Margareta słabnąć zaczęła.

Ojciec olepły nie mógł dostrzec na pięknej tej twarzy ani ładów łez, ani wewnętrznego ucisku; brat Karol brał to po męsku i wyrokował, że smutki i postrachy przejdš za przybyciem Kamirza.

Chwiejšc się, osłabła, pierwszego dnia potem wyszła piękna Margareta milczšc dla obiadowania z rodzinš. Ojciec na próżno chciał jš do rozmowy nakłonić, odpowiadała półsłówkami Łzy chwilami wytryskały jej z oczu. Czwała się ofiarš.

Wreszcie usunšwszy się do swych komnat księżna pozostała w nich do nocy. Agnes kazała się jej położyć, kobiety łoże otoczyły. Jedne z nich grać i piewać chciały dla rozrywki, Margareta nakazała milczenie.

Nazajutrz nie wyszła do ojca, przechadzała się od okna do okna, z trwogš w nie patrząc i drząc na myl, że straszny ów narzeczony lada chwila przybyć może.

Nie dał się wiadomości o chorobie złamać król Jan, nie chciał zważać na niš. Dopytywał o przygotowania weselne. Margrabia Karol lekceważył też to kobięce dziwactwo.

Zdaniem ich obu ukazanie się pięknego, młodego, szlachetnego Kamirza wszystkie przeciwko niemu powzięte uprzedzenia rozproszyć miało.

Zbliżył się wreszcie dzień przez jednych z takš trwogš, przez innych z takš oczekiwany niecierpliwociš.

Margareta na usilne proby Bianki i brata podniosła się z łoża. Męczeństwo zdawało się już nieuniknione, postanowiła je znieć z rezygnacjiš.

Sam na sam ze starš Agnes, która swymi żalami nad nieszczęśliwym losem zwiększała jeszcze trwoę. Margareta zapowiadała już rychłš mierć swojš.

Nie płacz, stara mówiła do niej ja długo się męczyć nie będę. Ja stšd nie dam się wywieć w ich straszne lasy i pustynie, na poniewierkę, na niewolę... Ja tu umrę.

Agnes za kolana jš ciskała zachodząc się z płaczów i jęków.

Nie było ratunku. Król nie dawał nawet mówić sobie o zwłoce wesela dla choroby. Karol

niecierpliwiał się tylko dziwactwem siostry.

Byłoli jakie uczucie, wspomnienie, nadzieja, które ten opór i wstręt zwiększały? O tym nie wiedział nikt oprócz starej ochmistrzyni.

Piękne lice księżnej bladło i więdło.

Tym lepiej odpowiadała, gdy się użalano nad niš. Znajdzie mnie może brzydkš i nie zechce.

Jednego wieczora wreszcie goniec wysłany naprzód przez Mikulasa z Lipy wpadł na zamek oznajmiajšc królowi Janowi przyszłego zięcia przybycie.

Na uroczyste przyjęcie wszystko już gotowe było.

Olepty król żałował, że sam naprzeciw Kamirza choć do miasta wyjechać nie mógł. Miał go w tym zastšpić syn, margrabia Karol, któremu towarzyszył wielki podkomorzy Jędrzych z Lipy, burgrabia Hynek i wietny orszak rycerski.

Dano znać do biskupiego dworu, aby duchowieństwo wystšpiło, aby uderzono we wszystkie po kociołach dzwony.

Gdy z wieciš tš wpadła do Margarety Bianka, biedna księżpa zachwiała się i padła na pól zemdlona.

Lecz rozkaz ojca był stanowczy. Dwór cały biegł jej posługiwać do ubrania. Król naglił, aby wyszła strojno ukazać się narzeczonemu.

Rozpaczliwe jakie męstwo wstšpiło w niewiastš strwožonš i osłablš. Porwała się z loža i z brwiš namarszczonš rozkazała podawać ubranie.

Było ono wczenie przygotowanym, a obyczaj ówczesny wymagał, by córka królewska wystšpiła w największym przepychu i blasku. Suknia ze złotogłowu, ršbki jak mgła przejrzyste, ciężkie klejnoty, naszyjniki z drogich kamieni, szeroki i wielki pas złoty, jakie wówczas noszono, purpurowy płaszcz szyty i bramowany wkładano z kolei na bladš ofiarę, która nic czuć, nic się zdawała nie wiedzieć, co się z niš działo.

Agnes płakała przypadšy w kšcie, kobiety biegły przypinajšc, wišžšc, nakładajšc na bezwładne ręce bogate kolce.

Wtem na miecie ozwały się dzwony. Margareta się zachwiała, służebne musiały jš podtrzymać, by nie padła.

Na zamku słyhać było tętent koni i szczęk zbroi żelaznych. Margrabia Karol, cały odziany w błyszczšcš wyłacaná stal, z ogromnym pióropuszem skrzydlatym na hełmie, wyruszał z podwórców.

Król Kamirz z promienistš, wesołš twarzš, odmłodzonš tš chwilš spodziewanego szczęcia, wjeżdżał do złotej Pragi witany okrzykami niezliczonych ludu tłumów.

Wspaniale roztaczał się ów orszak polski, kapišcy od złota, złożony z ludzi olbrzymiego wzrostu, pięknie dobranych twarzy, we wspaniałych strojach, w zbrojach wykwintnych, z tarczami na prawym ręku, na których topory, podkowy, księżyce, gryfy i lwy malowane widać było.

Kamirz jechał na białym koniu oponš szkarłatnš okrytym, na którym orły perłami szyte wieciły. Szyszak jego, obwiedziony koronš, miał też orła zrywajšcego się do lotu na szczycie. Otaczali go męzowie sędziwi, młodzież piękna, lud doborowy i liczny. Tršby hucznie zwiastowały przybycie. Przez ulice miasta zaledwie przecisnšć się można było, pod grodem czekał biskup Jan z Dražic błogosławišć i wiodšć na gród gocia.

W wielkiej dolnej sali stał zadumany król Jan, synowa jego Bianka i blada jak trup, chwiejšca się Margareta. Król posepny był, dochodziły go odgłosy, ale tego blasku, do którego nawykł był, nie widział. Smutek go ogarniał w tych ciemnościach.

Myliła się księżna, gdy bledniejšć i więdnšć sšdziła, iż się tym brzydszš uczyni. Pięknoć jej, czystoć rysów marmurowych, płomień oczu czarnych podniosły się spotęgowane boleciš. Nie był to może wdzięk, wedle pospolitego pojęcia owych wieków, wymagajšcych od kobiety wiezoci, zdrowia, rozkwitu bujnego. Margareta była bladym cieniem, lecz jakby anielskim jakim i nieziemskim zjawiskiem. Smutek i ból rozlany na jej twarzy pocišgał ku niej litociš i współczuciem.

Stała tak jak ofiara oczekujšca kata, gdy przed oknami sali przesunšł się orszak, w dziedzińcu powstał zgiełk, Kamirz przybywał z Karolem.

Bianka obawiała się o niš i zbliżyła, aby w potrzebie podać jej rękę pomocnš. Lecz stało się, czego przewidzieć nie można; osłabła Margareta nagle drgnęła, odżyła, uczuła się dumnš córks królewskš, odzyskała siłę całš.

Wzrok jej padł i zatrzymał się na Kamirzu, który szedł szczęliwy i rozradowany jej szukajšć oczami. Odgadł jš pewnie, lecz wejrzenie, którym go powitała, raziło jak cios w piersi wymierzony. Kamirz drgnšł i zawahał się idšć na powitanie króla Jana. Trwało to zaledwie okamgnienie, żywiej jeszcze posunšł się ku niej.

Margareta spuciła oczy.

Nie widziała juž nic. Kazano jej podać rękę narzeczonemu. Wycišgnęła jš zimnš i martwš. Mówił co do niej, nie słyssała. Stanšł przy niej, nie spojrziała na niego.

Dokoła był wielki gwar i wołanie.

Na dany znak wszyscy ruszyli do zastawionych stołów i przy pierwszym z nich obok ojca posadzono nowożeńców. Margareta usiadła, cišgle oczy trzymajšć spuszczone. Słyssała szept jaki, ale ust nie poruszyła.

Margrabia Karol pochylił się do ucha przybyłemu.

Margareta była trochę chorš szepnšł mu nie zważajcie na jej trwoę. Obyczaj to kobiecey drożyć się z sobš i udawać smutne, gdy sš najszczęliwsze.

Kamirz też był pełen najśladziej nadziei; nie zawiedziono go, królowa wydała mu się cudnie piękniejsz...

Nazajutrz nikt już nie widział bladej Margarety. Obojętnie dosyć król Jan kazał oznajmić Kamirzowi, że księżna się czuła trochę niezdrowsz, lekarz nakazał jej spoczynek.

Dnia tego się wcale ukazać nie miała. Strwożył się król nieco. Kochana wyprawił na zwiady. Ten miał tu licznych przyjaciół i znajomych, a nawet powinowatych. Przebiegły i zręczny zresztz wszędzie indziej byłby zarówno umiał znaleźć drogę i dostać języka.

Na dworze miał niewiast kilka, do których się dawniej zalecał, bo Rawa miał w obyczajn zawsze i wszędzie szukać niewiast, co by się na jego piękności poznać umiały.

W orszaku księżnej była piękna Zytka, z którś się już dawniej spotykał. Poszedł szukać jej po dworze.

Gocinnie wszystkich towarzyszów króla przyjmowano, łatwo mu się było o Zytkę dowiedzieć. Wyszła przeciwko niemu wyzwana z na pół smutniejsz, pół uradowanś twarzś, iż dawny wielbiciel tak pilno jś sobie przypomniął.

Zręczny Kochan pocztł od spowiadania się z tęsknicy swojej, od owiadczeń radoci, iż jś znowu zobaczył.

Zytka bardzo zalotnie wywijajš kibiciš już nieco ocięztałś i rzucajš figlarnymi oczyma dziękowała umiechem. Nie dowierzała zdradliwemu męzczynie.

Żarcikami swawolnymi zawišzała się rozmowa.

Kochan zamawiał jś w tany na przyszłe uroczystoci; drożyła się nieco.

Mymy do was tu na wesele przybyli, a wy nas przyjmujecie co kwanś twarzś i chorobś.

Zytka głowś potrzebśsała poprawiajš trefione włosy.

Księżna nie w porę zachorowała dodał Kochan ale nie straszna to być musi choroba.

Trudno było z dziewczyny dobyć słowo, oglšdała się dokoła ostrożnie, ludzi duzo przesuwalo się, podsłuchiwało i chciało mieszać się do rozmowy.

Kochan poszedł za niš do komnat na dole, gdzie pod ten czas nikogo z kobiet nie było,

Jake na mnie łaskawa, powiedzże mi, co tu się u was dzieje? choroba prawdziwa czy zmyłona?

Najprzód, kto wam powiedział, że ja na was łaskawa odparło dziewczę niby obrażone.

Lecz gniew nie trwał długo, Kochan z bliska się przysuwał bardzo. Chłopiec był ładny i wszyscy wiedzieli, iż miał łaskę u króla.

Księżna już od dawna chora poczęła nareszcie rozdobruchana Zytka. Nie może zapomnieć nieboszczyka... Straciła dziecko.

Cóż znowu w żarty to obracajśc odezwał się Kochan. Za umarłego żywego mieć będzie, a i dziecięcia nie poczeka długo.

Dziewczyna odwróciła się nadśsana; musiał przebłagiwać znowu. Lecz nie szło mu trudno. Zytka opowiadać zaczęła.

Bojś bo się was tutaj bardzo! rzekła. Wiemy, jacy wy jesteście i co u was kobieta, choćby królowa, znaczy.

Przecieżemy nie wilcy i nie zjadamy ich odparł miejśc się Kochan bo gdybymy je pożerali, ja bym was pierwszś zjadł, tak mi jesteście do smaku.

Zytka się miała. Pochlebstwo, w jakimkolwiek bśd kształcie, choćby niezręcznie podane, skutek wywiera. Dziewczyna, która z poczśtku drożyła się z sobś, zaczęła być coraz miłsz dla Kochana. Patrzyła nań, umiechała się wyzywajśco, nie wyrywała rśk, nie gniewała się, gdy jś, w imię dawnej znajomoci, wpół obejmował. Znajdowała, że niewieciś czeć dostatecznie uchroniła nie poddajśc się od razu. Usiedli przy sobie na ławie.

Kochan rozpocześł badanie na nowo.

Co to jest królewnie?

Milczenie poprzedzajśce odpowied zapowiadało, że nie przychodziła ona łatwo

Królewna! szepnęła Zytka spuszczajśc oczy ona, ona bo za mśż ić nie chce. Owdowiała niedawno, a na waszego króla straszne tu rzeczy rozpowiadajś.

Kto? co.? zawołał oburzony Kochan to sś potwarze! Zytka, umiejśca podsłuchiwać bardzo zręcznie, wiedziała

o historii Amadejów, którś stara Agnes po cichu rozpowiadała.

Potwarze! rzekła wznosźc oczy na towarzysza no, a ta krwawa sprawś z Amadejównś?!

Kłamstwo krzykńś Kochan burzśc się. Król nasz niewinien.

Zytka mówić mu nie dała.

Nie wiem rzekła popiesznie ale tu na dworze wasz pan ma nieprzyjaciół. Nastroiłi Margaretę przeciwko niemu, Z tych wszystko, z tych i choroba...

Kochan się zachmurzył.

Mocno chora? doprawdy chora? zapytał.

Chora i nie od wczorajszego dnia, ale od tego czasu, jak ojcu dać słowo musiała...

A cóż będzie z weselem? spytał Kochan.

Pewnie poczekać na nie musicie westchnęło dziewczę. Rawa udać musiał, że mu szło o wesele to i skoki dla samego

siebie tylko. Wzdychał przymilajęc się do dziewczęcia.

Wybadał z niego usposobienie starej Agnes, nawet ródło historii Amadejów u Pelarza, Zamówił sobie, gdzie mógł się spotkać znowu, i poszedł do króla.

Lecz Kamirza już nie zastał w jego mieszkaniu: troskliwy

o zabawienie gocia margrabia wziął go z sobą, aby się przypatrzył przygotowaniom do turnieju.

O naznaczeniu dnia wesela, które Kamirz chciał przypieszyć, rozmówiono się krótko. Samowolny stary król nie zważając na chorobę córki chciał je koniecznie w dniu w. Małgorzaty, imiennym księżnej, odprawić. Pozostało dosyć czasu, aby się przygotować, przekonać i ozdrowić mogła.

Kamirz musiał przyjąć postanowienie przyszłego tecia

i czekać w. Małgorzaty. Tymczasem nie szczędzono nic, aby koronowanego gocia i towarzyszków jego zabawić

Miasto przybrało wiśteczną powierzchowność. W rynku ustawiono stoły dla ludu, muzyki grały na gankach wież i bramach. Pocztę wietne przeciśgały ulicami. Na zamku miała być uczta i turnieje, wieczorem piewy i tany.

Tego wymagał obyczaj dla gocia, choć choroba Małgorzaty wszystkim chmurzyła oblicza. Nie miała ona jeszcze gronego charakteru i spodziewał się król, że wypoczynek, uspokojenie jutro pozwoli księżnie ukazać się na pokojach.

Kamirz, zmuszony udawać wesele, niespokojnym był mocno. Gdy się zmuszał do okazywania radoci, nagle stawał zadumany i jak kamienny. Na próżno margrabia Karol usiłował go rozerwać.

Plac do turnieju obwiedziony już był sznurami, sędziowie wybrani, tarcze mających się spotykać powywieszane. Oba z margrabiś obeszli go wiodąc za sobą nieodstępny dwór, ale król polski zdawał się mało zajmować rycerskimi zabawami. Wrócili wkrótce oba do mieszkań margrabiego, gdzie sam na sam spocząć i rozmawiać mogli. Kamirz żądał tej rozmowy.

Karol żywy i niecierpliwy, który z trudności usiedzieć mógł w miejscu i na chwilę pozostać bezczynnym, wprowadziwszy Kamirza do izby, którą zajmował na zamku, siadł zaraz i według nałogu, jaki miał od dzieciństwa, chwycił do ręki kawał drzewa, który nożem zapalczywie obrabiał począł.

Była to jego ulubiona nawet przy gościach zabawa. Pierwszy lepszy kij lub kawałek drzewa służył mu

do rzebienia często poczesnych postaci i dziwacznych figurek.

Kamirz patrzył nań z podziwieniem; twarz jego teraz, gdy sami zostali, smutkiem się oblała.

Margrabio mój, bracie serdeczny rzekł z wywnętrzeniem, którego potrzebował. Ty wiesz, jak mi drogie jest połsczenie się z rodem waszym. Pragnęłam go nie widząc Margarety; dzi, gdym ją zobaczył, mocniej jeszcze pożdam szczęścia tego... Lecz... księżna...

Karol podniósł prędko oczy nad robotę około sękowatego kija spuszczone.

Czyż kobiet nie znasz? odezwał się. Majś one swe dziwactwa, majś słabostki, wiele im pobłażać należy. Margareta niedawno straciła dziecię. Miej cierpliwość.

Pragnęłbym widzieć się, pomówić rzekł Kamirz. Mieć może uprzedzenie, ludzie są złoliwi, może bym potrafił uspokoić ją. Wszak nie jest tak chorś?

Karol nie rzucając roboty podszedł ku drzwiom i marszałka swego do siostry wyprawił oznajmując odwiedzinę narzeczonego.

Tu wcale się ich nie spodziewano, księżna nie była ubrana, leżała w łóżku; siedziała przy niej stara Agnes. Gdy nadeszły nie proby, ale rozkazy, musiano co najprędzej przystroić księżnę, którą to natręctwo Kamirza rozgniewało; nie mówiąc nic, ale wejrzeniem piorunującym zmierzwszy posłankę, która jej wolę brata przyniosła, dozwoliła się przybrać, jak chciano.

Napędce dobyto suknie, zawiśzano włosy, przyniesiono klejnoty. Księżna ubierać się dała nie objawiając woli żadnej, nie chcąc uczynić wyboru. Zamiast potem usiść w krzele dla przyjęcia króla, jak była ustrojona, położyła się na łóżku, spała na białej ręce, niema a gniewna.

Margrabia Karol prowadził bladego Kamirza z sobą. Dwór Margarety, który otaczał jej łożo, odprawiono do przyległej komnaty. Kamirz zajął miejsce naprzeciw narzeczonej. Gotowe już były kosztowne dary, które wiozł dla Margarety. Niesiono je za nim. Szeciu młodych chłopaków dobranych wzrostem i urodz, w kaftanach szkarłatnych, na których piastowskie białe orły były wyszyte, nieli kute skrzynki z klejnotami pootwierane już tak, aby wewnątrz nich leżące kosztowności widzieć było można.

Z ręk pierwszego z nich Kamirz wziął sam najpiękniejszą skrzynkę i z umiechem złożył ją u nóg księżnej. Chłopaki przyklękając przed nią z kolei stawiali przyniesione dary.

Wszystko to nie wyglądało tak barbarzyńsko, tak ubogo, jak księżnej opowiadano. Z pewnym zdumieniem, drżąc, nie mówiąc nic patrzyła na klejnoty.

W istocie były one królowej godne. Z wnętrza skrzynek wybitych jedwabnymi tkaninami połyskiwały w ciężkich oprawach, na których wiły się emaliowane ozdoby, ogromne rubiny, szafiry,

ametysty, szmaragdy, perły dziwnych kształtów, to białe, to różowo zabarwiane.

Wszystko to jednak zaledwie potrafiło zwrócić roztargnionej księżnej oko. Skłoniła głowę z lekka na

znak niemego podziękowania, lecz nie okazała radoci, nie odezwała się ani słowem, nie poruszyła ku nim ręki.

Margrabia Karol dobywszy pas ze skrzyni rzucił go jej na kolana żartobliwie twierdząc, iż przepasanie nim uzdrowić już miało. Klejnot zsunął się z nich i padł z łoskotem na ziemię. Nie podniósł go nikt.

Kamirz widząc tak jawną obojętność rumienił się i blednął.

Margrabiemu zdało się, że najlepszym sposobem zbliżenia narzeczonych będzie zostawienie ich sam na sam z sobą. Usunął się więc w drugi koniec obszernej komnaty ku oknu, z którego ożywione wietnym dworem podwórze w wietle majowego poranka widać było.

Po odejściu brata raz pierwszy oczy Margarety podniosły się na Kamirza, trafiły właśnie na chwilę, w której król dotknięty w swej dumie siedział zasępiony i gony.

Oko księżnej, choć nie było łagodnym, zmieniło jednym wejrzeniem jego usposobienie.

Pochylił się zapytując już o zdrowie.

Księżna pomyślała nad odpowiedzią, usta się jej poruszyły i wyrazem ostrym odparła:

Jestem chora, widzicie to sami. Będę chorą dodała. Sądzę, że wam potrzeba by innej żony... Ze mną smutek do domu wemiecie...

Mam nadzieję, że znajdziesz się u mnie rodki rozproszenia go rzekł Kamirz. Wszystko, co wam może być przyjemnym...

Mnie już nic przyjemnym nie jest sucho przerwała księżna.

Pozwólcie mi mieć nadzieję, że się to zmieni rzekł król

To się zmienić nie może odparła Margareta. Słowom tym odpychając towarzyszyło wejrzenie. Kamirz zarumienił się, lecz pozostał panem siebie

Być może odezwał się po chwili iż mnie i królestwo moje nieprzyjaciele le wam odmalowali i że stąd powstał wstręt jaki do mnie. Przekonacie się, że ludzie kłamią.

Księżna dumnie głową potrząsnęła, nogą, przy której leżał pas złoty upadły na ziemię, popchnęła go niecierpliwie.

Zapatrzyła się w okno umylnie unikając spotkać króla oczy, które w nią były wlepione.

Bywalcie na Węgrzech! odezwała się z wyrazem przekąsu jakiego Margareta. Mówisz, że tam są niewiasty piękne bardzo. Dwór królowej Elżbiety obfitować w nie musi?

Kamirz zrozumiał przymówkę, ruszył ramionami pogardliwie i usiłował się umiechnąć.

Jednakże przerwał piękniejszej nad was nie widziałem w życiu ani na węgierskim, ni na żadnym dworze.

Królowna odpowiedziała na tę grzeczność bladym szyderczym umiechem.

Miałabym wam przypomnieć kogo? odparła złośliwie. Kamirz, którego twarz za każdym takim pociskiem krew

oblewała, starał się zachować spokój.

Wasza miłość rzekł nie macie ani sobie podobnych, ni sobie równych.

Od francuskich trubadurów uczycie się grzeczności dla niewiast odezwała się Margareta. Wybaczenie mi, lecz sądzę, że królowi lepiej by szczerść przystała.

Król namarszczył brwi, poruszony był mocno, żal i ból zabrzmiały w głosie jego.

Pani moja rzekł jestem szczerym mówię wam, że w was położyłem jedyne szczęście mojego nadzieje. Litociwsza chciej być dla mnie. Mogę was zapewnić, że nawzajem o wasze szczęście starać się będę życiem całym.

To mówię wstał król, a margrabia usłyszawszy to poruszenie jego zbliżył się do rozmawiających.

Zostawmy Margaretę w spokoju rzekł spierając się na poręczy jej krzesła niech co prędzej stara się siły odzyskać,

aby w dzień swej świętej patronki gotowa była podać wam rękę... Bo król, ojciec nasz, dzień ten nazaczył... Wola jego dodał z naciskiem spełnić się musi.

Margareta podniosła oczy na brata odpowiadając mu tylko gniewnym wejrzeniem.

Król zęgnął już, zędał rękę. Zawahawszy się podała mu księżna białą, wóską, wychudzoną, zimną, z widocznym przymusem i wstrętem. Zaledwie pocałunek złożył na niej i odwrócił się, piesznie otarła już o suknię. Margrabia Karol dostrzegł to i tylko ramionami poruszył.

Nie dano dnia tego do nocy odpoczynku królowi. Czekal nań król Jan i ucza z trefniami u stołu, potem pochód po ulicach miasta dla widzenia go, przyjęcie w biskupim dworze, turnieje i gonitwy, wieczorna zabawa i opowiadanie o rycerstwie we Francji i Włoszech. Póno już wrócił Kamirz do izb mu przeznaczonych.

Tu oprócz dworu i starszyny, którzy odprawił zaraz, stał już oczekujący nań Kochan. Pilno było królowi rozmówić się z powiernikiem. Ten nadrabiał wesołość niby twarzą nie chcąc dać znać po sobie, ile przykrych wiadomości w ciągu dnia tego dostało się do jego uszów.

Między innymi chytry Pelarz popieszył do Kochana, pod pozorem swych stosunków z Węgrami i łaskawoci, jak się mu okazywała królowa Elżbieta, szukając sposobności pokłonienia się jej bratu. W istocie szło mu o to, by się wywiedziać o usposobieniach, a może sprawić, co mu polecono.

Kochan się w nim wcale nie domyślał zdrady. Pelarz wymienicie grał rolę gorliwego sługi rodu Kamirzowego, przyjaciela i doradcy.

Z cicha począł ubolewać nad Kamirzem, który według niego wart był lepszego losu, a nie chorej i smutnej wdowy, niechętniej dlań, którą mu narzucano.

Wasz król najlepiej by zrobił dodał gdyby lub ten odłożyć się starał. Choćby wykupić się od niego przyszło królowi Janowi! Żona ta szczęścia mu nie przyniesie, Kochan milczący słuchał.

Za póna to rada rzekł po namyle. gdymy na wesele przybyli. Wino utoczone wypić trzeba.

Ja znam wtrścił Pelarz przysłowie, które powiada, że między czarš a ustami przestrzeń jest wielka.

Długo tak zabawiał i starał się co z Kochana dobyć zręczny człek, lecz widząc, że dworak usta ma zamknięte i piersi zapięte, opucił go owiadczając się tylko z miłociš wielkš.

Przez cały dzień tak Kochan z różnych stron napawał się nie bardzo smacznymi wieciami. Ku wieczorowi Zytka oznajmiła mu, że księżna czuła się gorzej. Przejęta nagłymi dreszczami musiała położyć się w łóżku.

Na zapytanie więc królewskie, co słyhać, dworak ruszeniem ramion odpowiedział.

Król też znękany był i smutny, a przynieć mu pociechy nie było skšd. Kochan począł żywo pleć, że czas wszystko zmienić może i rozpaczać nie trzeba.

Więc i ty widzisz powody, dla których by można się trapić? odparł król. Nieprawdaż? Nie kusić się nam, a raczej mnie! Przepowiednia starej czarownicy na myl mi powraca.

Zadumany spucił ręce, zwiesił głowę.

Nic jeszcze nie ma straconego rzekł dodając sobie męstwa. Byleby raz lub wziść, a królowš zawieć do Krakowa, rozproszš się te jej smutki.

Ale czy nie lepiej by wtrścił niemiało ulubieniec odłożyć te lubowiny, nie naglić? Dać jej czas.

Król strzepnšł rękami.

Dzień jest naznaczony zawołał stojš przy nim, nie odstšpiš od niego. Księżna jest jak anioł piękna, miłuję jš, musi być mojš.

Wyrwały mu się te wyrazy z takš siłš, iż Kochan zamilknšć musiał.

Nazajutrz ponowiły się turnieje, a księżna była słabš cišgle. Królewski lekarz siedział przy niej. Nie przewidywano jednak nic złego. Zabawy były tym huczniejsze, iż król Jan chciał nimi

w poczštku zatrzeć smutne wrażenie, jakie słaboć córki wywierała.

Polski król spokój wielki udawać musiał, ale nie miał go W duszy.

Doniesienia Kochana, który w ciśgu dnia umiał pod pozorami różnymi zbliżyć się do niego i szepnąć potajemnie słowa, coraz były bardziej zatrważające.

Choroba zdawała się rosnąć i stawać groniejsz. Na dworze jeszcze o tym mówić nie było wolno. Lecz na twarzy margrabiego Karola i żony jego Bianki widać było frasunek i strapienie troskliwie tajone.

Następnego dnia Margareta była już prawie bezprzytomna, a lekarz przestraszony zwiastował drżącym głosem królowi, iż rodki jego były wyczerpane, że niebezpieczeństwo groziło wielkie, w końcu, iż należało zwrócić się tam z prośb, gdzie jest wielka moc i siła, skąd płynie życie i przychodzi mierać: do modlitwy do Boga.

Król Jan, który od utraty wzroku stał się nabożniejszym niż w ciśgu życia, zadrżał i ręce załamał. Kazał się zaprowadzić do łoża córki, nie poznała go.

Margrabia Karol z twarzą zmienioną przyszedł Kamirzowi zwiastować smutną nowinę.

Król, który nie przypuszczał, aby jakiegokolwiek niebezpieczeństwo zagrazać mogło Margarecie, stanął oniemiały z rozpaczy i boleci. Ręce załamał i zakrył wnet twarz nimi.

Jestem najniezszczęliwszy z ludzi! zawołał. O mój Boże! jakże karzesz mnie srogo za grzechy moje!

Na próżno margrabia Karol uspokoić się go starał.

Dnia tego zabawy, igrzyska, gonitwy, wszystko zostało przerwane. Cisza głucha, złowroga zapanowała na dworze.

Biskup Jan z Drażic przybył z Nowego Miasta do króla ofiarując się z całym duchowieństwem, czternastodniowym nabożeństwem z procesjami, z wystawieniem relikwii błagać Boga o odwrócenie ciosu, który królewskiej zagrażał rodzinie.

Rozkazy były już wydane, po wszystkich kociołach odzywały się dzwony; nagle wesołe wczoraj miasto okryła żałoba.

Lud począł się cisnąć do krużganków, kaplic i kociołów. Duchowieństwo z chorągwiemi i krzyżami, długimi sznury, piewając pieni wycisgało już z Wyszehradu, od w. Wita, Panny Marii, w. Mikołaja.

Kamirz z całym dworem swoim pieszo udał się do zamkowego kocioła, wysławszy znaczniejszą sumę dla zakupienia nabożeństwa.

Trwoga niewysłowiona ogarnęła wszystkich. Przychodziło to nagle i z wesołoci wczorajszej przejście do błagalnych modlitw było tak szybkie, iż wrażenie czyniło potężne. Ludzie widzieli w tym znowu jaki palec Boży, karę za grzechy starego lepca, który tyle w życiu swoim nabroził.

Lekarze zwołani najmniejszej już nie czynili nadziei. Gorączka nie rzucając na chwilę chorej rosła i

wzmagala się. Nie poznawala ludzi, mowila, plakala krzyczala zrywajsc sie i zalsc, a wspomnienia przeszlosci i teraniejszoci tak sie mieszaly w jej glowie, iz msz umarly, narzeczony, dziecię, historia Amadejowny, obrazy męczeństwa gronego plstaly sie w nieskonczonych wykrzykach, które służbę żeńskš zgromadzonš przy lozu niemal też o szaleństwo przyprawialy.

Po tych wybuchach następowalo oslabienie, zaniemienie i życie uchodzić się zdawalo, by natychmiast znów powrócić odgłosem boleci.

Wypadek ten, nawet na dworze tak karnym i do ładu wdrożonym, jakim był dwór króla Jana, wywołal nieład i zamieszanie. Iepy król na przemiany burzył się gniewem i wsparty na rękach pogršzył się w mylach dręczsych. Sumienie wyrzucalo mu, iz Uporem swym sprowadził chorobę, miał być może przyczynš mierci córki.

Przy Kamirzu jeden teraz margrabia Karol pozostał na straży. Staral go się pocieszac. Choroba przesilić się mogla. Modlitwy duchowieństwa, luby, procesje, relikwie wietych, na pomoc wezwane, nie mogly być nadaremne.

W istocie rozkaz biskupa, przykład zakonów, które natychmiast rozpoczęly nieustajšce błagalne nabożeństwa, poruszył ca-

łš tę ludnoć, która zbiegla się do miasta dla oglšdania wesela, a trafila na grozę žaloby.

Napełnialy się wištynie wszystkie, dzwony biły szerzšc jeszcze niepokój i trwoę.

Gdy około loza chorej z margrabinš Biankš cały dwór niewieci się skupial, a na stolach koło chorej rozkladano przyniesione z kociołów relikwie, Kamirz siedzial większš część dnia sam lub razem z milczšcym ojcem bolejšc.

Myl ta przeladujšca go, iz straszna przepowiednia zicić się miała, przejmowala zabobonnš niemal trwoęš do głębi duszy. Los przeladowal go. W uszach brzmialo mciwe, straszne, niezapomniane owe Amadejów nazwisko.

Kochan, który stal na straży, nie miał się odzywac, patrzyl tylko i czekal. Lecz na próżno. Król nie widzial nikogo, tak był zatopiony w sobie. Wielka radoć, nadzieje, z którymi jechal pieszšc tu, wszystko jedna chwila nieszczęsna jaka zgruchotala.

Niekiedy przybiegali ludzie z lepszymi i pocieszajšcymi wieciami. Królowna spoczywala, usypiala, choroba obiecywala się przesilić. Naówczas nadzieja wstępowala w serca.

Bóg się zlitowal, modlitwy byly wysluchane. Trochę spokoju przynosilo ulęę. Król Jan przysylal od siebie, przychodzil margrabia, zbiegali się poslaney. Wszyscy zdawali się odzywac.

Lecz trwało to krótko; następných dni wybuchy goršczki wprawdzie ustały, gwałtownoć się ich zmniejszyla, oslabienie jednak wzrastalo. Siły się wyczerpaly, lekarze nie wrózyli nic dobrego.

Nabożeństwa nie ustawaly.

Pomimo że mu to odradzano i nie bardzo dopuścić chciano odwiedzin chorej Margarety, aby widok tym większego na królu nie zrobił wrażenia, Kamirz dopominał się o to jako narzeczony, żądał tak uparcie, tak natarczywie, iż margrabina Bianka poprowadziła go z sobą.

W ciemnej z osłoniętymi oknami, niskiej, sklepionej komnacie, którą lampki palące się przed obrazami i trochę wiatła przedzierającego się przez opony słabo rozjaśniały, na łożu otoczonym przez kobiety klęczące i stojące dokoła, spoczywała

blada księżna, której cierpienie wewnętrzne niekiedy gwałtownymi ruchami i zmianą twarzy się zdradzało. Oczy jej to się otwierały i nieruchomie wlepione patrzyły nie widząc, to zamykały, jakby usypiała. Lecz sen ten nie był spoczynkiem. Rzucała się niespokojnie, białymi rękami konwulsyjnie chwytając okrycie, które kobiety co chwila poprawiać musiały.

Blade jej oblicze było tak szlachetnie pięknym jak dawniej, lecz cierpienie nadawało mu wyraz litości obudzających.

Jeden z duchownych dworskich siedział u ołtarza odmawiając modlitwy, może oczekując na chwilę, w której umysł chorej odzyskałby przytomność.

W cichoci zbliżył się Kamirz idąc za Bianką aż do samego łoża. Chora, jakby uczuła przytomność jego, otworzyła oczy szeroko, z ust dobył się słaby głos i gwałtownie odwróciła się na drugą stronę łoża.

Stali tak oczekując jakiej oznaki pocieszającej. Bianka rozpytywała kobiety, które za całą odpowiedź płakały...

Wkrótce potem stłumiony głos chorej dał się słyszeć. Wołała jak zdyszana, przerywanymi wyrazami:

Nie chcę nie chcę zdejmcie mi piercień dary odniecie... Tu umrę, nie powioż mi... krew... krew...

Na królu czyniło to wrażenie tak silne, iż po chwili ustąpić musiał... Wyszedł stąd odepły, ogłuszony, z oczyma zamglonymi, z sercem ciniętym.

Nie mówiąc nic do nikogo powlókł się zamknąć w swych izbach...

Wieczorem z orszakiem całym udał się na nabożeństwo do ołtarza . Stanisława i Oswalda w kociele w. Wita. Królewską ofiarę złożył dla duchownych, którzy błagalne litanie odpiewali.

Nastąpiła noc noc milcząca, ale bezsenna dla wszystkich na zamku. Król Jan siedział, co chwila posyłając dowiedzieć się o zdrowie córki. Kamirzowi przynosił wieści Kochan. Margrabia Karol przychodził go pocieszać. Po wszystkich kociołach paliły się wiatła i odprawiały nabożeństwa.

Nazajutrz był dzień w. Zofii, piękny, jasny, majowy, słoneczny dzień, lecz o słońca wschodzie uderzyły wszystkie dzwony na starej i nowej Pradze, na Wyszehradzie, na Grodzie, uderzyły jękiem żalobnym.

Księżna Margareta nie żyła.

Do ostatniej chwili przerażony ojciec i zboleły narzeczony mieli jaką nadzieję cudu. Gdy straszna wiadomość o mierci księżnej rozeszła się po zamku i płacz niewiast, całego dworu, czeladzi zwiastował już król Jan padł na kolana łkając. Syn podnieść musiał ojca...

Prowadźcie mnie do niego zawołał przemagając ból on także, jak ja, ten cios czuć musi...

Prawie razem z wiadomością o zgonie Margarety ojciec jej i brat weszli do izby, w której Kamirz rozpaczał.

Rzucił się on do kolan starca łkając i rozgorączkowany...

Ty, którego ja ojcem mym zwałem odezwał się i którego teraz ojcem mieć chcę, ty jeden pojmiesz boleć moją. Nie ma Margarety! a z nią poszły wszystkie nadzieje, całe szczęście moje, cała przyszłość rodu mojego!

Sami zboleli i rozłzawieni, stary król, syn jego i Kamirz ciskać się i obejmować zaczęli.

Margrabia ze wszystkich najwięcej zachował spokoju i pomiarkowania w rozpaczach. I jemu żal było tego liczego kwiatu ciętego na młodej łodydze, lecz życia wymagania powoływały go. On to jeden miał przytomność jeszcze...

Stary Jan, ten rycerz nieulekniomy, który nieraz na śmierć się narażał z heroiczną odwagą, złamany był, bezsilny.

Kamirz, w kwiecie wieku, ale już tyle przeżywszy i przecierpiawszy, uginał się pod tym ciosem, nie tylko stratę narzeczonej, ale wróżbę złą w tym upatrując dla siebie. Mimowolnie przychodziło mu to na usta...

Ojciec mój wołał obejmując jęczącego starca ojciec mój, użal się nade mną. Niezasłużone jakie przekleństwo wisi nad głową moją, zginąć więc muszę ostatni z rodu, a państwo moje pójdzie w obce ręce...

Nie odparł stary Jan, którego syn zmusił usłyszeć bojąc się, aby mu siła po bezsennoci i cierpieniach nie zabrakła nie! Nazwał mnie ojcem, chciałem ci nim być, dać własną córkę;

Bóg moje najlepsze chęci zniweczył, lecz nie wyrzeknę się ani tytułu tego, ani jego obowiązków. Wtem margrabia Karol wtrzącił:

Bracie mój, bo i ja nie wyrzekam się braterstwa z tobą daj słusznemu żalowi przeminąć... Ja i król, ojciec mój, będziemy się starać wyszukać ci żony... Ożenim cię... zadasz kłam przepowiedniom nierozsądny i złośliwym... Nie dopucim tego, aby królestwo twoje...

Stary Jan poczęł w tej chwili żywo:

Dobrze mówi Karol... niech nas ta wspólna boleć połączy, przysięgnijmy sobie braterstwo... Ja i

Karol wyszukamy ci małżonki.

Kamirz chwycił rękę Jana.

A ja na pamięć tej drogiej zmarłej, której mi nikt nie zastąpi, przysięgam wam, że z ręki waszej przyjmę narzeczoną, jakś mi dacie... Ona będzie nowym węzłem między mną a wami...

Tak, przy zaledwie ostygniętych zwłokach, już margrabia Karol rzucił myśl dla polityki swej potrzebnej i mającej związek pomiędzy Polską i Luksemburczykami utrzymać.

Kamirz przyszedł już ze lepym zaufaniem pod ciężarem przepowiedni i trwogi zejścia bezpotomnym. Córka, którą mu zostawiła Aldona, nie mogła wziąć na skronie korony, której obrona męskiej potrzebowała dłoni...

Z równie wielkim żalem, jak przed chwilą radość była, pogrzebowe odbyły się obrzędy. Kamirz pozostał, aby zwłoki narzeczonej odprowadzić do grobu królewskiego na Zbrasławiu.

Ponowiono jeszcze po smutnym obrzędzie zapewnienia przymierza i nierozdzielnej przyjaźni, a Jan i Karol zobowiązali się uroczycie wynaleźć dla króla nową narzeczoną, którą on z ich rąk przyjąć miał bez wyboru.

Pożegnanie było uroczyste i najczulsze, lecz orszak polski, którym z triumfem, weselem i wrzawą wjeżdżał do złotej Pragi, wyciągnięty z niej rankiem, po cichu, przeprowadzony przez margrabiego Karola, odziany żałobą i smutny.

Król Kamirz we wszystkich litości budził. Wprawdzie po przemożeniu pierwszego wybuchu rozpacz odzyskał on męstwo i siłę ducha, lecz głęboki smutek czynił go martwym na wszystko.

Jechał dając się prowadzić, nie okazując niczym zajęcia, zobojętniały i pogorszony w sobie.

Takim na pierwszym noclegu na czeskiej ziemi wieczorem znalazł go ulubiony mu powiernik, ksiądz Suchywilk, Grzymalita, który mu towarzyszył do Pragi.

Był to jeden z najpoważniejszych i najuczciwszych swojego czasu duchownych, mąż dobrej rady, nieskazitelnego charakteru, a wielkiego przywiązania do Kamirza, który mu miłość jego dla siebie zupełnym odplącał zaufaniem.

Jak wuj jego, arcybiskup Bogoria, tak i on kształcił się za granicą, w Bolonii, Padwie i Rzymie dokończył nauki, a oprócz suchej ich treści przywiózł z sobą zdrowe i żywe pojęcie wszystkiego, czego własny kraj wymagał.

Wielkiej siły ducha mąż, umiejący prawdę mówić i nie zniżający się nigdy do pochlebstwa cenionym był przez króla wysoko. Szanował go Kamirz i często mu był posłuszny. Sama postać jego wyrażała uszanowanie i oznaczała męża charakteru energicznego a nieuleknionego. Król po nim miękko pociechy spodziewać się nie mógł.

Suchywilk wszedłszy do izby, w której siedział pogorszony w sobie król, popatrzył nań chwilę, nim

się zbliżył.

Wstydząc się swojego tak jawnie słabość odkrywającego smutku, król powstał zmuszając się do uprzejmego umiechu. Kochan, który stał u progu, czuł się tu już niepotrzebnym i zniknął.

Zostali sami. Czas jaki Grzymalita milczał.

Miłociwy panie odezwał się mierzając króla swym spokojnym wejrzeniem nie trzeba się tak poddawać boleci, choć jest ona bardzo usprawiedliwiona. Lecz taka kolej rzeczy ludzkich, są takie losy nasze; nic na ziemi nie ma pewnego. Bóg dowiadacza i próbuje.

Po tej przemowie Suchywilk poczęł z wolna:

Ludziom, co dla siebie żyję, boleć i lubować się w boleciach swych jest wolno, nie wam, nie nam. Kapłani i królowie synami są Bożymi. Mocarze w dłoni trzymają losy państw... Macie, miłość wasza, co czynić... Kraj cały odłogiem leży, czeka na was... Nie godzi się wam nad własną niedolą łzy wylewać.

Kamirzowi oczy zabłyśły, poczęł słuchać z uwagą. Ksiądz mówił dalej ozywając się:

Miłociwy panie... pomyłcie o owczarni waszej, a ból wasz własny nie da się wam uczuć tak uciskająco i przygnębiająco.

Ojciec mój odezwał się Kamirz macie słuszność, lecz są cierpienia nad siły...

Siły wola wywołuje, a ta od człowieka zależy rzekł Suchywilk.

Wnijdzie w położenie mojej Ta groba straszna, iż mogę być ostatnim z rodu mojego! szepnął Kamirz. W chwili gdym sądził, iż przeczucia przełamie, gdym miał nadzieję...

Ale nadzieja stracona nie jest rzekł energicznie duchowny. Przeczucia i przepowiednie są to pokusy szatana. Bóg rzadko objawia przyszłość, a gdy to czyni, dzieje się objawienie jej przez usta poświęcone i wiary godne. Lecz wy, królu miłociwy dodał gdyby nawet, od czego Boże uchroni, ta jaka przepowiednia zicić się miała, możecie po sobie zostawić więcej niż potomka, więcej niż potomstwo dzieło wasze, pamięć spraw wielkich dłużej trwającą niż rody.

Król spojrział z ozywieniem i ciekawością.

Cóż ja uczynić mogę? zapytał smutnie

Tu, u nas w tej Polsce ledwie do kupy jako tako orężem ojca waszego sklecone? odparł Suchywilk z mocą wielką. Pytacie, miłociwy królu, co czynić? Alici żywota ludzkiego najdłuższego nie starczy na to, co tu jest do czynienia! Miłociwy królu, widzieliście to miasto Pragę tak wspaniale się wznoszące, alboż my miast takich mieć nie możemy i nie powinniśmy. Wszystko u nas odłogiem! Cóż to są te zamki nasze, stosy drzewa, jakby na opał przygotowanego? Szkół u nas mało, kraj na pół pusty, ludu mało, ciśnięć go trzeba...

Kamirz słuchał ożywiając się.

Na ostatek, miłociwy panie dodał kapłan gdzież a nas prawa są? Inne kraje mają je spisane, u nas każdy sędzia podług jakiego starego obyczaju inaczej sądzi... jako sam chce. Jakież to królestwo jedno, gdy w nim zwyczajów tyle, a pisanego prawa albo nie ma, albo je sobie pisarczyki notują dla pamięci, jak się im podoba, a potem te ich mazaniny służą za kodeks. Alboż i to godzi się, żeby nasze mieszczaństwo, gdy się sądzi, a Wyrokom nierade, do Magdeburga pod cudze panowanie szło z apelacją?

Suchywilk, który równie biegłym teologiem jak prawnikiem był, mówiąc o tym przedmiocie mimowolnie się zapędził.

Zmiarkował sam prędko, że nie pora była królowi szczegóły te teraz stawiać przed oczy, i zwrócił mowę swą inaczej.

Ojciec wasz wolowa! rzekł wy budować musicie i gospodarzyć. Alboż to nie bolesne nam słuchać, gdy obcy o kraju naszym rozpowiadają dzikim go zwą, barbarzyńskim, zarosłym, nie wytrzebionym, na pół pogańskim? Albo nie wstyd, gdy nam gościów naszych niebezpieczeństwa i niewygodę zarzucają w oczy? Rzemiosł u nas mało, wszystko u obcych kupować musimy...

Kamirz zdał się zapominać o swojej boleci.

Ojciec mój przerwał to ty wiesz najlepiej, bom ci się nieraz spowiadał z myśli moich, że całe zżdzę mś i staraniem było i jest na ten cel pokój utrzymać, okupić go, aby lud ubogi się wzmógł, bezpieczniej zasiedlił, wzbogacił! Pragnę tego wszystkiego, co wy, lecz jak i czym tak wiele rzeczy razem dokonać możemy?

Jak? zawołał Suchywilk. Rozpoczynając od najpilniejszego! Wasza miłość dacie najeżdżanym i pustoszoną ziemią wytchnienie, to już dobrodziejstwo wielkie. Zważmy, co czynić, i bierzmy się do dzieła.

Król się zadumał.

Widocznym było, że Grzymalita zrećźnie potrafił odwrócić myśl jego od tych dręczących wspomnień, co już zajmowały. W Kamirzu odezwało się to, co go od młodości obchodziło najżywiej, chęć podwignięcia kraju i postawienia go na równi z innymi królestwami w Europie.

Cóż więc najpilniejsze? zapytał. Suchywilk spojrział nań.

Chleb i zamożność da nam pokój odezwał się a po nich co najpierwszą wszelkiego kraju potrzebę?

Kamirz łatwo mógł w myśli mówiącego trafić, wiedział, co go najbliższej obchodziło zawsze.

Sprawiedliwość odparł niemiało.

Tak jest odparł Suchywilk z radością. Miłość wasza niemiernie po sobie zostawić możesz spuciznę Polsce. Prawa jej daj!

Kamirz powstał ożywiony.

Dobrze rzekł lecz wy mi będziecie do wielkiego dzieła pomoc. Pocięch ono dla mnie się stanie...

Zamilkł. Ksiądz przedłużył rozmowę znalazłszy w niej dzielne lekarstwo.

Prawa pisanego tak jak nie mamy rzekł. Co gdzie jest z ust i tradycji ludzkich pozbieranego, jedno się drugiego nie trzyma, trzeba to zebrać, zjednoczyć, zlać, aby jak król jeden jest, prawo było jedno...

Kamirz poczęł go ciskać.

Pomóż mi zawołał pomóż! Trzeba, aby to prawo osłoniło lud biedny, kmiecie wzięło w opiekę. Na tom umierającym ojcu słowo dał, iż bronić go będę...

Chrystus ten lud, jak nas, Krwiś Przenajwiększ odkupił dodał kapłan.

Tak rozmów Suchywilk zajął króla do nocy.

Nazajutrz rozpoczął jś znowu. Kamirz sam wznowił chętnie przedmiot ten, do którego ciągnęło go serce i poczciwa chęć zostawienia po sobie pamięci dobrej.

Tak dojechali do Krakowa. Stolica, do której spodziewał się wyjeżdżając z niej powracać szczęśliwy obok młodej małżonki,

wznowiła bolesne wspomnienia. Zatrzymać się kazał na drodze, aby przybyć ukradkiem, noc, wprost na Wawel pusty... do swej sierotki, której matkę obiecał.

Sz nieuniknione ciosy.

W bramie miejskiej król podniósł oczy na przemykającego się w przeciwnym kierunku rycerza, który uciekać się zdawał.

Mignęła przed nim blada twarz kruczymi włosami otoczona, a przed oczyma znowu ukazały się krwawe, poszarpane ciała.

W przemykającym się król poznał Amadeja!

Na przyjęcie króla nie wyjechał nikt, Kamirz zakazał, by go witano. W progu tylko spotkał wiernego swego Mikołaja Wierzyńka, który nisko mu się do kolan pokłonił nie mówiąc słowa.

Spojrzeli na siebie; wierny sługa z oczów pana wyczytał całe smutne dzieje tej podróży która żałobnym dzwonów dźwiękiem się skończyła jak pogrzeb!

KSIĘGA DRUGA

WIADUCH

Na Pršdniku pod Krakowem siedział naówczas z dawna już tam osiadły kmieć, a było mu na imię Aleksy, ludzie za zwali go pospolicie Leksš i dali, jak to było naówczas zwyczajem, przezwisko Wiaducha. Oznaczało ono, że Leksa ów wiele znał, wiedział wiele i w kaszy się zjeć nie dał.

Kmieć był bardzo zamożny, lecz jak inni do szczytu się żadnego nie przyznawał, ziemianinem się nie zwał, owszem, z rodzajem dumy powtarzał, że z pradziadów jest kmieciem.

I nosił się tak, aby nikt omylić się nie mógł, a nie wziął go za kogo innego, niż był. Więc i czapka była pospolitego kroju, i sukmana taka, jakš pospolity lud nosił, i miasto oręza kij z obuszkiem.

Choć ubożsi chłopkowie nisko mu się kłaniali, a niejeden sołtys pozdrawiał go panem bratem, Wiaduch takš naturę miał, że najchętniej z małymi ludmi przestawał, bronił ich, swoimi zwał, a kto się nad nimi znęcał, tego cierpieć nie mógł.

Postać jego niewiele była obiecujšca. Mały, krępy, gruby, twarz miał rysów pospolitych, ogorzałš, pomarszczonš, ale przy brzydocie swej co rozumnego miał w oczach, tak że każdy się na tym mógł poznać.

Wiaduch, tak zwany dlatego, że wiele wiedział, nigdy się niczego nie uczył, całš swš mšdroć wziął, jak mówił z lasu, a w istocie z ust ludzi tych, którym jš dziadowie i pradziadowie przekazali.

Nikt nad niego lepiej nie znał wszystkich starych ziemi zwyczajów, podań, piewów i praw, które nie pisane pokolenia podawały pokoleniom

Zasłali jaka w tym wštpliwoć, jak w dym się do Wiaducha udawano. On rzekł, nie było już o co pytać innych, nikt się nie sprzeczał.

W chacie było dostatnio, ale Leksa pilnie strzegł, aby nad chłopskš potrzebę nic tu nie weszło. Sama też chata wyglšdała tak biednie, iż nikt by się po niej rzeczywistego dostatku gospodarza nie domylił.

Wiaduch powiadał chytrze, że dla pięknych skórek zwierza zabijajš i że kto mšdry, ten się z tym, co ma, nie chwali.

Starej swej, połatanej sukmany nie zrzucał, chyba że szło o chwałę Božš, do kocioła na wielkie święta.

Babę jego, niemłodš już niewiastę, którš sobie dobrał do pary rozumnie, choć imię jej było na chrzcie Maria, a gdy dziewczuš chodziła, Maruchna, że się stała na staroć gderliwš, opryskliwš, a bardzo zabiegłš gospodynš była, przezwano też Garunicš.

Wiaduch cišgle się z niš o co spierał, kłócili się do spotkania, ale się kochali bardzo i żyć bez siebie nie mogli.

Starym dwojgu dał Pan Bóg naprzód syna, którego proboszcz, że się jako jesieniś narodził, ochrzcił Marcinem. Za młodu wabiono go Cinkiem; ludzie, że był hoży, dorodny, bo się jako nie wdał w ojca, nazwali go Ciarachem i przyłgnęło to do niego.

O wiele młodsza córka, liczne dziewczę, tyle tylko, że nie bardzo wyrosłe i silne, nad czym matka mocno ubolewała, zwano Bognš, ale, jak to po wsiach się dzieje, bywało dawniej i po szlacheckich dworach, i jej dano imienisko przydatkowe, Gierki. Znaczyło ono co jak jej własne w języku ludu.

Wiaduch, że gospodarstwo miał dosyć znaczne i sam by mu z synem nie podołał, choć oba pracowali pilno od rana do nocy, trzymał parobka, którego sobie podobno kupił u Żyda, ale tak się z nim obchodził, jakby nie był niewolnikiem, choć wówczas nie wolnych ludzi, jeńców wojennych i takich, co za dług w niewolę popadli, było na wiecie wielu.

Dziwak ten stary przecie powiadał, że jak wół wołu, tak człowiek człowieka kupować nie może. Pomimo to, karmiśc go dobrze, pilnował też ostro i wypoczywać nie dawał.

Miał także swoje różne na wszystko pogadanki, a gdy o robotš szło, powtarzał:

Jeć chcesz? prawda? no to pracować musisz! Jak ci się odechce jeć, spocznieš sobie.

Tymi pogadankami słył Wiaduch, a miał język tak wyprawny, że czy duchownemu, czy kasztelanowi, czy wojewodzie gotów był powiedzieć toż samo, co chłopowi.

Gdy się go pytano, czy się kogo nie boi, mówił:

A jużci Pana Boga!

Nie dziwuje się nikt, że rycerze na wojnie na mierć idš nie mružš oka, to ich sprawa, ale Wiaduch też żadnej mierci się nie obawiał i żadnego niebezpieczeństwa.

Uchodziło mu to jego zuchwałstwo jako, choć kilka razy w dyby go brano i po sšdach włóczono. Zawsze bez prokuratora umiał się obronić tym swoim wyprawnym językiem.

Wiaduch siedział na kilku łanach ziemi, która, jak on twierdził, od wieków do jego rodu należała, ale Toporczyk Neorża, który póniej sandomierskim wojewodš był, w sšsiedztwie ziemie swoje mający, utrzymywał, że łany te do niego należały, że puszczone były tylko kmieciowi, który z nich i płacić był obowišzany, co tam dawać i posługi pewne pełnić.

Wszystko to razem wzięte snad nie tak wiele stanowiło dla Wiaducha, bo choć ziemię miał za swójš, Neorży co dawał i do sšdu z nim nie szedł.

Tak się to cišgnęło.

Wprawdzie byłby mógł sobie łatwo znaleźć gdzie indziej roli czy wyrobionej, czy zarosłej, ile by chciał z wolš na lat kilka lub kilkanacie i byłby mógł wynijć stšd choć gwałtem, ale mu žal było w pocie czoła obrobionego od tak dawna pola, chaty ojcowskiej, do której nawykł. Mówił, że stary był, żeby nowego szczęcia próbować, i choć Neorży nie lubił, nie ruszał się z miejsca.

Z Toporczykiem, dumnym a chciwym panem i z jego sołtysem i włodarzem sprawa była nie zawsze łatwa; przecież Wiaduch, choć cierpiał niemało, zawsze jako umiał się biedzie wyliznąć.

miejśc się czasem obiecywał sobie, iż Neorża, który bardzo zuchwałym był, popadnie kiedy pod klśćtwę kocielnš, a naówczas on się z ziemi jego wyniesie bez sportu.

Toporczyka samego rzadko kmieć widywał, słyszał o nim wiele, znał go dobrze, lecz unikał spotkania, a urzędników jego umiał sobie jednać.

W ogóle, choć mówił miało i ludziom się do zbytku nie kłaniał, zwad i sšdów unikał, sędziów nie lubił.

Gospodarstwo było u niego lepsze niż u innych, dobytku dužo, a że na targu wszystko się łatwo i prędko sprzedawało, choć trzeba było Neorzę zaspokoić, urzędników smarować, dziesięcinę do kocioła oddawać, a nieraz i podwodzie obronić, Wiaduch miał się dobrze.

Jak sam wielce zapobiegliwy był i pracowity, tak też dzieciom nie dozwalał odpoczywać. Syn musiał z nim cišgle być, a gdy go do miasta posłał, prędko powracać; córka przędła, tkala, szyła i matce pomagała.

Nie mógł się skarżyć, bo mu się ich udało oboje. Ciarach był dzielny parobczak, a Bogna, choć drobna i dziecinnie wyglšdajšca, piękna, żwawa, wesoła i pracowita.

Jednego wieczora, gdy włanie Wiaduch (bo to było na jesieni) powracał z pługiem do chaty, syna majšc przy sobie i parobka, a Garunica, która była wieczereżę przygotowała, stała w progu męża za co strofujšc na drodze się ukazał mężczyzna, prędeż młody niż stary, lat nad trzydzieci mieć mogšcy, który konia kulejšcego za uzdę prowadził.

Ubrany był tak, jak się dostatni ziemianie odziewać zwykli, czysto bardzo i z przyboru widać było, że z łowów powracać musiał.

Zmęczony był, a że koń ledwie na nogi stšpał, zatrzymał się we wrotach przypatrujšc chacie, jakby miarkował, czy też znajdzie przytułek chwilowy. Stary Wiaduch, Ciarach, parobek Wšż i Garunica obrócili się wszyscy, ciekawie mierzšc oczyma podróżnego.

Twarz, choć pańska, podobała się Leksie, który, gdy kto w nim na wejrzenie wstręt obudzał, nie pieszył nigdy ku niemu.

Hej! głodny jestem i zmęczony odezwał się stojšcy za płotem, nie dalibycie mi spoczšć i zjeć cokolwiek? Zapłacę dobrze...

Wiaduch przybliżył się pozdrawiajšc go, jak należało, lecz swoim obyczajem bez zbytniej uniżonoci. A był jako wesołej myli.

I bez zapłaty rzekł człek przecież człeka głodnego od progu nie odpycha. Ale miłociwy mój, wy, jak to z sukni widać i z twarzy, ani w chacie dymnej odpoczywać, ani z glinianej misy, drewnianš łyżkš jeć nie zwyklicie.

Ho! rozmiar się dobrodusznie za płotem stojący. Głód nie patrzy w misy, a zmęczenie strzechy i posłania nie wybiera.

Wiaduch zwrócił się do starej Garunicy.

No, babo rzekł aby wstydu nie miała! jest co jeć dla takiego władyki?

O ile Wiaduch się ze swš zamożnościš taił, o tyle stara Garunica lubiła się niš popisywać. A przy tym i na przekór czasem staremu co zrobić rada była.

Ale, ale rzekła nie ogaduj własnej chaty... Ja się nie powstydzę, choćby sam Neorża na wieczerzę się wprosił...

Usłyszawszy Neorży nazwisko podróżny spytał:

Neorża! a skšdže go znacie?

Jak go nie mam znać odparł Wiaduch przecie on uparcie chce się moim panem zwać, choć ja w to nie wierzę, bom sobie kmieć wolny, ale trudno mu wojnę wydawać.

To mówiąc stary wrota na podwórko otworzył i podróżny wszedł kulejścego mocno konia prowadząc za sobš. Wził go zaraz Ciarach, bo mu żal było bardzo pięknej szkapy, jakiej podobnej w życiu w ręku nie miał, i ujšwszy za chorš nogę, poczył się kopytu przypatrywać.

Po krótkim badaniu zabity w niš cierń ostry zręcznie dobył bez pomocy żadnego narzędzia i zawołał wesoło:

Nic mu nie będzie, tylko tłustociš zalać potrzeba.

Z ciekawociš się temu przypatrując podróżny zawołał wesoło:

Bóg zapłać! bo mi koń bardzo miły, a nieradem go widzieć kalekš.

Szli więc do chaty. Wiaduch go prowadził, ale podróżny ów, jak gdyby po raz pierwszy w życiu na wsi był, szedł bardzo powoli, z niezmiernym zajęciem przypatrując się wszystkiemu.

Stawał, spoglšdał, a choć nie pytał, widać było, że mu się to wszystko osobliwym wydawało.

Chata Wiaducha, tak jak on sam, nie odznaczała się niczym od pospolitych chiżyn kmiociów, chyba tym, że w niej sprzęt zwykły był czysty, mocno i porządnie zrobiony, niezsarzany i cały.

Jak we dworach ławy były dokoła, stół w jednym rogu wietlicy, ognisko w drugim. Podłogę zastępowało klepisko dobrze ubite i twarde. U drzwi, jak wszędzie, stało wiadro ze wieżš wodš i czerpakiem, na policach garncarskie naczynia, dalej łyżki, dzbanki i kubki drewniane, czerwono ozdobione, smołš wylewane. Na stole widać było bochenek chleba wieżego dobrze nakrojony, nóż przy nim i sól szarš w drobnych grudkach, bo tę lud naówczas za lepszš i oszczędniejszš uważał.

Nie było w tej porze gotowego nic jeszcze, ale ogień się palił, garnki stały przy nim wokoło. Garunica wprost do nich poszła. Miała jaja, była słonina, mleko zsiadłe, mietana, był miód w plastrze i chleb niecierstwy. Mieli i piwo niekwane, czegoż głodnemu podróżnemu więcej mogło być potrzeba?

Wszedłszy do izby podróżny znowu się dokoła obracając rozpatrywał, a Wiaduch nie spuszczał go z oka. Nareszcie, gdy obejrzawszy się siadł na ławie, gospodarz, wprowadzając opodał, usadowił się także. Mówiliśmy już, że dnia tego był dosyć wesół i język zawsze ohotny do obracania się w ustach usposobienie miał nie próżnować.

Jak podróżny chacie, tak Wiaduch jemu pilno się przyglądał; rad był wiedzieć, co za jednego miał w gocinie. Dostatek na

nim widać było ziemianina mógł się domyślać, ale i mieszczaństwo niektóre też się z pańska nosiło. Podróżny skinąwszy z umiechem głową gospodarzowi dosyć niezgrabnie wziął się do ukrojenia sobie kawałka chleba, posypał go solą i począł jeść chciwie.

Nie rozkazujcie wam, jeżeli łaska rzekł grzecznie gospodarz z daleka miłociwy pan?

Gość wskazał w stronę Krakowa.

Od Krakowa rzekł.

Pewnie ziemianin tuteczny? odparł Wiaduch.

Nie! głową potrzebując rzekł zajądający.

Zdziwił się Leksa, pomyślał, że pewnie urzędnika jakiego miał przed sobą.

Jużci nie mieszczanin... zamruczał to widać,

No rozmiar się badany nie jestem ci, prawda, mieszczaninem, ale przecie od miasta jestem...

Powiedzieć jako nie chciał, kto był, i Wiaduch dał mu pokój. Wiedział, że ziemianinem nie był, to mu starczyło.

A wam jak się tu dzieje? zapytał z kolei gość. Dużo ciężarów na sobie macie? Płacicie co Neorzy? To człek żądny grosza?

Znacie go, miłociwy panie rozmiar się Wiaduch ale który z nich inny! Każdy by rad wziść, czego sam nie zapracował! I nie dziw, potrzeba im dużo. A z czego by te szaty mieli piękne i woniki, i stroje, i klejnoty, i dobre jądło, i napitek zamorski?

Słuchał z ciekawości podróżny, który o chlebie nawet zapominać się zdawał. Usta mu się do miechu składały.

Jak was mianujsz zapytał.

Mnie na chrzcie świętym nazwano Leksś, a ludziska niepoczciwie ochrztili Wiaduchem... ruszył ramionami. Wiaduch! niech będzie Wiaduch!...

Gospodarka dobrze idzie? badał dalej goć.

Ano, idzie i kuleje: różnie bywa mówił poufale kmieć. Pracować trzeba, bo człek i na siebie, i na dzieci, na grad, na burzę, na złodzieja, na pana Neorzę i na księdza musi zarobić... Wszyscy żyjś z nas...

Taki jest, mój stary odparł wysłuchawszy przybyły ale wy lejecie pot, a drudzy was broniśc krew wylewajś.

Wiaduch się rozmiarł serdecznie.

No, krew i nasza się leje rzekł nie jeden raz... ale jaki tam Pan Bóg na wiecie porzśdek ustanowił, my ,go nie przerobimy.

Machnśł rękś.

Przecie chleb macie? pytał dalej ciekawy podróżny przypatrujśc się, jak Garunica z dziewczęciem około garnków chodziła.

Bywajś i głodne lata westchnśł kmieć. U mnie to tam jeszcze ziarna w zapasie trochę jest, a drudzy na przednówku czasem i trawę gotujś, zielsko i korę tartś jedzś... a z głodu mrś; który Boga w sercu nie ma, naówczas rozbija.

Rozmiarł się słuchajścy i dodał butno:

Nie dziw, bo ziemianie a rycerstwo często i głodu nie znajśc rozbijajś po gocińcach.

Zdawało się to miałe powiedzenie dziwić gospodarza; pomyłał w duchu, że juźci sam on do rycerstwa należeć nie mógł, kiedy się tak o nim odzywał.

Spojrzał bystro.

Miłociwy mój odezwał się poufale panom ziemianom się nie dziwować. Wszakże ci to z przeproszeniem i bydlę, gdy się dobrze naje, bryka a dokazuje. Im ci też tu w tym naszym królestwie wiele się dzieje.

Po namyle poprawił się Wiaduch.

Pono tak i wszędzie na wiecie.

Tak jest potwierdził goć w innych ziemiach tak samo albo i gorzej.

Nie zawsze to tak bywało poczśł Leksa ojcowie mówiś, wszyscy jednacy byli, potem się to popsuło... i kmieć na pół niewolnikiem został.

Ależ! zaprzeczył słuchajšcy kto wolen był, ten i jest!

Wiaduch głowš potrzšsnł.

Siła by o tym mówić rzekł.

Mówcie, proszę, rad posłucham wtršcił, do chleba powracajšc, siedzšcy na ławie. Kmieciowi tak le u nas nie jest...

Popatrzył mu w oczy Leksa i potrzšł głowš.

Ano rzekł tylko że za kmiecia zabitego lada kto, gdy zapłaci cztery grzywny winy, a za głowę bliskim szec, nic mu nie będzie, „a za ziemianina musi szecdziesišt dać „i czasem tego nie starczy... Kmieciowi, gdy mu dokuczy Neorza taki, nawet się z ziemi jego wynieć nie może; musi czekać wedle obyczaju albo na pana klštwy, albo żeby dziewczynie jego krzywdę wyrzšdził, lub by za jego długi pokutował... a i tak...

Przecież sędziów macie? zarzucił goć.

Sędziowie albo ziemianie sš, lub się ich bojš; sprawiedliwoci u nich nie znaleć. Osšdzš le, jakže tu sędziego naganie? Jeżeli kasztelan przy sšdzie był, gronostaje lub łasicę trzeba mu dać za to. Sędzia za każdš sprawę cztery grosze žšda, bo dla niego małej nie ma. Wony przyjdzie z czeladziš swš, bierze woły, suknie, siekiery, motyki... kiedy się czym opłacić nie masz.

Gdy tak Wiaduch rozprawiał, podróżny się przysłuchiwał coraz pilniej.

A jakaž by na to rada była, aby sprawiedliwość się działa każdemu? zapytał boć i kmieć jš powinien mieć.

Wiaduch aż z ławy wstał, tak mu się pytanie dziwnym zdało.

Popatrzył na badajšcego.

Miłociwy panie rzekł jam prosty człek, ale mnie się widzi, że na to rady nie ma. Chodzę ja do kocioła i słucham, co ksišdz rozpowiada; pono na wiecie tak bywało i do końca wiata zostanie.

Zamylił się goć, ale wtem Garunica z Bognš zaczęły się zwijać koło stołu przynoszšc jadło. A choć niewytworne ono by-

ło, chłopskie, głodny zabrał się doń miejšc, jakby po raz pierwszy w życiu tych przysmaków kosztował.

Smakowało mu wymienicie.

Wiaduch też miskę wzišwszy na kolana zajadał spuciwszy głowę.

Postawiła Bogna przed gościem dzbanek z piwem i prosty kubek drewniany, tylko z instynktem

kobiecym chcąc go przyjść dobrze, dobrała najpiękniejszy. wieżo był wystrugany, jak toczony, a na jasnym drzewie krasne obwódki jakby obręcze zakreślały.

Gość nalał sobie i do zapatrzonego ładnego dziewczęcia kiwnął głowę, przepił, aż się zarumieniło, twarz zakryło i ku ognisku cofnęło.

Jedli jakiś czas milczący, lecz młody pan wkrótce przerwał na nowo począł rozmowę.

Mówcież mi, proszę rzekł o waszym stanie i o dolegliwościach jego, dobrze to wiedzieć, aby radzić temu.

Wiaduch ruszył nieznacznie ramionami z niedowierzaniem.

Wiedzieć jak wiedzieć rozmyślał się ale poradzić ani król nie potrafi...

Ani król? podchwycił zdziwiony gość przestając jeść i wlepiając oczy w niego a to dlaczego? przecież siłę ma, wolę ma!

Ano, jeno rycerstwo swe musi oszczędzać, ziemianów nie drażnić, bo on panuje, a oni go trzymają. Za ziemiany i rycerstwem kmiecia nie widać. On stoi na końcu, ostatni.

Przecież król wszystkim panem jest sprzeciwił się słuchacz tak rycerstwu jak kmieciowi.

Pewnie rzekł Leksa ono się tak zwie, a w rzeczy tylko to prawda, że kmieć wszystkim służy, a nim się nie opiekuje nikt, krom Pana Boga.

To się przecież na opiekuna skarżyć nie możecie zamiał się słuchacz.

Nie skarżym się zamknął stary, którego rozmowa nie zdawała się bawić.

Zamilkli, pomilczeli, Garunica nową miskę przysunęła gociowi... Bogna wytarłszy fartuchem podała mu łyżkę drugą, za co się jej umiechnął tak, że znowu do ognia uciec musiała.

Zadumał się trochę przybyły, nim jeść począł głodu już pierwszego zbywszy, jakby co mu na myli ciężyło.

Więc nie bardzo sobie życie chwalicie? zapytał.

Ani chwałę, ni narzekam rzekł Wiaduch. Mam ci taką naturę, że wesoło biorę, co Bóg zele, bo gdybym się trapił, sam bym sobie szkodził... i tyle.

Znowu ręką zrobił ruch żywy, niby odpędzający.

Bywacie w Krakowie? zapytał podróżny.

Na targu i do kocioła czasem jeżdżę rzekł Leksa. Nie ciekawym...

Przecież jest na co patrzeć?

A w domu jest co robić! rzekł Wiaduch. Podróżny się umiechnął.

Po chwili stary kmieć dodał:

Patrzeć, to prawda, że jest na co, gdy pod pręgierzem stawiś złodziei, a kosterów z mieciska chłoszczśc wyganiajś, ani więcej się czym zabawić nie ma... Do piwa widnickiego kmieć się nie docinie, firtelnicy nie dopuszczś go nigdzie...

I na zamku nieraz by się czemu było przypatrzeć rzekł goć.

O! na zamek już chyba nam nie ić miał się Wiaduch tam droga dla panów, nie dla sukmany... A po co?

Po co? odparł podróżny. Jużci kiedyby się wam krzywda działa, dlaczegóżbycie i do króla nie mieli ić? On ci przecie najwyższym sędziś.

Leksa brwi podniósł do góry...

Boże uchowaj! a jakby król przez niewiadomoć osđdził le, naganiać go się nie godziłoby, bo za naganę i sobola byłoby mało, a do kogo sprawa, do Boga...

Nie bardzo więc królowi ufacie? Spytał ciekawie goć. Pytanie to zdumiało i może nastraszyło miecia; zamylił

się, długo zbierał z odpowiedziś.

Król! król! poczśł. Ma on o czym innym myleć, nie o nas.

I o was powinien... rzekł podróżny.

Wiaduch dziwnie się mu poczśł przypatrywać, rad był już odgadnść, z kim miał do czynienia.

Nie lubicie go? wtrścił goć.

Na to pytanie spowaźniała twarz Wiaducha.

Złego on nam nie zrobił nic rzekł mylę, że dobrze by chciał, ano nie może... Nieboszczyka starego Łokcia tomy znali, młodego trudno zobaczyć... Tamten dobry był... a i z prostym kmiem jak z człowiekiem się nieraz rozgadał.

Lekki rumieniec wystśpił na twarz podróżnemu.

Tamtego mówił zbliżajśc się doń Leksa mymy i ratowali nieraz, gdy się opuszczony od rycerstwa po kraju błśkał... ot tam wedle jaskiń i wśwozów! Kmiecie za niego broń brali i krew przelewali... pamiętamy to!

I syn jego wam to pewnie będzie pamiętał odparł spierając się na rękę zadumany gość.

Popił piwem trochę, wlepił oczy w Wiaducha, który prawil cišgle:

W tym starym jakby ojca i brata mymy czuli. Żył tak jako my, dla rycerstwa był surowy, dla nas dobry... Pan Bóg mu to wynagrodził, boć się korony dobił...

Podróżny z ławy wstał poruszony dziwnie i przejęty... obejrzał się, wieczór nadchodził.

Bóg zapłać, gospodarzu, Bóg zapłacić, gospośiu, i wam dodał skinšwszy Bognie.

To mówišc powoli do kalety sięgnšł i zabręczały w niej grosze.

Wiaduch się namarszczył.

Krzywdy mi nie czyńcie rzekł spokojnie za gocińš nikt nie bierze zapłaty...

Dlaczego? zapytał podróżny.

Po starym obyczajui nie godzi się to przerwał Leksa chata nie gospoda... Krzywdy nie czyńcie. Kmieć jestem i choć Neorża kłamie, żem jego, byłem i będę wolny...

Poczšł się umiechać chcšc obrócić to w żart. Goć stał wielce zakłopotany myślał.

Na ostatek z ręki, z palca cišgnšł piercień i skinšł na Bognę, która, zamiast zbliżyć się, skryła się w kšt przestraszona.

Chciałem choć dziecku waszemu pamištkę zostawić odezwał się niechajby miała na zrękowiny, gdy za mšz ić będzie...

To mówišc i nie chcšc dziewczęcia zmuszać, piercień wiecšcy dużym okiem na stole położył, pokłonił się i szedł na próg, a Wiaduch za nim.

Ciarach pobiegł do konia, który, choć nakuliwał nieco, ale napojony i wypoczęty trochę, był daleko raniejszy. Podróżny dziękował znowu wszystkim dokoła, siadł rano na wierzchowca i za bramę się wydostawszy dosyć piesznie pojechał, a zarola go wprędcie im zasłoniły.

Gdy Wiaduch do izby powrócił, zastał wszystkich zapatrzonych nad piercieniem Bogny... Był on z czystego złota, a na przedzie miał jakby sznurem poopasywany kamień czerwony, w którym pod słońce woda się przelewać zdawała. Nie mogli mu się nadziwić ani nacieszyć nim, tylko Wiaduch stał mocno zadumany. Na próżno starał się odgadnšć, kto był ten goć, co o sobie nic powiedzieć nie chciał, a przed którym on się tak szczerze wygadywał...

Do duchownego, choć oni naówczas różnie się ubierali, nie był podobnym; na mieszcucha był za wielkim panem, a Go rycerstwa się nie przyznawał. Trudno było zaiste odgadnšć. Przy tym nie musiał być ubogi, bo podarek, choćby nie złoty był (rozpoznać nie umieli kruszcu), zawsze się drogim im wydawał.

Sama Garunica nie chcąc go Bognie powierzyć, gdy się wszyscy przypatrzyli piercieniowi, zawinęła go w czystą szmatę i poszła zachować do skrzyni.

Na dworze ciemniać się zaczynało.

Ciarach jeszcze około szop i dobytku chodził z Wężem, a Bogna wiaderko wieżej wody niosła do chaty, gdy na drodze zaczęło tętnić i krzyki, głosy i hukania się ozwały.

Noc się rzadko trafiało, aby tędy kto przejeżdżał; dla bezpieczeństwa pobiegł Ciarach wrota wielkie drżgiem założyć, gdy już około nich stanęli jacy jezdni, których w ciemności ni twarzy, ni odzieży nie można było rozeznąć, Ciarach tylko dopatrzył się, że zbrojni byli, a rozmawiali między sobą hałaśliwie, głośno, niespokojnie, jak gdyby się kłócili.

Jeden z nich klął i nawoływał.

Sam tu? Ciarach się odezwał. A czego chcecie?

Jechał kto tś drogś?

Mało kto tś drogś jedzi odparł chłopak.

Ano... dzi, teraz, niedawno! Nie widzieliście kogo? Zbliżył się Wiaduch i zwyczajem wieniaczym na pytanie

odpowiedział drugim:

A kogóż wam potrzeba? Rozmieli się słuchajscy.

Ciekaw, bestia, chłop! Pan tędy jechał jaki...?

Był jeden.

Na jakim koniu?

Ciarach mać im i piękność opisał i wnet się podniosły krzyki:

To on! on!

Jechał tędy, godzina temu albo więcej, gdy ruszył dalej; konia miał zranionego w nogę i tu spoczywał, a posilił się, bo i my mu dali, na co stało...

Zdrówże był? nic mu?

Jako my wszyscy rzekł Wiaduch zdrów jak ryba i dosyć wesoły był... ino mi nie chciał mówić, kto on... a zlitowałibycie się nade mnś, gdybycie mi jego nazwisko dali...

Wesołe tłumne głosy nie dawały usłyszeć nic.

Jedmy, gońmy! poczęto wołać ochoczo.

E! szczęśliwy ty, chłopie odezwał się jeden zza ploty nie wiesz, kogo w chacie przyjmował, gdy ci pany wszystkie zazdrościć będą!!

Kogóż? przerwał Wiaduch.

Króla miał, król u ciebie był! krzyknął jeden i nie czekajśc dłużej, jak prędko przypadli, tak prędzej jeszcze dalej pobiegli.

Wiaduch i Ciarach stali w osłupieniu, Kmieć się zamylił głęboko, ręce zacisnął, czoło namarszczył...

To się też ode mnie nasłuchał! powiedział sobie w duchu.

Tymczasem Ciarach i Bogna biegli do matki wołajśc, parobek się za głowę trzymał powstała wrzawa i trwoga...

Król! król!

Aby się tylko czego nie rozsierdził na mnie powiedział Sobie Wiaduch bo ze mnie ciśgnął, com na duszy miał. Ano, wola Boża... co ma być, to będzie.

Poszedł smutny nazad do chaty. Ale tu, gdy rozważać zaczęli, jak patrzył, co mówił, jak się do Bogny umiechał, jak jej piercień podarował, wszelka trwoga ustąpić musiała i sam kmieć uznał, że król gniewnym być nie mógł.

Rozwahał teraz i on, i wszyscy, jak on do innych ludzi i rycerstwa był podobny, a po niczym w nim królewskoci jego odgadnąć nie było można.

Chociaż niespodziane te odwiedziny wielkie nawet na Leksie uczyniły wrażenie, jednakże wstał do dnia swoim zwyczajem i na: pole wyszedł.

Ciarach też i Wśż rozprawiajśc o wczorajszym przez cały dzień ani się spostrzegli, jak wieczora doczekali. Ani dnia tego, ani następnych nie przyszło nic takiego, co by mogło gniew króla albo jego łaskę im oznajmić.

Powoli więc zacierało się wspomnienie, a w miesiśc potem Wiaduch żartujśc sobie opowiadał, jak króla poufale siedzśc przy nim na ławie przyjmował.

Już był uspokojony zupełnie, gdy jednego południa zawrzało przed wrotami aż strach. Wiaduch był na polu, Garunica z córks, choć nie bardzo trwożliwa, zapałała się w pustej chacie i myślała, czy się nie wdrapać na wyżki drabinę wciśgajśc za sobś, bo rycerstwo jakie zuchwałe strasznie kłęto i dokazywało o Wiaducha się upominajśc.

Baba wyjrzawszy ostrożnie spoza zasuwy poznała Neorzę.

Sam on był opasły człek, któremu z konia leć i na konia wdrapać było trudno; czerwona okrśgła twarz

paskudna, oczy małe, czarne; siedział na szkapie opastej jak sam i wciekał się...

Wiaducha wołano na gwałt.

Był niedaleko na swoim łanie i posłyszawszy hałas, powoli, rękami w kieszeniach ukazał się w dziedzińcu. Zobaczywszy 1 poznawszy Neorzę zdjął czapkę i pokłonił się, ale go łajanie i gniew wcale nie poruszało.

Przystąpił blisko.

Neorza rękę, w której bat trzymał, do góry podniósł,

Tu mi! krzyknął ha! zbiju... Będiesz ty na mnie królowi skarżył?... dam ja ci... skórę zedrę z ciebie.

Ja? zapytał Wiaduch ze zwykłym swym spokojności szyderską i niecierpliwiścią gorzej niż zuchwalstwo. Ja?

A któż?

Nie wiem; jam na was nie skarżył rzekł Leksa zwolna. Mówiłem ci z Miłociś Jego i był u mnie gościem, ale o Wasz Miłość nie pytał, a jam nie wiedział, kto on jest.

Neorza patrzył nań i pięci ciskał w kulaki.

Osyp dale? grzywnę zapłacił? krzyknął.

Nie winienem nic rzekł Wiaduch patrząc w ziemię.

Było ci dotąd dobrze na mojej ziemi zawołał pan bo ziemia ta moja i jak pies łże, kto mówi inaczej... siedziały spokojny... teraz dopiero poznasz, jakim ja być umiem, bo skarżył na mnie!

Wiaduch popatrzał nań.

Król na was skarżył przede mną odparł obojętnie nie ja przed nim...

Pan nie odpowiadał nic.

Czyńcie sobie, co chcecie dodał Leksa wola wasza.

Neorza miał widać wielką ochotę inaczej się z kmieciem rozprawić, lecz co go wstrzymało. Podniósł rękę do góry i pogroził.

Poznasz ty mnie! zawołał poznasz...

I batem z całych sił skropiwszy konia pobiegł dalej, a dwór i ludzie za nim się pucili.

Wiaduch nałożył czapkę na uszy, ręce powkładał w kieszenie, obejrzał się ku studni, a że na zrębie

wiadro stało, poszedł się napić z niego, otarł usta i tak obojętny, jak przyszedł, do swojego pługa powrócił.

Ciarach myślał, że mu co powie.

Wiu, hot odezwał się na konie i orać począł.

W chacie cicho było, ale w dni trzy urzędnik Neorży stóg siana z łski Wiaducha w biały dzień zabrał do siebie. Na zapytanie odparł, że takie było przykazanie, że trzy miarki żyta miał zaraz przywieść Leksa i pół grzywny zapłacić.

Za co?

Włodarz powtórzył krótko, że takie było przykazanie.

Nazajutrz dwóch urzędników włodarskich wzięło gwałtem, wóz i konie, nie wiadomo dokąd i na jak długo. Ciarach, żeby mu chudoby nie zniszczono, siadł tam i też pojechał.

Zaczynało się przeladowanie.

Wiaduch cierpiał, lecz nie syknął, Garunica po całych dniach klęła.

Milczałaby, babo rzekł do niej nie pomoże to nic. Poczekamy mało, a jak się wilczyśko nie nasyci rychło, no, to pociśgniemy w wiat. Ziemi jest dosyć... Jam ci nie niewolnik, a człek z pradziadów swobodny...

Garunicy starsz chatę opucić było, jak życie stracić, płakała.

Wóz z końmi spędzonymi ledwie powrócił, aż włodarz byczka z obory wziął. Takie było przykazanie.

Na polu, w trzodzie owiec, psy jego szkodę zrzędziły umylną, kilka owiec było pokaleczonych. Gdy Wiaduch zagadywał go o to, odpowiedział mu:

Przykazanie mam! Czekaj nie koniec! będzie więcej.

Jeden z czeladzi włodarskiej przyszedł potem wieczór, niby z wielkiej przyjani podszeptając, żeby Wiaduch z podarkiem do „Neorży pojechał przebłagać, ukorzyć się i o przebaczenie prosić.

Kmieć nic na to nie odpowiedział, zmarszczył się i wkrótce go zbył.

Id, skąd cię wysłali.

Baby rozpaczały; nielepiej może było Wiaduchowi, ale on, im go mocniej bolało, szczelniej usta zaciskał.

Wtem jednego dnia, gdy na południe do chaty przyszedł, słyszy wołanie w dziedzińcu i miech

wesoły...

Nim się do progu dostał, ujrzał zbliżającego się do chaty króla, który parę psów z sobą wiodąc, konia zostawiwszy u wrót, wchodził już wołając:

Zdrów bywaj, gospodarzu!

Wiaduch, jak panu należało, do nóg przypadł.

Wstawajże, stary odezwał się król bśd ze mnś tak, Jake był pierwszym razem. Na zamku ja królem jestem, a tu jam prosty myliwy...

I siadł na ławie. Psy mu na kolanach głowy ogromne pokładły.

Wiaduch stał milczący.

Mówcie mi, cóż tam? baby zdrowe? żyto wschodzi? Kmieć się zupełnie opamiętał i ochłonął z pierwszego niepokoju.

Miłociwy panie rzekł wycie dobrzy dla ludzi, ale co za wami chodzi, licha warto... Neorża mnie przeladuje za to, jakobym skarżył się przed wami nań. Dalej nie strzymam!

Głos mu zadrżał. Król oburzył się.

Niepoczciwy człek zawołał mówcie, co wam uczynił? Wiaduch poczył skargi rozwodzić, ale jak zawsze chłodno,

z pomiarkowaniem, z szyderstwem.

Do sśdu go pozwij rzekł król.

W sśdzie siedzi albo brat, albo swat, do sśdu bez datku nie dostępię, nie stać mnie nań. Królowi zapłonęła twarz.

Spokojny bśd odezwał się powstając z ławy ja go zawezwę juto na sśd przed się... U mnie on nie wygra sprawy.

Wiaduch podbiegł do Kamirza ze złożonymi rękoma.

Królu, panie! krzyknął a nie czyńcież tego! Neorża mnie potem zje przez zemstę, a ja zawsze do was na skargę chodzić nie będę mógł... Trudno. Wy macie całe królestwo, o którym musicie pamiętać, nie mnie jednego. Nie zawsze czas, nie zawsze wy tutaj... Pojedziecie na Ru... na Węgry, Bóg wie dokąd, w odwiedziny jakie do królów, na łowy. Was nie będzie, a Neorzę ja na karku zawsze będę miał.

Cóż ja ci uczynić mogę? zapytał smutnie król na pół przekonany.

Kmieć westchnął, myślał czas jaki, niby nie miejsc powiedzieć, co mu się do ust cisnęło.

Mów! dodał król żywo.

Nic wy dla mnie uczynić nie możecie z cicha odparł Wiaduch a nie tylko dla mnie, ale i dla nas wszystkich kmieci, ilu nas jest. Panów ziemian jeden król nie upilnuje ani strzyma... Wy wiedzieć i wiedzieć nie możecie, co się z nami dzieje. Spytacie, powiedzś wam, że spełnili rozkaz, a nas będś dusili, jak duszś... E! dodał ja z Neorzś moim powoli sobie radę dam... jam nie wieczny ani on...

Posmutniał król.

Wierz mi, gospodarzu rzekł iżbym los wasz poprawić chciał, ale, masz ty słuszność król bezsilny przeciw nim...

Ha! dodał szydersko na to już chyba tę jednś macie radę: krzesiwo u pasa, na polu się krzemień znajdzie, w lesie huba ronie...

Kmieć się umiechnął smutnie.

Tać rzekł niejeden się tego sposobu chwycił, gdy innego nie było, ale to już chyba ostatni.

Zażśdał król mleka.

Zesłali mu ręcznik czysty, przynieśli chleb wieży, na ławie siadł. Dwór miał rozkaz, aby na pana za wrotami czekał.

Gospodarstwo oboje, pyszni tym, że pana przyjmowali, krzśtali się, aby ugocić... Garunica nawet psom mleka postawiła na misie u pieca.

Król tymczasem rozpytywał starego o gospodarstwo, o życie,

o zarobek, o ciężary...

Omielajścy się coraz bardziej stary Leksa tak w końcu poufale i swobodnie odpowiadał, jakby z prostym człowiekiem rozmawiał. Daleko mniej straszny mu był król od Neorzy.

Znowu tedy nazwisko to się nawinęło na usta kmieciowi.

A to się powinien pocieszyć, mój stary rzekł król do niego bo nie ciebie jednego odziera Neorza, próbował i mnie.

Miłociwy panie! a jakżeby się on ważył! zawołał kmieć.

Jak? tak jako na ciebie rozmał się Kamirz. masz wiedzieć, że w Wieliczce przy soli konie moje żupnicy utrzymywać majś powinnoć... Dobrze się tym szkapom dzieje... Neorzy się też zachciało swoich tam parę dać, aby mu je żywiono darmo. Trukla i Lewko, gdy je przyprowadzono, nie mieli odpędzić... jadły więc moje obroki i spały się...

Wiaduch głowś pokręcał.

Alem dobrze skarcił tego miałka dodał Kamirz

i zakazałem, aby mi się na oczy nie pokazywał...

Ot, czego mu się zachciało! rozmiar się gospodarz...

Widzicie więc dokończył Kamirz żem ja od was nielepszy i mnie drś. A nie jeden Neorża, ale i drugich wielu... Trudno mi wszystko wiedzieć i być wszędzie...

Tak się dalej przeciśgnęła rozmowa, bo król o stan kmieci rozpytywał pilno. Gdy na ostatek zabierał się do odjazdu, Wiaduch za połę sukni go ujął i całując ją szepnął:

Miłociwy panie, dobrzy dla nas być chcecie, uczyńcież to dla mnie, a między Neorżę a mnie nie wkładajcie palca... bo się mcić będzie. Ja sobie z nim poradzę.

Krzesiwem? spytał Kamirz.

To już na ostatnie danie zostawić muszę odparł wieniak... i głowś potrząsnął.

Przeprowadził króla aż do wrót.

Tym razem Bogna wcale się nie pokazała, choć Kochan, który z królem, był, a o piękności jej słyszał od pana, poglądał, czy nie zobaczy dziewczęcia. Matka z jakś trwogś przecucia skryła ją w komorze, tak że tylko przez szpary drzwi mogła się przypatrywać królowi...

Jechali nazad ku Krakowu, Kamirz przodem, tuż za nim Kochan, który odwiedzin inaczej sobie nie umiał wytłumaczyć, chyba tym, że mu dziewczę ładne w oko wpadło...

Zagadnął więc o to, że Bogny im nie pokazano.

Król się obejrzał nań szydersko.

Dobrze uczynili rzekł bo nie na to ją chowali, aby się zmarnowała. Żal by jej było.. Ziemianka a mieszcza... niewiele sobie waży niewieciś pocziwoć, ale u kmiecia ta rzecz święta i tykać się nie godzi, co u niego skarbem jedynym.

Kochan się miał zaczął po cichu.

Miłociwy panie odezwał się ziemianie was nie darmo królem chłopów przezywajś...

Mylał, że Kamirz to wemie do serca, lecz umiech tylko wywołał na usta pańskie.

Mylisz, Kochan, że ja bym się powstydział królem im być, gdybym mógł? rzekł. Toć niedola moja, żem ja tu król malowany, wiele pragnę, a mogę mało!!

Westchnął i jechali dalej milczący.

Neorża ów, który miał posiadłości w sandomierskiej ziemi i w Krakowskim, należał do Toporczyków, to jest do najmożniejszego i jednego z najstarszych rodów w Krakowskim, który się już i po innych ziemiach rozrodził, a wszędzie możliwym był.

Dwór też miał w Krakowie, w którym często przesiadywał.

Królowi w pocztkach przypodobać się starał marząc o wielkich dostojenstwach i łaskach, a chociaż Kamirz, obdarzony instynktem dobrym do ludzi, pochlebcy zapobiegliwego nie lubił, zimno go przyjmował odpychany narzucał mu się gwałtem

Nierychło dopiero postrzegł, że Kamirza ani zmusi, ni podejdzie, i choć województwo mu dawniej przyobiecano, aby się go zbyć, łask się już więcej nie spodziewał.

Przed ludmi Neorża nie wydawał się z tym zawodem, mówił wiele o swej przyszłości, lecz do króla zśb miał i nie lubił go.

Nie było im wszystkim zbytnikom w ład, że Kamirz porządkiem chciał zaprowadzić wszędzie, wglądał we wszystko, z chłopami rozmawiał o tym, co im ciążyło, Żydów do siebie puszczać kazał ze skargami, żupom i dochodom z nich marnować się nie dawał...

I Neorża, i inni na to szemrali mocno; nie takiego króla mieć by byli chcieli.

Gdy się wydało przez Lewka, który Wieliczkę trzymał, o owych koniach narzuconych mu przez Neorżę. a król przepędzić je kazawszy srodze się pogniewał i winowajcy na zamek do siebie nie kazał puszczać, wpadł w gniew wielki Neorża.

Takich jak ów niechętnych z różnych powodów Kamirzowi było wielu. Sarkało po cichu duchowieństwo, bo arcybiskup Bogoria, zbyt, według niego, był królowi powolny, ziemianie się skarżyli, że w sędach im nie dawano przewodzić i pilno strzeżono wymiaru sprawiedliwoci.

Nie lubiano i ks. Jana Suchywilka, który był nieustannie radcą przy królu, bo ani duchowni, ani rycerstwo z tego surowego prawnika nie byli radzi.

Z dniem każdym mnożyły się skargi i żale na króla.

Wiedział o nich czy nie, Kamirz? donoszono mu czy tajono? nie było można poznać, bo po sobie nie okazywał, aby dbał wiele o ludzkie mowy i niechęci. Nie wstrzymało go nigdy nic na drodze, którą sobie wyznaczył.

Do niechętnych królowi liczył się i młody ksiądz, Marcin Baryczka, z rodziny która niegdy z Węgier przesiedliła się była na Ru, zrodzony z Grzymalanki, a z, a granicą wychowany, z wymowy, surowoci obyczajów i nieustraszonego charakteru słynący.

Naówczas jeszcze ks. Baryczka wikariuszem był tylko i przy biskupie krakowskim na dworze jego zostawał.

Mało znaczył młody wikariusz, lecz mu już naówczas ludzie przepowiadali w Kocie dostojeństwa wielkie.

Gdy inni kapłani zawsze po trosze ludmi się okazywali,

o beneficjach, o godnoci, o podnoszeniu się myleli i stan duchowny dla nich był drogš do ziemskiego celu, u ks, Marcina nic nie ważyło, oprócz co jego powołanie mu nakazywało. W ogień, w wodę, gdzie wołała powinność, zawsze był gotów

i to tak chłodno a cicho, jakby najprostsž rzecz spełniał.

Wszyscy go szanowali, ale mało kto się nie obawiał. Czasem i biskupowi bywał niedogodny, gdyż ustępstw żadnych n,ie rozumiał. W sprawie Bożej gotów był ić przebojem nie zważajšc na nic.

Sama jego powierzchowność budziła trwogę. Żółty, wychudły, asceta, na modlitwach i karceniu ciała przedwczenie zestarzały, wzrok miał ostry, przenikajšcy, głos suchy i niemiły, ruchy gwałtowne. Cnota w nim przechodziła w namiętność, nabożeństwo w pasję. Na kazalnicy niemal szalony zapał go ożywiał.

Przez Grzymalankę, matkę swš, spokrewniony był z Neoržš, którego wujem zwał i widywał go doć często,

Dwór Neorży drewniany i nieokany stał na Okolu. Siedział w nim jeden odwierny, baba i stary dworzanin., gdy pana nie było. Kilka izb skłšdały mieszkania opuszczone, zaniedbane, które przeciež jednš izbę więksž miało, aby było gdzie ludzi przyjmować.

Chciwy i skšpy Neorža nieczęsto ich u siebie miewał i niebardzo się doń kwapił, bo nie po pańsku przyjmował, choćby go było na to stać, Jadł sam i pił dužo, często żarłocznie, lecz bez wyboru... Najprostsze potrawy, kwane piwo wszystko mu było dobre... Gdy nikogo w domu nie miał, jadał, co dla czeladzi gotowano, nie przebierajšc, byle mu najwięcksž misę zastawiono.

W kilka dni po bytnoci króla u Wiaducha, gdy konie mu wypędzone z Wieliczki parobek przyprzewadził, a dowiedział się.

ze król gniewny nie tylko je wygnać kazał, ale się na niego odgrażał i na oczy go do siebie nie kazał puszczać, wpadł w złoć okrutnš.

Nie było jej na kim spędzić, a nawet i przed kim się z niš wylać, bo sam się został. Ludzie dowiedziawszy się o głonej niełasce królewskiej stronili od niego, jak to zwykle bywa.

Nie było nikogo przez cały dzień aż do wieczora, gdy podsędzia sandomierski, Jako, Grochem zwany, przywłókl się o zmroku.

Jako Groch takze do malkontentów należał. Jako prawnik, był to samouk, który, mało co nauki przy szkole u Panny Marii w Krakowie liznšwszy, naprzód skryptorem był przy sšdzie, potem wdrożywszy się w prawo wyszedł, gdy innego nie było, na podsędzie. Im mniej umiał, tym się dumniej z tš odrobinš nosił do zbytku.

Chytry, chciwy jak Neorża, biedny przy tym, słyński z tego Jako Groch, że najlepiej w sędzie z win, groszy i różnych opłat korzystać umiał. Ludzie się nań skarżyli nie zważał na to. On też na cały wiat stękał, a szczególnie na to, iż tak małym był dotąd, gdy się czuł najwyższych miejsc godnym.

Neorża zobaczywszy w progu długiego tego i jak kij wyprostowanego Grocha natychmiast wybuchnął:

Wiesz! wiesz! poczł wołać, niewyranie bełkoczśc, bo język miał tłusty. . Wiesz ty, czego my to doczekali? Króla chłopów! a tak! Dla nich on jak ojciec rodzony, dla nas, ziemian starych, kat, tyran... Patrzajże dodał mnie, ziemianinowi staremu, Toporowi, mizernych parę koni nie wolno było Żydowi łotrowi na wypas dać w Wieliczce! Kazał natychmiast szkapy... precz!... Hę?... co mówisz na to?

Czekał na odpowiedź, lecz Groch tylko gębs wywracał.

Do mojego kmiecia, tego obwiesia Wiaducha. jedi król, w gocie... ,a mnie na zamek nie puszczajś! Rozumiesz ty to?

Groch się zebrał na krótkś odpowiedź.

Tak u nas wszystko...

Co on sobie myli, ten król? zawrzał Neorża że z nami, rycerstwem i ziemiany, jak z niewolnikami będzie postępował...

Przechodząc po izbie sapał mocno Neorża. Groch tymczasem rozglądał się po pustce. Nie był on tak chciwym jadła i napoju jak gospodarz domu, ale rad jednak bywał przyjęciu, bo go od zapłaty za strawę i napitek uwalniało.

Neorzę też gniew wewnątrz palił... klasnął i odartemu parobczakowi kazał piwa utoczyć. Przyniesiono cynowy dzban i kubki gliniane. Siedli do cienkusa. Neorża sapał, Groch stękał.

Tamtemu ciśgle jedno na usta wracało konie wypędzone z Wieliczki... Podsędzia dzielił jego oburzenie.

Po drugim kubku cicho poczł:

Pewnie, że się wam krzywda stała... Wasze konie króla by nie objadły, ale to jeszcze nic... Gorsze się zwiastujś rzeczy. Kamień na kamieniu nie zostanie.

Hę? spytał Neorża zdumiony gdzie?

Jak te ziemie długie i szerokie, oni tu wszystko poprzerałajś...

Kto?

Ano, Suchywilk ,i król odparł cicho Groch, który! i skarżyć się nie chciał, i podsłuchanym się być

obawiał.

Neorża zdumiał się mocno.

Co? co? gadaj! wyjšknšł pochylajšc się ku niemu.

Nic nie wiecie?

Gospodarz ramionami ruszył i kubek wychylił.

Suchywilk gdzie za górami nauczył się takich rzeczy, które na naszej ziemi nigdy nie rosły. Chcš nam tu sadzić winnice, kiedy u nas proste drzewa marznš. Prawo! prawo, słyszę, dali wszędzie spisywać i co były różne obyczaje w ziemiach różnych od wiek wieków, chcš wszędzie nowe zaprowadzić, jak z igły nowe...

Neorży od słuchania oczy rosły, lecz niedobrze zrozumiał.

Co? co? bškał po cichu.

Teraz my, sędziowie cišgnšł w piersi się palcem uderzajšc Groch my widzimy, słuchamy, wazymy i sšdzimy według sumienia... otóż nie! to się im nie podoba... każš nam sšdzić wedle prawa pisanego!

Rozmiał się szydersko.

Ale to nie może być! zawołał Neorża wzburzony.

A król tego chce, bo mu Suchywilk nagadał, że tak jest gdzie indziej na wiecie.

miał się gorzko podsędzia.

Hej! hej! dodał pilnujcie się, panowie ziemianie! pilnujcie. Co dzi na nas, sędziów, przyszło, jutro na was. Stary obyczaj wszystek rzucš pod nogi i podepczš, a po swojemu wystrojš to królestwo na węgierski czy czeski sposób.

Neorża zamilkł ze zgrozy i oburzenia.

Mało, że nas, sędziów, zgniecie i niewolnikami prawa zrobi mówił Groch. Słychać ze wszech stron tylko wywracanie i przerabianie... Jakie zdrowe były nasze dwory drewniane... he! król wszystko murować każe... a w murze mieszkać to mierć! Chce nas wygubić. Sól nam Pan Bóg dał dla wszystkich. Dawniej człeczyna jej, za co miał, za to sobie dostał w Wieliczce, teraz... ho! nastaly rachunki, Żydzi karbujš każdš miarkę i wpisujš do rejestru.

A moje szkapy precz z Wieliczki! wyjšknšł zbołaly Neorża. Ot co... ot co! Ziemianom i rycerstwu poczšł bełkotać król krzyw... oni mu nie w smak... dla chłopów i dla Żydów serce ma tylko... Lewko, ten z Wieliczki, co moje konie, bestia, zdradził, i monetę trzyma, i sól trzyma, i co powie, to więte... Mojego kmiecia, zbója chytrego, król po ramieniu klepie... a my... co my?! co my?!

Skończenie wiata! rzekł Groch patrząc na dno kubka, w którym już nic nie było.

Wtem w progu zjawił się ksiądz Marcin Baryczka, który pono chwilę tu już stał, nim go postrzeżono.

Groch, który dla duchownych był z niezmiernym poszanowaniem i pokorą, poszedł go w rękę pocałować. Neorża wstał.

Zrobiono miejsce. Siadł ksiądz Baryczka z twarzą chmurną i posępną.

Słyszę, że się na króla JMci uskarżacie rzekł potrząsając głową.

Neorża rozkładając ręce obrzękłe zwrócił się ku niemu z bolesnym wyrazem twarzy.

Słyszeliście, co się stało z moimi końmi w Wieliczce? he? O pomstę do Boga to woła!

Zdumiał się ks. Baryczka.

Miałem parę szkap na wypasie u Lewka dodał gospodarz król precz je kazał wygnąć.

A jakież prawo miały je tam trzymać? zapytał Baryczka.

Prawo? z oburzeniem krzyknął Neorża takie prawo, że jak wiek wieków tam ludzie tacy jak ja... wypasali i po dwa i po cztery... Żyda by lichy przez to nie wzięło ani króla też.

Ks. Baryczka głową pokręcił.

Mało tego podchwycił gospodarz. Posłuchajcie, co Groch prawi; włosy powstają na głowie!

Ksiądz się zwrócił ku podsędiemu.

Strach! rzekł Groch prawo, słyszę, nowe piszą Umiechnął się Baryczka.

Groch zaczął narzekać długo i z coraz większym zapałem, lecz na duchownym wrażenia nie uczynił. Słuchał go obojętny.

To jeszcze nie jest najgorszym z tego, co czyni król odezwał się surowo.

Oba słuchacze zamilkli. Ksiądz smutne przybrał oblicze.

Potomka mieć chciał, nie było w tym nic złego, zenił się z tą Czeską, która mu umarła... Palec był Boży! Zaraz po niej król Jan i syn jego wyswatali mu Adelajdę Heską... Długoż z nią żył? a co się teraz dzieje?

Groch głową trząsnął.

Ta Niemkini, która mu i dwu tysięcy kóp posagu nie przyniosła, a w dodatku szpetna...

Zenił się z nią przecie przerwał ksiądz.,

Widziałem ja jš mruknšł Neorża a choć króla nie lubię, ale go nie winię. Brzydka to baba, a po naszymu słowa nie umie i mówiš, że na umyle słaba.

Przecie żona dodał Baryczka.

Za tš się nie macie co tak ujmować rzeki Groch krzywda się jej nie dzieje. Królowi wstręt czyniła, posadził jš na zamku w Żarnowcu i żyje sobie jako królowa, tyle tylko, że męża nie widzi. Ale szpetna bardzo...

Groch głowš kręcił.

Nie mógł z niš żyć rzekł Baryczka choć. po Bożemu należało się to... bo człowiek nie do rozkoszy się rodził... oddalił jš... niechby i tak było... ale na cóż sobie innych szuka... i zgorzenie ludziom daje?

Słowa te, które dobitnie i surowo wyrzekł ks. Baryczka, nie znalazły jako oddźwięku i potwierdzenia w słuchaczach, tak samo jak utyskiwania na nowe prawa u niego.

Neorża i Groch spucili oczy. Nie byli oni bez grzechu, a w owych czasach, gdy ludzkie namiętności wybuchały gwałtowniej, mało kto czystym życiem mógł się pochlubić.

Srogi więc sšd ks. Baryczki przyjęto milczeniem.

Wina króla mówił dalej duchowny iż się daje do złego cišgnšć... ulega chuciom; ale nie mniejsza tych z kapłanów naszych, co z nim obcuješ, z nim żyješ, patrzeš na to, a nie strofujš go i nie karcš. Wie pewnie o zbytkach tych pasterz nasz gnienieński, bo przy królu często bywa, wie ks. Suchywilk, co ze dworca pańskiego nie wychodzi, wiezš kapelanowie... ale milczš.

Słuchacze milczeli uparcie.

Groch znajdował, że spisywanie praw nowych było grzechem daleko większym, a Neorży się zdawało, że wypędzenie koni jego z Wieliczki było straszniejsz jeszcze zbrodniš.

Gdybym ja na dworze był dodał Baryczka gdybym ucho jego miał, nie zniósłbym tych miłonic, o których wszyscy wiezš, palcami je wytykajš.

W Krakowie bo ich nie ma! szepnšł Groch, rękš na różne strony pokazujšc. Siedzš pono po królewskich dworach w Opocznie, w Czechowie, w Krzeczowie.

Pełno ich wszędy burzšc się cišgle, mówił Baryczka znajdš się w naszym mieście... Mało tego! krzyknšł wreszcie ludzie prawiš o Żydówkach!

Groch i Neorża dopiero tę okropnoć poślyszawszy załamali ręce z przerażenia.

Nie może to być wtršcił Groch.

Neorża milczał... Rozmowa o królu przerwała się, bo pod oknami dworu przesunęła się jaka postać,

a. nikt podsłuchanym być nie życzył.

Jeden mężny ks. Baryczka, to, co mówił, gotów był powtórzyć zawsze i wszędzie.

Gospodarz podniósł się oczekując na przybywającego, co się przed chwilą przemknął.

Drzwi otworzyły się zwolna i na progu ukazał się, znany dobrze Neorża, jeden z Jaksów miechowskich.

Była to, jak wiadomo, jedna z najzamożniejszych rodzin przed wiekiem; część jej dotąd majątności zachowała; druga, która bardzo wiadczyła zakonom, zubożała była i właśnie jako pod te czasy ten sam Mikuła, który stał w progu, z majątności niegdy zapisanych opactwu jędrzejowskiemu, z których sobie dziadowie jego serca bydłące wymówili na znak posiadania, odprzedał je opatowi za grzywien trzydzieci.

Neorża córkę miał jednę; mówiono, że Mikuła starać się był rad o nią. ale... Jakska do dworu króla należał, krzywo więc nań patrzano. Gdy wszedł, zamilkli.

Choć zubożenie znać było na młodym Gryfie, ale i ród szlachetny z twarzy poznał każdy. Postawę i rysy miał piękne, rycerskie, może dla mężczyzny zanadto słodczy i wdzięku. Co pańskiego wiało od niego, choć odziany był skromnie bardzo.

Neorża go zimno przywitał; odgadywał już, że Jakska na dworze króla przebywający niesie mu pewnie jakąś niełaski jego przestrożę. Wolał z nim o tym nie mówić.

Zagadano o rzeczach obojętnych, o nabożeństwach po kociołach, o miejskich posługach.

Jam się przybył pożegnać z wami ozwał się Jakska bo lękam się, azali nie wyjeżdżacie. Tak mi się zdało!

Gospodarz ostro nań spojrział.

Pewnie, że ja tu robić co nie mam rzekł ale też i pieszyć się nie chcę, aby się nie zdało komu, że uciekam od zagniewanego oblicza pańskiego,

Jakska spojrział nań nawzajem i zamilkł.

Cóż król? chmurno zapytał Neorża.

Na łowach,

Gniewny? burknął stary.

Jam go w gniewie nie widział nigdy prawie odparł Jakska. Na chwilę się uniesie, ale prędko hamować umie.

A na mnie sierdzi się przecie! wykrzyknął Neorża. Nie chciał Jakska odpowiedzieć wprost, co myślał.

Ja tam nie wiem zamruczał sǳę jednak, że gdy na czas jaki z oczu mu zejdziecie, a wrócicie potem, nie będzie pamięci o tym, co zaszło.

Ale ja mu tego nie zapomnę! zamruczał Neorża.

Ks. Baryczka wstał wuja żegnajśc i wyszedł. Groch pozostał, Jaksza siedział.

Wspomnienie króla na nowo poruszyło Neorżę, chodził i pomrukiwał grono. Chociaż o Jaksie wiedział, że przy królu stał, nie powstrzymał języka sǳżśc, że gdy się o dziewczkę jego starał, potakiwać mu musi.

Nie takiego nam tu króla było potrzeba rzekł to dla chłopów król, nie dla nas... On ziemian nie chce znać ani miłować, my go też nie miłujemy.

Zarumienił się Jaksza i rzekł żywo:

Darujcie! my, co przy nim jesteśmy, kochamy go! Ano, na zdrowie! szydersko rzekł Neorża, a twarz my

się krwiś cała zalała.

Tak dodał my, co słuźymy, miłować go musimy, bo dobry i sprawiedliwy, i dobrze pragnšcy pan jest, a nieszczęliwy.

On! mrukńšł Neorża on! a co mu jest? Skarb, co za starego stał próżny, u niego pełny; dwadziecia tysięcy grzy

-wien wyliczyć Niemcowi, to u niego nic, klejnotów i sreber jak lodu,.. Cóż mu brak?

Miły panie poczšł Jaksza łagodnie. Nie wiem, czy to szczęście daje, potomka nie ma.

Czemuż z żonš nie żyje? Jaksza zmilczał.

Neorża, małym przeciwieństwem zniecierpliwiony, już na przyszłego zięcia patrzeć nie chciał.

Dumny Gryf poznawszy się na tym, mało co się skłoniwszy, wyszedł. Wzrokiem za nim pocišgnł Neorża i siadł za stół przy Grochu, którego pewnym był, iż z nim jedno myli.

Jak ci się zda, sǳzio odezwał się po cichu. Mamy my jego cierpieć?

Kogo? zapytał trochę zdziwiony goć.

A króla! mówił Neorża. Dawniej przecie ziemianie sobie królów wybierali, a jak im byli krzywi, zrzucali ich.

Ależ to koronowany król! szepńšł Groch niemiało,

E! e! odparł gospodarz ręką machając co nam tam. Jego korona! Tu, w Krakowskim, ja wiem, że my mu nic nie zrobimy, ale trzeba z innego końca zaczynać. W Wielkiej Polsce, w Poznaniu tacy się znajdą, co mogą się ruszyć, bo im to nie po myli, że koronę im z Gniezna wywieśli i ze stolicy ich zrobili małe miasteczko. Tam każdemu wielkorządcy ni się, że jak Pomorzanie oderwie się i spod króla wyswobodzi. Tam jedni, być może, Brandenburgowi radzi, drudzy Łszakom. Tam...

Mówiąc to spojrzął na podsędkę i przerwał nagle. Groch wprowadził na króla narzekając, ale tak zuchwałych myli nie mógł pochwalić. Znacząco się zasępił, a Neorza postrzegł, że się niepotrzebnie przed nim wypaplał. Naprawiając ten błąd począł się umiechać zakłopotany.

At, plotę rzekł at, plotę! Nie mogę bo mu moich, szkap przebaczyć. W Wieliczce by się były spały!

Groch nie dał się zwieść tym zwrotem.

Niepotrzebnie wy z tym żalem i takimi tam rzeczami wygadujecie się zamruczał. Co tam te Wielkopolany myśl, Bóg ich wie, ale jak Wincz z Szamotuł nierad był Łokietkowi

kając się musiał, a potem go ziemianie rozsiekali, tak może być i z tymi, co poprobuj się teraz przeciw panu ruszać, jeli się na to ważyć będą.

Neorza stał zadumany.

Albo to on taki mocny, jak jego stary ojciec był? począł uspokojony. Do wojny nie bardzo sposobny... budowałby tylko i przewracał wszystko. Baby nadto lubi, za stołem rad siaduje, na łowy jedzi, turnieje wyprawuje.

Otóż wy go nie znacie rzekł Groch głową pokręcając. Wszystko to prawda, ano, bieda, że woł ma tak żelazny jak i ojciec, a rozum chytrzejszy, przebiegłość większą.

Neorza patrzył bardzo zdumiony, słuchał, niepewien, co począć z człowiekiem, na którego usposobieniu się nie poznał; ruszał ramionami.

Jak nam z tym będzie, gdy on wszystko do góry nogami wywróci i zechce przerabiać mówił Groch to jeszcze nie wiadomo, ale postawi na swym westchnął sędzia.

Nam z tym nie będzie dobrze mówił dalej. Co naówczas sędzia ma znaczyć! Pewnie nam i naszego grosza obetnie... bo on więcej dba o kmiecie, o osadniki, o biedny, ciemny lud, niż o nas i o ziemian... Ale co postanowił, toć to... dokaże! Ja go znam! A co wy mówicie o Wielkopolanach... także na tym bardzo polegać nie można. Choćby rycerstwo nie bardzo było chętne, znajdzie zaciężnego żołnierza na Węgrzech, po Niemczech...

Westchnął Groch, zadumał się Neorza.

Wkrótce i ruskiego ludu będzie miał siłą, gdy zechce dokończył podsędkę.

Wszystko to, co mówił, podziałało na gospodarza, który zamilkł smutnie.

Trwało milczenie dotychczas, a że piwa nie stało, Groch zamylał odchodzić.

Rozstali się dosyć zimno.

Neorża popatrzył za odchodzącym.

Baje rzekł do siebie ziemianie też co znaczš! Zobaczymy! Ja mu za wstyd mój i szkapy moje nie daruję!

Największe dzieło panowania swojego Kamirz chciał mieć dokonany w Wilicy, nie dla czego innego, tylko aby nim uczcić pamięć ojca, którego imię z gródkiem tym zwišzane było. Wilicę on po dwakroć zdobywał, tu się ukrywał, tu się modlił, stšd jeszcze, ledwie się w siły wzbijajšc, na dalsze odzyskiwanie posiadłoci wycišgał. Drogš była Łokietkowi ta miecina, bo mu gniazdem i przytułkiem była w ciężkich dniach życia.

Źe myłš tš miłoci synowskiej powodowany był Kamirz, nie ulega wštpliwoci. Jeden z pierwszych gród ten murami opasywać i z muru wznosić go poczšł. Kociól z ciosu stanšł na miejscu tego, w którym Władysław modlił się czasu ucisku.

Stary był ten gród nad Nidš, w widłach rzeki jak wysepka na pogórku rzucony, łškami otoczony szeroko, na wiosnę wodš oblany. W trzęsawiskach tych, wedle podań odwiecznych, było królestwo żab, wężów i żmij tysiścami się tu lęgnšcych. Stare podanie opowiadało, że gdy tu w kociółku małym na przedmeci ksišdz mszę więtsz odprawiał, a żabki mu skrzeczeniem okrutnym przeszkadzały, zakłšł ję w Imię Pańskie i od tej pory dopiero ciszej się sprawować poczęły.

Choć teraz dzięki Kamirzowi Wilica nowymi mury wieciła, których jej znaczniejsze miasta mogły zazdrocić, stara to była i tak odwieczna osada, że ludzie poczštku jej nie pamiętali.

Za pogańskich jeszcze czasów na pogórku tym siedzieli ludzie, okopywali się rycerze i działy się tu krwawe historie, o których lud okoliczny dziwy opowiadał. Lecz w najżywszej pamięci było teraz wspomnienie o tym małym bohaterskim króliku Łokciu, tułaczu biednym, który przez pół wieku cudów dokazywał, aż połamanš Chrobrego koronę spoił na nowo i na skroń uznojonš włożył.

Z dawna już po wszystkich ziemiach chodziły wieci, które z przekšsem i niechęciš sobie powtarzano, że król chciał ze starych praw ukuć jakie jedno nowe prawo dla całej Polski, że Suchywilk nad tym pracował i że do którego z miast zwołać miano Małopolan, potem Wielkopolan i potem prawo to królewskie, spisane, dać wszystkim, aby jego, nie innego słuchano.

Lat kilka się do tego przysposabiano. Ludzie, jak zwykle nowociom, tej sprawie nie byli chętni. Obawiali się innego prawa nad to lune, słowne, zwyczajowe, które sobie każdy jak chciał wykladał i tłumaczył.

Sędziowie się szczególnie na to krzywili, jako i ten Groch, upatrujšc w pisanym prawie-poniżenie dla siebie.

Nie było też w ówczesnej Polsce pojęcia tego, że zjednoczenie różnych ziem, wedle myli króla, pod prawem jednym i monetš jednš, poźsdanym i siłodajnym być mogło. Każda ziemia broniła zwyczaj

swego, przy nim się opierała, i odrębność swś rada była zachować.

Ziemiańskie lękały się, aby to prawo nowe nie zmniejszyło ich władzy nad kmieciem, nie odjęło im tych praw, do jakich od wieków byli nawykli.

Pewna część ludności, na niemieckich prawach osiadła, może też niespokojnie na to prawo nowoci zapowiadające spoglądała, obawiając się, aby polski zakon ich odrębności nie naruszył.

Słowem, w przededniu zjazdu wilickiego, który jeszcze inne miały poprzedzić, niepokój w umysłach panował wszędzie.

Nawet duchowieństwo niezupełnie było bezpiecznym. Ów Jan Suchywilk ze Strzelca, główny doradca króla, prawa ręka, której on zawierzył spisanie zakonu, choć sam kapłan i siostrzeniec arcybiskupi, nie bardzo był dobrze przez duchownych widzianym. Zarzucano mu, że się więcej sprawami wieckimi niż Kociołem zajmował, że mu na sercu więcej państwo leżało niż sprawy sług Bożych. Obawiano się, aby prawem nowym starych swobód, jakich duchowni używali, nie nadkślił.

Ruszano się na te zjazdy i na ów wielki wiec czy sejm do Wilicy z większą ciekawością i niepokojem niż pociechą.

Niektórzy się odzywali z tym, że swoich prastarych swobód bronić będą, inni nie wiedzieli sami, jak postąpić. Lecz kto tylko mógł, a chciał swś powagę utrzymać, do Wilicy się wybierał.

Kmiecie też gwarzyli o prawie nowym, niewiele się po nim spodziewając dla siebie, bo mieli przekonanie, iż ziemiańskie z rycerstwem nawet nad króla są silniejsi; choć wierzyli w to, że Kamirz o nich tam nie zapomni.

Wiaduch po owej bytności królewskiej, której mu zazdrozczono, o którą go badano wielce, bo o niej wiec się rozniosła, nierad opowiadać szeroko, przycupnił i powrócił do robót w polu, do gospodarstwa, unikając spotkania z ludmi, którzy nań patrzyli dziwnie.

Neorża, który go przeladował w poczstku, potem już tylko pokory zśdał od niego, na ostatek nic nie zyskawszy zostawił go w spokoju. Włodarze mając widać inne przykazanie od niego, Wiaducha już nie zaczepiali, owszem, byli nań łaskawi. Poszły w niepamięć uczynione szkody, o które kmieć się nie upominał.

Król jako w owych czasach do czynienia miał wiele, więc o Wiaduchu zapomniał.

Jeden rok zajęła wyprawa owa ruska, która się opłacała zdobyczami wielkimi, zajęciami Przemyśla, Halicza, Łucka, Włodzimierza, Sanoka, Lubaczowa, Trembowli, a z nimi mnogich skarbów, wozami całymi do Krakowa ciąganych. Żenił się potem Kamirz z Niemką, którą za ledwie przywiózł na zamek, dla szpetoty i obyczaju obcego musiał od siebie oddalić.

Nieprzełamany ten wstręt, który go dzielił od niej, może przez siostrę Elżbietę rozbudzony i utrzymywany, bo tej szło o polską koronę dla syna, pozbawiał Kamirza znowu nadziei potomka płci męskiej.

Potem wydawał król córkę, za ledwie dorosł, za Bogusława szczecińskiego, w Poznaniu, wyposażony już po monarszemu: dalej na Rusi Daszkowa i jego przyjaciół zdrada, napad tatarski powołał na granicę i z Czechami po wielkiej owej druźbie przyszło się też cierać, gdzie Bóg dał zwycięstwo.

Mało Kamirz w Krakowie siedział, na Wawelu krótko bawił i kmić już stracił nadzieję, aby go widział kiedy.

Kilka lat upłynęło, Bogna za mąż wydana została. Ciarach sobie przywiódł żonę i już synkiem się cieszył.

Wiaduch niewiele przez ten czas postarzawszy odpoczywać jeszcze nie chciał ani zdać gospodarstwa. Lecz rozumny człek opodał pod lasem dla syna i synowej osobną chatę postawił, aby, jak się po prostu wyrażał, baby się nie jadły z sobą. Garunica, choć kochała synów, ale syna więcej jeszcze i młodej miała co zawsze do zarzucenia; lepiej więc było, że nie ciągle razem byli.

Na Leksie teraz lat upływających mało znać było. Doszedł do tego kresu, którego pracowici i ciągle czynni ludzie nie przechodzą, choćby jak najdłużej żyli. mierzć potem bierze ich niespodzianie albo we nie, lub jak obuchem uderzywszy w głowę.

Wiaduch chodził za pługiem jak dawniej, brał się do cepa, gdy była potrzeba, sił próbował i nie dawał im zastygnąć w sobie... Stał się tylko na starość trochę więcej milczącym, lecz gdy mu się usta rozwiślały, plótł jak dawniej.

Wczesną bardzo wiosną, bo jeszcze w post jako 1347 roku, Wiaduch właśnie sposobił się do posiewów, jak tylko z ziemi zlaźła lodowa i niegów skorupa. Był w szopie, gdzie z Wężem opatrywał pług, sochę i brony, motyki a inne proste ówczesne gospodarskie narzędzia, gdy usłyszał z podwórza wołanie:

Hej! gospodarzu.

A potem z progu głos Garunicy:

Gdzież bo się podział mój? Tylko co tu byli. Leksa! bywaj! Na ten pozew wydobył się spod szopy kmić i spojrzawszy

ku wrotom zobaczył kogo na koniu stojącego, twarzy dojrzeć nie mogąc.

Na dworze, choć niby blade wieciło słońko, chłodno było, a ów jedziec na głowie miał kaptur, jakich wówczas wiele noszono po całej Europie i u nas... Strojnisie wielcy do końca kaptura dla ozdoby przyszywać kazali nie jeden chwost, ale cały sznur z węzłów grubych i kutasów złożony, a właśnie taki miał na głowie ów przyjezdny.

Dopiero gdy twarz ku kmićowi zwrócił, Wiaduch poznał w nim króla, choć zmienionego wielce. Nie stracił on był wprawdzie ani dawnej piękności rysów, ani wieżoci ich, ale oblewał je smutek jaki, zatęsknienie za szczęciem, znużenie żywotem. Przybyło mu powagi, ubyło młodoci i wesela.

Ten ci to sam pan był, łaskawie i po ludzku rozmawiający z kmićciem, jakby z najwyższym urzędnikiem lub rycerzem, ale

zał było spojrzawszy nań, tak mu się zdało ciężćć to, co miał, na barkach.

Wiaduch do nóg mu przyszedł pokłonić się.

Król w małym poczcie jechał, sokoły za nim wieziono, szło psów kilka, otaczali go łowcy, u boku stał nieodstępny jego Kochan.

Zdawał się Kamirz niepewien, czy z konia zsiǳie, potem co Kochanowi szepnął, u wrót konia rzucił i po ramieniu klepiąc starego zwolna z nim kroczył do chaty.

Garunica z wielkš pokorš i radociš, a z dumš witała go znowu; serce jej rosło.

Chciała się zaraz, jako troskliwa gospodyni, około jadła zakrzštnšć, lecz Kamirz dał znak, iż nie będzie nic jadł. Był miód stary, zaczęła się z nim napraszać; król umiechajšć się przystał. choć mechy nie lubił.

Wiaduch przed nim stał, a Kamirz mu się przypatrywał pilno.

Ani ty mi nawet przez te lata postarzał odezwał się do niego.

Bom już starym był naówczas odparł Wiaduch wesoło. Prawiš u nas ludzie o jednym człeku, co cielaka, gdy się narodził, wzišł pierwszego dnia na ręce, potem drugiego dnia nosił go i tak codziennie dwigajšć do tego doszedł, że potem wołu mógł podnieć. Otóż, miłociwy panie, tak jest z pracš naszš. Kiedy się jej nie rzuca, siły nie ubywajš i człek nie słabnie. Niechbym dnia jednego spoczšł, nazajutrz by się do mnie staroć zakradła.

Rozmiał się król smutnie.

Rozumnie to rzekł szepnął doń.

Jam tylko powtórzył, co się po wiecie słyszało odparł kmićć.

Rad i ja z tej mšdroci będć korzystał dodał Kamirz. Po chwilce, obejrzawszy się dokoła, poczšł król rękš się

opierajšć na stole:

A wiesz, ty stary, co cić czeka?

Wiaduch głowš pokręcił.

Otom ja przybył do ciebie posługi žšdać... Kmićć się pokłonił.

Rozkazujcie, miłociwy panie.

No, i niemałej dodał król ale mi ona potrzebna... Pomilczawszy chwilę maś Kamirz się odezwał:

Słyszeliście może, że do Wilicy zwołałem ziemian na czwartą postu niedzielę. Będą im tam nowe prawa czytali, a prawo to nie dla jednych ziemian jest ani dla duchownych, ale dla wszystkiego ludu i kmięci też...

Wiaduch się umiechnął niedowierzająco.

Miłociwy panie rzekł ja na to co dzień patrzę, gdy obrok koniom zasypuję, a z jednego żłobu wszystkie mają jeć. Żeby człek nie pilnował, starsze i silniejsze wszystko by zjadły. Tak to i z tym żłobem pono będzie, do którego się docisnąć nam nie dadzą.

To wasza rzecz rzekł król umiechając się ja w żłób zasypuję... i póki żyw, też przy tym żłobie stać będę. Zjadą się do Wilicy ziemianie, duchowni, rycerstwo i proste panoszą..., trzeba, aby i kmięć też tam był...

Wiaduch spojrział zdziwiony na króla i nie odpowiadał nic.

A dopuszczysz tam inni? szepnął po namyle.

Powiecie tym, co by was chcieli gnać lub bronić przystępu, że moje przykazanie macie. Chcę, abycie tam byli!

Kmięć potrzeby jako nie widział i głową pokręcał.

Jed ty rzekł król wemij z sobą zamożnych a poczesnych kilku, bądźcie przy mnie, aby nie rzeciono, że o was zapomniał lub pogardzał wami.

Przecież i tak mnie królem chłopów zwą niech wiedz, że ja nim chcę być, jak jestem królem ziemian i rycerstwa, i wszelkiego ludu, który w królestwie tym żywie...

Rozkazuję więc wam, abycie mi kilku waszych braci do Wilicy przywiedli. A miałyby was nie stać na to, bo paszy dla koni jeszcze nie będzie lub już pod Wilicą szlacheckie szkapy zjedzą i stratują, oto macie na drogę.

Król mówiąc to sięgnął do kalety, w której miał przygotowany mieszek, i położył go na stole...

Do Wilicy pojedzie odezwał się z dumą kmięć chyba bym żyw nie był, ale nie o waszych pieniądzech, miłociwy... Stanie na to ubogich, My tam żyjemy z prosta, prawda, takemy się urodzili i do tego nawykli, złota na nas nie widać, miły panie, ale grosz jaki w garnuszku pod sypanką w komorze się najdzie na czarną godzinę.

Wecie to przecie; mnie nie zubożycie rozniósł się król wecie dla innych, abycie ich mogli wybrać nie wedle przemożności, a wedle statku i rozumu... i z Bogiem ostawiając.

Król wstał i kroczył już do drzwi, nalanego miodu ledwie dotknawszy ustami. Wiaduch wiódł go schylając się do drzwi. Odwrócił się ku niemu.

Pomnijcie dodał przed czwartą postu niedzielą trzeba tam być... jak się patrzy... bo o was pytać będę.

Gdy król wyszedł do swoich, ci jeszcze się wyniesioną im mechem pocieszali i co prędzej wszyscy ocierając do koni przypadli. Kamirz się już z dworem dobrze od wrót odsadził, a stary kmicie stał jeszcze zadumany i jak w ziemię wrosły...

Garunica aż musiała przyjąć i po ramieniu uderzywszy rozbudzić.

Co tobie, stary?

Nic nie odpowiadając Wiaduch wszedł do chaty, gdzie jeszcze worek królewski na stole leżał, siadł na ławie, spał się i milczący zamyślił.

Baba przed nim z rękami założonymi wlepiwszy oczy w niego stała głową przysłając.

Leksa nie mógł myli pozbierać, a na pytanie jej długo nie odpowiadał. Nareszcie wstał, przeżegnał się, czapkę poprawił na głowie i westchnął.

Dziejże się wola Boga i pańska. Jak do Wilicy, to i do Wilicy...

Cóż to ci, krzywda, nie cześć? zapytała Garunica.

Milczałaby, stara, bo nic nie znasz zawołał Wiaduch. Za taką cześć człek potem skórą płaci. Z dostatkiem jam się nigdy nie chwalił, aby go ludzie nie zazdrocili, a tu wstydu sobie i stanowi swemu uczynić się nie godzi!!

Powzdychał trochę Wiaduch, przeszedł się po izbie, z kubka po królu miodu dopił, pasa mocniej ciśgnął, na chodaki popatrzył, ku słońcu wyrżał i rzekł do żony:

Na wieczerzę albo powrócę, albo nie... patrzajcie, matko, aby łyżka ciepłej stawy była. Trzeba mi w drogę.

Najlepszą szkapę wybrawszy ze stajni, stary, który się konia jeszcze nie bał, dosiadł jej rano i pokłusował.

W sąsiedztwie kilku bogatych kmicieów siedziało.

Nie wszyscy oni byli do Wiaducha podobni. Najdostojniejsi z nich do ziemiaństwa się cisnęli i przypytywali, a do szczytów się za grosz lub za posługę przyjmować dawali. Tym o stanie kmicim mówić nie było można, bo choć do niego należeli, już się fałszywymi szeciu wiadkami wywiedli na panoszę.

Drudzy radzi byli cicho siedzieć, a nie narażać nikomu, gdy tu niewstępliwie przytomności swą rycerstwu solą w oku być mieli. Innych jeszcze dla prostoty ich nie mógł wezwać do towarzystwa Leksa; wybór więc był trudny i głowa go bolała. Mał do zbytku garstką ograniczyć się wstyd mu było.

Wzdychał więc jadąc, iż mu król za ciężkie brzemię na ramiona włożył, lecz zrzucić go już nie mógł.

Czekała Garunica drzemiąc na ławie do póna na próżno: ani na obiad, ani na połudzień, ani na wieczerzę stary nie wrócił. Nie tyle o niego niespokojna była, co gniewna.

Chodziła się poskarżyć do syna, wróciła nazad i nie zastała swojego, dopiero dnia trzeciego około południa głos jego usłyszała, że Węża wołał, aby konia postawił.

Spojrzała mu zaraz w oczy, aby poznać, z czym wraca; miał twarz jasną i umiech na ustach. Zażądał jeć, co też było dobrym znakiem.

Nie zwykł się był spowiadać przed żoną z tego, co czynił, nie pytała go wiedząc, że się potem łacniej wygada, gdy ona ciekawoci nie okaże.

Zaczęły się następnego dnia do podróży wybory...

Pierwszy raz Leksa oba gospodarstwa synowi zdał, sam mając za wiele do czynienia. Co było najlepszego z odzieży, powydobywano, a i do Krakowa musiał Leksa, aby lepiej wystąpić. Nie lubił on tego, lecz teraz mówił, że stanowi swemu hańby, uczynić nie może...

Musiano też wóz kowany sporządzić, konie do niego dobierać, bo choć kmiecie jechali konno wszyscy, zapasy na drogę prowadzić było trzeba. Gdzie ludzi wiele, tam czasem i za pieniądze chleba nie dostanie, a w Wilicy się zjazdu liczne spodziewać było można.

Czas zbiegał szybko bardzo, aż i kmiecie się dowiadywać zaczęli niektórzy i dzień wyjazdu naznaczono. Co dnia prawie przybywał który po radę jakiś, bo już Lekse jakby za głowę swoją poczytywali.

Nie całym taborem ruszyli z Przędnika, bo inni po drodze się przyłączyć mieli. Milczsco Wiaduch żonę pożegnał, zaszepiony, synowi przykazując, aby mu gospodarstwa pilnował, chcieli być caży.

Gromadka kmieci, choć nie zbrojna, bez szczytów, bez szyszaków, wszakże i pokanaś dosyć była, i niebezbronną całkiem. Na dłuższą podróż miał każdy obuszek, wielu siekiarki i toporki, którymi się od złych ludzi obronić było można w potrzebie.

Dobierał towarzyszków sobie przemyślny kmić i wedle rozumu, i wedle dostatku, ale też i takich, co by mu lada jakiś postawś wstydu nie robili. Chłop w chłopa byli urodziwi, przystojni, silni i barczyci. Częć miała powagę staroci i siwiznę srebrną, brody do pasa; inni kwitli młodociś rumianś. Wszyscy oni czuli to, że nie dla siebie jechali, ale stan kmiecy caży w nich miał oko w oko obok innych się postawić.

Po gocińcach, którymi nad Nidś dźżyli, nie było pusto.

Cięgnęli ziemianie zewsząd dworno, szły czeladzie biskupów, poczty wojewodów, jechało znaczniejsze rycerstwo.

W owych wiekach prawie każdego stan z odzieży, z uzbrojenia można było rozpoznać. Synody

przepisywały ciele, jak się

duchowieństwo w domu, w kociele i podróży miało odziewać. Mieszczanom nie wolno było ani w jedwabie, ni w klejnoty się stroić, choćby mieli za co, rycerstwo i panoszków uzbrojenie odznaczało, komesowie i barony mieli dwory z sobś, słowem, kto spojrział na przejeżdżających gromadnie kmieciów, łącno poznawał ich, co za jedni byli i że do ziemian nie należeli.

Spotykajšcy ich, nie kryjšc się z tym, głono się zdumiewali, co kmieciów prowadziło do Wilicy. Nie dowierzano nawet, aby się oni omielili tam przybyć.

Czasy te, w których się szczyty i osobny stan rycerski nie wyrobił jeszcze odrębnie, gdy po społu wszyscy do wieców należeli i wszelka starszyzna się na nie zjeżdżała, od dawna zapomniane były. W miarę jak panosze i rycerstwo rosło, upadali na znaczeniu kmiecie i już im innych praw nad dwiganie pospolitych ciężarów nie przyznawano.

Pielgrzymka więc ta kmieciów, w dosyć znacznej gromadzie jadšcych, ziemian wprawiała w podziwienie.

Zaczepiano ich, badano, lecz ostrożny Wiaduch, zawczasu swoim zapowiedział, aby w rozhowory żadne się nie wdawali i milczšc pomijali tych, co ich zaczepiać mogš. Pilnowano się też porzšdku tego.

Leksa nawet, aby zaczepianym nie być i uniknšc badania, omijał gocińce pospolite, a prowadził bocznymi drożynami.

Dojechali tak wreszcie na równinę błotnistš nad Nidš i mury zanikowe. Nowy kociół, który Kamirz wystawił, okolne ciany grodu, jego baszty i bramy ukazały się z dala na pagórku w widłach rzeki.

Lecz w miarę jak się zbliżali ku zamkowi i miastu, a tu już na drogach tłok był wielki... mogli zmiarkować łącno, iż nie tylko w Wilicy samej, ale na przedmieciu Gorysławickim ani na Kucharach miejsca dla siebie znaleźć nie bęđš mogli.

Roiło się ludem wszystko. Nad zamkiem powiewała królewska choršgiew. Wozy z żywnościš biskupów i panów cišgnęły otoczone czeladziš: spychano się, wymijano, powstawały kłótnie i ludzie rwali się do orężów. Musieli więc kmiecie ostrożnie obmyśleć sobie jakie stanowisko na uboczu i na mm się osobno poło-

żyć, bo w pobliżu, co było miejsca suchego, już wszędzie namioty rozbite, wozy wokoło stojšce, konie i ogniska zajmowały.

Wiosna była bardzo wczesna, zaledwie się poczynajšca, na łškach trawa mało się wytykała, o zielonej paszy i pomyleć nie mogli. Lecz o niš też nie bardzo się troszczyli, bo im szło o samych siebie.

W rodek między ziemian się wcisnšc i niebezpiecznie, i niewygodnie. Stanęli więc na gocińcu przed bramš Krakowskš trochę na uboczu, a Wiaduch pojechał na los szczęcia szukać kšta i dostać języka...

Nie przyszło to łatwo i błyskać się było potrzeba. Na drodze, którą jechali do Czerwonego Chodcza, od Latanicz i Kobylnik, wszędzie ludu było mnogo i gdzie się kmieć pokazał, oczyma chodzono za nim, co tu robi?

Na ostatek w końcu Gorysławickiego przedmiecia najrzał Leksa chatę niezbyt okaną ni nadto biedną i na wszelki wypadek postanowił zajść do niej. Wyglądała na kmieć. A było takich półmieszczan, półkmieci rolników około miasteczek dosyć.

Swojego brata wszędzie czuje człowiek. Wiaduch zsiadł z konia. Chciał wnić do chaty, lecz spostrzegł, że i tu czelad jaka rycerska izbę już zajmowała. Trafił jak najgorzej, bo właśnie ludzie Neorzy się tu rozgospodarowali. Jeden z nich zaraz często widywanego poznał.

Wiaduch, he? a co ty także do Wilicy zjechał z ziemiany, w gości do króla? poczłszydersko człek wojewody, bo Neorza już sandomierskim został, choć go król nie lubił.

Stary nie miał ochoty odpowiadać, ale go co załaskotało od tego szyderstwa.

Jak widzicie rzekł i my w gości!

W dłuższą się nie chcąc wdawać rozmowę wysunął się. Wyszedł za nim gospodarz chaty, kmieć, człek stateczny, chcąc rozpytać, czego by żądał.

I z tym od razu się wdać i odkryć mu się całkiem Wiaduch wahał. Dopiero wyrozumiawszy go obojętniejszymi słowami, powiedział, kto był.

Co mam się z tym kryć? rzekł. Król nam kazał tu być, abymy i my posłuchali, co się głosić będzie. Jest nas gromadka, nie mawa się gdzie przytulić. Radcie.

Nie było łatwo dać radę. Błotnista okolica, a jeszcze teraz w części wiosennym wylewem Nidy uszczuplona, ledwie starczyła na tych, co się tu zebrali. Król na zamku gościł z arcybiskupem Jarosławem Bogoriś, z Jangrotem krakowskim, mieszcząc się w niewielu szczupłych izbach. Wojciech Pałuka, poznański biskup, i Maciej włocławski przy kocie i plebanii stanęli. Z wojewodów i kasztelanów ledwie dwóch poufałych przy królu na zamku jako tako się cisnęli, inni w miasteczku, po dwóch u mieszczan, nawet bramy miejskie Krakowska, Buska, Zamkowa, ludem były przepełnione: koczowano w rynku i po ulicach.

Nie mieli więc kmiecie ksta dla siebie i szukać go musieli aż u Brzezin. Tu na nocleg się do chłopów wprosilili postanowiwszy nazajutrz po cichu na zamek iść, bo słyszeli, że tego dnia już, a była właśnie czwarta postu niedziela, po wielkim nabożeństwie w kocie, które sam arcybiskup odprawiać miał na dziedzińcu zamkowym, gdzie dla króla tron i przy nim też dla arcybiskupa był przysposobiony, miano nowe prawo głosić.

Tymczasem nasłuchać się mogli, co o nim zawczasu mówiono po kupkach. Nie licząc tego, co prosty lud bredził, ziemianie a nawet duchowni nie kryli się, iż tej nowinie królewskiej wcale nie byli radzi.

Wie on, co robi! wołali jedni pewnie sobie władzy nie uszczupli, rychlej drugim odejmie, a sobie przysporzy. Rycerstwa swobody powoli szczeźnś, będzie tak jak na Rusi, gdzie ziemianie głosu nie mają, jeno kniaziowie. Spodobało mu się to, gdy Ru zawojował.

Duchowni, którzy już więcej co o nowym prawie wiedzieli, znajdowali je barbarzyńskim i nieużytecznym, gdy można inne, cudzoziemskie albo rzymskie, do kraju wprowadzić.

W ich mowie jawiła się niechęć i nieufność, jakś mieli ku Suchywilkowi, Lecz arcybiskup stał przy królu, a on ci tu był pasterzem najwyższym.

Nie bez tego, by i na niego nie sarkano po cichu. Ks. Suchywilk siostrzanem mu był, znano go jako królowi powolnego, wiedziano, iż raz w potrzebie ze skarbcza gnienieńskiego kilka tysięcy grzywien królowi w krzyżach, misach i innych klejnotach dał, za co póniej z wielickich żup roczny dochód mu naznaczono, że dobra duchowne z Kamirzem dla dogodności mieniał.

Małopolanie i Wielkopolanie, Kujawiacy, a było i Mazurów ciekawych trocha, obawiali się, aby swoich ziemskich posiadłości nie potracili.

Na ostatek znana skłonność króla dla chłopków, którymi się rad opiekował, budziła obawę, aby prawo ich nie wyniosło, a ziemian nie osłabiło.

Burzyły się więc umysły, lecz władza króla, choć nie określona prawem żadnym, choć nie mająca oznaczonych granic, była przecież uznawana i wrażała poszanowanie. Mógł król jako najwyższy sędzia każdemu zuchwałemu głowę kazać zdjąć i karać go na gardle. Przeciw niemu wystąpić nikt się nie ważył i nie mógł. Szemrano tylko...

Otoczenie za królewskie, nauczone, jak mówić miało, powtarzało, co od Suchywilka słyszało wielokroć, iż nowe prawo sprawiedliwość zapewni i wszelkie gwałty i nadużycia pohamuje, że wstyd było dłużej, gdy wszystkie państwa statuta owe miały, aby ich Polsce zabrakło.

Nazajutrz, jak zapowiedzianym było, zadzwoniono na nabożeństwo, a że znaczniejsza część w kocie się pomieścić nie mogła, stanęło wielu w podwórzu, otaczając dokoła. Wszyscy się potem z arcybiskupem i królem na czele ruszyli ku zamkowi.

Dzień nie bardzo sprzyjał uroczystości, wiatr smagał chłodny, niebo było zakryte. Lecz ani Kamirz, który szedł z twarzą zwycięzcy, ani inni nie zważali na to.

Cisnęła się strojna starszyzna dokoła pana, którego dwór występował też w dniu tym z przepychem prawdziwie królewskim, w całym blasku zbroi i sukien szytych, a futrami kosztownymi okładanych.

Sam Kamirz odziany był czarno, z łańcuchem na szyi i wspaniałym pasem rycerskim, a płaszcz na ramionach miał szkarłatny, sobolami podbity. Część dworu występowała w purpurowych sukniach, z orły polskimi na piersiach, druga w zbrojach i szyszakach wyłaczanych, na których znamiona widać było: Topory, Chusty, Sokoły, Księżyce.

Chociaż tłum się uciszył, gdy król przemówić miał, nikogo nie doszły słowa jego, gdyż gwar dolatywał z dala, wiatr szumiał.

Widziano tylko, gdy Suchywilk karty pergaminowej z pieczęciś na sznurze podnosił, gdy arcybiskup błogosławił, gdy król przemawiał znowu, a oblicze mu pokraniało, oczy się tak miały, jakby najwyższ osiśgnł szczęliwoć. Twarz pańska opowiadała ludowi, iż się dokonało wielkie i wiekopomne dzieło.

Gdy się to wszystko spełniało, Wiaduch ze swymi, ledwie się dostawszy na zamek cudem jakim, innego sobie miejsca i swoim n e znalazł, jak przy murze, wysoko na blankach. A choć i tam ciasnota była wielka i niewygoda, miał tę pociechę, iż król rzucajśc dokoła oczyma jasnymi postrzegł go i umiechnł mu się.

Poszły zaraz innych oczy za tymi i dostrzeżono kmieciów,

o których zresztś Neorża już wiedział, rozpowiadał, a gniewał się, że tu przybyć mieli.

Tak się wszystko odbyło dnia tego łatwo dlatego, że kilka poprzednich powięcił król naradom z komesami i rycerstwem

i rzecz była już postanowiona.

Zastawiono potem stoły i ludzie po trosze rozpływać się zaczęli, a Wiaduch nie bardzo wiedział, co poczynać z sobś, gdy ze dworu królewskiego jeden, który z Kamirzem bywał na Prśdniku i znał starego, zbliżył się doń.

Mam przykazanie od pana, abym was ugocił. Jest dla was stół osobny na podsieniu, chodcie!

Kmiecie się wahali, obawiali się obudzić zazdroć, lecz posłuchać musieli. Prowadził ich tedy Gosław Krojc, dworzanin, do zamku na ubocze, lecz z dala już postrzegli, gdy im na miejsce dla nich wyznaczone wskazywał, że je jacy ziemianie samowolnie zajęli.

Chcieli kmiecie odejć, Gosław nie pozwolił.

Obok stołu, zajętego bezprawnie, kazał na dwóch beczkach stare drzwi położyć, misy i dzbany podawać.

Dopiero owi panoshowie obok, gdy zobaczyli przy sobie kmieciów, krzycheć i wywoływać zaczęli na niepomierne zuchwalstwo... Nie zważano na to, ale gdy przy tym stole poczęła się sprawa kmiecia, poszła zaraz po innych.

Ziemianie cierpieć ich przy sobie nie chcieli. Zaniosło się na burzę gronś...

Wiaduch skinł na swoich, że nie pora jś wywoływać było, więc zakosztowawszy ledwie chleba królewskiego i usta w kubkach umoczywszy wyszli powoli bocznś furtkś, którś im Gosław ukazał.

Odejcie ich nie zażegnało wielkiego poruszenia w rycerstwie. Widziało kmieci wprzódy wielu, była już mowa o tym, że, przybyli pewnie ze skargami do króla, i oburzenie coraz się zwiększało. Odgrażali się ziemianie, iż tym, których dosięgnś i o których się dowiedzś, nie darujś.

Chodziła wprawdzie wieć, iż się stawili na żądanie samego króla, lecz wierzyć w to nie chciano.

Wrócili z Wiaduchem wszyscy nie zaczepiani do Brzezia... !

Tu narada była, co poczynać. Obowišek stawienia się spełniony został, nie mieli już co robić, znaczniejsza część do domów się, wrywała. Inni chcieli jeszcze kupš do pana ić, dziękować mu. Zdania były podzielone, Wiaduch radził spoczšć jeszcze i czekać.

Ano czekać! odparł stary, którego zwano Stroka doczekamy jeszcze tego, że nas rycerstwo pokrwawi Nie ma tu już co poczynać, a i kupy się trzymać nie koniecznie, niechaj każdy swoim rozumem i drogš do domu powraca.

Nad ranem przybył komornik od króla, gdy ledwie wstawali, i kazał im na zamek. Dnia tego cokolwiek się było przerzedziło i po drodze, choć spotykali jadšcych, którzy się z nich wymiewali i zaczepiali, przystęp do grodu był wolny...

Kazano im stać w przedsieni. Król z kilku panami wyszedł do nich z umiechem na ustach. Głowš skinšł Wiaduchowi.

Chciałem rzekł na glos abycie i wy tu byli, gdzie, w imię Boże, nowy zakon albo raczej stare zakony ojców spisane... ogłoszone zostały... Wszystkim one i wam też służš ku obronie i bezpieczeństwu... Jedcież w pokoju do domów, do pracy i powiedzcie ludowi wszystkiemu, iż go odtšd nie sędzia będzie karał i sšdził... ale jeden zakon dla wszystkich.

Pokłonili się kmiecie, a król spoglšdajšc na nich bardzo dobrotliwie się umiechnšł, mówišc do tych, co go otaczali:

Ci sš, którzy nas karmiš, należy im opieka i bezpieczeństwo. Idcie w pokoju!

Przytomny kapelan królewski pobłogosławił ich po łacinie i odeszli nareszcie wielce uradowani, że się to przecie skończyło.

Nie było już sposobu dłużej ich tu zatrzymywać. Kto żyw, konia wyprowadzał, wóz zaprzęgał, aby prędzej z Wilicy... Nie mówili tego, ale pogróżki i szyderstwa ziemian trwożyły ich niepomału.

Wiaduch, choć był rad mieć kogo za towarzysza podróży, nim się miał czas z kim umówić, sam jeden pozostał. Nie frasowało go to wielce, bo miał parobka Węza z wozem i dobrego koma pod siebie; strachu nie czuł. Wypoczšł więc dobrze i z południa dopiero w drogę wyruszył.

Na gocińcach teraz nie tak było ludno, bo wielu jeszcze pozostało w Wilicy. Jechał więc Leksa zamyłony w duchu sobie wszystko to przypominajšc, co go spotkało, co widział i słyszał.

Pomimo obietnic i nadziei wielkich na to prawo nowe, on stary, dowiadczony, zachował swe przekonanie, iż z prawem tak będzie jak i bez prawa, że się nie zmieni nic. Nie wštpił, iż dobry król chciał jak najlepiej, lecz w moc królewskš nie wierzył.

Ziemianie uczyniš co zechcš, i będzie po staremu mówił w duchu.

Dnia tego niewiele ujechawszy, a gospodę i szopę znalazłszy zawczasu, Wiaduch zanocował.

Tymczasem na Pršdniku stara Garunica syn jej, około gospodarstwa chodząc, dni i godziny liczyli wyglądając Wiaducha.

Baba obrachowywała raz i drugi; wiedziała, że w niedzielę w Wilicy musiał być, że tam nad dzień, dwa nie zabawi i że do domu potem dla zbliżających się wiść popieszy.

Tymczasem Wiaducha nie było. Wszystkie rachuby zawiodły... Z sąsiedztwa powrócił jeden z kmiaci oznajmiając, że Leksa lada chwila powinien już być... Popowracali inni, o Wiaduchu słuchu nie było.

Jednej nocy nie mogąc zasnąć Garunica posłyszała skrzypiący wóz, jak się u wrót zatrzymał... Wyszła zarzuciwszy okrycie....

W mroku widać było w istocie konie i wóz pod bramą Na zawołanie jej głosem słabym odpowiedział kto. jakby Wsz... Podbiegła do wrót. On to był. ale milczący, przerażony i sam jeden. Koń Wiaducha do wozu był uwiązany.

Z parobka nic się dowiedzieć nie było można w początku tak płakał Wskazał włanie na wysłany i pokryty wóz, na którym trup Wiaducha z głową porzbaną leżał.

W drodze na gościńcu spotkał się z kmiaciem Neorzą. który podchmielony był, więc zły i bez pamięci. Żal miał już do kmiacia, złość do króla. Lżyć go począł, ludziom kazał zatrzymać i zarządził.

Mcił się za swoje szkapy z Wieliczki wygnane. Za głowę zapłacę! krzyczał chowając miecz skrwawiony kociś mi w gardle stał chłopisko!

CZĘĆ DRUGA

KSIĘGA TRZECIA

Zimowego dnia 1348 roku, wieczorem, mimo srogiego mrozu i zamieci, która niegiem miotła, we dworze Neorzy wielka izba pełnš była i cišgle kto jeszcze nowy, otulony opończš, odziany kożuchem, zakapturzony przybywał.

Z różnych stron miasta ubocznymi drożynami cišgali się tu ludzie zdajšc się unikać jakiego spotkania. Przesuwali się rozglšdajšc, wypatrujšc, omijajšc spotkanych, wsuwajšc w podwórze nieznacznie, wchodzšc do dworca nie wprzódy; aż się ze służbš w sieniach rozmówili i przez drzwi półotwarte zajrzeli do wnętrza.

Okna w wielkiej izbie zasunięte były szczelnie i dla chłodu, i dlatego może, aby przez nie wiatło nie zdradzało zgromadzonych.

Było ich już tu kilkudziesięciu stojšcych kupš w porodku i półgłosem wiodšcych żywš rozmowę, która niekiedy w gwar niezrozumiały się zmieniała.

Gospodarz na przyjęcie tych gości nie wysilił się bardzo; stało piwo i kubki, jakie wówczas w lada kramie kupowano, kilka dzbanów glinianych na pół opróżnionych, resztki chleba i misy, na których, oprócz koci okrojonych, nic nie było.

Neorza, w kożuchu prostym, który cišgle z ramion się zsuwał, a on go nieustannie nacišgał na nie, z twarzš czerwoniš i nabrzmiałš, z oczyma zaognionymi, rękami sobie pomagał, bo mu wymowy brakło.

Otoczajšcy goście poważniej wyglšdali i rozumniej im z oczu patrzyło. Nie bardzo też wielkš zdawał się przywišzywać wagę do tego, z czym się Neorza odzywał, więcej między sobš

się naradzajšc niż zwracajšc ku niemu. Dla izby ustronnej snad bardziej niż dla pana jej tu przybyli.

Włanie moza to lekceważenie sprawiało, iż wojewoda natrętnie, uporczywie do rozmowy mieszać się starał, drugim jš przerywał, za ręce chwycił mniej uważnych i po ramionach ich klepał.

Pomiędzy zgromadzonymi wyžółkła, chuda, pełna namiętnej surowoci, odznaczała się twarz znanego nam już księdza, Marcina Baryczki. Z brwiami cišgniętymi gronie, z czołem pofałdowanym, jak z kazalnicy przemawiał kapłan ognistym językiem, natchniony, przejęty, rozgoršczkowany. Słuchano go z ciekawociš i poszanowaniem, choć z wyrazów twarzy słuchaczów widać było, że nie wszyscy się zgadzali na to, co mówił, jawnie mu przeczyć nie miejšc.

Bełkotanie Neorzy przechodziło nie słuchane wród gwaru i podnoszšcych się tu i ówdzie głosów.

Gospodarz niewiele też miał do powiedzenia, powtarzał tylko pień starš, wszystkim już dobrze znanš, urazy swej do króla i chęci pomszczenia się za niš.

Pomsta to Boza! palec to Boży! wołał głono ks. Baryczka. Miara zgorszenia i nieprawoci przepelnionš została, znużyła się cierpliwoć Bogu, miłosierdzie ustępuje pomcie 1 sprawiedliwoci.

Bóg, który dzieci karze za rodziców grzechy... jak w Pimie stoi, królestwo to nasze dotyka plagami okrutnymi za złość i winy tego, który mu panuje! Nie chcę być sędzią drugich, bom sam grzesznym człowiekiem, ale nie jeden król winien, który wodze wszystkiej swej namiętności puszcza, winni drudzy, bo ich karygodne milczenie współnictwem nazwać można...

Komuż przystało skarcić, do opamiętania skłaniać, na dobrą drogę go prowadzić, jeśli nie duchowej starszynie, ojcom Kocioła, którzy przy tronie stoją? Kto będzie się miał odezwać, jeśli oni milczą?

To mówiąc ks. Baryczka pier uderzył pięścią cinię.

Winien, tak, winien arcybiskup nasz Bogoria, pobłażliwy do zbytku; winien siostrzan jego, kapłan, co duchownych swych obowiązków dla wieckich spraw zapomina, ks. Suchywilk, jury—

sta więcej niż kapłan, dworak raczej niż ksiądz... a wreszcie mój najdroższy ojciec, ks. biskup Bodzanta, który obowiązek czuje, a za długo się ocięga z surowym spełnieniem jego. Lecz tego ja skłonię, na kolanach uproszę, poprowadzę przed króla, a nie, to sam w imieniu jego stanę.

Tak dodał unosząc się, oczyma ognistymi wodząc po przytomnych tak, stanę ja, choćby mnie miał spotkać los Stanisława biskupa, błogosławionej pamięci.

Takiego jak on, mężnego bojownika Pańskiego potrzeba nam, a ja, choć rzemyka obuwia świętego męczennika rozwiązać nie jestem godnym ja, pójdę w jego lady.

Stojący obok ks. wikariusza Otto ze Szczekarzewic, Toporczyk (Neorzy powinowaty i tegoż co on szczytu), z zakłóconym wargom i przymrużonym okiem poczęł się umiechać nieco szydersko.

Ks. Baryczka dostrzegł ten umiech, zmarszczył się grono i pytając ku niemu z gniewu zwrócił oblicze.

Ojciec mój z przeszłości odezwał się Otto ze Szczekarzewic nie te to czasy, w których królowie rozgniewani męczenników czynili z was, a sobie gotowali klątwy i wygnanie... Wiecie, co we Wrocławiu król czeski powiedział naszemu biskupowi, gdy mu za zajęcie dóbr klątwę odgrażał? Rozmiał się obojętnie i rzekł:

Widzę, że ci się męczeństwa zachciało, ale ja do tego nieskory. Dóbr ci nie oddam i życia nie odbiorę, a o klątwę rozprawim się w Rzymie.

Wszystkich oczy zwróciły się na ks. Baryczkę, Oblicze jego marszczyło się i mieniło, drżał od wewnętrznego poruszenia. Zwrócił się z pewnym lekceważeniem do Ottona i zawołał mierząc go wzrokiem dumnie.

Nie każdemu Bóg wieniec i palmę męczeńską dać raczy, ale każdy winien święty spełnić obowiązek. Alboż mylicie, że i to męczeństwem nie jest, gdy kapłana, służbę Bożego, sponiewierając pogardz?

To rzekłszy ks. Baryczka odstąpił nieco z koła, otarł twarz, na którą pot wystąpił, i zamilkł.

Drudzy milcząc patrzyli na siebie.

Piotr Pszonka z Babina, niewielkiego wzrostu, człek z twarż rozognionš i niespokojnym wejrzeniem, pierwszy się po nim odezwał:

Sprawa księży a nasza nie jedna. Co nam do tego, jakie król życie prowadzi? Každy za swoje odpowiada, z Bogiem się o nie rachować będzie. Gorsza to, że dla nas on nie jest takim, jakim bymy go mieć chcieli.

Na rycerstwie i na szczytach naszych stoi to królestwo, a nas, ojcyców jego, coraz spychajš na dno! Prawo nam nowe narzucił, chce, aby wszystkim dobrze było, mieszczanom, kmieciom i chłopom, Żydom nawet; tylko nam swobody dawne obrzyna i niewolš grozi.

Albo my to niepomni jesteśmy dawnych czasów, gdy z duchowieństwem królów i ksiżżt sadzaliśmy i wysadzali? W cóż się to nasza siła i moc obróciła? Dalimy jš sobie po kawałku odbierać, przez własną winę pójdziemy za to w niewolę!

Nie opodał od Pszonki stał patrzśc na mówiącego mężczyzna w sile wieku, ujšwszy się w boki, oblicza zuchwałego, razem i przebiegłoc chytrš znamionujšcego. Barczysty był, gruby i jak dšb rozrosły. Z obejcia się z nim otaczajšcych, z wejrzeń, jakimi go mierzyli, wszyscy niemal ciekawie mu się przypatrujśc, widać było, iż znaczenie miał tu niemałe i inni radzi byli jego też głos posłyszeć w tej sprawie.

Gęsty ciemny włos z odbłyaskami miedzianymi zwijał mu się dokoła twarzy niepięknej, ale moc wielkš, upór i zarozumienie wyrażajšcej. Brodę krótkš a szerokš, rudš miał prawie, policzki wystajšce, usta mięsiste, spod których białe rzędy zębów przeglšdały; oczy niespokojne, błyszczšce. Strój na nim, wdziany niedbale, bogaty był i pański; spodem suknia lamowana i spinana guzy wieścymi, na wierzchu dostatnia z kun szuba okryta drogš tkaninš, miecz, który, spierajšc się w bok rękš, przycinięty trzymał, kuty był, sadzony kamieniami, spięcie pasa wieciło podobnie dostatek zdradzajšc.

Choć Neorża gospodarzem był, a ksišdz Baryczka dostojeństwem duchownym przed innymi duchownymi przodował, on tu zdawał się najpierwszym być, on prawo mieć jakie do kierowa

nia drugimi; oglšdano się nań ciekawie i trwoźnie.. On jednak więcej słuchał, niż mówił, badać chciał raczej, niż się sam spowiadać.

Gdy Pszonka dokończył, usta mu drgać poczęły.

cigano go tak oczami domagajšc się, by przemówił wreszcie, iż dłużej już milczeniem ich zbywać nie mógł.

Wszystko to prawda, co mówicie odezwał się rubasnie i jak od niechcienia ale jeszcze to niespełna, co potrzeba. Tego nie doć! Ziemianie upadajš na siłach, tak, boć i ich ziemie, z których się królestwo składa, przepadajš w nim a tonš. Żadna już się, jak dawniej, do tego przyznać nawet nie chce, że odrębna była, że swych własnych ksiżżt miała. Prawo jedno, pienišdz jeden, król jeden a nasze swobody wielkopolskie, kujawskie, krakowskie, mazowieckie, wiele ich było, zmełli nam w pańskich żarnach na jednš mškę i będš nam teraz z niej dawali takš miarkš, jakš zechcš.

Każda ziemia naprzód o sobie pamiętać powinna, każde rycerstwo z sobą się silno w kupę zwiżać. Gdy pułki takie stanš, wojsko z niego uronie, a dzi co jest? tłum niesforny i zbieranina!,

Większa część słuchaczów, jakby tę radę rozumńš bardzo znalazła, poczęła dawać żywe przyzwolenia znaki.

Rozumnie mówi! szemrali jedni. W sedno trafił! dodawali drudzy. Ten głowę ma! Jego słuchać!

Ja moich Wielkopolan cišgnłš dalej mówca umiecham jšc się rad sobie około siebie ciskam, wišżę ich i gromadę, królowi się kłaniam, ani mu wypowiadam wojny, ni posłuchu odmawiam. Milczę pokorny, ale w domu chcę panem być i będę, a gdy zastęp nasz silny uronie, nie wemie nas nikt gołš rękš, nie damy się nikomu.

Prawdę mówi Maciek Borkowicz głowš potrzšsajšc ozwał się Janina z Rogowa o! więte to słowa... Ta nas jednoć zgubiła...

Ziemiańie się po różnych stronach rozpierzchli swojego nie trzymajšc kšta. Dawniej krakowscy ojczyce potęgš byli w domu,

teraz ich po wszech ziemiach pełno, a starej gromady nie ma. Wielkopolanie do nas nadcišgajš, o naszš sprawę się nie troszczšc, my też osiedlamy się, gdzie który chce, obcymi się potem czujšc. Stanie na tym, że będzie jedno królestwo, ale i ziemiany, rycerstwo, panowie; przepadnš dawne prawa ich; a tylko moc królewska uronie.

Słuchał tego, lekko poruszajšc ramionami, ks. Baryczka, słuchał niecierpliwišc się, aż przerwał nagle wielkim głosem:

Wy rozumem chcecie wszystko złe zwojować! Rozumem a bez Boga! Hej! hej! do lepszego nie tędy droga. Zwišżujšc się w pułki i zastępy, nie uczynicie nic, nie podołacie niczemu, bocie grzesznicy, rozpustnicy a zbytniki, jako i ten, przeciw któremu wstajecie... Naprzód żywota poprawcie, kajajcie się, a Bóg za was uczyni to, czemu wy rozumem nie podołacie. Król w grzechu, ale i wy nielepsi! Bić się naprzód w piersi i pokutować.

Do tego przyszło, że w państwie chrzecijańskim Sakrament Przenajświętšy bezbożni ludzie z kocioła chwycili i w błoto cisnęli! Nie byłoż za co całego państwa karać i smagać? Co po tym, że wištyńie w owym miejscu budujš, a życia nie poprawili.

Widzielicie, jak zaraz po więtokradztwie tym przyszła w tropy kara Boża, nasłał Pan mór czarny, mierć wymiotła tysišce, wyludniło się miasto! Jak Sodomę i Gomorę zniszczy Bóg to gniazdo wszeteczne, jeli się nie poprawicie!

Nikt odpowiadać nie miał na ten grony wykrzyk kapłana.

Przypomnienie niedawno przebytego moru, który po sobie straszne pozostawił ludy, bo ludność miasta w części się była rozpierzchła, a w części padła jego ofiarš i całe osady a miasteczka po nim opustoszały, zbyt jeszcze było żywe i przerażało wszystkich.

Neorża nawet spuścił głowę i trwożliwie powiódł dokoła oczyma.

Na wielkie zło dokończył ks. Baryczka ostrych też potrzeba leków... pokuty, włosienicy, skruchy, poprawy; w nich zbawienie, a nie w waszych zwiśzkach i naradach!

Bóg zsyła mory i króle!

Maciek Borkowicz zacisnął usta... skrzywił się, pokręcił głowę i na kilka kroków w tył odstąpiwszy kołpak poprawił, szubę ciśgnął, jakby się już odchodzić zabierał nie mając tu co poczynać więcej.

Lecz i ks. Baryczka wypowiedziawszy, co na sercu miał, nie spotykając ani przeciwności, ani oznaki, by mu prawdę przyznano, gospodarza ukłonem żegnał i zadumany ku drzwiom szedł szybkim krokiem. Maciek Borkowicz zobaczywszy to wstrzymał się z ustąpieniem, do koła powrócił.

Inni także, jakby im księdz ten ciężył i przeszkadzał, po odejciu jego spojrzeli na się raniej i odetchnęli swobodniej.

więty to człowiek zabełkotał Neorża ano, z niego nam niewiele korzyci, chyba tyle, że królowi dokuczy... ten za i do klśtwy gotów, nikogo się nie złąnie...

Niechaj go tylko wyklnie przerwał Otto Toporczyk miejąc się i pomrugując. Stoi przecie w tym prawie, które sam król postanowił, że od wyklętego pana chłopom wolno precz ić wszystkim i nam się go pozbyć będzie łatwiej własnym prawem jego.

Rozemieli się niektórzy, potwierdzali chętnie wszyscy. Lubelscy ziemianie, Pszonka, Otto i Janina, co pomiędzy sobą szeptać zaczęli.

Maciek Borkowicz poufale rękę położywszy na ramieniu gospodarza, po cichu mu kładł w ucho jakąś radę. Inni rozpraszali się powoli.

Wtem Pszonka znowu głono mówić począc, a ci, co się byli rozpierzchli, powoli się ciekawie ku niemu ciśgali.

Księdz po księżemu prawi, ale też słuszność ma mówił Pszonka rozglądając się dokoła i zbierając słuchaczów, oczyma. Albo to nie wstyd i hańba, że królowa siedzi wdowś na Żarnowcu, a jemu coraz nowych niewiast sługi szuka]ś... Mało im swoich, ciśgajś po wszystkich ziemiach Węgierki, Czeszki i Niemki... Jak począc od poganki Litewki, tak teraz coraz mu innego owocu trzeba... Co nadkśsi, to rzuci, a czelad dojada!!

Zobaczycie, gdy się przebierze, jeszcze na Żydówce gotów skończyć! Tego brakło, a i to będzie... bodajbym sromoty tej nie był prorokiem!

W miech obrócono wykrzyknik Pszonki.

A niechajby sobie smakował, w czym chciał odparł Janina co nam do tego, to ks. Baryczki i spowiedników sprawa... Nam, byle rycerstwo i jego prawa szanował, choćby... wiedmę wziśł... nic do tego.

Gorzej, że nas ode dworu i od łask odpychajś. Kilku ulubieńców swoich ma, oto takiego Kochana, co się nawet wojewodom nie kłania, a oni jemu nisko; takiego Dobka Bończę, który do góry głowę zadziera, jakby od innych był lepszy; zresztś kto przy nim? mieszczanin, pół Niemca Wierzynek, Żyd Lewko... kat ich zna!

Lada chłop! lada rab! wykrzyknś bełkoczśc po swojemu Neorża ja o tym najlepiej wiem. Byłze u mnie kmieć Leksa, co go Wiaduchem przezywali, prosty człek, gbur, co mylicie? Król do niego jeźdżał w odwiedziny, w chacie się zasiadywał, najmilej się z nim zabawiał, rozprawiał jak ze człekiem, rady mu dawał, skarg miłociwie słuhał. Tego juhe, gdy miał potem do Wilicy jechać, jakby tam dla nich prawo pisano, za co mu król jeszcze pono dziękował, powracajścego na drodze, gdy mi zuchwale odpowiadał, schwycilem i zarśbałem... Niechaj drudzy znajś, aby mi kmieć łba do góry nie podnosił. Wara im stawać na równi z nami!

A co o Żydach powiadalicie wtrścił żywo Otto ze Szczekarzewic to też prawda, że on ich broni i strzeże lepiej niż chrzecijan... choć Pana Boga naszego zamordowali. Pytajcie, dlaczego? He! he! przez nich i przez mieszczan wielkie skarby mu płynś, a na złoto bardzo chciwy jest. Skarbiec już na Rusi dosyć napełnił, wielu go wozami do Krakowa, że się pod mmi osie łamały; tron ze szczerego złota sadzony kamieniami jak pięci ogromnymi, dwie korony z berłami, krzyż ogromny, a naczynia srebrnego i złotego, rogów kutych na seciny. Mało tego, z Gniezna kocielne srebra pooddawał mu druh Bogoria... Zdaje się dosyć ma, by Krzyżaków i Węgrów, i Czechów opłacać, a pyche

swś stroić ano, nie? Więcej i więcej coraz pragnie... Popatrzcie na dwór, jaki on był za Łokcia, który w prostej opończy chadzał, a co za zbytki u niego. Ino szkarłaty i perły na nich... złoto kapie z parobków stajennych, z cesarzem chce ić o lepszs wspaniałość. A nam co po tym?

Na to mu jego Wierzynek, którego on już rycerzem uczynił i szczytu mu dozwolił, na to Lewko z innymi Żydy pieniędzy dostarczajś... Każdś grudkę soli teraz liczs i ważś, ze wszystkiego korzyci ciśgnś, a gdzie dawniej ziemianie korzystal, teraz on sam i skarb...

Dlatego on Żydów lubi, bo oni mu pniśdze kowajś, no i taka natura w nim przekorna, że co najpodlejszy gmin, na który nikt nie spojrzy, jemu smakuje najlepiej. Przyjdzie doń dwu na skargę albo z probś, popatrzy zawsze, który najnędzniejszy, tego wybierze i do niego się zwróci. A z pokłonem rycerz starego rodu zjawi się, zmierzy go od stóp do głów oczami, rzadko słowo powie. Żebrak na drodze, chłop u radła, Żyd w nędznej chałupie, to dla niego przysmaki. Nie pominie żadnego, stanie, zaczepi, będzie z nim rozmawiał i okaże mu oblicze najłaskawsze... O tych Żydach powiem wam, na com ja sam własnymi oczyma patrzył...

Wszyscy około mówišcego Ottona ze Szczekarzewic skupili się ciekawie. Neorża miał się uradowany, bo na jego młyn woda płynęła, powtarzał ciśgle:

A co? a co?

To, o co obwiniano króla, szczególnie mu smakowało.

Chłopów król, a nie nasz! mrucał chłopów król! Tymczasem Otto dalej opowiadać zaczął:

Łońskiego roku, gdy Pan Bóg nas tym strasznym morem pokarał, który wiatry skśde przyniosły, a drudzy prawiś, że z kupcami do nas i kupiś przywędrował, ludzie padali jak muchy. Trwoga była okrutna, tak że niektórzy ze strachu samego marli, choć czarnych wrzodów i krost, i dymienicy nie mieli. Kto żyw z Krakowa życie unosił, bo tu powietrze, jak ks. Baryczka powiada, za Przenajwiększy Sakrament sponiewierany mciło

się bezlitonie. Zakonnicy tylko i księza gdzie którzy pozostawali, aby umierajścym ostatniś oddać posługę. Nie nastarczyć było grabarzy i trumien... Walały się trupy pod płotami, co je potem lada gdzie do dołów rzucano, aby zarazy pozbyć.

Król, który w Krakowie podówczas nie był, gdy się to poczynało, jakby sobie z mocy Bożej urśgowisko czynił i wyzywał jś, choć go pan z Melsztyna i inni prosili, po rękach całowali, aby się kędy w las schronił nie, wprost na Wawel powrócił!

Było to włanie w porę, gdy ludzie dowodnie doszli, iż pomorek był bodaj sprawś Żydów albo za żydowskie grzechy, które u siebie cierpimy, zesłany. Postanowiono niewiernych wybić i wytopić, aby Boga przebłagać.

Niektóre żydostwo ostrzeżone pouchodziło, inni u chrzecijan szukali drogo okupionego schronienia, po lochach i jamach się zakopywali.

Mnie się naówczas ani niło do Krakowa, w paszczę tej potworze leć, jakby onemu smokowi Krakusowemu pod Wawelem, aż dowiaduję się, że tam stary mój pan rodzic zaniemógł, a woła mnie do siebie, abym go wyzwolił albo pogrzebał...

Musiałem więc wziśwszy błogosławieństwo kapłańskie a od bab różnych ziół siła i zaklęć pieszyć do pana rodzica. Miałem postanowienie takie, tylko z wozem krytym pod domostwo po niego podjechać, starego zabrać i ani wody kropli do ust nie biorśc, ani chleba kawałka, natychmiast nazad do Szczekarzewic z powrotem. Alem na złś trafił godzinę. Włanie się było pospólstwo na Żydów zniosło i zbiegło, a sprawiedliwość i pomstę nad niewiernymi domierzać zaczęło. Trafiłem, jakbym poród rozpalonego ogniska padł.

Rynek, targowice, ulice, kśty, wszystko pełne było czerni i tłumów. Jeszczem, jako żyw, nie widział tylu tak oszalałych niby bestie dzikie i zwierz leny, bez pamięci, bez litoci mordujścych, krwiś pijanych.

Com ja wówczas napatrzył się, nie zapomnę do mierci. Spod murów zamkowych, od Okoła, kędy tylko o Żydach wiedzano, wywlekali ich albo półżywych, lub już pobitych siekierami, łby ucinajśc, postronkami dławiśc... Na próżno się o chrzest prosili

z trwogi. Mordowali starych, młodych, niewiasty, dzieci rzezano na sztuki, aby nasienie tego plemienia nie zostało.

W niektórych miejscach po ulicach trupy już stosami pod cianami, w kałużach, w rowach, zalegały obnażone, zsiniałe, w sztuki porśbane. Indziej, gdy już sił do mordowania Żydów nie stawało, gnali ich i wlekli do rzeki topiśc z kamieniami u szyi.

W miecie wycie, płacz, jęki a szalony wrzask dzwony głośzył. Jam się tym popiesznie] do ojca przebijał, często mieczem sobie drogę torować zmuszony, a mało mnie gwałtem też do tej roboty nie zaprzężono, bo lud wciekły na nikogo nie zważał.

Jużem się był nie opodał od zamku dostał, aż widzę, jakbym dzi jeszcze na to patrzył, naprzeciwno mnie, z murowanego dworca, którego wrota wyłupane na ziemi leżały, oprawcy wywlekali właśnie cała żydowską stadninę, która się w lochu ukrywała. Był jeden stary z brodą siwą, z szat obdarty, wychudły, nagi, z głową ogoloną, któremu sznur na szyję już i pętlicę zadzierzgnięto, było dwu młodszych, na poły omdlałych, którzy ręce łamali, klękali i opierali się, że ich wlec musiano, i Żydówka stara w poszarpanych sukniach, której ze strachu mowę odjęło. Ta jeszcze córkę czy wnuczkę, dziewczę może dziesięcioletnie, obejmowała pokaleczonymi rękami tak silnie, że trzech ludzi wyrwać jej nie mogło.

Kupa ludzi tłocząc się gnała ich. Jeden już zabity padł twarzą na ziemię i tam został, z drugich krew się lała, ranami byli okryci... Żydówka też porwana, posieczona, jakby nie czuła nic, dziecko sobą okrywając próżno ratować chciała od miernicy.

Dziecko to, choć Żydówka niewierna, takiej było cudnej piękności, że ja oczów od niej nie mogłem oderwać, a wypieszczona i wstępa, jakby pańska córka. Włosy jej czarne, rozpuszczone, do kolan niemal spływały, a co spod podartej koszuli ciało było widać, jakby z koci słońcowej wyrzebił, tak liczne... Oczy. gdyby dwa węgle czarne, patrzyły przerażone na tych, co ją pochwycić chcieli... Rękami białymi trzymała się pokrwawionej matki. Choć Żydów, i mnie się żal zrobiło.

Już by jej wnet który cios zadał, bo się coraz większa kupa zwała, a starsi siekli i cięli, która ślaniając się jeszcze sobą okrywała dziecię jak wilczyca, gdy jej szczenięta biorą, aż od zamku król wypadł jako piorun ze swoimi kilkunastu dworzakami i wprost na tę gromadę z mieczami podniesionymi.

Stanąłem mało, patrząc a dziwując się, myśląc, że i Kamirz też przyłoży rękę do dzieła, by niewiernych wytępić, a stało się, czego się nie spodziewałem.

Wszyscy królewscy i on sam nie na Żydów wpadli, ale na ten motłoch, co ich mordował. Sam widziałem, jak kilku ciął i okrwawił rozpędzając precz. Z konia zsiadł i wprost do matki z dzieckiem pobiegł okrywając ją sobą... i gromiła napastujących:

Won... precz!

Żydówka się rękami zbuczonymi za szaty jego chwyciła, a owa dziewczynkę król objął i płaszczem otulił. Żydowie starsi popadali mu pod nogi, za kolana go chwytając. Kochan i Dobek przy nim stojący, poczęli krzyżeć:

Precz, zbójce! precz!

A miecze mieli obnażone i tłum, choć był rozjadły, pierzchnął szanując wolę pańską.

Zaraz i drudzy Żydowie, którzy poblizu byli, korzystając z tego, że oczy wszystkich na Kamirza były

zwrócone i że na nich nie baczone, poczęli się cisnąć, zbiegać z wrzaskiem i jękiem ku niemu.

Skinął, aby rozpędzono gmin, i sam na to patrzyłem, jak starś Żydówkę, z której posoka się lała, wziwszy za rękę, a dziecko wciśz płaszczem otulajśc i starym żydowinom ić za sobś rozkazujśc, nazad na zamek pociśgnśł pieszo, dworowi zalecajśc, aby motłoch rozegnano, a niewiernym żadnej krzywdy czynić nie dano...

Tak się to morderstwo podówczas skończyło i Żydów połowa albo i więcej uszła. Niektórzy na zamku, inni po miastach dalszych, nocami zbiegajśc poprzebierani, ukryć się potrafili.

Mówili potem, że owś starś Żydówkę własnemu lekarzowi kazał obwiśzywać, smarować i leczyć, a przez dni kilka spokoju nie miał, aż matkę z córks na królewskim wozie pod strażś do Opoczna odwieziono.

Gdybym sam nie patrzył na to, nie uwierzyłbym temu, że król się tś krwiś niewiernś nie wahał zbroczyć, że tych nieczystych Judaszów dotykał, bronił i ratował...

O dziewczynie tej i matce jej słyszałem i ja zaszeplenił Neorża było o tym mowy dosyć... Powiadał Goworek, który jś widział, że tak pięknego wyrostka, jak ten, w życiu nie widział. Choć to jeszcze półdziecko było, ale królowi piękność kazała zapomnieć o żydostwie... Wszyscy się dziwowali, umiechali, a niektórzy nie mogli pojść, jak Bóg niewiernej, takiej mógł dać postać i ciało, co by jej królowna mogła zazdrościć.

Goworek, co na zaniku mieszkał, rozpowiadał, że dziewczyna była nad swe lata rozumna a miała i dumna. Dworacy i sam król napatrzeć się jej i nasłuchać nie mogli, gdy opowiadała, jak ich mordowano.

Co po piękności i rozumie przerwał Pszonka kiedy to naród jest niewierny, do którego król ani się powinien był zbliżać, ani z nim przestawać. Szatan na pokusę nieraz daje swoim dzieciom takie oblicze anielskie... Lepiej by się było stało, gdyby to wybito w pień.

Janina słuchajśc jak inni dodał:

To bo Żydzi pono z tego rodu, który u króla żupy trzyma i pieniśdze mu kuje. Bez nich by się nie obszedł... dlatego ich ratował!

Neorża, wielickich dzierzawców i swoje konie przypomniawszy, dodał z przekleństwem:

Jeszcze my ich kiedy, Judaszów tych, razem z tym, co ich tak kocha, wyżeniemy precz... dopiero lepiej będzie!

miała ta pogróżka, choć może wielu była po myli, w nikim jednak wtóru nie zaznała, przeszła jakby nie dosłyszana.

Niechętni byli wszyscy królowi, przecie bali się i wahali inaczej jak szemraniem myli objawiać.

Maciek Borkowicz, przysłuchujśc się z półumiechem pogardliwym, potrżśajśc głowś, rzekł, wodźśc

dokoła oczyma:

E! e! próżny to gwar, miłociwa moi! Nałajac z kšta, to

tam każdy potrafi a do roboty się zatrać, mało kto. Ja nie chwałśc się Wielkopolan moich cišgam do kupy: radzę, czyńcież wy to samo u siebie. Z gadaniny nie uronie nic, chyba kwas.

I kołpaka znowu poprawiwszy, z minš butnš, Neorży się trochę skłoniwszy, szedł precz, na innych nie patrzśc.

Gdy się to w wielkiej izbie działo, z której gocie powoli rozchodzić się zaczynali i rozjeżdżać pilnujśc, aby gromadnie na ulicę się nie wysypywali, i każdy w innš rozjeżdżajśc stronę, dotšd milczšcy człek, który się tu nie wiedzieć jak wcisnšł i ni odzywajśc, ani mieszajśc się do rozmowy słuchał tylko, nie bardzo nawijajśc na oczy, wyliznšł się też opończš osłoniwszy ze dworu Neorzy, pieszo pod płotami poczynajśc ić ku miastu i rynkowi.

Był już za drzwiami, gdy gospodarz rozgrzany rozmowš, który mało co na kogo zważał i prawie go nie postrzegł wprzódy, dopiero wychodźšcego zobaczył lepiej, chcśc dognać, ale już było za póno.

Stał koło niego Jaksa, co się o córkę Neorży zawsze jeszcze starał i do niego chodził, choć wiadomo było, że na dworze królewskim służył i z królem trzymał. Nie obawiano się go, bo przyszłego tecia zdradzić nie mógł.

Tego porywczo spytał Neorża:

Kto to taki?

Wskazał palcem za odchodźšcym. Ja go nie znam rzekł Jaksa.

Któż go przywiódł? z kim tu przybył? = podchwycił niespokojnie Neorża nie wy?

Nie ja! odparł zapytany.

Do kata! zawołał stał jak mruk, uszy nastawiwszy nie wiadomo, kto on jest. Gotów na zamek z językiem.

Włosy zaczął sobie targać Neorża usiłujśc przypomnieć, kto nieznanomego przywiódł tu ziemianina, przed którym sšdzśc go swoim z niczym się nie tajono.

Jaksa go nieco uspokoił tym, że przecie na podsłuchy przysłanym nie był, a sam by się wnijć nie ważył, kto więc za niego ręczył.

Wy też nie do nas, a do króla i do dworu należycie, to ja wiem odezwał się gospodarz do Jaksy ale przecież skarżyć nas nie pójdziecie.

Spojrzał nań. Jaksie na twarz rumieniec wystšpił.

Jam tu przybył się wam pokłonić, miłociwy panie, a nie języka szukać rzekł żywiej. Boli mnie to, co przeciw królowi mówiono, bo ja go miłuję, ale nie moja to rzecz rozgłaszać, co przy mnie, zaufawszy mi, mówiono... otwartym sercem.

Zresztś dodał przybliżając się do wojewody nie jest na zamku tajemnicś, co który z ziemian myli i co o królu prawi. Wie dobrze o tym Kochan, ulubieniec pański, a o czym on wie dzi, pewnie król jutro będzie wiedział.

Neorża się skrzywił, rękś poruszył, splunśł, lecz że Jaksza się żegnał z nim, rozmowy nie przeciśgał.

Zmęczony, ziewajścy, z troskś poszedł do pocieli. Nie wiodło mu się, jak pragnśł.

Nieznajomy ów, który się był nie postrzeżony zrazu wcisnśł pomiędzy niechętnych królowi, wprost ze dworu wolnym krokiem na zamek się zawrócił.

Był to Przedbór Zadora z bratem swym Pakosławem zostajścy na usługach królewskich, prawdę rzekłszy Kochanowi więcej służścy niż panu, który go rzadko widywał.

Obaj bracia z dawna wiernie stali przy ulubieńcu, który im się wypłacał zalecajśc ich Kamirzowi jako najwierniejsze sługi. Z ubogiej rozrodzonej rodziny pochodźcy Przebór i Pakosław musieli przy dworze szczęcia szukać, a dorabiali się go nie bardzo patrzśc, co im czynić kazano.

Kochan miał z nich posłów, poredników, pomocników, a gdziekolwiek nie mógł sam, jednym lub drugim z nich się wyręczał.

Przedbór i Pakosław stworzeni się zdawali do tego rzemiosła dworskiego. Obydwaj milczścy, potulni, pokorni, roztropni, ostrożni, niezmordowani, chętni i gotowi, gdzie im kazano, w potrzebie odważni i mocnego korda... sami przez się czynili mało, nie ważyli się na nic własnym rozumem, aby za to nie odpowiadać

skórś własnś, ale co im zlecono, spełniali jak najgorliwiej i najzręcznie. Stśpić bez nich nie mógł Kochan, a Kochan ten, choć mało na dworze widoczny, choć żadnego tytułu i dostojenstwa nie majścy, był jednym z tych ludzi, z którymi się wszyscy i najwyżej położeni rachować i oglśdać na nich musieli.

Niejeden raz, gdy króla przygotować do czego, nakłonić, przekonać było potrzeba, arcybiskup Bogoria, pan z Melsztyna i inni po cichu się doń udawali.

Ani datkiem, ani pochlebstwem ujśc go nie było można. Samowolny był, dumny, czuł swś siłę. Niekiedy, gdy mu to, co od niego żśdano, nie po myli było, wręcz odpowiadał, iż tego nie uczyni. Polem już próżno go było chcieć nakłaniać.

Między królem a Kochanem wiemy już, jaki był stosunek. Zroli razem, Kamirz znał druha tego, wiedział, co mu miał zwierzyć a co zmilczeć; a gdy nań skinśł, pewien był, że nikt lepiej woli jego nie spełni nad Kochana. Przy ludziach wydawał się on sługś pokornym, sam na sam z królem często za pan brat sobie poczynał, ,a nieraz go strofował.

Bez Kochana Rawy Kamirzowi trudno obejść się było, choć czasem hamować go potrzebował. Najlepiej zawiadomionym o wszystkim, co się w kraju, mieście, na zamku działo, a co króla tyczyć się mogło, był ten ulubieniec. Donosił wszakże panu tylko o tym, co uznał za potrzebny, aby uszów jego doszło.

On i Wierzynek, z którym Rawa poufale przestawał, družbę z nim mając wielką, stanowili tę radę potajemną w sprawach osobistych Kamirza, która mu życie ułatwiała, osładzała, a w wielu wypadkach od ciężkich osłoniła razów. Przed nimi nie skryło się nic, oczy mieli otwarte, ucho czujne, a choć dobrodziejstw obsypywani hojnie, króla nie przez chciwość ani wdzięczność, ale jako człowieka kochali. Oni też jedni znali go takim, jakim był w istocie.

Z ludzi jak z kwiatów woń wychodząca na wiatr niekoniecznie odpowiada temu, co się w nich w istocie znajduje: pachnie często trucizna, odraza woniś dobroczynne ziele. Tak i sława ludzka niepełna bywa i niesprawiedliwa, podnosi często to, co na to nie zasługuje, zapomina o tym, co najbardziej pamięci warto.

W Kamirzu naówczas widziano to, co każdy chciał upatrzeć, całego nie znali nawet ci, co mu byli najbliżsi: ani Bogoria, ni Suchywilk, ni pan z Melsztyna, ni Trepka, ani Wierzynek, ni Kochan nawet.

Każdy z nich widział odsłonięty mu cześć jakś tego człowieka, króla, pana lub przyjaciela, sądząc, że ona nim była.

Króla za wielkiego a nieszczęśliwego, brzemiennego myślami a troskami strasznymi, dopiero z czynów przyszło odgadnąć może.

Zwali go jedni chciwym, drudzy pysznym, samowolnym jedni, swawolnym i rozpasanym drudzy...

W nazwaniu urągliwym króla chłopów tkwiła już niechęć rycerstwa, choć król nie ukrócił mu ani swobód, ni przywilejów; mieli mu za złe, że na równi z nimi dbał nie tylko o mieszczanina, o kmiecia, ale nawet o Żyda, a rycerzem będąc nie tylko nim był, ale i skrzętnym gospodarzem.

Jak Neorża koni wypędzonych z Wieliczki nie mógł mu darować, tak inni tego, że za krzywdy kmiecia się ujmował, a sprawiedliwość równą chciał mieć dla wszystkich, że miasta dwigał, a mieszczan radami widział.

Ten podnoszący się od ziemi stan redni, choć wzrost jego wprędce zatamować miano... już się rycerstwu gronem wydawał. Król z czasem oprzeć się mógł na nim i stawać przeciw roszczeniom ziemian i panoszków.

Wiedział Kamirz, jak go sądzą, lecz miał wobec ludzkich sądów toż samo męstwo, które ojciec jego przeciw nieprzyjaciołom okazywał.

Nie troszczył się o głosy złoliwe, nie obawiał pomsty niczyjej, nie cofnął nigdy przed oporem tłumu i szemraniem... Krzyczano na wilickie prawa... przecież król je przewiódł na swym stawiści. Obok męstwa miał obyczaj taki, że o tym, co czynił, nie mówił nic albo mało i to chyba z wybranymi. Gdy mył się w nim zrodziła, a dojrzała, nie pytał, jak ją przyjmiesz... spełniał, co postanowił.

Milczenie to wstrzemięliwie czyniło, iż częstokroć ludzie domyleć się nie umieli, co postanowi, kędy pójdzie, odgadnąć nie mogli... i obawiali się.

Teraz, po owym morze, który znaczna część duchowieństwa jako karę za królewskie grzechy poczytywała i głosiła... po opiece Żydom przeladowanym okazanej, po nadaniu przezwiska króla chłopów, wiedząc, ilu sobie niechętnych miał, Kamirz wcale się o przejednanie ich nie troszczył, a gdy Kochan mu wyliczał nieprzyjaciół, umiechał się potrzśając głową.

Za słowa mcić się nie będę mówił zbywając ulubieńca gdy występki popełni z nich który, dla przykładu i grozy nie przebaczę... Słowo wiatr... ci, co mówisz wiele, zazwyczaj czynisz mało.

Tak, ani Neorzy, którego tylko nie przypuszczał do siebie, ani innych nie dał przeladować zbywając ich pogardą.

Nazajutrz po dniu tym, gdy nieprzychylni królowi ziemianie u Neorzy się zeszli i co który na sercu miał, głono się z tego wypowiedali dając się nieopatrznie podsłuchać Przedborowi, który doniósł o nich na zamek Kochan, ledwie strzymawszy wieczorem przy sobie, co mu doniesiono, wszedł do królewskiej sypialni zawczasu zapowiedziawszy mu o schadzce wczorajszej.

Król tego dnia wstał z łóża znękany i, jak mu się to często trafiało, niemal pod brzemieniem życia upadać się zdawał. Od owej tragedii na Węgrzech, od niedosłego smutnego wesela w Pradze, bardziej jeszcze od ożenienia z Adelajdą, przychodziły nań często takie chwile niesmaku i zmęczenia, z których Kochanowi nawet, znajścemu go najbliżej, trudno go czym wyrwać było.

W chwilach tych Kamirz milczący był, obojętny na wszystko, głuchy; niczego się nie zdawał pragnąć i nic go nie obchodziło.

Często po dwakroć i trzykroć ulubieniec mu co powtarzać musiał, nim zrozumiał, nim się tym rozbudzić dał i odpowiedział.

W takich to dniach znękania Kochan mu rozrywek szukał, niewiasty rań, aby go do życia przywrócić, wesołe towarzystwo

ciśgał do stołu, Szupce, trefnisiowi pana, towarzyszków dobierał... a gdy to wszystko nie pomagało, na ostatek do ks. Suchywilka się udawał, który królowi mył jakś wielką poddawszy najprędzej niż z tej obumarłej wyprowadzał go martwoty.

Tak po praskim, niedoszłym weselu uleczył go Suchywilk ze smutków rzucając pierwszą myśl wilickich statutów; teraz król zamki budował, miasta podnosił, drogi kopać kazał i tym żył znowu.

Lecz po jakimś czasie, gdy nowa myśl ciało przybierać zaczynała, krótką go obdarzywszy pociechą, nowej już karmi szukać było potrzeba.

Wiecznie rozdarta, nie zgojona ran serca Kamirzowskiego była ta groba straszna, że nie zostawi męskiego potomka po sobie, a koronę na obce dłonie zdać będzie musiał i zejść ostatnim swego rodu.

Nadzieje, które pokładał na ożenieniu się z Adelajdą, spełzły były. Królowa odesłana do Żarnowca

siedziała tam samotna, a Kamirz żyć z niś prawie nie poczśwszy nieprzezwyjęzony wstręt powziśł ku niej i widział w niej tylko zawadę, na wieki mu odejmujścś wszelkie lepszej przyszłoci wróżby.

Na to rozstanie tak prędkie z Adelajdś wiele się różnych przyczyn składało.

Z twarzy niepiękna, na umyle upoledzona, rada swemu wyniesieniu na królowę, Adelajda zносиła wygnanie prawie obojętnie. Niemka to była, której się zdało, że polskiemu królowi pustyn i lasów dzikich przyniosła wielkś czeć i szczęcie z sobś. Pewnś się czuła, że jś kochać musi, a pozyskać tej miłoci inaczej jak rubasznś zalotnociś, przy brzydocie wstrętliwś, nie umiała.

I teraz jeszcze, gdy już od dawna męża nie widywała, spodziewała się zawsze, pewnś była, że do niej powrócić musi. Trefiła rudawe włosy, malowała piegowate, wędniejścce policzki w nadziei, że Kamirz kiedy się zjawi. Czekala na niego od miesiśca do miesiśca, od roku do roku, a dwór jej banie plotśc utrzymywał jś w złudzeniach.

Może Kamirz byłby przemógł odrazę do kobiety dla miłoci rodu swego, lecz królowa Elżbieta stała na straży, aby synowi jej obiecana już korona wyrwana nie była. Ona i jej przyjaciele, w otoczeniu króla znajdujśccy się, do którego najznakomitszych liczono dostojników starali się, co mogli, donosić o Adelajdzie i wstręt do niej pielęgnować i powiększać. Królowa Elżbieta rachowała na tę koronę dla syna, drżała na samś myl utracenia jej. Rycerstwo miało już obietnice wielkich swobód, duchowieństwo wielkich łask, jeliby Ludwik został królem. A do tego włanie potrzeba było, aby król nie żył z tś żonś ani z żadnś innś, aby miał bodaj kochanki i potomstwo pokštne, ale nie korony dziedzica.

Z Węgiei, jak mówiono, szły na to do Polski pieniśdze, aby króla pilnowano.

Kilka razy ci, co się lękali połśczenia z Węgrami, starali się nakłonić Kamirza do przewyjęzenia odrazy... Przybywał król z mocnym postanowieniem zbliżenia się do Adelajdy, ale wnet zrażała go pewnociś zwycięstwa, pychś, zalotnociś niezgrabnś, samś swś powierzchownociś miesznś i dziecinnie pyszniścś się jakim kobiecym urokiem, którego nie miała. Nie była to ani prosta chłopka, dziecko lasów i pól dobroduszne, ani kobieta jak Margareta, na rycerskich dworach w obcowaniu z ludmi ogładzonego obyczaju wykształcona... ale co mieszczzańsko, dziwacznie nadymajśccego się sobś a odrażajśccego... nicociś. Król po każdym takim spotkaniu ze zwiększonś obrzydliwociś od niej uciekał.

Królowa Adelajda słyszśc, że niewiast wiele mężowi jej za miłonice dawano, sśdzśc go namiętnym, w taki sposób tę namiętność wywoływać się starała, iż pogardę i srom obudzała. Nie umiała sobie potem inaczej wytłumaczyć wstrętu i ucieczki, tylko czarami i podszeptami zauszniaków królowej Elżbiety, o której zabiegach była uwiadomionś.

Stratego pana swojego wioźł potem Kochan co prędezej do jednego z tych dworów, w których dlań młodociś, wiezociś, wdziękiem nęcścce trzymał niewiasty i smętnemu panu niemal gwałtem je narzucał.

Król ulegał pokusom... lecz nie na długo; życie to przykrzyło mu się wprędce... Żona, niewiasta, która by sercu jego odpowiadała, w jego przekonaniu już się nie znajdowała na wiecie.

Umarła może w męczarniach z Klarš, może we wdowym smutku z Margaretš.

Wkrótce odwiedziny w Źarnowcu zupełnie ustały. Kochan po kaźdych widząc pana więcej zbolałym, jak mógł, od nich odwoził.

Królowej nie działo się nic złego, miała dwór znaczny, czeć należnš, pańskie otoczenie, zabawy, jakie chciała; piewaków a bajarzy i błaznów z Niemiec sobie sprowadzała, stroiła się w szaty bogate, duchowieństwo opuszczonš starało się pocieszać. Obiecywano jej cišgle lepsze losy.

Lecz dla nieprzyjaciół króla ten rozbrat z ukoronowanš małżonkš prawš broniš był skutecznš dla zohydzenia go u ludzi. Posługiwali się nim i powieściami o jednodniowych kochankach królewskich, aby wystawić Kamirza jako rozpustnika, wiarołomcę, rozpasanego na wszystko zbytnika.

Miłociwy panie mój poczył nazajutrz Kochan spoglšdajšc na znużonego króla, który patrzył, nie widząc nic, wprost przed siebie miłociwy panie, czas by ludziom złym gęby zamalować.

Kamirz rzucił nań okiem roztargnionym i ruszeniem ramion odpowiedział.

Znowu się u tego Neorzy zbierajš dodał Rawa liczba ich się mnoży, wygadywać im wolno bezkarnie, więc języki na dziadowski bicz rozpuszczajš.

I cóż mówisz? zapytał król obojętnie, zbywajšc się go.

A cóż? zawsze jedno! Mnich ten zuchwały, Baryczka, nie darmo Amadejów pokrewny... Węgier też, choć ojciec z Polkš się ożenił, Baryczka się odgraża, że gotów z kazalnicy piorunować króla... Nawet arcybiskupa i biskupa nie oszczędzi za to, że oni was nie zmuszajš z żonš żyć, a... inne niewiasty porzucić. Jakby kochanek i księža nie mieli? dodał Rawa.

Kochanki? miłonice? powtórzył król z umiechem chłodnym gdzież one sš? na dworze ich nie chowami

Kochan zamilkł.

Ani arcybiskup, ani biskup dołożył król nie pozwolš temu szaleńcowi rzucić się na mnie.

Biskup? kto wie? odparł Kochan. Ks. Bodzanta to nie Jangrot spokojny, temu potrzeba koniecznie z kim koty drzeć, mało mu może będzie mniszek sšdeckich, porwie się na króla.

A inni jacy tam u Neorzy byli? spytał król po chwili. Neorza człowiek zły, to prawda, ale głupi jest, obawiać się go nie ma powodu. Nie szanuje go nikt i nikt nie pójdzie za nim.

Przecież tacy ludzie do niego się garnš jak Maciek Borkowicz rzekł Kochan który tam wczoraj był, ten nie obrany; z rozumu, a w Wielkiej Polsce dużo swoich ma.

Kamirz bystro spojrział, tknęło go to.

Borkowicz? powtórzył. Jam go nadaniami i łaskami obsypał, miałzeby niewdzięcznym być? Cóż

przeciwko mnie mieć może?

Nie wiem odparł Kochan ale to pewna, że z tymi trzyma, co jawnie przeciwko nam sš.

Król zdawał się nie dowierzać.

Człek to przebiegły i miały rzekł może tylko języka szuka.

A ja bym mu nie wierzył przerwał Kochan niepomiernie wielkoci jest chciwy.

Któż był więcej? zagadnšł król.

Było ich pono dosyć krótko zamknšł ulubieniec królewski. Pszonka, Janina, Otto ze Szczekarzewic.

Milczeli chwilę, a król dumał.,

Otto im. gadkę prawił, jak wasza miłóć Żydów ratowalicie łońskiego roku, osobliwie owš niedorosłš dziewczeczkę, której matkę tak okrutnie posieczono.

Kamirzowi twarz się rozjaniła.

. Co to za liczna była ta przestraszona! zawołał w życiu nie widziałem piękniejszej twarzyczki ani oczu podobnych! Co z niej będzie, gdy uronie? Westchnšł.

I zmarnuje się ta pięknoć przedziwna pomiędzy żydostwem brudnym dodał ciszej.

Kochan bacznie się w króla wpatrywał, jakby chciał sobie zapamiętać jego słowa.

Rozmowa się przerwała.

Miłociwy mój dorzucił po przestanku Kochan Neorzę by gdzie na Rusi na zamku posadzić, aby tu kškolu nie siał, drudzy by zamilkli.

Rozmiał się król głono.

Aby się miał za takiego człowieka, którego ja, pan i król, lękać się muszę? Czeć by mu się wyrzšdziło za wielkš. Głupców nie ma się co obawiać. Ruszył ramionami wzgardliwie.

Aż wtem do drzwi już pukano.

Kochan wnet pokorniejszš przybrawszy postawę cofnšł się ku progowi. Po chodzie i kołataniu on i król poznali nadchodzšcego Suchywilka.

Wszedł z powagš, bez zbytniej poufałoci, ani nadto się korzšc, jak człowiek, co królewskš i swš godnoć oszacować umiał, a stanowiska był pewnym.

Kamirz go witał uprzejmie.

Wejrzenie, które duchowny na Kochana stojącego w progu Rzucił, znakiem było, ażeby się oddalił.

Rawa wyszedł natychmiast wyszedł, ale za progiem pozostał i ucho do drzwi przyłożył.

O łaski, jakie u króla miał z dawna siostrzeniec arcybiskupi, nie był faworyt zazdrosnym.

Zastąpić go nie mógł, walczyć by się z nim, nie omielił, znał wielką wyższość człowieka, który się szanować kazał, lecz o wszystkim wiedzieć potrzebował.

Krój doradcy swemu wskazał siedzenie. Skłonił się posępnego oblicza kapłan ale nie usiadł. Obie ręce na stole oparłszy, przy którym król spoczywał, zadumał się nieco, przygotowywał do rozmowy.

Przychodzę z przestrogi rzekł po namyle. Czy z rozkazu króla dobra złockie biskupowi krakowskiemu zajechano?

Spojrzał. Nastąpiła chwila milczenia, król milczał gotując odpowiedź rozważną.

Dobra złockie? odparł zacinając usta tak jest. Układałem się ze p. biskupem Jangrotem; godził się na to, by mu

inne w miejsce ich wyznaczył. Złockie mi do moich lasów i majątności są koniecznie potrzebne.

Umowy nie było spisanej? zapytał Suchywilk.

Byli wiadkowie.

Ks. Bodzanta o układzie tym nic wiedzieć nie chce mówił dalej duchowny na żadną zmianę przyzwolić.

Krzywda mu się nie stała dodał król. Z wujem waszym nie jedynym podobną przeprowadzili zmianę. Kocielnego dobra nie pożądam duchowieństwa krzywdy nie chcę...

Nie dokończywszy król głowę spuścił.

Bodzanta rozżalony, zburzony mocno... dodał Suchywilk.

Przecież da się uchodzić rzekł król potrzeba tego.

Wstąpię, żeby z nieco upartym a szorstkim starcem już się co dało uczynić odezwał się głos zniżając Suchywilk. Być może, iż go pobudzono i oliwy do ognia dolano, ale już się pali jasno i trzeba mu dać wygorzeć. Złockie dobra bodaj zwrócić, a później zrobić się co może.

Król wstał, jakby go co ubodło nagle.

Powagę bym królewską naruszył rzekł głosem drżącym ulegając biskupowi. Nie mogę! Nagrodzę go sownie, nadano więcej niż warta ziemia ta, ale już dziś pucić nazad srom by był dla mnie.

Suchywilk, na stole sparty, stał zadumany brwi ciśgajśc.

Zajštrzy się spór mocno odezwał się zwolna, poglšdajśc na króla. Ks. Bodzanta gwałtowny jest, trzeba mu dać czas ostygnśc, nie jštrzyć go więcej oporem. Dobra złockie wojny z nim niewarte.

To pewna odparł żywo król dobra złockie nie, ale czeć moja królewska warta, bym stał przy niej. Com uczynił, cofnśc nie mogę. Król sobie kłamu zadawać nie powinien!

Tak dodał pomilczawszy chwilę, Wrogów mam dosyć, potwarzy na sobie noszę niemało. Wymieliby mnie ludzie, że nie wiem, co czynię, gdy nazajutrz odrabiać muszę.

Wy obróci! się do Suchywilka idcie do biskupa, wyłóćcie mu, jak sprawa stoi: umowem miał, wynagrodzenie obiecuję! Żałować powolności nie będzie, lecz król się upokorzyć nie da. Uchodcie go, proszę...

Rad bym rzekł uważnie słuchajšcy Suchywilk ale czy zdołam, nie wiem. On też swš czeć na tym zasada, aby odzyskał dobra te a nie inne. Woła i narzeka, że władza duchowna słabnie i coraz bardziej wieckiej ulegać musi, gdy na równi z niš stać ma prawo.

Król coraz groniej się marszczył.

Nie mogę! zawołał niestety, nie mogę. Biskupem on jest, ale ja królem. Com uczynił, musi być dobrym, choćbym za to w dziesięcioro miał zapłacić. Zaprawdę, le się stało, że zaraz umowy z Jangrotem spisać nie kazał. Zwlekało się to od dnia do dnia, aż mierć go niespodzianie zaskoczyła. Niech Bodzanta žšda, czego chce, dóbr zajętych nie powrócę.

Z twarzy słuchajšcego widać było, iż niemal przekonanie królewskie podzielać musiał, a przynajmniej sprawy biskupa bronić wielkiej nie miał ochoty.

Zarzucono mu naówczas powszechnie, iż za mało się czuł duchownym, a sprawy stanu swojego zbyt sobie nie ważył i słabo za nimi obstawał.

Ciężkie to będzie westchnł.

Któż biskupa podzegł do tego? bo on sam zrazu milczał zapytał król.

Suchywilk się umiechnł.

Być może, iż go namówiono! odezwał się ciszej. Spojrzeli sobie w oczy i porozumieli, iż jedna myl przyszła obu.

Ks. Baryczka za biskupem stoi? rzekł król. Głowy skinieniem potwierdził słuchajšcy.

Z tym się porozumieć i przejednać nie będzie łatwo dodał Kamirz znam go z dawna. Niechętnym mi jest może, jako Amadejom pokrewny. Szuka tylko powodu, aby walkę rozpoczął. Duch w nim niespokojny. Walce bym nierad był, bo duchowny stan szanuję, bo niepożytecznej walki unikam zawsze i wszędzie. Królewska godność kapłaństwem jest także! Nie będš mnie szanować poddani,

gdy ja się sam nie poszanuję. A wy... co

mówicie o Baryczce? spytał oczy wlepiając w Suchywilka, który się zadumał głęboko.

Kapłan jest nieposzlakowany odparł po małym namyle ale człowiek namiętny, natura niespokojna... jak salamandra w ogniu by żył... Do pogan go słać nawracać, na niewiernych z krzyżem... bo mu słowa nie brak goršcego, a odwagę ma nieustraszonš.

Mylał chwilę jeszcze i dorzucił:

I rozgłosu może jest žšdny, choć sam się nie poczuwa do tego.

Król stał chmurny.

Uczynię, co mogę, by wałki uniknšć rzekł radcie mi!

Powiedziałbym, że ustšpić potrzeba, gdyby miłoc wasza nie wyrzekł wprzód, że ustępować się nie godzi.

Nie mogę! powtórzył Kamirz stanowczo i dobitnie, Kamirz oddałby dobra złockie król nie może.

Umiechnšł się.

Radcie inaczej. Ksišdz milczał długo.

Nie będę taił przed wami, miłociwy królu rzekł zem z biskupem Bodzantš mówił już o tym. Znalazłem go w zburzeniu wielkim i próżnom go uchodzić się starał. Starzec się klštwš odgraża...

Klštwš? podchwycił król nie bardzo zastraszony. Wiecie najlepiej, jak Krzyżacy, jak inni też mało sobie dzi klštwy kocielne wažš. Nadużyto tej broni, aż się wyszczerbiła.

Przecież nie godzi się jej lekceważyć z powagš przerwał Suchywilk. Kociól innej broni nie miał i nie ma. Używać jej musiał, straszna ona zawsze.

Ależ... wy sami, wy, duchowni, nie wszyscy jej posłuszni jesteście przerwał Kamirz księža przecie msze odprawiajš i grzebiš...

li księža przerwał Suchywilk marszczšc się li to księža, miłociwy królu, bo się przeciw władzy swej buntujš, a zachwieje się ona padnš i duchowni z niš.

Po małym przestanku ksišdz dodał: Jużciž, Bóg da, do ostatecznoci tej nie dopucimy.

Król nic nie odpowiedział.

Na twarzy jego zaszła zmiana, jakš często dostrzegali obcujšcy z nim. Ostygłe oblicze znużonego człowieka nagle się przeistoczyło na poważne, na królewskie. Poczucie jakiej dumy obwiodło je aureolš.

O innym mówmy rzekł. Spodziewam się z pomocą wasz przewieć to, ażeby mi od sędów z prawa magdeburskiego nie chodzono z powołaniem i naganą za granicę, do niemieckiego miasta i niemieckich rozumów. Wstyd to dla nas!... jakbyśmy własnych sędów nie mieli, a sprawiedliwoci sami nie mogli znaleźć u siebie. Na krakowskim zamku postanowimy sąd najwyższy.

Suchywilk słuchając tak nagle zwróconej ku czemu innemu mowy widocznie się zdumiał i nie ukrył zdumienia. Lecz zrozumiał to, że król o sprawie z biskupem krakowskim już więcej mówić nie chciał.

Zamilkł więc posłuszny.

Po chwili, ledwie co o tym prawie niemieckim przebrnąwszy, wyszedł Suchywilk do drzwi przeprowadzony przez króla.

Za progiem drugich podwoi Kochan dotrwał do końca i wysłuchał rozmowę całą. Rumienił się, gniewnie wstrząsał, pięci zaciskał, to radował, gdy król stałość okazywał.

A! mówił sam do siebie Baryczka nam tu grozić myli i królowi spokój mści. Nauczę ja klechę rozumu!

Z tym po cichu odszedł od progu.

W pół godziny potem Kochana już na zamku nie było. Przystroił się, jak był zwykł do wyjścia, mieczyk przypasał mały, łańcuch od króla dany na piersi zawiesił, pacholę ze sobą wziął, aby mu większy miecz niosło, który był rycerstwa oznaką i na miasto się udał.

Kamienica Wierzyńska, jedna z tych wielu, których on już naówczas był właścicielem, a nabywał, mieniał i sprzedawał je często, znajdowała się w samym rynku. W niej ówczesne życie miejskie a przynajmniej część jego najgłośniejsza się skupiała.

Mikołaj był jednym z najczynnějších ludzi swojego czasu i stanu. Chociaż, zaprawdę, stanu jego już oznaczyć było trudno, mieszczanin, do ziemian miał się liczyć prawo i szczyt miał, Łagodę, jako inne rycerstwo; do dworskich urzędników Wyższych także go wmieścić było można, bo choć tytułów nie nosił, obowiązki pełnił nie jednego, ale kilku. Podskarbin się nie zowiść, skarbem króla rozporządzał, miał na oku mennicę, w mieście stał za wójta i za Radę.

Handel też prowadził rozległy a różny na wsze strony... Kupcy w nim głowę swą widzieli.

Ziemianie potrzebowali go dla grosza, duchowieństwo szanowało dla szczodrobliwoci. Król na ostatek, jakby z niemieckiego Viersinga przerobionego na polskiego Wierzyńska chciał usprawiedliwić imię, zwierzał mu wszystko, we wszystkim wierzył i do wiernych ręk, co miał, bez liczby oddawał.

A miał też w nim sługę, który życie, mienie, wszystko był gotów dlań poświęcić.

Niewielkiego wzrostu, lat rednich, lecz krzepki, zręczny i ruchliwy Mikłasz, choć czoło marszczył często, bo miał myśleć o czym, na ustach umiech łagodny nosił ciśnie.

Twarz niepiękna, rozumna była i dobra, życiem uspokojona, bo gdyby wielkie jego zawody i troski wszystkie odbijać chciała, a sam człowiek brał je do serca, nie zniósłby ich i padł pod nimi.

Krzętał się Wierzynek nieustannie, wstając o brzasku, pracując część nocy, chodząc a jeżdżąc to do Wieliczki to do Olkusza, to do Nowego Sącza, to poza granicę z poselstwami królewskimi i sprawami własnymi. Miał ich więcej niż inni na głowie, a pospolity człek tyłu podołać by nie mógł, on pamięciś, rozumem, czasem na wszystko starczył, choć nie pieszył się nigdy. Król się go radził i w tym, co do niego nie zdawało się należeć; mieszczaństwo nic nie poczynało bez niego, kupcy nie stąpili kroku nie spytawszy go o radę lub nie wezwawszy na pomoc.

W domu nie dzielił się z nikim robotą, posługiwał się tylko obcymi, bo z rodziny synów dwóch dorosłych Bóg obu zabrał, a po nich zostały tylko wnuki, nad którymi czuwać trzeba. Żonę tęsknota po dzieciach dobiła, sam był więc jeden... i na wszystko oko mieć musiał Wierzynek.

Sług i czeladzi kręciło się koło niego mnogo, bo mu młodzież swą do nauki życia chętnie oddawali mieszczenie; ta spełniała rozkazy, które wszystkie wprost od niego szły.

Gdy pana nie stało w domu, a zabawił dłużej, niż zamierzał, zatrzymywało się wszystko, bo go nikt zastąpić nie miał i nie mógł. Dworzec możnego mieszczanina murami i wspaniałością zewnętrzną oczów nie cięgał; rozległy był jednak, ogromny i choć się co roku rozszerzał spichrzami, składami, szopami, ledwie cięgającej się zewsząd kupi mógł dostarczyć. Dzień w dzień wjeżdżały we wrota jego ogromne wozy ładowne, karawany całe, zbrojnymi ludmi otoczone, bo kosztownego towaru naówczas przez puste gościńce prowadzić inaczej nie było bezpiecznie. Łotryków się włóczyło wielu polujących na zdobycze.

Młodzieży zwawej kręciły się roje w podwórcach. Jedni ważyli i liczyli, co wyładowano, drudzy zapisywali, dozorowali inni. W sieniach, po izbach czekających na posłuchanie zawsze pełno było; w dziedzińcach, póki dnia, nieustanny ruch i targowica. Inni tu tracili głowy, on jednym oka wejrzeniem mierzył, poznawał rzecz każdą, a często, nim go zapytano, odpowiadał. Dość było mu na człowieka wejrzeć, aby wiedzieć, z czym przychodził.

Mówił krótko jak wódz w czasie boju, a co rzekł, to spełnić musiano zaraz, bo zwłoki nie cierpiał, a nieposłuszeństwa nie rozumiał.

Często widywano pana tego, który z królem poufale przestawał, a bogactwem niejedno księżętko przechodził, gdy zniecierpliwiony powolności lub niezgrabstwem, przypomniawszy sobie dawne czasy sam chwycił za ciężar albo rozwijał przywiezioną w skrzyniach kupię młodzież ucząc, jak się traci do tego nie tracąc czasu.

On sam, choć się na pozór nie pieszył, choć gorączkowej i nieporządkowej pracy nie znosił, chłodno i rozważnie czynnym był cięgle. Rzadko usiadł i spoczął, nie biesiadował nigdy prawie, na rozmowy próżne godzin nie tracił. miał się z niego król, że zmuszony słuchać czczych słów i daremnej paplaniny, tymczasem

o czym innym ważniejszym przemyślał.

Osiodłany koń lub zaprzężony wózek stał u niego zawsze w podwórzu na zawołanie, bo nie mógł wiedzieć ani dnia, ani godziny, gdy go gdzie zawołają, a gotów musiał być zawsze, kędy sprawa wymagała.

Spotkawszy go w podróży lub na ulicy nieznajomy człek nie poznałby w nim może głębnego już podówczas Wierzyńka, bo odziewał się skromnie i nie bijł w oczy. Dopiero sukni się przypatrzawszy, temu co na nim i około niego było, dostrzec mógł, iż tkaniny a przybór do nich wszelki przedziwny był i doborny, jakiego pospolici ludzie nie noszą.

Lubił bowiem Wierzynek wszelkie rzeczy osobliwe, piękne

i drogie, a te się z całego wiata do niego cięgały.

Izby, w których swoich towarzyszków, kupców, mieszczan, ziemian i mnogich co dzień gości pospolitych przyjmował, nie wieciły tak bardzo sprzętami; dopiero głębniej wszedłszy do tych komnat, w których odpoczywał, poufałych swych i rodzinę gromadząc, bogacza poznać było można, napatrzeć się zamorskich drogich tkanin, rzeby z koci i drzewa, szkła, gliny polewanej, kruszców, kamieni i kobierców kosztownych.

Flamskie opony okrywały tu ciany a wschodnie miękkie tkaniny podłogę: skrzynie piękne, wyrzeżane, okryte poduszkami, za siedzenia służyły pod cianami, a po szafach i na nich napatrzeć się było można naczynia różnego, pucharów, kubków, flasz, dzbanów misternie barwionych i pozłocistych. Przywożono mu je z Włoch, Francji, z Hiszpanii, ze Wschodu, ze wszystkich tych ziem, z którymi różne handle prowadził.

Co mu się najpiękniejszym zdawało, to dla siebie zostawiał. A że król miłował piękne dzieła ręk i przemysłu ludzkiego, dla niego i dla siebie, do kociołów i ich skarbców zwozić kazał Wierzynek, o czymkolwiek zasłyszał, gdzie co najlepiej robiono. Kochał się też w klejnotach, choć nigdy ich nie nosił, na wielkie tylko uroczystości łańcuch kładąc lub piercień jaki, a pilnując tego, aby swych mieszczan nie raził przepychem, którego im zażywać nie było wolno.

Przepisy ówczesne, surowe dosyć, wzbraniały im zbytku wszelkiego w sukniach, u stołu, przy weselach, stypach, obchodach chrztu i zabawach.

Tak on jak nieboszczka żona jego, dzieci i wnuki, gdy do kocioła szły albo się w ulicy pokazywały, starali się do innych mieszczan podobnie odziewać, choć żaden z nich, ani Awileje, ni Wigandy, Bochnery, Kempowie, ani Keczerowie z Wierzyńkami się mierzyć nie mogli. Miklasz ich przecież panami braciś nazywał, choć ziemianie jego też swoim bratem mieć chcieli.

Gdy Kochan Rawa przybył do dworu pana Wierzyńka, włanie ów w kożusku i kołpaku futrzanym stał w podwórzu spoglądając na sanie, które ze skrzyniami wielkimi, kupi pełnymi, dnia tego nadźżyły z Niemiec do Krakowa.

Zobaczywszy Rawę, którego król często posyłał z ustnymi poleceniami, popieszył doń Wierzynek z dobrodusznym swym umieszkiem na ustach.

Bóg z wami! z zamku? cóż mi niesiecie? zapytał witajśc go uprzejmie.

Kochan stał nic dobrego nie pozwalajśc się domyłać. Piękna jego twarz chmurnš była.

Macieli czas? do izby z tym ic musimy odparł goć aby wiatr słów naszych nie poniósł, gdzie nie trzeba.

Zbliżajścemu się doń pleczystemu mężczynie z kartš w ręku, jak on w dostatni kozuch odzianemu, żywo co szepnšł Wierzynek ukazujśc na skrzynie, a sam pod rękę ujšwszy Kochana do izby swej go poprowadził.

Była to ta, w której on sam zwykle spoczywał, a dopuszczał do nich tylko tych, przed którymi z niczym się ukrywać nie potrzebował. Dwoje okien, żelaznymi kratami obwarowanych jak kosze odstajścymi, na włoski sposób, niewiele wiatła wpuszczało do sklepionej komnatki. Pod oknami i u cian widać było ciężkie skrzynie dębowe, kowane mocno i wielu misternymi opatrzone zamkami, w których skarbów domyłać się było łatwo. Obok nich stały szafy i police pełne zwitków papieru i pergaminów, worków i mis z pieniędzmi, a prób różnego kruszcu i kupi.

Na stole też papieru, pieczęci, wosków, sznurów, naczyń różnych było wiele, wagi dla złota i klejnotów, zegar stał piaseczny i inne drobnostki.

Maleńkie łoże w kšcie, przy nim lampka zagasła, nad nim krzyż czarny z Chrystusem z koci okazywał, że tu Wierzynek spoczywał. Maleńki tryptyk rzebiony u wezglowia otwarty, Wniebowzięcie, . Mikołaja i Jana przedstawiał.

Cóż mi dzi tak chmurno patrzycie? odezwał się gospodarz spoglšdajśc na gocia, który zwolna za nim kroczył pacholę z mieczem w sieniach zostawiwszy.

Bom zły! wybuchnšł Kochan, którego twarz jeszcze się mocniej zasepiła. A gdy mówię, że zły jestem, odgadnšć łatwo, że nie za siebie ani o siebie, ale o naszego pana.

Bystro i niespokojnie spojrział nań Wierzynek.

Mówcie! Cóż znowu przyszło, aby mu spokoju nie dać? co dolega? zawołał.

Gorsza daleko sprawa niż te, któremy przebyli odparł Kochan siadajśc. Wiecie, że król dobra złockie, o które się był Jangrotem ułożył na zamianę, a biskupowi krakowskiemu tak jak nic z nich nie przychodziło, zajšć kazał. Mieniali się przecie niejedyn raz... Bodzanta warchoł sam, a tu jeszcze i Baryczka, gorszy od niego, do wojny podżega... Klecha ten pierwszy zaczął krzyczeć na pogwałcenie praw, na wietokradztwo i domagajš się dóbr powrotu... szkód wynagrodzenia. Król inne majątnoci gotów dać, ale co raz wzišł, tego oddać nie może. Przyznałby,

zajšł bezprawnie... Co wy mówicie? już się z grobami klštw i interdiktów noszš zuchwałę klechy!

Wierzynek ręce małe i pulchne zacisnšł słuchajśc; twarz spokojna pobladła nieco i jakby dreszcz przebiegł po niej.

Złego słowa nie mówcie w złs godzinę odezwał się zafrasowany. Niech Bóg od tego uchowa! Bodzanta odgrażać się może, ależ nie rzuci klśtwy... nie!

Baryczka sam się gotów na to ważyć, męczeństwa mu się gwałtem zachciało... a może też pewien, że bezkarnie mu ujdzie i sławę sobie zyszcze, iż króla zmógł. To sprawa Baryczki...

Wierzynek przerwał mówiścemu lekkim uderzeniem po rękach.

Nie przypuszczajcie, nie domylajcie się takich złych rzeczy zawołał. Doć i bez nich król ma na głowie, wszystko to się rozproszy i rozwieje.

Niech mi się pana mojego tknąć waży nie zważajśc na wyrazy uspokajajšce, rzekł Kochan, mocno zburzony a ja mu to poźšdane męczeństwo sprawię. Tylko może nie takie, jakiego by pragnšł, żeby o nim po całym wiecie głośzono! po cichu klechę sprzštnšć każę i przepadnie bez wieci... kamieniem w wodę!

Wierzynek go powtórnie po rękach uderzył.

Milczcie rzekł nie do rzeczy prawicie. Postrachy grone tylko siejš, aby więcej na królu wymogli. Wykupimy się im pieniędzmi, bo tych tylko pewno chcš.

Chyba nie znacie Baryczki podchwycił Kochan. Nie

o pienišdze mu idzie, ale o to, aby duchownej władzy moc okazał, króla ustraszył i upokorzył! Król za jak dobry jest, tak powagi swojej i korony swej zazdrozny. Nie ustšpi on nie cofnie się

i klecha.

Tu bębnšc palcami po stole, aż sprzęt na nim brzęczeć zaczął, Kochan zamilkł... Twarz zła reszty dopowiadała.

Wierzynek zadumał się nieco, chociaż widocznie do serca tak bardzo nie brał tego, co się stało i co się zapowiadało. Zdało mu się, że rozdrażnionego człowieka najprędzej ułagodzi przyjęciem

i poczł wołać na czelad, aby wina korzeniem zaprawionego podano.

Ale Kochan prędko rękš wskazał, że pić nie będzie.

Żółcim się już napił rzekł mam dosyc. Król co na to? zapytał gospodarz.

Jak zawsze, spokojny na pozór odparł Kochan. Znacie go, nie łatwo się porusza, a tym mniej poruszenie okaże, aby powagi swej nie nadweręzył w oczach ludzi. Ja tylko, co głębię duszy jego znam, wiem, co się w nim dzieje, Gdy się najwdzięczniej umiecha, pewnie naówczas najcięższe brzemię okrywa tym udanym weselem.

Poszedł w tej sprawie Suchywilk do Bodzanty, ale nie wskóra nic... Nie lubiš go tam i bojš się zarazem, Baryczka stoi na straży przy biskupie, aby mu zmięknšć nie dopucił,

Baryczka! Baryczka! odezwał się Wierzynek dumajęc z tym w istocie ciężko będzie trafić do końca, jeżeli sobie osnuł co i wbił w głowę. Twardy klecha...

Ale ja też nie miętki odparł Kochan a ze mnš się mu przyjdzie rozprawić. Znajdę nań sposób, aby się go więcej obawiać nie było potrzeby.

Wierzynek potrścił go znowu.

Gniew złym doradcš rzekł niechętnie.

Nie o mnie mi idzie, ale o pana zawołał Kochan. żał mi go wielki. Dostyc ma z Krzyżakami, z Mazury, z własnymi ziemiany, z Rusiř, z żonř, jeszcze tego brak, aby duchowieństwo wystřpiło przeciwko niemu? I bez tego on męczennikiem. Nie cierpię, aby dla jednego mizernego klechy miał resztę spokoju postradać.

Z miłoci waszej dla pana ronie to rzekł Wierzynek że zawczasu czarniej widzicie, niż jest. Unosicie się... drżścymi rękami mało co dobrego zrobić można.

Kochan spucił głowę, nie chciał się sprzeczać, ale przy swym pozostał. Czuł Wierzynek, że go nie przekonał. Siedzieli też czas jaki niemi przeciw sobie.

Zabiję klechę!! zamruczał wreszcie niepoohamowany Kochan poruszywszy się, jakby do wstania.

Udał, że tej pogróżki nie słyszy Wierzynek. Ulubieniec króla głos podniósł.

Wczoraj rzekł zebrali się u Neorży niecnoty, Baryczka krzyczał, potakiwali mu drudzy. Maciek Borkowicz tam był i Otto ze Szezekarzewic, i inni,.. Blunili przeciwko panu...

Nie zważać na to, nie słuchać tego, nie pocznř nic, bo nie mogř przerwał mieszczanin. Kto wie zresztř, gdyby rycerstwo się z jakim szaleństwem porwało przeciw królowi lepiej by może było... Warchołów bymy się pozbyli, a siły przeciw nim się znajdř!

Kochan głowř potrzřsał,

Wstał na ostatek z siedzenia smutny, jakby nie sprawił nic zawiódlszy się na Wierzynku, który ani obawy jego, ani gniewów przedwczesnych nie podzielał.

Choć niewiele w to ufam odezwał się zabierajęc do wyjcia pójdcie i wy do biskupa. Ustrzeżcie go, zważy może. posłucha... Niech Baryczce milczeć każe... Król za dobra w dwójnasób nagrodzi, a złockich nie puci...

Wierzynek dał mu znak, że będzie wiedział, jak postřpić.

Wtem już do drzwi pukano; posłańcy różni nalegali z pilnymi sprawami do Wierzynka, który do progu gocia odprowadzał.

Druga izba, obszerniejsza, pełna była rajców, ławników, kupców, urzędników od żup solnych, a w

kście też Żydów kilku stało, bliżej przysuwać się i mieszać z chrzecijany nie miejśc. Wnet wychodźcego do nich obstšpiono Wierzynka pokłónami dopraszajśc się prędszej rozmowy, zagadujśc, cisnśc ku niemu. On spoglšdajśc po przybyłych odgadywał, z czym przyszli i, nim usta otworzyli, odpowiadał na nie zadane pytania.

Widowisko to było do przyjęcia na królewskim dworze podobne. Tylko tu się obracali wszyscy swobodniej, choć niemniej gospodarzowi poszanowania okazywali. Niektórzy kłaniali się mu do ziemi, do kolan, twarzami układnymi pozyskać sobie usiłujśc.

Przesuwajšcy się zwolna między tłumem tym Kochan zdawał się nie widzieć nikogo, chociaż mnodzy ustępujśc mu z obawš jakš witali królewskiego ulubieńca.

Znano go powszechnie, a nie bardzo miłowano, gdyż z ludmi się surowo, szorstko, dumnie obchodził, zrażał ich szyderstw, lekceważeniem odpychał.

Kochan wyszedłszy tak ze dworca postął we wrotach chwilę i po namyle zawrócił ku gospodzie starosty sandomierskiego Ottona z Pilicy, który choć Neorzy pokrewny, jednego z nim szczytu... nie był mu przyjacielem, przy królu wiernie stał i z Kochanem poufale żył.

Tego na wypadek wszelki chciał mieć Rawa sprzymierzeńcem i poszedł doń, aby zawczasu opowiedzieć sprawę a do wspólnego działania przygotować. Nie wštpił, że łatwo zyszcze go sobie.

Niech mi się tylko klecha ruszy, a króla zaczepi mówił na próg wstępujśc ze wiata go sprzštne!

Mieszczanin był dostatni, tylko się brzydko nazywał: wołano go winiagłowa!! wiadczš najdawniejsze akty miejskie i księgi sšdowe, ziemiańskie, że zwyczajem ówczesnym każdemu niemal do imienia chrzestnego, do nazwiska miejsca, z którego pochodził, dodawano przezwisko jakie, często żartobliwe, które z poczštku wyglšdało na złoliwy przydomek, a potem przyrastało do człowieka i często na dzieci przechodziło... Nie byli wolni od takich nazw panoszowie i rycerstwo, nosili je mieszczenie, tak samo wreszcie między sobš rozróżniali się i kmiecie.

winiagłowy dziad, pono rzenik z powołania, napiętnowany został tym przydomkiem, a od niego syn i wnuk wzięli je i już się go nie wstydzili.

Teraniejszy właściciel imienia, Kuba winiagłowa, rzemiosło był porzucił, kupował i sprzedawał bydło, frymarczył żywym mięsem, ale w jatkach go już nie sprzedawał.

Ożenił się on był na lšsku z mieszcankš w Opolu, która na pół Niemkš, pół Polkš była, a choć gdy jš brał, nic oprócz wdzięków i oprawy nie miała, bo rodzeństwo było liczne, tak się potem złożyło, iż ona z niego sama pozostała, po ojcu wzięła wszystko i Kuba winiagłowa z niej i z siebie znacznej się dorobił majątnoci.

Szło mu w życiu zawsze, nie jak zamylał, ale nad wszelkie spodziewanie szczęliwie. Rachował na pięć, zyskiwał dziesiętek... Wszystkie klęski go omijały; wszelkie szczęliwoci cisnęły mu się pod strzechę. Więc z tym nazwiskiem niepięknym był to jeden z najbogatszych mieszczan krakowskich, a oprócz tego i na rozumie ani na postawie mu nie zbywało.

Żona jego Agata słynęła z piękności, ale Kuba jej nie ustępował i można go było, gdy podróżował konno a bez trzód, które kupował, wziść łatwo za ziemianina, takś miał postawę rycerską, wzrost piękny, ramiona szerokie, głowę do góry podniesioną, włosy zawieszyste, oko jasne no i strój, który mimo praw i zwyczajów trochę się do rycerskiego zbliżał.

Kuba się lubował w tym, że go brano za panoszę. Tak samo żona jego Agata nie bardzo zważając na uchwały miejskie, które zbytków broniły, chadzała w jedwabiach, nosiła łańcuchy i kolce złote, wdziawała zabronione srebrne pasy i otwarte jubki z wyłogami z futerka...

Piękność jej, którą długo zachowała, choć znacznie się zaokrągliła i ociążała trochę, wieża i rumiana twarz z żywym okiem czarnym, miałość jej, wreszcie dostatek męża i stosunki dozwalały bezkarnie występować na ulicach i w koczach na złość innym mieszczankom.

W mieście miał Kuba domów i dworzyszcz dużo, nabywał je, mieniał, budował, frymarczył nimi i na tym zarabiał,.. Dla większej powagi raz się dał obrać rajcą miejskim i sprawiał urząd ten do nowych wyborów, lecz mu z nim niedogodnie było, bo musiał na laski jeździć, na Węgry i handlem się zabawiać, nadal się wyrzekł dostojności, z którego mu tytuł tylko pozostał.

Byłby to najszczęśliwszy z ludzi, gdyby mu Pan Bóg dał płci męskiej potomka. Z dzieci, które na świat przysły, a pozamierały wszystkie, rajcy Kubie została jedna tylko córka Basia.

Tę jedynaczkę oboje rodzice piecili, chuchali nad nią, czuwali jakby nad dzieckiem królewskim. W zamożnym domu łatwo

było, cokolwiek zamyliła, spełnić, zbytkiem ją otoczyć i zawczasu tak uczynić samowolną i nieposkromioną, że potem, gdy dorosła, ani matka, ani ojciec, ani żadna w świecie siła pohamować nie mogła dziwacznych jej zachcianek.

Rodzice, szczególnie matka, tak ją kochali, że największa niedorzeczność, gdy Basi się na nią zebrało, wydawała się im niewinną i usprawiedliwioną.

Dzieckiem była na pół dziką, a dziewczęciami dorosłszy wydawała się szaloną.

A była tak liczna, może piękniejsza niż matka swojego czasu. Cudo dziewczyna, ale szatan nie kobieta. Rodzice się nią zachwycali; lecz każdy, co ją zobaczył, musiał też zdumiewać się wesołej, miłej, rzekomego słowa a nadzwyczajnego wdzięku Bace... Starych i młodych, i takich, co bywali uprzedzeni le

o niej, gdy tylko chciała, zyskiwała sobie jednym umiechem...

Miała lat omnacie, gdy ojciec, a nawet matka, widząc, jak trudno ją utrzymać na wodzy i dopilnować, zaczęli się naradzać, za kogo by ją wydali. Mieli prawo wybierać, bo Basia bogatą była, okrutnie piękną i sobą by żadnemu domowi krzywdy nie uczyniła.

winiągłowa obiecywał po niej zaraz dwa domy, dwie jatki

i dworzyszczce na pół zabudowane, a były i grzywny w nadziei, i skrzynie pełne kobiecych

przyborów, kosztownych bardzo.

Najbogatszych mieszczan młodzież zalecać się szła do Basi, czasu wiść i przyjęć izby zawsze były pełne, lecz choć wszyscy się w niej kochali, żenić się wahał każdy.

Nie kryła się z tym dziewczyna, że jak swawoliła swobodnie u rodziców będąc, tak i po weselu z czepcem razem nie myli statku brać na głowę. Muzyka, skoki, pieni i rozmowy bardzo miała i dwuznaczne lubiła niezmiernie, smutku znać nie chciała, a posępnych twarzy ani patrzyć.

Z omnastu lat doszła do dwudziestu, potem parę lat przybyło jeszcze, a o weselu słyhać nie było. Kuba winiagłowa zaczynał się frasować, a Agata łajała go, gdy o tym mówił, dowodząc, że powinna jak najdłużej swobody zażywać, póki się w jarzmo młazeńskie nie zaprzęże, i że dla niej zawsze łatwo będzie o męża.

Tymczasem Baka się stroiła, rozkwitała, nabierała miałoci coraz większej, pieni uczyła się coraz nowych i nie pieszyła się na kobierzec...

Różne o niej historie opowiadano, lecz nie wszystkiemu wierzyć można. To pewna, iż kilku bardzo znacznych ludzi kręciło się koło niej i jeden rycerz wielkiego imienia, u winiagłowy gospodś stajśc w Krakowie, po kilka tygodni tu przemieszkiwał, po całych dniach dziewczę bałamucił, a ona jego.

Potem nagle oczy miała zapłakane, a reniawita wpadł jak w wodę.

Pochodziła Baka czas jaki smutniejsza, ale długo nie mogła: piosenka wróciła na usta, rumieniec na twarz i oczy zapłakane znów jak dwie gwiazdy wieciły. Tego to czasu jako, piękny i zawsze strojny jak królewicz, Kochan Rawa zobaczył jś idścš ulicš do kocioła... Spojrzał na niš, ona na niego i, co miał ić za sprawš pilnš, powlókł się za niš do Panny Marii. Jak się tam, modlili oboje, nie wiemy, ale oczy latały żywo.

Za powracajścš do domu Bakš, której ochmistrzyni stera towarzyszyła, bo matka była trochę chora, Kochan poszedł w lad, po drodze rozpoczał miało rozmowę, okazało się, że ona znała go, kto był... Zaprowadziła go z sobš do kamienicy Kuby, którego w domu nie było.

Dziewczęciu zalotnemu, lubiścemu, co wietnie i błyszczšco a dostojnie wyglšdało, piękny Kochan, choć nie młodzienaszek, bardzo się podobał. Uparła się go oczarować, nie było trudno...

Zapraszano królewskiego ulubieńca, Baka nawet marzyła, że się z niš ożeni.

Trwało to dosyć długo, zdawali się kochać wielce, lecz Rawa o zrękowinach nie bšknł ani słowa. Jednego ranka ni z tego, ni z owego, gdy pani Agaty w izbie nie było, żywa rozmowa skończyła się kłótniš i krzykiem.

Gdy matka nadeszła pytać o przyczynę, Baka nic powiedzieć nie chciała, łzy gniewu na oczach miała, dumę na czole. Kochan wyszedł niewiele tym wzr,uszony. Kilka dni go nie było, Baka gniewała się cišgle, nareszcie jednego dnia strojna bardzo poszła do zamkowego kocioła. Chodziła przez dni kilka na jakie przechadzki ze starš Wawrowš, chwaliła się, że króla na nich spotykała, że raz do niej nawet przemówił bardzo łaskawie. Ulękła się matka, Baka jš wymiała.

Wkrótce potem Kochan powrócił. Byli z sobą teraz inaczej, szeptali cicho, matka pode drzwiami wypatrując uradowała się zgodzie i najlepszemu porozumieniu obojga...

Niewiele upłynęło czasu i winiagłowy szeptali z sobą o weselu, gdy jednego dnia Baka poszła rano na nabożeństwo z Wawrowś, a w godzinę potem ochmistrzyni wróciła, pędząc jak oszalała, ręce łamiąc i narzekając, że dziewczę jej w cisku kocielnym przepadło.

Pobiegł zaraz ojciec, lecz nabożeństwo się skończyło, kociół pusty, a Baki ani ladu, ani o niej słychu.

Ojciec nie czyniąc wrzawy, aby dziecka sławie nie szkodzić, począł ostrożnie czynić poszukiwania na wszystkie strony. Poszedzenie było na Kochana, lecz ten na zamku się znajdował, pokazywał na miecie i o Bace jakby nie wiedział nic.

Matka przed ludmi powiadała, iż córka leżała chora. Ruszano ramionami, szeptano różnie. Skończyło się na tym, iż Kuba doszedł że Baka była w Krzeszowie...

Przez kilka miesięcy opowiadano już chorą; gdy dnia jednego zjawiła się w Krakowie znowu, ciekawo goście popłynęli do domu. Choroby na niej najmniejszego ladu widać nie było. Owszem, jakby jej ta słabość na dobre wyszła, piękniejszą się wydawała, wiejszą i tylko poważniejszą a dumniejszą może. Trochę smutku miała na czole, trochę jakiej w oczach tęsknoty... Przybył znowu Kochan, zjawili się inni znajomi i przyjaciele, Baka królowała jak przedtem, a ludzie dla niej szaleli.

Znikła im królowna, powróciła królowa, a nie zdawało się to już wiele kłopotać, gdy dopytywano o słabość, żartowano z tego, że tak długo jej nikt nie widział. Złoliwi utrzymywali, że ilekroć króla w ulicy spotkała, Kamirz stawał, dobrotliwie się do niej umiechał, pozdrawiał, a ona półgniewnie, półzalatnie odpowiadała mu wzrokiem i słowem.

W sukniach jej i klejnotach teraz jeszcze większy okazywał się koło niej dostatek. Czółko jedno kładła całe perłami szyte, tak drogie, a tak osobliwe, że je na kilkaset grzywien ceniono.

Czas był Bakę nareszcie za mąż wydać. Ojciec naprzód spróbował nikomu nie mówiąc o tym rozmówić się z Kochanem. Spodziewał się go ujść nadzieję posagu, ale z niczym powrócił.

Kochan przyjacielem się być ofiarował na wiek wieków, lecz powiadał, że czasu nie ma do ożenku królewskim będąc sługą.

Tak tedy przebierając pomiędzy różnymi, winiagłowa trafił w ostatku na młodego mieszczanina Materterę.

Fryc Matertera pochodził z dobrej rodziny, ojciec jego majątnym był i ławkę miał swój, a żelazem kupczył. Szło mu nawet długo niezgorzej, gdy nagle, tak jak winiagłowie się wiodło, jemu zaczęło się nieszczęście. Spalił mu się dom, obdarli go zbójce w powrocie z Węgier, nieład wkradł się do domu; stary pić zaczął, w ratuszowej piwnicy po całych dniach siedział, zbiedniał i, gdy zmarł, synowi tylko sprawy kosztawe pozostawił i długie.

Szcęciem dla siebie, chłopak był roztropny, pilny, głowa otwarta i, co nigdy nie szkodzi, piękny

bardzo.

Choć się nie miał w co ubrać dostatnio i musiał lada jako odziewać, gdy się pokazywał w ulicy, wszystkie dziewczęta za nim oknami i drzwiami wyglądały. Szkoły trochę u Panny Marii liznął, z poczłtku chcąc do stanu duchownego się sposobić, potem mu ochota odeszła. Handlu już swojego nie miał, bo mu i ławkę zajęto, i żelaza nie było kupować za co; więc u Keczera, któremu był krewnym, niby służył, niby się wprawiał.

Baka, która pięknych chłopców lubiła, kilka go razy pochwaliła przed matką ubolewając nad tym, że nic nie miał. Kuba go do siebie zaprosił. Poczłł przychodzić na wieczorne plęsy, a z bliska się Bace podobał jeszcze lepiej, bo miałym był, wesołym, pieni pod dostatkiem umiał, a że odwagi nie miał się starać o bogate dziewczę i ani mu to w głowie powstało był z niś za pan brat nic nie mając do stracenia.

Do zabawy był jedyny...

W czasie, gdy nagle winiogłowianki zabrakło, a mówili, że chora leży, Fryc się do nich nie dowiadywał, lecz gdy się ukazała, powrócił.

mieli się do siebie jak dawniej, a Wawrowa powiedziała, iż na oczy swe widziała, jak we drzwiach raz o zmroku całowali się z sobą. Może ta plotka skłoniła Kubę, że do Keczera, opiekuna Matertery, poszedł, długo się z nim naradzał na cztery oczy, potem Fryca przywołano i rozmowa przeciśgnęła się godzin parę, a nikt jej nie słyszał. Tegoż wieczora Fryc zjawił się u bogatego handlarza wesół, mielszy, niż bywał, przysiadł się do Baki, powracał potem co dzień i w tydzień zaczęto mówić na miecie, że Baka za niego wychodzi.

Spytał o to kto Matertery, czy prawdś było, że się żeni.

A co komu do tego? odparł zuchwale albo to ja się żenię dla kogo, nie dla siebie?

Rodzina matki i niektórzy Keczerowie poczęli Frycowi ożenienie odradzać dowodząc, iż statku dziewczynie brakło, że różnie na niś wygadywano, na co Fryc ramionami ruszając nawet odpowiadać nie chciał.

W miecie już bębniiono o weselu... Mówiono, że zaraz po Godach je wyprawi winiagłowa i już się ku temu u niego sposobiś. A miało być weselisko tam huczne i wspaniałe, jakiego Kraków nie widział dawno.

Były naówczas prawa, które zbytków mieszczanom nie dozwalały; więcej nad trzydzieci mis, po trzy osoby na jednś, nie wolno było dawać przy weselu, nie licząc w to księży i panien, a potraw na weselu więcej pięciu zakazywano trefnisiów weselnych nad omiu nie mógł ojciec sprowadzić itp. Lecz winiagłowa wcale się tych surowych przepisów trzymać nie myślał. Wiedział dobrze, iż nikt go skarżyć nie będzie, a ci, co z uczyty skorzystają, łatwo go rozgrzeszą.

Całe dostojniejsze mieszczaństwo z rodzinami i powinowatymi, krewni Materterów, Keczerów, winiagłowy, rajcy, ławnicy, a ze dworu Dobek i Kochan, i dwóch Zadorów zaproszonych było.

Z duchownych trafiło się tak, że ks. Marcin Baryczka musiał być na weselu, bo on pono Bakę chrzczył, czy też inne jakie łączyło go z tym domem duchowne powinowactwo.

Kto tam tego wielkiego zbytku, na który się zanosilo, był sprawcą, trudno dojść było, chciała go Agata, domagała się Baka, zśdał i Sam ojciec, aby ludziom okazać, iż jedynaczka jego nie gorzej od innych za mśż wychodzi.

Dziewczę pono najwięcej wymagało i pyszniło się tym, że weselem pańskim ludziom złym usta zamknie.

Trzeba było, gdy dzień się zbliżał, cały niemal dom na nowo urzśdzić tak, aby półtorasta głów zasiść mogło wygodnie do stołu, aby było gdzie plśsać i innych ciekawych gości, nadchodźcych z podarunkami zwykłymi dla nowożeńców, umieścić.

winiągłowa chciał się też z dostatkiem popisać i dostojniejszym srebrne postawić naczynia, innym cynowe, a pić i jeć dać w bród.

Nie trzydzieci, ale pięćdziesiąt mis ledwo mogło starczyć... Wino gotowano słodko i korzenno, a do potraw nie żalowano przypraw zamorskich. Wielu było w mieście trefnisiów weselnych, wszystkich zawczasu zamówiono obiecując im dobrś zapłatę, jedzenia i napitku, ile zechcś. Kochan przyrzekał, że nawet królewskiego. Szupkę sprowadzi.

Nie obchodziły się wówczas zamożniejszych wesela bez wierszowanych powinszowań i życzeń, często trochę swawolnych, zawsze tłustych i dwuznacznych. Tych rymarzy, wierszokletów (rimari), którzy pięknie zastosować umieli stare koncepty do młodego stadła, drogo opłacać było potrzeba, więcej niż najślawniejszych trefnisiów. Mieszczanom więc ich uchwały tego zbytku nie dozwalały, ale winiągłowa nie mylał się i do tego prawa stosować.

Zamówił więc klechę, Wyrwantem zwanego, który słyńś z tego, że ludzie się za boki trzymali, gdy orację prawil nowożeńcom. Wyrwant obiecał co przedziwnego i w najlepszym gatunku. Imię jego za towar ręczyło.

Sam dwór Kuby i zewnątrz został na nowo posmarowany, i wewnątrz przyozdobiony... Co gdzie skrzynie miały najdroższego, dobyto wszystko: kobierce, sukna, opony. Pożyczać Kuba nie potrzebował.

A że zima na innś zieleń nie pozwalała, jedlinkś musiano przybrać drzwi i okna.

Jeszcze do wesela kilka dni było, a w mieście całym mówiono już o nim, z przekśsem jedni, z podziwieniem drudzy, z zazdrociś wszyscy prawie. Prorokowano Kubie, że majątek na ten zbytek nadweręży...

Baka tymczasem o jednym mylała, aby nie tylko wystśpić pięknś, lecz tak strojñ bogato, żeby się wszystkie dziewczęta, które koso na niś patrzyły, powciekały ze złości.

Na dostatkach i klejnotach jej nie zbywało, a prócz tych, które z dawna u winiągłowów znano, jawiły się i nowe jakie, drogie, osobliwe, o których pochodzeniu złe języki dziwy szeptały.

Gdy przyszedł uroczysty pochód do kocioła z muzyką, trefniami, z gromadą ludzi przystrojonych przepysnie, a potem powrót od lubu, który dawał ks. Baryczka, wysypało się patrzeć na to, co żyło, tak że weselni ledwie się przez tłumy mogli przecisnąć. Na paniś młodą patrzyli ludzie słupili, tak była klejnotami okryta, a suknię, miała z takich tkanin i szycia osobliwego, że istna z niej była królowa. Szła dumna, liczna, wyzywająca oczyma, zwycięska, prowadząc się za rękę z Frycem, także wystrojonym przepysnie, jak gdyby chudy pachół możliwym był panem. Powiadomiono, że Kecerowie mu to wszystko sprawili, aby się nie wstydził za niego. Jedna szubka, aksamitem okryta, futrem pięknym podbita, którą na ramionach miał, na kilkanacie grzywien była cenioną.

Gdy cały orszak weselny z muzyką poczł do dworu wchodzić, zdawało się, że się w nim nie pomieci przecież nikt w ulicy nie został.

Stoły zastawione były po izbach, po sieniach, a tak misternie, że nikomu miejsca nie zabrakło. Pierwsze zajęli młodzi małżonkowie, dalej rodzina, rajcy, ławnicy, duchowni i przyjaciele domu.

Trafiło się przy tym niespodzianie, że ks. Baryczkę, jako ojca duchownego, posadzono między pierwszymi, a Kochanowi

wprost naprzeciw niego siedzenie się dostało. Zaledwie go tak blisko ujrzał, wnet pobladł i o mało mu z ręki nóż, który trzymał, nie wypadł, lecz się pohamował. Szepnął tylko Dobkowi, który przy nim siedział:

Sam Pan Bóg zrzędził, że mi się tu nawinął ten klecha, ale poczekawszy, nie wypuszczę ja go stąd, aż mu powiem, co mi serce gniecie. Popamięta on to wesele.

Dobek go wstrzymać chciał, lecz bardziej jeszcze rozjęstrzył. Ks. Baryczka, który biesiad takich nie lubił, a zmuszony był choć czas jaki u stołu pozostać, siedział gdyby posąg kamienny, z twarzą swą żółtą, smutną, wychudłą i oczyma strasznymi, mało co jedząc, kubka ledwie chcąc dotknąć, zadumany i gniewny. Tymczasem już i Wyrwant nadszedł z wierszami, do których wypowiedzenia dobrym się kubkiem wina przygotował, przez co odwagi nabrawszy na nikogo nie zważał, dosadnie a głośno prawił takie rzeczy, przed którymi niewiasty miejsc się oczy zakrywać musiały.

Ks. Baryczce twarz jeszcze się surowiej zmarszczyła i czoło pogarbiało. Spoglądał na klechę piorunującym okiem wzgardy i gniewu, lecz Wyrwant lub nie widział grób tych, albo na nie nie zważał.

miechami rozlegały się izby, bo dla słuchania Wyrwanta od drugich stołów powstawali goście i ciasnym kołem go otaczali. Zaledwie ten dokończył, kilkunastu trefnisiów, poprzybieranych pociesznie, pstro, w różne jaskrawe strzępki, w kapturki dziwacznie postrojone, dokoła stołów zaczęli wyprawiać skoki, figle, nucić piosenki i pobudzać do wesołości.

Wrzawa ochocza napełniła izby wszystkie, a im ona rosła, tym oblicze duchownego straszniej się zasepiało. Widać było, iż rad chciał ustąpić, tak mu to rozpasanie języków i szaleńcze przykre były. Wstać jednak od stołu nie mógł, bo gospodarz Kuba pilnował go, kłaniał się, prosił, wstrzymywał po rękach całując.

Wyjść też a z ławy wstać, dla wielkiego cisku, nie było sposobu. Nawet mis, gdyby ich zawczasu nie ustawiono, służba by przynieść była nie mogła. Dzbany i flasze z ręk do ręk ponad głowami podawano sobie.

piewali jedni, mieli się drudzy, krzyczeli inni, a muzyka w kście też przygrywała hałaliwie; ledwie siedzący w pobliżu posłyszeć się i zrozumieć mogli.

Kochan z twarzy mu to wyczytawszy, iż ksiądz się wyrwać stąd pragnie, czatował nań niespokojny nie chcąc go wypuścić na sucho. Baryczka naprzeciw siedzący parę razy okiem go zmierzył pogardliwym i unikał potem spojrzenia na królewskiego ulubieńca. I on też czuł może, że Kochan rad by znaleźć powód, aby się z nim rozprawić... Widział w nim nieprzyjaciela. Osobicie znali się i nie znali, spotykali się z dala, wiedzieli o sobie, nie mieli jednak do czynienia nic.

Baryczka w otoczeniu króla, a szczególnie w Kochanie widział sprawcę wszelkich Kamirza zbytków... Miał więc ku niemu wstręt największy...

Misy się wypróżniały, a dzbany pełne cięgł na stół przychodziły nowe, muzyka grała zapalczywie, podchmieleni piewali pieni coraz tłuciejsze polskie i niemieckie, a trefnisie, szczególnie w pobliżu państwa młodych, od których się spodziewali podarku, popisywali z wyuczonym dowcipem.

Ci weselni wesołkowie mieli na wszelkie wypadki gotowe przycinki, zapas obfity zagadek, piosenek i gadek, którymi goci zabawiali, parami chodząc i jedni drugim dopomagając. Swoboda słowa była naówczas większa, a leniwe umysły potrzebowały dosadnych wyrażen, aby się nimi poruszyły. Zamiężne mieszczki odpowiadały na zaczepki, wcale się nie sromając i nie drożąc; a rumieniec dziewcząt zdradzał, że i one rozumiały skierowane ku nim przytyki.

To rozpasanie, które nic nie miało w sobie nadzwyczajnego, surowemu Baryczce w końcu tak się przykrym stało, że trefnisia jednego zbesztawszy siłą prawie od stołu się wyrwał i Kubę naganiwszy za zbyt wrzaskliwe wesele chciał precz iść.

Ulścił się Kochan, że gdy mu tu ujdzie, już nie łatwo sposobność mieć będzie zbliżyć się do niego; ruszył więc z ławy natychmiast i nie spuszczając go z oka szedł aż ku drugiej izbie, która do wyjścia prowadziła.

Nie bardzo na to zważano, bo gocie wszyscy podchmieleni już byli. winiagłową, który szedł za księdzem, wstrzymano po drodze i ks. Baryczka wymykał się ku drzwiom, gdy Kochan popieszywszy od nich mu zastąpił.

W boki się ujęwszy stanął wyzywając. Ks. Baryczka wzrokiem go zmierzył ostro i pominiść chciał. Wrzawa biesiadnicza dozwalała się rozprawić nie słuchanym, bo mieszczanie czym innym byli zajęci.

Wasza miłość odezwał się Kochan nie raczycie dłużej z nami... Czymy niegodni?

Umiechał się, Baryczka nie odpowiedział, spróbował go wyminąć nie było można.

Jam dawno na to czekał, aby się rozmówić odezwał się Kochan poczekajcie mało.

A ja z wami ani rozmowy, ani żadnej spółki nie chcę odparł ksiądz gniewnie. Puszczajcież mnie...

Słowo tylko rzekł nie ustępując Rawa cóżem to ja wam tak krzyw, że mnie nawet posłuchać nie raczycie?

Baryczka zmierzył go oczyma; twarz jego coraz się stawała groniejsz.

Puszczaj mnie odezwał się nakazując.

Nie macie się tu przecie czego obawiać ode mnie poczył Kochan szydersko. Wolno wam choćby i na króla głono blunąć, czemu by mnie z wami rozprawić się nie było wolno?

Czego chcesz? gwałtownie spytał Baryczka.

Rawa poczył od wejrzenia, które już mówiło naprzód, że od niego nic nie posłyszysz dobrego.

Wiecie o tym, że ja od dzieciństwa służy królewskim, a miłuję pana mojego nad życie własne. Co jego dotyka, mnie boli więcej niż jego... Choć was wygolona głowa i suknia broniś od innych, ode mnie one nie zasłoniś, jeli przeciw królowi, jakecie poczęli, będziecie sarkać a ludzi jstrzyć...

Zuchwalstwo tych wyrazów oniemiło zrazu ks. Baryczkę? Stał bledniejśc i czerwieniejśc na przemiany, ręce mu drżały...

Co ty za jeden, żeby miał duchownemu dawać nauki! wykrzyknął w uniesieniu precz mi z drogi, zuchwalcze!..

Z drogi nie ustąpię, aż się rozmówimy odparł Kochan a com ja za jeden, wiecie. Jestem króla służy, a wy jego nieprzyjacielem... Strzeżcie się, księżę, a nie mylcie, żeby wam to uszło bezkarnie!

Pogardliwie umiechnął się Baryczka; hamował się widocznie, nie chcąc wdawać z człowiekiem, dla którego czuł pogardę, ale krew się w nim burzyła, gniew poczynał kipieć; buchnął wreszcie ręce podnosząc:

Ani króla, ani was nie lęka się sługa Boży... Ty królewski, jam Tego, który nad królami jest., a moc Jego mnie obroni... Ty służy nieprawoci, jam stróżem prawa... precz z drogi... z tobś ja nic do czynienia nie mam...

Kochan wytrzymał ten raz, jak policzek mu w twarz rzucony...

Nie zbędziesz się mnie tak łatwo rzekł ani ja się Złękę ciebie. O Panu Bogu prawisz, a Z szatańskś złościś na najlepszego z panów następujesz, drugim serce psowasz i do buntu ich pobudzasz... Król może ci przebaczyć, ale my, co koło niego stoimy na straży.. nie darujemy.. choćby żywotem płacić przyszło.

Ja też choćby żywotem płacić, prawdy nie zamilczę! zawołał Baryczka precz!

Chciał ić przebojem, silny Kochan za ręce go porwał i jak żelazem przykutego trzymajśc wołał:

Klecho zuchwały, jeli ci życie miłe... strzeż się a milcz... Ostrzegam cię, aby wiedział, co cię czeka. Zginiesz... Mało ci tego, że po kštach króla bezczecisz, jeszcze biskupa nam nasadził... jeszcze nam klštami nad głowš machacie... Nim owa klštwa na nasze głowy przyjdzie, twoja gęba umilknie...

Im bardziej się rozzuchwalał i rozsierdzał Kochan, tym ks. Baryczka, w poczštku roznamiętniony i oburzony, więcej sobš zawiadywał i na pozór spokojniejszym zdawał. Kapłańska powaga przyoblekała go, a przed miałym wejrzeniem Kochan zmieszany spuszczać musiał oczy... Głos mu drżał, zabełkotał i zamilkł.

Ksišdz poczuł wyższoć swš i zapominajśc o miejscu, w którym się znajdował podniósł głos:

Precz... Mylisz, że cię się ulęknę albo pogrózek twych? Wycie to nad króla winniejsi, posługacze namiętnoci, czelad

rozpusty, stręczyciele swawoli... ty, ty pierwszy... kara cię nie minie... bezwstydney... Nie pohamujesz mnie strachem, ale mnie do nowej pobudzisz gorliwoci... Gniew twój sprawia mi rozkosz... Łajanie jest mi cziš... Precz, synu Beliala!

Pomimo zgiełku i wrzawy w izbie, rozmowa księdza z Kochanem nie mogła przejć niepostrzeżenie. winiagłowa domylił się zajcia i usiłował ku nim precisnšć, pochwycił za rękę Kochana, który go odepchnšł.

Baryczka rozogniał się coraz więcej.

Wemijcie go, a wyżeńcie precz w ulicę! krzyknšł do Kuby bo człowiek ten kala dom, którego próg przestšpił, przynosi z sobš srom, cišgnie nieszczęcie... Rozbójnicy, co po drogach łupiš i mordujš, lepsi sš od niego, bo ciału mierć zadajš, a ów duszę zabija...

Klecho! wrzasnšł Kochan, któremu na twarz wystšpił rumieniec przysięgam, nie zginiesz, tylko z mej ręki... a zgniotę cię tak, że nawet ladu i pamięci nie zostawisz po sobie, warchole, który szukasz sławy rzucajśc błotem na namaszczonego! Pamiętaj te słowa zginiesz...

Pogróżka ta, którš przeraził Kubę, bynajmniej nie ustraszyła Baryczki, ruszył ramiony. Podniósł się teraz duchem coraz wyżej i stał spokojny.

Szatan potężniejszy od ciebie jest rzekł przecież się go nie lękam... Zginšć za prawdę i za Kociól mogę, Bóg mnie pomci... ty zginiesz w błocie i plugastwie!...

Kochan byłby się może rzucił na mówišcego i wesele zakrwawił, lecz w tej chwili nadbiegł Dobek, pochwycił gospodarz, odcišgnęli go na stronę szamoczšcego się i ks. Baryczka korzystajśc z odkrytych mu drzwi, zwolna, mierzšc Kochana wzrokiem spokojnym, wyszedł z izby.

Pogoniłby może za nim Rawa, lecz mu nie dano. Dobek silny przyparł do ciany i wołać poczšł, aby się opamiętał.

Kuba zaklinał i prosił, przypadli inni. Kochan, choć się miotał i wykrzykiwał, dał się wreszcie do ławy doprowadzić, posadzić na niej i powoli trochę przytomności odzyskał.

Czuł, że przegrał sprawę i walka, do której wyzywał, le się dlań skończyła... bolało go to nad wyraz... Zamilkł, w duszy sobie odwet obiecując.

Pomiędzy biskupini dworem a Wawelem rozbrat już był Zupełny...

Król nie okazywał ani niepokoju, ni troski, przynajmniej powierzchownie nie chciał wiedzieć o tym, co mu groziło, a o czym mu tylko usłudni z boku donosili.

Naganiał Kochana, zakazywał wznawiać rozmowę, a że ks. Suchywilk wysłany do Bodzanty nie przyniósł żadnej odpowiedzi, nie domagał się o niś.

Życie szło zwykłym swym spokojnym trybem. Król sprawami państwa zajmował się pilno, zaprowadzał ład i porządek, gdzie mógł; kazał budować i jedził wznoszące się oglądać gmachy, O oddaniu złockich dóbr mowy nie było.

Gdy spokój taki panował na Wawelu, około biskupa skupiło się wszystko, co królowi było niechętnym. Chciano wyzyskać duchowieństwa opór przeciw władzy królewskiej.

Im Kamirz zachowywał się obojętniej, chłodniej, tym oburzenie na biskupstwie wzrastało, a ks. Baryczka je żywił coraz nowymi doniesieniami.

Biskup Bodzanta, zgryliwy, niespokojny, chciwy znaczenia człowiek, kosym okiem patrzył na cisły zwiśzek króla z arcybiskupem Bogoriś, na powolność jego dla Kamirza, na wpływ, jaki mu ona dawała, i stanowisko, które siostrzan arcybiskupa, Suchywilk, przy królu zajmował.

Pomiędzy Gniezmem a Krakowem ciśgłe, choć ciche były zatargi. Bodzanta pragnął odzyskać dawne niezależne znaczenie duchowieństwa, które monarchów stanowiło i zrzucało, i niemal więcej od nich mogło...

Wzrost władzy wieckiej, zwierzchnictwo metropolii gnienieńskiej, zmniejszone znaczenie biskupa krakowskiego, jśtrzyło

go, Bojowniczego ducha, pragnął wywołać walkę pewnym prawie będąc zwycięstwa i poparcia w Rzymie... Wywięcony na pasterza, mimo wyboru kapituły, bez jej wiedzy, złamał był jej niechęć ku sobie; tak samo się spodziewał zwyciężyć króla i zmusić go do większego poszanowania duchownej władzy.

Nie szło już o same dobra złockie. Król, który miał się opierać biskupowi, malowanym tu był jako człowiek najgorszego obyczaju, rozpustny, samowolny, a biskup odgrażał się, że z obowiśzku swojego skarci go.

Podżegano tę wań, z każdym dniem rosnącś, donoszono na zamek: król wcale nie chciał o tym słyszeć ani okazać, że się czegokolwiek lękał.

Na biskupstwie wiedzano też o wszystkim, co się prywatnego życia Kamirza tyczyło; sprawa królowej podniesionś została na nowo... Liczono kochanki, niebywałe; zgorszenia wymylone.

Baryczka z wesela u winiagłowy powrócił w największym gniewie i wprost pobiegł do biskupa na skargę, zuchwały postępek Kochana kładśc też na karb królewski. Nie omieliłby się taki dworzanin napać na kanonika i wikariusza, gdyby nie był pewien poparcia...

Biskup Bodzanta, wciśz jeszcze spodziewajśc się, że samymi grobami zmusi Kamirza do ustšpienia i upokorzenia czekał... ale na zamku wcale już nie bywał. Król widywał go tylko w kocie, do rady nie był wzywany... Spotykali się z dala unikajśc nawzajem.

Tymczasem niecierpliwy Baryczka naglił na Bodzante. Według niego zgorszenie było straszliwe, wystšpienie stanowcze konieczne.

Biskup na ostatek, dnia jednego, przycinięty, znagrony, postanowił nazajutrz jechać na zamek. Król właśnie był z polowania w Niepołomicach powrócił, a mówiono, że do Pragi się wybierał.

Odwiedziny te czeskiego dworu, jak wszystkie czynności królewskie, tłumaczono sobie tym, że Kamirz się tam swobodniej mógł zabawić i piękne Czeszki wabić do siebie.

Na zamku dowiedziano się wieczorem, że nazajutrz z kocioła Bodzanta ma być u króla.

Kamirz czekał.

Łagodny i dobry dla maluczkich, tam gdzie jako król stawać musiał, przywdziewał powagę i nie dawał się łatwo zastraszyć.

Biskup występujśc nie chciał z tego kroku czynić rozgłosu, a wahał się jeszcze wojnę rozpocząć... Miał więc na osobnoci króla strofować. Kamirz się tego spodziewał.

Po skończonym nabożeństwie, zaledwie król miał czas pójć do zamku, oznajmiono mu Bodzantę. Wszedł według zwyczaju na powitanie nie okazujśc względem niego najmniejszej w postępowaniu zmiany.

Miał tę wyższoć nad biskupem, iż najzupełniejszś krew zimnś zachował, gdy Bodzanta, który długo się na krok ten zbierał, długo wewnštrz gryzł się i niepokoił, szedł zawczasu poruszony, przedwczenie już gniewny.

Po przywitaniu, gdy zasiedli oba, a kilku urzędników stało opodał, niepewnym głosem, rzucajśc oczyma zapalonymi, biskup zažsdał rozmowy na osobnoci; Kamirz skinšł, usunęli się wszyscy.

Wielki chłód i nieporuszona powaga króla Bodzantę coraz mocniej rozjštrzały...

Z obowišzku ojca duchownego miłoci waszej odezwał się głosem drżścym i przerywanym przyszedłem tu... Odpowiadamy za owieczki nasze... za najmniejszś z nich, cóż dopiero za takš, której przykład wieci wszystkim albo w ciemnoci ich pogržża!

Spojrzał na króla, który słuchał, najmniej nie okazując wzruszenia.

Miłociwy królu... pocznę od sprawy kocielnej... krzywda się stała nie tylko mieniu, ale powadze Kocioła i mojej. Zabrano mi dobra.

Wiem o tym przerwał Kamirz spokojnie. Posyłałem z tym do was ks. Jana, aby sprawę wytłumaczył. Nikt, tylko przodkowie moi majątnoci te Kociołowi nadali, odbierać mu ich nie myślę. Stańś układ pomiędzy mnś a p. poprzednikiem waszym, Jangrotem, o zamianę; z mocy umowy tej zabrałem złockie. Dam inne dobra.

Biskup natychmiast wpadł w goršczkę wielkš, którš już był z sobš przyniósł, i krzyknšł:

O żadnych układach nie wiem, żadnej zmiany nie chcę... własności kocielnej się upominam!! Idzie mi o powagę mojš o nienaruszalność mienia naszego, którego ja stróżem jestem!

I dodał złoliwie na myli majšc Bogorię:

Nie jestem z tych pasterzy, którzy przez grzesznš pobłażliwość dla władzy wieckiej na frymarki się puszczajš... Zły przykład może zgubne wydać owoce. Co Kociół raz dostał, to mu odebrany, zamienionym być nie może jest nietykalnym!

Spojrzał na króla, na którego twarz rumieniec nawet nie wystšpił.

Szanuję ja Kociół, wiernym jestem dzieckiem Rzymu, lecz w sumieniu będšc spokojnym, opierajšc się na umowie, gotowym z tym i do Rzymu; a dóbr oddać nie mogę, bobym się na pomiewisko wystawił.

Więc wolisz wasza miłość mnie narazić na nie! oburzył się Bodzanta. Grozicie mi Rzymem? ja też do niego znam drogę!!

Ton, jakim to mówił biskup, był zaczepny, grožšcy, niewłaciwy do króla, Kamirz też nie odpowiedział nic.

Sparł się na rękę, wypogodzonš twarz zwrócił do mówišcego słuchał.

Biskupa chłód ten drażnił i do gniewu pobudzał.

Król więc nawet uniewinniać się, nawet łagodzić go nie chciał!

Nie z jednym tym przyszedłem do was, miłociwy królu czekałem długo, milczałem nadto, sumienie obcišzone mam... któž wam powie prawdę, jeżeli nie ojciec duchowny, nie ja? le żyjesz, królu... tož samo, co nigdy Stanisław wyrzucał Szczodre—

mu, ja muszę wam powtórzyć żyjesz le... królowa odsunięta, odepchnięta, miłonice wasze palcami skazujš. Królestwo wasze pójdzie w niewolę i pod panowanie obcych za grzechy wasze.

Jako ojciec duchowny, wzywam was, królu, po chrzecijańsku żywot rozpocznijcie na nowo. Precz z

nierzędnicami, precz z zuchwałstwem i ulubieńcami, królowa powinna powrócić... Domagam się tego!

Głos drżący coraz mocniej biskup podnosił, tak że go z drugiej izby słyszeć było można. Kamirz pobladł nieco, surowszym wyrazem twarz się oblokła.

Znam grzechy moje i przed Bogiem za nie odpowiem. Z żońś żyć nie mogę!... Nierozważne było małżeństwo, ale znoszę je; królowej się krzywda nie dzieje. Miłonic moich nie widzi nikt, a więcej bym mógł ukazać przy opatach i prałatach Kocioła, którzy mu głowś jesteście, niż przy mnie. Oczywiście naprzód, co bliżej was jest i większe zgorwienie czyni!

Biskup rzucił się z siedzenia podnosząc rękę.

Królem jeste! krzyknął ale twa władza nie sięga nas! Kocielne sługi do was nie należś. Raz jeszcze wzywam

o poprawę żywota, abym nie był zmuszony użyć tego oręża, jaki mi jest powierzony.

Jeżeli Kociół cię odepchnie, zachwieje się korona twa, pójdiesz jak ojciec wygnańcem, ale jak on nie powrócisz!...

Wspomnienie ojca poruszyło króla do żywego, załała się twarz blada krwiś.

Czyńcie ze mnś, co chcecie zawołał grono lecz świętej pamięci rodzica nie tykajcie! Nie macie do tego prawa...

Wstał i z dumś odezwał się:

Żegnam was.

Biskup stał jeszcze majśc gwałtowniej napać na króla, gdy ten powolnym krokiem ku drzwiom podszedłszy zasłonę szkarłatną podniósł i zniknął.

Bodzanta padł na krzesło, potrzebował ochłonś... Prawie w tej samej chwili drugimi drzwiami wszedł Suchywilk, Otto z Pilicy, wojewoda i starosta sandomierski, Jako z Melsztyna

i kilku innych.

Ostatni z nich skłoniwszy się biskupowi rzekł cicho, że król się uczuł niezdrowym i kazał Bodzantę przeprosić.

Nie chcśc okazać, jak był gniewnym i czuł się obrażonym, biskup wstał żywo z siedzenia, zamruczał co, pobłogosławił popiesznie przytomnych i skierował się ku wyjściu.

Z poszanowaniem dwór cały go odprowadził.

Tak się skończyło owo posłuchanie, na którym ks. Bodzanta daleko większe pokładał nadzieje.

Powrócił na dworzec swój smutny, bo w duszy przekonany, iż niezręcznym wspomnieniem ojca królewskiego rzecz dobrze poczętś popsuł. Poczował się do winy, do której przyznać się nie chciał.

Na dworcu czekał nań z wielkš niecierpliwoćiš ks. Baryczka i wniósł z milczenia upartego biskupa, że krok się nie powiódł.

Nieprędko ochłonšwszy Bodzanta w krótkich słowach opowiedział mu, że uporu króla przełamać nie mógl, że rzucił może tylko nasienie, które rozwaga rozwinie... Potrzeba było czekać, dać czas do niej.

Ks. Baryczka był całkiem przeciwnego zdania. Pocałował w rękę Bodzantę, ale sprzeciwił się stanowcza.

Nie potrzeba im dawać czasu do rozmysłu! Bić żelazo, póki goršce, nie dać odetchnšć, piorunować, klštwę zawiesić nad głowš!

Nie chcecie wy sami z bezboźnikami mieć do czynienia, macieli nadto litoci w sercu i dobroci lijcie mnie! Nie ulęknę się, pójdę wzišwszy krzyż w ręce, wobec ludu karcić go będę, po kociołach obwołam... Dla mnie on nie królem, ale niepoprawnym, zatwardziałym grzesznikiem, wiarołomcš...

Wpadł w szał wielki ks. Baryczka, aż Bodzanta, którego zawstydzał swym bohaterstwem, musiał pod posłuszeństwem kazać mu się pohamować i zamilczeć. Ledwie to na chwilę usta mu zamknęło.

Na Wawelu, gdzie znaczniejsza część dworu króla część rozmowy mimowolnie słyszała, gdyż Bodzanta głos podnosił zburzenie było niemniejsze. Niektórzy się na biskupa odgrażali,

chciano skarżyć się do Rzymu, Otto z Pilicy wolał, żeby go uwięzić należało za nieposzanowanie króla. Inni umiarkowańsi widzšc, że Kamirz zachował się spokojnie i rozmowy nawet o wypadku tym nie wznawiał, wnioskowali, że z wielkiej chmury tej burzy nie będzie.

U stołu króla mówiono o turniejach, o nowej broni, o nowinach z Węgier, o Krzyżakach a o biskupie ani słowa. Tylko Otto z Pilicy, przywišzany do króla, uspokoić się nie mógl. Kochan go nie spuszczał z oka; już wprzód go usposobił, jak mu było potrzeba. Wnet po obiedzie zesłi się z nim w kštku izby, z której inni się rozchodzili.

Panie wojewodo rzekł Kochan umiechajšc się po cichu króla znam; darowałby on biskupowi wszystko, ale nieposzanowanie pamięci ojca nie przebaczy. Wiem to, że choć sam mcić się nie będzie, gdyby się kto zań ujšł, przyjmie wdzięcznie. Macie tam dobra biskupie pod okiem... He? Kaźcie urzędnikom swym, aby klesze dokuczali. Będzie musiał do króla na skargę, naówczas wszystko się złagodzi.

Otto z Pilicy nie był od tego.

Zrobię tak rzekł sš spory o granicę... łatwo mi przyjdzie dokuczyć Bodzancie...

Kochan w ramię go pocałował.

Stary dobre oczy ma, gdy cudze rzeczy wypatruje dodał a co pod nosem u niego się dzieje, nie widzi. Zabawna to historia, o której prawiś ludzie o nim i bracie jego, Zawiszy. W rodzinnym swoim Janikowie Bodzanta zamek budować kazał, bo mu się zachciało króla naladować... Zwierzył on budowanie bratu. Lat już kilka trwa owo bajeczne a kosztowne wznoszenie zamczyska, na które ani jednego kamienia, ani belki jednej nie sprowadzono, a Zawisza co roku płacić biskupowi każe za to, czego nie zrobił. Słuchajśc go, gdy o zamku prawi, którego na wiecie nie ma, gdy biskup się rozkoszuje i rozporządza ludzie boki zrywajśc. Bodzanta rad by do Janikowa dojechać i te mury, na które tyle kóp groszy dawał, zobaczyć; lecz Zawisza baczny zawsze mu przeszkodzi... Tymczasem pieniądze do kalety wsypuje...

Zabawiwszy wojewodę tś powiastkś, która wcale zmylonś nie była, Kochan nastał jeszcze na to, aby biskupich dóbr nie szczędził.

Jedyny to sposób odezwał się. Sam sobie sprawiedliwoci nie wymierzy, musi po niś do króla, wówczas my się dopiero i o złockie dobra z nim rozprawimy, wymożemy zamianę i jakś takś zrobimy zgodę.

Otto z Pilicy, który Kochanowi ufał, nie wspominajśc o tym królowi, nazajutrz pojechał do Sandomierza i natychmiast wziśł się do dzieła.

W dni kilka dziekan przybiegł na dwór biskupi z lamentem wielkim... Królewscy urzędnicy w lasach gospodarzyli, osadników brano z ziemi biskupiej i przesadzano, wojsk oddział jaki zaiśł część majątnoci biskupich.

Gwałt ten, który od czasu wojen Łokietkowych był bezprzykładny, nie mógł być przypadkowym; czuć w nim było rozkaz z góry, skazówkę, wydanś, wojnę.

Biskup, słuchajśc przybyłego ze skargami, na zamek chciał natychmiast z grobś wyranś klśtwy. Ledwie go wstrzymano.

Posłano po Baryczkę.

Stało się, jak przepowiadałem zawołał bezkarnie uszło jedno, próbujśc więcej, cierpliwoć pasterska wynagrodzona! Tu piorunów potrzeba! piorunów, piorunów!

Zebrano tego dnia kapitułę na naradę...

Od mianowania i wyświęcenia przez papieża biskupa Bodzanty, choć kapituła opierać mu się nie mogła, zawsze między niś a nim nie było miłoci wielkiej. Zebrani kanonicy przyszli w milczeniu, wysłuchali żałoby, nie odpowiadali nic na wnioski, do serca jednak tego zatargu nie wzięli.

Bodzanta też o radę nie pytał... Baryczka nim owładnśł zupełnie, szedł z nim nie oglśdajśc się na nikogo.

Ks. Marcin do wojny, na męczeństwo gotów był; chciał natychmiast ić biskupowi towarzyszyć, poprzeć go...

Po długiej naradzie Bodzanta uznał, iż mu powtórnie iść, raz odprawionemu, nie przystało. Baryczka ofiarował się w imieniu

jego uroczycie udać się na zamek z przestrogą do króla i ostatniś grobś.

O ile on pragnśł tego, biskup się wahał jeszcze. Rad by był mniej gwałtownego wybrać posła... lecz Baryczka nastawał, prosił, błagał...

To, o czym marzył, spełnić się miało nareszcie! Bodzanta dzień postanowił.

Było to W końcu stycznia, król ciśgle na łowy jedził; obawiano się, aby im nie uszedł. Jak skoro postanowiono, iż na zamek ma iść, ani dnia nie chciał już folgować ks. Marcin.

Długie oczekiwania, gwałtowna żśdza wystśpienia przeciwko Zgorszeniu, gorliwoć nadzwyczajna człowieka przejętego więtociś posłannictwa swojego, nie dały mu w nocy zmrużyć oka.

Spędził jś na klęczkach w zimnej izdebce swej modlśc się, aby go Bóg natchnśł, dał mu siłę i wymowę, moc przekonywajścś. O wicie poszedł mszę więtś odprawić do kocioła na Wawelu, w czasie której płakał i Bogu dziękował, iż mu dozwolił narażać życie dla chwały swojej.

Gdy z gorścś modlitwś na ustach powracał do zakrystii nie widzśc nic, cały w sobie i pełen więtej gorśczki, zapału męczeńskiego, spostrzegł w niej zrzucajśc z siebie szaty obrzędowe stojścego i jakby nań oczekujścego Suchywilka.

Były to dwa zupełnie sobie przeciwne i nie mogśce się pogodzić charaktery. Zaczne oba, różne zupełnie. Baryczka na apostoła stworzony, Suchywilk na spokojnego władcę i kierownika.

Modlił się więcej Baryczka skuteczniej od niego był czynnym Suchywilk. O ile tamten gorścym, ten był rozważnym. Pierwszy znał wiat, jakim widział z kocioła i od ołtarza, drugi, jakiego się z życia nauczył.

Ks. Marcin przeczuwajśc, iż mu tu grozić może rozmowa, której wcale nie życzył, starał się jej uniknśc chciał wynijć natychmiast.

Ks. Suchywilk z powagś zaszedł mu drogę i pozdrowił go.

Słówko, mój ojczc rzekł choć widzę, że się pieszycie. Posłuchajcie mnie.

Nie było sposobu odmówienia chwili rozmowy.

Duchownym jestem jak wy, mój ojczc mówił dalej ks. Jan. Sprawy Kocioła, stanu naszego, obchodzś mnie tak gorśco jak was. Wiem. co wczoraj doniesiono, izecie z rozkazu pasterza wysłani do króla. Woli biskupa swego żaden z nas, duchownych, opierać się nie może. Spełnijcie jś, lecz, ojczc mój, śludzy Kocioła ludmi śś, a Bóg gniewem i namiętnościś le bywa usłużonym. Postśpcie łagodnie, uczynicie więcej i lepiej.

Zaczerwienił się ks. Baryczka.

Postąpię, jak mi sumienie moje i obowiązek nakazuje odparł niecierpliwie. rodki łagodności wyczerpane zostały, potrzeba grozy i odwagi! Chrystus frymarczych chłopców gnał precz ze wiśni, służy też Jego bicz czasem w ręce ująć muszę na grzesznych.

Suchywilk słuchał cierpliwie.

Tak, Chrystus raz w życiu tylko za nieposzanowanie domu Ojca Swojego chłostał... i Chrystusowi Panu bicz przystał, bo On był Bogiem... Mymy ludzie, nam Jego pokora, łagodność, Jego miłość i pobożanie w spadku się dostały... Przekazał nam je w słowach Pawła świętego... Ojciec mój zaklinam was! nie unocie się. Klękajcie na modlitwę raz jeszcze, proście Boga, aby pokój zesłał na duszę waszą, idcie z prawdą na ustach, ale z miłosierdziem w sercu... Grzesznym jest król, nie proszę was, abycie dlań mieli pobożanie błagam, abycie byli panem nad samym sobą... Królem jest...

Dla mnie człowiekiem i grzesznikiem! odparł Baryczka. Suchywilk ręce załamał.

Wielbię rzekł święty zapał wasz i gorliwość, szanuję odwagę, lecz nie Sprawicie niś tego, co Uczynić chcecie, oburzycie, nie nawrócicie go... Powstanie stąd walka, która, zamiast zbliżyć nas do tronu, oddali od niego, przyniesie zgorzenie!

Bądźcie jak Chrystus Pan surowi a miłosierni, prawdomówni a ładni!

Baryczka poruszył się niecierpliwie.

Mam to przekonanie zawołał iż święte posłannictwo spełniam i że w takich godzinach posługi Kociołowi Bóg na niegodną czeladź swoją zlewa z góry promień Ducha świętego... On sam przeze mnie mówić będzie. Gdybym rozumem moim ludzkim ten głos Boży w sobie stłumił a psował byłbym grzesznym! Modliłem się do Ducha świętego!

To rzekłszy ks. Baryczka pokłonił się i nie chcąc już przedłużać sporu wyszedł z zakrystii.

Gdyby o takim stanie ducha, w jakim się znajdował, powiedzieć można, iż upojeniem jest, może by to najlepiej go malowało. W upojeniu posłannictwem tym, odziany w komżę i stułę, z krzyżem w ręku, sam jeden, blady stanął ks. Baryczka w sali wielkiej, poprzedzającej izby króla.

Wiedział, że tu miał nieprzyjaciół, że mu może nawet przystępu do króla bronić będą. Od progu spotkały go wejrzenia urągliwe, dumne, złośliwe.

Nic go to nie obeszło.

Odwracano się od niego nie chcąc widzieć.

miało postąpił ku Dobkowi Bończy, który był najbliżej i na głos się odezwał:

Oznajmijcie o mnie królowi. Przychodzę przysłany przez biskupa w poselstwie od niego.

Dobek, ani żaden ze stojących w pobliżu, nie odpowiedział mu zrazu... Zbyto go milczeniem.

Powtórzył dobitniej i głoniej toż samo.

Od niechcienia Przebór Zadora z dala rzucił za całš odpowied

Z królem się widzieć nie można.

Zatem czekać tu będę i nie poruszę się stšd, że godzina przyjdzie... odparł Baryczka.

Nastšpiło milczenie.

Potrzeba było męstwa, aby wród dworu młodzieży szyderskiej, wejrzeń pogardliwych, gwaru umylnego, potršcania, wytrwać na stanowisku.

ciskajšc krzyż w dłoni, blady, mruczšc modlitwę Baryczka stał nieporuszony.

Ci, którzy sšdzili, że się go pozbyć potrafiš, widzšc ten opór kamienny, zaczynali być niespokojni. Jawnym było już, że Baryczka nie odejdzie z własnej woli, a duchownego nikt się nie

mógł ważyć za drzwi wyrzucić. Godzina upłynęła na takim oczekiwaniu.

Ludzie wchodzili i wychodzili z komnat królewskich: dworzanie mieniali się, przesuwały postacie obce, którym posłuchanie dawano Baryczka czekał.

Ci, którzy miechem go przyjęli i lekceważeniem, patrzyli nań z trwogš. Kochan wyglšdał razy kilka i znikał. Na ostatek obrachował to, że im dłużej go wytrzymajš i więcej udręczš, tym więcej żółci się i gniewu w nim zbierze.

Po kilku innych wskazano nic nie mówišc drzwi ks. Baryczce...

Wszedł do komnaty króla, a wchodzšc umylnie za sobš zostawił otwarte podwoje, poza którymi ciekawy dwór natychmiast się zebrał i nacisnšł.

Kamirz siedział u stołu, królewskie swe przybrawszy oblicze, nie to, jakie miewał, gdy rozmawiał z chłopami i żebrakami, i kumoszkom w okolicach Krakowa pozdrawiajšcym go odpowiadał.

Ks. Baryczka ledwie głowę przed nim skłonił.

Usta otworzył, chciał przemówić i uczuł teraz dopiero, że goršczka oczekiwania, męczarnia, jakš znosił od wczora, wysuszyła mu język i usta. Musiał czekać chwilę, nim zdołał się odezwać.

Jestem przysłany do miłoci waszej rzekł ponuro przez pasterza naszego i w jego imieniu tu stawam, jego wolę głoszę.

Raz już pasterz napominał was, królu, o życia poprawę, o poszanowanie Kocioła... słowa jego próżne przeszły... Owszem, mcić się jeszcze za nie ważono...

Nie przystało ojcu drugi raz dziecięcia napominać. Jam tu za niego, nie z upomnieniem już, ale z

grobš... Spojrzyjcie na życie swe... Godneli ono króla? Wszystkie prawa Boże pokruszylicie dla dogodzenia namiętnoci, Kociołowi zabieracie mienie, biskup napomina zemstę wywieracie na nim... Królowa wygnana.

Kamirz zmarszczył brwi grono i znak dał rękš.

Dosyć zawołał com od biskupa mógł cierpliwie Wysłuchać, od ciebie...

Kapłan jestem odparł dumnie Baryczka poseł jestem... sługa Boży... musicie słuchać głosu mojego, a wzgardzicie nim, klštwę rzuci Kociól...

O klštwie słyszałem odparł król obojętnie widzicie, że się jej nie ulšklęm...

Spojrzał na Baryczkę.

Wy macie klštwy, z których Rzym rozwišzuje i rozgrzesza rzekł ale ja też mam siłę i moc królewskš. Jestecie ziemianinem tej korony, ja sędziš.

Nie nade mnš wykrzyknšł Baryczka nie jestem królestwa tego podsšdnym, pan mój w Rzymie, sšd mój przed biskupem... Nie należę do was, królu...

Blady, wstał król z siedzenia udajšc obojętność, lecz ręce mu drżały i usta, oczy biegały po komnacie, jakby szukały kogo, co by go uwolnił od natręta.

Baryczka stał czujšc, że nie przeszły wyrazy jego bez wrażenia.

Mór i głód, i straszne klęski padały na to królestwo poczšł znowu padnš większe jeszcze, bo grzesznemu ludowi, którego pan jawno grzesznikiem jest nie przebaczy Bóg i miłosierdzia mieć nad nim nie będzie.

Potomka ci nie da On, szesznie na tobie ród, rozsypie się państwo twoje... mury, które wznosisz, pójdš w gruzy, bogactwa, które gromadzisz, rozszarpiš nieprzyjaciele, kamień na kamieniu nie pozostanie z Sodomy i Gomory... bo wkrótce jednego sprawiedliwego nie będzie tu, gdy ten, co najsprawiedliwszym być winien, w grzechu się tarza. Królu a panie, wołam do ciebie głosem Bożym, popraw się... wzywam cię do upamiętania.

Kamirz w cišgu tego natchnionego wołania stał u okna i patrzył w nie oczyma nieruchomymi. Widać tylko było niecierpliwe drganie, które tamował. Postanowił nie odpowiadać więcej i raz odwróciwszy się od Baryczki nawet już nań nie spojrzał.

Było w tym co tak wzgardliwego, tak gronego, że ks. Marcinowi słowo na ustach zamarło.

Zmieszał się umilkł.

Poza nim w otwartych drzwiach zgromadzony dwór szeptał burzšc się. Słyszał, jak mówili:

Precz go wyrzucić! precz!

Lecz nikt zbliżyć się i tknąć go nie miał

Nastąpiła chwila milczenia.

Kochan do drzwi przyparty, z pięciami zaciniętymi, rozjadły, wstrzymywał się cała siła od zuchwałego kroku wobec króla. Kilka razy chwycił za mieczyk i rzucał go.

Tuż za nim Przedbór i Pakosław Zadory, jakby na rozkazy jego oczekujący, z tym samym co on uczuciem spoglądali na nieustraszonego księdza...

Starszyzna dworska widząc ich, tak oszalałych szeptała wstrzymując i nie dopuszczając, aby się na Baryczkę nie porwali.

On stał chwilę jeszcze.

Spełniłem, co mi kazano odezwał się w końcu pomnijcie, że klęstwa wisi nad głowami waszmi.

Nie odwrócił się król. Baryczka zatrzymał się oczekując słowa, gdy Kamirz bliżej się jeszcze ku oknu przysunął i jakby co w podwórzu widział, co go najmocniej zaprzętało, cały się tam pochylił.

Ks. Marcin zawahał się nieco, potem krokiem miałym zawrócił do drzwi i pomiędzy rozstępującymi dworzany nazad do pierwszej izby wszedł...

Otarł się prawie o stojącego przy progu Kochana, który go za rękaw komży pochwycił.

Com ci przyrzekł, to dotrzymam! rzucił mu w ucho. Zginiesz, klecho!

Baryczka się zdawał nie słyszeć groby, modlił się i powolnie nazad do zakrystii ić począł. Z dala za nim gawied ciekawa krocząc przeprowadziła go aż do drzwi kocielnych, w których zniknął.

Wprost przed wielki ołtarz poszedłszy klękał się modlić.

Z niecierpliwością i niepokojem oczekiwał powrotu jego biskup. Dłuższy, niż się spodziewano, czas upłynął, nim się zjawił z twarzą posępną Baryczka.

Spojrzeni na siebie Bodzanta czytał w jego twarzy...

Siła zabrakło mężnemu szermierzowi na opowiedzenie smutnej wyprawy swojej, wyczerpały się one bezsenności, modlitw, samym tym wystąpieniem bohaterskim, odepchniętym wzgardą milcząca.

Bodzanta widząc go drżącym i osłabłym sam mu przyniósł kubek wina i zmusił, aby w nim umoczył usta.

Ten rozogniony niedawno, gotów na męczeństwo kapłan łzy miał w oczach teraz i drżał znekany. Zdało mu się niepojętym to, co go spotkało. Był pewien tej siły, o której się modlił, i pewien skutku; niemoc własna przyprowadziła go do rozpacz, upokarzała.

Nie mógł jej inaczej sobie tłumaczyć, tylko tym, że niegodzien łaski Bożej, o którą się modlił, aby nań spłynęła.

Bodzanta gniewnym był, oburzał się.

Nie lęka się klętwy król zawołał więc mnie do rzucenia jej zmusi! Nie ulękę się i ja jej skutków...
Stanie się, co Bóg przeznaczył Imię Jego niech będzie błogosławione...

Smutnie głowę zwiesił na piersi.

Pozostawała ta jedna ostateczna broń... Wojna była wypowiedziana, zgoda bez upokorzenia niepodobna. A jednak, choć gotowym się opowiadał do użycia oręża tego, Bodzanta wahał się jeszcze...

Baryczka łzy ocierał.

Na biskupstwie milczenie było, zniechęcenie, nieokreślona jaka obawa i niepewność.

Stał pasterz na skraju, nad ostatecznością doniosłości największej, przed którą się cofnąć nie mógł.
Przerażała go ona...

W ostatnich czasach rzadsze coraz stawały się klętwy i interdykty; w samym Rzymie nie pochwalano papieżu, nie doradzano ich widząc, że wielka siła tego oręża osłabła znacznie.

Kamirz miał u Stolicy Apostolskiej jeli nie takie zachowanie, co ojciec, to poszanowanie pewne i obrońców. Sam arcybiskup gnieźnieński był z nim i musiał stanąć w jego obronie.

Gotowała się więc dla biskupa Bodzanty ciężka do spełnienia ostateczność, brzemienna nieobrachowanymi następstwami. On sam, Kociół, wierni cierpieć mieli, królestwo narażone być mogło, nieprzyjaciele korzystać z osłabienia władzy króla.

Lecz cofnąć się nie czas było...

Król nie odwrócił głowy ku wychodzącemu Baryczce, nie spojrział nań, nie odpowiedział nic, lecz gdy po chodzie i ruchach domyślił się zbliżającego Kochana, będąc pewien, że ksiądz odejść musiał, spojrział nań.

Rawa widokiem twarzy, nagle zwróconej ku sobie, przeraził się i zadrżał. Rzadko Kamirza szlachetne rysy, którym wiek dał już marmurowy spokój i majestat, tak silnie odbijały, co się w duszy jego działo. Królewski kunszt zamykania uczuć we wnętrzu, aby wiat im ani się dziwić, ni cieszyć, ani mógł urządzić, posiadał Kamirz w wysokim stopniu. Rzadkie godziny swobody w małym kółku dawały poznać, co cierpiał i czego doznawał. Nawet ten nieprzewyciężony smutek gronego przecucia, iż bezpotomnym być ma i z rodu ostatnim, umiał król zamykać w sobie. Wylewał się z nim tylko przed najbliższymi...

W tej chwili poruszonym był tak silnie, obrażonym tak boleśnie, iż zapomniał o godności swej, a wiedział może, iż nikt obcy go nie zobaczy i nie zdradzi.

Kochan, którego postawa i oblicze kipiały jeszcze niesieniem gniewu, zamienił z nim wejrzenie tylko: król mniej niż zwykle pewnym krokiem poszedł ku siedzeniu swemu przy stole, padł na nie i sparł się na rękę.

Zwolna przychodził do siebie.

Kochan stał przed nim, jakby na rozkazy oczekiwał, nie miał się odzywać; król oczyma błędnymi długo wodził po komnacie, drgnął, jakby ciężar z ramion chciał zrzucić, ruszył się, jakby wstać chciał, siadł znowu i zapytał o Suchywilka głosem cichym.

Nie było go na Wawelu. Kochan spytał, czy po niego ma posłać. Kamirz zaprzeczył ruchem głowy. Po chwili rzucił pytanie, czy nań kto czekał, powiedziano mu o kilku przybyłych. Kazał podać wody i wina; otarł twarz i począł się po izbie przechadzać.

Ulubieniec nie miał mówić o tym, co się stało, a czego z innymi razem był widzem i słuchaczem. Wyszedł.

Równie z nim cały dwór przerażony był i rozjuszony. Pobożniejsi lękali się następstwa znajsc Bodzantę i Baryczkę, znaczniejsza część wrzała gniewem i zemstą Nikt odgadnąć nie umiał, jakie było usposobienie królewskie: jeden Kochan, czytając najlepiej w jego twarzy, znalazł w niej rzadko bardzo objawiając się obrazę ciężką i pragnienie odwetu. Mył tę czyby był odgadnął lub nie, Rawa od pierwszej chwili miał najmocniejsze postanowienie pomśczenia się za króla To, co powiedział Baryczce na weselu, co mu powtórzył u drzwi, poprzysięgł spełnić.

Rady w tym niczyjej zasięgać nie myłał, słucał wewnętrznego oburzenia tylko.

Klecha musi zginąć powtarzał sobie ażeby drudzy króla się szanować nauczyli.

Miłość dla króla zalepiła go tak, że następstw tego kroku, który zamierzał, nie rachował.

Wyszedłszy z komnaty, do której natychmiast wpuszczono oczekujących, bo król już był odzyskał krew zimną i ze zwykłą łagodnością i umiechem przyjmował, poczynając od najbiedniejszych, co było we zwyczaju przy posłuchaniach, Kochan pobiegł do siebie.

Przedbór i Pakosław Zadorowie, powolni służy jego, bez których on obejść się nie mógł, popieszyli za nim. Szedł zadumany Dobek Bończa, już powszechnie znany pod przezwiskiem wiezo zdobytym, Fredry.

Mieszkanie ulubieńca królewskiego na zamku, acz szczupłe, bo ze trzech tylko izdebek niewielkich się składające, tak było wytwornie urządzone jak on sam, do zbytku i okazałości przywykły.

W mniejszych rozmiarach znajdowało się tu wszystko, co w owych czasach najzamożniejszych przyozdabiało mieszkania. Sam król znajscy upodobania ulubieńca, mnodzy przyjaciele i ci, którzy łaski jego potrzebowali, obsypywali go kosztownymi podarunkami. Niejedną osobliwość miał od przyjaznego mu Wierzynka. Sam on też, zamiast pieniędzy zbierać i oszczędzać, chętnie błyszczące i wabiące oczy rzeczy kupował.

Izba główna i sypialnia pełne ich były. Lubował się w tym Rawa równie jak w bogatym stroju. ciany więc okrywały szpalery tkane i szyta, a na policach stały dokoła naczynia najprzedniejszej roboty, z koci, srebra, złota, gliny i szkła weneckiego. Jedna ciana cała była zawieszona bronią najpiękniejszą, łukami i sahadakami, szytymi złotem i perłami, tarczami z kruszczu, mieczami, których ciężkie, szerokie pasy, często od tego, co na nich zawieszano, kosztowniejszymi były. Stół w porodku, cały osłonięty kobiercem, zastawiony był niemniej pięknym doborem złotniczych wyrobów.

Słowem, przepych panował tu największy, a cytra na wezglowiu, rzucona przy siedzeniu, domyłać się kazała, że Kochan niekiedy się i muzyką zabawiał.

W istocie cytarzysta ulubiony królowej węgierskiej Elżbiety, która była miłośniczką muzyki i grajków z sobą wszędzie wozila, uczył Kochana do piewu sobie brzdskaniem towarzyszyć. Kochan nie miał ani czasu, ani zdolności do muzyki, lecz zabawiał się nią w rzadkich chwilach spoczynku.

Gdy popiesznie za nim nadżywszy tu dwaj Zadorowie i Dobek znaleli się w małej izbie sklepionej, a Kochan się ku nim zwrócił usiłując wyczytać z twarzy, jakie na nich zuchwalstwo Baryczki uczyniło wrażenie, znalazł ich wszystkich w takim jak sam był usposobieniu.

Tylko Dobek Fredro, który się nigdy nazbyt nie wydawał z tym, co czuł i miał poczęść, stał na pozór chłodny. Lecz wiedziano, co ten jego chłód oznaczał. Zadorowie nie nawykli pierwszego głosu zabierać drżeli oczekując, co Kochan powie.

Klecha na siebie wydał wyrok ozwał się po chwili Rawa. Gdyby mu to uszło bezkarnie, dalej król bezpiecznym by już nie był. Będą go po kociołach beczce i na ulicach wytykać palcami.

Zamilkł nieco Rawa.

Kto mi dotrzymać słowa pomoże i klechę sprzątnąć dodał pewnym być może królewskiej łaski a mojej wdzięczności. Napać go i zabić, dla mego byłoby może pożytecznym, nie dla nas; powinien zginąć bez rozgłosu i nikczemnie...

Dobek słuchał w boki się wzięwszy, patrząc z góry na Kochana; Zadorowie spoglądali na siebie, jakby naradzając się z sobą. Mówili zazwyczaj mało.

Wtem Fredro wytrzymałszy chwilę mruknął:

Zła rada twoja, Kochanie. Ty wiesz, że ja nie pochlebiam nikomu, ani królowi, ani tobie. Powiem ci wręcz, zła rada. Księżdz sprzątnąć, łatwa rzecz, ale co z tego? Oni tego pożytecznym, na króla to rzucą, zbójem go uczynią i wyklną. Kto wie! on się może na to powieści.

Ja króla bardzo miłuję, niemniej od ciebie: gdyby mu co groziło, życie bym zań dał i ubić się pozwolił, ale takiej zemsty na mizernym klesze nie radzę i do niej ręki nie przyłożę. Oni tego chcą, on po to szedł, aby go męczennikiem uczyniono; król nim pogardził masz skazówkę. Obrócił się do okna, zamilczał, nie rzekł słowa.

Ja króla lepiej znam, nikt go tak jak ja nie zna! zawołał Kochan obrażony jemu nie przystało nic innego nad wzdarcę, nasza powinność inna!! Ja wiem, co wiem. Nie chcecie wy być z nami,

obejdziemy się bez was.

Dobek kołpaczka na głowie poprawił, usta ciśgnął.

Właniem chciał ci to powiedzieć, ażeby się beze mnie obszedł rzekł ale dokończę dobrš radš: daj klesze żyć i nie porywaj się na niego... Zdrów bywaj!

I Dobek z tš swš dumš spokojnš, jakš mu dawała pięć i dusza silna, obejrzawszy się po izbie, zawistał co i wyszedł.

Zadorowie pozostawszy z Kochanem zbliżyli się do niego. Tych on był pewnym, iż spełniš, co każe i poleci, jak samego siebie. Gniew też jego dzielali.

Zaczęła się cicha we trzech narada, która dosyć długo trwała.

To, co mciwi dworzanie zamierzali, nie było do wykonania zbyt łatwym; księdza napać a choćby zaršbać czy idšcego z wikarii na biskupstwo, czy powracajšcego nocš z jednym chłopcem i latarkš, było łatwo, ale Kochan inaczej się go chciał pozbyć.

Uchwalono więc naprzód nie pieszyć się z wykonaniem, aby zemsta dorana nazbyt widocznš nie była; potem starać się księdza sprzštnšć tak, aby tego mciwego wyroku spełnienie pozostało na wieki tajemnicš.

Kochan dopuszczał, że go o to będš posiadzać, i choć mu to nic nie wadziło, nie chciał, by mu dowiedziono morderstwa.

Pogróżki jawne były przeciw niemu tym się gotów był chlubić; zabójcš wytykanym być nie chciał bo duchowieństwo też cigać go mogło.

W ciemnościach i tajemnicy miała się dokonać zbrodnia.

Gdy po więcej niż godzinnej naradzie Zadorowie wyszli od Kochana z pomarszczonymi twarzami i zagryzionymi wargami, poznać było można, że ich nie lada brzemię gniołło. Pobrali zaraz kozuchy i szli oba na miasto, każdy w swójš stronę.

Ze dworu wiadomoć o rannym wystšpieniu Baryczki wkrótce się na miasto przeniosła. Wierzynek zawsze najprędzej bywał uwiadomiony o tym, co się działo na Wawelu. Chciał natychmiast do króla popieszyć z probš i radš, ażeby cierpliwym był, lecz nim się wybrał, doniesiono mu, iż Kamirz wyjechał na łowy.

Rozmowa więc odłożonš być musiała.

Ks. Baryczka, o którego wielkiej odwadze tegoż dnia po wszystkich klasztorach i probostwach szeroko rozpowiadano, bšd ca bšd u znaczniejszej duchowieństwa części znalazł poklask i uznanie.

Ci nawet, co najmniej go byli mogli naladować, wynosili to męstwo pod niebiosa. Wychwalano biskupa Bodzantę, który go wysłał, rozprawiano szeroko nad tym, co król pocznie.

Odgadnąć lego nie umiał nikt. Znano go z pobożności przystojnej, ale umiarkowanej bardzo. Kociołów i klasztorów nie obdarzał tak szczerze jak poprzednicy: zakładał ich mało. Wprawdzie wieżo łożył na prędkie zbudowanie ekspiacyjnej wištyni Bożego Ciała, lecz wiedziano, iż z Bogoriš dobrami duchowieństwa frymarczył i przypisywano mu zamiary oswobodzenia się od zbytniej duchowieństwa przewagi. Nie opuszczał nabożeństw, lecz nie trwał na nich długo, a w pobożności jego gorścoci i przejęcia się niš nie było.

W ogóle też zbytniej miłoci nie miał u duchowieństwa, które miały krok Bodzanty i Baryczki witało jako skuteczne usiłowanie przywrócenia dawnego stanu, dawnej potęgi biskupiej, na równi z królewskš stojšcej. Bohaterem dnia stawał się ks. Baryczka, a że w istocie mężem był pobożnym, czystym i prawym, choć zbyt gwałtownego temperamentu, podnoszono jako wyznawcę, jako już niemal męczennika za przekonanie swoje.

Ażeby król albo ci, co go otaczali, mcić się mogli na nim, nikt tego nie przypuszczał.

Oczekiwano zwycięstwa...

Po krótkim spoczynku w dworcu biskupim Baryczka udał się do mieszkania swojego w domu wikariuszów. Tu on dwie szczupłe celki zajmował.

Człowiek się zawsze maluje w gniedzie swoim, choćby je nie sam zbudował. Życie wyciska się na tym wszystkim, co mu posługuje za narzędzie i podkłady.

Dwie cele ks. Baryczki były tego najlepszym dowodem. Nie opalane nigdy, ciasne, zaniedbane, nawet tych węgli żarzšcych, którymi inne pozbawione jeszcze pieców i kominów mieszkania, bo te dopiero w możniejszych domostwach zaprowadzono, ogrzewano, nie widywały nigdy.

Ks. Marcin prowadził życie umartwień umylnych a Nielitociwych. W pierwszej izdebce mieszkał ubogi chłopak, który mu wieczorem nosił latarkę i towarzyszył, gdy wychodził; w drugiej tapczan, licho i twardo zasłany, klęcznik, dyscyplina z drucianymi haczykami na cianie, krucyfiks prosty, nieco ksišzek,

Gdzież na kolkach, składały całe mienie. Licha skrzynka nie zamknięta mieciła bieliznę i pomniejsze mienie.

Syn zamożnego dosyć rodu raz wdziawszy suknię kapłańskš dobrowolnie stał się ubogim. Co miał, dzielił z biednymi, dla siebie zostawiał tylko tyle, by mógł życie utrzymać. Żadnych wygod nie potrzebował.

Modlitwa, posty, biczowanie, nieustanne posługi duchowne, w których drugich wyręczał, utrzymywały go w stanie podniecenia duchowego, w rodzaju ascetycznej gorśczi, z której nie ostygwał nigdy. Nie czuł więc nawet umartwień, na które się skazywał, bo stan taki rodzaj anestezji sprowadza.

Zimno, głód, wyczerpanie często dopiero wówczas dawały mu się uczuć, gdy na pół omdlały już upadał.

Surowy dla siebie, nie był też pobłażającym dla drugih: karcił, strofował, obchodził się z ludmi bez litoci i ci nawet, co go szanowali, zdumiewali się, musieli być wdzięcznymi, kochać go nie mogli. Zdawał się odstręczać umylnie od siebie, aby mu miłość ludzka nie wynagradzała tego, za co chciał mieć w niebie zapłatę.

Jest to pewnikiem, iż najłagodniejsi ludzie, często przez samolubstwo wiatu się wdzięczš, aby uniknšc przeladowania i powolności spokój sobie zakupić. Ks. Baryczka postępował przeciwnie; ostrym i szorstkim był, aby go nie oszczędzano.

Widziano już w nim natenczas męža przeznaczzonego do zajęcia najwyższych stanowisk w Kociele, którego praw mógł być nieuleknionym obrońcš.

Wyjechał król na łowy... Przez dni kilka mówiono wiele o poselstwie Bodzanta do Kamirza domylajšc się różnie jego skutków. Ode dworu nic a nic słyhać nie było.

Kłštwa, zawieszona nad głowš króla, zdała się do czasu odwleczonš... Biskup Bodzanta w postanowieniu trwał, ale z wykonaniem go nie pieszył.

Ks. Baryczka, jak przed spełnieniem swojego poselstwa niespokojnym był, wyzywajšcym, niecierpliwym, tak po nim stał się dziwnie pokornym i milczšcym.

Pobożność kazała mu po dokonaniu czynu, który on sam uważał za wielki i w życiu stanowczy, nie chlubić się nim; Pan Bóg, wedle jego przekonania, skarał zarozumiałość, z jakš rzucił się na króla, odmawiajšc jej skutku. Włóżył całš swš siłę i duszę, w wysiłek nadaremny.

Karcił się więc sam za zbytne nadzieje.

Życie jego szło trybem dawnym, niezmienione, ustały tylko zbyt częste wprzódy odwiedziny biskupiego dworu. Siedział w kociele, modlił się, spełniał swe obowišzki duchowne. Ubogie chłopię, sierotka, posługujšcy mu, z ulicy wzięty Janczyk, który jak psiak w oczy mu patrzył i z oczów wypatrywał wszystko instynktem przywišzanych zwierzštek, powiadał często, iż księdz jego smutny był, że się biczował dłużej, klęczał w nocy na podłodze zimnej i na modlitwie płakał.

Szpiegiem domowym był ten Janczyk, ale z dobrego serca, bo bał się równie ks. Baryczki, jak kochał go. Wszystko też był winien jemu, poczšwszy od ciepłej odzieży i obuwia, aż do pożywienia, którym księdz, poszczšcy ustawicznie, z nim się dzielił. Janczyk, który wprzód z garnuszkim od drzwi do drzwi chodził, jak to było w obyczaju w Krakowie młodzieży, która do szkoły Panny Marii uczęszczała, nie majšc żyć z czego, teraz wyglšdał rumiano, pyzato i rósł szybko.

Przywišzanym też był do dobrodzieja swojego nad wyraz wszelki i żył tylko w nim.

Nadchodziła wigilia w. Łucji. Ks. Baryczka ze mszš wietš zaproszony był do Franciszkanów, a że modlitwy zawsze długie poprzedzały wietš Ofiarę, którš rano bardzo miał odprawiać, wybrał się z domu o zmroku jeszcze, a chłopcu za sobš ić nie kazał.

Zazwyczaj powracał na obiad wspólny z innymi kapłanami na wikarii z nim mieszkajšcymi; czekano go na próżno dnia tego i domylajšc się, że mógł u Franciszkanów pozostać, siedli inni

do stołu, Janczykowi tylko kazawszy z kuchni Jego porcję wydzielić. Po południu nie było ks. Baryczki.

Gdy wieczór miał nadchodzić, Janczyk wszystko, co było potrzeba, przygotował spodziewając się pana z powrotem lada chwile. Nigdy się ks. Marcin nie spónił zbytnio, bo co dzień mszę świętą odprawiając wedle przepisów, przed północą zasypiał a długie wprzód odmawiał modlitwy.

Spónił się tego dnia bardzo, ogarek się dopalił. Janczyk coraz niespokojniejszym być zaczynał. Miarkował, jak inni nawykli obchodzić się bez zegarków, iż godzina była północy bliska, a opónienie bezprzykładne.

Na lada szelest w domu wybiegał z ogarkiem do sieni, przysłuchiwał się. Wszyscy księża z dawna już byli popowracali, ks. Baryczki nie było. Janczyk modlił się już ze strachu. Wypadek był tak nadzwyczajny, iż chłopiec, ku północy, nie mogąc wytrzymać, zapukał do ks. kanonika Andrasza, który zazwyczaj do północy zasiadywał nad księgami.

Ks. Andrasz był redniego wieku człek, wesołego usposobienia, umysłu swobodnego, lecz z chłopcami udawał zawsze surowego, łajał i gderał miejsc się razem. Nie obawiano się go najmniej i Janczyk poufalszym z nim był niż z innymi, choć go za czuprynę i uszy targał.

Głosem grubym, gderliwym ozwał się czuwający jeszcze ks. Andrasz łając już zawczasu, choć jeszcze nie było za co.

Janczyk wszedł.

Czego się ty po nocy włóczysz jak mara?

Słów tych ledwie dokończywszy ks. Andrasz postrzegł taki wyraz dziecinnego przerażenia na chłopcu, że dodał zbliżając się popiesznie.

Na rany Pańskie, co się stało?

Ks. Baryczki nie ma nie powrócił.

Nie powrócił!! powtórzył kanonik a gdzież był?

U Franciszkanów ze msz.

A potem?

Janczyk płaczący poruszył ramionami; nie wiedział.

Zadumał się ks. Andrasz, lecz że nie zwykł był nic brać bardzo tragicznie, rzekł ustami przekręcając.

Biskup pewnie mu dał robotę pilną, albo ja tam nie wiem co. Już z północy być musi, kiedy go nie ma, to go nie będzie, Id spać o pacierzu nie zapominając, wiatło zaga, drzwi pozamykaj... Jużci mu

się nie stać nie mogło.

Tak chłopaka uspokoił ks. Andrasz, ale sam zadumał się głęboko. Trwało to tylko chwilę, póki natura i obyczaj góry nie wzięły. Spokojny i na wszystko zawsze zrezygnowany ks. Andrasz powiedział sobie, iż złego nic nie było, a jutro wszystko wyjani.

Z tym poczłł krótkš modlitwę i spać się położył.

Jancyk dopiero zasnął nade dniem. Ks. Baryczki ani od niego wieci i o wicie nie było.

Przebudziwszy się ks. Andrasz przypomniał sobie, co wczoraj zaszło, zajrzał do Jancyka, dowiedział się, iż ks. Marcin nie wrócił dotšd, i wybrał się z ciekawociš wielkš ledzić, co się też z Baryczkš stało.

Zaszedł naprzód do Franciszkanów. Tu na zapytanie o wczorajsž mszę ks. Baryczki gwardian mu odpowiedział z wielkš żywociš, że go ze msž czekano wczoraj na próżno, ornat i ampułki w zakrystii były gotowe... ale nie wiadomo, dlaczego zawód im uczynił, a nie trafiło się mu to nigdy i choćby chorym się czuł, przeciežby chłopca mógł przysłać o tym dać wiedzieć zawczasu.

Ale on chory nie jest, bo go od wczoraj rano w domu nie ma. Ot co! zawołał zaczynajšc brać do serca sprawę tę ks. Andrasz.

Strach ogarnšł obu księży.

Kanonik przypieszonym krokiem pobiegł do biskupa. Sšdził, że tu może, jeli nie ks. Baryczkę, to języka o nim dostanie.

Kapelan, którego w progu spotkał, na zapytanie odparł, że biskup włanie posłał po ks. Marcina, bo przez cały dzień przeszły nie widziano go tu...

Oba poszli do ks. Bodzanty.

Wypadek się wydawał już zagadkowym i gronym. Biskup ręce załamał.

Jezus! Marin! zawołał miałzeby on pać ofiarš? ale nie, to być nie może!

Popłoch wielki stał się na biskupstwie, rozesłano natychmiast na wszystkie strony... ks. Andrasz powrócił na wikarię. Tu Jancyk tylko sam modlił się i płakał.

Niektórzy księża wpadli już na myśl, iż zbrodnia mciwš rękš popełnionš być mogła.

Po całym miecie rozniosła się wkrótce wieć o zniknięciu ks. Baryczki.

Chociaž od wstšpienia jego do króla czas jaki upłynšł i nie było najmniejszej poszlaki, aby dwór chciał się mcić na pole biskupim, jednakże domysły różne przypuszczenia rosły jak grzyby.

ledzono najpilniej, czy się dnia tego nie pokazał gdziekolwiek. Wiadomo było, że bardzo rano

wyszedł z domu na mszę do Franciszkanów, jeden z firtelników utrzymywał, że spotkał go w ulicy zmierzającego ku klasztorowi. Tu wcale go nie było...

W tej porze dnia, w lutym, mało się co jeszcze w mieście poruszać zwykło, przechodniów bywa mało i trochę życia tylko w porodku miasta i na głównych, do targu wiodących drogach czuć się daje... Ranek był zimny, mrony i mglisty... Szron okrywał drzewa, ale mróz nie zelżał, wzrósł jeszcze.

Na niego wśród miasta ladu szukać nie było sposobu.

Cały dzień upłynął w oczekiwaniu w nadziei, że ks. Baryczka mógł w drodze być pochwycony do chorego, Znano jego gorliwość, że w razie, gdy o duszę, o nawracanie, o ocalenie człowieka chodziło, chętnie z siebie robił ofiarę. Spodziewano się więc jeszcze, że się zjawić może,

Biskup Badzanta szczególnie okazywał niepokój wielki i on pierwszy począł posłdzać dwór o zemstę wywartą na ks. Baryczce.

Trzeciego dnia zaszła okoliczność dająca wiele do mylenia. Chłop z Łagiewnik jadący bardzo rano na targ z drobiem do Krakowa rozповідаć miał, jakoby w wigilię w, Łucji, przebywając Wisłę po lodzie, wiadkiem był wypadku, który go wielkim nabawił strachem.

Nie postrzeżony widział jakoby kilku ludzi, których ani twarzy, ani ubioru w mroku rozpoznać dobrze nie mógł, włokących człowieka nie opierającego się im ku Wile... Tego oni, w przygotowany już wór ogromny wzięwszy, w oczach jego w przerębels pod lód wrzucić mieli i sami natychmiast uciekli.

Posłano po włocianina do Łagiewnik i sprowadzono go na dworzec biskupi. Pod przysięgą zeznawał przed pasterzem, iż w istocie patrzył na to własnymi oczyma. Mówił, że utopiony złożone miał ręce jak do modlitwy, nie krzyczał ani się wrywał i że ubrany był czarno.

Godzina i dzień dozwalały przypuszczać, iż mógł to być ks. Baryczka, lecz pewności nie było. Rzeka zamarzała była jeszcze i ciała poszukiwać niepodobieństwo, a do wiosny wody by je daleko uniosły.

Pomimo iż przypuszczenie tylko kazało wnosić, że morderstwo popełnione zostało, po mieście mówiono już z pewnością, że ks. Baryczka został utopiony.

Po mrozie na w. Łucję nastąpiła nagle odwilż gwałtowna, spadł deszcz, powietrze się nadzwyczaj ociepliło i przedwziewanie, nadspodziewanie lody puszczają, łamać się, kra płynąć zaczęła.

Prawdziwym cudem ludzie około brzegów rzeki mający co do czynienia postrzegli wór spływający po wodzie. Spodziewali się w nim zdobyć jakiej, bo go z niebezpieczeństwem życia drągami i hakami pochwycili i na brzeg wyciągnęli.

W worze tym, ze złożonymi jeszcze do modlitwy rękami, z twarzą spokojną i wyrazem ubłogosławionym janiejś, leżały zwłoki ks. Baryczki.

Poznał je zaraz kto z gromady ciekawych stojących u brzegu, a że trup wcale nie był w wodzie nadwerżony i zachował postać swoją dziwnie poważną a piękną, krzyknęto na cud, poklękali ludzie,

dano znać do biskupa.

Niewysłowionę poruszenie umysłów objawiło się w mieście. Biegali wszyscy oglądać zwłoki męczennika, cisnęli się, płakali, klękali, okrzyki zgrozy i oburzenia dawały się słyszeć w tłumach.

Odebrawszy o tym wiadomość, biskup natychmiast sam z duchowieństwem, rozkazawszy krzyż przed sobą nieść i chorągwie zalotne, a po kociołach we dzwony uderzyć, udał się na brzeg rzeki. Trumnę z kocioła, służąc do odprawiania egzekwi, wzięto dla złożenia w niej zwłok; duchowieństwo ze wszystkich klasztorów, z kociołów powychodziło też z chorągwiami i niemal cała ludność zbiegła się oglądać trupa ks. Baryczki.

Gdy go z woru, w którym był zwiżany, wyjęto, nie uszedł i on bacznoci ludzi, bo szukano poszlaki jakiej, ażeby sprawców doleźć. Worek był z prostego sukna, grubego, jak inne do sypania zboża używane, niepomiernie tylko wielki i może naumylnie ze dwu uszyty.

Około zwłok znaleziono sznur i pasek, który jeden mógł na lady jakie naprowadzić. Był on rzemienny, z klamrą żelazną, a podobnych włanie czelad zamkowa używała. Nie ona jednak sama nosiła je; poszdenie tylko rosło, Przeprowadzenie uroczyste zwłok do kocioła, nabożeństwo, kazanie, które młody duchowny do ludu miał, wszystko to razem umysły niezmiernie rozgorśczało, przejęło wszystkich groź, usposobiło do skruchy i pokuty.

Ze dworu i otoczenia króla, co zauważono, nikt się nie pokazał w kociele ani na pogrzebie, ani nawet w ulicach. Głono więc już powiadać zaczynano, że zabójstwo nie czyjś innś było sprawś, tylko królewskich służalców i popełnione z rozkazu jego.

Biskup we łzach powróciwszy od ciała, które przez dni kilka rozkazał w kociele wystawić, aby widok jego tym mocniej ludzi poruszył i przeciw królowi usposobił, już stanowczo mówił, że Mśtwę rzuci.

Lecz dowodu, kto, z czyjego rozkazu popełnił zbrodnię nie było... Vox populi, prawnicze argumenty jurystów is fecit cui prodest itp. nie starczyły na potępienie prostego winowajcy, cóż dopiero króla.

W cięgu dni kilku, gdy zwłoki ks. Baryczki na widok publiczny wystawione były, a głośzono już, że cuda się przy nich działy, że wiatłoc je nocami otaczała, że cale nie zepsute trwały

i wydawały woń przedziwną, lud coraz więcej się groź przejmował i na duchu podnosił...

Zastarzali grzesznicy biegli do spowiedzi, nawracali się bezbożni... trwoga przychodziła jaka na wszystkich.

W domu winiagłowy, w którym Baryczka bywał często, stary Kuba, mimowolny wiadek rozmowy Kochana czasu wesela z ks. Marcinem, głono zaczął opowiadać, iż na uszy swe słyszał, jak mu Rawa mierciś groził.

Nie mógł więc tego dokonać nikt inny, tylko on. Tak obok imienia króla stanęło zaraz ulubieńca jego imię, jako posłusznego narzędzia.

U ludu tworzyła się z domysłów legenda mająca wszystkie prawdopodobieństwa cechy, przyjęte za prawdę, lecz nie dowiedzione niczym.

Ks. Suchywilk widząc, jakś ona królowi krzywdę czyniła i jakś plamę nań rzucała, przekonany, iż Kamirz ani mógł, ani myślał podobnego wydawać rozkazu, zapytał króla i zaklął o wyjanienie prawdy.

Uroczycie mu król zapewnił, że w zbrodni tej żadnego nie miał udziału.

Ks. Jan poszedł z tym poprzysiężonym zapewnieniem do biskupa, lecz ten ani chciał słuchać nawet, a krok uczyniony wziął jako oznakę niepokoju i zakłóconego sumienia. Dla niego był to owszem dowód jeden więcej, iż do winy zbrodni tej dwór się poczuwał.

Gdy dnia ostatniego ciało męczennika w kociele było wystawione jeszcze, a matka, która przysłała z chorym dziećciem, przez dotknięcie zwłok cudownej doznała pomocy, powszechny już głos obwołał świętym Baryczkę. W tej samej chwili człek odarty doć, z włosiem rozczochranym, z twarzą przerażoną, oczyma obłąkanymi wpadł do zakrystii i żądał gwałtownie spowiedzi. Chciano go do jutra odłożyć i zbyć się, lecz począł na kolanach błagać, bić się w piersi, wołać, że jest grzesznikiem wielkim, i jeden z duchownych ulitowawszy się wziął stulę i siadł z nim do konfesjonału.

Chwila za ledwie upłynęła, gdy i on powstał, i spowiadający się z nim we łzach cały szedł do dworca biskupiego.

Był to stajenny parobek zamkowy, Wargś zwany, z powodu, iż miał rozciętą wargę spodniś od dzieciństwa. Ten, do skruchy pobudzony, na kolana przed biskupem padłszy, zeznał, iż topiścym ks. Baryczkę był pomocś, nazwał po imionach dwóch Zadorów i dodał, że wprzódy ich widział z Kochanem się naradzających.

Zeznanie to spisano zaraz przy wiadkach, a że nieostrożnie w pierwszej chwili mnóstwo się osób nacisnęło za księdzem i za Wargś, w jednej chwili miasto całe wiedziało, że sprawcy zbrodni odkryci byli.

Głoszono tedy z pewnością już największą, iż król sam wydał rozkaz Kochanowi, aby utopiono Baryczkę, że Zadorowie spełnili jego polecenie.

Na zamku przez te wszystkie dni niepokój był wielki.

Król domyślał się sam i posądzał, że Kochan przez przywiśzanie do niego mógł się ważyć na tę pomstę, nie pytał go jednak, nie chciał wiedzieć o tym.

Rawa chodził zmieniony i niespokojny tak, że po nam poznać było można obawę i niepewność o przyszłość. Królowi jednak nie mówił nic, unikając nawet doniesień wszelkich o ks. Baryczce.

W dniu, gdy chowano zwłoki, oba Zadorowie znikli, jakby przeczuwając, że Wargę ich zdradzi. Było to poszlakś wielkś.

Wieczorem ks. Suchywilk popieszył z miasta i mimo pónej godziny domagał się widzenia z królem. Kochan niespokojny poprowadził go i sam przy drzwiach pozostał.

Miłociwy panie odezwał się ks. Jan wchodząc ze złś wieciś i sercem zranionym przychodzę. Jeden z tych, którzy się morderstwa dopucili, skrucłś tknięty, wyznał wszystko.

Spojrzał na Kochana.

Ten stał blady, ale mężny, podniósł głowę, czekał.

Przebór i Pakosław Zadorowie sś obwinieni dodał ks. Suchywilk a parobek Warga, który im miał pomagać, oskarża i Rawę, że go z nimi przedtem na naradzie widział. Stśd posśdzenie na was, miłociwy panie... Biskup gotuje się rzucić klśtwę, nic go już od niej nie strzyma.

Król słuchał dosyć spokojnie przy stole stojśc na wpół już rozdiany, bo miał ić na spoczynek. Rzucił okiem na Rawę, który milczał.

Lepiej by było, ażeby klśtwa biskupia was tu, miłociwy panie, w Krakowie nie zastała. Jedcie do Poznania lub Gniezna, do wuja mojego tymczasem.

Król skinśł głowś i przerwał krótko:

Dzi? Jutro?

Z rana jedcie rzekł Suchywilk.

Wy ze mnś? dodał król pytajśc i proszśc razem.

Jadę odparł ks. Jan. Kochan milczał nie ustępując. Kamirz zwrócił się ku niemu.

Rozkaż natychmiast, aby się gotowano do podróży... Była to odprawa dana ulubieńcowi, który wyjć musiał. Gdy się oddalił, królowi jakby ciężar spadł z serca.

Nie darmo przysłowie powiada, że Boga prosić trzeba, by nas od przyjaciół bronił, a od wrogów człowiek sam łatwiej się uchroni. Kochan uczynił to z miłoci ku mnie, pewien jestem, innej nie miał pobudki, i oto ja.. brzemię tego występku dwigać będę musiał.

Westchnśł.

Wiecie dodał łagodnie iż krwi chciwym nie byłem i nie jestem, i pogardś zbywam tych, co mi szkodzić chcś... Nie dałem ani półsłowem żadnym pobudki do tego... nie winien jesieni. Mamże dla popełnionej zbrodni wyrzec się jedynego człowieka, któremu zaufać mogę, w którego wierzę serce?
...

A zatrzymacie go przy sobie odparł Suchywilk to was o współnictwo czynu obwinia.

Król zmilczał dumnie.

Wkrótce potem ks. Jan odszedł, a Kamirz pozostał sam oczekując na Kochana, którego powrotu się spodziewał.

Nadszedł winowajca z pokorą rzucając się do nóg królewskich, objął je wzruszony.

Przebacz mi, panie najdroższy... leż usłużył, złym jestem sługą! Przyznaję się... tak, ja sprawca. Zadorowie spełnili,

co im polecił... Nie odpędzajcie mnie od siebie, panie, bo bez was życie dla mnie niewarte nic... Nie odpędzajcie!

Król mu rękę milcząco na ramieniu położył.

Będę pokutował, zmażę tę winę wołał Kochan odprawię pokutę, jakś włożysz na mnie. Mężobójcą zostałem... tak, lecz ten człowiek ostrzeżonym był, na was się rzucił, poniósł karę, na jakś zasłużył...

Drżący głos Kochana ucichł.

Jutro do Poznania w drogę odezwał się król, swym zwyczajem nie chcąc odpowiedzieć ani rozprawiać o tym, co mu dolegało.

Kochan wiedział już, iż odpędzonym nie będzie, podniósł się z ziemi uradowany, pocałował kolana królewskie, twarz mu się wyjaniła...

Nie było mowy ani o Baryczce, ni o klęstwie...

Wybierano się nie piąć noc całą w podróż; król zabierał znaczniejszą część dworu swojego, łowiectwo całe, choć miał drugie w Poznaniu, mnogich komorników, konie, wozy i oddział znaczny rycerstwa.

Na biskupstwie tymczasem gotowano się uroczycie, z całym ceremoniałem kocielnym, w katedrze na Wawelu wyrzec to anatema na króla, które, w rozumieniu biskupa, od narodu go miało oddzielić, zmusić do pokuty i pokory...

Bodzanta, pod wieżym wrażeniem męczeństwa swojego ulubieńca, nie chciał ani zwlekać z tym, co za konieczne uważał, ani sobie dawał odradzać...

Niektórzy kanonicy pokornie mu przedstawiali skutki tego kroku wstpliwie a dla Kocioła mogłoby być uciśnliwymi. Biskup słuchać ich nie chciał. Sam on, otoczony duchowieństwem, miał wyrzec to straszne anatema na pomazańca Bożego.

Dzień trzeci po tym był wyznaczony, jak gdyby królowi dano jeszcze jedną dobę do opamiętania.

Bodzanta gotów był miłosiernym być, lecz warunki zakreślił ciężkie i upokarzające...

Wiedział, iż na Wawelu nie jest tajnym, co się u niego uchwała, bo nawet najskrytsze rady natychmiast tam jakimi nieodgadzionymi drogami przechodziły, Tak samo on miał służyć swe na dworze i nazajutrz rano, gdy cały zastęp rycerstwa, dworzan, wozów, czeladzi, komorników ciśnął jeszcze na pół upionymi ulicami Krakowa, kapelan przybył oznajmić ks. Bodzancie, iż Kamirz do Poznania wyjechał.

Dodawano, że Kochan, który się nawet nie schronił i od dworu nie został odepchnięty, jechał z królem razem... Było to jeszcze jedno wyzwanie, jeszcze jedno więcej lekceważenie. Gniew się wzmógł...

Chciał sam tego! zawołał biskup podnosząc się z łoża niech się spełni wola Boga i jego żądanie. Zobaczymy, kto w Rzymie mocniejszym jest, król, ks. arcybiskup czy pasterz krakowski...

Nazajutrz znowu tłumy ludu, zwabione rozpuszczoną wieścią Zawczasu, że biskup króla klęć będzie za utopienie Baryczki, cisnęły się do kocioła, zaległy ulice i podwórza,

Z okazałości wielkiej, z krucyferym, z dostojnikami kapituły, poważny starzec wyjechał z dworca swego do katedry na Wawelu...

Kocioł był przepelniony, lecz ani jeden z wyższych Urzędników królestwa, ani jeden ze dworu Kamirza nie ukazał się w nim. Czeladź nawet, na zamku pozostała, schroniła się do swoich szop i komór. W dziedzińcach pusto było i jak wymarło... Drzwi znikome pozamykane na kłody, żywej duszy przy nich.

Neorzą tylko, Otto ze Szczekarzewic. Pszonka, Janina i ludzie tego obozu przyszli słuchać okrutnej klętki kocielnej i patrzeć na rzucane i łamane wiece, na ten obrzęd straszny jak spełnienie mierci wyroku, gromy jak katowanie zbrodniarza.

Rozległo się anatema... zaparto drzwi kocielne, biskup powrócił do dworca swojego.

Zdawało mu się, że wszelkie życie ustać powinno było w Krakowie, że płacz i jęki rozleć się po nim miały, że kirem i popiołem ludzie się pokryją... Tymczasem powszedni żywot bez żadnej zmiany widocznej płynął trybem swoim dalej, a Wierzynek zagadywany przez ciekawych odpowiadał głowę spuszczając, że sprawa między królem i biskupem w Rzymie się rozśdzi i złagodzi.

Dzi więc nie była to już walka między Kociołem i władzą wiecką, lecz prosty spór Kamirza z ks. Bodzantem.

Za taką już uważano. Czasy się wielce zmieniły...

KSIĘGA CZWARTA

Lat trzy upływało od opisywanych wypadków.

W domu niegdy Kuby winiagłowy, a dzi po zgonie jego i niegdy pięknej Agaty z Opolą należycym do piękniejszej od niej Baki, żony Fryca Matertery, wiele się rzeczy zmieniło na lepsze.

Była to niegdy gospoda wesela, gniazdo dostatków, miejsce Ulubione tych, co się zabawiać lubili i ochoczo spędzać wieczory przy dźwięku muzyki, w plłsach, a często zabawnej paplaninie miejskich trefnisiów, dla których tu drzwi stały otworem.

Żywot już obfity w wypadki pięknej Baki, od ożenienia, po którym ona sobie obiecywała królowanie nad mężem i domem, a używanie wiata po swej myli, uległ niespodzianej przemianie, również jak ona sama.

Dziewczęciem była trochę szalonš i lekkomylnš; zdało się, że zamężna niewiasta spoważnieć mogła i uspokoić się. Lecz zamšzpójcie za Fryca zupełnie nadzieje jej zawiodło. Za życia rodziców jeszcze jakkolwiek godziło się i porozumiewało małżeństwo młode, chociaż między nimi miłoci nie było. Fryc żenił się dla pieniędzy, Baka szła za mšż, aby wiatu okazać, że piękny, młody chłopak mógł się z niš ożenić, choć jš ludzkie nielitociwe szarpały języki.

Okazało się wkrótce, że Fryc ów, którego przeznaczeniem było ulegać i słuhać, cale nie ma ochoty pani swej zachcianek spełniać, że miał swojš wolę a przebiegłość niezmiernš. Nim wybuchnš z buntem otwartym przeciwko Bace, zaplštał naprzód tak jej majštek, domy, dworzyszczca i sumy, które miał winiagłowa u rożnych ludzi, tak mienie żony umiał zręcznie na swoje poprzerabiać, iż co on miał przez nie być jej niewolnikiem, ona w jego zależnoci się znalazła.

Oprócz tego piękny Fryc, sam bałamut majšcy miłonice z dawnych czasów, żonie ani się bawić tak swobodnie, ani białych zšbków wyszczerzać nie dawał. Gdy wkrótce jako po mierci jej rodziców obojga dawny domu i Baki przyjaciel, reniawita, zajechał do nich i gospodš chciał stanšć, Fryc, który o przeszłoci żony swej dobrze snad był uwiadomiony, okoniem stanšł,

Rozparł się w boki wzišwszy we wrotach i wręcz pięknemu panu powiedział, że go w domu swym znać nie chce,

Baka u okna wołała na przekorę, że dom do niej należy i ona gospodę w nim ofiaruje, on miejsc się przeczył i chciał sam panem w domu być.

reniawita wpadłszy w ten spór małżeński z poczštku mieć się chciał, potem splunšł, Bace całusa od ust posłał, zawrócił od wrót i gdzie indziej na miasto pojechał. Miał tam przyjaciół dosyć.

Między małżeństwem rozpoczęły się kłótnie i spory nie ustajšce. Fryc zawsze wesół, dobrej myli, żonie prawil niemile prawdy, ona go od ostatnich słów łajała i płakała. Więcej daleko brała do serca to wszystko niż małżonek.

Ten z dawna mieć musiał osnute plany i szedł z obrachowaniem do celu.

Babę powiadał krótko trzymać trzeba. Ona za wcale być trzymanš nie chciała.

Powstała wojnš otwarta, z której piękna Baka wyszła zwyciężona. wiat jej zbrzydł, ale i ona nagle jako brzydneš zaczęła i długa jej młodoć od razu, jakby cięciem jednym, się zawarła. Włosy naprzód wypadać zaczęły, potem zęby, poźółkła biała twarzyczka, a im jš mocniej malowała, tym okrutniej ciemniała i marszczyć się zaczęła brzydko.

Oczy gaśły, schudła... wiat jak zwykle rachujšcy się tylko z teraniejszociš, zobaczywszy jš tak zbiedzonš, odsuwać się poczšł. Prawda, że Fryc gocinnym nie był do zbytku; muzyki ani chciał znać, trefnisiów kolanem za drzwi wypędział, a prózniakom próżne kubki stawiał.

Osamotniona biedna Baska, której Pan Bóg odmówił jednej pociechy mogšcej osłodzić życie, bo dzieci jej nie dał, płakała po dniach całych. Fryca te łzy gniewały, a nie rozczulały.

Miał czasem takie szyderskie pogadanki o skaczšcej kozie i tym podobne, które gniew żony i łzy podwajały.

Sam za on był jak z kamienia. W miecie się zabawiał, nic sobie powiedzieć nie dawał, wesół był, obojętny i w domu, do którego wcisnšł się przybyszem, panował...

Nic też dziwnego, że na próżno szukajšc sobie pociechy, piękna Baka znalazła jš dopiero w nabożeństwie i modlitwie. Jak we wszystkim i w życiu całym namiętna była zawsze, tak i pobożność jej, gdy się raz na niš zaniosło, stała się niepohamowanš a goršczkowš. Dawniej ludzi brała przebojem, teraz tak samo cisnęła się do Boga.

Rozpoczšwszy pokutę nie miała w niej miary. Zmieniły się zaraz suknie owe szyte i bramowane na długie czarne, szare i brunatne, prawie mniszego kroju.

Miała klejnotów dosyć, które jej własne były, a Fryc na nie zęby ostrzył; na złość jemu, jedne pooddawała do kociołów, drugie posprzedawała na ofiary, a perłami najliczniejsze ornaty szyła do Dominikanów. Może też na przekór mężowi mnichów zaczęła zapraszać gromadnie do domu, a że tych mšž jej, bez narażenia się całemu duchowieństwu, pozbywać się ani le przyjmować nie mógł, było ich zawsze kilku przy obiedzie i wieczorem. Resztę dnia sama Baka spędzała po kociołach.

Było to jej jedyne nad Frycem odniesione zwycięstwo i przyznać potrzeba, że plac boju wybrała tak, iż mšž na nim całš swš siłę stracił.

Wprawdzie uciekał z domu, lecz tym sposobem jej oddawał nad nim władzę. Rozpucił się w końcu Fryc i powiadano, że się napijał. Ona teraz mu nauki dawała, nie tylko sama, ale umiała tak swych dominikanów nasadzić nań, że choć mówili zawsze o rzeczach niby obcych, dalekich, Frycowi do żywego dopiekali.

Jak dawniej uczy, tanów i wesela, plšsów i muzyki bez Baki nie było, tak teraz nie obeszła się bez niej procesja żadna odpust, nabożeństwo, żadne piewy kocielne, żadna uroczystość

doroczna. W domu najcilejsze posty, przeciw którym się Fryc obawiał występować, szczególnie dla niego były zachowywane.

Matertera, który jej wszystko zagrabił i życie zatrął, w końcu sam zaczął na duchu upadać, życie mu obmierzło. Jej za z tym nowym trybem wcale znonie było.

Przekonała się naprzód, iż w czerni było jej do twarzy i trochę dawnego wdzięku wróciło; potem ludzie, nawrócenie jej, teraniejszy statek i pobożność oceniając, co wprzód strony męża brali, teraz wszyscy mówili za niś, Fryca znajdując winnym...

Przodowała też gorliwociś swojś innym kobietom, a pobożność była dla drugich przykładem, którego docignść nie mogli. Codziennie leżała krzyżem w kociele przynajmniej w czasie jednej mszy, w czasie innych klęczała... W czasie procesji wypraszała sobie na ramiona najcięższy krzyż, pod którym się ugiwała. Wdziewała różne suknie tercjarskie, pielgrzymowała od kocioła do kocioła w zimie boso; stacje w post odbywała na kolanach...

Wszystko to jeszcze jej nie starczyło; raz wszedłszy na tę drogę, znajdowała, że ciało swe jeszcze powinna była srożej kanić, że ludzie wszyscy nadto wiatowymi sprawami byli zajęci, a Bogu służyli chłodno i opieszale.

Nawet żywot ascetyczny i surowy mniszek, które odwiedzała w Nowym Sšczu i po innych klasztorach, wpraszając się do nich na dni czasem kilka, jeszcze jej nie zaspokajał.

Wymyślała osobliwe męczarnie, biczowała się krwawo codziennie, ciskała paskiem wpijającym w ciało, nie zrzucała włosienicy.

Te religijne praktyki wprawiały ją w stan odurzenia, upojenia jakiego, zapалу, który czasem łzami, niekiedy miechem dziwnym, serdecznym wybuchał.

Nigdy pokuta za grzechy nie była jawniejsz i przykładniejsz... Sama ona spowiadała się z przeszłości swej, opowiadała bijąc się w piersi sprawy, o których nikt nie wiedział, a że to przy mężu czyniła, nieraz bolenie go tymi spowiedziami publicznymi raniła i upokarzała.

Dom przybrał wcale nowš postać; znikły z niego powoli kosztowniejsze i piękniejsze sprzęty rozdarowane kociołom, po—

sprzedawane, wyrzucone jako grzeszny zbytek, natomiast ciany się przybrały w rozmaite godła, obrazki i wyobrażenia religijne. U każdych drzwi wisiała kropielnica, w każdej izbie stał krucyfiks; w sypialni jawnie rozłożone były narzędzia do poskramiania i trapienia grzesznego ciała, rozmaite dyscypliny, pasy itp., a klęcznik był umylnie tak urządzony, ażeby kolana ranił.

Fryc na to wszystko patrzeć nie mógł i życie mu coraz bardziej brzydło, tak że z domu uciekał. Nie mógł jednak żonie zabronić starać się w ten sposób o zbawienie duszy i odpokutowanie za grzechy.

W tym wszystkim więcej było pewnie fantazji niż skruchy i ta sama chęć popisu z pobożnościś, jaka dawniej piękność Baki głoniś czyniła.

Zwolna jednak te namiętne praktyki wpłynęły na ducha, i co było zrazu dziwactwem może, stało się potrzebš dla nieszczęśliwej, która znajdowała pociechę i uspokojenie w tej pokucie.

W końcu trzechlecia tego nie tylko piękna Baka uległa wpływowi ducha czasu, który powoływał do tak surowego kajania za grzechy. W krajach sšsiednich i w Polsce pršd ten, religijna egzaltacja, dawała się czuć ogólnie.

Wielkie klęski, które tysiącami trupów zasypywały cmentarze, głód, mór straszliwy, wylewy wód, dziwaczne zmiany w powietrzu, zdajšce się kolej pór roku zmieniać i grozić ludzkoci zagładš duchowieństwo wszędzie ukazywało jako karę za grzechy, jako przestroę i napomnienie ku poprawie i pokucie.

Ziarna religijnego zapału, egzaltacji, w przeszłych wiekach zasiane, na nowo bujnie kiełkować zaczęły.

Nadzwyczajne klęski wymagały nadzwyczajnych rodków przebłagania zagniewanego bóstwa. Trwoga niemal obłskiwała umysły. Niektóre z nich miały widzenia, objawienia, natchnienia jakie, które zdawały się odpowiadać powszechnej ducha potrzebie.

Kocielne procesje błagalne z pokutnikami w kapach i kapturach, biczujšcymi się publicznie, zrodziły wkrótce dobrowolne gromady biczowników, które znalazły wodzów i wyrzekajšc się życia, rodzin, wszystkich węzłów łšczšcych je ze społeczeństwem, poszły krwiš się oblewajšc wołać wiat o nowych apostołów jakich majšcych go odrodzić.

W Polsce klštwa rzucona na króla, chociaž nie sprawiła może tak piorunujšcego wrażenia, jakiego się spodziewano, bo nie rozcišgnęła się pono dalej nad krakowskš diecezję, takže umysły zaniepokoiła.

Kocioły stały pozamykane, obrzędy uroczyste umilkły, ludzie się trwożyli, obawiajšc za ten brak chwały Bożej kary Boga.

Obwiniano króla oskarżajšc o morderstwo, duchowni nie oszczędzali go przepowiadajšc nowy mór, głody, szarańczę, która juž była nawiedziła Czechy, najcie pogan itp.

Król czynił wprawdzie kroki do pojednania z pomocš arcybiskupa gnienieńskiego, lecz Bodzanta więcej się domagał, niž powaga Majestatu mogła ofiarować; przedłužał się więc spór między Kociołem a Kamirzem, nie hamujšc całkowicie życia, ale je łamišc i utrudniajšc.

Wierni i pobożni za grzech króla co dzień pokutować musieli, nabożeństwa odprawiały się wyjštkowo, cicho, na každš posługę duchownš wyjednywać było potrzeba osobne pozwolenie jako łaskę.

Trwało to zbyt długo, a sprawa w Rzymie, popierana ze stron obu, dotšd rozwišzanš być nie mogła. Sam król był niš znużony i rad był ofiarš znacznš przejednanie zyskać; lecz spór się zajšrzył, a ludzie korzystali z niego dla siebie i zgodę utrudniali.

Znaczna część duchownych z innych diecezji nie opuciła wprawdzie Kamirza, kapelani odprawiali nabożeństwo na zamku, lecz gdziekolwiek król zatknął się musiał z władz biskupią, odpychano go, znać nie chciano jako wyłączonego i wyłączzonego.

Arcybiskup i siostrzan jego pracowali gorliwie nad przejednaniem, król znużony był, a Bodzanta czując, że stał się potrzebnym, coraz bardziej był wymagajścym.

Łatwo pojsć, iż stan ten kraju przyczynić się musiał wielce do religijnej] egzaltacji.

Te milczące dzwony, te zaryglowane wielkie drzwi kocielne, pogrzeby bez piewów, chorągwi, obrzędów wszelkich, ciche

msze, odprawiane po ustronnych kaplikach, utrudnienie chrztów i wesel trwoę siało w sercach,

Ostyglejsi ludzie mogli się wprawdzie nauczyć obchodzić bez tego, czego im odmawiano, lecz gorętsze duchy tęskniły, niepokoiły się, trwożyły o zbawienie.

Niedawno przebyty w Krakowie mór, który jak miecz mciwego anioła przeszedł tysiśce zabierajśc ofiar, stał jeszcze na myli i w pamięci, jakby znowu miał powrócić. Rozsiewano wieci, iż się wznowił w niektórych miastach.

Niepokój więc panował wszędzie z każdš chwilš rosnšcy. Jednš z prorokiń zagłady i pomsty Bożej była ta nigdy płocha, dzi w goršczce coraz się potęgujśccej pokutujšca Baka.

Z rozplomieniem religijnym łszczyło się w niej męstwo wielkie, z którym porywała się na najmielsze kroki, wciskajśc się wszędzie i wywołujśc to, do czego, jak mówiła, czuła się natchnionš.

Wpadła tak raz na zamek do Kochana, potem do króla, ubrana w habit tercjarski, z paciorkami i krzyżem, groźš im, wyrzucajśc zbrodnię i opowiadajśc, że posłanš była do nich, aby do pokuty ich nawoływała.

Wiek to był pobożności jeszcze nie nadwerężonej niczym; ci nawet, co mniej byli usposobieni do niej, mieli jš w głębi duszy, wiara zachwianš nie była, więc i taki głos niewieci zostawiał wrażenie po sobie.

Król wysłuchał napomnień milczšco... posmutniał; Kochan przez długi czas chodził strwożony i ofiary na kocioły, jakie czynił od mierci Baryczki, podwoił.

Jednego wieczora w domu Fryca Matertery, w którym on się mało pokazywał, gospodyni sama przyjmowała zwykłych swych gości. Siedział za stołem tylko co przybyły przeor ks. dominikanów, Tomasz, pobożny tegoż zakonu kapłan Ireneusz, a tuż obok jeden z wikariuszów kocioła Panny Marii, młodszy od nich, lecz wielkiej pobożności i nauki ks. Paweł z Brzezia.

Gospodyni, która siebie karciała najsroźszymi postami, dla ojców duchownych nie tylko była pobłazajšca, lecz starała się ich jak najlepiej ugocić. Przynoszono więc misy i flasze, a Baka

nie siadajśc do stołu posługiwała ojcom, podajśc im w miejsce sługi wodš do mycia ršk i ręczniki,

gdy ks. Paweł, mężczyzna suchy, wysokiego wzrostu, twarzy pociśgłej i długiej, wyciśgnął duży, biały z kocistymi palcami rękę i odezwał się do przeora Tomasza:

Słyszeliście, ojcze, o biczownikach?

Ks. Tomasz, siwy, otyły, ciężki, z twarzą okrągłą, dosyć wesołego wyrazu, ocierał właśnie pot z czoła, bo się to działo na poczstku lata i dnie były goršce.

Spojrzał na mówiącego zdziwiony nieco i zapytał:

O jakich?

Głono już o nich po całym wiecie odparł ks. Paweł a mówił, że i u nas od granic się zjawili i w niektórych miastach gmin za sobą wielki ciśgnął. Tylko co ich nie wida w Krakowie.

Ks. Ireneusz, błydy i chudy, pokaszlujący mnich, którego oczy żywo biegają bystry umysł zdradzał, pokręcił głową, jakby wstpliwoc pewną okazać chciał i niewiarę.

Baka trzymając jeszcze nalewkę i ręcznik, mając już odejć, zatrzymała się ciekawie. Wejrzenie jej skierowało się ku ks. Pawłowi z prośbą goršcą.

Biczownicy? spytała.

Tak, pokutnicy biczujący się... i przebiegający wiat o zebrany chlebie, a wołający grzesznych do pokuty.

Wszyscy umilkli, ks. Paweł zamilkł też na chwilę. Zjawisko to wielkiego znaczenia dodał zadumany. Przebrała się grzechu miara, czujš wszyscy, że życie zmienić potrzeba. Bóg zsyła natchnienie na małych, ubogich, biednych, tak jak apostołów swych z gminu wybierał... Cuda o nich opowiadajš...

Baka postawiła dzban, rzuciła ręcznik i ze złożonymi rękami zbliżyła się do ks. Pawła.

A! mówcie! mówcie zawołała. Serce mi uderzyło. To palec Boży... Pokuta publiczna, chłosta dobrowolna..., nędza i głód... nowy zakon... nowi apostołowie!!

Ks. Paweł się zmarszczył.

Nowego zakonu być nie może ani nowych apostołów potrzeba zawołał kwano cała prawdę i wszelką naukę przyniósł Chrystus... ale mymy jej do serc nie wzięli ani czstki, spełniamy z niej tylko to, co najłżejsze.

Przeor i ks. Ireneusz milczeniem to potwierdzali.

Gdzież są? skąd idš? będę szukać tych świętych pokutników! zawołała gospodyni, żywo następując na ks. Pawła.

Wtem Ireneusz odezwał się cichym głosem, prędko płynącymi z ust słowy:

Powoli, powoli! Niech no Kociół się W tym rozpatrzy, przekona, czy w tej pobożności nie tkwi herezja jaka.

Baka stanęła zdumiona.

Ojczy mój! poczęła a jakaż może być herezja, co grzesznego w pokucie? Im ona sroższa, tym Bogu miłsza! Ks. Ireneusz ręką przebierał po stoliku.

Ciemno w tym, ciemno rzekł a póki się to nie zbada, nie rozpatrzy, ostrożnym trzeba być, aby zamiast Bogu służyć, nie poszło się w więzy szatańskie.

Głone podniósł palce i gospodyni zamilkła, lecz widać było, że gorączkowa ciekawość paliła ją.

Ks. Paweł z Brzezia usiadł tymczasem przy stole... Miał widać litość nad niewiastą.

Gdzie się to zrodziła ta pokutnicza.. Sekta poddał ks. Ireneusz.

Sekta czy towarzystwo, Bóg to wie cięgnął dalej ks. Paweł lecz razem gruchnęło o niej znad Renu, i z Węgier, i od Włoch... Gromady ich przebiegając sąsiednie kraje, weszły i do nas. Niektórzy duchowni otwierają im kocioły, inni podejrzenia mają.

O co? spytała gospodyni.

O to, com rzekł wtrącił ks. Ireneusz że sektą są. Nasz zakon właśnie powierzone ma sobie badanie herezji wszelkiej, tej zjadliwej rdzy, która się czepia łatwo umysłów słabych a żywych... Inkwizytorowie o tym wyrzekli.

Przeor, który zmęczony nic dotąd nie mówił, rzekł głosem cichym, przerywanym oddechem ciężkim:

Tak... tak... wszystko trzeba baczenie roztrząsać... Diabeł nie pi.

Gospodyni słuchała z uwagą wielką.

Przebaczcie mi, ubogiej na duchu odezwała się ale jakże błęd być może w surowej pokucie? Ks. Ireneusz z umiechem odparł:

Wiele by o tym mówić trzeba... a ja, duszyczko pobożna, jedno tylko powiem. Gdzie kapłana nie ma, jako przewodnika, tam się łatwo ludzie obłąkać mogą. Tu za, pomiędzy tymi biczownikami, o kapłanach nie słyhać. Jacy nieznajomi, nie więceni, samozwańczy wodzowie prowadzą te gromady. Niewiasty i mężczyźni różnego wieku idą po społu, żyją po społu... hm! hm! nie zdaje mi się, by to czysta sprawa była...

Gospodyni zadumała się nieco.

Grzesznica jestem rzekła wielką i niegodną łaski Pana... niewiadomą rzeczy wielu, ale mi się ta

pokuta publiczna, to życie jej oddane całe, ta krew broczsca gocińce nieprawoci, wydaje tak piękńš!
tak piękńš!

Przeor się zmarszczył,

O! o! przerwał gotowa sama pójć z nimi! Baka chwyciła się z siedzenia i krzyknęła:

A! tak... niech się zjawiš tylko! rzucę wszystko... nie wytrzymam, pójde!!

Księża spojrzeli po sobie, ks. Paweł zamilkł i chcšc rozmowę odwrócić wtršcił, iż wieć chodziła, że wkrótce król miał ulec i klštwa zdjęta będzie, a kocioły otwarte i dzwony zabrzníš znowu.

Gospodyni słuhała dosyć obojętnie.

Król rzekła, bynajmniej nie okazujšc sromu znam go dobrze! wszak szatan mnie był zawiódł ku niemu, a raczej ten człek, zbójca, który tyle dusz niewinnych pogubił, zausznik jego, Kochan... Znam ich obu. Król w duszy dobry jest, litociwy, ludzki, ale do Bożych rzeczy chłodny... Nawrócić by go można, gdyby; się dał poruszyć... Jemu życie i wszystko obojętne...

Bo nadto używał rzekł ks. Ireneusz.

Wszystko z tego popłynęło dodała Baka że syna nie ma i nie spodziewa się; to mu życie struło i odebrało do niego ochotę.

Włanie tš bezpotomnościš karze go Bóg rzekł ks. Paweł za to, że sromotny żywot prowadzi...

Gospodyni ze spuszczoneš głowš słuhała tych wyroków, leciuchny rumieniec przesunšł się po twarzy zwiędłej, jak jakie przeszłoci wspomnienie.

Winien on, tak, tak poczšł otyły przeor ale zausznik winniejszy. Ten jest kamieniem obrażenia, ten wszego złego sprawcš... ten...

Baka już myłš być musiała gdzie indziej i spytała:

Sš już u nas gdzie ci biczownicy? Ireneusz się umiechnšł.

Bšd spokojna, duszyczko moja rzekł trochę szydersko nie minš oni Krakowa...

Bogdajby westchnęła Baka.

Gdy to mówili, półmiski stygły i ks. przeor okazał ruchem ręki, że rad by poczšć wieczerzę. Gospodyni przybliżyła mu mięsiwo i wychudłymi ršczkami poczęła kubki nalewać.

Ks. Paweł, oczyma się porozumiawszy z towarzyszami, zagaił inny przedmiot. Z poszanowaniem go słuhałšc gospodyni widocznie o czym innym mylała. Zatopiona w sobie, roztargniona, machinalnie posługujšc gociom dumala nie odzywajšc się prawie; biczownicy ci z myli jej nie schodzili.

Wśród tego milczącego Krakowa, który klęstwa przez biskupa rzucona okryła żałobą, jednego dnia letniego powstał ruch nadzwyczajny.

W rozmaitych miasta dzielnicach, z niewiadomej przyczyny, ludność rzuconym słowem jakim poruszona wybiegła z domostw, wyglądała z wrót. szła ku czemu niewiadomemu i pierzchała strwożona.

Niektórzy palcami ukazywali w dal, inni bojaliwie poszeptawszy z przechodniemi, do domów zbiegali, zamykali wrota. Ciekawość i trwoga malowały się na twarzach wszystkich.

Przed kociołem ks. Dominikanów stał ksiądz przeor w towarzystwie ojca Ireneusza. Oba mieli na sobie płaszcze jak do wyjścia, lecz zdawali się wahać, czy wyruszą lub zatrzymają się

w miejscu.

Nie mamy po co pieszyc ani ic przeciwko nim mówił

ks. Ireneusz. Grzeszna to sprawa, której z miasta i kraju potrzeba się pozbyc co najprędzej. Chociaz naszemu bratu, ojcu Rainierowi, przypisujš, że on pierwszy do tej pokuty wołał i onych biczowników stworzył, ja nie wierzę, aby Tomaszowe dziecię herezję takš ukuło... Ludzie li wzięli mył dobrš i wypaczyli jš.

Przeor zamruczał co, niespokojnie się oglšdajšc.

Rainier nie Rainier przemówił wzdychajšc, jakby mu ta cała sprawa wielkš przykroć sprawiała niedorzeczność jest... Ludzie się tego morowego powietrza ulękli...

Jużci, niezaprzeczenie to kara Boża odparł Ireneusz ale i to kara, gdy herezja nowa wyrasta... Nowš sobie wiarę chcš tworzyć! Kto? szaleńcy jacy!... Już lata bodaj trzy temu, gdy ojciec więty potępił ich.

Mymy się dopiero o tym dowiedzieli, no i biskup też wie... rzekł przeor. Nie dadzš im tu popasać, rozpędzš.

Oni sami dłużej nigdzie nad dzień nie popasajš odparł ks. Ireneusz.

Chodmy popatrzeć na to dziwowisko rzekł przeor wzdychajšc. Wczoraj oznajmiono, że się tu włokš... już powinni być... Stanš pewnie w rynku...

Chodmy dodał ks. Ireneusz ale wnijdmy gdzie do kamienicy. Dostyc będzie patrzeć z dala, aby znowu nie powiedziano, że to dominikańska robota, a my z nimi trzymamy.

Do Wierzynka rzekł przeor tam nas przyjmš. Okien ma dostyc.

MówiŃc to, wolnym Krokiem poruszyli się idŃc ku rynkowi i przed się patrzc ciekawie. Ulice pełne były ciekawego ludu, lecz nie sama ciekawość tylko malowała się na twarzach: trwoga, niepokój, nieokrelone to uczucie, które opanowuje na widok spraw niezwykłych i niewytłumaczonych.

W naturze ludzkiej jest co, co jś czyni podległš wpływowi szczególniej uczuć goršcych i wielkiego zapału. Sš one w całym słowa znaczeniu zaraliwe. Człowiek od nich częstokroć broni się zrazu szyderstwem, zasłania niewiarš, ale w końcu siła dla niego niezrozumiała opór ten łamie, zwycięża i gdy tłumy przejmie ten ogień, a porwie i pochłonie, jednostki ulec muszš i dać się porwać pršdowi.

Zapowied tego widowiska, o którym juź dziwy głośili ci, co się z nim spotkali, a większe jeszcze ci, co tylko słyszeli o nim, słabszych napełniała bojaniš zwiastujšcš, że ono ich pocišgnie i pokona, że mogš, niewiadomi tego, co czyniš, rzucić domy i ić z tymi pokutnikami.

Chronili się więc i zamykali, lecz ciekawoć górę brała.

Wszystek ten tłum, który umylnie około Panny Marii i na rynku się gromadził, miał pozór wystraszonego i milczał. ciskano się i kupiono, jakby wzajem w sobie szukajšc obrony. Trwożliwie oczy zwracały się w stronę, z której się biczowników spodziewano, i zamykały z trwogš. Cisza grobowa panowała w cisku, ledwie szeptami i mruzeniem przerywana.

Nie tylko wiodšce do rynku ulice i chodniki pod cianami były przepełnione, ale okna wszystkie głów naciętych w nich pełne.

Niewiasty i dzieci przeważały.

Dzień był skwarny, powietrze duszne; chmury ciemne, ciężkie przecišgały po niebiosach zamglonych jakby oparem, a słońce, choć się rzadko przebijało przez obłoki, piekło okrutnie.

Gawied, która w ulicy nie mogła się pomiecić, gdzieniegdzie powdrapywała się na drabiny, przyległa do kominów na dachach.

Ks. przeor z Ireneuszem ledwie mogli się przebić przez cinięte gromady do kamienicy Wierzynka, a że im z miejsca ustę-

powano, winni byli tylko sukni swej, którš lud szanował. Po przejciu ich natychmiast znowu, jak rozpruta fala, lud się skupiał, a stojšcy w pierwszych rzędach, z obawy stracenia miejsc, z których lepiej widzieć mogli, bronili się milczšco całš siłš.

Przeor, który znużony był pochodem niezmiernie, oczy ociężałe podniósł ku oknom kamienicy,, do które] dšżyli. Nie zwiastowało się tu nic pomylnego: wszystkie były zajęte.

Pomimo to szli oba duchowni, nie majšc juź nic lepszego do czynienia, jak tu bezpiecznego szukać miejsca.

W sieniach domostwa natłoczono było nie mieszczanami, ale rycerstwem i ludmi, z których ubrania wnieć było można, iż do dworu należeli. Poznawano między nimi twarze królewskich sług.

Szeptali z ulicy patrzšcy, iż pono sam król się tyłami przesunšł tu, aby też widzieć tych pokutników, o których tyle rozpowiadano.

W istocie pilnie się przypatrujšc oknom izb przednich mieszkania rajcy, poza zasłoniš na wpół

spuszczonš, dostrzec było można strojów, twarzy, jakie w otoczeniu Kamirza znano. Ale król, jeli tam był, widzianym być nie chciał pewnie, stał zakryty, chociaż oczy ludzi wznoszące się ku oknu temu czuły go i odgadywały. Niekiedy zasłona drgała, ręka biała wysuwała się zza niej i nikła. Szeptano potrzącając się:

Król!

W tłumie dwojakię panowało usposobienie i względem króla, i dla spodziewanych pštników. Wszystko, co trzymało z biskupem i ocierało się o niego, szemrało i niechętnie spoglądało ku Kamirzowi. Wyrzucano mu wszystko złe, wszelkie klęski. Gorzej jeszcze niż przeciwko niemu mrużano przeciw dworakom i Kochanowi, piętnując go mordercš.

Tam, tam szeptali biskupi służy... przyszli patrzeć... zbóje, jak za ich grzechy musi lud pokutować... A co im?

Biskup wszakże, choć nie uczynił jeszcze żadnego kroku ze swej strony przeciwko biczownikom, wiadomo było, iż zamierzał co rychlej się ich pozbyć z Krakowa.

Z tego, co tu przyszło już na biskupstwo o pokutujących z Niemiec i Węgier, le ich sšdzono i duchowieństwo w ogóle potępiało mając za sobš bullę papieża Klemensa.

Ze Szwabii, ze Spiry, ze Strassburga ich powyganiano, starano się ustraszyć, lecz tłumy, mimo wyroków Kocioła, chciwie się łęczyły z tymi, których dobrowolne męczeństwo urok miało dla nich nieprzewyciężony. W każdym zadrgało co na widok tych krwiš oblużganych, bezdomnych, nędznych pokutników nie za swe, ale za grzechy wiata całego.

Obawiano się, ocišgano z gwałtownym wystšpieniem. Snuli się oni już po Polsce, a nigdzie nie cigano ich inaczej, tylko słowem z ambony i to dopiero naówczas, gdy już ich nie było.

Nie opodał od kamienicy, w której król miał się znajdować i księza do niej wnić się kusili, na chodniku stała w pierwszym rzędzie z twarž rozognionš, poruszona, niespokojna, nie mogšc chwili w miejscu wytrwać, znana miastu całemu Baka winiagłowy.

Na ten dzień odziała się stosownie w brunatnš suknię, krojem zakonnym, podpasanš prostym sznurem, z pacierzami wielkimi drewnianymi u pasa, zakończonymi trupiš głowš i krzyżem. Na głowie krótko postrzyżonej miała zarzuconš zasłonę, niegdy białš, lecz długim używaniem zbrukanš i poźółkš. Nogi bose, zapyłone, poranione, wystawały spod kraju sukni. W rękach miała dyscyplinę i krzyżyk. Stała już, jakby w gotowoci połšczenia się z tymi, o których od dni wielu marzyła dniami i nocami.

Nie sama była, bo z dawna miała swój dwór, który chętnie wszędzie jej towarzyszył. Były to babki żebraczki spod kociołów, ubodzy, kalecy i kilka kumoszek tak pobożnych jak ona, które karmiła i obdarzała wymagając od nich nawrócenia i pokuty.

Cała ta gromadka, jakby wydzielona z tłumy, bo się do niej niechętnie mieszała obcy, zwracała teraz oczy ciekawe. Szczególniej roznamiętnionš, głono wykrzykującš Bakę pokazywano sobie palcami, poszeptując, kto była, zwierając się sobie życia jej przygody.

To ta od winiagłowy, co za Matertera jš wydali, za Fryca szeptali niektórzy. Nażyła się ona, nażyła, dopóki jej księza nie nawrócili do pokuty. Jedził do niej reniawita, była i u króla, skakała i piewała, aż się na łzach skończyło.

O, piękna była! dodawali drudzy.

Jeszcze teraz nie szpetna, choć tak zestarzała rychło mówił inny. Ale jej teraz ani poznać... wszystko, słyszę, zmarnowali. Fryc pije, a ona, co ma, to do kocioła za grzechy wynosi.

Każdy jej ruch i słowo podawali sobie ciekawie.

Patrzajcie ino, a to nie jak pokutnica, ale jak opętana się rzuca!!

Poruszenie w tłumie od strony ulicy Grodzkiej w całym tym się zbiegowisku odbiło. Zaledwie zadrgał cisk ten z jednej strony, jakby pršd przebiegł po wszystkich... jedni w tył się cofali, drudzy naprzód parli, przypierano do cian, do wrót, kilka wykrzyków się wyrwało z różnych miejsc, głowy i ręce falować zaczęły, jak woda wiatrem rozkołysana.

Idš, idš! patrzajcie! idš!

Na palce podnieli się ciekawi, inni naprzód powyrywali.

Z dala, jakby piewy i jęki, słyszeć się dały słowy przecišgłe, stłumione, których boleciwy wyraz przejmował skargš i płaczem. Lecz nie widać było nic jeszcze, nic, oprócz ponad głowami tłumów tych gwarnych, na wysokim dršgu powiewającej krwawo choršgwi. Nie miała ona kształtu rydwanu kocielnego; była to płachta spłowiała juŹ, na której tle trudno było rozpoznać znaków jakich malowanych.

W dali za niš mniejsze szły kocielne choršgwie Źalobne z trupimi głowy i narzędziami męki Chrystusowej.

Zwolna musiał się posuwać pokutniczy ten orszak, gdyŹ nierychło tłum się rozdarł na dwoje i szeregi idšcy ukazali się biczownicy. Przodem postępował męczyzna atletycznej postawy, obnaŹony do pasa, z głowš i twarzš kapturem brunatnym okrytš.

Szedł wolnymi krokami i biczem, który w rękę trzymał, o czterech sznurach i Źelaznych hakach, smagał się Nielitociwie po plecach, juŹ krwiš zaschlš i wieŹo rozlanš spływajšcych.

Ta postać beztwarza, straszna, katowska, krocŹca powoli i w takt pieni chłoszczšca się Nielitociwie, była zjawiskiem tak przeraŹajšcym, iŹ ludzie bliŹej stojšcy cofnęli się krzyczšc, jakby się lękali, aŹeby ich nie pochwyciła.

TuŹ za tym wodzem szedł drugi męczyzna, równie zakapturzony, obnaŹony do pasa, bosy, z biczem w rękę jednym, w drugim niošcy zwitek pergaminu. Ciało jego, jak pierwszego, było smaganiem pokrajane...

Za nimi dwoma rzędami postępowali z sobš męczyzni i niewiasty, wszyscy prawie z nakrytymi

głowy, niektórzy z twarzami na pół odsłoniętymi, w półnędzy i bicząc się przy piwie jakiej pieni.

Brzmiała ona jak kocielna, jak psalm wielkopiśtkowy, jak żale gorzkie u Chrystusowego grobu, lecz niesforne głosy, jakimi jś nucono, ze piwem zmieszany płacz i jęki. chrzęst dyscyplin, szelest chorągwi powiewających nad głowami, zmieniały jś w jakś wrzawę dziką i odrażającą.

Nie było też powagi w tym pochodzie pokutniczym ani pokory, jaka by ludziom skruszonym przystała. Niektórzy z nich rzucali się jak opętani, rękami wywijali w powietrzu, nogami podrygiwali, wykrzywiali się i całym ciałem jak z bólu miotali.

Spod zasłon i kapturów gdzieśgdzie poodkrywane twarze miały wyraz osobliwego rozpasania, zuchwałoci, szyderstwa, upojenia; kobiety przechodząc groziły ciniętymi pięciami, mężczyźni dla uczynienia popłochu zataczali się ku gminowi, który z krzykiem od nich się cofał...

Razem jednak wzięty ten tłum w łachmanach brudnych, katując się, pijany jakim szalem, jęczący jakim bólem, czynił wrażenie, któremu oprzeć się trudno było.

Nie byli to pospolici ludzie, w stanie powszednim, w zwykłego życia pojęciach i nawyknięciach, ale co wyższego nad nich, a przynajmniej wyrzuconego z kolei spraw i uczuć wszystkich wspólnych. Z lekceważeniem jego obyczajów szli nie lękając się męczarni, mierci, niepomi na mc, wyżsi nad to, co di ugina drogim było i niezbędnym.

Pokrwawione ciała, poszarpane nogi, ręce zbroszone, same ich twarze zdziczałe, ziejące ogniem, ryczące pieniś, strach obudzały i podziwienie.

Z tłumów kilka krzyków się słyszeć dało... kilku odartych żebraków zaczęło się rwać ku nim zdzierając z siebie odzież i łścić z zastępem, który zwolna zmierzał ku rodkowi rynku, ciśgle piewając i chłoszcząc się ciśgle.

Naówczas można było się lepiej rozpatrzeć w zbiorowisku tym liczącym paręset głów a składającym się z najróżnorodniejszego żywiołu ludzkiego.

Chociaż twarze w większej części były pozasłaniane, na ciałach nagich czytać było można wiek, płeć i pochodzenie. Poczśwszy od zgarbionych starców, których barki kociste, z pomarszczoną skórą i żyłami nabrzmiałymi oplśtane, zdawały się, gdyby nie krew, wykopanymi z dołów cementarnych, do białych pleców niewiast młodych, do chudych i szczupłych ramion wyrostków, wszystko się tam razem mieszało w nieładzie jakim, upojeniu i rozognieniu, które nikomu nie dawało trzymać wyznaczonego miejsca pchali się, wymijali, smagali wzajemnie, cisnęli, rozszarpywali... Niektóre z niewiast, obnażone zbyt i jakby umylnie odarte z odzieży, chlubiły się zarówno krwiś na plecach, jak młodymi kształty ciała.

Wśród pochodu z pieniś do rodku rynku działy się rzeczy niespodziane a gorszące. Idący na końcu szeregów chwyтали ze straganów żywność, porywali, co napadli, inni rykiem straszyli dzieci, inni za suknie ciśgnęli stojących bliżej, chcąc ich zabrać z sobą.

Pierwszy tylko rzęd idących zachowywał się z pewną powagą... reszta rozpasana była i swawolna...

Zakapturzony wódz stanął wreszcie w rynku, około niego poczęły ustawiać się chorągwie. Człek, który zwitek trzymał w ręku, odrzucił kaptur zupełnie i spod niego ukazała się głowa ogolona, z oczyma wypukłymi, z twarzą żółtą, usta niepomiernie szerokimi. Gdyby nie strój i nie miejsce, jakie zajmował, najłatwiej by go wziąć było można za jednego z tych wierszokletów

weselnych lub trefnisiów, do których był podobny. Zarazem jednak przypominał klechę i bakałarza.

Na policzkach, koloru żółci zaprawnego, dwie ceglaste plamy odbijały jak malowane.

Na dany znak podniósł on rękę do góry, w której papier trzymał, potrząsnął nim i zakrzyczał:

Słuchajcie! Słuchaj, ludu pobożny!

Ze wszystkich stron ciekawi zaczęli się zbliżać i naciskać ku niemu popychając i wyprzedzając. Szmer i wrzawa ustały, pokutnicza pień powoli ucichła, skończył się ostatni, a wielu z tłumu poczęło padać na ziemię, jedni na kolana, drudzy twarzami w proch, inni jakby do snu się układając a nagimi poranionymi plecami uderzając o kamienie. Bólu nikt z nich czuć się nie zdawał.

Gdy cisza się stała dokoła, ten, który zwitek trzymał w ręku, rozsunął go, przybrał postawę naladując księdza na kazalnicy i głosem to jęczącym, to krzykliwym, to podniesionym beżmiernie, mówił patrząc po stojących dokoła:

Słuchaj, ludu pobożny! Słuchajcie wierni Chrystusowi! Oto do was przychodzimy, jak niegdy apostołowie, z nowiną dobrą, z ewangelii nową. Albowiem wiat miał być ogniem zniszczony, morem wytępiony za grzechy straszne, za winy mnogie, aż oto, widząc Chrystusa zagniewanego i pomstę zawieszoną nad ziemią, przypadła doń Matka Jego, przyszli z błaganem więci Pańscy i prosili o miłosierdzie...

I jęczeli, a łzy leli trzy dni i trzy noce całe, aż ulitował się Chrystus i przez anioła, posła swojego, zaniec kazał list do kocioła w. Piotra w Jeruzalem...

To mówiąc, kartę nad głowę rozwinął, podniósł i potrząsał nim.

Wziął ją potem przed się do oczów i znowu mówił, jak gdyby z niej czytał:

Ja, który jestem żywotem i miłością, panem i sędzią, stwórcy i odkupicielem waszym, prawem i słowem prawdy, mówię do was, abycie się kajali, a krwi waszej, która z moją połączona zostanie na zagładę grzechów, zmaszali przewinienia.

Rzućcie domy i rodziny wasze, dzieci swe i rodziców, małżonków i żony, wyrzeczcie się mienia wszelkiego, wemijcie bicz w dłonie wasze i idcie głosić pokutę i wyzwolenie wiatu po gocińcach, po osadach, po wsiach i gdziekolwiek ludzie w grzechu leżą...

Będziecie się. bez litoci i bez przestanku biczowali przez dni trzydzieci i cztery, tak jakom ja tyle lat w mizernym ciele ludzkim żył dla was... A nie będziecie mieszkać pod dachami ani spoczywać, ani dłużej trwać nad jeden dzień na każdym miejscu.

I stanie się, że ktokolwiek z was przed drugim z grzechów się swych wypowiada, temu odpuszczone bądź, albowiem wszyscy krwiś swś namaszczeni będziecie na kapłaństwo i co rozwiśzecie, rozwiśzanym zostanie...

Gdy tych słów doczytywał czy domawiał pokutnik, pomiędzy słuchaczami, wśród których byli duchowni i klerycy, powstał cichy, ale wyrany okrzyk zgrozy i podziwu.

Szmer nie dał mu czytać dłużej i wkrótce potem zakapturzony wódz zanucił pień, a za nim porwawszy się z ziemi inni zaczęli piewać, cisnś się znów i ić, chociaż prowadzcy nie wiedział jeszcze, dokśd się skieruje.

W wielu miejscach duchowieństwo naprzeciw nich wychodziło z procesjami i chorśgwiami, prowadzono ich do kociołów. Spodziewali się może i tu tego samego przyjęcia, lecz rozkazy były wydane, podwoje kociołów pozamykane, duchowni nie chcieli brać udziału w praktykach tych sekty nowej.

Zakapturzony rychło zrozumiał, iż miał do czynienia z tłumem ostygłym, ostrzeżonym, małowiernym. Niewielu prostaczków dało się uwieć listem tym, przyniesionym przez anioła...

Ten, który czytał z karty, i ten, co szedł przodem, naradzali się wejrzeniami z sobś, dali znaki tym, co szli z, a nimi.

W tłumie tym, przewodcy pomieszani z nim, natychmiast biczami smagajśc, zmusili powstawać tych, którzy legli i odpoczywali; na skinienie ich ustawiono się w szeregi, bicze się podniosły do góry, padli wszyscy na kolana i zanucili pień żałosnś głosem boleciwym.

Smaganie to i piewy ze snu i odrętwienia obudziło biczowników. Siali się jakby innymi; z chłostś razem, coraz zapamiętalszś, coraz nielitociwszś, coraz szybszś, piew się podnosił, głosy stawały wyrazistsze, szal więty ich upajał, zdawali się doznawać rozkoszy jakiej, w szmaty drśc ciało, dobywajśc z niego krwi, która ciekala strugami.

Czego nie uczynił list anioła i opowiadanie ewangelii nowej, sprawił na ciźbie widok biczowania.

Zapał biczowników przechodził do tłumu... wrywali się ludzie ku nim... jęki i płacz dał się słyszeć... Ci, co przyszli tu z niedowiarstwem, ze zgrozś, zaniepokojeni w sumieniu, żegnali się, modlili, płakali, serce ich biło.

Cóż dawało im tę siłę do zniesienia razów, które sobie zadawali z rozkoszś? Kto sprawiał ten cud, że dla nich boleć była poźśdanś i błogosławionś?... Duchowni nawet doznawali tego wrażenia i kilku z nich odwracało się od biczowników, jak od pokusy, której się ulec lękali.

piew, schrypłymi i znużonymi w poczśtku nucony głosami, rósł, potęgował się, podnosił, płynśł coraz zgodniejszy, a miał w sobie jakś siłę strasznś, która przeszywała serce.

Kobiety zachodziły się od płaczu spazmatycznie.

Tłum, w rynku stojścy cały, ulśkł się tej pokuty... wahajśc, czy nie ma pójć z nim także i nowej

ewangelii stać się wyznawcą.

W chwili takiego podniesienia na duchu naprzód kleryk jeden, chłopak młody, wybiegł spomiędzy patrzących, szarpiąc na sobie odzież, jak szalony pognął do zakapturzonego i padł przed nim na kolana...

Ten, który kartę niósł, wnet poczęł zdierać z niego suknię, która kawałami zwisała, i podał mu własny bicz... Z wciekłości uderzył się nim kleryk po białych ramionach i krew trysnęła.

Na widok jej ciżba dokoła odezwała się głuchym wykrzykiem.

Za tym razem pierwszym posypały się inne, plecy całe spłynęły krwią, a nowy pokutnik podniósłszy głowę do góry zwycię-

ska, z wyrazem ubłogosławienia na twarzy, z umiechem na ustach pień nucić poczęł...

Widok ten był jakby hasłem i przykładem. Ze wszystkich stron wybiegali ludzie. Jednych rodzina wstrzymywała, inni sami wahali się niepewni, niektórzy stawali w pół drogi... lecz wielu dobiegło do miejsca, gdzie stał przewodnik, i biczować się zaczęło.

Baka, która drżąc patrzyła na to i płakała, zrywała się kilka razy; na ostatek, jakby pchnięta siłą jakąś przewaźną, skoczyła w rękę niosącą gotowy bicz, a drugą obnażając się z sukni, która jak wór uszyta, rozerwana u szyi, opadła z niej.

Białe ramiona, na których widać było zaschłe blizny dawniejszej dobrowolnej chłosty, krwią się wież zarumieniły!

Baka! zaczęto wołać w tłumie.

Fryc Matertera, mąż, który dotąd mało dbał o nią, poruszony wstydem jakim i trwogą, rzucił się za póno, aby ją nazad odciągnąć... Tłum go zatrzymał w miejscu.

Gdy się to działo w rynku, w oknach kamienicy Wierzyńska stał tajemnie przybywszy król, otoczony kilkunastu osobami swojego dworu. Odradzano mu to widowisko, które na posępnym i tak usposobieniu mogło przykre uczynić wrażenie. Kochan osobliwie sprzeciwiał się wycieczce, więcej się starając o roztargnienie dla niego niż o to, co mogło spowodować smutek i rozdrażnienie. Łatwo było przewidzieć, że król stąd przyniesie na zamek gorycz i zadumę.

Nie mogąc przełamać woli Kamirza Kochan sam mu towarzyszył i powołał innego jeszcze, w łaskach znajdującego się od niejakiemu czasu ulubieńca, człowieka wcale niepospolitego, który pomimo sukni duchowne w godzinach czarnych był najlepszym na nie lekarstwem.

Był nim ks. Jan, opat benedyktynów z Tyńca. Pomimo godności, jaką piastował w zakonie, mimo reguły, do której należał, więcej dworak i człowiek wiatowy niż mnich i kapłan.

Z ubogiej] dosyć rodziny panoszków krakowskich pochodzący, ks. Jan, w nadziei, że go stosunki i opieka możnych, spowinowaconych z nim, dwignie na wyższe stanowisko duchowne, stan ten obrał

sobie... W poczŕtku kapłan wiecki, udawszy się dla

studiów do Bolonii i Rzymu, młodzieniec nabrał tam włoskiej lekkomylnoci w rzeczach religijnych, z zasobem wiadomoci, ze znajomociš wiata i z zepsuciem, któremu rzadko ówczesne duchowieństwo polskie ulegało.

Nie stworzonym on był wcale na duchownego; pierwsze lata młodoci spędził, jak wszyscy ziemianie, usposabiając się do powołania rycerskiego, na koniu, na łowach i w wesołych towarzystwach. Wielkie zdolnoci, umysł żywy i pojętny doradziły Opiekunom, aby go skłonili do wzięcia sukni duchownej.

Suknia ta i reguła zakonna nie zmieniała namiętnej natury człowieka. Zostawszy benedyktynem, wysadzony na opata, ks. Jan pozostał, czym był ziemianinem z krwi i koci, a w dodatku włoskim cortegianem, przekładającym towarzystwo wytworne dworskie, zabawy, mylistwo, uczyt dowcipem zaprawne, muzykę i piewy nad nabożeństwa w chórze i łączenie nad księgami. Pięknej bardzo powierzchownoci, młody, zdrów, silny, wesół, opat tyniecki często na łowach i w podróŕach ledwie się dawał poznawać, iż mógł do zakonu należeć.

Dawna surowa reguła benedyktyńska, pomimo usiłowań obostrzenia jej na nowo i reformy, wielce rozwolnionš została. Bogactwo zakonu, napływ do niego cudzoziemców, przynoszących z sobą obyczaj obcy, daleko mniej wymagający, a pobłaŕający do zbytku, zmieniły zupełnie charakter zgromadzenia, dawniej pracy i nauce oddanego.

Benedyktyni zabawiali się na wszelki sposób: namiętym mylistwem, muzyką, uctowaniem, sztukami pięknymi, a nauka ledwie kilku starych do księgarni, poboŕnoć kilku gorliwszych do chóru, napędzała.

Ks. Jan żył po pańsku na Tyńcu, a że życie to dzielił z innymi braćmi i na wszystko, co się działo w klasztorze, patrzył przez szpary, lubionym był i wszystko mu uchodziło bezkarnie.

Rumiany, z umiechem na ustach, postawš zręcznš, w stroju wykwinnym zawsze, doskonały jedziec, niezmordowany łowiec, opat dowcipny był i w towarzystwie zupełnie zapominał, że duchowne miał obowiŕzki.

Dwór trzymał ksiŕŕęcy, przyjęcia na Tyńcu słyęły z wystawnej gocinnoci. Działo się tam dobrze wszystkim, a ogromne bogactwa zakonu nie dawały mu uczuć rozrzutnoci, z jakš szafowano nimi.

Kamirz, któremu najmilszym było towarzystwo europejsko oglądzonych i z życiem zachodnim oswojonych ludzi, przy pierwszym spotkaniu z opatem polubił go bardzo. Przyjań niemal zwiŕszała ich z sobą; ks. Jan mu towarzyszył na łowy, dosiadywał z nim do póna u stołu opowiadając o Włochach, Rzymie, Francji i Niemczech, w których przebywał. Król słuchoł go, ożywiał się rozmówš i ciŕgał do Krakowa lub do Tyńca zjeŕdzał często.

Wielkie pobłaŕanie wszystkim króla słabociom, a nadzwyczajne uwielbienie dla wielkich pomysłów monarchy, który kraj swój chcał na równi z innymi europejskimi postawić, czyniły Kamirzowi opata najmilszym.

On jeden nie naganiał go nigdy, tłumaczył wszystko, usprawiedliwiał, pocieszał i bawił rozumnie, zręcznie, trafnie dobierając rodków.

W sporze z biskupem krakowskim, w sprawie klętki, opat był naturalnie po stronie króla i pomagał mu chętnie do wyłamywania się spod surowości interdyktu. Nie zważając na nic, ks. Jan odprawiał msze, sprawował obrzędy wszelkie i dowcipnie nawet żartował z anatemy.

Gdy król pogrążony był, smutny, znużony, Kochan nie mający już nad nim wielkiej przewagi powoływał na ratunek ks. Jana, który znalazł zawsze nową jakś rozrywkę, opowiadanie, zabawę, rozpędzając chmury z królewskiego czoła. Samo ukazanie się opata, którego na dworze lubili wszyscy, bo i hojnym był, i chętnie poufalszym, niżby przystało z dworzany, rozweselało wszystkich.

W rzeczach poważnych, gdzie szło o nowe prawa, reformy, o instytucje, rządził ks. Suchywilk, w którym król zaufanie pokładał; gdy potrzeba było ład zaprowadzić w żupach wielickich, w mennicy, w zarządzie miast, w stosunkach handlowych, służył Wierzynek; do spraw miłosnych był Kochan porednikiem; dla

rozjania czoła przy biesiadzie, na łowach, w urządzaniu wietnych zabaw rycerskich ks. Jan przewodniczył.

Król nie miał tajemnic dla niego. Nikt nadeń więcej nie bolał nad nieszczęśliwym małżeństwem z Adelajdą Heską, a nawet opat gotów je był z pewnych kanonicznych pobudek uważać za nieważne.

Gdy król ubolewał przed nim nad bezpotomnością swą, opat głosował za nowym małżeństwem, pomimo życia żony, utrzymując, że w Rzymie da się wyrobić rozwiązanie węzła le skojarzonego. Przywodził przykłady... król jednak wstrzymywał się obawiając się nowej walki z duchowieństwem, gdy pierwsza jeszcze nie była skończona

W sprawie ks. Baryczki opat utrzymywał, że on sam winien był swej mierci porwaniem się na majestat królewski, uniewinniał zabójców itp.

Słowem, powolniejszym nikt być nie mógł dla Kamirza ani wymowniej i zręcznie przekonywać, iż nieprzyjaciele jego wcale po sobie słuszności nie mieli.

Mówiono, że na opata Bodzanta kilkakrotnie słał skargi do Rzymu, lecz ks. Jan ostrzeżony posyłał podarki i umiał się zawsze uniewinnić.

Dnia tego, gdy król uparł się ić przypatrywać biczownikom, Kochan cięgnął umylnie ks. Jana rachując, iż przykre wrażenie, jakie oni na umyśle króla wyrzeć mogą, zręczność i dowcip opata rozproszą.

Ks. Jan wiedział o biczowaniu w Perugii, we Włoszech i odzywał się o nich z szyderstwem, utrzymując, że dlatego we dnie się biczowali, aby po nocach najrozpasane orgie odprawiać.

Oprócz ks. Jana w orszaku króla był Kochan i znowu na dwór z chwilowego ukrycia wróceni Przedbór i Pakosław Zadorowie.

Dwa giętkie i posłuszne narzędzia w ręku Kochana pokutowały za swą bezwstydną powolność dla ulubieńca. Rawa umiał w oczach króla znaczniejszą część winy na nich spędzić; dobroci tylko Kamirza zawdzięczali, iż im przy dworze zostać dozwolono—

no. Biedni młodzieńcy, którzy nierozmyślnie, pod silnym naleganiem Kochana, dopucili się zbrodni, teraz i przez ludzi za nich przeladowani, i w sumieniach byli niespokojni. Pobożni, jak wszyscy owego czasu, chodzili wszędzie domagając się rozgrzeszenia, ofiarując pokutę; żaden duchowny nie omielił się im dać absencji. Radzono do Rzymu... chciano, aby oba przyoblekli suknie zakonne. Zadorowie byli najniešťeliwsi. Oprócz tego musieli pilno baczyć, aby ich biskup nie pochwycił i do więzienia nie wtrcił, z czym się odgrażał.

W takim razie i ukaranie mierni przy gwałtownym charakterze ks. Bodzanty możliwym było. W Polsce samej przykłady się znajdowały takiego wymiaru sprawiedliwoci przez władzę duchowną.

Stał w otoczeniu króla i sługa jego a gospodarz Wierzynek...

Widok pokutników na każdym tu inne czynił wrażenie, z każdego inne wywoływał sąd. Król patrzył na nich ze zdumieniem, z podziwem, niespokojny, nie umiając może wytłumaczyć sobie tego stanu ducha, który takie objawy rodził.

Czoło jego, powlekało się chmurami, brwi cięgały wzdychała...

Ks. Jan ramionami ruszał i oburzał się wyrzekając, że takiej zgrai dzikiej pozwolono po wiecie błędzić bezkarnie.

Wierzynek nie mówił nic, lecz widać było, że spokojnemu kupcowi a przemylnemu gospodarzowi to naruszenie powszedniego porządku i spokoju nie smakowało.

Drgnął król i rzucił się ku oknu, gdy zobaczył Bakę wybiegającą spod domów i z krzykiem a szalem przypadającą do pokutników. Spojrzał na opata ruszającego ramionami, a Rawa zbliżył się do królewskiego ucha.

Zawsze była szaloną rzekł co dziwnego!

Inni z pospólstwa, którzy poszli za przykładem Baki, wywołali szyderską uwagę opata.

Jużciż lepiej im będzie u biczowników za trochę podrapanych pleców mieć wszystkiego do woli, bo ich głupstwo ludzkie

obficie karmi i poi, a młodych dziewcząt dosyć jest w tej kupie niż od drzwi do drzwi chodzić po żebranie.

Król jednak nie zdawał się podzielać tego zdania opata, milczał, coraz smutniej zamyłony.

Wtem ruch mały zwrócił uwagę Kamirza pomiędzy bliżej stojącymi za nim. Dwaj Zadorowie, biedzi, drżący, patrzyli na siebie, jakby wzrokiem się naradzali. Pakosław chwycił za rękę Przedbora i poruszyli z miejsc nagle. Nim Kochan i inni mogli zapobiec i powstrzymać ich, oba popieszyli ku

drzwiom.

Kamirz niespokojnie spoglądał za nimi. Znikli mu z oczów.

Po chwili ruch zrobił się przed kamienicš Wierzynka, ukazali się bracia Zadorowie, popiesznie zrzucajšc z siebie odziež dworskš, obnažajšc się nawzajem.

Kochan popieszył domylajšc się, co zamierzali, aby wstrzymać ich gwałtem, bo przewidywał, jakie to wrażenie na królu uczyni, lecz już było po czasie.

Obaj bracia szli, za ręce się pobrawszy, wprost do zakapturzonego, przed którym uklękli. Dano im bicze... poczęli się chłostać.

Król wstał od okna, aby przykrego uniknšc widoku, a nie opuszczajšcy go opat rzekł głono:

Lepiej by uczynił ks. biskup, ażeby się tu wdał z władzš swojš i ludzi opętywać nie dopucił, niż w inne wdawał się sprawy.

Król powracał na zamek.

Wród wrzawy i wielkiego poruszenia w rynku, gdzie lud się zbliżać poczšł do biczowników i przemógłszy trwoę mieszał się z nieszczęliwymi wieczór nadszedł. Słońce skryło się za budowy miejskie, mrok wieczora zalegał ulice.

Biczownicy pozostali na rynku, który zwolna wyludniać się zaczął. Pieni i biczowanie ustały, zgraja włóczęgów wysilona, znużona padła na ziemię i zabierała się do spoczynku w miejscu, które zajmowała.

Co przyległo do nich z miasta, pozostało wród przybyszów, usiłujšc pobratać się z nimi. Lecz tu spotkały ich dzikie wejrzenia, niezrozumiałe szyderstwa i przekleństwa. Oprócz wodzów nikt ich znać nie chciał odwracano się od nowych braci.

Po wrzawie i miotaniu się nastšpiło głucho milczenie i spoczynek. Niektórzy już usypiali ležšc na pyle ulicznym. Litociwi mieszczanie do czuwajšcych jeszcze i głodnych pieszyli przynoszšc strawę, chleby i napoje w dzbanach.

Usiłowano zbliżajšc się dojrzeć twarzy, których częć większa umylnie kapturami była zakryta. Niektóre z nich miały rysy jakie obce, nie swoje, inne widocznie pochodziły gdzie z okolicy, a odarta odziež różnego też pochodzenia być musiała.

Król odszedł stšd pogržzony w mylach, smutny, a Kochan skłonił opata łatwo, aby go nie odstępował i rozerwać się starał. Stan ten ducha u króla, powracajšcy często, wymagał albo rozrywki, która by go mogła zająć silnie, lub jednej z tych spraw, kraju tyczšcych, dla których o wszystkim zapominał. Ks. Suchywilka nie było, aby nimi z pogržzenia tego wyprowadził, cała nadzieja zostawała w ks. opacie Janie.

Ten też poznawszy usposobienie Kaźmirza nie ustawał z wesołš i lekkš rozmowš, choć sam prawie

prowadzić jš musiał, bo król mu za ledwie spojrzieniami roztargnionymi odpowiadał.

Widok tej niegdy tak pięknej Baki, dzi pokutnicy, dwóch Zadorów, którzy nagle opucili dwór, skruchš dotknięci, całe wystšpienie biczowników zachmurzyło więcej niż zwykle twarz królewskš. Kochan, który każdy jej ruch ledził, widział także, iż król drgnš cały zobaczywszy występującego zakapturzonego wodza biczowników, którego postawa i głos kogo mu przypominać musiały. Kochan sam, nie mogšc wyszukać w pamięci, do kogo był ten człowiek podobnym, pewien był, iż go gdzie spotykał i że nie był mu obcym.

Przewidywania ulubieńca, który chciał króla wstrzymać od wyjcia dla widzenia biczowników, ziciło się: Kamirz wracał przerażony i znękany.

Na biskupstwie z poczštku lekceważono sobie tych biczowników i ks. Bodzanta mówił tylko o tym, że gdy się waš do miasta, rozkaże ich czeladzi swej rozegnać, a przywódców pochwyta i do kuny na pokutę posadzi.

W ostatnich chwilach, gdy się już biczownicy zbliżali, zaczęły do biskupa przychodzić wiadomości dajšce do mylenia o liczbie pokutników i o ogromnym wrazeniu, jakie czynili na tłumach wszędzie, gdzie się ukazali.

W kilku miasteczkach gdy ich rozpędzać chciano, lud się ujšł za nimi, przyszło do bójki i krwi rozlewu.

Po innych posłach nadcišgnęli na biskupstwo ks. przeor dominikański z ks. Ireneuszem domagajšc się z pasterzem rozmowy. Byli naocznymi wiadkami zapału, jaki wywołali tu biczownicy, słyszeli płacz i głosy tłumów, lud goršco był przejęty.

Nie można było lekkomyślnie porywać się na tych włóczęgów, których pozór gorliwoci religijnej okrywał jakim urokiem w oczach ludu.

Lecz biskup ze zwykłš sobie energiš uwag tych słuchać nie chciał, miał się za silniejszego nad gawied zbłškanš i roznamiętnionš, a pobłażać nie myślał wcale.

Miano już wysłać pachołków, gdy nadejcie dwu dominikanów wstrzymało na chwilę wyprawę.

Wysłuchawszy ich, biskup rękš rzucił, stał przy swoim, nie obawiał się czerni.

Ks. Ireneusz, całujšc go w rękę, szeptał cicho:

Wasza pasterska moc pewnie lepiej wiecie, co poczšć, ale ludek pobożny, choć lepy, poruszony bardzo; płakali i ci nawet, co płakać nie chcieli. Jaka siła, zła czy dobra, jest przecie w tym obrzydliwym zbiegowisku, trzeba dać ostygnšc zapałowi... porozchodž się ludzie.

Po co zważać na ludzi? odparł biskup sam mówisz, ojczy, że jaka moc W nich jest, a nie inna, tylko szatańska, bo ona wszelkie herezje pysze ludzkiej podszeptuje... Więc precz z nimi, precz, aby się nie mnożyło złe, za które ja w sumieniu odpowiedzialnym będę. Rozpędzić ich nie dosyć; wygnamy ich stšd. pójdž gdzie indziej, poniosž dalej tę zarazę... Przywódców

ich potrzeba zabrać, posadzić, wybadać. Reszta tego stada się rozbieży.

Bez wstąpienia szepnął ks. Ireneusz tylko w tej chwili biedny ludek ma łzy w oczach... a wnętrznoci poruszone tym widokiem, więcby pofolgować, aż ostygną.

Biskup się zżymał przeciw temu.

Co? ja? pasterz? miałbym się ulęknąć włóczągów jakich i własnych owieczek obłąkanych? Nie będzie nikt miał porwać się na pochołków moich, przeciwko mnie...

Z zebranego duchowieństwa jedni szli za biskupem, drudzy też trochę cierpliwi radzili... inni przynosili rozmaite wiadomości o przeciśganiu biczowników, ich rozbojach, kradziejach zuchwałych, nieposzanowaniu własności przez włóczągów, którzy do chat samotnych wpadali, zabierali, co znaleli, gwałtów się dopuszczali, gdzie im się opierano.

Rzeczywiedano, że w drodze, gdy ich na polu noc zachwyciła, legali po społu, bez różnicy płci, jak bydłeta i po szale pokutnym rozpasywali się na rozpustę wszelką, sami się potem z niej spowiadając przed sobą i rozgrzeszając.

Oburzenie było powszechne.

W powieciach część prawdy była, co zmylonego może, ale we wszystkim herezja widoczna i biskup cierpieć szerzenia się jej nie mógł; był to bunt przeciw władzy kocielnej, której biczownicy podlegać nie chcieli.

Nie mógł więc biskup słuchać umiarkowańszych doradców, ponowił rozkaz stanowczy, aby się czelad jego zbierała, na rynek ciśgnęła i przywódców koniecznie schwyciła.

Noc tymczasem nadeszła.

W rynku spoczywała dzika gromada na ziemi. Wbite w ziemię chorągwie powiewały nad legowiskiem starszyny. Tłum zmniejszył się był wprawdzie, lecz gdy jedni odchodzili, ciśgali drudzy, kupki ciekawych krśżyły ciśgłe i otaczały biczowników.

Wród ciszy, jaka tu teraz panowała, oddział biskupiej czeladzi przybliżył się do rynku właśnie w chwili, gdy do zamku powracała garć żołnierzy królewskich, dobrze uzbrojonych. Od czasu, jak Bodzanta wyklśł Kamirza, pomiędzy ludmi jego

a królewskimi stosunek był nieprzyjacielski. Nie przychodziło do bitew krwawych, bo ich zakazywano, ale bójki trafiały się codziennie.

Zamkowe żołnierstwo spostrzegłszy skradających się ku rynkowi biskupich ciurów stanęło, sotnik starszy znajdował zręczność bardzo poźśdanś poturbowania kleszych rycerzy.

Biczownicy obudzili litoć.

Patrzcie oto rzekł do swoich co im to biedactwo winno? Biskup pewnie każe pobrać i będzie

męczył po lochach... a toż przecie pobożni pokutnicy, co się modłš lepiej niż on, i gdy stary w puchach się wylega... krwiš zbroczeni, na ziemi się walajš.

Spojrzeli po sobie ludzie królewscy. Rozkazu żadnego nie mieli, lecz pewni byli, że ich za to nikt nie skarci, gdy kleszych przetrzebiš. Stanęli więc zajmujšc w cichoci takie stanowisko, z którego najłatwiej im było wypać w potrzebie.

Biskupi pułkownik okršzał już powoli biczowników.

Ci, po dosyć goršcym przyjęciu w miecie, nie spodziewali się pewnie napadu żadnego i spokojnie do snu się układali. Ludzi biskupich trudno było rozeznąć wśród ciekawych, którzy się jeszcze snuli.

Gdy nagle głos starszego dał się słyszeć niedaleko choršgwi, porwał się na nogi zakapturzony dowódca i krzyknął na swoich. Chwycili za choršgwie, dyscypliny swe i kija, stajšc, jakby bronić się chcieli.

Wśród ciemności krzyki powstały i zamieszanie wielkie... Lud nie widzšc, kto napastował pokutników, rzucił się na ich obronę. Zgiełk, wrzawa, cisk w rynku stał się straszny. Z kamienic ludzie powybiegali z pochodniami. Wołanie na ratunek, na gwałt rozlegało się po miecie.

Królewskim ludziom tego było potrzeba; pucili się na biskupich z dobytymi mieczami, płazujšc i siekšc. Znali się dobrze i w tłumie wybrać umieli. Lud, poparty przez zamkowych, padł też na czelad biskupiš.

Biczownicy tymczasem z ziemi się pozrywawszy, a lękajšc nade wszystko, aby ich nie pochwymano, rozpierzchać się zaczęli na wszystkie strony, wbiegajšc do kamienic, pod parkany, do ogrodów, gdzie się komu schować udało... kupka jedna puciła się ku zamkowi, inne po kštach i małych uliczkach.

Dowódca biskupi tyle dokazał, że w pierwszej chwili, pomimo dzielnego oporu, zdołał opanować i zwišzać zakapturzonego i jego towarzysza. A że królewscy nacierali mocno, zdobyczš tš się ograniczajšc, biskupi pierzchnęli na dworzec pański.

Oczekiwano ich tu z ciekawociš wielkš. Biskup sam nie chciał spoczšć, póki by nie wiedział o skutku wyprawy. Poprzedził zwrot pachółków pędem wbiegajšcy kupkš małš dowódca, który cišgnął z sobš dwu jeńców, i zaledwie wpadłszy na podwórzec, obawiajšc się, by go i tu nie cigano, wrota kazał dršgami zakładać i straż stawić u nich.

Gniewu, jakim biskup się uniósł, gdy mu doniesiono o napaci królewskich na wysłańców jego, odmalować nie podobna.

Zsinił starzec, załamał ręce... słowa przemówić nie mógł.

Dowódca straży, niejaki Żuber, dla uniewinnienia siebie, malował starcie w rynku daleko straszniejszym, niż było w istocie porwanie się ludu, straszliwe pastwienie się nad jego ludmi bezbożnych zamkowych...

W takich warunkach cudem było prawdziwym, że potrafił hersztów schwycić naraziwszy życie... Ks. Bodzancie już nie tyle szło o biczowników, jak o niesłychane zuchwalstwo królewskich żołnierzy, którzy się przeciw jego czeladzi porwali...

To wołało znowu o pomstę do Boga! Niepoprawni więc byli, a duch pana w sługach się jego odbijał...

Zgroźś przejęte duchowieństwo potakiwało pasterzowi; już nieco złagodzony spór na nowo rozjścił się okrutnie.

Było to wyzwanie, była to umylna zasadzka, król brał stronę herezji.

Zakapturzonego dowódcę rozkazując wrzucić zaraz do więzienia biskupiego i strzec pilnie, ks. Bodzanta rozmylił się po

chwili i dał go sobie zwiśzanego przyprowadzić wraz z jego spółnikiem.

Cały dwór, służba, czelad pasterza zbiegła się oglądać tych ludzi.

Olbrzymiej postawy i siły, zakapturzony szedł ze zwiśzanymi w tył rękami nie okazując najmniejszej obawy ni poruszenia. Zerwano mu kaptur, który twarz okrywał, i wyszła spod niego głowa czarnym włosiem krótko postrzyżonym okryta, z rysy jakby wyciosanymi z brunatnego drzewa, brwiami krzaczastymi, czarnymi sowimi oczyma, które prawie całe pod powiekami zajmowały miejsce. Wyraz był dumny; boleć, zaduma, co dzikiego razem i skamieniałego, jak w zwierzu pochwyconym i obezwładnionym, patrzących nań przerażało.

Ani pasterz, ani duchowieństwo nie odjęły mu mialoci, nie schylił głowy, nie ugiął karku. Popchnięto go, stał.

Obok idący, ten, który głosił w rynku list u w. Piotra w Jerozolimie znaleziony, drżał i szedł chwiejśc się obłąskany... Pot mu czoło oblewał, usta się krzywiły jak do płaczu.

Ks. Bodzanta przystępiwszy poczęł od gwałtownego wybuchu i pogróżek.

Czarny wódz oczy spuciwszy na ziemię ani patrzył nań, ani chciał słuchać. Towarzysz jego klęczał, ręce na piersiach złożył i zachodził się od szlochania.

Bodzanta, usiadłszy, jednego ze swych sędziów duchownych wyznaczył do natychmiastowego przesłuchania winowajców.

W milczeniu odpowiedzi słuchano.

Kto jeste? rzekł przystępując doń badający. Musiano potrścić czarnego, który zdał się pytania nie słyszeć

lub nie chcieć wiedzieć, że do niego było wystosowane. Uderzony przez pachołka grobowym odparł głosem: Grzesznik. Mówił po polsku, lecz z akcentem jakim obcym.

Skąd jeste, jak się zowiesz? Długie było milczenie.

Nazwiska się wyrzekłem rzekł pokutnik gdzie się rodził, zapomniałem.

Kto cię nauczył tego, co głosisz zuchwale ludowi?

Człowiek boży otworzył mi oczy, pokutnik jako ja poczęł oczów nie podnosząc pytania. Z nieba miał objawienie... Pokuty tak srożej jak grzechy, którymi ziemia skalana, zśda Bóg...

Księża spoglądali na siebie.

Azali ci nie wiadomo zawołał niecierpliwie inny duchowny że Bóg Ustanowił kapłaństwo, że przez jego Usta tylko idzie czysta nauka, że kto sobie przyznaje moc duchownych, winnym jest wiotkradztwa?

Bóg mówi wprost do dusz ludzkich, nie potrzebując pośredników zawołał czarny a kto głosu Jego nie słucha, winnym jest...

Szmer oburzenia dał się słyszeć. Biskup Bodzanta ręką wskazał, aby zawieszono pytanie zuchwałego herezjarchy i na klęczącego przy nim w postawie skruszonyj, we łzach, z ogoloną głową, zwrócił badanie.

Ten drżał ze strachu.

Kto ty? spytał go ksiądz.

Nim odpowiedź nastąpiła, czarny grono się obejrzał ku niemu: klęczący, który się obawiał równie władzy, co go w rękę miała, i straszego wodza swego, niezrozumiale bełkotać zaczął.

Na ostatek wyśknął, że był klerykiem z Wrocławia, że się zwał Adam Siwek i że nie był winien, bo był opanowany, obłąkany, zagrożony i musiał być posłuszny.

Spytany o kartę, z której czytał, dobył ją z pazuchy i co prędzej oddał księdzu. Pismo było wieże, niezgrabne i niedorzeczne. Podano je biskupowi, który spojrzawszy na nie rzucił pod nogi z pogardą.

Zwrócono się znowu do czarnego, zatwardziałego wodza biczowników, lecz z niego nic wyciągnąć nie było można. Czuć w nim było upojonego jakś fantazję, zbłąkanego człowieka, który męczeństwa się nie lękał i wierzył, że to, co czynił, dobrym było.

Półgłosem, pogardliwie niemal, ledwie raczył co odpowiadać, zupełnie zubożniały na los, jaki go spotka.

Za to Siwek chcąc się skruć wykupić mówił aż nadto, na ziemię twarz się padał, obiecywał poprawę, drżał jak liść.

Obu ich biskup kazał odprowadzić do więzienia swojego.

Królewscy żołnierze, z wielkim triumfem powróciwszy na zamek, zanieli tam wiadomość wesołą, jak się rozumnie znaleli w rynku i skorzystali z okoliczności, aby czelad biskupią przetrzepać.

Doniesiono o tym Kochanowi, a ten korzystający chętnie z każdej okoliczności, która króla z biskupem różnić mogła, pobiegł do Kamirza, który z opatem Janem i kilku ze starszyny swej siedział jeszcze u wieczornego stołu.

Lubił król te swobodne pogadanki w kółku poufałym, a nikt w nich nie był wprawniejszym, nikt lepiej prowadzić nie umiał nad ks. Jana opata...

Wspomnienia jego rzymskie, awiniońskie, bolońskie, z Włoch i z Niemiec obfitego dostarczały mu materiału.

Powiastrki włoskie, których już tyle naówczas w rękopismach i z ust do ust krężyło, historyjki z Gesta Romanorum, ułamki poematów łacińskich i trubadurów umiał na pamięć. Suknia duchowna nie wzbraniała naówczas nauki moralnej, zawartej w tych opowiadaniach, okrywać szatą bardzo wietną, jaskrawą i dobitnie rzeczy wyrażającą. Powiastrki opata o kobietach, o małżeństwach, o tragicznych wypadkach zabawiały smutnego króla i o trosce mu dawały zapomnieć na chwilę.

Wśród takiej wesołej wieczornej rozmowy, miechami przerywanej, nadbiegł Kochan z wiadomością, że biskup się chciał znęcać nad biczownikami, że się na nich czelad jego porwała a zamkowi ją rozpędzili i przetrzepali.

Opat był wprawdzie niedawno sam tego zdania, iż ks. Bodzanta przeciwko publicznemu zgorszeniu wystąpić był powinien, ale trzymał z królem, a król okazał dla pokutników współczucie zmieniło się więc zdanie opata.

W istocie, na pierwszą wiadomość o tym zajściu Kamirz żywo wyraził swe oburzenie i litość nad biczownikami.

Jeżeli się jacy na zamek schronie przyjdą zawołał dać im bezpieczny przytułek. Obłąskani są, ale biedni... należy im litość tym większa!

Opat milcząco skłonił głowę.

W walce z biskupem król musiał korzystać z każdej zręczności, aby mu opór stawić i dać czuć siłę swoją.

Jak skoro biczowników on cigał Kamirz ich musiał bronić...

Była to zwykła logika namiętności, ale gdzież i kiedy dzieje się inaczej?

Tak się ten dzień skończył.

Ulubieniec króla rad był, że choć rozdrażnienie zastąpiło ten smutek odrętwiający, tępy, którego się najwięcej obawiał. Wolał widzieć pana gniewnym niż obumarłym.

Za odchodzącym opatem, który na zamku miał nocować, poszedł Kochan na radę...

Widzielicie go rzekł Rawa, odprowadziwszy do izb dlań przeznaczonych. Litoć bierze nań patrzeć! To najnieszczęśliwszy a najlepszy z ludzi. Kraj przez niego zabuduje się, zmuruje, uronie, pobogacieje, będzie prawa miał, bogactwa, ład, wszystko, ale on, on... szczęścia nie zazna... Co warto życie takie!

Ks. Jan słuchał milczący.

Czuwać powinnicie nad tym rzekł po namyle aby mu rozrywkami osładzać ten żywot smutny... Widzicie, że i ja czynię, co mogę. Łowy lubi, ale te go na krótko rozruszają, znużony wraca do czarnych myli.

Czarnych myli podchwycił Rawa jednę on tylko ma i ta mu życie truje... Potomstwa płci męskiej odmawia Bóg, korona przejdzie na Węgry!

Opat ramionami ruszył, jakby chciał powiedzieć: Rady na to nie znam...

W Krakowie dodał Kochan każda zabawa królewska zaraz za zbrodnię jest głoszoną. Podoba mu się gładka twarz wypominając mu opuszczoną królowę; zabawi się rozmową z kmieciem krzycząc, że to król dla chłopów...

Bolał jeszcze dłużej Kochan i zapewniwszy się, że opat dłużej zabawi, odszedł nareszcie.

Jemu nie dosyć było na tym, że królewscy żołnierze rozpędzili czelad biskupią; wiedział od nich, że dowódców uprowadzono. Nazajutrz usłyszano, że ich do więzienia wtrącono... Wyrwać ich z ręki Bodzanty było dlań zadaniem, od którego nie chciał ustąpić. Wyszedł na miasto.

Tu wszystko jeszcze było wczorajszymi wypadkami rozkołysane, zaniepokojone, a lud, jak zawsze lud, pognębionych i biednych brał w obronę.

O popłochu nocnym powiadano, osobliwe rzeczy. Przerażona napacią Baka Matertery, która już była postanowiła iść w wiat z biczownikami, zawstydzona, spłakana, pokrwawiona, odarta, wróciła do domu i leżała chora.

Fryc, lękający się, aby mu nie uszła, nim resztę jej mienia prawnie opanuje, pilnował ją zamkniętą. Biedna niewiasta w gorścze rwała się cięgle do dyscypliny, piewała pieni pobożne, miała się, szalała jeszcze...

Pokutnicy z różnych stron wiata pozbierani, którzy wczoraj tak uroczycie do Krakowa wchodzili, nocą prawie się wszyscy rozproszyli małymi po okolicach kupkami. Bez chorągwi, bez wodza nie wiedzieli już, co począć z sobą.

Duchowieństwo wiejskie, mając przepisy surowe, zamykało im kocioły nie dozwalało, jak w początkach, pobożnym wychodzić na powitanie z procesjami, krzyżami i piewem.

Dwaj Zadorowie, którzy się wczoraj dobrowolnie złączyli z pochodem biczowników, po

rozproszeniu ich potajemnie na zamek powrócili. Lecz oba oni już do wiata i życia pierwszego powrócić nie chcieli.

Poszli razem do franciszkanów prosić, aby ich do zakonu przyjęto.

Po wczorajszym szale stygło miasto powoli, lecz w umysłach zostało wspomnienie chwili, która do pokuty była wyzwaniem. Z rana kocioły, które biskup otworzyć pozwoił, były pełniejsza niż kiedy spowiadali się ludzie, oblegali ołtarze, płakali...

Krwawa procesja nie schodziła im z oczów i ta pień z jękiem pomieszana, w takt chłosty, którś wczoraj się rynek rozlegał...

Kochan myślał nie o pokucie, lecz o wyrządzeniu ks. Bodzancie przykroci, o wyrwaniu z ršk jego schwyconych biczowników. Mówiono włanie, iż biskup chciał surowym kary przykładem odjść innym ochotę do herezji nowych. Nie było niepodobieństwem, by mierciś nawet ich nie karał. Władza duchowna w przeszłych wiekach po kilkakroć sama się niś posługiwała przeciw winowajcom, przez sšdy jej skazanym...

Nie mogło to jednak stać się bez badania i spełnienia form pewnych, które choć kilka dni czasu wymagały.

Kochan miał swoich na biskupstwie, tak jak ks. Bodzanta na zamku. Iedzono się wzajemnie, donoszono na obie strony, walkę podsycając.

Rozzarzyła się już nieco upiona na nowo, a Rawa chciał jś jak najdłużej utrzymać.

Więzienie biskupie, nie opodal od dworu, było dosyć pilno strzeżone, lecz rzadko mieciło w sobie takich winowajców, na których by zbyt niś zwracano baczoć. Budynek drewniany stał jednś cianś od ulicy; podkopać się doń nie było trudno...

Król z ks. opatem wyruszył na polowanie, Kochan pozostał... Brakło mu teraz ludzi tak zręcznych i tak oddanych, jak byli dwaj Zadorowie, lecz grosza królewskiego nie chciał żałować na to. Miejskich pachołków miał w ręku przez Wierzynka...

Dzień jeden po pierwszym badaniu biczowników zostawiono, ich w zamknięciu, nimby sšd się zebrał. Tylko klecha lšzak wyprosił się i wymodlił obiecując zeznania, iż go z więziennej izby przeprowadzono i pisarzowi sšdowemu na ręce oddano.

Czarny pozostał sam jeden.

Trzeciego dnia po rannej mszy biskupiej wszedł do biskupi zafrasowany kapelan.

Spojrzał nań ks. Bodzanta.

Z biczownikami skończyć raz potrzeba, póki to nie wystygło odezwał się biskup. O herezję przekonać ich łatwo, wyrok trzeba ogłosić publicznie...

Ale spełniać nie będzie na kim przerwał kapelan potrzebując głowę.

Jak to?! zakrzyczał Bodzanta dwaj główni przywódcy w rękach naszych.

Byli dokończył kapelan. Zdumiał się biskup.

Dzisiejszej nocy herszt się wykopał z więzienia i uszedł mówił ksiądz a kleryk, którego pisarzowi oddano, poszedłszy się wody napić wpadł jak w wodę...

Rozgniewał się biskup strasznie, powołano tych, co mieli obowiązek strzeżenia więźniów, indagowano. Jawnym było, że jaka niewidzialna ręka w pomoc przyszła biczownikom. Wykopana jama nie mogła być dziełem jednej nocy i jednego człowieka. Wyrzucanie ziemi ukazywało, że z zewnątrz się podkopywano.

Byliż to bracia biczownicy, skryci w Krakowie, czy kto inny? Kto klerykowi, zbiegłemu w biały dzień, dał przytułek?

Chciał biskup rzucić klętwę na współników i posiłkujących herezjarchom...

Kochan tymczasem wcale z tego nie czynił tajemnicy, iż zbiegom dwom z biskupiego więzienia dał na zamku przytułek...

Gdy król z łowów powrócił, stawiał się przed nim ze miłą twarzą i wesołym obliczem. Nie przyznawał się do pomocy danej zbiegłym więźniom, oznajmił tylko wprost Kamirzowi, iż proszącym o przytułek dał go na zamku.

Król pochwalił to głową poruszeniem.

Zaledwie się wiec o tym rozbiegła, gdy już służni biskupowi przynieśli.

Można sobie wyobrazić, z jakim gniewem przyjsł już ks. Bodzanta. Pocieszał się tym tylko, iż nowy i ciężki zarzut przeciw królowi przesłać będzie mógł papieżowi, jako przeciw opiekunowi sekciarzy.

Pozostawało teraz Kochanowi pozbyć się tych gości niepotrzebnych, ażeby znowu w ręce biskupa nie wpadli i bezpiecznie się gdzie schronić mogli.

Sam on nie widział ich jeszcze. Czarny wódz izbę miał w zamku przy czeladzi, a klecha lżak, bojąc się z nim siedzieć,

gdzie indziej się wyprosił. Wszedłszy, zastał zbiega już odzianego w suknie, które mu na zamku dano, i kaptur na głowie, twarz zakrywający. Podobieństwo, jakie z dala go widząc znalazł między nim a jakim we wspomnieniach swych dawniej znanym człowiekiem, uderzyło go na widok tej postaci, chociaż rysów twarzy widzieć nie mógł.

Nieznajomy tak tu jak i wprzódy w więzieniu i na badaniu zupełnie zdał się na los swój obojętnym...

Kochan zapytał go, co z sobą myli poczynać. Ruszenie ramion było całą odpowiedzią.

Niecierpliwiło to ulubieńca króla, iż nawet podziękowania za wywiadczone pomoc nie otrzymał. Siedzący nie wstał na widok jego... Kaptur zwieszony nad czołem zwiększył ciekawość Rawy.

Pomogliśmy wam do wyswobodzenia się z ręk biskupich rzekł który by litoci nad wami nie miał. Kto wie, życiem moglibyście przypłacić.

Życiem? mruknął pokutnik a życie co? Umrzeć przecie trzeba...

Mówił to szyderskim tonem, powoli, głos był jaki znajomy.

Kto ty jesteś? zapytał Kochan przystępując.

Człowiek; dlatego jak ty umrzeć muszę rzekł pokutnik obojętnie.

Lecz jeli pokutować chciał za grzechy odezwał się Kochan to ci co przecie życie warto... Będziesz miał czas pokutę twą odprawić.

Czarny nie odpowiadał. Kochan coraz się bardziej zżymał i niecierpliwił.

Dokądże stąd ić mylisz? zapytał.

W wiat, szukać takich jak ja i ić dalej, wołać grzesznych do pokuty.

Schwycisz was...

Ruszył ramionami pokutnik.

Nie mogąc słowa z niego wydobyć, zniecierpliwiony tym oporem, Kochan zamruczawszy co, stuknął drzwiami i wyszedł.

Wieczorem, gdy Kamirz się kładł do snu, Kochan mu poczęstł opowiadać swoje spotkanie i rozmowę z wodzem biczowników. Słuchał jej król z żywym zajęciem.

Cóż to za człek? zapytał.

Ani twarzy okazać, ani mówić nic o sobie nie chce rzekł Kochan a przysięgłbym, że gdzie go widział i głos ten słyszałem...

Zadumany Kamirz już się kładąc zawołał nazad odchodzącego faworyta.

Kochan ja tego człowieka widzieć muszę... Rawa z okrzykiem się temu sprzeciwił:

Miłociwy panie, to widowisko nie dla was rzekł. Nie rozweseli ono, a smutku mamy i tak dosyć... Z mego nic nie wydobędziecie!

Ja? zapytał król ja?

Dziki jest...

Chcę widzieć dzikiego! powtórzył Kamirz.

Rawa nie przedłużając rozmowy wyszedł. Sądził, że fantazji tej król zabędzie, a on tymczasem pokutnika z zamku wyprowadzi. Lecz nazajutrz król po dwakroć mu przypomniał z naciskiem, iż człowieka tego widzieć musi.

Sprzeciwiać się mu, gdy w ten sposób wolę swą objawiał, nie miał Kochan.

Ilu wieczorowi kazał się prowadzić Kamirz.

Zapobiegając temu, ażeby dziki człek nie przyjsł króla, nie znając, w ten sposób jak jego, Kochan pobięł mu oznajmić przodem, iż król, pan miłosierny i dobroczynny, widzieć go chciał. Usłyszawszy to poruszył się nieco pokutnik, lecz z miejsca nie powstał.

Po co? rzekł król mnie a jam jemu niepotrzebny; król mój teraz na niebiesiech. Jego jednego znam... Ten, który był niegdy moim, wymordował mi rodzinę, znieważył siostrę, zabił ojca, skazał na wygnanie ród mój...

Wstał, mówiąc to odsłonił kaptur i Kochan z przerażeniem poznał w nim tego Amadeja, brata Klary, którego widok dawniej.

król za wróżbą nieszczęliwą, za przypomnienie życia chwili najpełniejszej goryczy uważał.

Kochan przeraził się, chciał biec natychmiast, aby Kamirzowi nie dopuścić z nim spotkania. W sieni już kroki słychać było. Drżący Kochan zastąpił drogę panu.

Miłociwy królu mój wy tego człowieka widzieć nie możecie!

Wyraz twarzy ulubieńca, zamiast ustraszyć Kamirza, więcej jego ciekawość obudził. Zmarszczył się.

Puszczaj mnie zawołał grono puszczaj! Kochan ukląkł przed nim.

Nie puszczę was! rzekł chwytając za suknię.

Wtem król wyrwał się z ręk jego i miałym krokiem postąpiwszy ku drzwiom otworzył je... Czarny człek siedział zakapturzony, oparty na rękę, nie podniósł głowy... Kamirz go po ramieniu uderzył?

Wstań, mów, kto jesteś? chcę widzieć cię... Westchnienie wyrwało się z ust siedzącemu, wyprostował się,

ręką chudszy i czarnszy odrzucił kaptur i stanął nie mówiąc nic; król poznawszy go pobleł i na krok się cofnął.

Ty jest? zapytał zdumiony... Chwila milczenia nastąpiła długa.

Za jaki grzech pokutujesz? dodał po chwili. Amadej wlepił w niego oczy.

Za jaki? Za twój może, królu! rzekł szydersko. Pokutś mojś błagam Boga, aby krew naszś toczyć przestał, aby reszta rodu mojego wolnś była od pomsty Jego.. aby nie wszyscy Amadej o wie, ćwiartowani i darcı końmi, mizerny żywot kończyli... Pokutuję za was, aby wam, cocie ostatnim z rodu naszego przytułek dali, zapłacił przebaczeniem miłosierdzie wasze...

Król słuchał milczścy i poruszony...

Odpokutowałe już rzekł głosem złamanym po krótkim przestanku... Wracaj...

Dokśd? zapytał z szyderstwem Amadej. Tam, gdziebym wrócić chciał, na ojcowiznę mojś, czekajś mnie tylko: wspomnienie zbrodni, srom i groby... a tu? obcy kraj,.. Chciałem

przyrosnść do niego... nie mogłem... Rwie się dusza gdzie indziej zaparto! Tu domu nie mam, nie chcę mieć domu...

Żśdasz czego ode mnie? odezwał się król cicho...

Aby mnie puszczono wolno... pójdę rzekł nie potrzebuję nic...

Stał jeszcze chwilę król, zwrócił się powoli i wyszedł milczścy. Na progu zachwiał się, odwrócił, spojrział i nie mówiąc słowa wrócił do swej komnaty.

Chociaż ks, Jan był jeszcze na dworze, król dnia tego ani jego, ani nikogo widzieć nie chciał. Zamknśł się zakazując wpuszczać. Kochan tylko posługiwał mu milczścy...

Trzeba było dłuższego czasu, nimby smutek i gorycz dnia tego przetrawiły się w nim i osłabły...

Kochan posłał po Suchywilka, bo ten jeden sprawami kraju mógł go tak zająć i opanować umysł jego, że nawet największe strapienie ustępowało temu, co król za obowiśzek i zadanie główne życia liczył.

Ks. Suchywilk przybył niosąc przygotowane prawo o sśdach wyższych dla osadników na niemieckim zakonie. Wierzynek przyniósł wiadomości i plany, jak żupy wielickie urzśdzić na nowo. Dwie te ważne sprawy wyrwały Kamirza z odrętwienia i pogrśżenia w sobie...

Trzymano go nimi, jak najdłużej je przeciśgajśc. Wierzynek potrzebował ciśgać urzėdników od soli, ks. Suchywilk naradzać się z tymi, co na prawie magdeburskim osadzeni byli, a tych mnoho już w kraju się znajdowało.

Nie dawano królowi spoczynku, lecz znużenie było zbawieniem, prowadziło z sobś zapomnienie... nie dawało się zatapiać w przeszłoci.

Tymczasem spór z biskupem ciśgnśł się bez końca i spokoju nie dawał... król musiał wyprawiać posłów do papieża.

Kochanowi zabrakło wreszcie pomysłów do rozrywania ukochanego pana, który pracy miał zawsze pod dostatkiem i troski, a nad łowy i rzadkie odwiedziny ksiśżst mazowieckich, którego ze lśskich Piastów, żadnej zręcznoci pokazania się i zobaczenia wiata.

Od czasu nieszczęśliwego pobytu w Pradze, zakończonego pogrzebem, nawet to miasto, ulubione Kamirzowi, zrażało go wspomnieniami smutnymi. Zapraszał go cesarz, pamiętny dawnej przyjani i pragnący dobre utrzymać stosunki z Polskš, Kamirz się wahał i ocišgał.

Dnia jednego ks. Jan, opat z Tyńca, przybył do Krakowa; było to wiosnš w roku następnym.

Zawsze wesół i dobrej myli, tym razem jeszcze był więcej ozywiony i rozmowny.

Powracał on z Pragi, dokšd się był udał w interesie zakonu, lecz korzystał z tego, aby się rozpatrzyć w miecie; dostał na dwór cesarski Karola i z uniesieniem mówił o życiu i wietnoci, które otaczały monarchę. Praga była niejako chwilowo stolicš cesarstwa, nieustannie napływali tam ksišżęta z Niemiec całych: odbywały się turnieje, dwór zabawiał się, a około cesarza gromadzili się ludzie uczeni i artyci, co Europa miała najślawniejszego i najgodniejszego widzenia.

Z wielkim zapałem opisywał opat wszystko i wychwalał cesarza, który, jak wiedział, pamiętnym był dawnych stosunków z Kamirzem i mocno go widzieć pragnł.

Ks. Jan nie wahał się też mówić o piękności dam na cesarskim dworze, o wielkiej oglądzie ich obyczajów i przyjemności obcowania z nimi.

Miłociwy panie dodał czas jest, abycie, dla Polski nawet, zbliżyli się do cesarza. Zwišzek z nim da nowš siłę, zagrozi nieprzyjaciółom, w sprawie z Krzyżakami będzie pomocnym, u papieża też dać może poparcie; waszej miłoci za przyniosł odwiedziny w Pradze nowe życie, potrzebnš rozrywkę. Któż wie... może jaki widok o połśczeniu w przyszłoci, gdy zwišzek z księżnš Adelajdš rozerwany zostanie, co niechybnie nastšpić powinno...

Król słuchał z ciekawociš natężonš, widać było, iż dusznie pragnł udać się do Pragi, wspomnienia tylko Margarety wstrzymywały go.

Opat nalegał. Cesarz włanie bawił w czeskiej stolicy, otoczony goćmi dostojnymi.

Nie chciał król na jechać sšsiada niespodzianie i po krótkim wahaniu wyprawił z listami podkomorzego Szczedryka dodajšc mu do boku Kochana.

Szczedryk był urzędowym posłem; Rawa poufnym. On miał rozpatrzyć się tam między ludmi, zbadać humor i usposobienie, przynieć królowi wskazówki przed podróžš potrzebne.

W cišgu kilku dni wrócili posłani z zaproszeniem życzliwym i goršcym od cesarza, a Kochan z większym uniesieniem jeszcze poczł mówić o dworze Karola.

Licžc się do najprzedniejszych dworzan Kamirza, Kochan razem ze Szczedrykiem miał zaszczyt znajdować się na wieczornej zabawie w pałacu cesarskim. Piękny mężczyzna, wielki strojni miłujšcy ubiory wykwentne, Kochan wystšpił tam tak, aby panu swojemu nie uczynił wstydu i był bardzo dobrze przyjętym.

A że do niewiast miał słaboć, wiele prawił o nadzwyczajnych wdziękach tych, które tam oglšdał.

Było ich tam doć i księżęcych rodów, i rycerskich, różnej krwi, bo i Włoszek, i Francuzek, i Niemek powiadał Kochan lecz, nie do wiary prawie, jedna mieszcanka Czeszka z Pragi, niedawno owdowiała po Rokiczanie, Krystyna, przed wszystkimi prym trzymała. Piękność jej przystałaby i królowej, ale też królewskš ma dumę. Wszyscy tam ku niej mieli tylko zwrócone oczy, a inne się z zazdroci wciekać musiały. Oprócz wdzięków i młodoci, bo mało co rok dwudziesty przeszła, ubiór jej i klejnoty, które na sobie miała, jeszcze jš czyniły piękniejszš. Choć mieszcanka, strojem się równała z żonami komesów, baronów i księższ a umiała go dobrać i do twarzy swej, i do płci, i do postawy!

Poczšł się król z ciekawociš wielkš dopytywać o tę Krystynę, Kochan, który to może przewidywał, dobrze był bardzo uwiadomiony i szczegółów mógł dostarczyć.

Wiedział, że wdowa była bardzo bogatš, że o rękę jej starali się możni nawet czescy panowie, że wcale nie była przystępnš, a więcej może miała dumy niż piękności i przepowiadano też jej

wietnš przyszłość, bo na dworze cesarza głowy wielu pozawracała.

Kochan, jakby naumylnie cišgle do Krystyny tej powracajšc, króla ciekawoć obudził do najwyższego stopnia.

Miałzeby w niej być rozmiłowany, że tak ci stoi cišgle na myli? zapytał król żartobliwie Kochana.

Niech Bóg mnie od tego uchowa odparł Rawa boby się moja miłość wcale na nic nie zdała. Wyżej ona patrzy i na mnie by ona się obejrzeć nawet nie raczyła. Ani pochlebstwy, ani podarunkami ujšć jej nie można dowiadczenia ma doć, a jeli prawda, wyżej ceni dostojęństwa i tytuły niż wszystko... Kto ze dworu cesarskiego pewnie piękniš jej ršczkę pochwyci...

Z licznym pocztem i okazałociš królewskš, w orszaku znacznym rycerstwa, Kamirz ostatnich dni marca wyruszył do Pragi w odwiedziny do cesarza.

CZĘĆ TRZECIA

KSIĘGA PIĘTA

Kochan Rawa stworzony był na pańskiego ulubieńca. Dobrze mu z tym zapewne było, gdyż nie życzył sobie więcej zostać niczym i do swego rzemiosła szczególne miał talenta, a w nim upodobanie.

Żył on w panu swym i więcej pewnie się nim troszczył niż on sam o siebie.

W czasie bytnoci swej w Pradze ze Szczedrzym, zobaczywszy na dworze cesarskim piękną Rokiczanę, której majestatyczna postać wpadła mu w oko, pomyślał zaraz o Kamirzu.

Taka niewiasta mogłaby go uczynić szczęśliwym! powiedział sobie w duchu.

Zaledwie mu to przebiegło przez głowę, gdy natychmiast posłał na zwiady, kto była, od kogo zależała, jak ją tam sądzono i co mówiono o niej.

Piękna Krystyna miała samych wielbicieli. Rodzina bogata, do której należała, szczyliła się nią jak perłą, na dworze cesarza należała do najszlachetniejszych piękności. Wychowanie, które odebrała, nadzwyczajna piękność, którą się od dziecka odznaczała, otwierały jej nawet cesarskie podwoje. Nie było też młodej niewiasty, która by w tańcu wydawała się zręczniejszą, grała lepiej na cytrze i piewała głosem wdzięczniejszym.

Oprócz języka czeskiego i niemieckiego, mówiła po włosku, rozumiała francuski, a co do obyczajów, nic jej zarzucić nie było można. Nie była wcale zalotna, prędzej odstręczała i do zbytku przez dumę surowa.

Znaczny majątek, nieposzlakowane imię, które nosiła, za wczesne uwielbienia tych, co się do niej zbliżali, uczyniły ją tak mało przystępną.

Wydana za mąż za młodego starszego znacznie od siebie człowieka, w krótkim z nim pożyciu zachowała się z godnością, lecz serce jej, które w małżeństwie nie miało udziału, nie rozbudziło się nim i pozostało zamknięte, ostygłe.

Po śmierci męża, zostawszy młodszą wdową, piękna, bogata, bezdzietna, po zrzuceniu żałoby rozpoczęła życie na nowo, okazując mnogim dworującym około siebie, iż nie będzie łatwą w wyborze.

Słusznego wzrostu, niecznej białoci, brunatnych włosów i oczu, rysów dziwnie pięknych i dostojnych, miała w istocie w sobie coś królewskiego, pańskiego, ale też i ten poważny chłód, i ten majestat obojętny życiu, którym się przystrojają królowie.

Rzadko kiedy umiał, jakby wymuszony, otwierać jej koralowe usta, rzadko wejrzenie powiedziało o wzruszeniu wewnętrznym. Natura czy życie nauczyło ją nie okazywać nigdy, co się działo w duszy. Można było sądzić, patrząc na nią wśród ożywionej zabawy, że jej była zupełnie obojętną. Przyjmowała słodkie nie okazując w nich smaku, przykrych rzeczy nie chcąc słyszeć. Nie mógł się nikt dotąd pochlubić, by go nad innych choć chwilowo przenosiła. Czasem tylko, gdy na dworze

cesarza zwabieni jej pięknociš dostojniejsi panowie, ksišżęta i hrabiowie zbliżali się do uroczej mieszczki, rumieniec twarzy jej okraszał, oczy ciemne miały iskierkę życia i pier przedszym poruszyła się oddechem. Pospolitiš gawied ledwie przelotnym wejrzeniem zaszczycała.

Życie jej od młodości spływało wśród dostatków i bez zajęcia. W domu miała liczne sługi, pod dostatkiem strojów i klejnotów, dużo czasu niczym nie zaprzętniętego, trawiła go więc ubierając się wykwintnie po kilka razy na dzień, brzdškajšc na cytrze, piewając piosenki, odwiedzając kocioły, słuchając rozmów przybywających gości.

Mówiła zwykle mało, a nie można było zaręczyć, czy jš obchodziły wielce rozmowy, których się zdawała słuchać z roztargnieniem.

Uczty i zgromadzenia, na których mogła ukazać się, tryumfować, zabłysnąć, może dla niej najmiłszymi były. Przed każdš z nich kilka sług musiało jš stroić, trefić, upiększać i godziny całe upływały, nim wreszcie sama sobš była zaspokojona.

Więcej jš obchodziło to, by wszędy była pierwszš i zagasila inne niż wszystko w wiecie. Opowiadanie o tym, jak ludzie się niš zachwycali, czyniło jš szczęliwš.

Zdawała się marzyć tylko o wietnej przyszłoci. Z rzadkich jej słówek odgadywała rodzina, iż nadzieje jej sięgały tak wysoko, że z trudności zicić się mogły. Miała jakby przecucie jakiego losu nadzwyczajnego, na który czekała.

W istocie ze dworu cesarskiego wielu znacznych panów żywo się niš zajmowało, lecz żaden z nich nie występował jako pretendent do ręki. Odprawiała też ich, przekonawszy się o tym, z dumš pogardliwš, nie chcąc nawet patrzeć, gdy jako proci wielbiciele powracali.

Niewiasty jej stanu, rodzina, pokrewni niezupełnie byli z niej radzi, lecz uwagi ich i przestrogi wcale na niš nie działały. Słuchała ramionami poruszając i zbywała ich umiechem dwuznacznym.

Młoda wdowa miała w domu przy sobie dalekš ubogš krewnš, staruszkę skromnš i cichš, bez której nigdy nie wychodziła i nie przyjmowała nikogo.

Była to powolna towarzysza, co na kształt sługi, której obowiškem było strzec tego skarbu i być wiadkiem życia...

Od czasu, jak Rokiczana dostała się na dwór cesarski i na wieczornych zabawach występowała, duma jej dawna wzrosła jeszcze.

Wszyscy też byli pewni, że potrafi rozmiłować jednego ze znakomitych panów i celu swojego dopnie. Lecz nie była zalotnš wcale, miłš być nie chciała, nie okazywała nikomu, by się jej podobał, niemal odstręczała chłodem. Ci, co się z poczštku cisnęli, wkrótce odchodzili od niej zrażeni.

Jeden tylko był, jeden, który dzieweczšk jš pokochawszy, gdy zamšż jeszcze nie wyszła, nie mogąc sięgnąć po jej rękę, bo był tylko stosunkowo mniej możnym, choć dostatnim mieszczarunem... miłował jš dotychczas wiernie.

Krystyna wiedziała o tym dobrze, ale patrzeć nań nie chciała, aby sobie próżnych nie czynił nadziei.

Jędrzyk z Podbrzeża, któremu rodzice zostawili piękny dom na Starej Pradze i ławkę towarów jedwabnych a tkanin, był mało co starszym od Rokiczany, urodziwym młodzieńcem, z głowś otwartś, lecz nie miał za sobś żadnej z tych zalet, których ona od przyszłego męża wymagała.

Tyle tylko, że jś kochał mocno i stale. Nie chciał się nawet żenić nie mogśc wyrzec nadziei, że może mu jakim cudem szczęście zawieci.

Patrzył na niś z dala, czasem zbliżyć się starał nigdy nawet dobrego słowa nie zyskał; cierpiał to nie skarżśc się i milczał.

Lecz z oczu jej nie tracił. Wiedział najlepiej o każdym jej kroku, o każdym żsdaniu i pieszył zawsze ze spełnieniem go, nie myślśc nawet o podziękowaniu.

Miłość jego była nie wymagajšca i gdy swś królowę zobaczył idšcś z dala, gdy przeszła koło niego, a spojrziała choć dumnie, Jędrzyk miał wesela i szczęcia na długo!

Jej o nim ani mówić nie było można, bo jś oburzało, że jaki kupczyk miał kochać się w Krystynie, wdowie po Rokiczanie i na niś oczy podnosić.

Wszystkie te opowiadania o piękności, która go tak zachwyciła, Kochan łatwo pozbierał, mnogie majśc w Pradze stosunki; włanie taka kobieta zdawała mu się zrodzona na to, by zastšpiła królowę.

Miłości dotychczasowe Kamirza, o których tyle mówiono i na oczy mu je wyrzucano, nie mogły się nazwać tym imieniem.

Największa piękność, największa młodoć nie zdołała Kamirza stale przywišzać. Zrażał się nieokrzesaniem, prostotś obyczajów, brakiem myli i wprędce te kilkodniowe kochanki porzucaj

Z rozmów z królem Kochan miarkował, że Kamirz marzył o niewiecie jak Margareta i więcej pragnł ducha niż krasy.

Rokiczana temu ideałowi najlepiej odpowiadała; nawet jej zimna powaga i obejcie się dumne mogło być dla króla pocišgajšcym.

Tak! ta nam zastšpi królowę!! powtarzał Kochan przybywajšc do Pragi.

Przyjęcie króla polskiego równie było wietne i uprzejme jak za lepego króla Jana...

Cesarz niemiecki, który braterstwo Kamirzowi przysiğł, witał go jak brata.

Na cały czas kilkodniowego pobytu pierwszych dni kwietniowych przygotowane były zabawy, turnieje, łowy, uczyty, tak że goć nie miał prawie chwili spoczynku.

Pierwszego zaraz wieczora Kochan, bęđšcy w orszaku króla, postarał się zwrócić jego uwagę na piękniš Rokiczaną. Kamirz już jś był wyróżnił, nie wiedzśc jeszcze imienia, takim blaskiem

promieniała jej piękność dnia tego. Nie miał jednak zręczności zbliżyć się ani przemówić do niej.

Oczy jej zwracały się ciekawie na polskiego króla, który powierzchownościś pełnś godności i dobroci mógł się podobać, choćby nie był monarchś panującym.

Nie pierwszej młodości, Kamirz zachował w postaci, w ruchu, na twarzy ożywionej, w wejrzeniu bystrym i rozumnym nieprzeżyty zasób życia. Był młody jeszcze duszś i ciału zestarzyć się nie dawał.

Innych też niewiast oczy zwracały się nań z przyjemnościś, z zajęciem, a bogaty bardzo strój, klejnoty, którymi był okryty,; smakowny ubiór piękniejszym go jeszcze czyniły dnia tego.

Przyczyniała się do rozjania twarzy i radoć, którś nader gocinne obudziło przyjęcie.

Bardzo prostego a odwiecznie znanego chwycił się rodka Kochan usiłując zbliżyć do siebie tę parę, którś chciał skojarzyć.

Nazajutrz rano postarał się o to, aby go do jej domu wprowadzono... Jeden z komorników cesarskich, majścy wstęp i znajomość z całś Rokiczanów rodzina, podjął się go wziąć z sobś.

Piękna Krystyna zrazu dworzanina królewskiego posśdzając o jakie zuchwałe marzenia, dosyć zimno przyjęła.

Wprędce jednak rozbroił jś pieszśc z tym, iż pan jego od wczorajszego wieczora nie miał spokoju, wciśz myśląc o niej a wielce w niej będąc rozmówany.

Cicho wyszeptana wiadomość ta wywołała rumieniec i widocznie dumę połechtala. Po chwili jednak odparła sznurując usteczka.

Wszakże król polski ma żonę?

Tego pytania nie spodziewał się wcale Kochan i nie był na odpowiedź przygotowany.

Król, pan mój rzekł od lat wielu ani żyje z żonś, ani jej widzi... Małżeństwo to zapewne przez papieża rozwiążane zostanie...

Z tś swobodś, jakś ówczesny obyczaj usprawiedliwiał, Krystyna po namyle rzekła:

Ale mówiś o panu waszym, że miłonie ma wiele i płochym jest.

Kłamstwo to zmylili księża, którzy by go do pożycia z kobietś brzydkś i dla niego nieznonś zmusić chcieli odezwał się Kochan. Kamirz w lada pierwszej niewieście się nie rozmiłuje... Lepszego pana i lepszego serca nad jego nie ma na wiecie dodał Kochan. Żal mi go, że tu przyjechał, aby spokój utracił i potem tęsknił tylko za wami.

Umiechnęła się Krystyna nic nie odpowiadając. Pochlebiało jej to wielce.

Wiem poczśł dalej Kochan jakby się pragnśł zbliżyć do was... Nie pozwolicie mu, aby dom wasz

odwiedził kiedy?

Jakkolwiek może w sercu rada tej probie, wdowa nie mogła od razu się do niej przychylić. Zarumieniła się mocno, potrzęsała głową i odparła:

Nadto by ludzie o tym mówili, bo choć nasz dom bardzo dostojnych nieraz przyjmował gości, królowie w nim nie bywali a ja czci mojej strzec powinnam...

Zaprzeczył Kochan żywo, by odwiedziny króla mogły szkodzić sławie jej, lecz Krystyna na ten raz słuchać już więcej nie chciała. Potrzęsała głową, nie mogła zezwolić na to.

Kochan nie nalegał.

Krótko zabawiwszy i dla siebie wyrobiwszy zezwolenie, ażeby mógł nawiedzić wdowę, oddalił się. Powrócił co najpieszej do króla na zamek i znalazłszy chwilę sposobną począł mu opowiadać, jako wszystkim to uderzyło, że piękna Krystyna ciągle za nim oczami goniła, a z własnych jej ust słyszał, jak wychwalała postać i twarz króla polskiego...

Tak z obu stron przygotowawszy rolę, Kochan pewien był już, iż lada zbliżenie stosunki cielejsze zawiąże i zacierając ręce powtarzał swoje:

Ta nam zastąpi królowę...

Przez wszystkie dni pobytu Kamirza w Pradze, po turniejach i rozdaniu zwycięzcom nagród przez panie, następował zwykły taniec i zabawa wesoła.

Kochan, który miał mnogich przyjaciół na dworze, podszeptał urzędnikom cesarskim, którzy przy tańcach i rozsadzaniu niewiast porządki utrzymywali, aby Krystynę Rokiczanę starali się zbliżyć do króla nie okazując, iż to czynili z umysłu.

Z umiechem przyjęło wniosek, gdyż wszyscy starali się być dla dostojnego gościa jak sam cesarz uprzejmi. Nie dziwiło nikogo, iż wdowa podobać mu się mogła.

I złożyło się zaraz tak, iż po turnieju wchodząc do sali Kamirz się znalazł w pobliżu Krystyny...

Oczy jej miało go zmierzyć... a choć była paniś siebie, twarz, po której przebiegła żywiej krew, lekkie ust drgnięcie, zdradziło wewnętrzne uczucie. Była to gra miłości własnej, połączanej przyjemnie, lecz trudno już od innego wrażenia rozróżnić było.

Z łatwości przyszło Kamirzowi przybliżyć się do pięknej mieszczki, która dnia tego z nadzwyczajnym smakiem i bogato była strojna. Pas jej szczególnie, sadzony drogimi kamieniami,

strumienie pereł na szyi, czołko wiecześnie rubinami, zwracały zazdrosne oczy kobiet.

Król znalazłszy się tak blisko, iż rozmowę mógł rozpocząć, wprost zagaił już wielkim uwielbieniem nadzwyczajnej piękności.

Miłość wasza odpowiedziała miało Rokiczana musiało wiele w życiu widzieć pięknych, a nie powiniene sǳić, że przesadzonš pochwałš potrafisz z ubogiej mieszczki praskiej zażartować.

Wzišłbym was za królowę! odparł Kamirz gdybym już wczoraj, tš pięknościš uderzony, nie spytał o nazwisko.

Było to potwierdzenie tego, co Kochan mówił jej rano. Rokiczana się umiechnęła.

Wielka to czeć dla mnie odpowiedziała spuszczajšc oczy lecz łatwo by się też ona w smutek mogła zamienić, gdyby nie to, że prędko przeminie pamięć...

Nie dał król dokończyć.

Piękna Krystyna rzekł pewnš być może, iż póki żyw,
o niej nie zapomnę.

Wasza miłość snad od francuskich trubadurów uczyłe się słów pięknych, którymi biedne zwodzš niewiasty, lecz i my też wiemy, co one wažš odezwała się Krystyna.

Kamirz wpatrzywszy się w niš bardzo miało, a lubujšc się wielkiej piękności, nie znalazł na to wprędcie odpowiedzi. Wzrok ten badawczy i przeszywajšcy, który zdawał się przebijać zasłony, poczuła dumna Krystyna, wyprostowała się, spojrzwała z góry

i odezwała cicho:

Królewskie względy dla nas niewiast nie zrodzonych do tronu, często wielkim bywajš nieszczęciem...

Ruch, który zdawał się oznajmywać, że odejć chciała, zmusił króla do piesznej odpowiedzi.

Przecież i królom wolno jest i piękność w niewiecie uczcić... i czuć dla niej miłość, jak innvm ludziom.

A! miłość z szyderczym umieszkiem przerwała Krystyna nie przychodzi tak prędko... królowie nawykli, aby im

służyło wszystko, a uczciwa niewiasta o takiej miłoci słuhać nie powinna.

Nie gniewajcie się, piękna Krystyno zawołał król miejšc się. Obrazić bym was nie chciał, raczej zjednać sobie...

Nie czuję się godnš tego odparła wdowa. Może być, że wasza królewska moć spotykał w życiu takie, które się dały wzišć na jeden umiech i słowo... ja do nich nie naležę...

Nie žsdam nic więcej nad trochę życzliwoci rzekł Kamirz i choć piękna Krystyna bardzo jest srogš, nie wyrzekam się nadziei, że bliżej poznawszy mnie, łaskawszš będzie...

Rozmowa króla z Rokiczanaš powszechnš już zwróciła była uwagę; pokazywano ich sobie palcami. Wdowa była i rada, i dumna, ale musiała okazać przed ludmi, jakby drożyła się z sobš i natychmiast wymknęła szukajšc niewieciego towarzystwa. Odchodžc jednak, wbrew temu, co usta rzekły, spojrzła na króla wielkimi oczyma tak wyrazicie, umiechnęła się tak uprzejmie, iż serce mu żywiej uderzyło...

Zabawy na dworze przecišgnęły się do póna. Nazajutrz jeszcze Kamirz miał w Pradze pozostać, lecz ważne sprawy powoływały go nazad do Krakowa.

Rozpoczęte małostki, którym Rawa tak dzielnie dopomagał, nie obiecywały nic więcej nad miłe po sobie wspomnienie. Z powziętych wiadomoci Kochan się mógł przekonać, że piękna Czeszka żadnymi obietnicami ani ofiarami ujšć się nie da. Król, dla pozyskania jej, dłużej zabawić nie mógł, do Krakowa jš cišgnąć nie było podobieństwem. Ulubieniec łamał głowę nad tym, jak jš pozyskać dla pana.

Ostatniego dnia pobytu były łowy w Zwierzyńcu, potem uczta, która się zakończyła tańcami; Rokiczana nie pokazała się dnia tego. Kamirz powrócił do swojego mieszkania wczynie, bardzo niespokojny i zajęty tš pięknościš, tak do pozyskania trudnš.

Nie było jej odezwał się do Kochana niespokojny nie mogę odjechać bez jakiej nadziei... Co poczyć?

Waszej miłoci teraz ic do niej nie podobna odparł Kochan. Głono by o tym mówiono, a to by u niej więcej zaszkodziło, niż pomogło. Dba wielce o sławę swojš.

Id ty w poselstwie ode mnie zawołał Kamirz zdejmujšc piercień z palca z kosztownym szafirem. Zanie jej ten mały podarunek jako pamištękę ode mnie i powiedz, że jš do Krakowa zapraszam, że jš przyjmę jako królowę.

Rawa ramionami ruszył.

Z tego, co wiem, wnoszę, że jš chyba istotnie królowš czynišc dostać można odparł ulubieniec. Pójdę jednak szczęcia próbować.

Największe ofiary dla niej nie będš mnie kosztowały rzekł rozmiłowany król. Wyrozumiej jš, mów otwarcie i powracaj mi z dobrš wieciš.

Kochan poszedł na miasto nie bioršc nikogo z sobš, gdyż chciał się sam na sam z piękniš wdowš rozmówić.

Rokiczana dnia tego miała zaproszenie na zamek na dwór cesarski tak jak dni innych, lecz przebiegła i po kobiecemu obrachowujšc postanowiła się uczynić chorš trochę i okazać tym, że pięknymi słowy króla ujšć się nie daje.

Była pewniš, że Kamirz nie wyjedzie, nie zgłosiwszy się do niej, nie dajšc życia znaku. Czekwała. Przez cały ten dzień siedziała wystrojona, chodziła do okna, spodziewała się jakiego poselstwa i dotrwała tak w próżnym oczekiwaniu do wieczora.

Nie było u niej nikogo, oprócz starszej towarzyszki, lecz wiatła stały zapalone w komnatach i wieczorne nawet przyjęcie złożone z wina, ciasta i słodczy, stało na stole w pięknych naczyniach. Tymczasem godzina coraz póniejsza mało już dawała nadzieję odwiedzin, gdy Kochan zjawił się u drzwi dopraszając posłuchania.

Uczyniono mu dla formy trochę trudności, ale go wpuszczono do wdowy.

Krystyna przyjęła go chłodno, z powagą wielką i zdziwieniem. Rawa poczył od tego, iż pan jego, nie widząc jej na zamku troszczył się o jej zdrowie i przysłał umylnie się o nie dowiedzieć.

Wdowa odpowiedziała, że istotnie czuła się zmęczoną i nie bardzo zdrową i dlatego została w domu.

Tym bardziej to króla pana mojego obeszło rzekł Kochan iż zmuszeni jesteśmy powracać do Krakowa i smutnym bardzo odjedzie nie widząc jej, gdyż srodze jest rozmiłowany.

Rokiczana się umiechnęła.

O, mężczyźni zawołała a szczególnie królowie łatwo się kochają, a zapominają łatwiej jeszcze! Szkoda, że pan wasz innej sobie gładkiej twarzyczki na tych dni kilka nie znalazł, która by się łatwiej dała ująć. Nie jestem niedowiadzoną dziewczynką! wierzcie mi nie mam ochoty być igraszką na dni kilka, choćby największego monarchy!

Rawa tym obrotem rozmowy zmieszał się trochę.

Pan też mój rzekł po namyśle nie chwilowo powziął dla niej miłość, ale taką, która trwać będzie pewnie, byle znalazła wzajemność. Najlepszym dowodem tego, iż wysłał mnie tu umylnie do niej, sam nie mogąc przyjść, aby się na jej gniew nie naraził, i prosi, aby mu dobrą pamięć zachowała, gdy na ten mały podarek wejrzysz czasami.

Podał jej piercień piękny z szafirem, którego cenę Rokiczana łatwo mogła odgadnąć. Zarumieniła się, zmieszana i ręką naprzód odsunęła piercień okazując się jakby obrażoną.

Kochan nalegał przedstawiając, że królom przecież przystało i było we zwyczaju podarki dawać tym, którzy się im podobać umieli.

A nie chce go piękna Krystyna wziąć tak rzekł bez wywzajemnienia, to proszę w zamian o lada jaki piercionek lub obrączkę, a najprostszą z ręk jej królowi będzie najmiłszym.

Wdowa wahała się, spoglądając na szafir, na podłogę, na ręce swe... i nagle podnosząc głowę, miało patrzeć na Kochana, poczęła:

Miły pole królewski, który umiesz tak dobrze sprawy pana swojego popierać, jakby nie po raz pierwszy miał z nimi do czynienia, mówmy lepiej otwarcie...

Tak, bądź szczerą, piękna Krystyno, a powiedz, pan mój nie jest ci wstrętliwym? zawołał Kochan.

Choćby mi najmilszym był odpowiedziała wdowa żywo i choćby jeszcze jedno miał tak wielkie królestwo, jak to, które posiada... cóż z takiej miłości? Ja na miłonicę nie jestem stworzona i płocho nie pójdę ze spokojnego mojego domu na jaki dwór, z którego bym ze sromem powróciła. Wy to sobie powiedzcie zawczasu. Podarki, namowy, podejcia, obietnice... wszystko to się na nic nie przyda. Moja cześć nad wszelkš miłość więcej warta; tej nie oddam za nic. Zatem próżne zabiegi wasze!...

Kochan, zbity tak stanowczo, nie uważał się jednak za zwyciężonego. Naprzód wiedział dobrze, iż kobiety zwykły drogo się; cenić, aby więcej były cenione, gdy w końcu ulegną... nie bardzo wierzył tej tak rzekiej odprawie potem zyskać chciał na czasie, bo czas zmienia najstalsze postanowienia.

Piękna Krystyno rzekł z umiechem wiele znaczącym. Tam, gdzie jest wielka miłość, jak w sercu pana mojego dla was, znajdš się i rodki do zaspokojenia jej... któż wie? Małżeństwo nie jest niepodobieństwem, korona mogłaby spocząć na pięknym jej czole... To co warto przecie, ale trzeba za to cokolwiek życzliwoci okazać, nie odrzcać tak, nie zrażać.

Krystyna słuchała z uwagš.

Wy mówicie przerwała jak szatan do Ewy w raju. Tamten jej obiecywał wiadomość wszystkiego; wy mnie, jak dziecku cacko, ukazujecie koronę z daleka, ale ja, ja nie wierzę... nie, nie!

To mówiąc, machinalnie jako wzięła ze stolika leżący piercień z szafirem, włożyła go na palec, zwróciła rękę przeciw wiatłu i umiechnęła się pięknej wodzie kamyka. Był to znak dobry!

Macie słuszość dodała za podarek należy się królowi wywdzięczyć podarkiem także, ale ja, biedna wdowa, nie znajdę nic godnego tak wielkiego pana...

Zwolna cišgnęła rubin z ręki, niewielki, lecz przedziwnego blasku, z zalotnościš, niby dla pożegnania z nim, do ust go przyłożyła i rzuciła na stół przed Kochana.

Ten pochwycił go łapczywie.

Nabrał on wysokiej ceny, gdy usta wasze na nim spoczęły... odezwał się chowajšc go starannie. Powiem królowi, żecie mu z nim całus przesłali.

Nie powialicie mówić tego miejsc się zalotnie rzekła Rokiczana było to pożegnanie z miłym mi piercieniem... Nic więcej.

Rawa szyderskš zrobił minkę.

Wszystko jedno! zawołał wy sobie mówcie pożegnanie piercienia, ja powiem całus dla króla! Niech się biedny choć tym pocieszy. A jutro, piękna Krystyno, gdy z Pragi wycišgać będziemy rannš godzinš, pan mój pod oknem waszym przejeżdżać będzie... wyjrzyjcie ku niemu, skłońcie mu głowš proszę!

Na to nie odpowiedziała nic wdowa, zajęta nalewaniem wina słodzonego i zaprawnego dla Kochana i przysuwaniem mu przygotowanych słodczy.

Jak gdyby, wypowiedziawszy na początku, co jej ciężko najwięcej i co za konieczne uważała, teraz swobodniejsz się czuła, twarz nawet przybrała weselsz i z większ uprzejmociś przyjmowała posła.

Ten sprawiwszy, co mu zlecono, rozpoczął opowiadanie o panu swym, mocy jego, potędze i bogactwach.

Mogł sobie ludzie po wiecie pleć o nas, co chcł odezwał się do niej że kraj nasz jednś jest puszczał dzikś, że miast nie mamy i grodów kamiennych, że żyjemy w skórach chodząc zwierzęcych, a żywimy się kasz i mśkś... lecz gdybycie skarb królewski zobaczyli, stopy srebra i złota, całe korce pereł, opon szkarłatnych seciny, futer kosztownych tysiścami, naczyń pięknych, choć na przyjęcie gromad całych, dopiero bycie wiedzieli, co jest ów król polski!... A na dworze też naszym, również jak siostry jego, królowej Elżbiety, nie zbywa ani na rycerstwie pięknym, ani na piewakach, muzykach i ludziach mśdrych, bo w tych się ,om kochajś. I życie u nas nie tak smutnie płynie, jak się z dala zdawać może.

Wszystkiemu temu wierzę odezwała się Rokiczana ale cóż mi po tym? ja tego widzieć nie będę.

Dlaczego? przerwał Kochan ja nie tracę nadziei, że was na dworze naszym widzieć będziemy.

Spojrzeli na siebie. Rokiczana spoważniała znowu.

Na to by potrzeba rzekła żeby król był wolnym, ja małżonkś jego została inaczej nie zobaczycie mnie tam!

Kochan zamilkł i zwrócił rozmowę znowu.

Na wiecie dziejś się rzeczy wielkie i niespodziewane przez miłość dodał ale na to potrzeba, aby ona była wzajemnś.

Wdowa znaczącym spojrzała wejrzeniem.

Mylicie być znowu kiedy w Pradze z panem waszym? zapytała.

Bywalimy tu często i, da Bóg, nie jeden raz jeszcze zjedziemy; piękne oczy wasze nas tu przyprowadzś pewnie!

Zatem kielich ze szkła weneckiego, który w ręku trzymał, wypiwszy za zdrowie wdowy, rękawiczki założone za pas wziśł Kochan i zabierał się do odwrotu.

Dajcie mi jeszcze rzekł na ostatek dobre jakie słowo dla pana mojego, lżej nam będzie jechać precz.

Wszystkocie już słyszeli, com do powiedzenia miała odezwała się nie wstajśc Rokiczana. Powiedzcie mu wdzięczność mojś i to, że lepiej, aby zapomniał o mnie, niżby miał o tym marzyć, iż czci się mojej dla niego wyrzeknę. Droga do mnie przez kociól tylko!

Mówiła tak, lecz wyraz twarzy nie był ani odstraszałcy, ani surowy i kazał się więcej spodziewać,

niż obiecywała.

Rawa skłonił się z poszanowaniem, choć na ustach miał szyderski nieco wyraz, zapewnił wdowę, że wiernie poselstwo jej sprawi i powoli wysunął się z domu, na zamek powracając.

Nie zdawało mu się jednak koniecznym królowi zdać zbyt szczegółowś sprawę z rozmowy; przyniósł mu piercień, zapewnił, że Krystyna dlań bardzo życzliwa, zaprasza go z powrotem do Pragi i kazała mieć najlepszś nadzieję.

Droży się piękna wdowa dokończył mówi o lubie i kociele, wysoko się ze czciś nosi, ale to sś znane piosnki, które one wszystkie nuczś... Żal jej będzie króla stracić, bo ich na wiecie równych naszemu niewielu i, gdy się jej piękny zamek, dwór i skarbczyk przygotowuje, pójdzie do złoconego gniazdka ptaszyna...

Tak sśdził Kochan, ale w przewidywaniach swych się mylił. Rokiczanów rodzina liczyła się do najbogatszych i najzaciejszych w Pradze. Zmarły w roku 1346 mśż Krystyny, Miklasz, sam kosztem swym założył był kociół w. Ducha na Starym Mieście, niejedyn raz pieniędzmi przychodził w pomoc królowi Janowi, cesarzowi i miastu. Wbijało to w dumę wdowę, a rodzina liczna stała też na straży jej czci.

Głono mówiono w Pradze o rozmiłowaniu się króla polskiego w Krystynie, ale poruszano ramionami na to utrzymujśc, że z miłoci tej nic być nie może. Na kochankę Krystyna była zbyt dumna i o dobrś swś sławę troskliwś, a żonaty król za małżonkę jej wziśc nie mógł.

Jędrzyk, który z zazdrociś kochanka szpiegował, co się działo około dworu wdowy, wiedział, że wkrótce po bytnoci króla jedzili jacy posłańcy, przynoszono podarunki, lecz ramionami ruszał na to i miał się. Nadto znał dobrze Krystynę, aby się obawiał o niś.

Król do Krakowa powróciwszy Kochanowi nie dawał spoczynku... zajęty był pięknaś wdowś, jakby mu młodsze wróciły lata. Nie tyle może wdzięki jej, jak powaga i ogłada miały urok dla niego. Skazany na miłostki, które w nim wstręt i odrazę budziły, pragnł jakiego stałego przywiśzania dla serca, domowego szczęcia spokojnego, którego nie miał.

Rawa widząc ten zapał i niecierpliwoć Kamirza łamał sobie głowę, czym by wdowę mógł skłonić do powolności.

Dwa razy potajemnie jedził do Pragi i wrócił z jednś zawsze odpowiedziś, że droga do niej przez kociół prowadzi.

Adelajda Heska stała na zawadzie, bo choć zerwanie tego zwiśzku obiecywało królowi, nikt się go wyrobić nie podejmował u papieża.

Pomimo wszystkich spraw ważnych, które w tych czasach zajmowały króla, miłoc owa nie wychodziła mu z myli.

Doprowadziwszy do skutku zwiśzanie hołdem Mazowsza z Koronaś, ustanowiwszy ów upragniony trybunał wyższy dla sśdów niemieckich w Krakowie, Kamirz, nękany przez siostrę i Ludwika,

siostrzeńca swego, o przekazaniu mu korony, o co już umowa stanęła ponowiona, tym więcej gryzł się brakiem potomka płci męskiej.

Małżeństwo z Adelajdą odejmowało mu nadzieję wszelką.

W jednej z tych chwil rozdrażnienia i niecierpliwości, jakie to położenie często, wywoływało, przybywający z Tyńca ks. opat Jan zastał go tak smutnym i przybitym, iż własną gotowość i gadatliwość musiał podwoić, aby króla wywieść ze stanu tego.

Król przed nim nie ukrywał przyczyn goryczy.

Przeklęta wróżka miała słuszość mówił doń wszystko mi w życiu się powiedzie... dla kraju uczynić zdołam, co zamierzałem, sobie szczęścia znaleźć nie potrafię! Nie posłdzam nieboszczyka króla Jana i cesarza Karola, aby ze złych woli i wiadomości skutków narzucił mi te kajdany; lecz gdyby nie to nieszczęsne ożenienie moje, ten kamień uwiśzany u szyi, miałbym synów, Ludwik by mi nie wyrwał korony, nie byłbym ostatnim!...

Opat, jakemy mówili, był jednym z ludzi najlżejszymi; gdy szło o wygodne tłumaczenie niewygodnych praw kocielnych, miał na wszystko łatwą radę.

Lecz ja waszej miłości mówiłem i powtarzam odezwał się że to małżeństwo, bez pożycia z żoną blisko lat piętnaście trwające, nie ma żadnej wagi, nawet wedle praw kanonicznych. Wasza królewska moc jeste wolny, ale potrzeba mieć odwagę w sobie, powiedzieć i działać do tego stosownie.

Król zdumiony nań patrzył.

Tak jest, tak jest powtórzył opat małżeństwem tego nazwać nie można...

Któryż by z duchownych lub mi się dać ważył, nim to papież rozwiśnie? odezwał się król a czekać na rozwiśnięcie jakiegokolwiek sprawy w Awinionie.. to i życie upłynie. Nikt mi lubu nie da!

Opat skłonił się królowi i z umiechem a fantazją rzekł:

Ja dam, miłościwy panie! Wprawdzie do małżeństwa królewskiego, co najmniej, potrzeba by biskupa, ale z ks. Bodzantem dojść do sprawy trudno, a ja, choć biskupem nie jestem, infułę noszę i gdy się przystroję, wcale poważnie wyglądam.

Kamirzowi wydawało się to tak nieprawdopodobnym, iż w miech obrócił obietnicę.

Ks. opat powtórzył ją.

Znajd tylko miłość wasza oblubienicę wedle serca swojego, ja nie cofam, com rzekł. lub dam.

Kamirz zadumał się nad tym mocno, nie mówił więcej lecz nie zapomniał.

Wieczorem, gdy do ks. Jana nadszedł Kochan dla rozmowy o panu swym i wielkim utrapieniu, jakiego doznawał, widząc go tak dręczącym się i bezdzietności, i życiem samotnym, opat mu przerwał

żywo.

Niepotrzebnie stękacie! mówiłem to królowi, powtarzam wam, niech Kamirz sobie znajdzie żonę ja lub mu dam. Ja! słyszysz? Jak mnie oto widzisz żywego. Nie lękam się... Papież po namyśle tamto małżeństwo z Adelajdą uzna za nieważne. Co za zwiśzek, gdy lat piętnacie z sobą nie żyjś. Narzucili mu gwałtem babę brzydką i nieznośną, nie zbliżył się nawet do niej, mężem jej nie był i nie jest.

Może to być? zawołał Rawa.

Mogłoby być, gdyby tylko król odwagę miał taką, jaką ja mam.

Na odwadze mu nie zbędzie, bo umęczony jest i bezdietnościś tą, i życiem bez rodziny w pustym domu, a miłości mu już obrzydły. Ale któraż księżniczka albo wielkiego rodu pani zechce wyjść za niego, gdy jest wstępliwoc... gdy...

A wam koniecznie księżnej potrzeba! rozmyślał się opat przeciw królewskie dziecię, z jakiej bśd małżonki prawej zrodzone, takim będzie królewiczem, jakby w nim nie wiem czyja krew płynęła. Była młodsza była a miłś mu i potomka dać mogła. Niech bierze, kogo chce!...

I opat raz jeszcze powtórzył wesoło, ręką błogosławiąc, jakby już lub dawał.

lub ja dam! Stał Rawa zadumany.

Hm! rzekł król w Pradze będąc u cesarza napatrzył sobie niewiastę, która mu bardzo w oko wpadła. Jakiego stanu? zapytał ks. Jan.

Mieszczka jest, ale bogata; poznał ją przecie na dworze, czasu zabaw cesarskich. Nienazbyt młoda, urodziwa, poważna, stateczna wdowa po Rokiczanie...

Ks. Jan odwrócił się żywo, bo nieraz w Pradze bywając znał tamtejsze stosunki.

Wiem ją rzekł mąż Miklasz przecie kociół swym kosztem zbudował. Ród dobry, choć mieszczański; niewiasta z urody słynna i nikt na nią złego słowa powiedzieć nie może.

To prawda rzekł Kochan lecz na królowę tego wszystkiego mało.

No, to szukajcie innej; po Niemczech dziewcząt w księżących dworach dosyć, ale stamtąd pono drugiej nie dadzą, Z Rusi król nie zechce, bo się drugiej Aldony prostaczki obawiać będzie.

Pokręcił głową wesoły ksiądz.

To nie moja rzecz wam swatać! Szukajcie niewiasty, a ja com rzekł, nie cofnę; powiadam raz jeszcze jak mnie żywym widzicie, lub dam.

Cóż na to powie biskup krakowski spytał Kochan.

Wolno mu powiedzieć, co chce odparł opat nie lękam go się. Lepiej jest lub dać, niżby miał się

zagryć i zmarnieć...

Kochan wyszedł równie głęboko zadumany jak król po rozmowie z opatem. Nazajutrz razem jechali na łowy, a kto by nie znał ks. Jana, nigdy by w nim benedyktyna i infuls przyozdobionego opata się nie domylił.

W krótkiej sukni, z mieczykiem u pasa, który niby usprawiedliwiała prawo, pozwalające w obronie życia nawet duchownym używać oręża (a na łowach zwierz się mógł trafić drapieżny), na dzielnym koniu, którym władał jak rycerz, w płaszczu zarzuc—

nym niedbale na ramiona ks. Jan stawił się młodo, pięknie, rano, lecz księdza w nim nie zostało ani ladu. Wielka tylko pewność siebie, wejrzenie miałe i częste, z przyzwyczajenia rękš prawš popieszenie udzielane błogosławieństwa, kazały się duchownego domyłać.

Dobrej myli zawsze, do rozmowy swobodnej ochoczy, do uczy towarzyszy chętny, niezbyt dla ludzkiej ułomności surowy, ks. Jan miał wielkš miłość u wszystkich, lecz surowsze duchowieństwo koso nań spoglądało, o co wcale się nie zdawał troszczyć.

Król bardzo go lubił i, jak mógł, ku sobie przynęcał, i przy, sobie utrzymywał.

W czasie łowów, na odpoczynku w lesie, ległszy przy królu, ks. Jan wczorajszš rozmowę wznowił.

Miłociwy panie! szukajcie oblubienicy księdz i sługa gotowi!... Kochan prawi co o Rokiczanie.

Spojrzał na Kamirza, który drgnł, bo od wczora jš też miał na myli.

Niewiasta, jakiej się i na cesarskim dworze dziwowano, i pierwsze miejsce dawano rzekł Kamirz. Nie kryję się z tym, podobała mi się bardzo, przyłgnęło do niej serce moje... Na skroniach jej i korony nie będzie nadto...

Gdy się lat tyle dręczyło majšc to, czego kochać nie było można odezwał się opat czas wziąć to, co się miłuje. Alboż to królowie mieszczanek nie zalubiali, a w rzymskich dziejach, ba i w innych sš przykłady i dziewczek chłopskich! Jeli sercu miła... na co innej szukać?

Król zarumienił się i rękę doń wyciśgnł.

Czekajcie mała, księże opacie rzekł któż wie? wezmę was może za słowo...

Ks. Jan ochoczo i natarczywie znowu się ze swš posługš ofiarował.

Wrócili do Krakowa i tegoż wieczora Kochana król od warcab z Dobkiem oderwał pozrywając go do siebie.

Słuchaj odezwał się do wchodzącego zbliżając się z niecierpliwością, jakš zwykł był okazywać, gdy mył wziął goršco

do serca słuchaj, potrzeba mi tu się zatrzymał i namyślał trochę.

Potrzeba mi do Pragi zbiec, lecz nie chcę, aby ktokolwiek bšd wiedział o tym, iż tam będę.

Dla Rawy nie było w tym nic nad miarę trudnego.

Pojedziemy rzekomo na łowy odezwał się któż nas ledzić będzie? W podróży sposobów jest doć, by się nie dać poznać.

A w Pradze? rzucił król i sam zaraz dodał: Przodem słać trzeba do Pragi.

Kochan celu podróży dorozumiał się łatwo.

Jeli do Rokiczany w poselstwie jechać, jam gotów

rzekł.

Na nic się nie zdały posły i poselstwa odezwał się król ja się sam z niš rozmówić muszę. Chwila przyszła stanowcza... ks. Jan ofiaruje się lub mi dać. Na wszystko się ważę, bylem miał nadzieję, ze krwi mej Ludwik korony nie wydrze! Rokiczana mieszczkš jest, ale królowš być godna.

Rawa bynajmniej się nie sprzeciwiał temu. Dobek Bończa, przezwany Fredrš, mógł dla bezpieczeństwa towarzyszyć Kamirzowi, bo na jego przytomność, odwagę i olbrzymiš siłę miało rachować było można; Rawa sam chciał przodem do Pragi, aby gospodę pewnš przygotować i wdowę uprzędzić.

W krótkich słowach wszystko tak postanowionym zostało, jak król życzył, a Kochan doradzał. Dniem jednym miał on uprzędzić Kamirza, który z małym poczem nazajutrz po nim pucić się chciał do Pragi.

O wicie w kilka godzin, zakapturzony Kochan wyruszył najkrótszš drogš, przesmykami i manowcami dobrze znajomymi do czeskiej stolicy.

Gospodę na Starym Mieście miał już u mieszczanina Wujka, u którego parę razy stawał; szło tylko o obmylenie jej dla króla i rozmowę z Rokiczana.

Obrachował i tak się złożyło, aby o mroku, a przed zamknięciem bram wjechać do miasta i do Wujka prosto pocišgnąć. Pewien był tu dobrego przyjęcia, bo się szczerze opłacaj a Wujkowa córka, piękna Zonia, zalotne, wesołe dziewczę, którš sobie pozyskał, bardzo mu była rada.

Wiedzieli lub domylali się wszyscy, z czym tak często przybywał, i nie czynili z tego tajemnicy.

Zoni też, szczebioczšcej chętnie, trudno było cokolwiek utrzymać w sobie; wypaplałaby była własny grzech, tak jš język wierzbiał. Sama do zbytku zalotna, rada była drugim służyć zalotom, bo się, jej zdawało, że to jš uniewinniało.

Włanie był zajechał Kochan i w danej mu izbie się przebierał, gdy stojšca w progu Zonia postrzegła przechodzšcego Jędrzyka. Znała go dobrze i o jego miłoci dla Rokiczany wiedziała. Litowała się nad nim i podżartowywała sobie z niego. Szedł z głowš spuszczonš mimo jej, gdy swawolne dziewczę

nachyliło mu się do ucha i zawołało:

Powie się, Jędrzyk! powie! Taki oni ci Krystynę wezmś. Znowu od króla polskiego przyjechał ten, co jej klejnoty wozi; żeby, kamiennś była, musi wreszcie zmięknś... Ha! szczęliwa niewiasta!

Stanś Jędrzyk i namarszczył się mocno; tego mu włanie potrzeba było, bo już z dawna na Kochana czatował. Miał zamiar ostro natrzeć nań i spróbować odpędzić zabiegajścych około wdowy. Miał na sercu jej czeć i zazdroć go piekła.

Zonia spłatawszy figla tego pierzchnęła miejsc się na górę. Jędrzyk się przyczaił w rogu kamienicy.

Nic nie wskórajś mówił w duchu niechże darmo nie włóczś się i sławy jej dobrej nie ujmujś. Raz temu koniec musi być!

Zmierzchało już, kiedy przebrany Kochan wybiegł od Wujka pieszc do wdowy, lecz za ledwie w ulicy się znalazł, Jędrzyk mu zastłpił drogę.

Sśdzśc, że go omyłkś za innego wzięto, Rawa zamruczał i usiłował wyminśc natręta, lecz Jędrzyk go za płaszcz przytrzymał.

Nie bójcie się, rozbójnikiem nie jestem rzekł wiem, kto wy i z czym tu przybywacie, rozmówić się musimy!

Ale ja nie wlm kto wy jesteście odparł Rawa niecierpliwie, chwytajśc za mieczyk i nie mam czasu ani ochoty mówić z wami.

Jestem Jędrzyk, kupiec tutejszy, znajś mnie wszyscy zawołał Czech nie dajśc mu ujć musicie mówić ze mnś. Rawa się zzymał.

Musu nie znam! zakrzyczał,

W tej chwili Jędrzyk mu co na ucho szepnśł. Kochan złagodniał i o kilka domów dalej weszli do mieszkania Jędrzyka,

Zapaliwszy wiatło, kupiec kazał podać wieczorny napój, chcśc prawu gocinnemu zadoć uczynić, siadł na ławie naprzeciw Rawy i poczśł:

Przyjechalicie znowu? hę? Ale to wszystko daremnie! Król czy nie król, Rokiczany nie wemie bez lubu. Ja jś znam od dzieciństwa. Gdyby chciała nawet (a nie zechce pewnie i sama), rodzina i przyjaciele jej nie dopuszczś. Po cóż nadaremnie ludzkim złym językom karm dawać!

I chwilkę pomyławszy, Jędrzyk oczyma rozpalonymi spojrział na Rawę dodajśc z odwagś, która go widocznie dosyć kosztowała.

Prawdę wam powiem całś. Jam jej ni brat, ni swat, pokrewieństwo z nimi bardzo dalekie, alem jś od dzieciństwa miłował i choć z tego miłowania tylko zgryzotę mam, a więcej nic mieć nie będę, przecie nie przestanę. Dla mnie ona za wysoko, ale nie dopuszczę, aby drudzy jej krzywdę czynili.

Powinnicie wiedzieć, że z wielkiego miłowania człowiek na szalone rzeczy się porywa... Otóż, zważajcie... ja wam to tylko powiem, że kto jej sławę i cześć naruszy, jam na wszystko gotów.

Męża nie ma; krewni, Bóg ich wie więty, czy się rusz w obronie, ano... ja, jak Bóg Bogiem! Człek jestem mały, kupiec sobie... ale to nic, ręce mam i grosz ostatni w to włożę.

Nie dokończył, pięciś tylko uderzywszy w stół, zagryzł usta i na przeciwnika spojrział czekając odpowiedzi.

Kochan, człek dowiadczony, wedle potrzeby umiał być zimny i mógł być goršcy, a trzymał się tego prawidła, że przeciw

goršcym stawał się zimny, dla zimnych za bywał sierdzisty i goršcy. Tu, majšc przeciw siebie rozmatniętnionego i złego już, acz? na wodzy trzymajšcego się Jędrzyka, ostygł umylnie.

Posłuchajcie no. rzekł ja bo dobrze nie rozumiem, czego chcecie. Kłamać nie będę; no tak, król mnie do Rokiczany posyła, ona nie wypędza za drzwi. Wdowš jest, paniš siebie...

E! e! ofuknšł Jędrzyk kobieta zawsze potrzebuje dozoru... to darmo.

Opiekunów też ma w braciach nieboszczyka Miklasza! odparł Rawa.

A tak rzekł Jędrzyk ale oni się mogš nie dopilnować, a ja...

I rzeko zagadnšł.

Mówcie, czego chcecie od niej? Cóż? żeby do was do Krakowa jechała? Obiecujecie jej bogactwa? ziemię? co?

Kochan ramionami ruszył.

Spowiadać się wam nie mogę odparł powiem tylko, że wy sobie nadaremnie krew psujecie. Ona sama na plewę się nie da wziść; kobieta rozumna.

A tak! podchwycił Jędrzyk ale kobieta, a to król! Nie doć że król, lecz człowiek taki, który niczyjej krzywdy nie chce rzekł Kochan i zamilkł.

Spojrzelili na się mierzšc, oczyma. Gra nie była równa; Kochan, człek przebiegły, dworak; Jędrzyk poczciwy, prosty i nadto goršcy.

Ja wam to powiem odezwał się pomilczawszy że, uchowaj Boże, pokrzywdzicie jš, ja nie daruję...

Sparł się na rękę.

Przypomnijcie sobie głoňš tę historię z Amadejami na Węgrzech. Tu o niej wszyscy wiedzš. Stary ojciec, prawda, życie stracił, nie pomcił dziecka, ale się porwał czeć mu była miłš! Ona dla mnie więcej niż córka dla ojca, ja ani rodziców, ani rodziny nie mam. Jedno słońce na niebie, jeden ja na

wiecie.

Kręcił głowś Kochan.

Dalej, że co? rzekł. Powiedzielicie, cocie chcieli, jam wysłuchał, na tym koniec. Teraz za ja wam tylko odpowiem, że ostrzeżeni przez was jesteśmy, zatem wy dla nas mniej straszni. I po wszystkim.

Jędrzyk widząc powstającego z ławy Kochana, jego zimną krwiś więcej jeszcze zniecierpliwiony, chwycił się też z siedzenia.

Ostrzegłem was przez poczciwoć, bo nie chcę... nie chciałem napać nie spodziewających się.

I sędzicie, że się ulękniemy? spytał Kochan. Jędrzyk rękę w długie włosy zatopił i rwał je zawołał:

Wasza sprawa w tym. Mnie, gdyby ostatni grosz przyszło stracić, pięćdziesiąt i sto ludzi najść... gotowym.

A my możemy postawić ich trzystu! zamięł się Kochan. Lecz po co się to zdało mówić, wodę warzym...

Chciał wstać znowu.

Jędrzyk postradał cierpliwoć.

Dajcie pokój temu daremnemu jeżdżeniu zawołał z tego nie będzie nic, ja wam mówię, nic! a kobiecie głowę psujecie. Ożeniłby się z nią który z bogatszych naszych mieszczan albo panów...

Lub wy rozamięł się Kochan.

Nie! zawołał Jędrzyk jam dla niej za mały, ja o tym nie myślę, ale jej losu psować nie dam. Dajcie pokój temu jeżdżeniu powtórzył.

Wiecie przecie, iż jestem sługś króla odparł Rawa nie mogę rozkazowi się sprzeciwić.

Mów królowi!

Rawa rękś rzucił obojętnie.

Darujcie rzekł wstając raz jeszcze. Chcielicie rozmowy, dałem się wciśgnąć, wysłuchałem, cocie mieli do powiedzenia, a teraz czasu nie mam... Więc czołem.

Jędrzyk mrucał, dęsał się, zły był, że nic nie sprawił, lecz wstrzymywać go nie mógł. Powtórzył pogrózkę, za wychodzącym spojrzął i ręce załamał...

Kochan, ramionami ruszywszy, do Rokiczany szedł wprost, lecz w domu jej nie zastał ani starej ochmistryni, którą już był sobie, równie jak sługi, podarkami kupił.

Dano mu więc w pierwszej izbie na ławie siść i czekać na jej przybycie zapewniając, że z wesela na Nowym Mieście wkrótce będzie z powrotem.

Na przekorę mu się to stało, bo powinien był jeszcze gdzie dla króla szukać bezpiecznego ukrycia, a potem naprzeciw niego wyjechać, aby go tam zaprowadzić.

Póno już, strojna jak wielka pani, klejnotami okryta, tańcem prawie całodziennym zmęczona, zjawiała się wdowa, którą bardzo piękny, rycerskiej postawy mężczyzna odprowadzał. Był to, jak łatwo poznawał Rawa, nowy zalotnik jaki, ubogi baron niemiecki, urzędnik cesarskiego dworu, który pono więcej dla pieniędzy niż dla piękności zalecał się Rokicznemu. Zmierzył oczyma podejrzliwymi oczekującego Kochana, namarszczył się grono i odszedł.

Drugie to już niemiłe było spotkanie.

Wdowa tym razem Kochanowi niezbyt rada była. Przyjęła go kwano, brwi ciśnęła.

Niedługo czekając Rawa jej szepnął, że pan jego sam ma nazajutrz przybyć potajemnie.

Po co? zawołała aby z ust moich to posłyszał, co mu przez was tyle razy mówiłam? Daremna to rzecz, bo mnie za żadne skarby wiata nie kupi. Z czymże jedzie?

Rawa nie chciał odkryć się z tym.

Nie wiem rzekł lecz choćby tylko, aby wam w oczy popatrzeć, co za dziw?

Tak, jemu to nie zaszkodzi pewnie odparła wdowa z goryczą. Zabawi się, a co mnie potem spotka od swoich i obcych wymówek i szyderstwa, co ja będę musiała odpłakać za to i odboleć, wy tego nie liczycie! wam to wszystko jedno! Mylicie, że gdybyście go w Pradze najlepiej ukryli, ludzie o nim wiedzieć nie będą? A co o mnie powiedz, do której król potajemnie w odwiedzin przyjeżdża?

Zagniewała się i płakać zaczęła, a chustkę niosąc do oczów i na Kochana spojrzeć nie chcąc szła do drugiej komnaty; on, za nią.

Z czym król przybywa, nie moja rzecz rzekł pocieszając ją. Ale ja wam to tylko powiedzieć mogę, że jeśli ten raz darmo przyjedzie... więcej go nie zobaczycie. Wiecie wam.. ważne słowo!

Rokiczana podniosła oczy na niego.

Jakież słowo? Rawa zamilkł.

Posłyszycie sami odparł. Bądźcie dobrej myśli, mnie się widzi, że was większe szczęście spotka, niż się spodziewacie!

Umiechnął się i odszedł zostawiając ją w rozmyślach, co król za słowo ważne mógł jej przywieść.

Dnia tego już nie było co pocieszyć dla spónionej pory, wrócił więc do Wujka i jego Zoni, z którą cały wieczór na wesołych żartach i swawoli przepędził, bo dziewczyna była mieszek niezmordowany,

zalotna bez miłosierdzia i wieża jak jagódka. Przyszło do tego wród żartów i dwuznacznych słówek, że Zonia Kochanowi szepnęła:

Jeżeli Rokiczanę stąd wemiecie do Polski dla króla, wiecie co? mnie jej dajcie za starszą służkę. Będziemy tam wieczorami tak się we dwoje zabawiali jak tutaj.

Albo i lepiej! zawołał Kochan mijając się. Dobrze! bylecie chcieli...

Pojadę, ale z Rokiczana... Będę wam jej pilnowała... Poszeptała co Kochanowi na ucho.

Jużci tak czy owak, a panien do boku jej potrzeba dodała.

Rawa pół żartem, pół naprawdę przyrzekł, za co otrzymał całusa niby ukradzionego, niby zdobytego, lecz w istocie obiecującego wiele.

Zoni się marzyło na dworze bogato i sławnie za mąż wyjść!

Po cichej rozmowie z Wujkiem, którego wtajemniczyć musiał Kochan, okazało się, że najlepiej było króla w jednym z klasztorów na Starym Mieście ukryć, gdzieby go oczy ludzkie nie tak łatwo wyszpiegowały. A że zakony wszystkie prawie, które w Krakowie miały domy i tu się znajdowały, stosunkami były połączony z polskimi klasztorami nie zdawało się to rzecz trudną. Udał się więc poseł do przeora dominikanów i po krótkiej w cztery oczy rozmowie z nim z wielką łatwością otrzymał zapewnienie, iż króla przyjmie nikomu nie wyjawiając tajemnicy.

Ułożywszy to Rawa na konia siadł i sam jeden wyjechał na spotkanie króla.

Lecz przeznaczeniem jego było, by go rozmaite przeszkody niecierpliwiły i czas mu zabierały.

W ulicy, zaledwie kroków kilkanaście od domu Wujka odjechawszy, spotkał stojącego na koniu tego samego zalotnika, cesarskiego komornika, barona Hascha, który go wczoraj u Krystyny widział.

Poznawszy go starał się uniknąć i wyminąć, lecz Hasch, który na niego czekał, dogonił go i obok stanawszy dość niegrzecznie począł rozmowę.

Rawa nie nawykł był od nikogo znosić nawet lekceważenia.

Nie ujdziecie mi! wołał doganiając go Hasch. Wiem, kto wy jesteście i cocie u pięknej Krystyny porabiali. Czy posłem przybylicie, czy dla siebie, trzeba się ze mną wprzód rozprawić, nim do mojej wdowy się dostaniecie.

Jak to do waszej! zapytał Rawa stając i gniewny już.

Do mojej, bo ja się zalecam do niej, a nie zwykłem cierpieć drugich obok siebie!

Kochan rozniósł się pogardliwie.

Jeżeli wiecie, kto jestem rzekł musicie wiedzieć, że Ja tu nie dla siebie przybyłem.

Hm! zawołał Hasch ludzie mówisz różnie. Jesteście sługą króla... sš tacy, co utrzymujš, žecie się dla niego ożenić gotowi.

Rawie krew uderzyła do głowy.

Jestem takiego pochodzenia jak wy, pasowanym też rycerzem rzekł zimno po tym, cocie powiedzieli, nie pozostało nic, tylko na rękę wyzwąć i... bić się. Dzi na to czasu nie mam, jutro gotowym.

Hasch wyduł usta.

Dobrze rzekł do jutra...

Kochanowi szło o to, aby mu się wyrwać i mógł zawczasu przeciw królowi wyjechać; rękawicę mu zręcznie na siodło rzucił jako znak, konia spił i poleciał.

Niemiec nie pogonił za nim. Chwilę stał namylajšc się, potem za póno już było.

Wykupiwszy się od niego wyzwaniem Rawa wybiegł z miasta na gociniec ku Krakowu i dopiero dobry kawał drogi zrobiwszy koniowi pofolgował.

Miejsce wybrawszy pod laskiem, w którym na króla miał czekać, zsiadł z konia, ukrył się w zarola na przypadek pogoni i patrzył, rychłoli Kamirz nadšży.

Już dobry zmierzch padał, gdy się ukazał orszak królewski, który Kochan poznał łatwo, chociaż niepańsko wyglšdał. W kilkanacie koni tylko wybrał się Kamirz, dwór swój przyodziawszy szaro i niepozornie. Oręż też, choć najlepszy, tak był dobrany, żeby w oczy nie wpadał. Król sam, aby na siebie nie zwracać uwagi, jechał dalej w orszaku, a przodem jako pan pysznił się dorodny i wesoły Dobek Bończa, którego to udawanie zabawiać się zdawało. Dwór mu oddawał czeć, jakby on tu był najprzedniejsz osobš. Kochan zobaczywszy z dala poczet konia dosiadł i podjechał do króla, aby ze wszystkiego sprawę zdać.

Zatrzymali się jezdni, lecz niewiele na rozmowę czasu było, gdyż zamknięcie bram Starego Miasta potrzeba było uprzędzić.

O Jędrzyku i jego grobach nie miał potrzeby wspominać Kochan, lecz Hascha i wyzwania jego zatrzeć nie mógł. Kamirz się zachmurzył i nierad mu był przypisujšc nieostroznoci ulubieńca, że się tam bytnoć jego wydała, a przez niš i królewska zdradzić mogła.

Posępnie więc wcisnęli się do miasta, u bram oznajmujšc jako ziemianie z Polski za sprawami swymi przybywajšcy. Nie zwrócili zbytnej uwagi, gdyż między dwoma krajami stosunki były żywe i nawzajem Polaków do Czech, Czechów do Polski przybywało wielu.

Małymi uliczkami Rawa prowadził króla do dominikańskiego klasztoru, nikogo szczęciem nie spotykajšc po drodze.

Wieczora tego oznajmił Krystynie przyjazd królewski, a do jutrzejszej walki z Haschem musiał sobie

szukać towarzyszków i wiadków.

Każdego dnia, chociażby ani się goci spodziewała u siebie, ani sama wybierała w gocinę, piękna Rokiczana poświęcała czasu dosyć na strój i staranie o płeć, o twarz i o wszystkie przybrania niewieczego szczegółły.

Utrzymywano, że dla zachowania piękności swej w całym blasku miała jakie rodki tajemne, jakie drogo kupione wody, eliksiry, barwiczki, lekarstwa, które wieżoć zachowywały i podwajały jś jeszcze.

Osobna komnata, do której nigdy nikomu wchodzić nie pozwalała, była na to przeznaczona. Klucz od niej zawsze miała przy sobie. Sługom też towarzyszyć jej tam z rana, gdy wprost z łóżka udawała się, nie było wolno. Jedna tylko stara krewna i ochmistrzyni szła tam z niś; zamykały się na klucz ze rodka i często czekać długo było potrzeba, nim wdowa wyszła już na poły ubrana.

Od dawna bardzo budziło to niezmiernš sług wdowy ciekawoć; podglšdały, gdy wchodziła, czatowały, gdy wracała, próbowały zajrzeć przez otwór klucza, ale ten tak bywał w zamku umieszczony, że oko wcisnąć się nie mogło do wnętrza.

Ze szczególnym staraniem wdowa strzegła klucza tego, nie rzucała go nigdy, zawieszała pod sukniš u pasa nawet przy najwykwintniejszym stroju.

Kobiety, które nań czatowały, wreszcie zrozpaczywszy, aby się im mógł kiedy dostać w ręce, wyrzekły się nadziei zdobycia tajemnicy.

Rosły stšd mnogie przypuszczenia, które czarów się jakich domyłać kazały. Starš ochmistrzynię, jedynš powiernicę, zwano i miano za czarownicę... Udawały się do niej i inne chciwe odmłodzenia i wypięknienia niewiasty, lecz nic zyskać nie mogły. miała się starucha, spluwała, zżymała, zaklinała, że nic nie zna i o niczym nic nie wie.

Wiedziano, że czasem wieczorem stara grzanego wina wypijała trochę więcej, niż na sen była potrzeba; dziewczęta myślały korzystać z tego i jakie, nieostrożne słówko pochwycić, lecz nie dowiedziały się nic.

Pięknoć wdowy, pełnš blasku, tajemnym rannym tym staraniom około niej przypisywano... Na próżno było sprzeciwiać się: rzecz stała się z czasem przyjęta powszechnie i nie ulegajšca już wštpliwoci.

Dnia tego, gdy król przybyć miał, dłużej może niż kiedy siedziała wdowa w tej komnatce zamknięta, a potem, co się bardzo rzadko trafiało, po raz drugi z ochmistrzyniš do niej weszła

i ukazała się tak utrefionš pięknie, tak majestatycznš, tak nade wszystko wiežš i młodš, że jej o lat dziesišteć młodsze zazdrociły dziewczęta.

Kamirz nie czekajšc południa, bardzo skromnie ubrany, pieszo, z nakryciem głowy aksamitnym, które na oczy było napuszczone, w towarzystwie Dobka jednego udał się do wdowy.

Czekano nań tam, a Rokiczana strojna, wonnociami oblana, chodziła niespokojna od okna do okna, wyglądjąc, aby króla przyjsć u progu. Na twarzy jej tego dnia nie widać było wcale rozradowania i tryumfu, a raczej dumę, podrażnienie i troskę. Zbyt łagodnš, miłš nie była prawie nigdy; przypisywano to owdowieniu, iż zawsze chodziła z twarżš zasepionš, a wród najweselszych zabaw, bioršc w nich udział, nie rozmiała się nigdy

z serca. Umiech jej był proszonym gościem na ustach.

Gdy król wszedł, i tego nawet wymuszonego na nich nie znalazł; głębokim pokłonem, z wielkš powagš przyjęła go i milczšc, zaprowadziła do wielkiej izby gocinnej, przybranej na ten dzień we wszystkie najbogatsze sprzęty domu.

Kamirz, który szedł szybko i niespokojny, nie zwrócił nawet oczu na to, co go otaczało, patrzył na wdowę, ujšł jej rękę i zmusiwszy usiść przy sobie rozpoczął rycerskš rozmowę od owiadczenia, że z wielkiej tęsknoty dla niej wytrzymać nie mogšc, tu przybywał.

Rokiczana z brwiami cišgniętymi słuchała.

Pokazał jej Kamirz piercień na palcu i rzuciwszy okiem na rękę spotkał się też ze swym szafirem.

Miłociwy królu po krótkim milczeniu odezwała się Rokiczana z przygotowanym już przemówieniem bardzo jestem wdzięczna miłoci waszej za łaskę tę, jakš masz dla mnie. Umieam ja jš cenić, lecz... ludzie mi jš drogo opłacać każš...

Spojrzał Kamirz.

Ludzie? a to jak? zapytał.

Zazdroni i złoliwi, więc szarpiš sławę bezbronnej wdowy rzekła Rokiczana. Już sami posłańcy twoi, królu, w oczy im kolš, a cóż dopiero teraz będzie, gdy się o tobie dowiedzš?

Załamala rękę białe,

Zaklinam miłość waszš cišgnęła dalej nie gubcie mnie!

Król dotknšł jej ręki.

Doć! doć! odparł ja tu do was z czym innym przybyłem. Posłuchajcie mnie, bo to godzina będzie dla mnie i dla was stanowcza. Tak mi czeć wasza miła, jak wam... uszczerbku jej czynić nie chcę... Powiedzielicie, że do was droga przez kociól wiedzie.,, nie wzdragam się jej: lubować wara będę

Rumieniec wystšpił na twarz wdowie, zadrzała, pomilczała trochę,, rękš przesunęła po twarzy,

Jakże to być może? rzekła. Całemu wiatu wiadomo, iż żonę macie?

I cały wiat wie, że lat piętnacie z niš nie żyję, nie widuję jej rzekł król, Dałem znać ojcu, aby jš nazad zabrał do siebie, i stanie się to. Małżeństwo zostało rozerwane, papież mnie rozwišze, a

biskup lub jest dać gotów.

Mowa królewska tak była dziwna, a tak ją znalazła nie przygotowana, iż Rokiczana czas jaki siedziała niema, słowa przemówić nie mogła. Czowała na skroni swej zimne dotknięcie korony królewskiej, na ramionach płaszcz szkarłatny, widziała się na złocistym tronie, górsz ponad tłumami zazdrosnymi, królowa! Lecz ten sen błyskawiczny przeleciał prędko.

Panie! zawołała nie uwodcie mnie... to być nie może!

Słowo moje królewskie za to wam ręczy odparł król z wielką powagą. Nie obiecywałem tego, nie mówiłem przecież o tym, dopóki nie przekonałem się, że to, co przyrzekam, możliwym jest. lub nam dadzsz, mam pewność.

Wdowa spuściła główkę, zacięła usta, nie miała już odpowiedzi na to... Rzecz nieprawdopodobna więc zicić się miała Rokiczana królowa!

Spojrzała na tego, który chciał być jej mężem, po raz pierwszy tak blisko, w blasku dnia go widząc przed sobą.

Szlachetne rysy jego nosiły na sobie lada lat przeżytych i cierpienie wielu, czoło było zorane, wieżoć młodości znikła z twarzy tej męskiej, lecz jeszcze pięknej, wrażliwej, poszanowanej, a nade wszystko, dobroci namaszczonej, której smutek dodawał wdzięku. Piękny jeszcze, w sile wieku męczyzna, z włosiem brunatnym, spadającym na ramiona, w którym zaledwie rzadko siwiznę dojrzeć było można, patrzył na nią z zachwyceniem, z upragnieniem czekając słowa...

Nie mogła się go doczekać, bo wdowie całej drższej myli w głowie poplątanych zebrać nie było łatwo, Kamirz mówił dalej:

Nie mam potomka; wiecie, że w razie gdyby mi go Bóg odmówił, korona jest już siostrzanowi memu przyrzeczona... Lecz nie zwstąpiłem jeszcze, wy może będziecie matką tego upragnionego...

Panie przerwała Rokiczana niespokojnie zaklinam was! mówcie, jestże to pewnym? Miałoby to prawdą być? Nie jest to sen i złudzenie?

Mówiłem wam, lub nam dać przyrzeczono... wyciągam do was rękę... ofiarując przysięgę...

Tu król zatrzymał się nieco.

Tak jest, jak powiadam dodał lecz ponieważ z biskupem krakowskim jestem od lat kilku w wojnie, błogosławić nam będzie inny... Aż do tego czasu zachowanś być musi tajemnica, aby nam przeszkód nie stawiano. Księżę ojciec zabiera Adelajdę, ja was na zamek wprowadzam...

Rokiczana milczała, wszystko to tak się jej nieprawdopodobnym zdawało, iż przyjąć jeszcze do siebie nie mogła. Obiema rączkami ujęła się za skronie.

A! panie! zawołała wy to wiecie sami, jakżeby mogła odrzucić koronę i cześć tak dla mnie i dla rodu mojego? Lecz... lecz wszystko to jeszcze brzmi mi jak dziwny sen. Dajcie zebrać myli i sercu

niespokojnemu się ukołysać. Nie Wiem, co myśleć, co mówić, nie wiem, co czynić!

Kamirz skorzystał z tej chwili niepewności i na białym jej czole złożył pocałunek; ręce jej bez oporu wziął w dłonie, pochyliła się ku niemu. Wiedziała, że była zwyciężoną, że się poddawała, lecz wydawało się to jej jeszcze dziwnym, niemożliwym, pomimo zapewnień króla.

Mów, piękna Krystyno nalegał Kamirz wszak mam słowo twoje?

A rodzina? spytała wdowa.

Na Boga! doć będzie miała czasu się tym uradować, gdy jś po lubie o nim uwiadomimy rzekł król z pewną dumą. Sprzeciwić się przecież nie mogł?

Dajcież mi choć chwilę namysłu! szepnęła Krystyna głowę cisnąc rękami.

Na co ci rozmyślanie potrzebne? odparł król trochę zniecierpliwiony. Ja się tu przekradając dostałem; na dworze cesarskim nie wiesz o mnie i wiedzieć nie powinni; powracać muszę jak najrychlej, czekać nie mogę, odkładać nie chcę... Wszystko natychmiast trzeba ułożyć i zapewnić... Nie potrzebujesz głosić o tym przedwzecie, aby nowych jakich przeszkód nie wywołać. Nim dojedziesz do Krakowa, lub nasz odbędzie się w Tyńcu. Wszystko już do niego przygotowane.

Piękna Krystyna zmieszana, to ręce załamywała, to skroń uciskała nimi, nadzwyczajne to szczęście budziło w niej przestach, obawę czego równie niespodziewanego jak ono.

Panie mój! zawołała zwracając się do króla. Przynosisz mi zaprawdę wielką cześć... nadzieję losu, jakiegom się

nigdy spodziewać nie mogła, lecz... pozwól, daj mi odetchnąć, mył zebrać, westchnąć do Boga! Drzęca!

Król spojrział na nią z powagą i litością razem; wstał z wolna, przyłożył usta do jej czoła i rzekł z cicha:

Odchodzę więc wrócę za godzin kilka. Uspokój się., piękna Krystyno, wierz słowu królewskiemu... nie obawiaj się. nic... Uczynisz mnie szczęśliwym, a ja o szczęście twe starać się będę.

To mówiąc, ujął jeszcze rękę jej drżącą, spojrział w oczy, umięknął się i z wolna wyszedł z komnaty.

Rokiczana odprowadzić go nie mając siły padła na siedzenie i płakać zaczęła, sama nie wiedząc dlaczego.

Jaka trwoga niewysłowiona, bezprzyczynna, ogarniała ją: mrowie przechodziło po ciele, serce biło. Królową miała zostać, królową, lecz... w istocie ona nie była tu pomiędzy swoimi pięknościami, dostatkami, znaczeniem, a tam królową się zwać miała, się czuć podniesioną, dwigniętą wziętą z tych poziomów na wyżyny.

Rozumiała to, iż królową zostając, straci; król był dla niej miłym mężczyzną, ale miłoci dlań nie czuła

tak, jak jej dotąd nie miała dla nikogo...

Nowe życie, wietne, blasku pełne, miałoż jej przynieć szczęćie?... Tu otaczał jš cały kršg wielbicieli a tam? tam!!

Łamała ręće. Nie wiedziała, kogo wezwać na radę, co postanowić. Odrzucić duma nie pozwalała, przyjść strach. bronił...

Siedziała jeszcze, ocierajšć łzy i dumajšć, gdy wszedł prawie przebojem Jędrzyk.

Krystyna od dzieciństwa nawykła była do tej miłoci i opieki, jakš nad niš rozcišgał. Gniewał jš czasami, odpędzała go, gdy nadto widocznie i natrętnie do spraw się jej mieszał; wierzyła mu jednakże i ufała, że najlepiej jej życzy.

W tym usposobieniu, w jakim się znajdowała, Jędrzyk zdał się jej jakby zesłanym po to, aby przyniósł dobrš radę.

Kupiec skłonił się i jak zawsze od przepraszania rozpoczął.

Gniewajcie się na mnie, jeli chcecie rzeki alem się tu wdarł gwałtem. Posłuchajcie mnie, piękna Krystyno, Bóg wiadek, nikt lepiej wam nie życzy.

Wierzę odparła wdowa zbliżajšć się zwolna ku niemu wierzę i dam tego dowód... Nie zdradzicie mnie?

Ja? odparł Jędrzyk kładšć rękę na piersi.

Powiem wam pierwszemu, wam może jednemu, co mnie spotkało. Król polski...

Kupiec rękami strzepnił i przerwał:

Któż nie wie, że się on w was rozmiłował. Całe miasto o tym tršbi, a ja przychodzę, żebycie im dali odprawę, tym...

Ruszajšć ramionami, spojrziała na niego grono Krystyna.

Król polski żeni się ze mnš odezwała się patrzšć, jakie na nim zrobi wrażenie.

Jędrzyk się szydersko umiechnął.

Zwodzš was niegodziwie! okłamujš! krzyknął. Jak on się ożenić może? od piętnastu lat ma żonę! Żyje przecież ta Adelajda.

Słuchaj przerwała wdowa kwano król, król sam mi to mówił, z jego ust słyszałam; małżeństwo to rozerwane, ona odjeżdża do ojca, a on... żeni się ze mnš.

Jędrzyk uszom nie wierzył.

Tak jest! potwierdziła Krystyna tak jest. Biskup się zobowiŝał lub nam dać.

Zamyłony kupiec nie odpowiedział nic. W głowie mu się to nie mogło pomiecić.

Ja ani praw tych tam dobrze nie znam, ani wiem, co można, a co się nie godzi i czy królom to wolno, co drugim zakazane... ale to mi się zdaje oszukaństwem, kłamstwem... Pamiętam, ŝem słyŝał kiedy o jednym francuskim królu, co się z jakŝ hrabiankŝ merańskŝ oenił, ŝonę pierwszŝ odprawiwszy. A co potem było? Papieŝ mu jŝ precz kazał odprawić.

Ruszył ramionami.

Rokiczana się zadumała, splotły się jej ręce, zaczęła przechodzić się po pokoju. Jędrzyk stał i głowŝ pokręcał dziwnie, a patrzył na niŝ.

Nie! odezwała się nagle nie! słowu Królewskiemu wierzyć można. Z oczu mu patrzy szlachetnoć, ten człowiek kłamać nie może...

Jędrzyk drgnął i podszedł ku niej żywo.

I wy mylicie, nikomu o tym nie mówiŝc, zawierzyć i oddać się?

Mówić o tym nie mogę nikomu. Wam powiedziałam, bocie przyszli w takŝ godzinę, ŝem w sobie tej tajemnicy utrzymać nie mogła... a wierzŝ, iŝ mnie nie zdradzicie.

Odepchnŝ koronę? nie chcieć być królowŝ? dodała. Byłabym szalonŝ, ludzie by mnŝ wzgardzili. Chodziła po komnacie.

O Boŝe! zawołała jakby sama do siebie, O Boŝe! Co pocznę? co odpowiem? Głowa pęka...

Jędrzyk westchnął, litoć czuł dla niej.

Wiecie co? dam wam radę dobrŝ odezwał się cicho. Nikt was lepiej nie owieci od naszego poczciwego biskupa, Jana z Drazic. Duchowny jest, tajemnicy nie wyda, a on to lepiej niŝ wy rozumie...

Krystyna się namylała.

Nie... nie mogę głosić tego! nie mogę za radŝ biegać! czasu nie mam! lem uczyniła, ŝem wam to powiedziała, ale stało się... Za godzinę muszę rzec tak lub nie...

Kupiec długo się nie odzywał; dumał...

Kiedyŝ wam to król mówił? król sam? spytał. Jegoŝ tu nie było tymi czasy!

Zarumieniła się wdowa postrzegłszy, ŝe mogła zdradzić przyjazd Kamirza, i zawołała żywo:

Jak się do mnie słowo królewskie dostało, to moja rzecz... dosyć, ŝe je mam! ŝem go pewna...

A ja mu nie wierzę rzekł kupiec nie rozumiem... Wiele dla was uczynić można, ja to wiem, wiele uciepieć... ale sż takie sprawy, którym i królowie nie podołajš... Żony porzucić nie godzi się, a ta, co wasze szczęście oblewać będzie łzami, u Pana Boga wam nie pomoże... Na com wam jakiej tam korony

zšdać? albocie między swoimi nie królowa? na czym wam zbywa? tak-że tego króla miłujecie?

Krystyna nie zdawała go się już słuchać, chodziła zadumana.

Jędrzyk przemówiła w końcu nie zdrad mnie, nie darowałabym ci tego... co Bóg nazaczył mi stanie się. Niech będzie, co chce...

I powiedziawszy te słowa rozplakała się. Płacz był dziwny, mimowolny; padła na siedzenie, zakryła oczy. Jędrzyk szepnął kilka słów uspokajajšcych, powstał, nie mogšc się doczekać słowa, na ostatek widžc, że darmo by jš chciał przekonywać, wyszedł tak zafrasowany, tak pogršzony w sobie, iż sam nie wiedział, jak znalazł się u siebie w domu.

Krystyna jest zgubionš powtarzał sobie nie ma na to już ratunku!

W kilka godzin potem król znowu wszedł do dworu Rokiczany, zabawił w nim z godzinę i wymknšł się z niego uradowany, wesół, Dobkowi, który z nim był, zapowiedziawszy tylko, że do podróży z powrotem jak najprędzej wybierać się majš. Brakło do niej Kochana, który tego dnia z rana wyszedłszy z domu nie obiecał się, aż sprawę z Haschem załatwi. Rawa bił się dzielnie, ani na męstwie, ni na zręczności mu nie zbywało. Król chciał go mieć przy sobie, lecz dnia dłużej tu pozostać nie myłał.

Nagoni nas odezwał się do Dobka czekać tu niebezpieczna dla mnie rzecz. Nużby się na dworze dowiedziano?, Będš póniej mówić o tym, złoży się na puste pogłoski...

Zaczęto się już przysposobiać do drogi, gdy pacholę od Wujka, wysłane do klasztoru, przybiegło z wiadomościš, że Kochan dosyć ciężko cięty mieczem w rękę leżał i potrzebował dni kilkunastu, aby się rana przygoiła.

Król zzymał się na to, lecz orszakowi kazał stawać do podróży, mnichom szczodry zostawił datek i Dobkowi kazał prowadzić się do kamienicy Wujka, bo chciał Kochana widzieć i pomówić z nim na osobności.

Ponieważ dzień jeszcze był jasny, ważył Kamirz wiele, lecz tak był na duchu swobodnym i miałym, że go prawie bawiło,

iż miał nie postrzeżony w tłum się wmieszać i nie poznany przemykać się po miecie.

Kochan leżał tylko co obwišzany i rozprawiał z gospodarzem o swoim spotkaniu, gdy na progu ukazał się król.

Jaki czas Rawa zobaczywszy go nie mógł oprzytomnieć i nie wiedział, co poczšć. Kamirz dał mu znak, aby odprawił wiadków niepotrzebnych. Zostali sami.

Musisz w Pradze siedzieć rzekł Kamirz prędko. Ja jadę w tej chwili. Pilnujże mi tu Rokiczany. Słowo mi dała. Trzeba, aby jś wyprawił do Krakowa, a naprzód do Tyńca, gdzie opat lub nam da... Niech jedzie, niech co najprędzej jedzie, a ty, kiedy się tak złożyło, razem z niś. Wierzynek ci przyle pieniądze. Zwlekać nie dawaj.

Kochan nie miał czasu odpowiedzieć słowa, król już się otuliwszy płaszczem, z wesołš twarzš, nazad zawracał

Rana ci się wynagrodzi, bo jś dla mnie dostał dodał nie frasuj się zbytnio. Przybywaj skoro... zdrów bywaj...

O ile mógł dla ręki, pochylił się Rawa do kolan króla, który, raz mu się jeszcze dobrotliwie umiechnšwszy, wnet wyszedł i już na koń siadał.

Rannemu przez kilka dni z domu się ruszyć nie było podobna, lecz pielęgowanym był dobrze przez troskliwš Zonię i przez lekarza Izraelitę, który naówczas tam szczególnie z leczenia ran był sławnym.

W Pradze bytnoć króla nie została rozgłoszona; Jędrzyk milczał, Rokiczana, chociaż czyniła przygotowania do podróży, kryła się z nimi. Kamirz zalecił jej na odjezdnym, ażeby o małżeństwie zawczasu nie głośli.

Niepewnoć i obawa pierwszych chwil ustšpiła zupełnie; nadzieja zostania królowš wzięła górę i rosła z dniem każdym wietniej malujšc jej przyszłość. Jędrzyk, który próbował jeszcze zachwiać jej postanowieniem, odprawiony został tak stanowczo, że wracać już nie miał. I on zachwiał się też... Rozumiał to dobrze, że nadziei tak wielkiego szczęcia, takiego losu bogata mieszcza odrzucić nie mogła.

Wdowa, z rodzinš swš, z braćmi męża, nie mówiła o tym wcale; można w niej było poznać jakš zmianš wewnętrzniš, rosnšcš coraz dumę i samowolę.

W domu i ze wszystkimi stała się już zawczasu królowš. Nie cierpiała sprzeciwiania się jej najmniejszego... Ludzi widywała mniej niż zwykle. Hascha odprawiała zupełnie, zamknęła się w domu.

Powiernicš przygotowań była tylko ochmistrzyni i Zonia, którš, dotrzymujšc słowa, nastřczył Kochan, poręczajšc, iż tajemnicy nie wyda. Pięknęj dzieweczce szło nadto o to, aby się na dwór królowej dostała, by tajemnicy nie dochowała.

Rana goiła się dosyć szybko.

Żyd miał jaki balsam cudowny, który przypieszał zablinianie, plaster, którym okładał, i tajemnicze rodki, z pomocš których prędkie uleczenie obiecywał. Rawa, choćby już może z podwišzanš rękš mógł się wybrać do Krakowa, umylnie pozostawał, aby towarzyszyć Rokiczanie.

Trudničš było największš tak z Pragi ujć, aby przedwczenie nie zdradzić się i nie zwrócić na siebie oczów rodziny, która by nie wiedzšc o celu podróży stanęła jej na przeszkodzie. Rokiczanie z

pewnym podejrzeniem spoglądali od niejakiego czasu na bratowś, ledzili jś, zdawali się czego domyłać. Dopucić jej zostać miłonicś, choćby królewskś, nie mogli. Byliby siłś zatrzymali.

Kochan więc doradzał, aby wdowa chorś się uczyniła j zamknęła w domu. On orszak, majšcy towarzyszyć jej, zebrać, trzymać w pogotowiu na zawołanie się zobowiśzał. Stara ochmistrzyni miała dla niepoznaki pozostać i opowiadać o chorobie, a Zonia towarzyszyć w podróży.

Naglił ulubieniec królewski, sam cišgłymi pośłańcami przynaglany, i w końcu jednego wieczora Rokiczana, której skrzynie, stroje i klejnoty już były wpierw wyprawione, wysunęła się tylnś furtś, przeszła, gdzie na niś czekały konie, wymknęła się za Starś Pragę i ruszyła z bijšcym sercem do tego marzonego szczęcia i korony, dla której powięciła wszystko.

Na dzieńznaczony król Kamirz przytył do Tyńca w niewielkim orszaku dworzan, z kilku znaczniejszymi państwa urzędnikami, lecz ani na jego twarzy, ani na obecnych przy nim wiadkach przyszłego wesela nie było widać tej radoci, tego spokoju, jaki przynosi spełnienie upragnionego i dawno postanowionego czynu wielkiego znaczenia.

Wszyscy ci, którym król zwierzył się i objawił, iż opat Jan. lub z Rokiczanaś dać mu przyrzekł, przyjęli to milczśco, smutnie, niemialo objawiajśc wštpliwoć, czy małżeństwo to ważnym będzie a potomstwo uznanym.

Ludwik,znaczony przyszłym spadkobiercś korony w razie, gdyby potomka płci męskiej zabrakło, miał przyjaciół w najbliższym kole króla, w rodzie jego. Złe języki mówiły o przekupieniu, o ujęciu darami i obietnicami; łšczyły się z tym u rycerstwa inne może pobudki: król Ludwik zapewniał ziemianom, temu włanie stanowi, który najmniej był od Kamirza w cišgu panowania jego otrzymał, a czuł się upoledzonym, przywileje nowe, swobody, na przyszłość dać mu majšce wielkie znaczenie.

Ziemianie z tego powodu, ujęci przyrzeczeniami królowej Elżbiety i jej syna, a mniej mogśc się spodziewać od pana młodego, który by większe miał do tronu prawa, skłaniali się ku Ludwikowi, spoglądali więc na małżeństwo nowe okiem niechętnym. Duchowni, nawet najbardziej królowi oddani, zgodnie mówili, że lub, gdyby go opat dać się ważył, w oczach kocioła nie będzie mieć żadnego znaczenia.

Sam ks. Jan, który w chwili jakiego uniesienia lekkomylnie się zobowiśzał, niespokojny, poszedłszy po radę do uczonych w kanonicznym prawie, przekonał się, iż miał popełnić czyn zuchwały, a nie obowišzujący w przyszłoci króla do niczego oprócz pokuty.

Wštpiono też, czy opatowi może to ujęć bezkarnie.

Niewielu się zwierzywszy, ks. Jan został przez nich owiecony, i gdyby nie dane królowi słowo, cofnšłby się być może.

Lecz był to człowiek, w którym więcej rycerskiego tłało ducha, niż było kapłańskiej surowoci; powiedział sobie, iż spełni,

do czego się zobowiŹszał, i wszystkie następstwa czynu znieŹsie. Nie wŹŹpił, iŹ król go bronić będzie i nie da mu zginŹć.

Rokiczany w Tyńcu nie było jeszcze, gdy w bramach starego opactwa ks. Jan uroczycie przyszedł przyjŹć Kamirza i poprowadził go do obszernych komnat na przyjŹcie przygotowanych, poza obrębem klauzury wzniesionych.

Król i opat, gdy spojrzeli po sobie, wyczytali w twarzach swoich nie to, czego się spodziewali. Kamirz niespokojny był i podrażniony, ks. Jan le ukrywał wŹŹpliwoć, która go dręczyła. Nie umiejŹc i nie chcŹc się taić przed Kamirzem, zaledwie zostali w bocznej małej komorze, na spoczynek przeznaczonej, gdy opat, skłopotany widocznie, popieszył z wyznaniem, które mu ciężyło.

Miłociwy panie rzekł jestem zmuszony przyznać się do grzechu. Miłoc moja dla was to sprawiła, Źe to, czego pragnŹłem, wyobraziłem sobie moŹliwym.

Tu westchnŹł ks. Jan.

Niestety! rzekł niestety! widzę, Źem się omylił. lub dać mogę i muszę, lecz Źelazne te prawa nasze duchowne, z których się wyłamać nie podobna, przeciwiŹ się temu zwiŹzkowi. Wszyscy prawnicy nasi twierdŹŹ, iŹ małŹeństwo nie będzie miało wagi. Nie mogę tego zataić miłoci waszej. Tym bardziej Źe idzie tu o dziedzica korony: gdyby Bóg nas nim pobłogosławił, u papieŹa się łatwo postarajŹ, by lubu mojego nie uznał. BŹd co bŹd, królowa, choć jŹ ojciec do Niemiec zabiera Źyje... lub z niŹ był prawny... Gdyby miłoc wasza ani dnia z niŹ nie Źył... dałby się zwiŹzek unieważnić... Lat piętnacie nie protestowalicie...

Król spucił głowę smutnie z rodzajem rezygnacji oboŹetnej.

ToŹ samo słyŹszałem od innych rzekł z cicha. Lecz, na słowie waszym polegajŹc, ja teŹ dałem słowo tej kobiecie, która tu ma wkrótce przybyć, ja mojego cofniŹć nie mogę! Nie byłoby rycerskim uczynić zawód, a za grzech, jeŹeli go popełnim, odpokutujemy... Stało się dokończył król smutnie... Walka z losem, który mi odmawia syna, zapędziła mnie za daleko... Wyjdę z niej zwyciężonym, bo los i wola Bata silniejsze sŹ od nas,

ale chcę walczyć do ostatka... któŹ wie?... Pan Bóg się ulitować może.

Opat nie odpowiedział nic.

Ten sam smutek jaki i zakłopotanie, które widać było na królu i opacie, malował się w twarzach wszystkich przybyłych. Niemiłym okiem patrzano i na to, Źe król tak wielkiego państwa zalubił niewiaŹtę nierównego mu pochodzenia. Patrzano na to jak na krzywde wyrŹŹdzonŹ koronie, którą nosił na skroni. Kamirz spotykał dokoła wejrzenia jakie dziwne, chłodne, niemal nadŹsane. Sam on teŹ nie mógł się zdobyć na wypogodzenie twarzy, na usposobienie weselsze.

Miłoc dla Rokiczany zrodziła się jako w tak dziwnych warunkach, przyszła tak szybko, rozwinęła się tak kunsztownie pod naciskiem gorŹszych pragnień i nadziei, Źe teraz, gdy piękna Krystyna miała mu oddać rękę, król się niemal dziwił w duchu sam sobie, iŹ tak nierozważnie, popieszenie sobie

postąpił.

Włanie gdy miał jechać do Tyńca, doniesiono mu, że Adelajda, którą ojciec do Niemiec zabierał, od niejkiego czasu chora, czuła się le bardzo, a lekarz przyboczny niedługo jej obiecywał życie.

Mógł więc król owdowiały stosowniejszy, jawny wybór uczynić i zawrzeć luby, które by nie miały na sobie tej cechy nieprawoci, jakie zapowiadano małżeństwu temu.

Nie chciał się już cofnąć; wysłany naprzeciw Rokiczany orszak tegoż wieczora przywiódł ją do Tyńca. Kamirz, siląc się na okazanie radoci, wyszedł naprzeciw niej.

W kociele wszystko już przygotowanym było do luby. Ks. Jan, w infule swej, z pastorałem, otoczony licznym orszakiem duchownych, wyszedł przed ołtarz...

Małżonkowie stali przed nim... Z popiechem i z obawą jakś, niezrozumiały dla pani młodej, opat dopełnił obrzędu, zwiślał ręce, pobłogosławił i król z młodą żoną natychmiast puciał się w podróż do Krakowa.

Oznajmił zaraz Krystynie, iż małżeństwo z przyczyny trwającego sporu z biskupem krakowskim pozostać musi do czasu jeli nie tajemnicz, to przynajmniej rzecz dla wiata nie ogłaszana.

Piękna Krystyna przyjęła ten wyrok w milczeniu posępnym. Rękę, którą król trzymał, wyrwała, twarz obróciła w drugą stronę. Było to pierwsze nieporozumienie dwojga ludzi, nie znajdujących się prawie... zapowiadające nie. większą miłość, mając rozkwitnąć z pszcza, lecz podrażnienie, nieufność i spory.

Dla mnie rzekł król jeste żoną; nim zostaniesz królową, czekać potrzeba.

Rokiczana nie odpowiedziała nic, dumnym milczeniem przyjęła to i zamknęła się zaraz w swoich izbach, czyniąc chorą. Kamirz próbował ją ułagodzić i został odrzucony. Królewska duma rozbudziła się w nim. W kilka dni po luby wyjechał na łowy zostawując ją samą. Rokiczana płakała nie z żalu po nim, lecz z gniewu i obrazy miłości własnej.

W Krakowie, oprócz Kochana, który zdawał się jej być życzliwym, nie miała jednego człowieka, jednej twarzy przyjaznej. Wszyscy patrzyli na nią nie jak na królową, lecz jak na zawadę niemiłą i upokarzającą. Nie zbliżał się nikt do niej, nie starał się o łaski, jak gdyby przeczuwano, że żadnego mić tu nie będzie znaczenia. miało pokuszenie się króla o żonę drugą ganiono głośno i powszechnie.

Znajdując ją gniewną, nachmurzoną, zapłakaną, rozpaczającą z powodu obojętności męża, Kochan doradzał, aby łagodniejszą, pokorą starała się go przejednać i zbliżyć do siebie.

Na to się ona zdobyć nie mogła. Domagała się praw swoich, czyniła wyrzuty i wymówki, a król za każdą bytność u niej wychodził więcej zrażony i chłodniejszy.

Kochan widział już, że małżeństwo będzie nieszczęśliwym, zmieszało go to, iż począwszy od opata wszyscy zgodnie mieli je za nieważne.

Rokiczanie wstąpiwość nawet żadna nie przychodziła na myśl: była pewną, iż lub dany przez biskupa

(bo jś z błędu nie wywiedziono) nie może być ani naruszonym, ani złamanym.

Kamirz obojętniał i ostygł.

Wśród tego życia, które zaledwie rzadkie janiejsze chwile znonym czyniły, ludzie już przygotowywali plany na przyszłość. Mówiono otwarcie o pozbyciu się dumnej Czeszki, o wyszukaniu

królowi młodszej, większego rodu i słodszeo charakteru towarzyszki.

Rokiczana nie dała się złamać przeciwnociami; zamiast zyskiwać serce, jśrzyła wszystkich skargami, obejciem się szorstkim, wymaganiami coraz większymi. Ludzie od niej uciekali.

Króla odrywały sprawy ważniejsze, w których szukał pociechy, jakiej w domowym nie miał pożyciu. Po spisaniu praw, ustanowieniu trybunału na Wawelu, po uporządkowaniu żup solnych, budowanie miast i zamków pochłonęło go całkowicie.

Dotychczas wszystkie one niemal były drewniane, wałami ziemnymi i ostrokołami a rowami otoczone, słabe tak, że lada napaci oprzeć się nie mogły.

Z końca w koniec tych ogromnych przestrzeni, którymi władał Kamirz, potrzeba było dla obrony, dla bezpieczeństwa wznosić mury, które jedne nowym rodkiem oblężniczym, podrzucaniu ognia, łatwemu obaleniu cian taranami mogły się dłużej opierać.

Staneła już w murach droga Łoktkowi Wilica, obmurowano Płock, trzeba było stroić zamki na zdobyczej Rusi i wszędzie, gdzie tylko nieprzyjaciel mógł się dostać; a gdzież na tych szerokich płaszczyznach, które jedne tylko słabsze rzeki broniły, w zimie mrozem cinane, wróg nie mógł bez przeszkody się zapędzić?

Kamirz miał na sercu dwignienie miast i zamków, wstydził się starych lepienek, owych gródków z chrustu i gliny, owych szop z bierwion sosnowych, stosów, które lada ogień obracał w perzynę. Każda podróż jego po kraju, każda wycieczka wywoływała nowe rozkazy, gdzie gród miał stanść i ciany potężne.

Myl ta zostawienia po sobie kamiennych grodów, które by wiekom jego imię powtarzały, tak go teraz zajmowała żywo, tak gorńco, jak wprzódy wilickie ustawy.

Jednym z ulubieńców, na równi z księdzem Suchywilkiem, stał się Waclaw z Tęczyna. Zazdrocili mu wszyscy.

Człowiek był wielkiego rodu, małego już mienia a osobliwego wyposażenia na owe wieki, gdy Toporczyk, dziedzic jednego

z najstarszych szczytów rycerskich w Polsce, nie mógł mieć innego powołania nad wdzianie zbroi i władanie orężem.

Toporczykowie rozrodzeni już byli i wiele gałęzi ich, szczupło wyposażonych, czekało na odkwitnięcie lepszego losu, spadku, małżeństwa lub nadań królewskich.

Wacław za młodu rycersko się poczył kształcić, potem do stanu duchownego namawiano go prorokując mu najwyższe dostojeństwo. Zwrócił się do szkoły, do ksiąg i udał za granicę, do tych Włoch, które były jeszcze zawsze bogatą skarbnicą; wszystkie z niej narody czerpały.

Tu Wacław z Tęczyna patrząc na wspaniałe szczątki starożytności rzymskich, na nowe gmachy, grody, miasta wznoszące się na wierzchołkach gór, na ruinach odwiecznych, rozmyślał się w budownictwie, w kamieniach, które myś ludzką zmuszone były opowiadać i ubezpieczać wojnami, pożogą zagrożone ludzkie życie.

Ziemianin, rycerz, stał się dobrowolnie kunsztmistrzem. Nie mogło go nic odwieść od przypatrywania się sztuce, z jaką tu ludzie kamienne hymny piewali na cześć Bożą, otaczali głazami swe ogniska domowe, zabezpieczali swe skarby i pracy owoce. W Polsce nic podobnego nie było, a być mogło.

Upojony tą myślą powrócił młody Wacław do kraju i, wprowadzony na dwór królewski, z taką żywocią poczył przed Kamirzem rozpowiadać o widzianych cudach, o tym, co się z ich tajemnic nauczył, iż król przejęty powołał go jako swą rękę prawą do wznoszenia grodów.

Ludzi, pieniędzy, kamieni, wszystkiego mu obiecywał dostarczyć. Wielką myśl obwarowania kraju, uczynienia go podobnym do tych, które go wyprzedziły, ogarnęła zarówno obu.

Z zazdrocią spoglądano na tego nowego ulubieńca, do którego król się z każdym dniem przywiśzywał więcej. Gdy rodzina i powinowaci Toporczyka koso patrzyli na tego rycerza, który kamieniarzem i murarzem być się ważył, król go zwał przyjacielem, pomocnikiem, sadzał do swojego stołu, całe godziny z nim

spędzał na rozmowach miłował go tak, jak on kochał ten kunszt, który z sobą zdobywszy przywiózł od obcych.

W godzinach tych, gdy z królem rozprawiali o wszystkim, czego Polsce ówczesnej brakło, co chcieli jej dać we dwu, Kamirz zapominał o wszystkich: o Rokiczanach, o dawnych smutkach i nowych zawodach, cieszył się tym, że kraj po sobie zostawi obdarzony prawem silnym, uporządkowany, zagospodarowany, zubożony, powiększony, mocniejszy, niż był, a w nim miasta, jakby serca bijące, z których życie się rozpląwać miało, w nim kmieci pod opieką sprawiedliwoci, osadników obcych, mnogich przybyszów bezpiecznych, szczęśliwych, mających się stać synami tej ziemi, którą uprawiali.

Pociecha wielka spływała mu na serce i mówił sobie w duchu:

Nie zostawię potomka, lecz potomstwem moim będą grody, sady, ludność rozrodzona pokojem i te gmachy moje, które wieki przetrwają.

Często po rozmowie takiej z Wacławem z Tęczyna, gdy ten i ów gród wspominali, zrywał się król natychmiast jechać, oglądać i obmyślać, jak być miał obwarowany.

I nic go wstrzymać naówczas nie mogło: zapominał trosk, nie pragnął innych rozrywek, siadał na koń z małą garstką ludzi, z Wacławem swym u boku, biegł oglądać położenie, szukać rodaków prędkiego wykonania swej myśli, z żup wielickich najczęściej naznaczając znaczne sumy dla przypieszenia

budowli, które pod okiem ulubieńca z dziwnym popiechem się wznosiły.

Budował król, naladowali go inni. Bodzanta wznosił ów bajeczny pałac, na który ciśgle pieniśdze dawał bratu, a nie miał go ujrzeć nigdy; murowali po miastach kupcy, ziemianie po swych wioskach...

Jak słońce wiosenne wywodzi z ziemi ziarna w niej upione, tak Kamirza opieka tworzyła naówczas ludzi: ks. Suchywilka, Wierzyńka, Waclawa z Tęczyna; były to jego ducha dzieci...

Miał też gorśczkę czynu Kamirz. która myli powziętej nie dawała usnść w powiciu. Raz jś powziśwszy, król z równś niecierpliwociś doprowadzał do skutku, jak ożenie z Rokiczańś, jak wszystkie inne swe sprawy. Lecz gdzie o szczęcie szło własne, spotykał prędko przesyć i rozczarowanie; gdzie szło o sprawy kraju, tam go nic zrazić nie mogło. Tak długo przygotowywanego statutu wilickiego nie dozwolił oporowi ziemian, niechęci duchowieństwa wydrzeć sobie; nie zważajśc na szemranie ogłosił go i położył na nim kamień węgielny prawodawstwa przyszłego Polski.

Kochan z zazdrociś pewnś spoglśdał na tych ludzi, co jak Suchywilk, Wierzynek, Waclaw z Tęczyna umieli królowi służyć nie czyniśc zawodu, nie ciśgajśc wymówek; on nie umiał nic więcej nad dogadzanie fantazjom jednodniowym, które zawsze potem niesmak i zgryzoty obudzały.

Nie czynił mu wymówek Kamirz za ów zwiśzek z Rokiczańś, juź ciśżścy mu, chociaż w istocie Kochan był jego sprawcś, a chwilowy jaki popęd i obietnica opata Jana dokonały reszty.

Rawa, jak tylko dostrzegł, że Kamirz dumś, uporem i chłodem pięknej Krystyny zrażony był, poczśł juź przemyślać nad pozbyciem się jej. Dla niego najpierwszym było panu usłużyć, a ofiary, jakie usługa miała kosztować, wcale go nie obchodziły.

Niemiłe pożycie z dumnś Czeszkś, która się natarczywie i nieustannie upominała korony i tytułu królewskiego, więcej niż kiedy króla wypędzało z domu.

Dosyć było wzmianki Waclawa o nowym zamku, który miał lub mógł zbudować, aby król rozkazał zaraz gotować się do drogi i ruszył oglśdać miejsce, obmylać robotnika i pieniśdze, jakie budowa miała kosztować.

Z jednej z takich wycieczek Kamirz powracajśc miał noc przepędzić w Opocznie; królewscy stanownicy wyprzedzili go kilku dniami wprzody, aby mu obmyleć wygodny spoczynek.

Na łowach, w podróżach popiesznych czasu wojny Kamirz się umiał, jak ojciec, lada namiotem lub szałasem obchodzić; gdy kraj objeżdżał, jako gospodarz zatrzymywał się wszędzie, chętnie rozmawiał ze wszystkimi poczśwszy od sołtysów i kmieci, musiano szukać dlań izby czystej i pomieszczenia dla dworu. W takich wycieczkach często, gdy albo miejsce lub ludność uderzyła króla, zamiast jednej nocy spędzał dni kilka.

Tam gdzie głód, nieurodzaj, wylew wód dotknśł lud wiejski, król posłyszawszy skargi natychmiast szukał rodków zaradzenia klęsce. Najczęściej trafiało się, że ci, co nie mieli chleba, powoływani byli

do kopania kanałów, do znoszenia budulca, kamieni, cegły i wznoszenia murów, których Kamirz był tak łakomy. Klęska opłacała się krajowi dając mu grody nowe, gocińce i splawy.

Gdy stanowniczy, zwany Greczynem a przez innych Hreczynś, przybył do Opoczna obejrzeć się za domem dla króla w miasteczku, w poczŹtku zafrasował się wielce, nic znaleźć nie mogŹc takiego, co by dla pana i orszaku jego starczyło. Jedyne obszerniejsze i wygodniejsze domy w mieście były własności Żyda, a Hreczyna, stary człek, przeszŹdny, choć wiedział, że król Żydami, jak innymi mieszkańcami królestwa, opiekował się chętnie, miał wstręt szukania gospody u niewiernego.

Aaron, żydowin zresztŹ, nie był jednym z pospolitego gminu izraelskiego, który już wówczas znaczŹnŹ część mieszkańców małych i wielkich miast stanowił. Pokrewny dzierżawcy żup wielickich, Lewka, kupiec słyŹszy z bogactw, prowadził on handle znaczne, a głównie trudnił się sprzedażŹ wyrobów złotniczych i drogich kamieni, których dostarczał moŹnym i skarbcem kocielnym. Oprócz tego Aaron, który wiele sam widział wiata i przepodróżował niemal całŹ Europę, był człowiekiem, jak mówiono, nauki i rozumu wielkiego, wiadomoci rozlicznych i, gdy go nie zajmował handel, siedział nad księgami. Miano go niemal za czarownika i obawiano się, ale szanowano razem, bo wielu dobrze, a nikomu nic nie czynił złego.

W chwili, gdy Hreczyna po miasteczku się kręcił i nie wiedząc, jak sobie da rady, klŹł cięŹkie obowiŹzki stanowniczych, z obwarowanego jak twierdza domu Aaronowego wyszedł mŹŹ bardzo powaŹny, czarno w jedwabie ubrany, z wysokŹ laskŹ, okowaŹ srebrem w rękę, w kołpaku sobolim i rozpytawszy się, wprost zbliżył do stanowniczego.

ChociaŹ Izraelity się w nim domyłał Hreczyna, a wstręt miał do nich wszystkich, ten, który się doń zbliżył, tak miał powaŹnŹ

postawę, niemal paŹŹŹ, tak sam jego strój skromny, ale Kosztowny, zapowiadał zamoŹność, iż stary słuŹa królewski na ukłón jego odpowiedział niemal grzecznie.

Aaron, gdyŹ to on był sam, nie szedł bez posługi i towarzyszów. TuŹ za nim kroczyło dwóch młodych Izraelitów odzianych przystojnie, którzy na słuŹbie u niego być musieli.

Hreczyna nie mógł się domyśleć, czego Źyd chciał od niego.

Mówiono mi odezwał się stary, lecz bardzo jeszcze krzepki Izraelita, rękŹ witając Hreczynę że wasza miłóć szukacie dla króla naszego gospody...

Tak jest, tak odparł Hreczyna.

Aaron brodę pogładził i rękŹ wskazując na dom, z którego wychodził, dodał:

Mój skromny dom na usługi wasze. Nie będzie on może godnym tak wielkiego pana a monarchy, ale w Opocznie nie znajdziecie lepszego, a w podróŹy król niewiele wymaga. Będę bardzo szczęliwym...

Hreczyna byłby może ofiarę odrzucił, lecz nie miał wyboruj domu nie znalazł, a czas upływał.

Proszę was przestąpić próg mój i spojrzeć rzekł Aaron. Ja się z rodzinś wyniosę, choćbym na podwórzu lub w szopie obozować miał, byle mnie to wielkie szczęście spotkało...

Mówiąc to Aaron prowadził już stanowniczego. Weszli przez warowne wrota w obszerny podwórzec, na którym stało kilka wozów ładownych, zaledwie wyprężonych. Dokoła otaczały go szopy i składy, stajnia dla koni i różne proste, ale kształtne dosyć budowle. Z jednej strony był dwór duży, powierzchownociś niezbyt uderzający, w części murowany, częściś po starowiecku z drzewa wzniesiony.

Aaron wskazał naprzód szopy, obiecując, że je dla orszaku króla opróżnić każe, potem wiódł do wnętrza dworu. Mało kto go znał, jakim był wówczas, bo oprócz jednej większej komnaty, w której Aaron przyjmował, inne były dla odwiedzających go nieprzystępnymi.

Izba ta pierwsza niczym się nie odznaczała, oprócz czystości wielkiej, rzadkiej owego czasu, nawet po dworach ziemian i duchowieństwa. Okna tylko, zamiast błon pospolitych, miały szklane szyby, w ołów oprawiane, co jeszcze wielki stanowiło zbytek.

Prędko przeszedłszy tę komnatę, którą rękś wskazał tylko Aaron, otworzył drzwi drugiej, a tu widok niespodziany wcale zdumione oczy Hreczyny uderzył.

Izba była takiej wielkoci jak pierwsza, lecz niemal z przepychem urządzona i przyozdobiona. Pułap drewniany rzebionymi kwadratami był okryty, ciany miały obicia tkane, podłoga kobiercami była usłana. Dokoła ławy, siedzenia, szafy z dębowego drzewa misternej roboty pochodzić musiały z obcych krajów, gdyż podobnych im jeszcze nie robiono w Polsce. Kosztowne i piękne naczynia cynowe, srebrne, szklane, kamienne widać było na policach.

Dostatek wielki, pański, zdumiał Hreczynę, który głowś potrzśsał.

Nie dosyć na tych dwóch, Aaron wskazał jeszcze trzeciś komorę, najmniejszś, gdzie i łoże piękne, z namiotem, i wszystek sprzęt był potrzebny w sypialni.

Starczy to dla pana naszego rzekł Żyd obracając się do Hreczyny szczęliwym będą służyć panu mojemu, któremu wielkś winienem wdzięczność. Komu innemu dorzucił ciszej nie tylko bym nie stworzył domu, ale bym się od gospody wykupił, bo wiem, że Żydowi z dostatkem się odkryć nie jest rzeczś bezpiecznś. Ale nasz król!!

I gospodarz ręce białe, niespracowane, chude, lecz pięknych kształtów, podniósł do góry.

Hreczyna ofiary odrzucić ani nie mógł, ani myłał; skłonił głowę. Oglśdając się ciekawie, oczom prawie nie wierzył, aby u prostego kupca, w skromnym dworze taki zbytek i takie się mogły znajdować dostatki.

Twarz Aarona rozjaniła się i natychmiast odprowadzając do pierwszej komnaty Hreczynę dał znak jednemu ze sług, aby podróżnemu napój powitalny podano.

Zmęczony stanowniczy rad był i temu, a zwłaszcza, że wino, które mu przyniesiono, doskonałym było, a łakocie zagraniczne smakowały po podróży.

Natychmiast Aaron wydał rozkazy, aby podwórze i szopy opróżnić, sam zajął się usuwaniem ksiąg, zwoitków i sprzętów, które by mogły razić gościa, jako nadto Izraelitę przypominające. Liczna dosyć służba, choć znaczna jej część lichy była odziana i odarta, zaczęła się krzątać, zamiatać, kadzić wonnociami wschodnimi, znosić zewsząd jeszcze sprzęt, jaki się wydawał potrzebny.

Aaron bardzo pragnął wiedzieć, kiedy król przybędzie, gdyż wymawiał sobie tę cześć, aby sam mógł Kamirza w swoich progach powitać.

Do wieczora ze stanowniczym byli już w najlepszych stosunkach; Hreczyna obdarzony, nakarmiony, napojony, rad, że panu wygodny, a mało służbę kosztujący pracy, zgotował odpoczynek, niemal z poszanowaniem obchodził się z Aaronem.

Tegoż dnia pod noc króla się spodziewano.

Była to znowu wiosna, ciepła już, wczesna i piękna bardzo... We dworze, którego część przeznaczona na królewską gospodę była oddzieloną od mieszkań pozostałych rodzinie Aarona, ruch panował wielki. Goniec wysłany zapowiadał przybycie pana. W rynku przyległym, w ulicach cała ludność okoliczna stała czekając na przyjazd królewski. Miał już Kamirz tę wielką miłość u swego ludu, szczególnie biedniejszego, której pamięć dany mu przydomek przechował. Co tylko żyło, wyglądało go... Duchowieństwo stało u drzwi kocioła, ziemianie, którzy się dowiedzieli o przyjeździe, osobno stali gromadzą na komach.

Słońce zachodziło, gdy orszak królewski się ukazał.

Król w podróży i wszędzie lubił dosyć występować ze wspaniałości monarcharszej: niezbyt liczny poczet króla odznaczał się tym, że europejski miał więcej, niż dawnego obyczaju, postawę. Zbroje, suknie, rzędy na konie, wozy, wszystko było z francuska, z niemiecka, z włoska, ale zastosowane do miejscowej potrzeby.

Sam król jechał konno, a że mu się powiodło nowych kilka zamków kazać zakładać a w Rusi szczególnie był dbałym wielce o nie, aby mu do utrzymania jej dopomagały, twarz miał wesołą, umięch na niej dobrotliwy.

Zsiadł naprzód u drzwi kocielnych, aby przyjść błogosławieństwo kapłańskie, wszedł na chwilę do małej wiśtyńki i nie dosiadając już konia, bo mu Hreczyna bliskim wskazał gospodę, pieszo poszedł ku dworowi Aarona.

Stanowniczy wiedział, iż gospodarz sam miał przyjmować króla u progu. W istocie w bramie już czarny jego płaszcz długi widać było, lecz obok białą jaką strój i jaka postać, której Hreczyna wytłumaczyć sobie nie umiał.

Gdy się zbliżył, obok Aarona ukazała się kobieta, a piękność jej tak nadzwyczajnie była uderzająca, że na widok jej Kamirz stanął zdumiony i cały orszak towarzyszący osłupiał niemal.

Było to dziewczę kilkunastoletnie, takiego oblicza, takiej wieżoci płci, takich rysów pańskich,

szlachetnych, wdzięcznych, iż królewnś by jś nazwać prędzej było można niż dzieckiem izraelskim.

Strój też od pereł, jedwabiów, klejnotów wykwintny, bogaty, przyczyniał się do podniesienia wschodniej tej piękności, która choć wczynie przekwita, w pierwszych latach młodości niezrównanego jest blasku.

Ogromne oczy czarne, rzęsami długimi na pół przykryte, miała i z uczuciem wielkim wlepiła z dala już w króla. W białych rękach, trochę drżących, trzymała złocistś misę, pokrytś jedwabnym ręcznikiem, złotem szytym. Pomimo wzruszenia, jakie się na jej cudnej malowało twarzyczce, widać w niej było odwagę, którś daje młodoć i królewska potęga piękności.

Król oczów nie mógł oderwać od tego zachwycajścego zjawiska.

Za zbliżeniem się jego Aaron rękś wskazał na niś i pochylajśc się nisko odezwał:

Miłociwy panie! Niech będzie błogosławiony dzień i godzina, w której raczyłe przestśpić próg domu mojego. To jest jedyne dziecko moje, które tobie jest życie winno i nie zapomniało o tym... Przyjmijcie od niej upominek.

Na wzmiankę o tym, że piękna owa Żydówka królowi życie miała być winnś, wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni; Kamirz za natychmiast przypomniał owo dziecię, które wraz z pokrwawionś matkś w czasie wzburzenia przeciw Żydom w Krakowie wyrwał z rśk oprawców.

Teraz nawet w tej rozkwitłej piękności mógł poznać owś dziewczkę, cudnie już wówczas piękñś, gdy przerażona, pół omdlała, pod płaszczem jego się tulśc, na zamek z nim biegła.

Aaronowa córka przyklęła przed królem podnoszśc ku niemu misę, którś w rękach drżących trzymała. Ręce jej drżały, lecz oczy, te cudne oczy czarne, niewymownym wyrazem czci i miłoci na Kamirza miało były zwrócone i mówiły mu zastępujśc usta, jak żywś wdzięcznościś biło serce...

Schylił się nieco król, dar z rśk jej przyjmujśc i bardziej jeszcze został przejęty, gdy srebrnym głosem a czystym językiem polskim młode dziewczę odezwało się do niego:

Chciałam tylko dnia tego dożyć, aby widzieć mojego pana i dobroczyńcę. Uczyłam się języka, aby nim podziękować.

. Z umiechem pochyliła się do stóp króla, który podniósł jś prędko i wesoło się odezwał:

Cóz za liczny kwiatek z tego pięknego pśczka się rozwinśł. Jak jej na imię?

Moje imię Estera odpowiedziała zarumieniona, lecz odważna dziewczyna.

Idścy tuż za królem kapelan szepñśł krzywiśc się: Nomen omen, bogdajby się nie wywróżyło i to jeszcze...

Aaron z córkś wiedli króla do izb mu przeznaczonych. Dwór szedł za nim, zdziwiony trochę, umiechajśc się, ramionami ruszajśc, niektórzy wielkś łaskawociś i uprzejmociś, jakś król okazywał

dla Żydóweczki, zgorzseni, inni szydersko na niš spoglšdajšc, kapelan obruszony i gniewny.

Aaron, wywiódlšszy Kamirza do izb, których wschodnia woń była upajajšca, wskazał stół bogatym obrusem nakryty, naczyniem srebrnym, pozłocistym zastawiony i prosił, by posiłek przyjšc raczył.

Najdroższe wina, przyprawy, najwytworniejsze ówczesne łakocie, półmiski ryb i zwierzyny czekały na króla.

Z wielkš mialociš, z umiechem uroczym Estera prosiła, aby król pozwolił jej usługiwać sobie. Sama podała mu misę, nalewkę i ręcznik do umycia i gdy Kamirz piercienie zrzucił do umywania, trzymała je, póki nie otarł ršk. W czasie posługi tej umiech z jej ust nie schodził, wejrzenie czarnych oczów cigąło króla i upajało.

Zasiadł do stołu sam, a Estera zastšpiła podczaszego nalewajšc mu pierwszy kubek wina.

Niechże go wychylę za wasze zdrowie rzekł wesoło Kamirz zwracajšc się ku niej i stojšcego tuż Aarona.

Kamirz lubił stół dobry, a że podróż i ruch głód obudziły, wzišł się do zastawionych potraw ochoczo, chwalc je i dziękujšc pięknej gospodyni, która, rumienišc się, cišgle na posłudze trwała.

Parę razy król jš zagadnšł o co; odpowiadała miało, nie trwožšc się i tak dobrym językiem polskim, iż Kamirz musiał jej to pochwalić.

Aaron dumny swš córks, głaszczšc jš pod brodę, poczšł chwalić w żywe oczy, choć zawstydzona mowę mu przerwać chciała.

Perła to moja mówił i perła całego rodu naszego. Mała rzecz, że Pan Bóg jš piękności obdarzył, lecz jej dał to, czego wielu niewiastom poskšpił rozum i miłość nauki, zdolności do wszystkiego! Czego ona nie umie! czego by się ona nie uczyła! Nie jeden ten język, zna ich ona kilka i mówi nimi doskonale. Kobiece roboty! w tych jej nie przejdzie żadna...

To mnie dziwi przerwał król że gdy u was małżeństwa się młodo kojarzš, perły waszej dotšd już wam kto nie porwał...

Estera spojrziała na króla i z lekka poruszyły się jej ramiona.

Chciałem ja jš dać synowi Lewka, dzierzawcy żup rzekł Aaron umówilimy się z nim o to, ale ten umarł młodo, a Estera teraz chce mieć wolę swojš i nie pieszy, a wyprasza mi się, abym jej z domu nie dawał... Prawda dodał Aaron że męża dla niej znaleźć, który by jej godnym był, nie będzie łatwo...

W cišgu całej wieczerzy Aaron i jego córka nie ustšpili, król rozmawiał z nimi. Stary i córka jego odpowiadali na pytania z wielkim rozsšdkiem i szczerociš. Zdumiewała szczególnie

Esterš przytomnościš, odwagš, swobodš, z jška. rozmawiała. z królem, który z niej nie spuszczał oczów i słucał z uwagš wielkš.

Estera podała mu wreszcie misę i kubek do umycia ręk po jedzeniu i, pożegnawszy niskim do kolan ukłonem, razem z ojcem odeszła.

Dwór, który w czasie wieczerzy stał we drzwiach, patrzył i przysłuchiwał się, gdy Kamirz sam pozostał, przystąpił dopiero, a pierwszym słowem króla było podziwienie nad piękną dziewczynką i jej rozumem.

Cóż wy mówicie na to dziwo? odezwał się do nadchodzących. Widział kto z was księżniczkę piękniejszą i mielszą a mądrzejszą nad tę córkę Izraela? Prawdziwy cud!

Nie przeczył nikt, lecz milczeli wszyscy, bo im też poufałość z Żydówką więcej niż dziwną się wydawała. Kapelan szczególnie był nachmurzony i kwany; inni też znajdowali, że się król nadto pospolitował pozwalając takiego spoufalenia.

Nie zapominajcie rzekł król czytając w twarzach dworu że ja jej życie ocaliłem i że mi ojciec i córka wdzięczność swoją wyrazić chcieli. Nie mogłem odrzucić jej, gdy najczęściej ci, którym wiadczym najwięcej, inaczej się nam wypłacają.

Wedle zapowiedzi, król noc miał tylko przepędzić w Opocznie, owiadczył jednak zaraz, że czując się zmęczonym następnego dnia rad by tu spocząć nieco. Złoliwi ludzie zrozumieli to wcale inaczej, umięczano się i żartowano, lecz Kamirz nie zwykł był nigdy zważać na to, jak ludzie jego czynności tłumaczyli.

Następnego dnia przy obiedzie piękna gospodyni przysłała znowu z wdzięcznym umięczem usługiwać panu swojemu wraz z ojcem. Mowa była o niedawnych prześladowaniach Żydów w tych krajach, które morowe nawiedziło powietrze, o potwarzach na nich rzucanych, losie ich nieszczęśliwym, Estera umiała go wymownie malować. Przypomniał Aaron stary Bolesławowski Żydom dany przywilej, prawne ich położenie w Polsce zabezpieczający, a Kamirz po namyśle obiecał go rozpatrzyć i, gdyby potrzeba było, odnowić.

Dzień też płynął i dla dworu króla wesoło, gdyż Aaron podejmował wszystkich po pańsku, dostarczając, co tylko potrzebować mogli ludzie, służba i konie.

Dziwiono się hojności Izraelity i dostatkom jego. Uważano i to, że Estera, która pierwszego dnia wystąpiła w stroju kosztownym, nazajutrz zupełnie go zmieniła, przybrała klejnoty nowe, suknie piękniejsze jeszcze i dnia tego wydawała się znowu, w inny sposób, zdumiewając wdziękami. W czasie stołu król ze stojąc przed nim rozmawiał cisze, a Aaron nie pieszyl z odpowiedziami na pytania, które ona daleko piękniej i janiej rozwijała.

W istocie dziwić się było potrzeba w młodym dziewczęciu takiej umysłu przytomności, pamięci i rozmowie. Niewiele niewiast naówczas, nawet na dworach królewskich, znaleźć było można równie usposobionych; szczególny dar trzeba było przyznać kobiecie, która przeciągała płęć swoją, stan i wiek.

Nic dziwnego, że gdy król trzeciego dnia, po pożegnaniu gospodarzy swoich, z Opoczna wyjechał, przez całą drogę nie mówił i nie myślał, tylko o pięknej Esterze, ubolewając, że się takie cudo narodziło w plemienu wzgardzonym i przeznaczone było na los wcale niezazdrosny...

Kochan będąc w orszaku królewskim przysłuchiwał się temu z uwagą wielką. Snuł już na przyszłość plany.

Zapał, z jakim się Kamirz odzywał o Esterze, zapowiadać się zdawał, iż nie łatwo o niej zapomni...

Rokiczanie ostatnia godzina wybiję niezadługo mówił w duchu. Zbrzydnie mu ona teraz bardziej jeszcze!

W istocie, powróciwszy do Krakowa, król nie spieszył do Czeszki, chociaż wiedział, że mu obiecywała potomka, którego narodzin się wkrótce spodziewano.

Uradowałoby go to było, gdyby małżeństwo jeszcze za ważne w jakikolwiek sposób uznanym być mogło. Dzi zgodnie wszystkimi głosy postępek opata Jana potępiano i nikt lubu tego za prawowity nie uważał.

Posiano w sekrecie zapytanie do papieża, czyliby w jakikolwiek sposób nie dał się zwiśzek uprawnić, odpowied przysła stanowczo zaprzeczająca.

Być bardzo może, iż starania królowej Elżbiety i syna jej przyczyniły się do tego. Obawa, aby Ludwik tronu polskiego nie stracił, była wielką.

Siostra, która starała się widzieć z bratem, ciśle posły doń wyprawiała, wystawiała mu mniemane małżeństwo jako postępek, którego nawet rozgłaszać się nie godziło.

Zobojętnienie króla dla Rokiczany ze wszystkiego jednak najwięcej wpłynęło na zapomnienie i lekceważenie lubu danego w Tyńcu... Król nie mówił z nią nigdy o nim, a teraz coraz jś rzadziej widywał i spotkania unikał.

Dumna Czeszka, zamiast chcieć go przebłagać i przejednać łagodności i dobroci, stawała się coraz gniewniejszą, opryskliwszą, groniejszą.

Blisk będąc słaboci, wezwała do siebie Kamirza i gdy zmuszony przyjąć ukazał się w progu, wstała wyrzutami go obarczając.

Nie napraszałam się wam zawołała nie pragnęłam tej korony... Byłam szczęliwą, szanowaną, miałam dostatki, mogłam wybierać między rycerstwem cesarskiego dworu... Uwiedlicie mnie królewskim słowem, uwiedli lubem fałszywym Bóg was skarże za mnie!

Na próżno Kamirz starał się jś uspokoić; odpychała go domagając się praw swoich.

Miłonic twoj ani niczyj nie mogłam być wołała nie byłam, jestem żoną... Pójdę ze skarg do papieża, rozgłosz wiatu podstęp niegodny...

cigany tymi i podobnymi wyrzutami, Kamirz uszedł od niej zmieszany, strapiony, czując swą winę.

Opat, który go na tę drogę wprowadził, aby uniknąć wymówek, udał się był za granicę... Nie było go na Tyńcu. Biskup krakowski, z którym zgoda opłacona droga przychodziła do skutku, o lubie tym ani

słyszeć nie chciał

Zamyłano Rokiczanę z zamku krakowskiego oddalić, gdzie nazbyt wiele oczu i uszu było wiadkami królewskiego upokorzenia. Lecz chorś, nieszczęliwś, chyba siłś było można stśd przenieć, owiadczyła bowiem, iż się nie ruszy i praw swoich do zgonu choćby bronić będzie.

Rodzina można, powołana przez niś, majśc na dworze cesarskim stosunki, aż do porednictwa Karola się udała, aby uwiedzionej uzyskać zadoćuczynienie.

Cesarz jednak mieszać się nie chciał w tę sprawę i swym zwyczajem, ostrym a Nielitociwym słowem szyderskim Rokiczanów odprawił.

Narodzenie syna, które by króla szczęliwym uczyniło, jakby szyderstwem losu przyszło wśród tych zgryzot i zatargów. Nie zmieniło ono losu kobiety, którą Kamirz włanie dlatego znieawidził, że czuł względem niej winę swójś.

Szło już tylko o znalezienie rodka jakiego, mogścего rozłśczenie ułatwić.

Kochan chodził zadumany próbujśc namowy, obietnic, grób nawet, a nie mogśc złamać oporu męźnej niewiasty, która gotowś się opowiadała choćby zginśc, a nie ustpić nic...

Jestem żonś królewskś powtarzała ktokolwiek bśd lub nam dawał, błogosławiono nam w kociele... Niech winowajca zostanie ukarany, jam była niewinnś. Zgrzeszyłam tym tylko, że wierzyłam słowu króla i zapragnęłam tej korony, która dla mnie cierniowś być miała...

Kamirz nie miał nic do wyrzucenia Rokiczanie, brakło mu nawet pozoru do rozstania się z tś, którą na chwilę tak namiętnś miłociś pokochał.

W orszaku nieszczęliwej Czeszki przybyła z niś z Pragi i znajdowała się dotśd Zonia, która tak bardzo pragnęła do Krakowa się dostać i równie pono jak jej pani była w nadziejach zawiedzionś.

Kochan, na którego naprzód rachowała, przyjacielem jej był zawsze, lecz o małżeństwie mówić sobie nie dawał.

miejśc się odpowiadał na przymówki, iż coraz większe czuł powołanie do stanu duchownego i drogi do niego sobie zawiśzywać nie chce. Groził, że wkrótce przywdzieje habit mniszy, ale ze spełnieniem tego postanowienia nie pieszył.

Inni też przyjaciele Zoni do zalotów szli ochoczo, lecz o małżeństwie nie wspominali.

Zonia chwilami wraz ze swś paniś na całś Polskę, na dwór, na króla, na wszystko, co tu znalazła, wykrzykiwała żale rozwodzśc,; potem przychodziły na niś chwile, gdy jś Rokiczana obejciem się ostrym zrażała, że przeciw niej powstawała gwałtownie.

Wiedziała ona, że pozbyć się Czeszki chciano, że szukano, co by jej zadać i czym królewskie zniechęcenie wytłumaczyć.

Raz, gdy Kochan otwarcie się przed niš wygadał, dowcipne dziewczę, z minkš tajemniczš, odezwało się dwuznacznie:

Może, gdybym ja chciała, znalazłoby się co do powiedzenia przeciw tej słomianej królowej, ale mi jej žal! Takecie jš zwiedli, jak wszystkie nas zwodzicie!

Utkwiło to w pamięci Kochanowi, zaczął dopytywać usilnie, dziewczę się miało.

Wiecie o jakim kochanku jej? pytał.

Co to, to nie! miała się Zonia. Co wiem może od tego gorszego, ale jej kochankowie nie w głowie. Ona nigdy nie kochała nikogo...

Cóż? Może królowi co zadać chciała przez zemstę? próbował Kochan.

Zonia miała się coraz mocniej.

Gdybycie trzy dni i trzy noce sobie głowę łamali, nie zgadniecie; to próżno! A że ja co wiem... to jak Bóg Bogiem prawda i że wam zdrajcom, kobiet zwodzicielom, nie powiem to też prawda!

W nadziei wydobycia z niej tajemnicy, Rawa stał się czulszym, nadskakujšcym, rozmiłowanym na nowo; dziewczę zrozumiało dobrze cel i wymiało niezręczność.

Jeli mylicie, że się wygadam za darmo, ho! ho! to mylicie się srodze...

Mylicie sprzedać tajemnicę? no to mówcie, co chcecie za niš?

Za pienišdze jej nie dam! odparło dziewczę. A wreszcie kobiety mi žal...

Bałamucicie mnie tylko zawołał Rawa. Nie wiecie nic, dlatego i powiedzieć nie możecie.

Zonia uderzyła się w piersi.

Źe wiem, na tom przysišc gotowa... Łamał głowę Kochan, sposobu z niš nie było. Po kilku dniach naparł znowu.

Mówiła, że tajemnicy twej nie dasz darmo i że jej za pienišdze nie sprzedasz, cóż za niš chcesz?

Zonia popatrzyła mu w oczy.

Ożenisz się ze mnš? zapytała. Ale nie żaden opat z Tyńca lub nam będzie dawał, tylko na zamku wobec wszystkich albo biskup, lub kto tu z nich najstarszy, w biały dzień.

Rawa wzišł to za żarty i obrócił w miech.

Jednakże tajemnica Rokiczany nie wychodziła mu z myli. Sšdził, że może która ze słuŹebnych wie co takŹe, poczšł ledzić i tego tylko doszedł i dopytał, iŹ królowa, jak dawniej w Pradze ze starš

ochmistrzyńś co dzień zwykła była zamykać się w osobnym pokoju, do którego wszystkim wstęp był wzbroniony, tak i na Wawelu z Zoniś z rana, a czasem i parę razy w ciŝgu doby do osobnej komórki chodziła i w niej się z niś na klucz zamykała.

Źadna z niewiast słuŝebnych podpatrzeć nie mogła, co one tam robiły. Wychodziła stamtŝd odwieziona i odmłodzona, z włosami utrefionymi...

W istocie więc Zonia mogła jakś wiedzieć tajemnicę.

Za drugim spotkaniem Rawa ponowił Zoni ofiarę, jakiej by zapragnęła za sekret swój, z wyjŝtkiem tylko małżeństwa, do którego wstręt miał nieprzezwyćżony.

A jam sobie słowo dała odparła filutka że w Polsce za mŝż wyjć muszę.

No to ja ci innego wyszukam męŝa na moje miejsce rzekł miejŝc się Kochan.

Zgoda odpowiedziała Zonia ale potrzeba, ŝeby ja go sobie wybrała sama. Chcę go mieć bogatym, młodym, przystojnym, a za mieszczanina nie pójdę, rycerz by musi!...

Za wiele ŝŝdasz! zamięł się Kocham

Bo wiem, ŝe to, co dam w zamian, wiele warto mówiła Zonia pół ŝartem. Chcecie się jej pozbyć, a nie macie jej co zarzucić, prawda? cięŝy wam? Otóŝ sposób w moim ręku. Zdradzę biedne kobiecisko westchnęła ŝeby było przynajmniej za co pokutować... Dajcie mi męŝa, jakiego chcę!

Kochan brał to znowu za ŝarty, lecz przekonał się po dniach kilku, ŝe Zonia w istocie na taki frymark rachowała.

Ja bym tego nie uczyniła dodawała uspokajajŝc sumienie za ŝadne skarby wiata, nawet dla czepca na głowę, ale cóŝ? wy czy tak, czy owak Rokiczany się pozbędzicie, nie dzi, to jutro... niechŝe wasza niepoczciwoć choć się komu na co przyda...

Zabiegi Kochana, który jednego dnia wierzył Czeszce, drugiego nie dowierzał i poŝŝdzał jŝ o podstęp, ciŝgnęły się długo. Zonia nie ustępowwała starajŝc się rozbudzić żywŝ ciekawoć w Rawie i draŝniŝc go coraz więcej.

Lubił jŝ za wesołość i szczebiotliwoć Kochan, chętnie z niś przestawał, ale zalotnoci się obawiajŝc, ŝenić nie chciał. Napytał więc ubogiego wprawdzie, lecz z nadziejami spadku po stryju i łask królewskich młodego i przystojnego Doliwę Janka i poczŝł go swatać Zoni... Owiadczyła, ŝe z biedy go wziŝć gotowa...

Kochan mu od króla (choć bez jego wiedzy) obiecywał złote góry. Chłopak krwi gorŝcej, gdy go zalotne dziewczę w obroty wzięło, głowę stracił. Gotów był i do lubu...

Lecz z Zoniś przebiegłŝ i nieufnŝ do końca trafić było trudno. Zgadzała się na wszystko, tajemnicę objawić obiecywała, nie inaczej jednak, jak po swym lubie.

Kochan tak już był zniecierpliwiony oczekiwaniem, że i na to się zgodził.

Za królewskš zgodš, bo Doliwa był pod opiekš jego, Janek miał się żenić. Wesele na zamku kosztem pańskim się odbyło.

Przy wyjciu z kocioła czatował Kochan na pannę młodš i szedł przy niej do izby, w której ucza weselna zastawionš była. Zonia się umiechała żartobliwie.

A co by było szeptala gdybym ja teraz, jak dzieci, co grajš w cetno czy lichu, otwarła dłoń i pokazała, że w niej nie ma nic?

Kochan pogroził. Wytrzymawszy go, pani młoda rzekła mu w ostatku:

Jutro rano przyjdiesz do mnie, a dowiesz się, co potrzeba...

Rawa stawil się do państwa młodych. Zonia przyjęła go z minkš na pół figlarnš, pół kwanš. Stała zamyłona długo, nim mówić poczęła.

Co dzień rano rzekła po cichu i jakby zmuszona królowa idzie ze mnš do komory i zamyka się... Jutro... ja drzwi na klucz spucić zapomnę; niech król przyjdzie, a to, co zobaczy... Wystarczy mu...

Nie dokończyła i odbiegła prędko, więcej już nic chcšc powiedzieć.

Kochan został z tš niepewnościš, z jakš przyszedł. Udał się do Kamirza i musiał mu się szeroko wytłumaczyć z tego, co przedsięwził. Zakończył tym, co mu Zonia powiedziała.

Od dawna król Rokiczany unikał i nie bywał u niej, wymówki i przekleństwa go nużyły. Zmarszczył się, pomyślał.

Pójdę więc rzekł. O niej i o synu je] pamiętać będę, nie opuszczę ich, ale kobiety złej i nieznonej pozbyć się muszę.

Następnego dnia wszystko było tak osnute, ażeby Kamirz wchodząc do Rokiczany nie zastał nikogo i by przyjcie jego do owej komory, w której się zwykła była przystrajać, wydawało się przypadkowym.

Kochan doprowadził go do mieszkania. W rannej godzinie służba niewiecia i męska była rozpierzchła, w komnatach nikogo.

Kamirz przeszedł je wolnym krokiem i do wskazanych mu drzwi dostawszy się za kłamkę ujšł.

Nie były one zaparte... wszedł, lecz na głos jego kroków, Zonia, niby przelękła, za póno, aby go wstrzymać, rzuciła się do drzwi.

Rokiczana siedziała na wezglówiu przed zwierciadłem z głowš obnażonš... Zwykle okrywał jš piękny, ciemny, bujny włos, w trefionych misternie spletach otaczajšcych owal twarzy...

W tej chwili ujrzał król głowę tę całkiem prawie włosów pozbawioną, wyłysiałą i skutkiem zapewne leków, których używała, okrytą plamami i bliznami czerwonymi.

Rokiczana widząc nadchodzącego króla, przed którym tajemnicę tę tak długo i zręcznie ukrywać się starała, krzyknęła straszliwie, rękami twarz zakryła, pochyliła się na stół. Chwilę krótko zdawało się, że omdleje, lecz zamiast mdłości gniew ją ogarnął.

Z rozpuszczoną włosów swych resztą, z oczyma zaognionymi porwała się przeciw Kamirzowi.

Patrz! zawołała chciałem tego zapewne, aby mnie podejrzwał i wiedział, jak jestem... Zdradzono mnie, wydano... A! wstydu tego nie zniosę!

Blisko stojąc Zonię silną ręką popchnęła od siebie ze złością. Precz mi z oczów, ty żmijo! krzyknęła. Król stał niemy; wstręt go większy jeszcze ogarnął na widok kalectwa kobiety i wzruszenia, jakiego doznała, ale i litość zarazem.

Nie możecie się skarżyć na to, abycie byli oszukani odezwał się bo i wy mnie oszukiwalicie długo... Żyć bymy dłużej z sobą nie mogli; wiecznie się wzajem gryć i kłócić obojgu nam nie przystało. Lepiej uczynicie opuszczając Kraków; o syneczku ja nie zapomnę i wychowam go jak królewskie dziecko.

Rokiczana padłszy na siedzenie już nic nie słuchała zachodząc się od płaczu i jęków.

Kamirz nie mówiąc więcej wyszedł zostawując ją samą, a Kochan z rozkazu jego wysłał natychmiast służebne, aby miały o niej staranie.

Tegoż dnia sędziwy kapłan, który był spowiednikiem słomianej królowej, przyszedł do niej z polecenia od króla dla układów...

Rokiczana, która dotąd niewzruszenie się opierała wyjazdowi i powrotowi do Pragi, nie obstawała już więcej, by zostać w Krakowie. Z dumą, która jej nie opuszczała nigdy, zabezpieczając przyszłość dziecięcia swego, dla siebie nie chciała nic odmówić darów i wyposażenia. Wszystkie klejnoty, którymi ją król obdarzył, zebrane razem kazała odnieść do skarbcza, nic sobie nie chcąc pozostawić, nawet pierścienia z szafirem, który był pierwszym łańcucha dzi skruszonego ogniwem.

Jak dawniej z uporem, opuszczona od wszystkich, umiała wytrwać na stanowisku, tak teraz z popiechem nadzwyczajnym czyniła przygotowania do podróży. Nie chciała ani godziny dłużej pozostać tutaj; odmówiła rozmowy wszystkim, co się do niej zgłaszali, dziecięcia aż do wzrostu oddać i od siebie odłuszczyć nie dała.

Jednego poranka, nim się na brzask zebrało, potajemnie, unikając ludzkich oczu, w małym orszaku, wozem zakrytym, wyruszyła cicho z zamku krakowskiego osłoniwszy się tak dokoła, aby jej nikt widzieć i poznać nie mógł w drodze.

W niewielkim od miasta oddaleniu czekał na nią brat z pocztą dostateczną, aby ją bezpiecznie przeprowadzić do Pragi...

Gdy rano Kochan królowi dał znać, iż Czeszki na zamku już nie było, odetchnął swobodniej Kamirz, lecz chmura nie zeszła z czoła jego. Ciężki wyrzut zachował w głębi serca przeciwko samemu sobie. Teraz, gdy jej już nie było, żałował jej... bolał, litował się, a drugiego dnia wyprawił Kochana za niś do Pragi, aby się dowiedział o podróży, przybyciu i dalszych jej zamiarach, zapewniając, że zawsze na opiekę jego może rachować.

Posłuszny ulubieniec pojechał, chociaż przeczuwał, jakie go tam spotka przyjęcie. Nie pieszył z podróży wcale, umiecił się u Wujków, gdzie po mierci ojca Zoni brat gospodarzył, i niechętnie przywłókł się do znanej sobie kamienicy, w której Krystyna znowu mieszkanie zajęła.

Chociaż przybyła niedawno, miała już czas swój dwór i czelad tak zebrać, przystroić i rozmieścić, iż Kochan znalazł tu niemal królewskie otoczenie i porządek obyczajem pańskim ustanowiony.

Marszałek dworu, któremu się oznajmić musiał, poszedł o nim i o poselstwie jego oznajmić swej pani.

Kochan w przedsienu czekać musiał na posłuchanie i zrazu mu go odmówiono. Nalegał na, marszałka z tym, że nie odjedzie do Krakowa tak pogardliwie zbyty. Poczęły się więc układy i upór posła zwyciężył.

Piękna jeszcze Krystyna po długich sporach naznaczyła przyjęcia godzinę.

Gdy Kochan nadszedł, znalazł cały dwór jej wspaniale ustrojony, w przedsienu i bocznych izbach stojący jak na pokaz, a jś samś w głównej komnacie, na złocistym siedzeniu, przepysznie ubranś, przystrojonś klejnotami, z małym, naumylnie włożonym diademem na głowie, dumń, majestatycznś jak królowę.

Nie zrzekała się ona dostojności i tytułu, do którego wierzyła, iż miała prawo.

Skinęła za ledwie głowś posłowi, bez najmniejszego wzruszenia wysłuchiwała przemówienia jego i odparła obojętnie.

Możesz donieć panu swojemu, że Rokiczana nic od niego nie potrzebujśc, żadnej nie przyjšwszy łaski, godnoć swś zachować potrafi i wstydu mu nie uczyni!

Nie było się więc co w dłuższ wdawać rozmowę, a Krystyna, kilka słów tych rzuciwszy ulubieńcowi królewskiemu, wstała natychmiast z siedzenia, dwóm przybranym w barwę szkarłatń paziom dawszy znak, aby ogon sukni jej nieli za niś. Niewieci orszak w porządku i milczeniu parami wysunł się za odchodźścś w głśb dworca.

Marszałek dworu Rokiczany zapraszał potem Kochana na przygotowanś wieczerzę, lecz po przyjęciu, jakiego doznał, ulubieniec króla chleba w tym domu przełamać z nikim nie chciał i z dumś też, pożegnawszy go, odszedł.

Nie było królowi przyjemnym to, że Rokiczana zawsze się królowś mianujśc chciała niś pozostać do żywota, wolałby był

pewnie wydać jś za mśż i widzieć zatartś pamięć błędu; lecz charakter niewiasty spodziewać się tego nie dozwalał.

Tak uwolniony od krępujścego go zwiśzku, król najmocniejsze powziśł postanowienie nie zawierać już żadnych lubów nowych, nie dać się uwieć nowej szczęcia domowego nadziei.

Poddawał się losowi swemu i wyrokowi temu, który od dawna brzmiał mu złowieszczś przepowiedniś: nie zostawisz po sobie potomka...

W sile wieku jeszcze, z sercem młodym, zbojętniały przez tę próżnś z losem walkę, w której tylekroć był zwyciężonym, znużony, smutny, cały się znowu oddał spełnieniu tego, co po nim miało zostać wiekuiśł pamiśtkś.

Na tym polu król widział jakby czarodziejskś różdżkś spełniajśce się wszystkie życzenia swe, wcielajśce myli.

Rosły w oczach zamki i grody, mnożyły się w skarbcach zbiory, kraj wród pokoju zaludniał, przybysze z Niemiec i innych ziem sśśiednich płynęli doń; rosła i sława wielkiego króla, i potęga jego, i siły wewnętrzne państwa.

Gdy wród tych dostatków i pomylnoci przyjaciele królewscy, Wierzynek, oddany mu Kochan, sługa wierny, ks. Suchywilk, Bogoria, Waclaw z Tęczyna widzieli zasępione czoło, błędnie czasem chodźśce oczy, jakby szukały po wiecie czego marzonego, litowali się nad panem wszyscy.

Co mu po tym wszystkim mówili gdy szczęcia nie ma i mieć go nie może!

Kochan ramionami ruszał niecierpliwie.

Dlaczego nie może? odpowiadał. Los go, prawda, przeladował długo, ale w jego wieku rozpaczać się nie godzi. Wolny jest, ożenić się może; wolny jest, niewiastę sobie wedle serca wyszuka.

Lecz król, ilekroć Kochan dał mu zręcznie do zrozumienia, iżby mógł towarzyszkę znaleźć, ramionami wzgardliwie odpowiadał i wnet rozmowę na inny temat odwracał.

Unikał nawet wszelkiej zręczności, w której by z niewiastami mógł się spotykać.

KSIĘGA SZÓSTA

Król miał jechać na łowy. Nie był on zapalonym ich miłośnikiem, nie tęsknił za nimi jak inni jego poprzednicy, jak wszyscy niemal współcześni księżęta i rycerstwo, dla których one, czasu pokoju, były jakby wprawś do wojny i jedynś męskś zabawś, lecz gdy raz wyjechał z ogary, z oszczepy, z ptaki i łucznikami swoimi, gdy w lasy się zapucił, gdy mu psy zagrały, zwierz się pomknśł odzywała się gorśca krew w nim i zapędział się za jeleniem, za żubrem lub łosiem tak zapalczywie jak inni.

Niemniej teź od innych był wprawny w ciskaniu strzały lub oszczepu, niemniej wytrwały na niewczasy i znużenie, lecz miłszym mu było poufałe towarzystwo mśdrych ludzi, długie u stołu biesiady i rozmowy, a nawet prosta z kmieciem pogadanka.

W polu, gdy chłopa przy robocie zobaczył, a ci go wszyscy znali w tych okolicach, w których częćiej przebywał, mało kiedy się nie zatrzymał, na pozdrowienie nie odpowiedział, nie pozartował poufale, nie pocieszył lub nie obdarzył.

Zazdrosne rycerstwo za złe mu to miało: pokśtnie a kwano szydzono z tego upodobania. Byli i tacy, co przypominali, że chłopi i kmiecie Łoktkowi ojcu pierwsi w pomoc przyszli, gdy się państwa dobijał na nowo, i przypisywano to wdzięćznoci.

Kamirz wiedział o tym, że go chłopskim królem zwano, umiechał się i wcale nie gniewał, choć naówczas obelżywe to było nazwanie:

Chłopskim i mieszczzańskim razem chcę być mawiał równie jak ziemian i rycerzy. Wszyscy u mnie dobrze, co na tej ziemi mieszkajś, pracujś i potem jś swym oblewajś.

A im panoszę i rycerstwo więćiej na to sarkało, tym król jawniej się ze swś miłociś dla ludu okazywał na przekorę. Miał nie tylko serce dlań, ale i tę fantazję pańskś, by nie po cudzej myli ić, ale wedle własnej i jak sobie raz zamierzał.

Łaskawym bęćdśc, surowym być umiał teź, zwłascza dla tych, co mu się ostro nastawiali. Nie gniewał się i nie burzył, częćsto umierzał, opór spotykajśc, a szedł tym mocniej i dzielniej przeciwko niemu.

Rycerskie to było usposobienie, szlachetne, pańskie a ufne w siebie. Mnogie powodzenia dały mu tę pewność i wiarę, jednś tylko zachwiawszy nadzieję, by kiedykolwiek potomka miał po sobie zostawić.

Przekleństwo Amadejów, sprawiedliwe czy nie, ciśżyło na nim.

Swatano mu ciśgłe; obawiał się próby nowej, lękał samego siebie znajśc swe serce, które łatwo umiłowac mogło, bo miłowac pragnęło, lecz zrazało się rychło, gdy piękna istota zmieniła się wpręćde w brzemię nieznone.

W chwili, gdy już na koń i król miał siadać odziawszy się w kaftan, przypasawszy miecz myliwski,

ogłsdajśc się za tršbkš myliwskš, którš miał na ramionach zawiesić, Kochan wszedł z dziwnie wyjanionš twarzš.

Król go tak znał, że z jego umiechu łatwo mył i humor czytał.

Cóz ci to? spytał. Widzę, że rad czemu?

Ja? nie odparł Rawa ramionami poruszywszy z lekka ale tylko co mi Gozdawa Zbysz opowiadał co...

Król tršbkę trzymajśc w ręku nie wkładał jej, patrzył na Kochana i powieci czekał. Był pewien, że ona wkrótce nastšpi.

Cóz ci to przyniół Gozdawa?

Powiadał mi, że w Krakowie widział pięknš Esterę z Opoczna...

Spojrzał na króla, który nie chcśc się może wydać z żywš ciekawociš, na tršbkę spoglšdał.

Mówi, że... poczšł.

Wydano jš pewnie za mšż do Krakowa? zapytał król.

Za mšż nie wyszła, straciła ojca.. cišgnšł Kochan dalej i co dziwniej na Żydówkę, bo u nich niewiasty mało albo nic nie znaczš, sama pono się rzšdzi... Przeniosła się tu na mieszkanie.

Rodzina czuwać nad niš musi rzekł król, zwolna sznur od tršbki nakładajśc na ramię, w czym mu Kochan dopomógł.

Ona opieki nie potrzebuje, bo rozumniejsza jest od nich wszystkich mówił Rawa. Włanie to osobliwe, że oni przez pamięć na Aarona i poszanowanie w niej wielkiego rozumu, z którego słynie, dajš się jej rzšdzić samej...

Kamirz spojrział nic nie mówiśc.

Cóz, za mšż się wydaje? powtórzył.

Nie słyhać o tym dodał Kochan. Gozdawa tyle tylko wie, że jak była pięknš, kiedymy jš widzieli w Opocznie, tak jeszcze jest teraz piękniejszš. Żydzi, nie Żydzi, kto jš zobaczy, powiada, że takiej niewiasty, jako żyw, nie widział!

Wtem na podwórku tršbić zaczęto na łowców, król ruszył się wychodzić.

Spytał o psy swoje i tym Kochanowi dał do mylenia, że pięknš Esterš wcale się nie zajmuje.

Zwrot ten króla, dla tak dobrze jak Rawa znajšcego go człowieka, miał wcale inne znaczenie, niżby mógł mieć dla kogo obcego.

Nie przedłużył Kochan rozmowy. Kamirz wyszedł konia dosiść i ruszyć na łowy.

Trzeciego czy czwartego dnia, gdy Kochan sędził, iż król zapomniał o tej rozmowie, nagle spytał go przy końcu obiadu:

Cóż tam, Kochan, masz nowe wiadomości o tej Esterze, która cię tak żywo obchodzi?

Był to znak, że król sam o niej myślał.

Nowego nie mam nic odparł dworzanin lecz gdyby potrzeba było, gotowym się dowiedzieć!

Zmarszczył się Kamirz i rzekł sucho:

Jeli tobie potrzeba...

Na tym się wszystko skończyło, lecz Rawa zachował przekonanie, iż piękność Estery nie została zapomniana.

Po smutnym dowiadczaniu z Rokiczanš, którš po trosze miał na sumieniu, nie miał już uczynić kroku żadnego.

Dzierżawca żup wielickich, Lewko, przyszedł w tych dniach do króla za sprawami żupnymi.

Był to jeden z tych ludzi, którym Kamirz dowiadczywszy ich, ufał całkowicie, czego dowodem było, że Lewkowi wspólnie z Janem Jelitkiem do wiernych ršk oddał monetę swš i mennicę.

Lewko, chociaż nie sam dzierżawił żupy solne, bo z nim Drukla, Henzel Burg, Arnold Welker i Bartko, należcy do mennicy, wspólnie jš trzymali, wielkie miał u króla zaufanie. Człek był stateczny, rozumny i dobrej rady.

Przeszłych czasów skarb ten, jakim były kopalnie soli, szarpali po trosze wszyscy, nieład w nich panował wielki. Szlachta, roszcżc sobie jakie prawa do soli, mieszała się do gospodarstwa, narzucała żupnikom ciężary rozmaite, gospodarzyła tu, napadała każdego czasu. Król włanie teraz chciał porzšdek surowy wprowadzić i pod gardłem zabronić nawet zwiedzania żup bez pozwolenia a sobie i podkomorzemu, od siebie wyznaczonemu, pozostawić wyłączne prawo rozporzšdzania dochodami.

Ciężary teraniejszych dzierżawców ograniczały się tylko do utrzymywania królewskich koni, szeciu ubogich żywiono w Wieliczce, a szeciu w Bochni, którzy za duszę rodziców króla modlić się byli obowišzani.

O ustanowieniu rady zwierzchniej nad żupami król miał z Lewkiem się naradzać.

Izraelita ten był innego kroju i postawy niż Aaron. Równie jak on majętny, mniej chciał się wydawać z pochodzeniem swoim; nosił się bogato, a strojem niewiele różnił się od chrzecijan.

Przestawał też więcej z chrzecijanami, nie unikał ich, a umiał się z ludmi wszelkiego stanu tak

obchodzić, iż i powagę swą utrzymywał, i niczyjej nie uczynił ujmy.

Już podżyły Lewko wyglądał młodo i zdrowo. Rysy twarzy wybitnie wschodniego typu, czarne biegające oczy, usta umięknęte, czoło wysokie czyniło go pięknym jeszcze. W wejrzeniu widać było przebiegłość, której ówczesne położenie Izraelitów wszystkich ich uczyło.

Król go mile widział i mawiał z nim poufnie o sprawach soli i monety I tym razem przeciśgały się pytania, odpowiedzi i objanienia. Lewko miał odejść, jak zwykle wielce uspokojony królewskimi słowy, gdy Kamirz zwrócił się do już cofającego się ku drzwiom.

Słuchaj, Lewko rzekł odpoczywając w Opocznie, stałem w domu krewnego waszego, Aarona. Widziałem tam naówczas córkę jego, Esterę. Mówiono mi niedawno, że staremu się zmarło i pozostała sierotą. Wydajecie ją za mąż zapewne?

Lewko, zdziwiony pytaniem, przybrał zakłopotany wyraz twarzy, głowę poruszył, pomilczał jakby namylając się, i nierychło począł zbliżając się znowu do króla:

Mamy dosyć frasunku z tą jedyną córką Aarona rzekł. Zostawił jej majątek piękny, ale postąpił le przez wielką miłość dla jedynaczki: dozwolił jej wychowania takiego, które się na nic kobiecie nie zdało. Dziewczynie ta jej mądrość głowę przewróciła. Do czego jest kobieta? dodał Lewek poważnie, Ażeby była matką naszych dzieci, aby domu, kuchni i gospodarstwa pilnowała. Uczyć się nie jej rzecz! Toteż, która z nich cokolwiek nauki dostanie, zaraz jej ona idzie do głowy, tak i z Esterą się stało. Nasi Żydki jej nie smakują, za lada kogo wyjść nie chce i mamy z nią wiele frasunku! powtórzył wzdychając. Przybyła do Krakowa sama ze swą ciotką, wdową bezdzietną, i co by miała jak najprędzej męża z naszych rąk wziąć, sama nie wie, kogo i czego chce, na co czeka. Nie chcielibyśmy jej gwałtu czynić, a szkoda, bo i piękna jest, i na biedę swą rozumna!

Król trochę przeciśgłego narzekania Lewka słuchał z uwagą, patrząc nań i nie przerywając mu.

Cóż z nią czynić mylicie? zapytał.

Nic jeszcze familia nie postanowiła rzekł Lewko ale w końcu i nasi duchowni, i my musimy dziewczynę komu dać prawo nasze nakazuje. Szkoda niewiasty pięknej. Całe nieszczęście, że nadto rozumna.

Król się umięknął.

Prawda dodał rozumna, miała jest, ale i piękna...

Lewko na wspomnienie piękności popatrzył z pewną obawą na króla, nic nie odpowiedział, skłonił się i chciał odejść, gdy Kamirz dorzucił:

Wiecie, że ja temu dziewczęciu szczęśliwie życie ocaliłem. Dlatego los jego mnie obchodzi.

Lewko skłonił się bardzo nisko, ręce podniósł dziękczynnie do góry, westchnął i skinieniem głowy łaskawym odprawiony wyszedł nareszcie.

Znowu czas jaki upłynął, a o Esterze mowy ani słychu, ani dychu na zamku nie było.

Dom, do którego się przeniosła, stał włanie na drodze, którą król zwykł był przejeżdżać jadąc na łowy lub w okolice. Wiedział o tym Kochan, lecz panu mówić nie miał.

Dnia jednego, gdy król się do Tyńca wybierał, bo go tam zapraszano w lasy na łowy, przejeżdżając rano, na progu kamienicy zobaczył niespodzianie, jakby nań oczekując, Estere. Mogła przez kogo być uwiadomiona o tym przejeździe króla, gdyż zwykle dniem wprzód rozkazy były wydawane, poznać to łatwo było można po starannym stroju i zejściu ze schodków aż w ulicę.

Z dala już oczy króla zatrzymały się na niej z zajęciem wielkim; wstrzymał konia i domylając się, że wyszła umylnie na spotkanie, pozdrowił ją ręką i umiechem.

Koń stanął.

Estera szła wolnym krokiem miała ku Kamirzowi, w całym majestacie swych wdzięków, których potęgę znać musiała. Skłoniła głowę przed panem i pozdrawiając go odezwała się oczy zaraz podnosząc:

Na drodze miłość waszą musiałam jak żebraczka napastować. W istocie też jestem nią; przychodzę prosić o opiekę tego, który raz już mnie ocalił. Smutna to rzecz być zmuszoną skarżyć się na tych, których kochać i szanować się powinno. Nie mają oni zły woli przeciwko mnie, ale i dobrze chcąc czynić, trzeba wiedzieć, co dobrym komu!

Umiechnęła się rumieniście trochę.

Chcę mnie koniecznie swatać i za męża dać... dodała a ja proszę, aby mnie nie zmuszano.

Przecież rzeki dobrotliwie król los Kobiet jest taki, iż muszę lubować komu, aby opiekę miały!.. Estera westchnęła.

Niechże mnie, której ojciec rodzony wolę nad sobą dawał i oni ją zostawił. Miłość wasza raczy się wstawić za mnie do Lewka...

Oczy jej czarne nie opuszczały ani na chwilę króla, który patrzył w nie zachwycony...

Będąc spokojniejszą rzekł z Lewkiem o tym mówić będę... W ciszy krótkiej tej rozmowy więcej nad usta mówił król z nią oczami. Wejrzenie pięknego dziewczęcia z dziwną miłością, którą niewiadomością dziecinną i wielką czcią dla króla tłumaczyć było można, nie unikało spojrzenia pana, owszem, wyzywać się go zdawało.

Jam miłoci waszej życie winna zakończyła ręką białą kładąc na piersiach chcę jej winną być i szczęście moje...

Kamirz, którego ciekawe oczy i uszy zbiegających się w ulicy przechodniów wprawiały w zakłopotanie, prędzej może, niżby był chciał, pożegnał ją, koniowi dał ostrogę i odjechał.

Estera patrząc za nim, wcale nie oniemiała tym, że się jej przyglądano, ustąpiła z drogi z wolna i znikła we drzwiach kamienicy, w których na nią starsze towarzyszki oczekiwały.

Spotkanie to głównym się stało po mieście. Różnie je sobie tłumaczono, a że nikt prawie rozmowy całej nie słyszał, przypuszczenia były najdziwniejsze i sarkano powszechnie na zuchwalstwo pięknej Żydóweczki, iż się królowi narzucała.

Ówczesne wyobrażenia, wieże jeszcze przeladowania Izraelitów, obwinionych o zatrucie wód i pokarmów, o zabijanie dzieci i używanie krwi ich do zabobonnych obrzędów, pogarda, z jaką się od społeczeństwa z nimi odłączało, odcechowując ich zewnętrznymi znakami dla uniknięcia mieszania się ich z chrześcijanami, wszystko to razem poufalsze obcowanie z nimi, zwłaszcza króla samego, czyniło czym nadzwyczajnym a dla duchowieństwa szczególnie oburzącym.

I tak już wyrzucano Kamirzowi miłość jego dla ludu, szczególnie nad miastami i obcymi przybyszami opiekę; teraz oddanie

żup i mennicy izraelitom, ocalenie kilku ich od napadów tłumu, na ostatek łaskawość, z jaką wdał się w rozmowę z piękną Żydóweczką, do najwyższego stopnia podniosły przeciw królowi niechęć tych, którzy do niej tylko pozoru szukali.

Duchowni zawczasu przepowiadali, iż dojdzie do tego, że jeszcze sobie ulubienicę wemie z krwi Izraela, na ostatek upokorzenie chrześcijan... na poniżenie korony, którą nosił.

Nie było wprawdzie drugiego Baryczki, który by przyszedł to publicznie królowi wyrzucać na oczy, lecz pokój tym więcej wykrzykiwano, a Kamirza głosy te dochodziły, bo mu je służni przynosili ludzie.

Ile razy Kamirz spotykał się z takimi naganami swojego postępowania, czyniła ona na nim zawsze to wrażenie, iż w nim wywoływała opór stanowczy chłodny, ale niezłomny postępowanie wbrew sądowi ludzi.

Poruszeniem ramion wzgardliwym i uniechem przyjdźszy doniesienia, Kamirz, który by był może unikał widzenia Estery, z pańską fantazją człowieka, który wolę swą czyni, jadąc wkrótce potem rano bardzo na łowy, kazał się zatrzymać przed domem Estery, wywołać ją i gdy nie spodziewając się tego szczęścia wyszła, za ledwie zasłonę na wpół utrefioną narzuciwszy włosy, rzekł głośno:

Mówiłem z Lewkiem, spodziewam się, że wolę moją spełnić był powinien. Lecz nie chcę was tym w ulicy zatrzymywać dodał wieczorem powracając wstąpię do waszego domu. Czekać na mnie!

Rumieniec wystąpił na białą twarzyczkę Estery, radości zabłyśły oczy, złożyła ręce na piersiach, skłoniła się i odparła głosem drżącym, ale pełnym szczęścia:

Sługa wasza i niewolnica czekać będzie na tę łaskę, której wszyscy jej muszą zazdrościć. Błogosławieństwo jedynego Boga niech będzie z wami!

Król odjechał. Tuż za nim postępujący Kochan i Dobek spojrzeli po sobie. Dla pierwszego z nich nie ulegało już wątpliwoci, że z tego stosunku co się wywiślać musi; piękność Estery, mia-

łość jej, znana króla pochopność do rozmówienia się przepowiadały to niechybnie.

Lecz Żydówka! myślał Kochan. Żydówka! Co ludzie, co duchowni zwłaszcza powiedzś? Co nieprzyjaciele króla wysnujś z tego?

W ciśgu dnia Kamirz był najlepszej myli i choć wcale nie mówił o Esterze, domylano się łatwo, iż sobie obiecywał przyjemność wielkś ze zbliżenia do niej. Dawno go tak odmłodzonym i rzekim Kochan nie widywał.

Łowy nie potrwały doć długo. Król tak obrachował czas, iż gdy dał znak do odwrotu i konia pucił kłusem, widocznym było, że przed mrokiem stanie w mieście u kamienicy Estery. Kochan i Dobek znowu po sobie spojrzeli nie mówiąc nic.

O mroku w istocie zaledwie zapadajścym Kamirz zsiadł z konia u drzwi, w których czekała nań piękna i wystrojona Estera; dworowi swojemu nakazał wracać na zamek, a Kochanowi jednemu pozostać przy sobie dozwolił.

Ten nadto był dobrym i starym dworakiem, ażeby miał ić za panem do izby, w której go przyjmować miano, siadł w przedsieniu.

Komnata gocinna, przestronna, przybrana tak jak w Opocznie, odwieżona tylko, pełna kwiatów, czekała na króla przyjęcie. W porodku jej pod wielkim wiecznikiem mosiężnym kilkoramiennym stół był nakryty i zastawiony błyszczścym naczyniem złocistym.

Wielkie krzesło, okryte złotogłowie, stało przy nim: Estera cała w klejnotach, jedwabiu, rśbkach drogich, woniejśca wschodnimi jakimi eliksirami, cudniej piękna niż kiedykolwiek, wiodła króla, dumna, szczęliwa, wcale nie zdajśc się ani myleć o tym, ni ważyć, co sobie ludzie powiedzś o odwiedzinach wieczornych...

Królowi ta przygoda też zdawała się wielce miłś; najmniejsza troska nie zasępiła pięknego jego męskiego oblicza.

Obejrzał się po izbie i spostrzegł ze zdumieniem, że w niej, oprócz starej Żydówki, z dala u drzwi w głębi pokornie stojścej, nikogo nie było.

Jestem o trzy kroki od zamku odezwał się siadajśc i przypatrujśc pięknie zastawionemu stołowi nie potrzeba było dla mnie przyborów tylu.

Estera licznś białś rśczkś już mu nalewała wino, patrzała w oczy i miejśc się białymi zśbkami poczęła z zalotnościś dziecinnś:

Jakżebyś ja z tego szczęcia mojego nie miała korzystać odezwała się i mojego pana nie ugocić w tym domu, który na wieki pamięć dnia tego zachowa.

Chcecie, byś pił i jadł? zawołał. Siadajcież do stołu ze mnś...

Ja? ja? składajśc ręce i cofajśc się nieco, z wyrazem zdumienia i radoci razem poczęła Estera ja? Najmniejsza z niewolnic twych, o panie! Ja, miałabym? a! nie, moje miejsce u nóg twoich...!

Mówiła z tak szczerym, wielkim przejęciem, z takim głosu drzeniem, z takim oczu wyrazem, iż król spoważniał nagle. Na chwilę krótkš ogarnęła go bojań jaka.

Ulškl się samego siebie i niebezpieczeństwa, które mu groziło. Lecz pokuszenie było zbyt silne, wdziękowi dziewczęcia oprzeć się nie mógł.

Starał się w żart obrócić, co powiedział.

Nadto bo mnie przyjmujesz gocinnie, piękna Estero... szepnšł, do ust niosšc kubek. Nawet na zamku takiej bym nie zastał wieczerzy, a nade wszystko takich jej przywiecajšcych oczu diamentowych,.. Pamiętaj o tym, że gdy mi tu dobrze będzie, zapagnę powrócić, zatęsknię może... cóż wówczas?!

Estera słuchała z uwagš, ale na twarzy jej nie widać było ani pomieszania, ani zawstydzienia od tej groby.

Miłość wasza odpowiedziała po namyle jeste u każdego ze swych poddanych, w państwie całym jak w domu, cóż u mnie, której życie do was należy?...!

A gdyby królowi często się u was gocić zašdało odparł Kamirz cóż naówczas powiedzieliby ludzie na was i na mego?

Estera słuchała znowu z natężeniem.

Na króla nie miałby nikt mówić nic, bo król wyższym jest nad wszelkš mowę rzekła a na mnie cokolwiek by rzekli, ja bym się tym pyszniła...!

A gdyby li ludzie nazwali cię jego... ulubienicš? zapytał król rumienišc się i cigajšc jš oczyma.

Nie spuciła ich Estera, owszem, zatrzymała długo na królu, jakby nimi mu naprzód odpowied dać chciała.

Albożby to nie było szczęciem i dumš dla mnie? odezwała się cichszym głosem. Dać temu chwilkę choćby zapomnienia o wiecie, komu się winno życie na nim? Ale nie może to być, miłociwy panie. Nigdy chrzecijański pan nie zniży się do córki tego narodu, który skazany jest na pogardę i poniżenie...

Król poruszony zapomniawszy się rękę jej pochwycił,

Estero! zawołał gdyby chciała?... Nie dopowiedział reszty.

Mogłażbym nie chcieć takiego szczęcia? odparła miała córka Aarona. Ja, ja musiałabym z radociš uczynić, co by rozkazał, bom twoja, lecz ty, panie, nie zašdasz tego, co by cię poniżyło, a mnie uczyniło nieszczęliwš. Tak jest, królu i panie mój, byłabym razem szczęliwš i najnieszczęliwš, bo

musiałabym wprędce twą łaskę utracić. W rękach twych byłabym igraszką i zabawką, którą by cisnął potem na ziemię, a ludzie by ją nogami zdeptali...

Król spuścił oczy, jakby zawstydzony.

Estero rzekł z wolna i smutnie: prawdą jest, że bywałem w życiu płochym, że miłowałem i rzucałem... ale nie trafiłem nigdy ani na taką piękność jak twoja, ani na taki rozum, ani na takie serce... Ty stworzonaś do wielkich losów... Gdyby raz chciała być moją, została byś na zawsze... Nie wiślałbym się ani ciebie żadną przysięgą, lecz słowem królewskim... Możeszże ty zresztą obawiać się być opuszczoną, ty?

Estery powieki po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy opadły na oczy czarne i osłoniły je, drżenie w twarzy widać było. Usta poruszyły się bez głosu, jakby jej siły zabrakło.

Z wolna potem podniosły się zasłony, wzrok jaki omglony i łzawy zwróciła milcząca na króla...

Panie mój rzekła cicho: ze służebnicy swej nie czyn sobie igraszki bolesnej. Szydziła ze mnie nie może to być!

Król powstał z siedzenia i coraz mocniej rozgrzewając się rozmową zawołał:

Na koronę moją, nie żart to był, Estero!!

Zbliżył się ku niej, pocałował ją w czoło i rzekł gorąco:

Estero! oczekuj na mnie jutro przybędę sam. Nikt widzieć i wiedzieć nie powinien...

Dziewczyna spojrzała nań oczyma wielkimi.

Dla mnie odezwała się spokojnie: niech wiat cały widzi, niech wie, że wszyscy; ja mojego szczęścia się nie zawstydzę, będę nim dumna. Król i pan mój nie zechce, mnie odpychając, dać na wzgardę ludzi.

Kamierz pomyślał chwilę; upojony, wzruszony, rękę jej podał...

Bądź mi wierna: zostanę ci na zawsze takim, jakim mnie widzisz dzisiaj... Ożłocisz mi dni moje...

To mówiąc, jakby go wspomnienia przeszłości przygniotły, poruszył się do wyjścia milczący,

Estera odprowadziła go do drzwi... pocałowała w rękę i cofnęła się widząc oczekującego nań Kochana, który udawał rozspanego, choć pod drzwiami słyszał całą rozmowę.

Rawa wiedział, że tu już pośrednictwo jego nie było potrzebnym; kaprys ten królewski zdał mu się jednym z tych, jakich już wiele widywał, a dowiadczanie uczyło go, że wszystkie one nie trwały długo.

Pochodzenie Estery mało czyniło prawdopodobnym, aby ona mogła mocniejszym węzłem przywiśzać

do siebie Kamirza. Pięknociś i młodociś wprawdzie przechodziła wszystkie swe poprzedniczki, lecz urok ten łatwo i prędko znika, a Rawa na charakter, rozum i takt dziewczyny nie rachował wcale.

Kamirz przeciwko swojemu zwyczajowi nie zwierzył mu się z niczym, Kochan nie miał go pytać.

Dni kilkš upłynęło. Po miecie zaczęły już chodzić pogłoski że król miał nowš kochankę i że niš była... Żydówka.

Łatwo przewidzieć, z jakš grozš mówić o tym poczęto, z jakim oburzeniem duchowieństwo przeciw królowi występowało.

Rzecz zdawała się dowiedzionš, niewštpliwsz, rozpowiadali q niej wszyscy, jednakże były to tylko pogłoski, posłuchy, plotki miejskie, którym wielu wiary nie dawało. Król we dnie nigdy do domu Estery nie zajeżdżał... nie widywano jej nigdzie.

Z każdym dniem jednak rosły rozsiane o tym wiadomoci, bogacšc się i prawdziwymi, i zmylonymi szczegółami.

Starszyzna dworu, stojšca u boku króla, zaniepokojona była. Nalegano na niš, aby nastala na Kamirza i zagniła go do zerwania godnoci jego uwłaczajšcego stosunku. Lecz ci, co bliżej go znali, wzruszali ramionami i nikt nie chciał się podjšc mówić o tym, wiedzšc, iż w życiu prywatnym Kamirz niczyjš się radš powodować nie dawał. Napadano na Kochana wiedzšc, że on mógł być sprawcš, czego się najuroczycej zapierał.

Ks. Suchywilk dowiedziawszy się o pogłoskach poszedł do Wierzynka. Najbliżej króla stojšcy, jego osobisty podskarbi, płatnik, doradca, takze nic o tym nie wiedział. On zresztš był tak pobłażajšcym dla pana, iż wszelkš fantazję pańskš uznawał za usprawiedliwionš, nie za złe mu mieć nie mógł.

Mówcie o tym z nim odezwał się Suchywilk ma nieprzyjaciół dosyć, przyczynia ich sobie... Duchowieństwo zamykało oczy na wiele zbroczeń i słaboci, ta jest upokarzajšcš!

Wierzynek, który znał Kamirza nadto dobrze, by w skutek czyjegokolwiek porednictwa wierzył, potrzebšł głowš.

Ojcie mój rzekł z cicha do Suchywilka nie wiem nie, nie bardzo wierzę pogadankom, bo na króla wymyłaš wiele, lecz, gdyby to prawdš być miało, my pewnie nie odcišgniemy go ani zrazim; dla ludzkich języków nic nie uczyni. Jeli jest droga, to inna...

Jaka? zapytał Suchywilk surowo.

Znam tych Żydów odparł Wierzynek choćby mogli dumni być z tego, że król sobie kochankę wybrał z ich krwi, wiem, że oni więcej się na to oburzš może niż ci, co na króla

krzyczš. Dosyć będzie pomówić z Lewkiem, aby i prawdy się dowiedzieć, i.. może zapobiec temu. Pojadę do Wieliczki...

Tegoż dnia wieczorem Wierzynek był u Lewka.

Znalazł go, jak zwykle, rachunkami i żupami zajęтым i rozpoczynającym rozmowę od sprawy składu solnego, który był w Krakowie. Na twarzy jego, w obejściu się, nie spostrzegł nic, co by niepokój jaki lub zmartwienie zdradziło...

Lewko ochoczo przyjmował krakowskiego gościa i starał się pozyskać sobie jego względy, bo choć sam u króla dobrze był położony, wpływ Wierzyńka przechodził łaski, jakimi się chlubił.

Pónym wieczorem, gdy sami pozostali, Wierzynek poufale go zagadnął:

Nie doszło was nic nowego o Aaronowej córce, Esterze? Lewko wpatrzył się pilno w mówiącego.

O Esterze? zapytał drugiej takiej zuchwałej niewiasty nie ma w Izraelu i, dałby Bóg, aby takich i jej podobnych nie było! Nie wspominajcie mi o niej, bo ona jest utrapieniem dni naszych, smutkiem rodu swojego całego...

Wierzynek, pomilczawszy trochę, rzekł powoli:

W mieście rozpowiadają, jakoby królewską kochanką była.

Rzucił się Lewko jak rażony wiadomością i ręce załamał. Stał czas jakiś nie mogąc ust otworzyć, oczyma rzucał przerażony; zadumał się.

Nie może to być! wykrzyknął. Dla króla naszego życie bym dał, ale... ani on by mógł tego zażądać, ani ona zgodzić się na to. Szalona jest, ale dumna... Wszystko na nią powiedzieć można płochą nigdy nie była...

Tak mówisz, ja nie daję wiary odezwał się gość. Co jednak musiało dać pochoch do tej plotki.

Wiecie, że król jej życie ocalił i że pamiętał o niej dodał Lewko zamyślony tak, i gdy z nim mówił niedawno... pytał mnie o nią...

To przypomnienie słów królewskich Lewkowi brwi ciśnieło; zasępił się.

Wspomniał mi o niej! dodał ciszej.

Poczł chodzić po izbie niespokojny.

Nie wierzę dodał ale potrzeba wiedzieć prawdę; jadę jutro. Dziewczyna kłamać nie umie...

A gdyby w tym co prawdy było odezwał się Wierzynek co uczynić mylicie?

Żyd ręce założywszy na piersiach stanął przed Wierzyńkiem nie odpowiadając nic.

Gdyby to prawdę być miało? powtórzył i urwał nagle...

Widać w nim było walkę wewnętrzną, rumieniec występował na twarz bladą i nienacką, z piersi wyrwały się westchnienia.

Wierzynek na próżno długo czekał odpowiedzi. Żyd nie pieszyl się z niš i dumał. Stał wreszcie znowu przed gościem.

Odpowied trudna na pytanie wasze i poczł z bolesnym umiechem. Wiecie wy, co to jest być Żydem na wygnaniu? Pamiętacie te rzezie i przeladowania, jakie nas tu i po całym wiecie niedawno jeszcze cigaly? Łzami bymy może wstyd nasz oblewali, ale...

Tu się zatrzymał i spojrzal nań bystro.

Ja bym przekłšł tę dziewczynę rzekł ale jeżeli ona, jak nowa Estera, ma króla łaskawym dla całego plemienia uczynić, mylicie, że wahałbym się dać jš na ofiarę za lud nasz?.

Zmılczal Wierzynek.

Byłoby to nieszczęcie wielkie i szczęcie wielkie... Kobieta rozumu ma więcej, niż potrzeba dla niej. Zdałby się on może... Piękna jest, młoda, król przywišzałby się do niej...

Coraz ciszej mówiš, nie dokończył Lewko i łzy otarł...

Tak, kobieta wszystko może dodał na wpół do siebie któz wie? Bolałoby nas, mnie, lecz wiecie, bo Pismo znacie, ludzie dla narodu umierali, czemu by niewiasta nie miała dlań tego powięcić, co nad życie drozsze?

Jeli się to nie stało zawołał niech się nie stanie! Ja jš sam wywiozę, zamknę... lecz jeżeli stało się, ja jej powiem bšd dla narodu Esterš, a my ci przebaczym hańbę twoja!

Wierzynek nie miał słowa odpowiedzi.

Nazajutrz razem pojechali do Krakowa. Lewko kazał się wozowi swojemu u drzwi Estery zatrzymać. Nie chciał mówić naprzód z nikim, nikogo wzywać, z nikim radzić, póki by sam z niš nie mówił. Przybrał postawš uroczyš opiekuna i sędzięgo. Estera, która go zajeżdżajšcego widzieć musiała, wysła naprzeciw do progu.

Nic w niej nie zdradzało upokorzenia, obawy, wzruszenia na widok człowieka, który szedł ku niej milczšcy i gromy.

Znalazł jš przybranš bogato i starannie, z twarzš rozjanionš i dumną. Przywitała go chłodno, jakby przygotowanš była na niemiłe badanie.

Ester odezwał się Lewko głosem jakby przybranym, nie swoim, chociaż znalazł jš od dzieciństwa i zwykł był do niej przemawiać inaczej. Estero! ja tu przybywam nie jako Lewko, krewny twój i opiekun, ale jako sędzia, jako jeden ze starszyzny narodu naszego. Prawdę mi mów.

Nigdy nie skalala ust moich fałszem odparła Estera spokojnie pytaj...

Król!... poczł Lewko wpatrujšc się w niš. Co mówiš o tobie i o królu w miecie? Możeż to być?

Co mówisz? spytała zimno. Zowiś cię kochankš jego...

Wpatrzył się jeszcze silniej w niš, nie spuciła oczów... Milczeli oboje, chociaż Estera nie zdawała się odpowiedzi szukać i być jej niepewnš.

Król ocalił mi życie rzekła zwolna ja i ono do niego należało...

Lewko jęknšł.

Przyznajesz się więc? zawołał.

Król pokochał mnie rzekła a król może wiele dla narodu naszego... Miałam dla niego czeć i miłość... Spuciła głowę i ręce rozpostarła.

Nie zapieram nic! chlubię się tym...

Lewko plunšł przed niš na podłogę i kroków kilka odstšpił. Hamował się, aby nie rzucić przekleństwa. Estera paxrzała nań z dumš i spokojem.

Odszedłszy od niej, Żyd padł na siedzenie i zakrył sobie oczy... Opłakiwał wstyd krwi swej... lecz nie rzekł słowa... Estera zbliżyła się ku niemu...

Lewi, bšd spokojny odezwała się hańba, jeżeli jest, spada na mnie dobrodziejstwa na was spłynš. Król kocha mnie, a ja nie przestałam być córkiš Izraela; odcišgnšć mnie od niego nie potraficie, musielibycie zemsty się jego obawiać. Nie plujcie na niewiastę, która pod płaszcz swój wemie plemię całe!

Lewko milczał, białymi, suchymi, kocistymi palcami twarz cišgle zasłaniajšc...

Przemógł się wreszcie, odsłonił jš i powstał.

Nie przeklinam cię rzekł Bóg nasz niech sšdzi. Trzymasz serce królewskie w dłoni nie rzucajše go... Żadna dotšd niewiasta przywišzać go nie mogła do siebie przykuj go, nie puszczaj. Tym tylko uzyskasz od nas przebaczenie.

Przebaczenie? powtórzyła dumnie Estera dziękować mi powinnicie, nie przebaczać.

Lewko spucił głowę upokorzony. Surowy twarzy wyraz, z jakim wszedł, zwolna z niej schodził. Był coraz bardziej Izraelitš obrachowujšcym korzyci uczynionej ofiary...

Estera ledziła w nim tę zmianę, jak gdyby naprzód pewnš jej była.

Kocha cię król poczšł Lewko stało się to... któž wie, co to zrzšdziło? Kaźże mu się kochać goršco, bšd dlań wszystkim, niech w tobie znajdzie to, czego szukał życie całe... Jeli porzuci cię...

Nie porzuci mnie odparła Estera. Tamte, które brał i ciskał, nie kochały go jak ja... on czuje, że ma całe serce moje... Tamte miłowały go dla królestwa jego, dla skarbów, dla wielkoci ja kocham

człowieka, nie króla, ale król i pan mój dla rodu mojego pozyskany zostanie...

Lewko słuchał, skłonił głowę; czuł, że kobieta, którą miał przed sobą, nie samą pięknocią musiała wziąć serce pana, ale i rozumem tym, który z każdego jej słowa wytryskał...

Cóż więcej mówić miał? naciśgnął płaszcz na ramiona i chciał odchodzić; wstrzymała go Estera.

Lewi! rzekła dobijali się nasi do drzwi moich, zamykałam je przed wszystkimi tobem je otworzyła tylko. Jeste człowiekiem rozumnym. Mów im za mną, aby nie przeklinali mnie i nie odpychali, mów, aby na próżno nie starali się mnie oderwać od niego... Nie zmuszajcie mnie zerwać tego, co wiższe z wami nie każcie mi ić precz od siebie.

Ze spuszczonej głową stał Lewko, skinął tylko, jakby mu słowo rzec było trudno. Wyszedł milczący... W progu wahał się chwilę, dokąd pójdzie do swoich czy do Wierzyńka. Skierował się najprzód do tego, który był rabbim w Krakowie.

Wierzynek, już czynnie zajęty codziennymi swymi sprawami handlu i miasta, czekał nań do wieczora. Gdy Lewko nadszedł, nie potrzebował pytać; twarz Żyda zmieniona, sfałdowana, ciśgnięta, mówiła o tym, że wieć musiała być prawdziwa. Nie pytając go, czekał.

Lewkowi trudno było wyrzec słowo to, którego jeszcze się sromał. Siedzieli długo urywanymi wyrazy o rzeczach obcych rozmawiając; jeden czekał, aby go pytano, drugi spodziewał się wiadomości, badać nie miejąc.

Patrzyli sobie w oczy... Lewko wyciśgnął rękę i z góry spucił ją na dłoń drugą... Westchnął.

Prawda więc? szepnął Wierzynek. Żyd głową tylko potwierdził.

Jeżeli tak jest dodał gospodarz domu strzeżcie się króla narazić sobie próżnym już oporem. Nie czyńcie nic nie sarkajcie... zyszczecie łaskę jego...

Nie zmuszajcie mnie tylko ani dziś, ani jutro ić przed oblicze jego odezwał się Lewko wyczytałby mi w oczach ranę, którą w sercu uczynił. Możemyż my mu się sprzeciwić? Możemyż sarkać? My? Rśbek jego szaty za uczyniony srom. powinniśmy całować!

Umiechnął się Lewko... Stało się.

Nazajutrz zjawił się ks. Suchywilk, który miał czas przekonać się z tego, co słyszał na królewskim dworze, iż pogłoska nie była fałszywą. Smutny przychodził tu po jej potwierdzenie.

Wierzynek był już przysposobionym.

Prawdą więc jest, co powiadają? zapytał ks. Jan.

Gdyby nie było odparł nam wiernym sługom pańskim nie godzi się wiedzieć o tym, co on sam zataił przed nami. Dopóki król nie powie mi: wypłać Esterze z żup ratę, dopóki nie przyzna ją za swoją, ja oczy zamykam.

Ale ja ich na to zawartych trzymać nie mogę! odparł ks. Suchywilk. Zarzucajś mi ludzie, zem mu w wielu sprawach pobłażał... cóż powiedzś, jeżeli teraz zmilczę?

Powiedzcie, że wy badać króla w prawie się nie czujecie rzekł Wierzynek.

Nie! zawołał Suchywilk niech będzie, co chce, zagniewa się na mnie, a co mam w sercu, wyleję z niego!

I nie pomoże to nic! rozmiar się rajca krakowski prędzej go upornym uczyni. Najgorszym jest brać za wielkie, co małym w istocie...

Małym to zwiecie? wykrzyknś z oburzeniem Suchywilk. Któż wie, jaki wpływ ta niewiasta wywierać może na niego. Ludzie nad płęć rozumń jś głoszś

Złś jś nikt nie powiada szepnś Wierzynek.

Bronicie go? zapytał ksiśdz.

Sđdzić nie będę! zakończył rajca.

Nie mówili więcej. Wierzynek jak najuprzejmiejszym przyjęciem starał się nachmurzonego rozbroić prałata, lecz Suchywilk pożegnał go z widocznym strapieniem i frasunkiem.

Wieczorem król zasiadł do stołu w najpoufalszych swym kole. Miejsce obok siebie wskazał ks. Janowi, miał tuż Waclawa z Tęczyzna, miał młodego pana z Melsztyna i grono przyjaciół codzienne.

Rzadko go widywano tak rozjanionym i wesołym, tak zachęcajścym drugich, aby z nim dzielili radoć, którś twarz jego promieniała. Uderzył go wyraz Suchywilka rysów, nad miarę

w tej godzinie surowych i zasępiionych. Po kilkakroć zwracał się ku niemu.

Wieczera się przeciśgała. Gdy Kamirz wstał i dwór jego przyboczny do sypialni go przeprowadzał, Suchywilk poszedł za nim.

Było to znakiem dla drugich, aby się oddalili od progu.

Godzina może stosownś nie jest odezwał się Suchywilk wchodźc za królem lecz moje przywiśzanie do miłoci waszej milczeć mi dłużej nie pozwala.

Kamirz odwrócił się doń i oczekiwał dalszego ciśgu.

Nie zarzucicie mi, abym się mieszał do spraw, do których miłoc wasza mnie nie powołuje... ale dzi...

Mówcie, proszę przerwał król.

Uwłaczajśce waszej miłoci pogłoski rozsiewajś poczśł ksiśdz a zdajś się one mieć pewnś

podstawę. Miłociwy królu, być to może? Ta Estera?

Cóż Estera? podchwycił król. Czy mieszka na zamku? czy ja jš królowš chcę uczynić? czy mi człowiekiem być nie wolno...

Nieprzyjaciele twoi, miłociwy panie... Król się rozmiarł.

Sšdzę rzekł żywo iż większej łaski nad tę uczynić im nie mogłem dajšc taki oręż na siebie!!

Poruszył ramionami.

Pochodzenie jej przerwał Suchywilk.

Nie przeszkodziło podchwycił król być najpiękniejszš w wiecie niewiastš. Słaby jestem i nie taję grzechu mojego... Ludzie mogš kamieniem rzucać na mnie, nawykłem do pocisków...

Ks. Suchywilk stał nic nie mówiąc i błagajšc go oczyma. Król zbliżył się i ucisnął go.

Ojczy rzekł zostawcie to spowiednikowi mojemu, proszę...

Z westchnieniem, nie mówiąc już więcej, ks. Suchywilk pokój królewski opuścił.

Kamirz powołał Kochana, kazał podać płaszcz, ić za sobš i nie mówiąc, dokšd się wybrał, zamek opuścił.

Godzina była póna, pomimo to przez nasunięte okiennice w domu Estery wiatło widać było. Piękna gospodyni, strojna z całym przepychem, który lubiła, a było jej z nim do twarzy, od dawna oczekiwała na króla. Jak zawsze, napój mu najulubieńszy, przysmaki, o których wiedziała, że mu były najmilsze, woń nawet w komnacie dla niego dobrana, starannie przygotowane były. Estera z tym instynktem serca, które odgaduje, co ukochanemu miłym być może, w najmniejszych drobnostkach, chwile, które u niej przepędzał, starała mu się uczynić wychnieniem rozkosznym: Jej ubiór nawet zastosowywał się do smaku pana, do wyrzeczonego czasem słówka, pochwały lub rady.

Dla Kamirza była ona zawsze piękna, lecz rad jš przystrajał jeszcze, lubujšc się wdziękiem, coraz inaczej mu się przedstawiającym.

Równie jak zastawa stołu, przygotowanš była rozmowa, aby nie nużyła króla, aby dlań była rozrywkš i zabawš. Estera z ksišg wschodnich, które czytywała rada, czerpała poetyczne legendy i opowiadała je naiwnie. W niektórych z nich tkwiły myli, może nie bez celu rzucane..

Choć czasem serce jej smutne było i ucińnię, układała twarz wesołš, zmuszała się dlań do umiechu; nie okazywała zachmurzonego czoła, a nade wszystko nie zažsdała nigdy dla siebie nic, co było najlepszym sposobem pozyskania wszystkiego, co chciała.

Kamirz, jak wielu podobnego charakteru ludzi, zrażał się żebraniš, a milczenie pobudzało w nim, chęć odgadnienia życzeń i myli.

W ten sposób Estera, która dziękowała pokornie za najmniejszy dar, więcej otrzymała od króla w przeciśgu niewielu dni niż inne latami całymi.

Klejnoty, kosztowne tkaniny, perły, szkarłat, naczynia srebrne wędrowały potajemnie do jej domu... Estera przywdziewała dary, ustawiała je, ze czciś je zachowywała, za kaźdym razem uradowana rzucajśc się do kolan króla i dziękujśc mu za nie.

Czarodziejka miała dar przywiśzywania do siebie, rozkazywania posłuszeństwem, jednania dowodami miłoci i nigdy król dla żadnej w życiu niewiasty nie czuł tak gwałtownej miłoci. Wstydił się jej, wyrzucił jś sobie, lecz zawiadywała nim coraz mocniej i nawet Kochan dostrzegł wkrótce, że rachujśc na nietrwałość tego zwiśzku omylił się pono.

Dnia tego, witajśc Kamirza w progu ze zwykłś czułociś i pokorś, Estera zza wesołoci, jakś mu zawsze przynosiła, dała się przebić jakby ukrytemu niepokoju.

Król postrzegł to, gdy usiadła przy nim i spojrziała nań jakimi zamglonymi troskś oczyma.

Cóz ci to dzi jest? zapytał.

Jestem tak szczęliwa jak zawsze odpowiedziała żywo, nalewajśc mu kubek i podajśc go rśczkś białś. Nie troszcz się, panie mój, używaj wczasu, odpoczywaj u mnie, zapomnij trochę o ciężkiej twej koronie. Na to ja jestem sługś twś, aby ci choć godzina w słodkim upłynęła oderwaniu od pracy.

Nigdy też w życiu nie miałem chwil tak szczęliwych jak spędzone przy tobie rzekł Kamirz i choć mi je ludzie zazdroni zatruć pragnś...

Król nie dokończył, wziśł kubek i podajścś w twarz piękńś pocałował.

Ale ty dzi smutna? zapytał.

Ja nie mam żadnej przyczyny się smucić odparła Estera rada bym o niczym smutnym nigdy nie mówić panu memu, ale dzi muszę.

To mówiąc wstała. Kamirz patrzył niespokojny na niś, twarz jej stała się poważńś, brwi trochę ciśgnęły...

Czyżby ludzie ci mieli jakś przykroć wyrzśdzić? spytał król.

Mnie? odparła z umiechem na to bym ja nie skarżyła się nawet. Przy takim szczęciu, jakie mnie spotkało, cóż

znaczy ból, jaki mi kto zechce uczynić? niesprawiedliwociś byłoby się skarżyć.

Cóz więc? natarczywie nalegał Kamirz.

Estera usiadła i powoli, z rozwağś mówić zaczęła, z kaźdym liczśc się słowem, a oczyma badajśc,

jakie uczyni wrażenie.

Nasz naród, miłociwy panie mój rzekła rozsypany jest wszędzie. W królestwie twoim nie ma mieciny, gdzieby moich biednych braci nie było. Tacy jak my, ażeby się oprzeć i obronić tym, co ich nęka i przeladuj, a cigaj ich wszyscy, musz się trzymać za ręce. My wiemy przez swoich, co się gdzie dzieje, my czasem prędzej i pewniej dostajemy wiadomości od urzędników waszych i was, cocie o wszystkim wiedzieć powinni.

Król słuchał z uwag.

Panie mój dodała zbliżając się ku niemu. Wycie obdarzyli i wynieli Maćka Borkowicza wysoko. Czy wierzycie mu? czy pewni jesteście, że zdrady przeciwko wam nie ma w sercu?

To pierwsze wmieszanie się Estery do sprawy publicznej zmieszało króla i zasępiło go.

Albożbyście wiedzieli co o nim? zapytał.

Nasi... powiadaj, że człowiek ten, choć na pozór uległy i posłuszny, przeciwko wam co knuje mówiła dalej Estera. Wszyscy prawie ziemianie wielkopolscy, zwołani przez niego, zwiśzali się z nim przysięg i pismami pod pieczęcią, że z nim pójdź razem...

Tak odparł król i ja wiem o tym, ale ten zwiśzek przeciwko mnie wymierzony nie jest: stoi w pimie, które ułożyli, iż wierni mi pozostan.

Estera umiechnęła się.

A potrzebaż by pisać było o tym, gdyby inni myl nie chcieli zakryć tym fałszem? odezwała się patrząc na króla. Ludzie, co uszy mają dobre, mówi, iż włanie ten zwiśzek kryje najniebezpieczniejszą zdradę. Ja jestem głupia niewiasta tylko, ja nie rozumiem tego, ale s u nas ludzie rozumni i przebiegli, a ci powiadaj, iż Maciek Borkowicz jest zdrajc przeciwko tobie, tym niebezpieczniejszym, że płaszczy się i okrywa...

Kamirz zamylił się chwilę. Estera mówiła ciśle powoli:

Ja nie swoje mówię słowa, ale mądrych ludzi radę powtarzam wam: strzeżcie się tego człowieka. Wy żsdacie ze wszystkich tych ziem jedno uczynić państwo. Maciek chce wam Wielkopolskę oderwać i tak na niej panować, hołdownikiem tylko, jak Ziemowit na Mazowszu.

Widząc zdziwienie na twarzy słuchającego Estera wzięła rękę jego i do ust ją podniosła.

Panie mój rzekła ja tym sprawom obca... mój rozum takich tajemnic nie sięga, lecz mądrych ludzi siła w naszym narodzie, co widząc bystro... kryj się oni i milcz, bo dla nich i rozum niebezpieczny. Mądry mówi przez usta moje do ciebie. Strzeż się, królu, Maćka Borkowicza...

W milczeniu Kamirz wysłuchał cierpliwie Estery; podumał, umiechnął się smutnie i poczył:

Rada dobra być może... zawsze ostrożnym powinien być, kto ma panowanie i straż nad krajem...

Rada dobra, ale, Estero moja, byłbym jš chętniej z innych ust posłyszał; twoje stworzone sš na to, aby słodkimi upajały słowami.

Tak, panie szepnęła Estera a! tak! ja to czuję sama, ale drży serce moje, gdy panu umiłowanemu grozić może niebezpieczeństwo... Mogeż ja milczeć? I ja, i moi bracia w Izraelu, którym dawale i dajesz opiekę w państwie twym, kochajš cię, oni mówiš ustami mymi...

Maciek Borkowicz! zawołał król. Tak, możny jest przez siebie i przeze mnie, mocen jest, bom ja mu dał siłę tam, gdzie jej dla utrzymania ładu było potrzeba, lecz jakem go podniósł, tak zgnieć potrafię. Tak dodał król spokojnie ale na to potrzeba więcej niż podejrzenia, więcej niż słów lunych... czekać muszę...

A patrzeć pilno! przerwała Estera.

Przestroga nie pozostała bez skutku. Mniej wesół powrócił Kamirz dnia tego na zamek, lecz nazajutrz posłał Dobka do Wierzbicy, do Poznania, aby doń przybył nie głośzc, dokšd jedzie, ani że go powołano.

Zjechał był pod ten czas wielce miły królowi i oddany mu całkowicie Bogoria, arcybiskup gnieński, do Krakowa. Ludzie, co wszystko wiedzieć chcieli, powiadali po cichu, że go ks. Suchywilk. siostrzeniec jego, potajemnym sprowadził wezwaniem.

Dla króla goć to był wielki i zawsze pożsdany. Nigdy jeszcze żadnš chmurkš najlżejszego nieporozumienia nie zamgliły się stosunki ich z sobš.

Bogoria powolnym był, król wdzięcznym i ów niegdy tani srogi i energiczny pasterz, gdy o ukochanego króla chodziło, i był mu prawdziwym ojcem, bo z rodzicielskš łagodnościš w najcięższych sprawach tak doń przemawiać umiał, iż się one zawsze zgodš i wzajemnymi ustępstwami kończyły.

Bogoria, przybywszy tu, naprzód się udał na zamek do króla, owiadczył, iż go sprowadziły kocielne trudności, i z biskupem krakowskim układy o dobra i dziesięciny do obu należšce diecezji, a w granicach im nie podległych położone. Chociaż król się spodziewał a lękał, aby mu pasterz nie wspomniał Estery, w kilku poufnych z nim rozmowach Bogoria najmniejszym słowem nie dał mu uczuć, by wiedział o niej. Tym wdzięczniejszym był mu król za to.

Arcybiskup już przez siostrzeńca swego ks. Jana był o tym zawiadomiony, a istotnym powodem przybycia jego do Krakowa była włanie narada, jak króla oderwać od stosunku z Żydówkš, na który duchowieństwo ze zgrozš patrzyło.

Dziesięć miłonie bym mu przebaczył wołał oburzony Bodzanta ale takiego zgorszenia cierpieć nie mogę. Synody nasze sług chrzecijan Żydom zabraniajš, a oto król nasz sam poszedł do Żydów na służbę! Co za dziw będzie, gdy niewiernym nada nowe prawa, im, co je już od Bolesława Kaliskiego wymodlili; dalej my ich, nie oni nas, obawiać się będš!

Bez wiedzy króla, pod różnymi pozorami, zwołano przedniejszych panów a ziemian ze stron różnych.

Zbyszek, proboszcz krakowski, Spytek, kasztelan, Jan Nałęcz, podkanclerzy krakowski, jeden z Ligęzów, Piotr Odrowąż Szydłowiecki, Przedysław z Gołuchowa. Poznańczyk. wieczorem na trzeci dzień po przybyciu arcybiskupa zgromadzeni byli u niego. Ks. Suchywilk wuja zastępował pełniąc gospodarza obowiązki.

Wszyscy oni z życzliwoci dla króla znani byli! Jeden Bodzanta od sprawy Baryczki, choć dzi już przejednany, z królem był zawsze chłodno i niezbyt dlań chętny.

Wnosić wszystkim wiadomej sprawy nie było potrzeba, arcybiskup zagaił westchnieniem. Podniósł do góry dłonie.

Bóg nas pokarał tym rzekł. Krewki jest pan nasz, jak wszyscy byli Piastowie, wiele mu przebaczyć trzeba...

Powstał natychmiast, gwałtownie przerywajęc, Bodzanta:

Dosycemy folgowali! rzekł. Padł ofiarš mój zacny a nieustraszony ks. Marcin! Zamiast poprawy, widzicie, co przyszło... Wzišł bezwstydnie miłonicę z plugawego plemienia, którego dotknięcie kala... W cóż się obróci czeć korony tej naszej! Klštwš mu zagrozić dodał żywo klštwš. Tak, surowoci potrzeba... pobłażaniem przywiedlimy go do tego.

Suchywilk powstał.

Niech mi wolno będzie się odezwać rzekł znam króla nie od dzi dnia, charakter jego, cnoty i wady. Jak w tej nieszczęsnej historii p. Baryczki, tak teraz klštwami i grobami na królu nic nie wymożemy... nic. Pobudzim go do oporu.

Więc cóż wybuchnšł Bodzanta ręce założywszy olepnšć, milczeć, cierpieć?

miechem szyderskim dokończył oglšdajęc się dokoła.

Bogoria, słuchajšcy cierpliwie, poczšł zwolna:

Inny rodek widzi mi się tu właciwym. Król boleje od dawna, że potomka męskiego nie zostawi po sobie. Niestary jest, żony nie ma. Żonę mu dać potrzeba młodš, pięknš, do której by się mógł przywišzać, porzuci owo kochanie...

Spytek, kasztelan krakowski, Ligęza i Przedysław z Gołuchowa odezwali się wszyscy, jako do stronnictwa węgierskiego nie należšcy, z pochwałš i w myl arcybiskupa.

Nie inaczej uczynić trzeba, tylko wedle myli ojca naszego odezwał się występujęc nieco Spytek, który tu ze wieckich był najstarszy dostojeństwem. Inaczej się nie poskromi krew goršca...

Bodzanta, przy arcybiskupie siedzšcy, poruszył się słyszęc to i wnet poczšł:

Gdybymy to chcieli przyprowadzić do skutku nie zdołamy. Szanuję pomazańca Bożego, lecz powiedzieć muszę, co prawda, że osławionym jest... Żaden ojciec córki mu nie da, aby jej los

Adelajdy nie spotkał, która przed Rokiczańs ustępować musiała... Żadna księżniczka zań nie pójdzie, a na królowę nie tylko młodoci i piękności, ale i krwi potrzeba, żeby nam wstydu nie uczyniła.

Przeczę odezwał się Bogoria i zaręczam, że księżniczkę znajdziemy. Za Kamirza stało się to królestwo, czym od wieków nie było, państwem wielkim i mocnym. Koronę jego na skroń włożyć, warto co ważyć za to!

Księżniczkę znajdziemy dodał Spytek byle on na to nowe zgodził się ożenienie.

A ono mu na co? odparł Bodzanta. Nadziei potomka pozbył się dawno. Bóg sprawiedliwy karze go za mierz mojego wištobliwego Baryczki. Wie sam, że z nałożnic synów mieć będzie, ale z żony mu nie da ich Bóg...

Miłosiernym jest Bóg przerwał poważnie arcybiskup. Ja lepiej tuszę ... Modlić się o to będziemy wszyscy i wy, bracie mój rzekł zwracajśc się do Bodzanty, który brwi ciśgał i szeptał:

Niech na to zasłuży... z Żydówkš żyjśc, ekskomunice podlega.

Zmilczeli wszyscy.

Ja sšdzę odezwał się Spytek iż gdybymy króla prosili o to wszyscy, na nowe luby się zgodzi...

Wprzódy mu księżniczki poszukajcie, która by pójć zań chciała wtrścił Bodzanta z niechęciš. Na wiecie takiej nie znajdziecie.

Mnie się widzi odparł arcybiskup iż nam jej szukać i narzucać mu jš nie naszš rzeczš. Promy go, ażeby się żenił, a wedle serca żony szukał.

Kiedy serce wzięła Żydówka! rozmiął się Bodzanta.

Sšdzę, że nie serce, ale namiętnoć i chuć cielesna go w te więzy okowała przerwał Suchywilk.

Powiadajš, że niegłupia jest zartobliwie a złoliwie mówił Bodzanta. Gdy przy piękności rozum się znajdzie, trudna sprawa...

Znowu chwila milczenia naradę przerwała. Bogoria wcale niezafasowany słucał i do swojego powrócił.

Chodmy doń wszyscy rzekł nie ażeby go karcie i grozić, lecz by go prosić. Chcemy mieć króla z krwi naszych Piastów, niech się żeni... nakażemy modły, Bóg dla nas czynił już cuda...

Lecz nie dla tych, co prawami Jego pomiatali dodał Bodzanta.

Mili moi panowie zwrócił mowę do Spytka i wieckich czyńcie, jak się wam podoba. Idcie prosić, ja nie pójdę... Modlić się o nawrócenie mogę; dopóki w grzechu jest, odwracam od niego twarz mojš tak, jak Bóg i więci Patronowie królestwa tego oblicze swe zasłaniajš. Karze nas Bóg, a chłozcze od mierci Baryczki nieustannie, morem, głodem i powodziami daje znaki, a zatwardziałoci

w grzechu nie przełamał cóż my na to możemy? Chyba jak Bóg i w Imię Jego chłostać też i surowościś gnać dc pokuty...

Spróbujcież chociaż wprzódy łagodniejszego rodka odezwał się Suchywilk. Gdy wyczerpie się pobrażanie...

Dawno się ono wyczerpać było powinno rzekł Bodzanta.

Bogoria, jakby nie słyszał, co mówiono, poczył w myl swojś;

Pójdziemy do króla... Wtem Suchywilk dajśc znak wujowi podniósł głos.

Ażeby krok ten był skutecznym rzekł należy i to rozważyć, czy mamy wszyscy razem do niego ić, czy pojedynczo o to nalegać przy każdej zręczności? Wszelkiego nacisku król nie znosi, owszem, skutek on przeciwny na nim wywiera. Każdy z nas, powodowany miłociś dla krwi tej, dla króla naszego, mo-

że i powinien błagać go o to. Gdy się zejdsz te pojedyncze głosy, skutek przyniosś.

Bodzanta ramionami poruszył.

Miłociwi moi rzekł szydersko za to wam ręczyć mogę, iż czy pójdziecie gromadś, czy pojedyncza, on jutro wiedzieć będzie, iż z narady to wspólnej wypadło!!

Ks. Suchywilk wziśł te słowa jako wymierzone do siebie, zarumienił się i rzekł:

Ani ja, ani ks. Zbyszek, ani kasztelan nasz pan krakowski z tym do niego nie pójdziemy, a pasterz nasz wskazał na Bodzantę nie pole pewnie na zamek zawiadomienia.

Badzanta się rozmiął.

Nie wiem, kto doniesie i kto donosi, lecz wiem to, że król zawiadomiony zawsze i o tym, co powinien i czego wiedzieć nie powinien.

A o czymże król w królestwie swym zawiadomionym być nie powinien? odparł ks. Suchywilk.

Biskup gronym zmierzył go wejrzeniem.

Zgubnś naukę szerzycie! zawołał chcielibycie, ażeby król w państwie sam był panem tylko, a my, duchowni, jego służebnikami... O tym, co my czynimy i przedsiębiorzemy, wiedzieć mu nie potrzeba ani się mieszać do tego...

Bogoria milczścy, który wielki swój piercień na palcu obracał i wpatrywał się weń zadumany, wtrścił:

Król duchownś i Kocioła władzę szanuje.

A Baryczkę utopić kazał! rzekł Bodzanta.

Nie godzi się tego kłać na karb jego...

Jakże nie, gdy zabójców osłaniał! wołał nieprześlągany Bodzanta.

Sprawa ta nieszczęśliwa przecież skończona rzekł Suchywilk.

Ale nie zapomniana! odparł żywo Bodzanta i póki narodu, póty pamięci o niej. Plama z krwi się nie zmywa.

Chrystus nam przebaczać każe rzekł arcybiskup.

Bodzanta nadśsany zamilkł. Po małej chwili uczynił ruch, jakby wychodzić chciał, lecz arcybiskup go powstrzymał.

Waszego zgodzenia się potrzebujemy, ojczy rzekł skłóńcie się do myli naszej!

Wycie tu u nas głowś odparł Bodzanta dumnie chociaż ja w mej diecezji pasterzem...
Postanowicie, nie sprzeciwię się, lecz przekonany nie mogę być, bom innej myli...

To mówiąc poczył żegnać Bogorię, który go pod rękę ujśwszy do drzwi ze czciś odprowadził.

Wszyscy inni pozostali, czas jaki nie odzywajśc się. Odejcie Bodzanty jakby brzemię zdjęło im z serca...

Głos zabrał Suchywilk.

Ksiśdz pasterz nasz, chociaż inaczej się zapatruje na położenie, jestem pewny, gdy da Bóg, dokona się to, comy tu postanowili, nie sprzeciwi się i sam się z nami połszy. Ma żal jeszcze do pana naszego, ale... ustśpi on.

I ja tak tuszę potwierdził arcybiskup, który chętnie szedł za zdaniem siostrzana swego.

Spytek, Ligęza, Odrowśz i Przedysław z Gołuchowa nie mieli nic do dodania, zgadzali się na małżeństwo i na rodki dla przypieszenia go. A że Suchywilk, najlepiej znajscy króla, radził pojedynczo występować, i tę myl trafńś, a zastosowanś do charakteru króla, przyjęto.

Bogoria miał najpierwszy wystśpić, a że długo w Krakowie bawić nie mógł, zaraz nazajutrz na zamek z tym jechał.

Budowano tam włanie i nowe wznoszono mury: król tak się zajmował robotami około zamku, iż sam co dzień przypatrywał im się, rozpytywać o nie chodził.

Zamek, już za ojca dwignięty i nieco rozszerzony, chciał Kamirz uczynić jeli nie takim, jakby przystał wielkiemu państwu jego, to przynajmniej odpowiedniejszym swym upodobaniem.

Brakło i dogodniejszego mieszkania dla niego samego, i obszerniejszych izb dla przyjęcia dostojnych gości. Kamirz marzył o takim pałacu, jaki widywał w Pradze, na Wyszehradzie węgierskim i w Budzie, o jakich mu Waclaw z Tęczyna opowiadał w innych europejskich stolicach. Lecz zbywało na kamieniarzach, budowniczych, rzebiarzach i wszystkich tych rękodzielników sprowadzać było potrzeba. Przychodnie ci, majšc dosyć zajęcia i w Krakowie, i po innych miastach, w większej części osiedlali się w kraju, a przy nieb. młodzież tutejsza uczyła się kunsztu i król miał tę pociechę, że już nie sami cudzoziemcy przy zamku zajęci byli.

Tak samo jak z kmieciami w podrózach swych i wycieczkach, Kamirz chętnie rozmawiał z rękodzielnikami. Oskarżano go z tego powodu, że cudzoziemców, Niemców zwłaszcza, zanadto lubił, zbyt wielu ich cišgał, lecz nie z miłoci dla nich czynił to, ale przez miłoc dla kraju, do którego oni przynosili z sobš naukę tego, na czym mu dotšd zbywało.

Gdy Bogoria zajechał przed zamek, Dobek Bończa oznajmił mu, że król opatruje mury, które wznoszono, i ofiarował się pójć mu opowiedzieć o gościu.

Lecz nim arcybiskup wysiadł, a Dobek ruszył, król stał już w przedsieni, uprzejmie witajšc ulubionego pasterza. Tym moze serdeczniej zbliżał się teraz ku niemu, że on jeden, choćby był mógł wymówki mu czynić za Esterę, nie powiedział ani słowa. Wdzięcen mu był za to. Z wypogodzonš twarzš weszli oba do zamku.

Dzięki Bogu odezwał się arcybiskup gniazdo to nasze stare... coraz wspanialej się uciela... Daj Bóg, aby urosło i ozłociło się... na pociechę naszš... ale samemu na nim siedzieć królowi nie przystało.

Nie winienem ja osamotnieniu mojemu westchnšł Kamirz znacie żywot cały... smutki jego i zawody... Dzi, za póno!!

Za póno? spytał Bogoria siadajšc Jeste miłoc wasza w sile wieku!

Przepowiedziano mi, że zejde bez potomka! dodał król smutnie.

Niedorzeczne proroctwa! podchwycił arcybiskup. Któż siedział w Pańskiej Radzie i zna wyroki Boze?

Król spucił głowę zadumany.

My wszyscy, którzy naszych królów krew nauczyliśmy się miłować mówił Bogoria modlimy się i pragniemy, aby

te ominš fałszem się stały. We wdowim stanie wam pozostać, potomka nie majšc... nie godzi się. Jest to dobrowolnym wyrzeczeniem się wszelkiej nadziei! Sš w królestwie naszym tacy, którzy by Ludwika, siostrzana waszego, radzi widzieć na Piastów tronie... Wszakże i w nim kropla tej drogiej krwi płynie, lecz my, my nie wyrzeklimy się tej słodszej nadziei, że synowi waszemu zostawicie naležnš mu koronę!

Mówišc to Bogoria patrzył na króla, który siedział z oczyma spuszczoneymi, zachmurzony, milczšcy,

jakby rozmowa ta struny smutnie w duszy jego brzmisze poruszyła. Kilkakroć arcybiskup zatrzymywał się i czekał odpowiedzi, która nie przychodziła.

Kamirz zrozumiał dobrze, dlaczego do małżeństwa zachęcał go arcybiskup. Było to niewyrane napomknienie, iż rodzaj życia, który prowadził, w oczach jego niewłaciwym się zdał dla króla.

Jakkolwiek lekkie tylko dotknięcie tego stosunku, który jeszcze pochłaniał całego Kamirza, ubodło go przykro. Sromał się...

Po próbach, jakie przeszedłem rzekł nareszcie król nowš czynić trudno mi, ojcie kochany.

Lecz dla przyszłoci królestwa tego powinnicie się powięcić odparł Bogoria.

Po długim milczeniu Kamirz odezwał się obojętnie.

Nie łatwo mi o żonę, jakiej bym pragnšł, a pierwszej lepszej wzišć nie mogę. luby sš wiekuiste i omyłkę całym życiem płacić by przyszło.

Lecz Bóg łaskaw i omyłki nie będzie! zawołał arcybiskup. Szukajcie a znajdziecie! powiada Pismo.

Rozmowa cišgnęła się jeszcze, gdy nadszedł kasztelan Spytek, na zamku goć codzienny. Arcybiskup umylnie się do niego zwrócił.

Jestem pewien, że i wy mnie zawtórujecie rzekł zwracajšc się do niego. Namawiam króla do ożenienia...

A! i my bymy wszyscy, choćby na klęczkach, o nie prosić gotowi! rzekł Spytek zniżajšc głowę przed królem. Wasza pasterska moć wyrwalicie z serc naszych życzenie, którego my objawić nie mieli, choć je od dawna nosimy... Całe królestwo ono czeka na to...

Wszak wiecie najlepiej odparł król tym naleganiem zakłopotany žemy na wszelki wypadek nie zostawili korony bezpieczeństwa. Przeznaczona jest Ludwikowi...

I ten miłym nam będzie, jeżeli, uchowaj Boże, spadnie na niego rzekł Spytek lecz inna to rzecz swój pan, z nami wychowany, u nas zrosły, a obcy, choćby najlepszy. Obyczaj cudzy, prawo inne mimo woli z sobš przyniesie...

Z udanš wesołociš, jakby chciał tok rozmowy odmienić, król przerwał:

Jam nieskory do nowego wyboru, a i księżniczka żadna nie będzie pochopnš ić za wdowca... Stary jestem...

Bogoria się umiechnšł.

Byle ochota do ożenienia była... swatać wszyscy będziemy...

Tak zakończył król w moim wieku już trzeba, aby kto żenił, bo sam człowiek nie potrafi...

Arcybiskup przez czas jaki jeszcze o tym samym mówił przedmiocie, chociaż widział, że królowi nie był miłym.

Spytek mu dopomagał.

Kochan, który o naradzie już wiedział i czekał, jaki skutek uczyni przemówienie arcybiskupa i kasztelana, dostrzegł tylko tę w królu zmianę, że go wesołość opuściła. Wieczorem poszedł do Estery.

Dni następnych wszyscy, co się do króla zbliżyć mieli zřecznoř, popierali Bogorię. Ten i ów nie dosyć zřecznie objawił Kamirzowi życzenia powszechnne... i chmurę na czoło wywołał... Wreszcie ciřgle zewszřd powtarzajřce się nalegania dozwoliły się domyłać, iż one wskutek zmowy jakiej i za zgodř powszechnř obiegły tak króla.

Jednego wieczora zasepiony Kamirz spytał Kochana, który zawsze najlepiej był uwiadomiony:

Skřd to poszło, że mnie wszyscy tak napastliwie ożenić pragnř?

Nie potrzebuję tego tłumaczyć odparł Rawa. Wasza miłość dobrze rozumiecie znaczenie tych prób powszechnych... Od Źydówki by oderwać radzi...

Król mruknřł tylko:

Takiej jak ona królowej mi nie dadzř. Zabiegi prózne, ja się do tej niewiasty co dzień przywiřzuję więcej!

Ulubieniec ostrożny zachował milczenie.

Trwał już od kilku miesięcy serdeczny ów zwiřzek z Esterř, a szemranie nań coraz wzrastało, gdy zamiast pojedynczych prób, ziemianie i rycerstwo krakowskie, przybrawszy sobie z innych ziem ludzi znacznych, przyszli uroczycie na zamek do króla przynoszřc mu żřdanie ogólne, aby żony szukał sobie.

Król, zmuszony do odpowiedzi, znużony ciřgłymi tymi nastawianiami, w chwili podrażnienia odpowiedział posłom publicznie, iż gotów jest uczynić zadoć woli ich i całego rycerstwa, byle znalazł po myli swej księżniczkę.

Było to już niejako zobowiřzanie się i obietnica.

Kasztelan Spytek i kilku innych pierwsi wystřpili z tř myłř, by księżniczki szukać w rodzie lřskich Piastów.

Zaczęto się rozpatrywać w rozrodzonych księżęcych dworach; ten i ów napomykali już imiona...

Król z wielkř niechęciř, w milczeniu obojętnym słuřał, co mu donoszono, i ramionami ruszajřc odpowiadać nawet nie raczył. Wiedział już, że od tego nowego zwiřzku obronić się nie potrafi.

Wieczory, jak zawsze, spędzał u Estery, a często, nie zważając na oczy i na złolliwe szept, w dni stawał przed domem Ester/j zsiadał z konia i dwór na zamek odprawiał.

Tak się stało i dnia jednego, w którym Kamirz więcej niż innych od nalegań ucierpiał.

Swatano mu najnatarczywiej księżniczkę Jadwigę z Głogowa, o której wieci dochodziły, że była młodsza i piękniejsza i wychowanaś tak, że i na tronie królewskim usiść była godniejsza.

O przebiegu całej tej sprawy małżeństwa Estera od początku była uwiadomionaś. Miała ona już naówczas służnych dworzan, a co się działo i mówiło na królewskim zamku, natychmiast już dochodziło.

Nigdy jednak nie dała poznać królowi, iż wiedziała o upornym swataniu, nie zachmurzyła się jej twarz, nie okazała obawy witała go wesoło, zabawiała szczebiotaniem, starała się, aby u niej o troskach powszednich zapomniał.

Król też zmuszał się przestępując próg jej domu okazać wesołym, a przymus ten wkrótce sprowadzał roztargnienie i mył dobrs.

Dnia tego wszedł Kamirz, nie zdoławszy czoła wyjanić, posępny, padł na siedzenie znużony.

Po całodziennych łowach czekała go tu wieczerza... Siadł do niej, prawie słowa nie rzekłszy. Estera też milczała patrząc mu w oczy...

Przybywał z brzemieniem ciężkim, postanowił był bowiem otwarcie się o tym z nią rozmówić. W oczy jej spojrzał kończąc wieczerzę... Siedziała przed nim, zawsze piękna, trochę bledsza tylko.

Estero odezwał się król, rękę ku niej przez stół wyciągając co by ty rzekła, gdyby mnie zmuszono do ożenienia? Duchowni, rycerstwo, wszyscy nalegają na mnie... broniłem się... nie wiem, czy potrafię oprzeć! Nie pragnę żony, Bóg widzi lecz...

Estera nie spuszczała oczów z niego, słuchała spokojna.

Królu mój odezwała się, gdy zamilkł jeste ich królem też... Chcę mieć potomka z krwi twojej następcę po tobie... Cóż ja mam na to powiedzieć? Chceszże opucić Esterę twoją?

Nigdy! nigdy! zawołał król z żywociś wielkš ty mi była jedynš, żadna cię nie zastąpi!

Młodoć, wdzięk, nowoć nie odciśgniesz cię mimo woli? spytała z wyrazem powagi i spokoju Żydówka.

Jestem pewien tego, że drugiej pokochać nie potrafię tak jak ciebie! rzekł król. Miłość moja wielkš być musiała, gdy mnie zmusiła z tronu zstąpić do Estery nie płochę to uczucie, ani je zgasić potrafi lada twarzyczka księżniczki.

Esterze po twarzy popłynęły dwie łzy i stoczyły się po policzkach, jak dwie perły, na białš dłoń.

Ty pan mój, jam niewolnica rzekła czyn, co chcesz... Estera posłuszna będzie... a co w jej sercu utkwie, to zamknie, aby rany nie widział.

Wzruszony Kamirz wstał z siedzenia, by ją utulić i upewnić, że zmienić się nie może.

Gwałtowny ból, który łzy wycisnął, był jakby przewyciężony, umiech powracał, zdawała się zaufań w nim, szczęliwś. Król poczęł rozwodzić żale swe przed nią:

Nie panami my jesteśmy na tronach, ale niewolnikami! zawołał. Odjść życie człowiekowi prawo mam, lecz własnym zarządzić nie mogę. Duchowieństwo z jednej, rycerstwo z drugiej strony oblega i w końcu najniezłomniejszą wolę zwycięży... Dobrym im jestem, powiadajś, żem miękki surowym, żem okrutny.

Sędzia ma godziny, w których, zstąpiwszy z ławy, człowiekiem wolnym się staje, żołnierz odpoczywa, kmieć wytchnąć może, tylko nie król, na którego dzień i noc tysiące oczu patrzy i każdy ruch jego ledzi. Żenić się musi dla przymierza, podawać rękę nieprzyjacielowi dla uzyskania spokoju, wojować dla ich korzyści, dla siebie nic mu uczynić nie wolno.

Panie mój przerwała Estera Bóg was przeto postawił wyżej i przez was rządzi ludami... Skarżyć się może człowiek, król dumnym być powinien...

Kamirz, który się lękał łez, wymówek i zatrucia tego szczęścia, którego od niedawna przy niej zażywał, wdzięcznym jej był nad miarę, iż tak mężnie i ufnie przyjęła bolesną nowinę.

Wdzięczność ta powiększyła jeszcze przywiśzanie; ze łzami wzruszenia w oczach powtarzał dnia tego, iż nigdy nie opuci jej, i gdyby nań najsilniej nalegano, pozostanie jej wiernym.

Kochan, którego się król nie wystrzeżał, podsłuchujący pode drzwiami, odszedł od nich z przekonaniem, że Kamirz z Estera rychło zerwać nie może. Zmieniło to jego postępowanie z nią. Zapisał się od dnia tego w poczet jej wiernych.

On się nazajutrz sam nastęczał królowi dla odniesienia darów, jakie dla Estery przeznaczał. Były one wyrazem tego, co doznał wczoraj: wdzięczności i powiększonego przywiśzania.

Przechodziły też wszystko, co dotąd przelało się ze skarbca na Wawelu do skrzyń Estery...

Kochan z dwojgiem czeladzi zawiózł ze słowem Kamirza dary, których Estera nie zdawała się spodziewać. Przy tej zręczności starał się ją zapewnić, iż gotów jest zawsze w każdym razie popierać jej żądania i u króla być jej orędownikiem.

Spodziewał się może wdzięczności i poufalszego zbliżenia, lecz Estera na te nadskakiwania próżne odpowiedziała tylko bardzo obojętnym głowy skinieniem.

Tak jak ulubienca królewskiego, przyjmowała wszystkich, którzy się do niej wciskać usiłowali, starając przez nią cokolwiek wyjednać u króla. Odpowiadała na proby tym, iż ani dla siebie, ani dla drugich nie miała nigdy nic żądać od króla.

Nigdy też z ust jej Kamirz nie posłyszał żadnego napomknienia nawet o czyni innym, oprócz tego, co się ich obojga tyczyło.

Lewko i inni pokrewni nalegali o wiele drobnych przysług, ale i tych Estera odprawiała odmowś.

Dla narodu naszego prosić go będę mówiła dla ludzi nie mogę! On u mnie szuka spokoju, a ja mu go żebraninś zaturwać nie chcę.

Lewko się gniewał, lecz, wprędce zrozumiawszy jś lepiej, poszanował jej postanowienie i nie nalegał więcej.

Spodziewano się może, iż chciwociś i nadużyciem władzy, jakś miała nad królem, sama się mu narazi i od siebie odstręczy. Rozum znalazł się niespodziewany w dziewczynie i ta, którą za chwilowś fantazję pańskś z poczštku uważano, wkrótce urosła do potęgi, jakiej nikt nie przewidywał...

Kochan milczśco głowś potrzebśał. Panowanie jego się kończyło...

Od tego wieczora, gdy poddała się konieczności królewskiego małżeństwa, urosła niezmiernie...

Wkrótce przyszedł na wiat pierwszy syn jej, którego król, Pełki dawszy mu imię i w szczycie pół orła a w drugiej tarczy dzielnicy dwie róże białe ochrzcić kazał przyznajśc swoim.

Narodzenie jego wrzawę przeciwko królowi podniosło jeszcze straszniejszś... a równie nadaremns jak dawne narzekania i krzyki.

Tymczasem swaty o księżniczkę Jadwigę wyprawione zostały, a na zamku pieszono z przygotowaniami do uroczystego wesela.

Kamirz nie opierał się już i z obojętnociś największś dawał sobś rozporzśdzać tym, co go otaczali. Jadwiga lśska, czy inna, była mu równie nie znaczścś, narzuconś i przymusem danś towarzyszkś...

Możnym panem był ten ruchliwy, gorścy, niespokojny, gwałtowny Maciek Borkowicz, któremu niegdy dla zasług ojca, Przybysława, poznańskiego wojewody, król ogromne nadał ziemie: Komin, Orle, Bożęcice, Golinę i wiele innych posiadłoci.

Widzielimy go już u Neorzy, przysłuchujścego się próżnym naradom ludzi, którzy co przeciw królowi chcieli przedsiębrać, a nic nie umieli, tylko językami szermować.

Maciek miał naturę innś; choć na pozór do wybuchów łatwś, choć niby otworzystś i krzykliwś umiał to ludziom pokazać, co chciał, a co zataić postanowił, z tym się nie wydał. Pomimo lat swych, których już czterdzieci z górs liczył, mimo że syna dorosłego miał, którego mu zmarła żona pozostawiła, wyglśdał czerstwo, młodo i do niewiast zalecać się lubił.

Możnym panem był w Wielkiej Polsce nie dlatego, że ziemi w niej miał sporo, lecz że, tu się urodziwszy, przez całe życie pracował na to, aby sobie jednać ludzi wszelkimi sposoby. Jak jemu podobni, niezbyt surowi w ich wyborze, Maciek wiedział dobrze, iż najłatwiej pozyskać sobie serca

dogadzając słabociom. Bano się go, bo gwałtownym był, ale wiészano z nim też chętnie, bo myliwym lasy dawał, ochotnym do biesiady stoły zastawiał, chciwych godnoci popychał, łakomych na grosz jednał datkami.

Z dawna już patrzyli niektórzy na Maćka okiem nieufnym. Znadto się krzštał, zbyt chciał przewodzić w Wielkiej Polsce, a kto mu zawadzał, uprzštał go z drogi, często nieznanymi jakimi i zagadkowymi rodkami. Wielu z tych, co się na niego porwało, a dokuczyło mu, poginęło w lasach, w podróży, w zwadzie jakiej na gospodzie lub nie wiadomo jak...

Na przemiany serdecznym być umiał i strasznym. Miał też nieprzyjaciół skrytych wielu, ale i druhów takich, którzy z nim na olep ić byli gotowi.

Syna wychował, aby takim był jak on sam, ale w tym, że młodsza krew grała, był jeszcze od ojca zapamiętalszym i mielszym. Niewiele też odstał od niego i brat Jan, któremu z dóbr sobie nadanych przez króla Maciek Czacz odstšpił.

On, brat Jako z Czacza i syn chodzili zawsze razem jak sprzężeni. Dwu jeszcze miał pomocników, wyręczyieli, zauszniaków i druhów, na których przede wszystkim rachował: Sędziwoja Nałęczza i Skórę, obu ziemian możnych.

Królowi Maciek niby to służył wiernie, kłaniał się nisko, a że rubasznym był i na oko zdawał się szczerym, Kamirz go się nie lękał. Lepiej uwiadomieni utrzymywali, iż zręcznie po cichu podstępnie przeciwko niemu knował. Podejrzane były jego cisłe stosunki z księżęty brandenburskimi, nieprzyjacioły Polski i ze lšskimi, którzy od niej odpadli. Jawnego jednak nie było, co by mu zadać było można.

Król mu dał wielkš władzę, starostš swym w Wielkiej Polsce uczyniwszy; on więkšsz jeszcze przywłaszczzał sobie garnšc wszystkich do siebie tym, że obrońš praw i odrębności tej ziemi się czynił.

Garnęli się do niego ludzie w dobrej wierze i do tego przyszło, że stanšł na czele1 zwišzku ziemian wielkopolskich, o jakim dotšd jeszcze nigdy słyhać nie było. Długo się to przygotowywało, aż wreszcie na zwołanym do Poznania zjedzie wszyscy najcelniejsi ziemianie z Przeclawem, kasztelanem, i Mikołajem, sędziš, na czele, uczynili na pimie mocnš rękę jednš, aby razem ić, wzajem się bronić i w jednoci trzymać. Wprawdzie stało tam, że przeciw króla nikt nie był obowišzany i zapewnionš była wiernoć jemu, ale słowo to nic nie znaczyło przeciwko czynowi, który Wielkopolan: Grzymałów, Nałęczów, Doliwów, Szaszorów

Leszczyców, Habdanków spršgł i dal w garć ambitnemu starocie.

Przypominano już po cichu zdradę Wincza z Szamotuł, który też około siebie uzbierawszy ludzi do Krzyżaków ich poprowadził. Lecz szli i tacy, którzy pomnšc, jak król Maćka obdarował, wierzyć nie chcieli, przypucić nie mogli, aby on wystšpić miał przeciwko swemu dobroczyńcy...

Na czele tych, co lepiej znajšc Maćka obawiali się go i ostrzegali, aby się z nim nie wišzać, był rodzony wuj jego, wojewoda Beniamin, którego drudzy starym Beńkiem zwali. Z tym już Maciek

zadarł się był miertelnie i oba się na siebie odgrazali.

Działo się to właśnie wtedy, gdy poszła po ziemiach wszystkich pogłoska, iż królowi zaswatano Jadwiż glogowskš. Doszła ta wiadomoć i do Poznania, a stamtšd do Komina.

Dworzec w Kominie, za miastem, w którym Borkowicz często przebywał, gdy tak bardzo jak w Poznaniu widzianym i ledzonym być nie chciał, dosyć obronny był, wałem osypany, ostrokołem opasany, ale jak wszystkie Borkowicza dwory służył mu tylko za obozowisko.

Człek to był, który, choć możny, w życiu nie potrzebował błyskotek i wygód. Żołnierz, nieustannie na koniu, w przejazdach, w podróżach, miejsca rzadko gdzie zagrzewajšc, gdziekolwiek przybył, rozkładał się żywo, jako tako urzšdzał, byle mu wszystkiego w bród było, bo zawsze z sobš licznš gawied cišgnšł, ale o okazanie bogactwa przepychem nie dbał.

Ludzie za to u niego dobrani byli i jak najlepiej zbrojni, nakarmieni szczerze, opłaceni hojnie, a wszyscy zbóje, którzy ani swego życia nie żalowali, ani cudze cenili! Byle pan skinšł, każdy z nich na rodzzonego brata był gotów!

Z bratem Janem z Czacza, z synem Przemkiem, z nieodstępnyimi swymi Sędziwojem Nałęczem i Skórš, od dni już kilku siedział Maciek w Kominie.

Mieszczanie tutejsi, których za roczny czynsz, raz ustanowiony, Borkowicz od wszelkich innych uwolnił ciężarów, znosili mimo to ucisk, bo na ich przywilej nie zważano i dwór darł okrutnie, ale milczeli w nadziei, że się go wkrótce pozbędš.

Na komińskim dworze życie i ruch był niezmierny. Ziemianie cišgle przybywali i odjeżdżali, stoły musiały zastawne być od rana do nocy, piwa beczki wypróżniały się w oka mgnieniu, miód wysychał, mięsiwa i chleba nastarczyć było trudno.

A kto by do izb zajrzał, w których cišgle tłumno było, wrzawliwie, gęsto, nie posšdziłby pewnie, żeby się tam co knować mogło, bo krzyczeli wszyscy głośno, mieli się, pili, kłócili, a prawili o takich rzeczach, które chyba dla nich niebezpieczne być nie mogły.

Niekiedy tylko Maciek którego z ziemian za szyję ujšwszy odwiódł od komory, postął tam z nim, poszeptał, a potem miejsc się do stołu powracał. Po czym zwykle ziemianin najadłszy się i napiwszy, usta ledwie otarłszy, na koń siadał i precz jechał z gęstš minš.

On, brat Jan i Przemko gospodarzyli u stołów po całych dniach gocinnie bardzo.

Osobliwszy był dom wdowca, bo w nim oprócz służby męskiej i czeladzi, młodych dziewczšt, postrojonych w wianuszki, wesółych, chichoczących mnóstwo do stołu i po izbach posługiwało. Gocie sobie z tej służby stroili żarty swawolne, ale u Borkowicza wszystko było wolno tym, co z nim trzymali.

Wieczorami ta czelad niewiecia musiała piewać pieni, a czasem i w tany pójć, gdy gocie byli podchmieleni.

Dnia tego, w którym Maćka we dworze komińskim znajdujemy, po dłuższym nieco pobycie ziemian się jako przebrało. Jeden tylko, z Krakowa wieżo przybyły, za stołem siedział, jadł, bo był drogś wygłodzony, popijał, a razem plótt co cišgle, bo mu się, acz pełna chleba i mięsa, gęba nie zamykała.

Maciek siedział na ławie rozwalony, w sukni rozpuszczonej i rozpiętej, rękš niespokojnš brodeę krótkš targajšc i twarz jego, dumš i siłš napiętnowana, wyrażała wielkie z siebie zadowolenie.

Krakowski goć, imieniem a raczej przezwiskiem Groszek, był ubogim panoszš ze szczytu Półkoziców; czepiał się on różnych klamek, jadł chleb nie z jednego pieca, a teraz Maćkowi służył. On mu zwykle języka przynosił, co się na dworze działo, co po drodze słyssał, co u innych druhów starosty dostał.

Ziemianin był chudy a kocisty, zawiędły, ogorzały, ubrany niedostatnio, z szyjš długš, na której łeb się kołysał wyłysiały, brzydki, z oczyma małymi, nosem dużym a czerwonym i uszami odstajšcymi. Mówił cicho a prędko, po trosze seplenił, a równie mu było pilno jeć, pić i rozpowiadać, aż się krztusił.

Słuchano go pilnie, starosta z ławy badał.

Wierzbietà pojechał tam mówił albo z siebie sam, aby co utargować, lub zawołany... he?

Groszek brwi podniósł do góry.

Kat go wie? rzekł dopytać nie było można, ale na dworze go przyjmowali i u króla jadł.

A z kim król nie je? odparł Maciek u niego wszyscy dobrzy, byle mu pochlebiali, a na życie jego nie mówili nic...

Mało, że Wierzbietà był dodał szlachcic było ich tam tymi czasy dosyć. Naposiedli się króla żenić.

Maciek prychnšł.

Ma on ich dosyć! zawołał jeszcze mu jednej trzeba. A cóż z Żydówkš będzie, bo tę, słysszę, tak miłuje, jakby mu Mesjasza narodzić miała.

Ano toż i przyszedł na wiat! zawołał Groszek ochrzcili go w kocie i szczyt mu król dał... a zowiš go Pełkš. Nie mogli snad inaczej oderwać go od Żydówki, więc mu żonę zaswatali.

Niemkę znowu pewno, bo Litwinki drugiej ani Rusinki dla grubego obyczaju nie wemie... rzekł miejšc się Borkowicz anom ciekawy, jakš?...

Niemkę nie Niemkę poczšł Groszek ale tak jak Niemki gładko wychowanš i młodš. Mówiš na pewno o głogowskiej Jadwidze...

Maciek, który na ławie leżał, usłyszawszy imię to, zerwał się nagle, aż ława pod nim zatrzeszczała, podniósł i poskoczył do mówišcego z brwiami gronie zmarszczonymi.

Niedoczekanie jego! krzyknął wodząc oczyma zaiskrzonymi.

Brat i syn spojrzeli nań tak, jakby go hamować chcieli, lecz w tej chwili powstrzymać go już było ciężko. Krwiś całe zabiegło oblicze...

Nie może to być. powtórzył.

Com słyszał, to prawie odparł bijąc się w piersi Groszek, trochę przestraszony, jakby na dzikiego zwierza zniecka nastąpił. Arcybiskup Bogoria z Suchywilkiem... pierwsi go przyciskać zaczęli, aby się żenił koniecznie. Za nimi poszli i kasztelan Spytek, Ligęza, Odrowąż i nasz Przedko z Gołuchowa. Jak go modlić i nalegać zaczęli, rzekł im, słyszę: No, to dajcież mi żonę! Poszukali mu więc i księżniczkę Jadwigę znaleli... Już ci prawiś o godach...

Maciek z twarzą zmienioną słuchał. Brat jeden Jan i syn może wiedzieli, co gniew jego znaczył... Wysoko sięgał starosta, wysoko!... Na Wielkiej Polsce, oderwanej z pomocą swych zwiżzkowych, zasić udzielnym panem, przy pomocy Brandenburgów i Krzyżaków, a z Jadwigą chciał się on sam żenić!

Na dworze w Głogowie niezgorzej go przyjmowano. Księżniczka nie miała dotąd bohdana, a za mąż wyjć chciała i wydać jś zyczono. Młoda, piękna, żywa, miała, wesoła do zbytku, podczas i na łowy jedziła, a samotnej w kście siedzieć nie w smak jej było. Krosien też, jak inne, niezbyt była rada pilnować...

Maćkowi, już dojrzałemu, niło się jś wzić do boku. Zdało mu się, że krzywś dlań nie była. Chociaż po sobie nie mógł pokazać jeszcze, ażeby się starał o jej rękę, starosta zajeżdżał często, siadywał długo, podarki woził potajemnie i te przez paniś starszą przesyłał. Mówiono, że je przyjmowała, choć trudno było mu dojć, czy ona je brała, czy chciwa. Niemka, która przy niej ochmistrzyni obowiżki sprawiała.

Wszystkie te piękne nadzieje wiadomoć przez Groszka przywieziona wniwecz obracała. Złość porwała wielka gwałtownego człowieka, stał burząc się i słuchał milczący...

łszacy za niego jej nie dadzś! zawołał wybuchajśc. Albo to oni go nie znajś? kto go nie zna, tego poganina, który żon i półżon co roku mienia, ile mu Kochan nastęczy... Nie dadzś!

Na dworze bo powiadajś przerwał Groszek iż już się arcybiskup wprzód upewnił o tym, że jś dać zechć, nim swatem się uczyni! Prawiś, jak jeden, wszyscy...

A z Żydówkś tś kochanś co uczyni? zapytał gniewnie Maciek ba i z synkiem półjudś, półpiaciukiem?...

Żydówka bodaj, aby w zapasie nie została poczśł: Groszek. Mówiś, że się do niej przywiżzał, iż bez niej dnia nie wybędzie...

Mów, nocy! wtrścił zły Maciek, pięciś silnś o stół tłukśc. Jeszcze mu jednej było potrzeba! jeszcze! Wszakci już królestwo i nas sprzedał w węgierskś niewolę... a po co mu syn?

Stojący obok Jan z Czacza mruknął wtórując:

Węgry nie dopuszczą ożenienia... Potrafiś oni. Elżbieta Bezręka, choć palców nie ma, zdoła wszystko powikłać i popsuć...

Maciek zwolna, burcząc, ku ławie powrócił. Groszek, dobrze podjadłszy i podpiwszy, wšsy sobie połš zabrukanego kaftana ocierał. Milczenie krótkie dało czas do namysłu. Starosta się. zdradzać nie chciał.

Cóż rzekł mówisz, że o godach prawiš?

A juźci! potwierdził Groszek i chcš je uczynić głonymi a wietnymi, aby zatrzeć pamięć tych z Rokiczańš, których im wstyd...

O nas tam co mówisz? nie słyszałe? zapytał Borkowicz. Co o pimie, któremy sobie dali? Ja sam królowi doniosłem...

Wie też o nim, ale sobie z niego nic nie czyni... We dworze słyszałem, jakoby mu to wytłumaczyli, że w tym nie ma nic, jeno bezpieczeństwo od warchołów...

Nic nie rzekł Maciek.

Badałby był może posłańca dłużej, gdyby do izby nie wpadł Skóra, do ucha co szepnął Starocie i, nim dokończył, na progu się ukazał Wierzbięta, o którym mowa była właśnie, iż w Krakowie się miał znajdować.

Z tym Maciek nigdy dobrze nie był, bo się go obawiał, a ujść go nie mógł. Wierzbięta miał ucho i łaskę królewską, mšz był stateczny, poważny a twardy. Spojrzeć nań było dosyć, by poszanowanie uczuć, bo się sam on szanował, górsz chodził i do tych należał, których nawet na słodkie pochlebstwo nikt nie wemie.

Na widok jego zerwał się Borkowicz, bratu i synowi znaki jakie dajšc.

W istocie ta izba stołowa wcale na przyjęcie gościa tak znacznego przygotowanš nie była.

Przesunęło się przez niš od rana ludzi dosyć, a czelad męska i żeńska stołów zapomniała opróżnić i oczycić.

Na wpółwybielonych obrusikach pomiętych tułały się misy z koćmi i zastygłš strawš nie do jedzonš, kubki piwem pooblewane, chleba kromki i kawałki, dzbanki i różne naczynia. Nieład był jak w, gospodzie na popasie, jak w obozie... Ławy niektóre w poprzek izby stały, inne powywracane leżały... Psisko ogromne, właśnie się niepostrzeżenie wkradłszy i sparłszy łapami na stole, misy wylizywać zaczynało.

Maciek z dumną swš minš naprzeciw gościa wystšpił, chcšc dlań uprzejmym być. Wołano na służbę.

Wierzbięta zwolna, nie bardzo się oglšdajšc, zbliżał się do starosty.

Przebaczcie mi, miłość wasza rubasznie rzekł Borkowicz bom ja tu, choć w domu, a jak w gospodzie, więc nie wonno u mnie i nie wytwornie. Jam żołnierzem bywałem, a prostych obyczajów nie pozbyłem się.

Ano, wszystko dobrze odparł obojętnie Wierzbęta byłem was znalazłem, reszty mi nie trzeba.

Uczyli starosta miejsce na ławie dla przybyłego, sam się przy nim sadowiłem, gdy brat i syn oddalili się, aby wydać służbie rozkazy.

Wnet też, jak wprzód nikogo nie było, nagle się zbiegła czeladź męska i niewieścia, co rychlej sprzątając hałaliwie, a psy skomlały wyganiając kijami i nogami. Rozmowa więc w pierwszej chwili trudna była, a Borkowicz po małym namyle gocią do komory z sobą przeprowadził.

Tu znowu łóżka, jak i barłóg, rozrzucone w kącie, i odzież, porozwieszana i porozkładana bez ładku, rumieniec gniewu mu na policzki wybiła. Klął po cichu służbę swoją.

Siedli na ławie...

Z Krakowa wprost jadę odezwał się Wierzbęta z wolna kazał mi was król pozdrowić.

Skłonił głowę Maciek.

Bodaj nam zdrów jak najdłużej panował rzekł z cicha.

Rad się o Wielkopolskę wypytywał ciśgnął dalej przybyły ale ja niewiele powiedzieć mogłem, bo wiem szczupło. Rychlej bycie wy albo wuj wasz Beńko mogli mu o tym donieść.

Jam się też po piśmie naszym do miłości jego wybierałem rzekł Borkowicz postępując. Chciałem sam królowi z tego sprawę czynić, ale u nas do czynienia jest, że się pański starosta oddalić nie może. Beńko stary i powolny; na mnie ciężar wszystek, a po lasach, po gocińcach rozboje ciągłe, warcholów dużo i żelazną ich ręką karcieć trzeba.

Słuchał z uwagą Wierzbęta.

Już ci będziecie się mieli kim wyręczyć rzekł a choć na królewskie gody przybędziecie.

Wspomnienie to poruszyło znowu starostę tak, że ledwie się mógł utrzymać nie zdradzając.

Jakie gody? zapytał zdziwienie grając.

Wiedzieć musicie, iż król się nareszcie probami wszystkich dał skłonić do ożenienia.

Jeszcze raz? przerwał Maciek.

Niestary jest mówił Wierzbęta.

A przyrzeczona Ludwikowi korona?

Wiecie, że stoi w opisie warunek, gdyby potomka nie miał...

Daj Boże szczęście! odparł Borkowicz ano król nie bardzo młody, jeli parę dobierze do wieku, potomstwa się nie doczeka, jeli mu młodš dadzš...

Nie dokończył, głowš potrzšsłszy.

Swatajš mu lšskš Jadwigę rzekł Wierzbięta. Maciek ramionami poruszył.

Co mam rzec? daj Boże szczęście, choć ja się go spodziewać nie umiem,

Boże uchowaj złego! rzekł Wierzbięta. Ja mam lepsze nadzieje.

Tu chwilę pomilczawszy dodał:

Do Krakowa jedcie, królowi się stawcie, taka rada moja. Różni tam ludzie mogli wasz zapis tłumaczyć mu krzywo; opowiecie sami, że go potrzeba było, a królowi on strasznym nie będzie...

Stoi przecież w nim, iż panu wierność lubujemy zawołał Borkowicz ale ja wiem to dobrze nieprzyjacioły mam! Niepoczciwe języki wszystko obluzgać sš zdolne. Z najczystszeo człowieka poczwarę uczyniš.

Wierzbięta milczšc słucał.

Król niepochozny jest do uwierzenia lada komu rzekł więc też i pisma le nie wzišł, tylko niemłym mu może, gdy się jedna ziemia osobno wišze i oddziela, a on by je włanie rad wszystkie z sobš połšczyć.

Borkowicz brodę potarł.

Odrywać się nikt nie chce, ale ziemianie nawykli z dawna w każdym kraju swe prawo i obyczaj trzymać. Takš Polskę Krzywousty mieć chciał, w której, choćby wielu panów było, jeden stał nad wszystkimi najwyższy.

Maciek ożywił się mówišc i niby z całš otwartociš dalej cišgnł:

Z krajem tak jest jak z majątnociami; gdybym ja chciał sam gospodarzyć przez się i tu w Kominie, i w Orli, i w Bożęcinie, i w Golinie, niczego bym nie dopatrzył jak należy. Przeto włodarzy trzymam, władzę im mojš zdaję i liczbę z nich odbieram. Tak i w królestwie: im ono większym jest, udzielnych włodarzy, którzy by moc mieli rozporzšdzać się, jako zecheš, musi być wielu.

Wierzbięta słucał.

Nie inaczej też jest odparł wielkorzšdców król stanowi w każdej ze swych dzielnic, a Ziemowit mazowiecki...

Takich jak mazowiecki więcej być powinno przerwał Maciek żywo a wielkorzšdców mniej. Ci

władzy całej nie mają, a przez to niewiele uczynić mogą.

Nie zapominajcie, że przez takich jak Ziemowit Pomorze się nam oderwało rzeź marszcząc się Wierzbietą.

Borkowicz, jakby się już za wiele rozgadał, umilkł nagle. Tarł ręce i patrzył w stronę.

Poczł więc znowu przybyły gość:

Nie nasza to rzecz tym rozporządzać. Król władzę ma i co uczyni, dobrym będzie; na rozumie i na radcach mu nie zbywa. Ojciec jego życie całe strawił na składaniu z kawałków wielkiego państwa, dzieła jego syn psuć nie będzie. Z tym do was przybyłem dodał abycie do Krakowa jechali i królowi się jasno wytłumaczyli. Mówicie sami, że nieprzyjaciół macie, ja o nich nie wiem, ale tym ci pilniej powinnicie około tego chodzić, aby wam złe języki nie szkodziły.

Namarszczył się Borkowicz i pogardliwie twarz skrzywił.

Choć niewiele ładu w domu jego było, przecież jakiegokolwiek gościa z domu odpucić, chleba z nim nie rozłamawszy, nie godziło się, zastawiono, co było, dla Wierzbiety, a ten odmówić nie mógł. Lecz i jedzenie, i napój nie zdawały mu się smakować, a Borkowicz zwykle przynaglający innych, na niego nie nastawał. Przepili za swe zdrowie po cichu, kubkami uderzywszy... Gość, którego konie stały w podwórzu, wstał wprędce i choć go zapraszano po obyczaju, dla pilnych spraw, powiedział, że jechać musi.

Borkowicz go wyprowadził aż do przedsieni i natychmiast wracając do dworca padł zamyślony na siedzenie brodę targając i okazując, że się w nim burzyło wszystko.

Nie powołanie do Krakowa ani przyjazd Wierzbiety tak go poruszył, ale wiadomość potwierdzająca się, że księżniczka Jadwiga wychodzić miała za króla polskiego. Oprócz innych zamysłów, dwignięcia się przez ten zwiszek i pozyskania sojuszu księstw

łaskich, tak jak już Brandenburgów miał po sobie, Maciek rozmiłowanym był, a w jego wieku najniebezpieczniejszym to bywa. Młoda księżniczka łaskawą dlań była, pochlebiał sobie, iż pozyskał jej serce; myślał więc nad tym, jak królowi narzeczoną wprost porwać i uprowadzić, bo pewien był, że ona się zgodzi na to.

Niespokojny, gdy wszedł brat, Jako z Czacza, zawołał doń z dala:

Muszę jechać, dziewczynę gotowi gwałtem wydać; trzeba zobaczyć, jak tam rzeczy stoją. Była dla mnie życzliwa; jeżeli się uda, gotowym ją uwieść i zalubić!

Jako co głowę powstępującą potrzebował.

Dobrze rozważcie, abycie się dla podwójki daremnie nie uwikłali. Sprawa gardłowa: narzeczona królewska! rzeź powolnie.

Nie wiadomo, czy już narzeczona, czy tylko zmówiona! Zręgowin czasu nie mieli uczynić poczęł

Borkowicz. Mnie natychmiast potrzeba do Głogowa lub gdzie ona jest i przez starš ochmistrzynię posłuchanie sobie tajemne wyrobić...

Brat, który się starszemu nigdy nie sprzeciwiał, zmilczał i teraz, lecz nie bardzo pochwalił. Borkowicz, gdy raz co postanowił, nie było już sposobu ani go przekonać, ni odcišgnąć. Nie słuchał nikogo, a co mu się zamarzyło, natychmiast musiał dokonać.

Kazał konie sposobić. Na wieczór, noc, porę nigdy nie ważył. Zamylił co o północy, nie czekał do dnia.

Ruszyło się wszystko we dworze, bo mylano, iż pan z całym swym orszakiem z Komina wyjedzie. Wieć poszła na miasteczko, ucieszyli się mieszczanie, ale na próżno, bo Borkowicz w kilka koni z bratem tylko na parę dni chciał uczynić wycieczkę nie mówiąc dokšd.

W oka mgnieniu zwykli byli ludzie spełniać jego rozkazy i nim się on przedział do podróży, konie i wybrany dwór stali gotowi; syn pozostawał majšc nań oczekiwać w Kominie.

Po drodze już dowiedzieli się, że Jadwiga była istotnie w Głogowie, gdzie posłów z Krakowa nowych oczekiwano. Głoszono powszechnie, iż rzecz była postanowiona. Maciek burzšc się popieszał. Nie pojechał na zamek ani się tu pokazał, znalazł gospodę, a do starej ochmistrzyni pacholę posłał, aby się z nim widziała.

Opłacana sowicie za każdš posługę, starsza pani odpowiedziała posłańcowi, iż do gospody wieczorem nadšży...

Borkowicz, nie mogšc sišc i spoczšc na chwilę, oczekiwał na niš.

Mrok padł, gdy otulona płaszczem dla niepoznania zjawiła się w progu niemłoda już niewiasta. Była ona niegdy piękna, lecz od dawna nie mogšc na wdzięki rachować, na zręczność swš, pochlebstwo, przewrotność i niewiecie wybiegi liczyła tylko. Zwali jš we dworze od imienia męża Konradowš. Umiała sobie na nim wszystkich pozyskać: księżniczkę, którš wychowywała i której nadskakiwała, na wszystko jej dozwalałšc, czego tylko zašdała, rodzinę i dwór. Z każdym mówiła inaczej, potakiwała z kolei wszystkim, służyła na prawo i lewo. Borkowicz jš sobie był pozyskał podarkami, a że księżniczce się, w niedostatku innych, dosyć podobać umiał i o sobie prawił wiele rzeczy, a obiecywał udzielnym panem Wielkopolski z pomocš Brandenburgów się uczynić, zawrócił głowę dziewczęciu. Zjawienie się Konradowej nic dobrego nie zwiastowało przychodziła z twarž usznurowanš, pochmurna, skłopotana.

Sam na sam z Maćkiem zostawszy złożyła chude ręce.

Wiecie już wszystko! zawołała głosem zniżonym a popiesznie. Co księżniczka łez wylała! Ale na co się to wszystko zdało! korony odmówić nie pozwolš, choćby się dla was zrzec jej chciała.

Mali ona serce dla mnie przerwał Borkowicz gwałtownie niechże ma i odwagę! Porwę jš i uwiozę, nie dogoniš nas... Gotowym stu i dwóchset ludzi zebrać.

Konradowš się zatrzęsła.

Ale z niej oka nie spuszcza! zawołała. Gdyby chciała wyrwać się z tej niewoli, nie może.

Silś, mocś na zamek wpać gotów jestem! poczył Maciek. Załogi wielkiej nie ma... Zechcieli, zgodzi się, niech skinie...

Konradowa, wielce zmieszana, milczała czas jaki, głowę tylko przechylajśc.

Gdyby naprawdę sprzyjała mi dodał starosta jam. na największe ofiary gotów: Życie postawię!

Jużci, jużci przebśknęła pomilczawszy starsza pani że ona wam bardzo, bardzo sprzyjała i sprzyja, to ja wiem najlepiej. Że za mśz ić za tego króla, który niewiast tyle nieszczęliwymi uczynił, nie ma ochoty, toć pewna. Niemiło to wziść człeka od Żydówki, bo wiadomo, że król miał miłonicę...

I ma jś dotśd! wykrzyknął Borkowicz.

Ale co ona biedactwo na to poradzi, kiedy jej rodzina każe? kobieta sobś nie władnie, a to król.

Maciek szydersko się wykrzywił. Stara patrzyła nań.

O porwaniu gwałtownym ani mylcie rzekła ona by was na takie niebezpieczeństwo nie chciała wystawić. Woli sama ginść...

Zamyłona Borkowicza zwolna rękś dotknęła, pochyliła się ku niemu prawie do ucha i z tajemniczym wyrazem szeptać poczęła:

Przeciw takiej mocy się nie zrywać! a na co wam to? Ona króla kochać nigdy nie będzie. Kaźś jej, pójdzie, to co? albo dla was nie lepiej u królowej ulubieńcem być niż głowę darmo nałożyć. Zważcież. Ona wam sprzyja, pojedziecie na dwór... zyskacie u niej, co zechcecie, a przez niś u króla!!

Głowś poruszała stara i rękami go za suknię chwyciała, coraz goręcej usiłujśc go przekonać, że jej rada najlepsza.

Borkowicz poczył też dumać: Konradowa, a któż wie, mogła mieć słuszność. Wykradać księżniczkę trudno było, pogoń mogła ich pochwycić i życiem płacić by przyszło. Księżniczka też, jak widać było z tego, co mówiła stara, nie ważyłaby jego i siebie. Królowę za sobś mieć posłużyć mogło; u królowej ulubieńcem być umiechało mu się...

Kto wie, jakie jeszcze myli wysnuł starosta, lecz nagle zamilkłszy nie naglił już o wykradanie. Stara, widźc go posępnym, pocieszyć się starała opisujśc, jak księżniczka płakała, jak ręce łamała, jaki po nim tam żal był.

Borkowicz naocznie chciał się o tym przekonać i poczył naglić o to, aby potajemnie mógł widzieć Jadwigę.

Konradowa włanie pod ten czas, gdy się sposobiono na przyjęcie posłów ostatnich z Krakowa,

znajdowała to bardzo trudnym i niebezpiecznym. Oczu tyle stało otwartych...

Im bardziej się opierała temu, tym on mocniej nalegał.

Podarek znaczny, który jej wcisnął w ręce, na koniec Konradowś zmiękczył, lecz potrzeba było, w miecie o sobie nie dajśc znać, czekać dzień i dwa może. Naówczas ona miała wyszukać sposobu, aby wieczorem na zamku Borkowicz był przyjęty... ale musiała skłonić do tego wprzódy księżniczkę, oddalić oczy natrętne, obmylić miejsce i sposób.

Dla miłoci waszej i dla mojej wychowanki tylko mogę się na to ważyć rzekła okazujśc rękami i wejrzeniem, jak strasznej się sprawy podejmowała. Lecz kto wie, czy ja tego dokażę? czy ona się nie ulęknie?

Starosta po tej rozmowie został w gospodzie na dzień następny. Okiennice pozasuowano, wrota pozamykano, kazał sobie posłać w izbie i cały dzień strawił jedzśc i pijśc z bratem. Wieczorem nie nadszedł nikt z zamku. Czekali dzień drugi.

Jak się to skończyło nie wiedział nikt. Borkowicz dnia następnego nade dniem odjechał, nim się rozwidniło, nie zły, nie nadśsany, lecz dobrej myli, z umiechem na twarzy, wesoło z bratem gwarzśc i na palcu piercień okazujśc, którego nie miał wprzódy. Na króla przez całś drogę wymyłał i odgrażał się.

W Kominie stanśwszy, zaraz poczśł mówić o wyborze do Krakowa i, choć na Kamirza się sierdził strasznie, pojechać doń musiał. Ani zbyt dworno, ani zbyt pokorno się nie przybrał do tej podróży.

Bystry człek wiedział, iż mu należało nie popisywać się z siłś, której by się obawiano i nie ufano jej, ani kłamać biedotę, w którś by nie uwierzono.

Mała rzecz jechać mówił do brata; mniejsza o to, że głowę trzeba pochylić przed nim, najgorsza, że kłamać muszś i fałszem się dławić! Przecież inaczej nie wypłynę. Z królem muszę do czasu dobrze być, aby mnie na te gody prosił, na których, czy on, czy ja będę pierwszym... nie wiadomo. Dopóki się z niewoli nie wyrwę, dobrze za sobś mieć paniś. Zawsze i ona co może; a ja z niś wiele potrafiemy, byle rozum miała.

Brat Jako tak wierzył w rozum jego, że mu się nigdy nie miał sprzeciwiać.

W poczcie więc, do którego się Wielkopolan kilku możnych, podpisanych w zwiśzku, przyłśczyło, ruszył Maciek rad nie rad do Krakowa, takim się czyniśc, jak mu było potrzeba.

Sędziwój Nałęcz, Skóra, kasztelan Przeclaw, Mikołaj sędzia jechali z nim.

Szły za starostś wozy i skrzynie kute, okryte sukmem i skórąmi, w których pieniśdze wiózł, bo sam ich chciwy, sśdził, że nimi wszystko i wszędzie robić można. Dotśd mu się jego najzuchwalsze pomysły tak wiodły, a miałość i bezczelność tak popłacały, że w sobie coraz więcej ufał, a drugich lichu cenił.

Ani Benjamin wojewoda, wuj jego, ani Wierzbietta strasznymi mu się nie wydawali. Siłę w sobie okrutńś czuł...

Zbliżając się do Krakowa, jako go trochę miałość opuściła, trochę niepokój ogarnął, lecz otrząsł się wprędce i do stolicy wjechał butno, najlepiej sobie tusząc a szepcząc bratu:

Głupi są, wszyscy u mnie będą w saku.

Gdy wesele postanowionym zostało, w Łobzowie królewskim pod Krakowem, wśród najpiękniejszych drzew starych, w zielonej gęstwinie, z rozkazu pańskiego kawał ziemi spory oddzielono i wyciśwszy w porodku zarola i lipy dom stawić z muru poczęto...

Nikt nie wiedział, na co i dla kogo był przeznaczony, lecz robotnika najlepszego oderwano od zamku, ludzi siła spędzono

do pomocy; Kamirz grzywny na kosztą kazał dać Lewkowi z żupy w Wieliczce i domostwo, jakby czarodziejskimi laskami z ziemi wywołane, coraz to do góry wyrastało.

Wacław z Tęczyna musiał na tę murowankę dać naukę kamieniarzom, jak ją stawić mieli. Pytał króla, na co służyć miała i dla kogo.

Tak mi ją wystawcie rzekł mu Kamirz aby w potrzebie choćby z kilku osób złożoną rodzinę pomieścić mogła i czelad jej potrzebną... a niech na żadnej wygodzie nie zbywa.

Więcej nad to nie wiadano, lecz domostwo wedle tej wskazówki założono obszerne i nie żałowano niczego, co by je wygodnym a pięknym uczynić mogło.

Król sam dojeżdżał je oglądać. Dokoła ogród mieć chciał obwiedziony murem, stajnię dla koni, szopy i skarbczyk kręgiły w rogu...

Zwano tę poczętą budowę królewskim domem, domylano się, że chciał tam odpoczywać czasem, gdy z Wawelu od kłopotliwych spraw zbiec zapragnie. Murowano więc jak dla króla, nie skłapiąc najlepszego kamienia, na dole zataczając sklepienia piękne, na górze sufity wstawiając z belek rzebionych w kwadraty. Wszystkie okna w błonach być miały, po sieniach posadzki kamienne, w izbach z najlepszego drzewa.

Spytał raz kamieniarz króla, czy u drzwi nie każe tarczy jakiej wyrzebić; potrzebował głowę i znaku żadnego dawać nie pozwolił. Ludzie sobie głowy łamali, co za dom być miał, a to jeszcze tak nagle stawiany, jakby na jutro był potrzebny.

Przed weselem miał być gotowy. Tajemnicę odgadł podobno Kochan jeden, który umiał nie tylko się domyślać, ale i podsłuchać...

Gdy król przyszedł raz smutny do Estery, skarżąc się, że go do wesela napędzano i że wkrótce to musi nastąpić, piękna Żydówka, która na ręku miała małego Pełkę, chorowite i słabe dziecię, z główką na ramieniu jej opartą, przystąpiła z nim do Kamirza.

Mamże ja tu w Krakowie pozostać? zapytała go. Oddalić bym się nie chciała, a siedzieć tak na oczach złoliwym ludziom mnie i dziecięciu nie miło. Ciasno nam w mieście, duszno nam w murach, a i tobie, panie, z nami nie będzie tu dobrze... Żonie doniosła, ktoś wie? ludzi złych na mnie zasadz.

Do okna wyjść, na próg wystąpić nie będę mogła.

Król przerwał jej żywo:

Ależ nie masz czego uciekać ani mnie opuszczać! Żonę biorę dla nich, a dla siebie innej mieć nie chcę nad ciebie. Dokądżeby myślała?

Estera na dziecię usypiajśce spojrziała.

Nie wiem rzekła; gdzie by nam niedaleko od ciebie, panie mój, od miasta niedaleko... gdzie każesz, dokąd polesz, ale nie tu...

Król myślał trochę.

W Łobzowie tuż zielonych drzew dużo, miejsca dosyć, ale domu dla ciebie nie mam... Z Krakowa tam łatwo dostać mi się będzie, a w zielonych drzewach nikt cię nie dojrzy. Usidziesz jak w gniedzie...

Estera się umiechnęła.

Uczyńcie tak! rzekła. Nigdy was o nic nie prosiłam... ale o to gotowam... Lepiej mi będzie w Łobzowie...

Król wziął tę próbę do serca. Nazajutrz jechał zaraz miejsce oglądać i wyznaczać, z Wacławem z Tęczyna rozmówił się i pieszyć kazał z murowaniem, choćby przyszło roboty około zamku zawiesić. W istocie tylko je podzielono i część ludzi poszła do Łobzowa.

Pora sprzyjała, mury prędko osychały, spodziewano się, że przed weselem domostwo gotowym będzie, ale budowniczy nie radził się wnosić, dopóki by czas jaki nie powstało otwarte na słońcu. Nie tylko dom ten cały król swym kosztem wystawił, lecz gdy skończonym był, kazał się starać o sprzęt do niego, aby, swojego Estera przenosić nie potrzebowała. Opony do komnaty jednej flamskiego dziania dano ze skarbcza, wyznaczono i kobierców doć, i naczynia doć różnego.

Zawsze jeszcze niby tajemnicz było, komu ta kamieniczka przeznaczona będzie, lecz ludzie już szepotali o Esterze, a niektórzy widzieli w tym przepowiednię, że król pozbyć się jej nie chciał i zupełnie z niś zerwać.

Nie była ona ulubionś tym, co króla otaczali, dlatego że przez niś, z jej pomocś, nic zrobić nikt nie mógł. Nie przyjmowała podarków, nie podejmowała się porednictwa, pochlebstwem się ujść nie dawała.

Tak samo chrzecijan jak swojś bracie Żydów odprawiała zawsze tym, że do królewskich spraw i do niczego się mieszać nie chce. Gdzie o naród jej chodziło, przemawiała gorśco, zniżala się i prosiła dla pojedynczych ludzi nie robiła nic.

Królowi włanie to miłym było, iż przybywajśc do niej pewnym się czuł, iż tu żadna frasobliwa sprawa nie zmści mu spokoju. Spoczywał, bawił się, słuchał opowiadań, zapominał o królewskich

troskach. Znajśc wielki rozum Estery, czasem sam jš o co zagadnšł; naówczas skromnie, rozważnie, w niewielu słowach odpowiadała mu, a zdanie jej tak się dziwnie zawsze prawie z królewskim godziło, iż Kamirz się temu zdumiewał i więcej jeszcze mšdroć jej słaWił.

Gdyby chciała była, pewnie by wielkš moc nad nim osiŹgnšć mogła, lecz nie Źsdała jej, o utrzymanie miłoci serca dbajšc tylko...

Jedno u niej król znalazł zawsze, czy Źsdał, czy nie! to wiadomoci z rŹnych stron kraju, które się osoby królewskiej tyczyły, bezpieczeŹstwa lub jego dobra... Z tymi występowała miało, lecz donióšszy, co się jej waŹnym zdało, wprędcie zwracała się do potocznych przedmiotów w rozmowie.

Przez niš król naprzód uwiadomiony został, o co Borkowicza podejrzewano, a choć zawsze prawie to, co ona doniosła, sprawdzało się, tym razem jego samego do tłumaczenia powołał. Zdawało mu się, że ze zbytnej gorliwoci podejrzewano go niesłusznie.

Borkowicz przybywszy do Krakowa, gdzie liczne miał zwiŹzki i stosunki, dowiedział się, nie wiadomo z jakiego rŹdła, iż od Estery pierwsze wypłynęło oskarŹenie.

Stawił się Kamirzowi miało, jakby człowiek, na którego potwarz rzucono, bił się przed nim w piersi z takš na pozŹr otwartociš, z takim oburzeniem przemawiał, że krŹla nie lubišcego poŹsddzac przekonał o swej niewinnoci.

Dobrze teŹ był przyjętym na dworze, a że chętnie sypał pieniędzmi, u stołu przyjmował, podarkami rzucał na wsze strony, słuŹono mu chętnie.

JuŹ samo prędkie jego stawienie się do Krakowa kłam zdawało się zadawać rozsiewanym wieciom. Głowy by swej tak pochopnie przecie nie przynióšł, gdyby miał powŹd obawiać się czego.

Dowiedziawszy się, iż od Estery król pierwszš wieć dostał o jego knowaniach, Borkowicz postanowił trafić do niej i ujšć jš sobie. Nie znał on jej ani wierzyć chciał temu, co o niej mówiono; wyobraŹał sobie niewiaŹtę próŹnš, dumnš i chciwš, a łatwo dostępnš. Gdy mu jš malowano inaczej, ramionami ruszał ani się dał odwieć od zamiaru dostania się do niej.

Kobiety, które widywał i z którymi przestawał, nie wyjmujšc wesołej i dziecinnej księŹniczki Jadwigi, inne mu w ogŹle o płci niewieziej wyobraŹenie dawały. Ludziom, co go od niej odstręczali, w oczy się miejšc, gdy mu nikt pomocš być nie chciał w tym, postanowił sam przebojem docisnšć się do tej, jak jš nazywał, pięknej ŹydŹweczki.

miały, moŹny, nawykły, co zamylał, dokonać, Maciek dnia jednego kazawszy się Naprowadzić do kamienicy Estery, wybrał się do niej rano nioŹšc piękny naszyjnik na podarek przeznaczony.

Drzwi tam nie bardzo strzeŹono, gdyż Esterę znali wszyscy, iż darmo się jej kłaniać było i nikt juŹ nie próbował się tara dobijać.

Borkowicz z jednym dworzanimem przybył, a nie zastawszy pani domu w komnacie, poŹługujšcej dziewczynie kazał powiedzieć o sobie mianujšc się, kto był. Spodziewał się, iż Estera wyjdzie go

powitać, lecz poczekać musiał i nierychło zobaczył jš wysuwajšcš się z zasłony u drzwi zawieszanej.

Pięknoć nie tyle go uderzyła, co powaga postawy i godnoć, z jakš wystšpić umiała. Nastrojony był do żartobliwego tonu, lecz z tym jako nie miał potem, ujrzawszy jš, poczynać.

Jestem Maciek Borkowicz odezwał się z lekkim ukłonom przystępując do niej. Królowi się przybyłem pokłonić, więc i pięknej Esterze polecić się chciałem.

Zmarszczyła brwi słuchajšc.

Kto pana swego miłuje rzekł ten wszystko, co mu lube, ceni... Bšdcie na mnie łaskawš dodał dobywajšc naszyjnik zza sukni a nie gardcie małym podarkiem.

Zarumieniona Estera odstšpiła kroków parę.

Dziękuję wam odezwała się mierzšc go oczyma miało nie zwykłam od nikogo, krom pana mojego, darów przyjmować. Powiadczš wam ludzie, kogokolwiek zapytacie, iż nie waszym podarkiem gardzę, ale żadnego nigdy nie wzięłam. Łacno by było mnie po tym oczernić... a ja chcę nie posšdzonš i wiernš panu pozostać.

Borkowicz nalegać chciał, lecz tak stanowczš otrzymał odprawę, że się zmieszał zupełnie.

Miał przed sobš nie tę, jakiej się spodziewał, niewiastę płochš, ale surowego oblicza kobietę, do której przystšpić było trudno; mówić nie umiał nawet.

Podarek nazad musiał zatknšć za suknię i stał trochę zakłopotany. Dopiero namyliwszy się poczšł:

Przed panem mnie li ludzie podali w podejrzenie niesłuszne. Prosić was chciałem za obrońcę.

Ja w sprawy się żadne nie mieszam rzekła Estera o tym możecie się dowiedzieć łatwo...

Przecież mówiš, że o wszystkim wiecie! odezwał się nieco złoliwie Borkowicz.

Widzicie, zem le uwiadomiona przerwała mu Estera bo u nas pogłoski chodziły, jakobycie w wielkiej byli przyjani z Brandenburgami, a fałsz to wierutny musi być, gdycie do króla potem przybyć mieli.

Borkowicza to niespodzianie miałe odezwanie się jej oniemiło. Stał zarumieniony i gniewny.

Obrońcy już więc wam nie potrzeba, miłociwy panie dodała Estera.

Maciek w bok się ujšł i brodę swš targał. Ona patrzyła nań, jakby go poznać i wniknšć w niego ciekawš była.

I to fałsz być musi rzekła wyczekawszy na odpowied, którš umiech złoliwy zastšpił jakobycie na dworze lšskim z narzeczonš królewskš mieli dobrš znajomoć.

Rzecz ta, która się Maćkowi tajemnicz wydawała, wypowiedziana mu w oczy przez Esterę, w zdumienie go wprawiła.

Ciche przekleństwo z ust mu się wyrwało.

Jużci, żem na dworze w Głogowie bywał zawołał gorżco i opryskliwie zapierać się nie mam czego. Na turniejach kilka razy dobrze mi się powiodło, z księżniczks też potem do tańca rycerskiego stawałem...

Estera słuchała z uwagš.

Ludzie i z tego co na mnie upleć gotowi mówił dalej, obruszajšc się. Więc słusznie was o obronę prosiłem.

Sami się potraficie oczycić rzekła zimno. Borkowicz zwolna swe zuchwalstwo odzyskiwał.

Wam też nowa królowa nie bardzo do smaku pewnie rozmiarł się królem się przyjdzie dzielić z niš, a dalibóg piękniš i młodš jest, urodziwš i urokliwš.

Zarumieniła się Estera.

Ja też rzekła precz z Krakowa pójdę. Borkowicz rozmiarł się.

A do króla gniewu nie będziecie mieli?

Ani żalu, ani gniewu! odparła Estera swobodnie królowi syna potrzeba, daj Boże, by go z niej miał...

Maciek słuchał i uszom nie dowierzał.

Nie było już co mówić więcej, nie powiodło mu się cale, brwi namarszczył i dokończył tylko:

Bšdziez na mnie łaskawš. Estera nic nie odpowiedziała.

Wyszedł starosta zasepiony i pełen podziwu... a że tego dnia z przyjacióły u Neorzy się spotkał, zaniósł tam zdumienie swoje.

Widział z was który tš Żydówkš? zapytał. Mała rzecz, że piękna, choć już na twarzy przywiedła, ale to baba na cztery nogi kuta! Jam u niej był dzisiaj. Zaniósłem jej naszyjnik, który mi sprzedano drogo, i choć narzeczonej byłbym go mógł dać... nie wzięła. Mówiła ze mnš tak, jakby w istocie królows była, a nie miłonicš i dziewkš Judasza z Opoczna... Powiada, że z Krakowa idzie precz...

Drudzy głono zaprzeczajšc zakrzyczeli go.

Ale... ale wołali król by się jej miał pozbyć! a toż by nie wyżył bez niej! Dnia nie ma, żeby tam nie przekradł się i nie spoczywał. Zadała mu jakie ziele, jak to one wszystkie czarować umiejš. Nie wylinie się z jej szpon.

Borkowicz dumał i rzekł po cichu:

Tym lepiej!

Nie mógł się jednak uspokoić dnia tego, wszystkim prawiąc o Żydówce i, choć zły na nią był, sławiąc ją jako przebiegłą i rozumną, grożąc jej i Żydami.

Wielkie owo oburzenie, jakie w pocztkach przeciwko Esterze panowało, znacznie teraz było się umierzyło. Duchowieństwo miało nadzieję, że przed królową młodą ustąpić będzie musiała. Czekano na to... a jak zawsze pierwsze wrażenie najsilniejsze z wolna się zaciera, tak i do tego związku ludzie nawykłszy o nim słuchać wielkiej już wagi nie przywieszowali. Wielu też Estera rozbroiła tym, że się szczęciem swoim nie chwaliła i nie nadużywała go.

Nim do wesela królewskiego przyszło, dom w Łobzowie stanął gotowym. Estera krytym wozem pojechała go obejrzeć, a znalazłszy w nim pełno tych królewskich darów, których się nie spodziewała, radoci swej ukryć nie mogła.

Domostwo było obszerniejsze i wygodniejsze niż jej własne, a rozporządzenie jego i urządzenie samo dowodziły, że król jej opucić nie myślał, gdyż i izby miał dla siebie przeznaczone osobne, i te, które dla Estery zostawały, godne były przyjmować gościa takiego...

Poszły zatem naprzód wozy ładowne, skrzynie, służba jej, potem ona sama, wioząc na raku chorego Pełkę, przeniosła się na nową siedzibę.

W mieście się nic nie utai, w parę dni ludzie wiedzieli

o Esterze w Łobzowie i różnie sobie tłumaczyli te przenosiny.

Zaledwie rozłożyć się tam czas miała, gdy król jednego wieczora z łowów około Tęczyna powracając, u bramy zatrzymać kazał...

Przyjęła go w progu Estera, do nóg mu się kłaniając, a dziękując za taki dwór, którego się nie spodziewała.

Ani ja godna go rzekła ani mnie ubogą pieścić tak przystało. Jak w raju tu siedzieć będę, byle czasem się ta trąbka, co dzi, u wrót odzywała.

Król miał się, a rad był, znowu znane sobie oglądając izby

i komory, tłumacząc, dlaczego je tak kazał uczynić i na co, wedle myśli jego, służyć miały. Ogród też wokoło zielony radował go, a mur, co się rozciągał, zasłaniając od ciekawych, jako z własnego rozkazanego wzniesiony, ukazywał.

Tu już dwór swój i czelad Estera musiała powiększyć, bo Kamirz nalegał na to, aby dla bezpieczeństwa zbrojnych nawet kilku pachołków do usług miała. A choć inne królewskie zabudowania niedaleko stały i nie nadto było pusto, około stolicy zawsze uwijało się tyle włóczędów i zbójów, że się ich strzec musiano.

Inne życie poczuła tu Estera, swobodniejsz się czujśc, mimowolnie większ paniš, niź była w Krakowie. Tu jej natręci i ciekawi w oczy już zagłšdać nie mogli ani každy krok jej ledzić...

Więc i woniki, i kryte wozy, których w mieście nie było, stały się potrzebne, i usługa do nich, i ludzie, co by do miasta na posyłki jedzili.

Dotšd sami Źydowie i Źydówki około niej się kręcili, bo synody zakazywały, aby Izraelici służby chrzecijańskiej, mamek i stróży nie trzymali. Tu, ponieważ król przybywać miał, czelad dlań jego, wydzielona ze dworu, pomieciła się, zarazem służśc Esterze.

Wystawnoci i przepychu przybyło, a ona sama, jeli nie dla siebie, to dla króla się o to starała.

Przyszło też nawyknienie i upodobanie w zbytkownych sprzętach, które Kamirz lubił, w kosztownym naczyniu, w jadle wytwornym dla niego.

Mały Pełka był chorowity, musiał jedzić lekarz królewski do Łobzowa. Wkradali się tam pod rozmaitymi pozorami dworzanie, zawsze w nadziei, że usługujśc ulubionej Esterze u niej a przez niš u króla łaski pozyskajš. Lecz trwała ona w swym postanowieniu nieutrudzania króla nigdy żadnš probš, żadnym porednictwem dla drugich.

Zbliżał się czas wesela królewskiego, do którego wielkie czyniono przygotowania. Na próżno królowa Elżbieta słała do brata odradzajśc mu je i wróżśc pozycie niemiłe. Całe stronnictwo jej na dworze polskim przeciwne było ożenieniu. Wynajdywano na próżno rodki rozerwania zapowiedzianego małżeństwa. Duchowieństwo, arcybiskup na czele jego, nawet Bodzanta byli za nim, a z rycerstwa część znaczna, która wielkimi obietnicami swobód przez Ludwika węgierskiego zjednanš nie była.

Na zamku wszystko już było gotowym i dzień wyznaczony, gdy powiernik Elżbiety Węgrzyn Almazzy przybył do króla z poselstwem tajemniczym, którego ona pismu powierzyć nie chciała.

Wszystkie te zabiegi Kamirza niecierpliwiły i prędzej może skłaniały do zwišzku, niź odcišgnšć mogły od niego. Z niechęciš więc prawie przyjšł król Almazego.

Z postawy jego i wstępnych, przygotowawczych, zawikłanych frazesów poznać mógł król, że o co nader drażliwego chodzi. Przebiegły i zręczny Węgrzyn poczšł od najuroczystszego zaręczenia, że królowa Elżbieta tylko dobrem króla, brata swego, troskliwociš o szczęście jego była powodowanš. To jš skłoniło najpilniej badać wszystko, co się tyczyło księżnej Jadwigi. Almazzy z przykrociš i smutkiem w jej imieniu owiadczyć musiał, że wiadomoci z najlepszych czerpane ródeł w doć niekorzystnym wietle przyszłš wystawiały królowę. Dziewczę być miało płoche, zabawy nad wszystko lubišce, z młodymi i starszymi męczyznami w obejciu się zbyt miała. Królowa Elżbieta zaręczała

za to, iż między innymi, którzy na dworze lšskim bliźsze z narzeczoniš królewskiš mieli stosunki, znajdował się i osławiony Borkowicz, który zuchwale oczy na niš miał podnieć i przez starš ochmistrzynię podarki posyłał, potajemnie z niš miewał schadzki itp.

Słuchajšc tego doniesienia król się niezmiernie oburzył, porwał z siedzenia i owiadczył Almazemu, iż wszystko to jest wierutnš bajkš. Dalej już nawet mówić mu nie dał.

Powiedzcie siostrze mej zawołał wzruszony że umiem cenić troskliwoć tę jej o mnie, lecz... i sam lepy nie jestem. Nim do umowy przyszło, zasięgalimy wieci u ludzi; księżniczka młodš jest, żywš jak każda w jej wieku, lubi zabawy i miechy. Na dworze lšskim bywało wielu, bywał pewnie i starosta wielkopolski, lecz bajkš jest, aby z niš bliższe miał stosunki. Dozór jest pilny i rzecz wprost niemożliwa, aby jeden ziemianin, chociaż możny, do księżniczki takiego rodu miał się zbliżyć ze złš myłš. Wszystko to wcale odstręczyć mnie nie może, a dowodzi tylko, że sš li ludzie, którzy radzi by mojemu małżeństwu przeszkodzić. Królowa zna mnie i wie, że ja, gdy ludzie się przeciwko mnie stawiš, z placu nie uchodzę; owszem na przekór im czynić jestem gotowy.

Almazy mówić już nie miał widžc króla zagniewanym niemal. Pożegnał go odebrawszy ustnš odprawę i odjechał. Tylko pomiędzy stronnictwem węgierskim po cichu szepnł i rozsiał, z czym go tu przysłano i jak przyjęto.

Przez cały dzień ten Kamirz chodził poruszony wielce i zagniewany, lecz jak zakazał Almazemu mówić o tej potwarzy, tak samo przed nikim się z tym nie wynurzał. Wieczorem udał się do Łobzowa.

Im bliższym było wesele, tym częciej przybywał do Estery i dłużej przesiadywał u niej. W zamku, gdy króla nie było, opowiadano zawsze, że jest na łowach. Takie dwór miał przykazanie.

Kochan czasem mu tam towarzyszył, aby Kamirz pod rękš miał kogo do wysłania z poufnym słowem, w razie potrzeby; niekiedy Dobek jechał, a dla towarzyszy tych królewskich izba na dole przeznaczonš była osobna i na niczym im tam nie zbywało. Jechał tym razem Rawa, który im go teraz mniej używano, tym chętniej się nastęczał, ucho majšc pilne na wszystko... Nie szło mu o własne dobro ani o łaskę, która by się wyplaciła, lecz

o to serce króla, które miał niegdy, a które od sprawy Baryczki ostygło ono dla niego. Szukał wszędzie sposobności usłuzenia

i odzyskania straconej dla króla przyjani.

Zazdrosnym był nawet o Esterę, która, mówił, odebrała mu część serca pańskiego.

Wieczoru tego król więcej się, niż zwykle, wynurzał przed kochankš; mówił z goryczš narzekał na ludzi. Estera pocieszać się go starała ukazujšc mu, ile dobrego i wielkiego dokonał za panowania swojego.

Ludwikowi, siostrzanemu mojemu, zanadto się pragnie królestwa tego rzekł smutnie. Prawda, że dwa państwa połączzone z sobš wielkš mieć będš potęgę i łączniej się od nieprzyjaciół obronić potrafiš, lecz i Polska sama z odzyskanym Pomorzem, wcielonym Mazowszem i zawojowanš Rusiš ostoi się

o własnej sile... Chcš, bym zszedł bez dziedzica. Dzi mi poselstwo sprawiał Almazy wiozšc bajkę

głupiś, jakoby Jadwiga płochś była, a nawet z prostymi ludmi, jak Maciek Borkowicz, zbyt bliskie zawierała stosunki.

Król rozmiar się, ramionami poruszajśc.

Na Borkowicza zwałajś wszystko... chcśc go widać uczynić kozłem ofiarnym. Ma zwiśzki czynić przeciw mnie, ma mi narzeczonś mojś potajemnie zyskiwać, czyhać na spokój mój

i korony tej. Lecz cóż znowu za człek jest, aby się na to wszystko porywał!?

Mówiśc to spoglśdał na Esterę, która stała milczśc, z założonymi rękami, z pięknś główkś, czarnymi okolonś włosami, zwieszonś smutnie na białe ramię. Twarz jej nie okazywała ni oburzenia, ani niewiary zbytnej. Uderzyło to Kamirza.

Panie mój odezwała się po przestanku małym Estera Borkowicz zuchwałym jest, porywczym, ambitnym, a tacy ludzie jak on tam czasem sięgajś, gdzie nikt by się inny nie ważył nawet myłś. Plotka czy potwarz, o której wam wspominał Węgrzyn, chodzi po wiecie i ja o niej słyszałam. Nie daję jej wiary, ale ludzie jś powtarzajś... Potrzśsnęła głowś, król się zmarszczył.

Marne paplaniny zawołał zmyłone przez tych, którzy by małżeństwu przeszkodzić i rozerwać je chcieli. Borkowicz, jako wiesz, był tu w Krakowie, tłumaczył się i poprzysięgał mi wiernoć. Nie może być, aby knuł... nie podobna, by do tego stopnia oszalał i Brandenburgów a łszaków sobie zyskiwał sśdzśc, że mnie na tronie mym poruszyć może! Za mały jest. Zgniótlbym go jednym uderzeniem...

Estera nie mówiła nic długo.

Panie mój dodała w końcu choć nie wierzycie w wieci te, zawsze z człowiekiem, choć małym, potrzeba być ostrożnym... Mały człek, na wielkie się porywajśc, nie ma dużo do stracenia. O starocie głośzś, że w Wielkiej Polsce mnogich ludzi sobie pozyskał, że gwałty popełnia, postrach szerzy, a ziemianie się go lękajśc, wiele cierpieć od niego muszś. Dlaczegoż rodzony wuj, Beńko, czemu Wierzbietta nie ufajś mu i ostrzegajś?

Królowi już doć było i przestroóg, i rozmowy o Borkowiczu. Nie lubił go, lecz za tak niebezpiecznego nie miał.

Kazałem mieć nań pilne oko odezwał się sś, co go strzec i na każdy krok jego oczy będś zwracali, lecz co za mieszny wymysł, dla zozydzenia go w mych oczach, czynić jeszcze przyjacielem księżniczki? Toć jawna bań.

Oczyma zdawał się wyzywać Esterę do potwierdzajścjej odpowiedzi.

Obyczajów dworskich nie znam rzekła po chwili, zawsze z namysłem, który jej był zwyczajem możliwe to czy nie... nie wiem, lecz, że na dworze łśskim częstym gościem bywał, to pewna.

Przecie nie do księżniczki tam jedził! odparł król. Aniby miał oczy podnieć na niś. vpiastowie łśscy, choć się od nas oderwali, choć z Niemcami zwiśzali i woleli im hołdować, zanadto się

wysoko ceniš, by im wielkopolski panek dla córki smakował.

Rozmiał się król pogardliwie.

Estera już go jštrzyć więcej nie miała i zamilkła...

Kamirzowi ta bań, jak jš zwał, tak na sercu leżała i tak go zaprzstała niedorzecznościš swš, iż się z niš zwierzył w ostatku Kochanowi.

Rawa odparł, że i on słyszał o niej, lecz, choć miesznš była, Borkowicza znajšc nie widział jš tak bałamutnš, jak się na oko zdawać mogła.

Miłociwy panie rzekł sš ludzie zuchwali, co, jakomy wiežo przykład mieli, na sakrament w kociele porwać się nie obawiajš. Wszakci to historia kocioła twego, Bożego Ciała, który na pamięć popełnionego wjętokradztwa wznosić kazałe. Otóż Maciek Borkowicz do tych ludzi należy, dla których nic wjętego nie ma, a w ich mniemaniu nic dla nich za wysokiego.

miał się król.

Stracha jakiego chcecie mi uczynić z tego Maćka odezwał się pogardliwie. Nie dziwiłbym się innym; tobie, co ludzi znasz i wagę masz w głowie, dziwię.

Miłociwy panie rzekł obrażony nieco Rawa. Nie boję się go dla was, lecz włanie, iż znam człeka, wierzę we wszystko szalone, o co go posšdzajš. Niech sto razy przysięga i zapiera się, a do stóp skłania, powiadam, iż jeli zdrajcš nie jest, to chyba, że nie zdoła, a że w sercu zdradę ma, z oczów mu patrzy.

Król wysłuchał słów Kochana z uwagš.

Jeżeli zdradę knuje rzekł przykład na nim uczynię, jak zdradę ukarać potrafię. Nie o mnie idzie, ale o koronę tę, której ktokolwiek tknšc by miał zginie!

Ostatnie słowo tak głono i dobitnie rzekł król, iż Rawa milczšcy nie wznawiajšc już rozmowy wysunšł się po cichu.

CZĘĆ CZWARTA

KSIĘGA SIÓDMA

Trzeci już dzień trwały gody na królewskim zamku z tymi wszystkimi obrzędami i przepychem, jaki weselom zwykł być towarzyszyć w owych czasach. Wysiłali się na nie zamożni ziemianie, król musiał karmić i obdarzać tłumy. Wszelkiego rodzaju rozrywki, zabawy, igrzyska następowały jedno po drugim; rycerstwo co dzień miało gonitwy i turnieje, za nimi szły rozdawanie nagród zwycięzcom, uroczyste tany, muzyka i uczta.

Właciwie przez cały ciąg wesela uczta nie ustawała ani na chwilę; zmieniano tylko opróżnione misy i wysuszone dzbany, a coraz nowi goście zasiadali przy zastawionych ciśnie stołach, u których marszałek, podkomorzowie i inni urzędnicy dworu gospodarzyli.

Co dzień prawie przybywał ktoś nowy z życzeniami i wieszaniem panu, z małym jakim podarkiem, za który znaczniejszy ze skarbcza otrzymywał.

Rozdawano kożuchy kosztowne, jedwabiem i sukniem okryte, postawy tkanin różnych, futra, naczynia srebrne, wedle godności osób i łaski pańskiej. Zapas wczynie przygotowany dozwalał starczyć na wszystko. Król zdał się z tym na swojego Wierzyńka, a ten miał ludzi, którym ufał, i rozdawnictwo szło razem hojnie a skrętnie.

Na zamku wszędzie pełno było i gwarno i, prawdę rzekłszy, od rana do wieczora chmielno. Mało kto miał głowę całą i nie

zaproszoną; znużenie wymagało posiłku, lada kubek szumiał w mózgu po bezsenności i trudzie.

Wśród pospolitej gawiedzi wesele w istocie wesołym się zdało: twarze były umięknęte, policzki zarumienione, oczy błyszcząco, postawy gęste; lecz uważny widzą, w górę idąc ku starszynie, mógłby być dostrzec łacno oblicza coraz mniej rozpromienione, poważne, niemal smutne...

Nie było to dziwnym, gdyż królewskie gody budziły uczucia bardzo różne; znaczna część możnych i otoczenia pańskiego krzywym na nie patrzyła okiem. Wszyscy, co trzymali z królową Elżbietą i Ludwikiem Węgierskim, przeciwni im byli, a tych znajdowała się liczba wielka. Jedni, ujęci podarkami, drudzy obietnicami swobód wielkich dla ziemian, nieradzi byli małżeństwu, które obiecywało potomka i stary porządek rzeczy wzmocniony tylko a ukrzepiony prawodawstwem Kamirza.

Król chłopów był w sile wieku i miał jeszcze czas nowymi prawami ziemian i rycerstwo ukrócić, a innym mieszkańcom swojego królestwa nadać swobody, mogąc równoważyć przewagę dawnego stanu szlacheckiego, rycerzy, panoszków, ziemian, mających szczyty swe i zawołania. Ludwik natomiast przyrzekał rycerstwu większy udział w radzie swej, oswobodzenie od opłat, wyjątkowe przywileje...

Rycerstwo też niezbyt mile patrzyło na to królewskie wesele i po trosze na nie ramionami zrymało... Ci, co króla namówili, sami tylko rozgłonię prorokowali nowego Piastów zieloną gałązkę i cieszyli się

tym, że króla młoda małżonka zająć a przy sobie utrzymać potrafi.

Spoglądano ze wszech stron ciekawymi oczyma na Kamirza usiłując odgadnąć go i wyczytać z postawy, jakim sercem zwiśzek ten jawnie mu narzucony przyjmował. To było trudnym!

Królewska twarz, z wiekiem coraz bardziej poważniejsza, zastygająca, nie zdradzała uczuć łatwo, gdy występował publicznie. Nawet ci, co go znali dobrze, nie zawsze odgadywali. Wydawał się chłodnym, obojętnym, nieczułym wtenczas może,

gdy najwięcej doznawał. W naturze jego było, z wyjątkiem niewielu istot mu sympatycznych, dla reszty się zamykać i być tajemniczym.

I czasu tych zalubin, kto mu na twarz patrzył pilno, nic z niej wywnioskować nie mógł. Był to król, który się żenił — człowiek się nie zdradzał.

W niczym nie uchybiono ceremoniałowi i Kamirz go nie nadwerężył. Umiechał się, gdy było potrzeba, uprzejmym był, gdzie należało okazać życzliwość, nieznudzony; wszystko co od niego wymagały obrzędy, spełniał jak najcilej, lecz nad to nic więcej.

Żenił się król polski dla otrzymania potomka; Kamirz zdawał się to tylko spełniać, czego od niego wymagano.

Księżniczka była młoda, wieża, rumiana, piękna swoimi latami i rozkwitaniem, oniemielona razem i szczęliwa z tego, co już spotkało. W dumę wzbijała już korona, lecz i trwogę napępiała.

Usłużni ludzie różne jej historie podszeptali. Piętnacie lat osamotnienia Adelajdy, krótkie słomiane małżeństwo z Rokiczańskim, kochanka Żydówka, samo oblicze Kamirza musiało chwilami wesołość i swobodność dość w ojcowskim domu księżniczkę Jadwigę zatrwazać.

Dotąd... zabawiała się dobrze, miała, gdy chciała, obcować na dworze swobodnie z panami, z rycerstwem, z mnóstwem gości z Niemiec przybywających, lubiła tany, miechy i rozmowy wesołe... teraz królowa, okryta płaszczem purpurowym, przewidywała dla siebie dni smutne, długie, może więzienne.

Pierwsze spojrzenie na małżonka, który z wyszukaniem grzeczności, lecz z niezmiernym majestatycznym chłodem już powitał, zwiększyło obawę...

Potrzeba była najsilniej przekonywających dowodzeń, ciśnie kładzionych w ucho przez starszą ochmistrzynię Konradowską, aby ulękła nieco dziewczę uspokoić.

Konradowska, przebiegła i znająca swą księżniczkę od dzieciństwa, znała też rodki, jakimi na nią podzielać mogła. Tłumaczyła jej, że żywot królowej nie mógł nigdy być nazbyt dokuczliwym —

liwym niewolnym, że były rodki wyłamania się z niej potajemnie, że król zresztą sam zabawy lubił i żonie bronić ich nie mógł...

Ta chwila, co rozstrzyga o przyszłości, co pierwsze niezatarte wrażenia przynosi, na młodej królowej

tylko trwoż się oznaczyła, na królu niewzruszonym chłodem...

Po tych dniach ani jedno, ani drugie z nich nie okazywało najmniejszej po sobie zmiany.

Konradowa pilnie patrzyła na swójś paniś, ale zapytywać jej nie chciała o nic obawiając się wywołać jakie zeznania niemiłe. Wolała czekać na to, by się jej Jadwiga zwierzyła sama.

Oprócz starej ochmistrzyni niemal cały dwór pański z oka nie spuszczał nowego stadła szukając jakiej oznaki, która by przyszłe jego stosunki mogła przepowiadać.

Nie zmieniło się nic i nic odgadnąć nie było można. Dworzanie szeptali, iż właśnie to złś było wróżbś dla młodego stadła.

Lecz wszystko się mogło póniej odmienić, bo czas wesela, nieustannych występów, nużścych zabaw, uroczystych obrzędów opamiętać się nie dozwalał. Królowa musiała ciśgłe przebierać się, wchodzić, wychodzić, zasiadać obok małżonka, kłaniać i dziękować, uczestniczyć jako królowa w turniejach... jako królowa przy uczcie, jako pani przy wielkim tańcu, który gonitwy dopełniał.

Ci, co najciekawszi byli przyszłoci, a sami jej nie mieli i nie mogli wywróżyć, zwracali się ku Kochanowi, o którym wiedzano, że swojego pana znał jak samego siebie i że w nim czytał lepiej niż inni.

Rawa, dzi już podkomorzy króla, spoważniały, ale zawsze strojny i pięknego oblicza, w ciśga wesela ani chciał ust otworzyć na mnogie zadawane mu pytania. Słuchał innych, nie mówił nic, przypatrywał się z dala.

Przy turniejach kilka razy Kamirz się nieco ożywił, zdawał się zajmować losem walki, potem wracał do swej zimnej, pańskiej obojętności. Królowa spełniała wszystko, co jej wskazano, z widocznś niemialociś, jakby się lękała objawić z tym, co jś zajmowało. Podnosiła oczy nagle, rzucała nimi trwożnie

i spuszczała je wprędce, tak że jś otaczające panie z zadumy, i roztargnienia wyrywać musiały podszeptując, co czynić miała.

Nienawykła do strojów, jakie na niś teraz wdziewano, do ciężkich i licznych klejnotów, którymi jś okrywano, wydawała się ofiarś uwieńconś na jaki obrzęd, który siły jej wyczerpywał. Czasem tylko oczy jej zbiegły ku dawniej znajomym twarzom, policzki okrywały się nagłym rumieńcem i wnet bladość wracała na nie.

Wród goci ze wszystkich ziem polskich przybyłych znajdował się i Maciek Borkowicz, który ze wietnym poczem uczcić królewskie wesele przyciśgnś z Wielkopolany.

Zapobiegając temu, by go nie podejrzewano o jakie złe myli względem pana, wyrywał się chętnie naprzód, ukazywał wszędzie, odzywał głono i czynny brał udział w zabawach weselnych.

On i brat Jako z Czacza występowali z niezwykłym przepychem. Niepospolitej siły, w rycerskich sprawach zręczni i wprawni, stawali oba do wszystkich igrzysk, odziani w wykwintne stroje,

odznaczając się końmi, siśdzeniami i rzędami.

Maciek nastęrczał się Cišgle na oczy królowi, nadbiegał, gdziekolwiek go dostępnym postrzegł, pieszył tam, kędy mu się zdawało, że woli i życzeniu pańskiemu będzie mógł dogodzić.

Nie bardzo mu się z tym wiodło: król, choć nie okazywał mu wstrętu, nie dał też najmniejszej oznaki przychylnoci. Spoglšdał nań ciekawie z dala.

Pierwszych tych dni, czasu igrzysk w szrankach, w których młoda królowa była przytomnš, Maciek, ubrany i zbrojny z wielkš wykwinociš i blaskiem, widocznie szukał miejsca, aby się jej pokazać i zwrócić na siebie oczy...

Królowa też nie mogła go nie poznać i nie widzieć, lecz im mocniej się narzucał, tym uporczywiej zdawała unikać nawet

pobieżnego nań spojrzenia. Drgała, ilekroć głos jego dał się słyszeć, odwracała głowš z trwogš i niepokojem.

Borkowicz wród goci zamkowych był jednym z najruchliwszych, przy stole jednym z najgłoniejsz wesółych i najlepiej udających wielkie uszczęliwienie...

Dziwili mu się ci, co go w poufałym obejciu innym znali. Neorža, który tu też, otrzymawszy przebaczenie królewskie, dla oka ludzkiego się znajdował, spoglšdał na Borkowicza, jakby oczom i uszom nie dowierzał. Zdawało mu się, że człowiek ten kłam zadawał dawnym swym sprawom i na nowš wejć musiał drogę, chociaż ukone, szyderskie spojrzenie Borkowicza inaczej by go nauczyć mogły.

Trzeciego tego wieczora na zamku rozpasanie zabawš i ucztowaniem, mimo pilnego dozoru podkomorzyc, marszałka i mnogich nadzorców, wzmoęło się do najwyższego stopnia

Radoć z wypadku tak poźšdanego usprawiedliwiała swobodę, jakiej sobie dozwalało. Trudno było młodzież i dworzan utrzymać w karnoci i gdy w wielkich izbach zamkowych brzmiała muzyka, a co było najprzedniejszych goci, ucztowało lub szło w tany gawied, czeladzie, pomniejsza dwornia po róznych kštach, a nawet w podwórzu u okien zamkowych, w takt muzyce obracała się wesóło, porywając słuęebne do skoków...

Konradowa, ochmistrzyni z królowš przybyła, rozpaczała nie mogšc swych dziewczšt utrzymać ani drzwi od napaci młodzieży obronić.

Wpadali do niej znajomi i nieznajomi niepokojšc podżyłš, skwaszonš i znużonš jejmoć, która strojna w to, co miała najdroższego, opuszczona, sama jedna czekać musiała na zawołanie królowej, mogšcej co chwila jej zažšdać.

Wiedziała dobrze, iż młoda pani nie obejdzie się bez niej. Prawie sama jedna pozostawszy rozmylała nad czym oparta na rękach chudych, okrytych piercieniami gdy drzwi uchylono ostrożnie.

Skrzypnięcie zwróciło jej uwagę; podniosła się nieco, chcšc dojrzeć, kto jej spokój zakłócił, lecz

przez mało co roztwarte podwoje nie dojrzeć nie mogła, oprócz błyszczącego w niej oka...

Nadchodzący zdawał się rozpatrywać bacznie, nimby się wnieść odważył. Z namarszczonych brwi i coraz bardziej nadśsana ochmistrzyni już miała zawołać grono, aby drzwi zamykał, gdy właśnie się one szerzej otwały z wolna i Maciek Borkowicz, dobrze jej znany, ukazał się na progu.

Konradowa poznawszy go nie mogła pokryć przestachu i zakłopotania, jaki już na widok natrętnego pana, z którym już wiślały dawne, dziś niewygodne stosunki ogarnęła.

Borkowicz miał twarz rozweseloną, można było powiedzieć, rozzuchwaloną; szedł miejsc się ku babie, która drżała ręce złożonywszy.

Widząc jej twogę Maciek przybliżył się do stołu i opierając się oń odezwał:

A co? ja tu jest. Widzicie, że za wasz poszedł rad; królowa została nasza księżniczka... alem ja starszy u niej niż mąż i król... i moich praw wyrzekać się nie myślę, tylko z nich korzystać.

Starej mowa na ustach zamarła.

Co z wami? co z wami? odezwała się głosem zadławionym i drżącym opamiętaj się, człecze! Po co tu przyszedł?... Jakie masz prawa?!...

Jakie? he? odparł Maciek zuchwale ja i wy zarówno wiecie! Albowiem mi z księżniczką tajemnych schadzek nie ułatwiali?

Cicho... krzyknęła stara uszy sobie zatykając... Jakie schadzki? jakie? Ona z wami sam na sam i na jeden pacierz nie pozostała.

Oburzała się coraz więcej Konradowa...

Mało już kto po rękach całował, jak i ty zawołała a co z tego za prawo komu ronie?

Borkowicz umięchnął się i naprzeciw lampki rękę podnosząc błysnął starej piercieniem.

A to co? zapytał jej. Niby nie znasz tej obrączki z oczkiem i nie wiesz, czyja ona była, kto mnie ją dał i kiedy? Któż do tego pomagał? Słuchaj, stara, albo ty mi dalej służyć musisz, albo cię zgubię i wszystko wygadam. Maćka Borkowicza

ludzie znaj i zowiś go zuchwałym, bo jest zuchwały! Ze mną żartów nie ma...

Stara oczy zakrywszy płakać zaczęła.

Darmo nie szlochaj odezwał się Maciek ja, com raz sobie osnuł, tego nie odstąpię i nie porzucę... królowa ona jest, zgodziłem się na to, niechaj sobie niś będzie, ale ze mną zrywać nie może! Mam słowo...

Konradowa nie zdawała się słuchać. Jedną ręką oczy zasłoniwszy, drugą mu dawała znaki, by

milczał.

Podniecony napojem może i krwiś gorścś, Borkowicz ani myłał ustępować.

Czegóż chcesz? czego? odezwała się rozpaczliwie stara... chyba, jak mówisz, zgubić mnie...

Gubić nie chcę rzekł Maciek ano, służyć musisz...

A jak ja tobie tu służyć mogę? Oszalałe! zawołała coraz bardziej trwożśca się, oglśdajśc na wszystkie strony, ochmistrzyni, obawiajśc się być podsłuchanś.

Borkowicz zrozumiał to zapewne i pochylił się ku niej.

Ja z królowś widzieć się muszę, rozumiesz ty to?! zawołał popiesznie, za rękę jś targajśc. Nic nie pomoże...

Konradowa nie słuchała go.

Król albo dzi w nocy, albo jutro... z zamku potajemnie wyjedzie. Jadwiga zostanie samś. Żeby mnie mogła do niej na chwilę rozmowy wprowadzić!

Stara krzyknęła i oburśc trzepać zaczęła... Zamilczał Maciek, dajśc się jej wyburzyć.

Nic nie pomoże odparł ja z niś widzieć się muszę... Jak Bóg Bogiem widzieć się będę i to na cztery oczy, a ty musisz drzwi pilnować... Szyję swojś stawię, ja to wiem, ale się to stanie lub ciebie zgubię...

Wród łkania starej niewzruszony Maciek stał czekajśc i rozpatrujśc się po izbie...

A znajđś mnie tu dodał miejśc się no, to powiem, że dla was tu przyszedłem. Nie zrobi wam to niesławny, że takiego jak ja kochanka macie.

Żart ten więcej jeszcze okurzył starś; pokazała mu na drzwi, Borkowicz stał nieporuszony.

Ależ szalony poczęła po chwili Konradowa. Toż tu na nas, na młodś królowę, tyśśc oczów patrzy.

To co? odrzekł Maciek. Teraz nikomu nie postanie nawet w głowie, aby się kto miał do królowej przekradać! Włanie to pora lub nigdy. Wszyscy oszołomieni, nikt oczów nie ma, a podejrzenia nie powemie nikt. Prędej uwierzś, że podpiwszy Borkowicz młodej nie znalazłszy do starej poszedł na zabawę.

Odpychała go od siebie na próżno Konradowa; stał uparty.

Nie odejdę stśd, aż mi słowo dasz rzekł. Nie darniom przyszedł. Chcesz nie chcesz, a musisz, albo o piercieniu historię powiem, niech ci choć szyję ukróćś!

Wyczekał chwilę nie otrzymujśc odpowiedzi, tylko przeciśgłe stękanie i jęki..

Powiadam ci powtórzył król dzi lub najdalej jutro się do Estery swojej wykradnie, chorym uczyniwszy. Królowa będzie sama. Wpucić do niej mnie musisz. Nic nie pomoże dodał ja się nie dam odegnąć. Złęknie się pewnie i ona, nie zechce może, tak jak i ty powiedz jej to samo.

A to z was dobry przyjaciel! krzyknęła Konradowa po to wymodliliście piercień, aby nim straszyć?

Na cóż by się mi inaczej zdał? rozmiar się bezwstydnie Maciek. Albow to ja jak te Niemcy lub Francuzi, co lada kawałek wstążki noszę lata całe na piersi dla miłoci niewiasty?!

Rozmiar się dziko.

U mnie niewiasta niewiastś, choćby dziesięć razy królowś była!!! A nie zechce mnie znać...

Konradowa, gdy to mówił, oczy nań podniosła, zobaczyła twarz z wyrazem dzikim i rozpasanym, drgnęła ze strachu i, opamiętywając się powoli, rzekła zająskliwie.

Idcie stśd... idcie... Zrobię, co mogę. Królowej powiem... Niech na waszś głowę spadnie nieszczęcie...

Zamruczała co niewyranie.

Mówcie z niś a rychło dodał Maciek miało i natarczywie. Powiedzcie jej, com wam oznajmił... Nie będzie inaczej, musi mówić ze mnś. Króla nocś dzi lub jutro na zamku nie stanie... Wpucicie mnie...

Konradowa płakać znowu zaczęła głowę zanurzywszy w dłonie. Popatrzył na niś Borkowicz chwilę, targnął za rękaw i dodał jeszcze:

Najdalej jutro... słyszysz bo ja czekać nie będę, a stśd nie odejdę, aż się z niś rozmówię... Rób, co chcesz! Nagrodzę po królewsku, ale zgubię po katowsku, gdy mnie oszukasz. Maćka Borkowicza znajś ludzie, co on pocznie, to do końca doprowadzi. Pamiętaj.

Jeszcze raz jś na próżno za rękaw targnąwszy Borkowicz zwolna z izby się wytoczył, nie bardzo nawet strzegśc, by postrzeżonym nie był.

Wyszedł tak pewien siebie, jakby ani wstąpił, że zuchwały krok, który zamierzył, musi się spełnić wedle jego postanowienia.

Zamknęły się za nim drzwi, gdy Konradowa, jak rzucona siłś jakś obcś, z siedzenia się porwała i ręce załamawszy poczęła po izbie chodzić, coraz to za głowę się chwytając, to palce zaciskając rozpaczliwie.

Szukała w głowie sposobu, jakim by się zbyć mogła niebezpiecznego człowieka, i rozmyślała jeszcze, znaleźć go nie mogśc, gdy miało kto we drzwi zastukał i natychmiast wszedł na próg.

Był to podkomorzy i ulubieniec pański, Kochan Rawa, którego Konradowa już znała z twarzy i rozgłosu, bo wczynie o tym mówiono, że on u pana swego był najulubieńszym i najmożniejszym.

Ze miałoś człowieka, który prosić o nic nie potrzebuje, a rozkazy przynosi, stawiał się Kochan ledwie starej głowś skinśwszy.

Mam do was zlecenie od pana rzekł krótko, wpatrując się w niś bacznie, bo załzawione jej oczy i twarz trwożś napiętnowana uderzyć go musiały.

Przerwał sobie i wtrścił;

Cocie to tak zakłopotana, moja jejmoć? Jużciż le u nas na dworze ci nie jest ani na czym zbywać może?

Nic mi, nic prędko przerwała Konradowa.

U nas płakać nie powinnicie mówił Kochan. Pan dobry, nagroda hojna, ale panu też służyć dobrze potrzeba i wiernie. Otóż posłuchajcie.

Tu obrócił się dokoła, oczyma szukając po izbie, czy jakiego niepotrzebnego wiadka nie było.

Posłuchajcie powtórzył. Król, pan nasz, nie tak młody jest, aby go to wesele i występowanie nie znużyło. Jemu trzeba odpocząć, ale ludzie o tym wiedzieć nie powinni, że królowę samś zostawi. Niechby i ona też trochę sobie wypoczęła.

Spojrzał na Konradowa, która pobladła.

Cóż, dziwu w tym nie ma! dodał ale na ludzkie języki nie potrzeba tego dawać, bo ludzie wnet to wyszpecś. Rozumiecie?

Drżąc stara głowś skinęła. Dzi? zapytała.

Dzi albo jutro, nie wiem, jak pan postanowi rzekł Kochan ano, paniś uprzedcie, że nie z niechęci ku niej to czyni, ale z dobrej woli...

Konradowa powtórnie głowś dała znak, iż zrozumiała. Kochan jednak stał przed niś, jakby co jeszcze miał do powiedzenia.

Badał jś oczyma chcąc odgadnąć nieznanś prawię jeszcze kobietę, którś milczący ten wzrok, wlepiony w niś, niepokoić zaczynał. Powtórzyła mu, że postąpi, jak jej polecono.

Król, pan nasz dołożył Kochan miłociwy jest wielce i szczodry, trzeba, abycie łaskę jego pozyskali sobie, a z niś dobrze wam będzie...

Konradowa, której na myl przychodził tylko co odprawiony Borkowicz, pod wrażeniem strachu, jakim jś nabawił, co prędziej się chcąc pozbyć Rawy, skłoniła głowę, ręce rozpostarła, postawę przybrała uległś i pokornś. Kochan popatrzył na niś i wyszedł.

Gdy się to działo w komorze starej ochmistrzyni, królowa była jeszcze w sali, w której się tańcom przypatrywała odmówiwszy w nich udziału.

W komnatach panowało życie i gwar wielki, jak zwykle ku końcowi długiej zabawy, gdy i najchłodniejsi się rozochocą i starzy nawet powracają resztkę młodości poczytując w sobie.

Król, który się kilka razy w ciągu dnia tego zbliżał do żony i starał się ją omieścić, widząc ją znękaną jak i zbyt bojaliwą, w końcu uznał najlepszym pozostawić ją samą z paniami dworu i gośćmi, którzy ją otaczali. Rozmawiał z kolei z kilku starszymi o sprawach różnych, przypatrywał się zabawie, czynił, co mógł, aby się okazać wesołym, lecz widać w nim było roztargnienie jakie i le skrywane niecierpliwość.

Trwające już dni trzy ucztowanie, nie dziw, że go znużyć mogło. Gocie mieniali się, wypoczywali, on i królowa ciśnie starczyć im wszystkim musieli sami.

Nie zdziwił się więc nikt, gdy wkrótce potem królowa pierwsza niepostrzeżenie się wysunęła z sali i znikła, a król skinąwszy na Kochana, z wolna zbliżał się ku drzwiom wiodącym do komnat swych i opuścił zabawę.

Marszałkowie jednak, podkomorzowie i urzędnicy dworu mieli snad rozkazy przyjmowania gości, dopóki by bawić chcieli, gdyż taniec i ucztowanie u stołów nie ustało.

Odejście obojga królestwa nie zdziwiło nikogo.

Jak na nowożeńca, miłociwy pan nasz szepnął do siedzącego przy sobie Spytka Ligęzy młody panicz z Melsztyna trochę ma za posępne oblicze.

Bo zmęczony odparł Ligęza a może i wesele to, narzucone mu, do którego ludzie go zmusili, nie bardzo mu do smaku.

Melsztyński się rozmyślał.

Co mówisz? odparł królowa jak kwiat wiezo rozwinięty, hoża, a nasz pan kobiety lubi, czemu by nie miał być rad, że mu ją dano?

Ligęza ramionami ruszył.

A przypatrywalicie się dobrze królowej? zapytał. Że hoża jest, nie przeczę, ale czego też smutna.

Toć wiadomo rzekł drugi iż niewiasty nie okazują nigdy, jakby z małżeństwa rade były, bo się sromają... To u nich prawo i obyczaj...

Przy tym królowa Jadwiga szepnęła Ligęza może sobie przypomina swe poprzedniczki, nie licząc Aldony...

Spojrzeli na się, lecz żaden z nich dłużej rozmowy tej prowadzić nie chciał i byliby o czym innym rozpoczęli, gdyby do nich nie przystąpił Maciek Borkowicz, wszędzie się wciskający, rubasznie rozochocony

Zdawało się, że musiał co zachwycić z tego, co mówili, bo wtrącił spoglądając na Ligęzę:

Za wdowców za mąż ić i wdowcom się żenić, choćby królami byli... niedobra sprawa...
Uważalicie, jaki król posepny, choć się mieje? Po mu też biskupi gwałtem dali tę biały gołębicę
lśskš, kiedy on pono jeszcze swojej Żydówki nie porzucił?

Swobodna ta mowa, na zamku trochę dziwna, nie wywołała odpowiedzi; młodzi spojrzeli na się.
Borkowicz rozparty przed nimi, siadłszy, ciśgnł dalej.

Nie dałbym złamanego grosza za to, że jednego z tych dni król od godów uciecze!

Nie mówcież tak wtrścił młody z Melsztyna. Kto posłysz i ogadajš was znowu...

Ogadany już jestem rozmiar się Borkowicz a o tym, co prawie, wróble na dachach piewajš. Włanie
dlatego, iż mi króla žal i że go miłuję z litoci nad biednym panem stękam nad jego dołš. Czasem, gdy
się człowiekowi jeć nie chce, a dadzš mu misę przed się, choćby z najlepszš strawš... kociš mu ona
w gardle staje; co dopiero ożenie!! Biedne panisko nasze, no i biedna królowa...

Spojrzał na siedzšcych przy sobie, a Ligęza, który go nie lubił, burknł:

Hej! hej! panie starosto! mnie się zda, że niejeden, co niby pana žaluje, prędeż mu chyba zazdroci...
Szczególnie wy, cocie podobno na dworze lšskim bywali, a gadki chodziły o was,

żecie do księżniczki przysuwali się bardzo... nie powinnicie się z tym odzywać.

Borkowicz rzucił się i ławy.

Upomnienie o tym, czego on jeszcze rozgłaszać teraz nie życzył sobie, ubodło go. Surowo wzrokiem
odcišł się Ligęzie, z góry nań spojrzawszy, brwi cišgnł i oddalił się nie mówić nic.

Gdy królowa, przeprowadzana przez kasztelanowš krakowš i paniš z Tęczyna, weszła do swej
komnaty żegnajšc je w progu, z drugich drzwi czatujšca już na powrót jej ochmistrzyni pieszyła na
przyjęcie.

Umiech na twarzy księżniczki trwał póty, póki dwie matrony, co jš odprowadzały, nie pożegnały jej
zaledwie się znalazła sama, padła na siedzenie chwytajšc się za głowę.

Konradowa łaszšc się, z czuociš starej piastunki okazujšc litoć nad niš, zbliżyła się ku swej pani.

Królowo ty moja poczęła słodkim głosem zamęczyli cię tymi gody! Prawda?

Jadwiga, zadumana cała w sobie, nic nie odpowiadała.

Pochyliła się nad niš stara ochmistrzyni szepczšc głosem, który się starała uczynić wesołym i
swobodnym, choć w nim. drgało nieukozone jeszcze rozdrażnienie.

Dawniej gołšbka moja lubiła zabawę! lubiła! Ale teraz już jej ma do przesytu... Tobie by, królówko
moja, spoczšć, spoczšć! Zdejmę szaty, zawołam służebne... Może by sobie tu odetchnęła dzi,
zasnęła? prawda?

Królowa jeszcze nic nie odrzekła.

W czasie, gdy się to działo w komnacie Jadwigi, w tuż przytykającej komorze, w której siadywała stara ochmistrzyni, słychać było chód jakby męski. Przechadzał się tam kto tak, jakby chciał, aby kroki jego głośnie były i uwagę zwróciły.

Przełkniętej Konradowej zabrakło nagle głosu; nastawiła ucha, dała znak swej pani i, o ile jej wiek dozwalał, pobięła

do swego mieszkania. Lękała się tu ujrzeć niegodziwego Borkowicza, którego zuchwałstwo miary nie miało.

Odetchnęła, gdy drzwi otwierając spostrzegła Kochana Rawś. Czekał on na nią, zbliżył się żywo do jej ucha i rzekł:

Król bardzo znużony, no i królowej mu żal, bo i ta spoczynku potrzebuje... Dzi... będzie u siebie w komnacie spał...

To rzekłszy i patrząc na starś, aby wyrozumieć, czy dosłyszała, co jej oznajmił, Kochan dodał:

Trzymajcie to przy sobie... I wyszedł prędko.

Stara, która oczy miała dobre i nic jej uwagi nie uchodziło, dostrzegła, iż Kochan, który niedawno wszedł do niej w ubiorze bardzo wykwintnym, jak występował na zamku teraz miał na sobie suknie i płaszcz jakby do podróży narzucony.

Zdziwiło ją to trochę.

Z obawy, aby kto inny z drzwi nie zaryglowanych nie skorzystał, Konradowa poszła za Rawś i zasunęła je mocno.

Wróciwszy do królowej zastała ją jeszcze siedzącą w krzele, dumającą, z oczyma w podłogę wlepionymi i z wolna zdejmującą z siebie ciężkie klejnoty.

Stało się, jak ja chciałam dla gołębki mojej poczęła zbliżając się i sama zdejmując strój z głowy. Jadwigi będziesz miała spoczynek, bo i król znużony wielce. Dali mi znać, że ja tu mojej pani posłać mogę...

Na twarzy Jadwigi nieodgadniony wystąpił rumieniec. Konradowa nawykła do tych częstych płomieni na licu wychowanki, często bardzo bledniejszej i zaczerwienionej bez żadnej na pozór przyczyny nie zważała nań.

Usta się jej nie zamykały, a oczy badały paniś niespokojnie.

Jadwiga mało się przysłuchiwała paplaniu starej, cała była w sobie długo potem, gdy ozdoby jej z głowy i szyi zdjęła, gdy suknię ciężką rozpięła, jakby czując się swobodniejszą, zwróciła się do niej.

Miała ciśnięte brwi i wyraz surowy a zagniewany.

Słuchaj, Konradowa rzekła ty by powinna... dopytać tego Borkowicza.

Zatrzymała się na chwilę.

Tak... powinna mu powiedzieć, żeby mi się nie omielał ani tak patrzeć na mnie, ani tak poufale cisnąć! Niegodziwy człek... niegodziwy! Nie miałam dzi oczów podnieć, żeby natrętnych jego zerkań na mnie, mrugań i umiechów nie widzieć!

Stara, trzymajšca naszyjnik, rzuciła go na stół i załamała ręce do twarzy przysuwajšc.

Patrzcie, co za zuchwalec! wybškała miłosierny Jezu, co z nim poczšć?! co poczšć?!

Królowa milczała chwilę.

Poczynajcie sobie z nim, co chcecie rzekła powoli wycie mnie go naprowadzali w Głogowie, wy podarki nosili, wy jego sprawę popierali, teraz go sobie wecie... niech go nie znam... Zły człowiek i głupi!

Z wielkš uwagš stara przysłuchiwała się słowom tym, niespodzianym dla niej, głowš potrzebowała i oczy wywracała.

Boże miłosierny! szeptała Boże! co za człek! co za człek!

Ja już go znać nie chcę! powtórzyła królowa rób z nim, co chcesz... a... precz go odegnąć.

Namylała się chwilę stara, przyklęła przed siedzšcš paniš, podniosła oczy ku niej i szeptała:

To mało jeszcze, że on na mojš królowę patrzeć miał i że się cisnšł do niej. Na to by nikt nie zważał... ludzi dosyć, nikomu na pięknš paniš swš patrzeć nie wzbroniono... Mało tego! Ale co ja powiem gołšbce mojej... włosy stajš na głowie! Nie powiedziałabym może nic, aby darmo nie trwożyć, ale co ja z nim poradzę?

Królowa podniosła wzrok na niš i oczy wlepiła w wylękłš.

Mało tego, że tam się cisnšł kończyła Konradowa ale kiedy ja tu siedziałam sama, sama jedna, bo tu teraz do mnie i stróż nawet nie zajrzał... naraz... kto wchodzi... Maciek Borkowicz...

Gdzie? tu? zapytała królowa.

Tu, do mojej izby dodała wskazujšc na drzwi palcem stara. Tu... tak mi Boże dopomóż! A z czym przyszedł?...

Trzeba go było posłuchać! Powiada... piercień od niej mam... Pierwej mnie się ona umiechnęła niż królowi, chcę mówić z niš, chcę się widzieć sam na sam...

Królowa drgnęła i rzuciła się na krzele niespokojna. Nowy rumieniec oblał jej nie tylko twarz, ale białe obnażone ramiona. Oburzenie wyrzyło się na twarzyczce...

Tak! tak mówiła dalej tajemniczo się przysuwając Konradowa. A nie zechcesz mnie wprowadzić do niej i nie zrobisz, co każę... to cię zgubię, wydam, oskarżę. A nie zechce królowa mówić ze mną, pochwałę się piercieniem, gotówem na wszystko!

Łzy popłynęły z oczów Jadwigi...

Patrz, stara... co ty mnie uczyniła? szepnęła z wymówką.

Ja? ja? zapytała żegnając się Konradowa. Królowo moja, gołębko ty moja... przypomnij tylko dobrze? Gdyby mu się w tańcu po turnieju nie umiechnęła, gdy cię za rączkę prowadził, gdyby z nim nie szeptała i nie miała się ochotnie, alboby on ważył się do ciebie przysuwać? alboby mnie prosił, abym ja go do ciebie potajemnie przyprowadziła?

Królowa usta jej białe, silną ręką zamknęła.

Milczże zawołała milcz już! Gdyby nie ty, nie byłoby tego wszystkiego... Czy ja, młoda, wiedziałam, czy le, czy dobrze czynię? A toć się chwalił, że on księciem wielkopolskim zostanie, że go księżę brandenburski prowadzi, że panować będzie i żenić się ze mną! Com ja winna?

Stara głową kiwała tylko.

Królowo ty moja rzekła kto tu ma być winien? Ani ty, ani ja, tylko ten zuchwalec... Nie łatwo się babom od takiego człeka wyzwolić... nie łatwo! Boże miłosierny... zna on wszystkie sposoby! zna... Zły człowiek! ale co ja z nim teraz pocznę sama...

Rób, co chcesz! powtórzyła królowa.

Było mu to piercień dawać przy ostatnim widzeniu szepnęła stara albo i ja też to sprawiłam?! Ja nie wiedziałam o niczym, aż mi go wychodząc na palcu ukazał.

Gwałtem mi go z ręki ciśgnął przerwała przelękła i płacząca Jadwiga. Nie mogłam krzyżeć... sił wziś! Wiedział zbój, na co to czynił!

Obie kobiety zamilkły; królowa płakała, stara czoło tręsz przemyliwała i stękała.

Zbój! zbój prawy jest rzekła. Teraz z piercieniem tym na palcu... grozi nam i, co zechce, uczyni...

Już mówiła z przestankami zapowiedział mi, że król tej nocy lub następnej z zamku zjedzie...

Dokąd? spytała Jadwiga.

Któż to wie? do swej Żydówki może! dodała Konradowa. Ale jak on to naprzód mógł wybadać? Widzicie... Co ja mu powiem, gdy przyjdzie napastować mnie? Mnie na to rozumu nie stało... Gdybym, co chciała, mówiła, ani mnie nie posłucha, ni ustąpi. Piercień ten trzeba wykupić, choćby

nie wiem jakš cenš... Ty, królowo moja, ty go musisz przyjšć i mówić z nim!!

Ja! nigdy zawołała królowa, z krzesła powstajšc...

Zgubi nas szepnęła stara nie ulituje się... Pomilczała trochę i dodała:

Królowej on nic odmówić nie będzie miał piercień odda. A póki go ma... dla nas pokoju nie będzie... Tak, tak, królowo moja..

Jadwiga nie mówiąc nic rzucała głowš.

Widzieć go nie chcę, znać nie chcę, czyń, co wiesz i jak umiesz... Piercień mi on gwałtem zdarł.. a wiesz, jaki on był? wiesz, że ten jest, co mi go król pierwszy na zřekowiny przysłał?

Konradowa krzyknęła.

Zgubi nas... moja głowa na karku niepewna. Tobie, królowej, nie stanie się nic, sromać się będš obwinić, głosić nie będš mieli, a mnie... stryczek na szyję..

To mówiąc Konradowa rzuciła się twarzš na podłogę i szlochała.

Królowa padłszy na siedzenie znowu siedziała w nim jak martwa.

Długi doć czas upłynšł, nim stara do siebie przyszła i ocuciła się nieco, Wspierajšc się na rękach podniosła z ziemi i z twarzš zmienionš przybliżyła się do swej pani.

Posłuchajcie mnie zaczęła posłuchajcie... My się go nie pozbędziemy inaczej. Niech już przyjdzie, wyjdziecie doń do izby mojej na chwilę, każecie piercień oddać, będzie musiał... Ja od progu nie odejdę... Obawiać się go nie masz czego... Przyrzeczysz mu łaskę swojš.., a więcej go potem na oczy nie pucim... Ale piercień zdarty z ręki oddać musi... Mnie on go nie da... Zły człek jest! Kto wie, co sobie myli i jakš cenę na niego nałoży...

Ostatnie słowo cicho szepnęła Konradowa i spojrzała na królowę, która się wzdrygała oburzona. Nie odpowiadała nic z poczřtku, potem z zaciniętych ust dobyło się:

Nie chcę go widzieć! Czyń, co chcesz! nie mogę. Zgubiła mnie ty... ty...

I zaczęła płakać królowa.

Służebne jej, w trzeciej izbie na próżno oczekujšc, aby je ochmistrzyni zawołała, szeptaniem półgłonym i mieszkanmi i zwróciły na siebie uwagę królowej, dała znać starej, aby je zawołała.

Konradowa ręce załamała przed niš.

Co mu powiem? chwytajšc ręce, które całować chciała, rzekła cicho. Ja się go nie zbęde jutro. Czatować będzie na mnie...

Ani mi się waż go tu pucić! odparła Jadwiga. Rychlej by mnie to zgubiło niż ten piercień nieszczęsny... Widzieć go nie mogę i nie chcę!

Stara niespodziany opór znalazłszy w swej wychowawicy, której poznać nie mogła teraz, wstrzymała się już od nalegania. Zawołała służebne i sama im przodując, z nadzwyczajną troskliwością, przystąpiła do rozbierania z szat reszty, do przygotowania łoża pani.

Wszystkie te starania Jadwiga przyjmowała z obojętnością, nie odzywając się ani do niej, ani do służebnych, dając bezwładnie czynić z sobą, co chciały, i piesząc do swego łoża.

Konradowa wszystko w komnacie rozporządziwszy, dziewczęta, które przy królowej czuwać miały, wyznaczywszy, sama jeszcze poduszki układając poszeptła co i wysłała.

Rachowała na to, iż co się jej pierwszego dnia nie powiodło, później naleganiami i namowami na dość posłusznej dotąd pani wyrobi.

Zmienioną już znajdowała i to tylko przestraszało. Spoważniało pod koroną młode dziewczę, siła się w niej znalazła, której nie było wprzód.

Nazajutrz rano, choć nie tak wczesne jak dni pierwszych, gody się rozpoczęły na nowo.

Do dziesięciu dni najmniej ciśnąć się one musiały i ugaszczanie tych, którzy dłużej pozostali. Król rano się ukazał, jak gdyby z zamku nie oddalał wcale; a na twarzy jego wszyscy spostrzegli zmianę, jakby odpoczął i orzewiał.

Gotowano się dnia tego do nowego turnieju. Rycerzy było kilku, którzy radzi się popisywać chcieli ze zręczności swoich. Król zdawał się zajmować tym wielce i szczyty ich wystawione oglądał. Królowa później niż zwykle wyjść chciała; posłano z oznajmieniem, zgodził się na to Kamirz.

Jak dni poprzedzających Borkowicz w szrankach do gonitw przygotowanych krztał się, kręcił, gospodarzyć usiłował i starał zwracać na siebie wszystkich oczy.

Król tylko pomijał go i nie dawał się niczym ze swej obojętności dla starosty wyprowadzić. Zły to był znak dla niego, lecz zuchwały człek wcale się nie zdawał czuć, iż zagrożonym był niełaską.

Nie odejmowało mu to pewności i mialoci, z jaką występował.

Ku południowi już wszyscy byli u zastawionych stołów, a stara Konradowa w swej izbie postępując przechadzała się, gdy wcale niespodzianie wypatrzywszy porę i rachując, iż już samą zastanie, wpadł do niej znowu zuchwały Borkowicz.

W biały dzień przychodził nie kryjąc się wcale z sobą. Konradowa z początku osłupiała, lecz strach zaraz przemogła.

Mówilicie z królową? zagadnął wprost Borkowicz.

Kiedy? jak mówić miałam? kwano odpowiedziała stara.

Jak? kiedy? Przecież królowa w swej komnacie nocowała, a wy bylicie przy niej? rzekł Borkowicz.

Kłamstwem zbyć się go nie było sposobu.

Nie mówiłam z niś, bo mi na pierwsze słowo usta zamknęła i słuchać nie chciała... zamruczała Konradowa, w którą starosta wpatrywał się pilno badając oczyma poszlaki kłamstwa. W istocie była, mówiąc, tak zmieszana, że już nie mógł posłuchać Borkowicz.

Słuchać nie chciała! powtórzył a! a! królowa słuchać już nie chciała!! Chybaście jej nie powiedzieli, że ja... widzieć się z niś muszę!!

Ochmistrzyni nie odpowiadając mu, nadśsana, składała na stole rozrzucone niewieście przybory. Starosta czas krótki stał czekając na to, co mu powie, aż zmęczony milczeniem pogardliwym wybuchnął.

Mylicie mnie odprawić jak natrętnego żebraka?... co?... Alem ja tu nie prosić przyszedł, a domagać się...

W Konradowej resztką strachu walczyła z gniewem, który rozpaczliwe położenie wzbudziło. Co miała poczyć?

Maciek każdy ruch jej ledził, patrzył i burczał co cicho.

Słyszeliście? zawołał.

A wy? słyszeliście? odparła zwracając się ku niemu z twarzą zaognioną.

Mylicie, że na tym koniec? rozniósł się Borkowicz.

Sędzicie, że się was kto boi? poczęła ochmistrzyni. Królowa powiada, żeście jej ten wasz sławny piercień gwałtem z palca zdarli.

Gwałtem? a gdyby i tak było? krzyknął Borkowicz toć przecie nie wołała, gdy gwałt jej czynił, i była ze mną tam, gdzie jej nikt na pomoc przyjść nie mógł? He? Rozumiecie, co to

znaczy?... Sama by się potępiła przyznając do tego. A po cóście mnie puszczali tam, gdzie ja mogłem piercień z palca zdejmować?...

I miał się poczyć głosem dzikim. Stara ochmistrzyni zdrętwiała. To, co mówił, w istocie strachem nabawić mogło. Konradowa nierychło znalazła w głowie odpowiedź.

Cóż mylicie? zawołała królowa oskarżając, aby już znieślawić? Jej się nie stanie nic, bo już obroniac muszę, a wy głowę dacie...

Borkowicz grono zmarszczony zawołał pięć podnosząc:

Ja swojej głowy wiem, jak bronić, o to się wy nie frasujcie. Patrzcie na siebie.

Ochmistrzyni pozbyć się go chcąc znowu składać zaczęła rśbki i zwijać wstęgi. Chwilę postął starosta oczekując.

Jeszcze raz powiadam wam ozwał się wreszcie któlowę namówcie, aby mi tu do siebie dozwoliła przyjść na rozmowę, inaczej le będzie... Na czyjś to głowę spadnie zobaczycie!!

Zatrzasnął drzwiami i wyszedł. Konradowa pozostała zdrętwiała z rękami na stole, ruszyć się nie mogąc.

Do rozmyślania reszta dnia do wieczora jej pozostawała.

Tymczasem starosta do izb powrócił, w których po turnieju gocie się zabawiać mieli.

Młoda królowa, rozdawała tego dnia nagrody, lecz żadna z nich Borkowiczowi nie przypadła, bo go dwa razy z konia obalono. Tym zuchwalszym był i gniewniejszym jeszcze. Szukał tylko rodka, jakby się do królowej mógł zbliżyć.

Niełatwym to było. U stołu oboje państwo razem siedzieli. Dopiero gdy się tańce rozpoczęły, od których się młoda pani wymówiła znużeniem, starosta krzyżąc poczęł wypatrując chwili sposobnej, aby za jej siedzeniem mógł stanąć. Król znajdował się daleko zajęty rozmowś. Przy Jadwidze kręciły się tylko starsze panie dworując jej. Zabawiały jś opowiadaniem różnymi, na które ona ledwie się uważać zdała siedząc ze spuszczonej oczyma.

Starosta wkradł się zręcznie poza krzesło i w chwili, gdy muzyka głużyła szczebiotanie pań starszych, które przerwać je musiały, do ucha prawie młodej pani szepnął:

Pomnijcie piercień, a tego, który go wziął od was, nie odprawiajcie tak sromotnie bo się on odegnąć nie da!!

Ledwie słów tych dokończywszy nie czekając odpowiedzi Borkowicz posunął się dalej. Królowa drgnęła, podniosła głowę, oburzona zuchwalstwem, lecz poza siedzeniem jej już nikogo nie było. Nikt też pono nie dostrzegł starosty, gdy się w tłumie przesuwał.

Wprędce potem stanął już z dala naprzeciw królowej, zuchwale w nią oczy wlepił i naumylnie dumną swą postawą nastęczał się jej, aby okazać, jak mało się obawiał.

Jak dnia poprzedzającego król dał znać żonie, iż u siebie pozostanie, tak tego dnia ona posłała jedną ze swych pań do Kochana, aby oznajmił panu, iż prosi go, by mogła spocząć w swej komnacie.

Dał zaraz po cichu odpowiedź Kochan, iż król się zgodził na to.

Zawczasu się każąc prowadzić królowa Jadwiga przeszła do sypialni i odprawiając sługi Konradowej zawołać kazała.

Ze zwiżanś głowś, stękając, przywlokła się stara.

Nie było już nikogo w komnacie. Na twarzy młodej pani gniew był łatwy do poznania.

Mówiła ze starostš? zapytała porywczó. Chceli, abym się ja pierwsza poskarżyła nań królowi?!

Konradowa, rękami naprzód machajšc w powietrzu, odpowiadać zaczęła.

Co z tym nicponiem mówić! jęknęła czy do ciany, czy do tego człeka, wszystko jedno... On się nikogo nie boi, a wszystkim grozi, pies, nie człek...

Z natężonš uwagš słuchała Jadwiga a gdy stara dokończyła, zakryła sobie oczy chustkš płakała.

Gołšbko ty moja, królowo ty moja! przymilajšc się zaczęła Konradowa po cichu. Ja cały dzień myślałam tylko nad tym, aż mi głowa pęka od bólu. Z tym człowiekiem inaczej

ale można, tylko trzeba go ugłaskać. Dziki zwierz jest gotów na wszystko...

Po krótkim milczeniu dodała ciszej jeszcze:

Pozwólcie, żeby do mojej izby przyszedł na okamgnienie, przetworzywszy tylko drzwi, pokażecie mu się... zgromicie... Pójdzie potem precz.

Spojrzała na królowę i szepnęła:

Albo mu dacie dobre słówko... Takich ludzi czasem można słówkiem ugłaskać. Ugłaskacie go... Obiecać można wszystko, albo to człek dotrzymać w sile, co przyrzecze?

Kiwnęła głowš.

Królowa milczała i płakała. Nastšpiła cisza przerywana łkaniem tylko.

Konradowa zwolna zdejmowała z królowej ubranie. Wiedziała już nie odbierajšc odpowiedzi, że pani była na wpół złamanš i przekonanš.

Szeptala cišgle jedno, kręcšc się koło niej i słuchajšc, co z ust jej wyjdzie.

Rób, co chcesz zamruczała płaczšca ja o niczym wiedzieć nie mogę... Rób, co chcesz... Nie mogę...

Starej tego tylko było potrzeba. Żywiej teraz układała do snu wychowanicę i spieszno się jej było oddalić. Miała czym, jak się jej zdawało, pozbyć się Borkowicza.

Była pewnš, że dla królowej powolnym być musi.

Wieczór spóniony już dnia tego nie dozwalał się spodziewać starosty, lecz nazajutrz przeczuwała go Konradowa.

W istocie Borkowicz kršżył cišgle po podwórcach podglšdajšc, kiedy się wsunšć może. Czasu uczyty, gdy u stołu byli wszyscy, wszedł do komnaty. Konradowa siedziała za stołem spokojna.

A co? odezwała się pierwsza do niego znowu wy na mnie przychodziecie z gniewami, ze strachem i probami. Nie bšdcie no takim srogim, a może lepiej na tym wyjdziecie!

Borkowicz do stołu się przysunšł.

Chcesz podarku? dam! rzekł bystro patrzšc.

Na ofiarę Konradowa nie odparła nic, co znaczyło, że przyjšc była gotowš, rzekła tylko:

Może bym wyprosiła co u królowej... ale ani ona, ani ja dla strachu nie zrobi nic.

Potržsła głowš.

Borkowicz mruzcšc do sakwy pod sukniš sięgnšł i garć dobytych pieniędzy milczšc starej podsunšł, która je żywo chustš nakryła.

Siadł przy niej na ławie; cicho rozpoczęła się umowa, jak za dobrych czasów. Borkowiczowi ta zmiana nagła dawała do mylenia, że go oszukujš, zyskać chcšc na czasie i knujšc zdradę jakš, lecz Konradowa zdawała się z dobrš wiarš i wielkš troskš obmylać spotkanie z królowš.

Postanowione tedy zostało, iż Borkowicz, nie budzcšc podejrzeń i nie kręcšc się nadaremnie, miał tylko wyglšdać dnia, gdy mu w oknie Konradowa czerwoniš chustę na znak wywiesi. Tego wieczora miał przyjć do niej. Obiecywała mu, że królowę zobaczy. Dzień ten nie miał być dalekim i, nimby się wesele dokończyło, Maciek obietnicę spotkania otrzymał, bo póniej trudniej było oczów ludzi uniknšc.

Z tym on odszedł.

Następných dni próżno do okien zaglšdał, czerwonej chusty w nich nie było. Až czwartego, gdy już gniewny chciał ić do starej, owš zasłonkę zobaczył.

Na wieczór król z łowów z goćmi swymi, ksišżęty, nie miał powrócić.

Borkowicz od mylistwa tego wymówił się koniem chorym, został w mieście i na zamku. Zaledwie zmierzchło, gdy już czatował w podwórzu.

Pachole, które miał z sobš, postawione na straży w sali, dało mu znać, gdy królowa z niej wyszła do swych komnat. Mało co poczekawszy Borkowicz wbiegł do Konradowej.

Czekać się na niego zdawała i położyła palec na ustach zobaczywszy.

Cicho tu stój! rzekła wstajšc i podchodzšc ku drzwiom królowej.

Przyłożyła do nich ucho, zapukała ostrożnie. Borkowicz tymczasem cicho stšpajšc za niš przysunšł się ku drzwiom.

Otwarły się one powoli. Błada i pomieszana stała w nich królowa Jadwiga nie mogšc wymówić

słowa. Borkowicz miał się do niej.

Pomiędzy nimi skurczona w porodku trzymała się Konradowa. Starosta ujął ją w pól i odepchnął, a sam nie zważając na przestrach królowej zuchwale się wdarł na próg ku niej i za cofając się wkroczył do sypialni drzwi zamykając za sobą.

Konradowa padła zrazu na ziemię, lecz natychmiast się podniosła, oburącz porwała drzwi i gwałtem je rozwarła.

Królowa w głębi izby uchodząc od napastnika stała oparta o cianę. Borkowicz w pól komnaty się strzymał i mówił co żywo.

Rozmowa ta, której Konradowa dosłyszeć nie mogła, trwała bardzo krótko: na dany jaki znak starosta krokiem wolnym, parę razy jeszcze się zwracając i mrucząc co wyszedł.

W pierwszej izbie nie zatrzymał się nawet, kołpak na głowę nacisnął i wyliznął się po cichu.

Z czym i jak odchodził, z gniewem czy ułagodzony, nie mogła ani zgadnąć, ani dopytać stara, gdyż królowa rzuciła się z twarzą zakrytą na łóżko swe i mówić nie chciała.

Zdawało się przecie ochmistrzyni, że wszystko być musiało skończone; oddychała swobodniej.

Borkowicz ani następnego dnia, ani później się już tu nie pokazał, chociaż stara wiedziała, że jeszcze był na zamku.

Nowy gość za to nazajutrz po bytnoci starosty przyszedł wieczorem. Był to Kochan podkomorzy, który nic dnia tego do rozkazania ani oznajmienia nie miał, lecz jakby dla bliższego poznajomienia się przybywał.

Stara musiała go przyjść z poszanowaniem, lecz drżąc ze strachu, gdyż czuła, iż podglądać musiała, rozpytywać chciała. A kto był i jak swemu panu służył wiedziała.

Stawił się on bardzo przyjacielsko przynosząc rady różne, nauczając starszą obyczajów królewskich, rozpytując o młodą królowę, ostrzegając, co czynić i jak postępować miała.

Nie dowierzając mu Konradowa znajdowała się bardzo ostrożnie, milcząco.

Kochan miał tu rachubę, której ona odgadnąć nie mogła.

Chciał króla od Estery dumnej a nieprzystępnej oderwać, do młodej królowej przybliżyć.

Służąc jej spodziewał się może pewien wpływ pozyskać, a przynajmniej lepiej być widzianym niż u Żydówki, która go milczeniem zbywała, zbliżać się do siebie nie dając poufale.

W rozmowie z Konradową Kochan wspomniał i Borkowicza opowiadając o nim, iż próżno się o łaskę starał u króla... Spytał, czy prawdą było, co mówiono, że na dworze łaskim księżniczki znał Jadwigę i miał u niej łaskę.

Słyszęc to pytanie stara ze strachu pobladła i nieprędko wyjšknęła odpowied.

Z gorścociš wielkš zaczęła się zaklinać, iż wszystko, co mówiono, kłamstwem było tylko i potwarzš że Borkowicz, jak inni, na turniej i zabawy do Głogowa i Żegania jedził ale przystępu do księżniczki nie mógł mieć nigdy.

miął się z tych bani Kochan z niš razem i tak rozstali się ze starš w dobrej zgodzie, obiecujšc sobie trwać w niej i nadal.

Wielkopolska naówczas, wskutek zabiegów Maćka Borkowicza, na dwa się obozy dzieliła; z tych jeden trzymał z panem na Kominie, drugi się skupiał przy jego starym wuju, wojewodzie Beńku. Łšczyło ich pokrewieństwo, lecz z dawna dzieliły różnice usposobień i charakterów.

Maciek był zarazem zuchwały i przebiegły, chciwy władzy i majątnoci, a na rodki, jakimi szedł do celu, nie zważał i nie patrzył. Zbroiwszy co, popełniwszy gwałt jawny, opłacał się fundacjami i pieniędzmi, aby się nie narażać duchowieństwu, w sumieniu nie miał zgryzot żadnych. Namiętność panowała nad nim.

Raz sobie nabiwszy tym głowę, że w Wielkopolsce rždzić Będzie i oderwie jš od Korony, a podda Brandenburgom lub cesarstwu, sam hołdownkiem jego zostajšc, dšżył ku temu nieustannie, przysposabiał się do buntu. Rachował może na bezdzietnoć Kamirza, na chwilę bezkrólewia, nimby Ludwik przyszedł do korony.

Rachuby jego były niezbyt opatrne, nadto małe; wiele przeciwnych okolicznoci lekcewazył sobie i pomijał, lecz miał takš ufnoć w sobie, iż na chwilę nie zwštpił, że celu dopnie.

Gra ta, która z daleka tłumaczyć się zdawała, nie była ani tak widoczniš, ani tak zrozumiałš, by go oskarżyć można i dowieć zdrady, chociaż z bliska w samej Wielkopolsce dla bystrych oczów stawała się dotykalniš.

Znaczna część szlachty skupiała się przy Maćku, wišzała z nim, słuchała go i lepo mu wierzyła. Ujmował jš różnymi sposoby, a że nie przed wszystkimi taił, iż mu o utrzymanie odrębności ziem wielkopolskich chodziło, tu i ówdzie wygadywano się z tym, co było zamierzone.

Beńko, mšż już w latach, lecz jeszcze silen umysłem i ciałem, wierny królowi, zamiłowany w pokoju, nieprzyjaciel wszystkiego, co go zakłócić mogło, wręcz był przeciwnym całemu temu ruchowi.

Widział on jasno, co się przysposabiało. Maciek, w samych poczštkach niezupełnie się zdradzajšc przed nim, starał się ujšć go sobie przez ciotkę swš a żonę Beńka, niewiastę rozmiłowanš w siostrzeńcu i popierajšcš jego sprawę. Beńko, który się nie dawał złudzić mimo przywišzania i powolnoci dla żony, słuchać jej nie chciał i wręcz odpowiedział, że zdrady nie dopuci i wszelkimi siłami sprzeciwić się jej będzie.

Maciek, który dawniej częstym bywał gościem u wuja, po kilkakrotnym żywym z nim starciu przestał jedzić do niego i zerwał wszelkie stosunki.

Beńko w głos i jawnie mówił, iż Maćkowi nie dozwoli knuć na szkodę Wielkopolski spisków z

Brandenburgami i rozpasywać się w kraju. Donosono o tym Borkowiczowi, który szydersko słuchał, głowę kręcił, brodę tarł i cmokał. Stosunki coraz się pogarszały. Nieprzyjaciele Maćka otaczali wojewodę ci, którym Beńko nie był miłym, szli z Borkowiczem. Doniesienia do Krakowa o zamiarach jego płynęły od wojewody wiedział on

o tym. Po cichu odgrażać się na siebie wzajem poczęto. Porwać się jednak na Beńka nie było tak łatwo. Pokrewieństwo hamowało po trosze, a więcej obawa siły, jakś miał wojewoda.

Co było ludzi poważnych, statecznych, nie uwiedzionych obietnicami Borkowicza, stało u jego boku. Beńko, pan ziem rozległych, które trzymał między Poznaniem a Gniezmem, miał też dobra w Kaliskiem; mieszkał jednak zwykle w dworcu swoim w Poznaniu. Tu w mieście wpływ jego przeważał, gdy na prowincji Borkowicz liczbą swych sprzymierzeńców był groniejszy. Beńki przyjaciele należeli do najzaciejszych właścicieli ziemi; Maćka do ziemian najuboższych, ale do najruchliwszych, najzuchwalszych i rozrodzonych a skoligaconych szeroko. Wojewoda rachował na siłę swoich, Maciek na zuchwalstwo drobnych panoszków i rycerstwa ubogiego.

Do tego podziału na obozy przyczyniły się i dawne zajęcia pomiędzy rodzinami, które z sobą walczyły o wpływy w różnych częściach Wielkopolski. Jedni więc garnęli się do Borkowicza, a to starczyło, by drudzy przychodzili do wojewody.

Widzieliśmy sposób życia Borkowicza, który obozował ciśgłe, z miejsca się na miejsce przenosił, siadywał to w jednym, to w drugim z licznych swoich dworów. Pomagało mu to do zyskiwania nowych stronników, a gdzie ich miał zyskać jeszcze, tam ciśgnął, rozsiadał się, otwierał wrota, zapraszał i jedną, czym

i jak się udało.

Cale inaczej nawykł był życie wiec wojewoda Beńko. Nie ruszał się on chętnie z miejsca, nie tyle może dla wieku, co z nawyknięcia.

Dwór wojewodziński w Poznaniu, nader gocinny, roił się prawie ciśgłe przybyłymi, obyczaj tu był staropolski, nie wykwinne przyjęcie, lecz obfite i pańskie. Stoły u niego zastawione były po dniach całych, wielu ziemian z końmi i dworami zajeżdżali do niego, stawali i tygodniami siadywali.

Stary, obszerny dworzec Beńka był niepozorny, lecz wygodny i we wszystko zasposobiony. Spichrze przy nim, do których zapasy ze wsi zwożono, stały pełne zboża, siana i mśki, zwierzyny i wszystkiego, czego życie potrzebowało. Osobny browar

piwo warzył na potrzebę wojewody, wielkie łanie dla panów i czeladzi, stajnie na paręset koni mieciły się w podwórcach, do głównego przylegających. Dwór Beńka był liczny i niemal po księżęcemu urządzony, miał komorników, podkomorzych, podłowczego, łowczego, a gawied, której sam nie znał, była mnogś i często się jeszcze pomnażajścś.

Księdz kapelan, który zarazem pełnił obowiązki lektora i kanclerza, towarzyszył zawsze i wszędzie wojewodzie.

Beńko bezdzielnym był, bo syna już dorosłego stracił przed kilku latami na łowach, nie wiadomo jak i przez kogo przestrelonego. Poszlaki pewne były, że Maciek Borkowicz mierci tej nie był obcym i że z jego namowy zbrodnia ta popełnionś została. Nie miano dosyć dowodów, aby go obwinić, było ich jednak tyle, że go podejrzewać o to miał prawo. Rachować się zdawał Maciek na to, iż ciotka, a żona wojewody, niewiasta zalepiona i krótkowidzśca, nakłoni go do przekazania mu spadku po sobie. W tym się omylił Borkowicz, gdyż wojewoda powziśwszy podejrzenie i znieawidziwszy siostrzeńca nie chciał o tym słuchać. Miał sobie przysposobić dalekiego krewniaka, na co od, króla zyskał pozwolenie.

Borkowicza przeciwko wujowi rozdrażniło to więcej jeszcze.

Beńko liczył już lat pod siedemdziesiśt, starym się mógł zwać liczbś ich, ale postawś tego nie zdradzał. Słusznego wzrostu, dobrze zbudowany, zahartowany zawczasu, ciśgle czynny, choć nieco ostatnimi czasy zleniwiał, gdy potrzeba było, i konia dosiadł, i w gołym polu nocować był gotów, i żadnego się nie ulśkł trudu, Ociężał tylko trochę dlatego, iż do czynienia nie miał wiele. Za to około niego ruch zawsze był znaczny.

Rozporzśdzenie ówczesnego żywota, obyczaje wieku, inne były niż dzisiejsze. Wstawali wszyscy rano ze dniem lub przed witem nawet. Wojewoda, że pobożnym był i dwór mieć chciał sobie podobnym, rozpoczynał dzień od mszy więtej w pobliskim kocielem lub kapliczce, przy dworze wystawionej, która, choć maś była, wychodziła drzwiami na podsienia, a w tych służba się cała czasu nabożeństwa ustawić mogła.

Po mszy zaraz następował w wielkiej izbie obiad, do którego wojewoda i żona jego zasiadali, gocie i służba co przedniejsza.

Poczynano już naówczas kuchnię prostś, dawniejszś, drogimi korzennymi przyprawami osmaczać; wojewoda mało o to dbał, lecz za to nikomu nigdy u niego nie zabrakło obfitej i pożywnej stawy, kaszy, mleczywa, ryb i mięsa. Misy na tyłu wydzielane były, aby do syta najeć się mógł każdy i czelad jeszcze pożywiła. Piwa dawano, ile kto chciał, wino tylko w wiśtki i to przedniejszym. Zastępowały je miody stare i młodsze.

Przy obiedzie wojewoda gwarzyć lubił, więc mu, kto mógł, przynosił nowiny, aby przedmiotu do rozprawiania i pobudzania wesołej myli nie zabrakło.

Zasiadała do stołu też sama pani, a często i niewiast kilka. Kapelan rozpoczynał błogosławieństwem, kończył dziękczynnś modlitwś.

Pomimo powagi swej i dostojeństwa, wojewoda poufałym z ludmi być lubił, w rozmowie swobodę im dawał i do niej zachęcał, a pomiać się nie wzdragał. Wiek w nim, jak u wielu innych ludzi, tym się znamionował, iż go wielomówniejszym uczynił.

Rad słuchał, rad rozprawiał, a często i do zbytku rzeczy na wszystkie strony obracał, nie będc skorym do czynu. Puszczał się w długie wywody, a że go słuchano chętnie, mówić lubił. Miano go też za wymownego, ludzie mu się dziwili i on sam wiedział

o tym dobrze.

Obiad zwykle rozmowš się przeciŝgał, a wojewoda, choć nie pijał wcale, że jadł dosyć i pragnienie miewał, cienkiego piwa po jedzeniu zażywał dużo. Nie zamŝcało mu to głowy, a czasu zabierało wiele. Po dziękczynnej modlitwie, kto chciał, wstawał

i szedł, inni otaczajšc wojewodę z nim dosiadywali i godzin kilka u stołu trawili.

Była to godzina teŝ, w której po obiedzie stary Beńko psy pozostałymi koćmi i ułamkami chleba zwykł był karmić. Wpuszczano je do izby; obsiadały stół i ławy, a Beńko głaŝkał je, gadał do nich i różne historie myliwskie opowiadać lubił.

Trafiało się, że kto ze wsi nadjechał lub nadszedł z miasta, siadał więc teŝ za stół, częŝtowano go miodem i nierychło się wojewoda z siedzenia ruszył.

Byli jakie sprawy do załatwienia w cztery oczy, naówczas szedł do swej komory; nie zostawał w wielkiej izbie lub przechadzał się, do stajen zagłšdajšc, konie kaŝšc sobie wyprowadzić, przypatrujšc się młodzieŝy dworskiej, która do celów z łuku, z kuszy strzelała i oszczepami ciskała.

Częŝto do wieczora i wieczerzy tak przetrwał w podwórcach, gdy z duchownych kto nie nadszedł lub ze znaczniejszych ziemian nie przyjechał.

Niekiedy wyjeżdżał na łowy, do biskupa, w odwiedziny w ŝšsiedztwo. Lubił naówczas Beńko, choć bez wielkiego przepychu, występować gromadnie i nie obeszło się bez orszaku, dworu, bez towarzyszów.

Wieczorem jadano po raz wtóry, tak samo jak rano, i zasiadywano u stołów częŝto do póna.

W więta i w niedziele liczba przybywajšcych zwiększała się jeszcze, a że gwar około siebie wojewoda lubił, rad im był bardzo.

Z różnych stron nie tylko Wielkopolski, ale z Kaliskiego, ze łšska, z Mazowsza napływali tu ziemianie ze sprawami i bez spraw.

Do Beńka, dla jego dobroci, sprawiedliwoci i miłociwego obchodzenia się z ludmi, przywiŝzać się łatwo było. Jednał sobie, a kto raz doń przystał, ten trwał pewnie do końca. We dworze więc jego skupiały się z różnych stron raz wraz przynoszone wieci. Wiedział Beńko, co się gdzie działo, i choć do wypatrywania cudzych czynnoci osobnych ludzi nie trzymał, przyjaciele mu nowin wszelkich dostarczali.

Od czasu, gdy z Borkowiczem zerwał, szczególniej o nim i jego krokach wojewodzie pilno donoszono, wiedzšc, że się na siostrzeńca odgrażał. Nie ruszył się krokiem Maciek, by Beńko

nie został uwiadomiony. Co czynił, co mówił, z czym się wygadał nieostroŝnie, natychmiast się odbiło we dworze Wojewody.

Sama jejmoć, która zawsze jeszcze słaboć pewnš zachowała dla siostrzana, częŝto, choć niemiało,

bronić się go starała, ale to wcale nie pomagało. Wojewoda miał już to przekonanie, na pewnych oparte dowodach, iż Maciek zamierzał zdradzić. Czekał tylko nierozważnego kroku, aby przeciw niemu wystąpić.

Patrzeć nie będę mówił aż mi rozkaz dadzą z Krakowa. Byle poszlak pewny, pochwycić go każę i zamknę... Niech się sprawa wytoczy.

Miał swoich zauszniaków Borkowicz, a ci mu też zaraz donosili, co wojewoda mówił i co zamierzał.

Maciek zły był, ale miał się pogardliwie.

Nim stary zbierze się na mnie, ja sobie z nim dam rady. Trzy dni potrzebuje gadać, nim za kord chwyci, a ja milczkiem go wezmę...

Na wesele królewskie Beńko, choć i chciał, i powinien był jechać do Krakowa, nie mógł. Prawa noga, którą miał niegdy zranioną, już się na nowo zaczęła, blizny pootwierały i leczyć się musiał. Okładano mu je i goić się zaczynały znowu, lecz na koniec siódmo było trudno, a na wozie jeździć nie lubił wojewoda powiadając, że tylko babom z dziećmi to przystało i siano nimi wozić godziło się.

Został więc w Poznaniu, a gdy powracać zaczęli ci, co na gody jeździli, przynoszono mu co dzień prawie opowiadania szczegółowe o tym, co i jak się działo

Szczególnie ciekawym był Beńko, co tam porabiać będzie Maciek, który na przekorę mu jechał i umylnie starał się wszystkich oczy obrócić na siebie.

Zuchwalstwo to, gdy zdrada, jak się knuł, dla Beńka oczywistą się zdawała, oburzało go i podniecało. Sam brzydził się fałszem znieć tego nie mógł, iż siostrzan króla oszukiwać się starał. Wiedział o jego dawnych z księżniczką Jadwigą a teraniejszą królową stosunkach, więc i to budziło w nim niepokój, a podniecało ciekawość.

Jednym z pierwszych, którzy powrócili z długiego wesela, był Wierzbęta, a z tym wojewoda dawno trzymał przyjaźń i był go pewnym. Wnet też posłał do niego z prośbą, aby kalekę, jak się wyrażał, nawiedził.

Przybył Wierzbęta, który, że na dworze pańskim miał stosunki, oko bystre i słuch czujny wiele się od niego spodziewał dowiedzieć wojewoda. Zamknęli się we dwu w komorze, bo pan domu jeszcze nogę musiał trzymać wyciągniętą na ławie.

Wierzbęta, który do czasu starał się bronić Maćka i nie dowierzał, by miał być tak niebezpiecznym, wracał z Krakowa zakłopotany i niespokojny.

Nie taił się z tym przed Beńkiem, iż i on teraz w podejrzeniu miał go, z powodu obejścia się na weselu, różnych nieostrożnych jego wygadywań i zabiegów, jakie czynił dla odnowienia bliskich z królową stosunków.

Skąd o tym Wierzbęta był uwiadomiony, nie mówił, ale zaręczał, iż Borkowicz czasu wesela nie stracił dnia jednego i bardzo podejrzanę przedsiębrał kroki.

Wojewoda uwierzył więc doniesieniu.

Łotr ten na wszystko gotów! zawołał. Pilnie oko nań mieć trzeba... Wlinie się, gdy będzie mógł, jak żmija i do komnat królewskich, i do łóżnicy, byle na tym co zyskał.

Zafrasował się Beńko tym więcej wieciś tś, iż Wierzbięta mu wyznał, że ona tajemnicś była dla wszystkich, a on sam tylko wypadkiem osobliwym wpadł na tropy.

Natychmiast z rozmowy tej wojewoda wyciśgnął wniosek, do którego dawno szukał tylko powodu, że Maćka należało wziść i sprawę mu o zdradę wytoczyć.

Stosunków jego z Brandenburgami dowody były niezbite. Zbliżania się do młodej królowej, zdaniem jego, nie należało dopuścić i co rychlej mu zapobiec.

Wierzbięta nie radził popiechu, ale był za pilnym nadzorem. Poczęli tedy rozprawiać o tym.

Beńko mówiąc o siostrzeńcu rozgorśczkowywał się straszliwie i stał przy swoim.

Gotówem na mojsz szyję wziść tę sprawę zawołał. Przekonanie mam, dowody dla mnie starczś, że ten warchoł licha nam nawarzy; po co czekać? Zobaczycie, że gdy go wezmę i zamknę, ludzie, co się go dzi bojś i milczś, ocknś się i dopiero opowiedzś, co knuł, aby się ocalili sami.

Mówiąc to wojewoda w piersi się bił i miotał, aż chorś nogę uraził i z bólu syknśł.

Wierzbięta widząc, że go nie potrafi ułagodzić, a nawet zwlec postanowienia, nie sprzeciwiał się już wolę mu zostawiając, dodał tylko:

Chociażbycie niezmiennie postanowili z Borkowiczem w ten sposób skończyć, nie przyjdzie to łatwo... Człek przebiegły, ostrożny, otoczony zawsze zuchwałymi jak sam, wziść się tak gołś rękś nie da; potrzeba więc dobrze pomyleć, aby zamiast ujść i zabezpieczyć się, nie pchnść go do szaleństwa, gdy się dowie, że na niego już czyhajś.

Wojewoda wszystkich tych przestróg słuchać nie chciał, trwał przy swoim.

Jeżeli dłużej swobodnie chodzić będzie, a ubezpieczy się, kto wie, co uczynić gotów! wołał zasapany i gniewny. Wszystko by było niczym, ale powiadacie, że na królowę godzi; gotów naszemu panu srom jaki uczynić, miałek jest, kłamca jest i nie poszanuje niczego.

Zresztś, mój miły dodał Beńko biorśc go, widzi mi się, łaskę mu uczynię: łeb może ocalę Inaczej popełniłby w zaciętoci takiego co, za co go na gardle karać przyjdzie...

Wojewodo kochany! odparł Wierzbięta czyń, jako chcesz; masz dowiadczenie, masz moc, ale, na miłego Boga, ostrożnie potrzeba, bo ten człek i szpiegów swych wszędzie ma... i, uchowaj Boże, wiatr go o tym zawczasu doleci, to się bez krwi rozlewu nie obejdzie.

I to nie potrafiło ostudzić Beńka, który łamiśc ręce postarzał:

O królowę i króla idzie; dać mu czas nie umierzy się,
nie upamięta, ale gotów niepokoju w całym kraju przyczynić, aby w mętnej wodzie ryby łapał...
Rozprawiali jeszcze dość długo, lecz Beńko nie ustąpił... Wierzbęta odszedł, umiarkowanie doradzając i ostrożność.

Pozostawszy sam stary wojewoda nie uspokoił się rychło; pilno mu było, co raz postanowił, dokonać.

Jak wszyscy podzyli ludzie, który już sami przez się niewiele mogli, a umysłem są czynni, Beńko miał od lat kilku prawą rękę w Rusinie, którego niegdy w Krakowie spotkawszy do usług swych przyjął i wypróbował, coraz go więcej umiłował, coraz mu ufał i zawierzał mielej.

Imię mu było Panas, z czego po polsku Panoszę zrobiono i zwano go tym imieniem. Bojarzyn to miał być znaczny z tego kraju, który król Kamirz zawojował i do Korony przyłączył; krwawa jaka przygoda zmusiła go schronić się do Polski, a tu wojewoda z królewskiego dworu go sobie namówił.

Człek był bardzo postawny, rozrosły, siłacz jak mały, ponurego wejrzenia i twarzy, zimny na pozór i milczący, już dlatego, że nieczysto mówił po polsku, już, że w ogóle wołał co czynić niż słowami rzucać próżnymi.

Nabożny był wielce i pół roku prawie pocił albo na oleju, lub z suchotami; wesołych towarzystw unikał, zamknięty w izbie swej siedział, lecz do dozoru i do spełniania rozkazów nie było nad niego. Nigdy nie odpowiedział na dane polecenie uwag, żadnych, nie składał się ani trudności, ni niepodobieństwem, starał się dobrze wyrozumieć, czego od niego chciano a potem, choćby swoje i ludzi z nim będących życie przyszło ważyć, nie patrzył.

Takie przykazanie mówił krótko.

Wojewoda mu znaczne sotyństwo wyrobił, obdarzał go i obchodził się z nim dobrze a Panosza kochał go i w ogień a w wodę był gotów na skinienie.

Toteż zazdrocili wszyscy ulubieńcowi, a nikt z nim o lepsze ić nie mógł. Człek był żelazny, na głód i chłód niepamiętny,

miał do zapamiętałości a na oko niby Bryła jaka bezwładna, niepozorny i nieobrotny.

mieli się z niego popsuci dworacy, ale z dala i po cichu, bo Panoszy zaczepić się nikt nie ważył i dla wojewody, i dla niego samego.

Nie skarżył się on nigdy, sam sobie sprawiedliwość wymierzał ale okrutniejszy; kilku już kalectwa nabawił.

Z Panoszą rozmowa wojewody dziwna bywała. Stawał on zawołany u drzwi, czasem ręce na piersi skrzyżowawszy, pokłonił się i czekał. Wojewoda mówił, on głowę tylko dawał znaki, że słuchał. Gdy niedobrze wyrozumiał, prosił ojca (bo tak zwykł był zwać wojewodę), aby mu rzecz raz jeszcze

zwolna powtórzył.

Gdy powiedział: pojmuję, a potrzebowałbym, już Beńko mógł być spokojny, że co polecił, spełni.

Kilka razy używany był Panosza do rozwiadywania się o Maćka Borkowicza obrotach był więc wtajemniczony we wszystko i miał go już z własnej woli na oku. Oko za to, jak się zdawało, umiało szukać i widzieć, tak bystre było i przenikające.

W sobie cały zamknięty, człowiek ten, który z nikim się nigdy nie rozgadywał co mu do duszy wpadło, umiał rozsunąć na najcieńsze pasemka.

Łatwo mu się było wcisnąć wszędzie, bo niepozornym miał prostego chłopca powierzchowność i odziewał się z prosta nikt go o przebiegłość nie posądził, a twarzą się nigdy nie zdradził.

Wojewoda go używał wszędzie, gdzie tylko zaufanego potrzeba było człowieka. Dawał mu pułki wodzić, bo w rycerskiej sprawie był biegły, niekiedy mu zwierzchność zlecał nad dworem, to go posyłał, gdzie było trzeba, nawet i do majątności swoich, gdy ład było potrzeba zaprowadzić.

Wiedziano we dworze, że gdy Panoszę wojewoda do siebie wołał, a z nim się zamknął, pewno się już coś ważnego przygotowywało.

Zaledwie Wierzbęta odjechał, gdy niecierpliwy starzec posłał po ulubieńca.

Był on pod ten czas nadzorcą nad dworem i wiele do czynienia nie miał, bo samym postrachem ład utrzymywał.

Stawił się natychmiast w swej długiej sukni i kołpaku, które nawykł był nosić, gdy mu na konia siadać nie było potrzeba. Odziany w tę zwierzchniś opończę, pod którą miał krótszy podpasany kaftan, w wysokiej czapce istnym się wydawał olbrzymem.

Swoim zwyczajem w progu stanął, zgiął się, rękę aż do ziemi wyciągnął z pozdrowieniem i czekał pańskiego słowa.

Kazał mu się przybliżyć wojewoda,

Sprawę mam ważną, którą ci chcę polecić rzekł. Popiechu nie wymagam rozważyć musisz wprzód dobrze, jak poczść, aby chyby nie było... Daję ci Czas, rozpatrzysz się, a no i bardzo z tym przeciśgać nie można.

Panosza głową dał znak, że rozumie.

Z Borkowiczem nam raz skończyć trzeba mówił Beńko głos zniżając. Żywa dusza o tym wiedzieć nie powinna. Powtórnie głowa Panoszy się schyliła.

Musimy go ujść dokończył patrząc mu w oczy Beńko. Panosza stał nieruchomy.

Nabroił on już dosyć ciągnął po chwili. To, co wiemy, starczy, aby go karać, a o czym nie wiemy,

tego więcej jest jeszcze... Postanowiłem go do więzienia dać... a reszta to już moja sprawa.

Panosza słuchał z uwagš wielkš, zadumany. Trochę zaniepokojony tym wojewoda, nie widząc żadnego znaku, poczekawszy chwilę, mówił dalej:

Ja to wiem, że sprawa z nim niełatwa. Ulubieniec potwierdził głowš.

Ale od czegoż rozum? rzekł umiechając się. Człek możny, koło niego tałatajstwa różnego dosyć, zbóje wszyscy, jego nie wyjmując, ale dla Panoszy wszystko to lekkie; byle chciał, będzie wiedział, jak go osaczyć i napędzić do jamy,

Panosza na to nie dał żadnego znaku; zmarszczył się trochę wojewoda.

Gadaj bo odezwał się cóż ty mylisz?... Ruszył ramionami spytany i nierychło bšknł:

Co trzeba... to trzeba, a sprawa

Nie dokończywszy głowš poczył rzuć i oczy w podłogę wlepił.

Nastšpiła chwila milczenia.

Panoszš zdawał się szukać w sobie tego, co mu czynić wypadało.

Ojczy rzekł po namyle krótkim dajcie mi się rozwiedzieć. Hm?

Id, jed, bierz, kogo chcesz odparł wojewoda a powracaj, mi prędko z językiem...

Posłyszawszy to sługa pokłonił się, mruknł: Pojmuję! i odszedł.

Wojewoda zwierzywszy mu sprawę trochę się uspokoił. Wieczorem, choć noga dolegała, dawszy jš sobie obwišać, o kiju wyszedł do jadalni, bo mu się w komnacie ciasnej i bez ludzi nudziło.

Strzegł się wydać słówkiem z tym, co go zajmowało, ale dwór już wiedział, że Panoszę u siebie miał i różnie odgadywano.

Beńko wesołość udawał, choć jej nie miał. Usta się miały, czoło było zasepione

Po wieczery żona mu rękę podała odprowadzając do sypialni. Tu znowu nogę opatrywano, baba przysła z ziołami, kurzono jš i wojewoda położywszy się żonie przy łóżku miejsce wskazał, aby posiedziała przy nim, póki by go sen nie wziął.

. Przed niš, chociaż dobrze wiedział, że Borkowicza lubiła i broniła, jak w innych sprawach, tak i z tš taić się nie myślał.

Rozpoczył jej po cichu opowiadać, co od Wierzbęty słyszał i co wskutek tego postanowił.

Drgnęła pani wojewodzina (imię jej było Marussa, z Marii za młodu przerobione) i nie dając po

sobie znać, jak jś to obeszło, ciekawie słuchała.

Beńko, który milczeć postanowił i powinien był, rozgadał się i zwierzył jejmoci wszystko. Nie miała mu się sprzeciwiać, chociaż złożone ręce zaciskały się z bólu i strachu.

Siostrzan nie przestał jej być miłym, swoich dzieci nie miała, kochała go jak własnego syna. Wszystko, co dokazywał i broił.

tłumaczyła sobie to potwarzš, to ludzkš słabociš, to krwiš goršcš.

Przekonana, że męża, którego zmiękczyć nieraz już usiłowała, nie rozbroi, nie otwierała ust, lecz dwie łzy milczšce spod powiek jej się stoczyły.

W stosunku z księżniczšk Jadwigš widziała staruszka miłość i serce jej miało tym większe politowanie nad siostrzanem...

Gdy wojewoda ugadawszy się i mocno ożywiwszy dokończył, wojewodzina szepnęła słów kilka niemiałych proszšc o miłosierdzie dla Maćka i, aby ukryć poruszenie, zabrała się do wyjścia. Wojewoda odchodzšcej rzucił jeszcze to samo, co mówił Wierzbicie:

Dziękować mi bestia ta powinna, gdy go ujšć każę, bo mu łeb ocalę i nie dam dopełnić, za co by gardłem musiał zapłacić. Rozstali się tak, a wojewodzina do swej komnaty odszedłszy rzewnie płakać poczęła, długo się nie mogšc ukoić. Walczyła z sobš nie wiedzšc, co czynić miała, lecz serce dyktowało, iż Maćka bronić powinna dla pamięci siostry. A miała to przekonanie, iż winy tak wielkiej na nim nie było, że go nieprzyjaciele ogadywali.

Uklękała się modlić wojewodzina, a na modlitwie zdało się jej, że powinna była nieszczęśliwego, choćby obłškanego, ratować.

Jak? Nie wiedziała.

Noc upłynęła we łzach i niepewności. Nazajutrz po mszy ulubiony jej doradca wierny, kapelan, którego Michnem zwano, powołań został do rady.

Księżyna był pobożny, pokorny i niedaleko widzšcy; wojewodzina nie przyznajšc mu się, o kogo jej szło, nie zwierzajšc wcale, podała mu tylko pytanie co by w takim wypadku czynić wypadało...

Wypadek za opisała tak ogólnymi wyrazami, iż Michno tyle tylko mógł odgadnšć, że człowiekowi dać trzeba było czas do skruchy, opamiętania się i pokuty.. Jako duchowny nie mógł innej rady dać, tylko wedle prawa ewangelicznego.

Głosował żarliwie za ocaleniem człowieka.

Serce wojewodziny dawno toż samo mówiło, obawiała się tylko męża zdradzić. Lecz można było nazywać to zdradš?

Postanowiwszy ratować Maćka, po odejciu kapelana wojewodzina zaczęła nad rodkami

przemylać, jakby ostrzec siostrzana, a nie ciśnieć na siebie gniewu męża.

Stosunki z Borkowiczem były zerwane, zakaz najsurowiej wzbraniał jej i wszystkim do dworu należącym zbliżyć się do niego. Nie mogła więc Marussa tak łatwo wymyśleć sposobu oznajmienia Borkowiczowi, aby głowy swej i osoby strzegł pilno. Zwierzyć się nie chciała nikomu. Sama go szukać nie mogła, a i znaleźć nie było łatwo, bo Maciek nigdy długo na jednym miejscu nie pozostał.

Dzień upłynął na rozmyślaniach.

Listów posyłać owego czasu nie było zwyczaju. Obawiano, się zdrady pisma, niewiasty wcale pisać nie umiały, potrzebowała więc wojewodzina porednika, a tego się lękała.

Pozostawało jedno zwierzenie się komu zaufanemu, który by do Borkowicza pojechał z przestrożą. Na takim człowieku włanie wojewodzinie zbywało. Dwór cały przywiśzany był do niej i do posług gotowy ale wojewody obawiali się wszyscy.

W niepewności tej wojewodzina uciec się musiała do biskupa, o którym wiedziała, że mąż był chrześcijańskiego ducha, nieskory do potępienia i miłosierny.

W chwili, gdy Panosza z Poznania wyjeżdżał w małym poczcie po cichu... inną drogą przesłana przestroga... goniła za Mackiem po dworach, które objeżdżał.

Maciek Borkowicz po powrocie z Krakowa, nagradzając sobie czas stracony, nie pojechał ani do Komina, ani do żadnego ze swych licznych dworów, w których zwykł był obozować. Od granicy Wielkopolski gromadząc koło siebie przyjaciół, rozpoczął wędrówkę od komina do komina biesiadując ze swoimi, rozprowadzając szydersko o królewskim weselu, o przyszłych nadziejach, sposobiąc się do wypowiedzenia posłuszeństwa wraz z rycerstwem, które sobie jedną.

W ten sposób dojechał do brata do Czacza, u którego był jak w domu, i tu niemal wiec się do niego zbiegł, aby z ust wodza usłyszeć, co czynić dalej i jakie on miał nadzieje.

Maciek Borkowicz nie wszystkim się może spowiadał otwarcie, ale w cianiejszym kółku nie tał się z tym, że stanowcza chwila wkrótce nadejść mogła. Dodawał przechwalając się, że z królową dawne stosunki odnowił i że będzie u niej w łaskach, spodziewa się króla zniewieciałego uwodzić do ostatka, tak że on w zdradę jego wierzyć nie będzie, aż gdy już zapobiec jej okaże się za późno.

Zausznicy Borkowicza nie robili z tych zwierzeń tajemnicy przed drugimi. Wieci uwłaczające czci młodej królowej rozchodziły się po kraju, a zrzęczość Macieka, który zuchwalstwem swoim oczy zapraszał, podnosiła jego znaczenie.

Nie wątpiono, że pod takim wodzem uda się Wielkopolanom oderwać i swobody dawne odzyskać...

Borkowicz, jak wszyscy tego rodzaju ludzie, ważący się na wywrót i zaburzenie, aby z nich korzystali więcej mówił i obiecywał, niż sam trzymał o tym, co czynił, sądząc, że kłamstwem podniesie w swoich męstwo i ochotę do buntu.

Zaręczał im, że umowę miał z Brandenburgami, że łascy księżęta mu pomoc przyrzekli, że Krzyżacy

popierać go będą. Ponieważ wiodło mu się dotąd szczęśliwie, nikt o prawdzie słów jego nie wątpił.

W Czaczu nie tylko dwór dosyć lichy był pełen, ale podwórze i szopy. Ziemianie, ciekawi, nieustannie przyjeżdżali się dowiadywać i mieniali. Borkowicz coraz głoniej i mielej przemawiał.

Trwało to już dni kilka, gdy jednego wieczora proboszcz miejscowy, człek spokojny, który się rzadko we dworze ukazywał, przyszedł pieszo w godzinie niezwykłej.

Ksiądz był oniemiłony i znajść obu Borkowiczów stosunków z nimi unikał. Krzywdzono go w dziesięcinach, nic nie mówił ani się skarżył, dla świętego spokoju.

Zjawienie się jego we dworze, i to jeszcze czasu pobytu Maćka, uderzyło wszystkich. Nie mógł przyjąć darmo. Brat starosty sądził, że szło o jakąś sprawę sporną z probostwem, księdza, jako niepotrzebnego wiadka chcąc się pozbyć, wyszedł przeciwko niemu, lecz na zapytanie o to, czyby miał co do niego, proboszcz cicho odpowiedział, że chciał się tylko pokłonić panu starocie.

Chociaż Maciek z duchownymi nie żył w wielkiej druźbie, wszystkich sobie chcąc jednać, nie pogardził i proboszczem.

ciśgnął go do siebie na ławę, na której wyciśgnięty leżał, kubek mu podać kazał i począł od żartów ze starego, do których oklepane potwarze na stan duchowny rzucał za wstętek służyły.

Stary ksiądz zbył go milczeniem znosząc je cierpliwie. Osób było w izbie nadto, aby się wdawać przy nich w poufalszą rozmowę.

Panie starosto rzekł z cicha przychodzę do was nie w mojej sprawie, ale w waszej własnej, nie po mej woli, ale z wyższego rozkazania... przejdmy do komory osobnej, tak aby tego nie spostrzeżono.

Borkowicz zdumiał się wielce. Spojrzał na ubogo odzianego klechę pogardliwie, pomyślał trochę i rzekł wstając:

Idcie za mną, kiedy zechcecie... ciekawym, co mi powiedzieć możecie... Znajdziecie mnie obok...

Proboszcz, chwilę zabawiwszy w wielkiej izbie, nieznacznie za Borkowiczem się wysunął.

Czekał on nań w ciasnej izdebce, która wysłanymi na podłodze łóżami gości była zapełniona. Na jednym z nich, ręce pod głowę założywszy, leżał starosta.

Dał znak księdzu, aby w głowach na ławie przysiadł.

Co mi masz do powiedzenia?

Proboszcz zbierał się długo, nim odezwał. Szyderski ton starosty drażnił go.

Mam polecenie do miłoci waszej rzekł bo inaczej bym mu pokoju nie mścił. Posłem jestem, a że do tego nie nawykłem, le się może sprawię, lecz spełnię powinność.

Mów, co masz, a w płachty nie zawijaj rozmiał się Borkowicz domylając się, że duchowieństwo mogło życie jego jawnie rozwiśzłe naganiać, i sposobić się ostro klechę odprawić.

Wtem ksiądz mówić zaczął spokojnie, powoli i od pierwszych słów Maciek z lekceważącego i urągającego zmienił się przybierając twarz surową i zaszępił.

Posłano mnie do was, panie starosto, chociaż prawa nie mam powiedzieć, kto mi dał rozkaz i czy ja spełniam w tym wolę. Pewnie dobrze wam życzyć musi i stać wysoko ten, kto wam le przeze mnie ostrzeżenie. Nowe na was zaskarżenia poszły do majestatu... jesteście obwinieni: wojewoda, wuj wasz, zmuszony zostanie ujść was i dać do więzienia...

Borkowicz równymi nogami z łóża się zerwał.

Mnie? ujść? mnie do więzienia wtrącić? krzyknął na cały głos. Stary dziad oszalał chyba! On, mnie!
...

Ksiądz dał mu się wyburzyć.

Borkowicz zbliżył się doń żądając wyjanienia natarczywie.

Możecie ze mną poczść, co się wam żywnie podoba odparł proboszcz spokojnie więcej nad to, co mi polecono, nie powiem wam.

Kto polecił? domagał się Maciek. Ksiądz milcząc głową potrząsnął.

Nie może być, aby niedołądże temu takiej się rzeczy zachciało, która jest nad jego siły zawołał Maciek. Chcę mnie tylko nastraszyć, ludzi mi rozpędzić, zmusić może do głupiej ucieczki, abym to stracił, na co lat kilka pracowałem; to zdrada, to podstęp!

Trzymajcie, jak zechcecie rzekł ksiądz ja tyle wiem, co mi powiedzieć kazano, i to wam mówię. Postanowił wojewoda was uwięzić... podobno rozkazy są wydane. Macie się strzec i na bacznoci mieć, w małej kupce nie jedzić, a co najrychlej się oczyszczyć przed samym wujem i w Krakowie.

Do tego starego gnoja nie pojedę! zawołał Borkowicz. Między nami rozrzesany obrus, nie siadziemy do jednego stołu, a w Krakowie dwa razy byłem, dopiero co stamtąd powracam. I tam nie pojedę... Banie są, strachy są próżne, a ty, klecho, którego narzędziem uczyniono, gadaj mi zaraz, kto cię posłał...

I dodał gniewnie:

Gadaj mi, chceszli być cały...

Nie ulścił się duchowny, pomilczał trochę, westchnął i odparł spokojnie.

Choćbyście mnie ubili, mówić więcej nie mogę. Zimna krew, z jakich to rzekł, zburzyła Borkowicza; rzucił

się do drzwi wołając brata. Ten nadbiegł natychmiast. W kilku słowach drżący z gniewu Maciek objął mu, o co chodziło. Oba razem wpadli na księdza, który z ławy powstawszy ręce na piersiach złożył z głów spuszczone, milczący.

Jako z Czacza był tak miałym, że na suknię duchowną nie zważając chwycił go za ramię i poczęł starym, który się chwiał na nogach, potrząsać groźąc mu.

Nic i to nie pomogło. Owszem, proboszcz oburzony takim obejściem się, już więcej nic mówić nie chcąc, zbył go tylko słowem:

Nie mogę.

Obaj bracia równie gwałtownych charakterów poczęli wołać, kląć i na księdza napadać w sposób najzuchwalszy, szarpiąc go za suknię i chwytając za barki.

Nie pomogło to nic, a w końcu Maciek pierwszy się pozornie opamiętał.

Daj mu pokój! zawołał gdyby plechy wygolonej nie miał na łbie, postąpiłbym z nim inaczej, ale z biskupami zadziierać teraz nie chcę...

Ksiądz, który się spodziewał, że go suknia obroni, stał nieporuszony i po chwili milczenia dodał tylko:

Chcecie słuchać przestrogi, dobrze... nie... czyńcie, jak wam lepiej. Podejrzewacie zdradę... ja się obraniać nie myślę. Żaden kapłan nie podjąłby się służyć za narzędzie...

Maciek wybuchnął znowu:

Jeli ty nie zdrajca, to ten, co cię posłał!... wojewoda się mnie powinien obawiać, nie ja jego... Ja się dziada, półtrupą tego, nie zleknię.

Tym dla was lepiej, jeżeli się nie boicie odparł proboszcz zabierając się do wyjścia.

Zaparto mu drogę. Jako poczęł teraz inaczej, bróg siana i kilkanacie korcy owsa obiecując księdzu, jeliby wydał, kto go posłał.

Proboszcz się umiechnął.

Borkowicz kopę groszy chciał dać na kociół ale i to nie poskutkowało.

Robiło się póno, golcie z izby pierwszej rozchodzić się zaczęli, a drudzy na ławach i ziemi do spoczynku układać; niesposób było proboszcza gwałtem dłużej trzymać, a dwaj bracia i syn Maćka pozostali radząc, co czynić...

Borkowicz upierał się przy tym, iż oznajmienie było podstępem dla oniemiaenia go.

Jako wpadł na myśl inną.

Wojewoda gniewny na ciebie rzekł a zaufany w sobie. Siły twej nie zna, lepym był zawsze, dzi do reszty rozum stracił. Kto go wie? mógł pomyleć o tym, czego nie dokaże, a Marussa ulitowawszy się ostrzec kazała.

Zamylił się Borkowicz.

Trafne przypuszczenie brata zachwiało jego przekonanie.

Ponieważ ludzi sobie oddanych miał w Poznaniu, a nawet na dworze Beńka, tej samej nocy wyprawił dwóch zaufanych ziemian po język do miasta.

We dworze, pomimo że Borkowicz zaklinał się, iż nikogo obawiać się nie ma przyczyny, Jako rodki ostrożności nakazał. Postawiono strażę, wysłano ludzi, aby zbrojnych więcej zgromadzić.

Nie przyznawano się do obawy, aby popłochu nie siać między ziemianami, lecz przestroga w las nie poszła. Udawano przed przybywajścymi dawnš miałoć oglšdano się jednak baczniej.

Borkowicz, który miał już do Komina jechać, bo tam mu dogodniej było, zatrzymał się w Czaczu, ażeby z Poznania nadeszły wiadomości.

Nie wštpiono, że wysłane szpiegi przyniosš jakš skazówkę.

Dwa dni upłynęło, nim jeden z nich powrócił. Nie dowiedział się on nic więcej nad to, że wojewoda zaufanego swego Panoszę gdzie tajemniczo wysłał... Budziło to podejrzenie i wiadomość, że Beńko cišgał zbrojnych co najlepszych do siebie.

Borkowicz sposepniał.

Drugi poseł przybiegł z potwierdzeniem nowin tych i drobnymi różnymi ze dworu wojewody plotkami, które dowodziły, że się tam do jakiego kroku stanowczego gotowano, że Beńko często i potajemnie się zamykał z Wierzbieš itp.

Przestroga więc proboszcza, który się już więcej nie pokazał i wyprawionym doń przez Jaka posłom drzwi zamknšł, zaczynała nabierać innego znaczenia.

Maciek przechylał się na stronę brata. Nim wyruszył do Komina, kazał swoim koniecznie doleźć, dokšd posłano Panoszę, bo go się obawiał.

Nie łatwo było drogę jego wytropić. Upłynšł tydzień, a o Panoszy nikt języka dostać nie mógł, co Borkowicza do wciekłoci na sługi pobudziło.

Groził im chłostš i więzieniem, bo nie pytajšc, czy który ziemianinem był i do szczytu należał, czy prostym człekiem, tych, co mu służyli, jak niewolników karał nawet na gardle. Za głowę gotów był zawsze płacić grzywny, a poszanować nikogo nie umiał.

Już się Borkowicz wybierał nareszcie z licznym poczem zbrojnym do Komina, gdy jeden z tych ludzi, na których najmniej rachował, głupi Dy (bo go tak zwano) dał znać, że Panosžš, do poznania

trudny, w prostej siermiędze, niedaleko Czacza od tygodnia w gospodzie na gocińcu mieszkał i z niej jakie czynił wycieczki, a zdawało się nawet, że i do Czacza samego mógł dotrzeć.

Wiadomość ta wieczorem nadeszła do dworu, a przed północą Maciek sam, Jako i kilkudziesięciu ludzi ruszyli gospodę otoczyć.

Borkowicz ledwie z niecierpliwością konia na przedsienu doczekał, tak mu pilno było... Rwał się i klął, miecza targając i wołając:

Żeby mi nie uszedł Rusin, bo wam łby porozkwaszam...

Gospoda na gocińcu pod lasem stała w miejscu, kędy przejazd był znaczny do Poznania. Krzyżowały się tu dwie wielkie drogi. Ludzi w niej zawsze, szczególnie pod noc, gromady były, ale tych przyjezdnych wcale się nie obawiali Borkowicze...

Ogień już zgaszony był w izbie i wszystko w niej spać się zdawało, gdy obstawiwszy ludmi swymi szopy Borkowicz kazał się do wrót głównych dobijać.

Wozów stało w gospodzie i pod niś dosyć, a że rozboje i napacie, szczególnie na kupców, pod te czasy częste bywały zerwali się wszyscy podróżni sposobić się do obrony.

Borkowicz kazał przygotowane pochodnie smolne zażec, nikogo nie wypuszczać i gospodę a szopy trzść pilno.

Pierwszy, który wpadł w ręce Borkowicza gawiedzi, był kupiec, rodem Niemiec, zwany też Niemczyn, który miał swój ławę w Krakowie na Sukiennicach, a po kraju rozwoził towary różne.

Obyczaj ten mieli Maćka słudzy i on sam, że dobrego obłowu z ršk nie puszczał nigdy. Niemczyn ukazywał list pod pieczęcią, że mu jeździć i kupczyć wolno było, ale ten zdarto i nogami zdeptano, wozy rozdrapano we mgnieniu oka i ledwie on sam z życiem się wyprosił pozostawszy przy jednym biczysku, bo i kanie dobre a zażywne pochwycono mu...

Inni podróżni, którzy Borkowicza znali z rozgłosu, wykupywali się...

Panoszy nie znaleziono, chociaż gospodę całś strzeli wprawni do tego ciury Borkowicza nie bardzo zważając, iż jś zapalonymi łuczycami i pochodniami w perzynę obrócić mogli.

Już odciśgać mieli, gdy jeden z Borkowicza zbójów na wyżki wlaźł i tam się oko w oko z Panoszą spotkał, który go mieczem tak ciśł, iż padł trupem. Padając krzyknął; rzucili się tedy i inni i Rusina chwyciwszy, choć ich szpetnie porśbał, ciśgnęli z wyżek, a tu jedno Zdrowa nie trwało, gdy dwaj Borkowicze mierć mu sami zadali.

Panosz słowa z ust nie puciwszy bronił się jak lew, ranił Jaka, dwa razy we zbroję uderzył Maćka, lecz na ostatek w szyję miertelnie ugodzony poległ.

Trupa obejrzano przy pochodniach odzierając go do naga; wstpliwoci nie ulegało, iż ten był, którego szukali.

Borkowicz uradował się niezmiernie; z gospody ludziom, co było napitku, wytoczyć kazał, a sam z bratem do Czacza powrócił.

Znalezienie ukrytego tu Panoszy za dowód służyło niezbity, iż wojewoda istotnie co zamierzał, ś przestroga zdradś i podstępem nie była.,

Gdy nade dniem do dworu zjechali wołajśc o dobrze zasłużone jadło i napój, bo Maciek żarłoczny był i pił wiele, pierwsza słowo, które mu się za stołem wyrwało, było:

Niechże pan wojewoda na siebie baczy, a z nory nie wyłazi, bo nim on mnie będzie w dybach miał, trupem go położę na postrach drugim, Tak mi Panie Boże dopomóż!

Nie wahał się Pana Boga wzywać na pomoc, bo choć krew przelewał i ludzkim życiem szafował, po swojemu jednak modlił się, na kocioły dawał za grzechy...

Ja z tego tajemnicy czynić nie myślę dodał owszem, głosić będę i wołać choćby z dachu, że wojewoda mi nie ujdzie! Chciał on ranie do więzienia dać, ja go do takiego zamknę, z którego nie wyjdzie aż na sśd ostateczny... Kto mi wojnę wypowiada, choćby mi nie wujem a ojcem rodzonym był, temu gębę na wieki stulę.

Mówiśc to walił w stół pięciś Maciek, aż się na nim naczynie wszystko trzęsło i brzęczało, a potem zamilkł i pił.

Brat ani syn nie bronili Beńka; wiedzieli, że z nim rozprawiać, odwodzić go, chcieć upamiętać daremnym było.

W Poznaniu tymczasem wojewoda, zaufany w Panoszy rozum i zręczność, czekał niecierpliwie na powrót jego.

Przeciśgał się on; Beńko co dzień rano zapytywał, czy nie wrócił, a wieci o nim żadnej nie miał, aż nagle kto przyniósł gadkę o najedzie na gospodę, o ograbieniu Niemczyna, który pieszo się przywłókł do Poznania, i o prawdopodobnym zabójstwie Panoszy.

Beńko wierzyć temu nie chciał.

Posłał Wrocisza, drugiego swego ulubieńca, na miejsce.

Ten przybywszy do gospody naprzód usłyszał o napadzie, potem o zabiciu człeka, którego już pochowano pod lasem w mogile gałemi narzuconej.

Nie było innego sposobu przekonania się, czyli w istocie Panosza zabity był, jak mogiłę rozkopać. Choćby ciało porśbane było i zepsute, Wrócisz mógł poznać zamordowanego po tym, że kśpiśc się z nim u lewej nogi widział szeć palców...

Jakoż w mogile, gdy posieczonego do niepoznania odkryto, Wrócisz nogę lewś znalazł nie tkniętś. Nie ulegało wśtpliwości, iż on był, a nie kto inny.

Ze smutnš tš wiadomiš powrócił do wojewody, któremu, znajšc jego przywišzanie do Panoszy, ostroŹnie i nierychło opowiedziano o wszystkim.

Stary Beńko zaczął od tego, że się po wiernym słuździe rozplakał, ale natychmiast ochłonišwszy z żalu poprzysiŹgł, że go pomci.

Z wielkš goršcociš zaczęto się z rozkazu jego sposobić do obławy na Borkowicza. Wojewoda, którego noga się zabliniła, nikomu dowódstwa jej powierzyć nie chciał, ale sam z ludmi postanowił jechać. A że tajemnicy nie czynił z tego przed Źonš, przestraszona o męža Marussa na klęczkach go prosić zaczęła, aby się wstrzymał od tego kroku, w jego wieku juź niebezpiecznego.

Wojewoda mówić sobie o tym nie dawał, troskliwoć o siebie przypisujšc przywišzaniu Źony do siostrzeńca. Tym usta jej zamykał.

Zaczęto się wybierać skwapliwie bardzo, lecz, choć Beńko się pieszył, po staremu naglił, gderał, a z dnia na dzień odkładał; moŹe by tak przeciŹgajšc ochłonił z gniewu i żalu, gdyby usłuźny ziemianin Zglicz, do Nałęczów się liczšcy, nie przybył doń z ostrzeŹeniem, iŹ Borkowicz się na Źycie jego zaprzysiŹgł.

Zglicz ten w obu obozach bywał, pił z jednymi i drugimi: jadał u Borkowicza, ale więcej się na stronę Beńka przechylał. Napadały go rŹone usposobienia to dla jednego, to dla drugiego, wahał się przecieŹ wojewody mu więcej Źal było.

Beńko posłyszawszy to odmłodził z gniewu... Wysłał zaraz dowiedzieć się, gdzie się Maciek znajdował, i postanowił Wprost na Komin ciŹgnšć.

Źadna siła ludzka od tego odwieć go juź nie mogła.

StrwoŹona przedtem o siostrzana, biedna wojewodzina lękać się teraz musiała zarówno o obu, moŹe nawet więcej o męža, który ani siłš, ani przebiegłociš nie mógł się równać z Borkowiczem... Straciła głowę, płakała, modliła się, na ostatek niebezpiecznie zachorowała.

Beńko, który do towarzyszeki Źycia długiego był przywišzany, musiał wyprawę na siostrzana odłŹżyć, gdy Marussa wkrŹtce nie lekarza, ale księźdza wezwwała do siebie zgon swój przeczuwajšc.

Na łŹu miertelnym ostatkiem głosu zaklinała jeszcze męža, aŹeby dla pokrewieństwa do sprawy z siostrzanem się nie mieszał i zdał jš na Wierzbietę.

Stary mruczał uspokajajšc jš co niewyranego, nic jednak nie przyrzekł i co raz postanowił, to dotrzymać miał za obowiŹzek.

Wiedziano juź o zajciu i wzajemnych pogrŹdkach; ustŹpienie byłoby starego o niesławę przyprawiło.

Wojewodzina zmarła.

Beńko wyprawił pogrzeb wspaniały i stypę, zamknił się na dni kilka oplakujšc jš; potem, przywoławszy kapelana i kanclerza poznańskiego, sporzšdził testament, majętnoci przekazujšc

stryjecznym, a wie jednš na nabożeństwo pomierne i msze za duszę żony i swojš wikariuszom tumu poznańskiego.

Dopełniwszy tego, na nowo się do wyprawy na Borkowicza gotować zaczął.

Czasu dosyć upłynęło, o starocie słyhać było, że swoim zwyczajem po Wielkopolsce się przejeżdżał i żalów nań a skarg przybywało co dzień.

Chodziły wieci, że nieprzyjaciół dawnym zwyczajem pozbywał się, po gościńcach ich napadajšc lub ludzi nasadzajšc, że i na dwory najeżdżał, a gwałty cišgle popełniał bezkarnie.

Nim wyprawa i obława na Maćka obmylonš została, wojewodzie przypadła potrzeba jechania do majątnoci w Kaliskiem. Wybrał się z poczem niezbyt licznym odłożywszy rozprawę z siostrzanem, a pogróżki i jego lekceważšc. Nie wierzył w to, żeby się nań mógł porwać.

Koni miał ze sobš wojewoda ze dwadziecia, a że sam długiej podróży dla nogi konno jeszcze odbywać nie mógł, jechał na wozie krytym.

O Borkowiczu w okolicy słyhać nawet jako nie było.

Podróż Beńka, zapowiedziana wczynie, bo i z niej tajemnicy nie czyniono, na kilka dni, nim wyruszył z Poznania, wszystkim była wiadomš.

Na wsiadany przybył doń z pożegnaniem Wierzbięta, a zobaczywszy orszak mały i nieosobliwie uzbrojony, miał sobie za obowišzek przypomnieć Beńkowi, że z Borkowiczem się mógł gdzie spotkać.

Rozmiał się ufny w swš powagę wojewoda:

Ja go szukać teraz nie będę rzekł a on, ręczę wam. gdyby o mnie zasłyszał, rychlej się gdzie skryje, niżby miał mnie zaczepić. Wie on, że ja z sobš żartów stroić nie daję!

Wierzbięta chciał mówić co jeszcze, nie dał mu wojewoda. Rozstali się tak i Beńko w swš podróż małymi dniami wyruszył.

Pierwszego dnia nic się nie trafiło, co by zaniepokoić mogło... Zawczasu przygotowany nocleg czekał na Beńka o mil pięć od Poznania. Za dnia przybyli do wsi, w której kmieć najzamożniejszy chatę swš odstšpił staremu.

Wioska leżała na skraju lasu a chata w oddaleniu pewnym od wioski. Beńko położył się zawczasu, aby wypocząć i nazajutrz rano w dalszš wyruszyć drogę. Czelad jego i żołnierz nie spał jeszcze i przy ognisku nie opodał warzono kaszę ze słoninš dla nich, gdy naraz jak burza przypadła gromada konnych, z krzykiem i wrzaskiem wprost na chatę biegnšc.

Rozbrojono orszak wojewody, a nim się porwał, aby biec po miecze i oszczepy, już Maciek Borkowicz drzwi chaty łamał i z mieczem dobytym wpadł do izby krzyczšc:

Gdzie ten stary dziad? gdzie ten, co mnie chciał więzić...?

Beńko, który nigdy się nie położył, żeby przy sobie tuż nie miał korda obnażonego, bo od młodych lat nawykł był do tego, z łoża się porwawszy, z młodzieńczę miałociś stanł do obrony w porodku ciasnej izby...

Walka była nierówna, bo Borkowicz nie tylko młodoć za sobś miał, siłę, ale i uzbrojenie, gdy Beńko w jednej koszuli z pocieli się zerwał.

Poczęli się rśbać, lecz każde cięcie Maćka raniło i po każdym krew starego stryskała, gdy miecz Beńka szczybił się próżno na żelaznej zbroi przeciwnika...

Zmuszony raz w tył się cofnł wojewoda, oliznł się na krwi własnej i padł na wznak na łożo, a nielitociwy Borkowicz leżścemu i bezbronnemu miecz w piersi wraził tak, iż z jednym krzykiem Jezus! Maria! duszę wyzionł.

Ludzie wojewody w części rozproszeni, pochwytni, choć się bronić w kilku chcieli do ostatka, zobaczywszy pana zabitego, strwożeni, głowy potraciwszy rzucili broń uciekajęc.

Gawied Borkowicza natychmiast rozerwała, co było na wozach i koniach, trupa nawet nie poszanowawszy odarto do naga i Borkowicz upojony, triumfujęc, szydzęc a odgrażajęc się, że wszystkim nieprzyjaciołom swym taki los zgotuje, odjechał zaraz do Komina.

Napać i zabójstwo były tak jawne, wobec tylu wiadków spełnione, iż Borkowicz, który inne swe sprawki umiał zacierać, tej wcale taić nie myłał.

Przybywszy do swoich głono owiadczył, iż wyzwany przez wojewodę, który się nań odgrażał mierciś, w walce z nim bronięc się zabił go.

Wiedzieli wszyscy, co to w ustach Borkowicza znaczyć miało, nikt nie miał jednak obwinać go, bo przez to zabójstwo silniejszym się stał jeszcze i popłoch poszedł po nieprzyjaciołach jego.

W Poznaniu strwożyli się niemało ci, co z nim nie trzymali, zdawano się obawiać, aby nie opanował miasta...

Wierzbęta dowiedziawszy się o mierci przyjaciela sam po ciało jego pojechał natychmiast i gońca wysłał do Krakowa, donosząc o nieszczęściu a sprawcy nie oszczędzajęc.

Król Beńka kochał wielce, zdawało się więc, że miarka Borkowicza dopełniła się i że go czeka surowa kara tym większa, iż napać była zdradziecka na starca i na powinowatego.

Stryjeczni pozwalili go o głowę przed sđd królewski.

Borkowicz zdawał się do tego przygotowany.

Godzina, w której otwarcie miał bunt podnieć, jeszcze nie wybiła mówił głono, że pozwany pojedzie do Krakowa i sprawę swś sam królowi przełoży.

Wszyscy druhowie i poplecznicy jego odradzali mu podróży i zło wróżyli. Maciek z zuchwalstwem największym zaklinał się, że stanie na sęd i sprawę wygra.

Kazał wszystko gotować tak, aby poczet miał i piękny, i liczny do drogi.

Jakoż wskutek gońca Wierzbęty od króla przybył urzędnik i wony, powołując Borkowicza na sęd do Krakowa bez zwłoki.

Z wielkim lekceważeniem, wesoło przyjął starosta to wezwanie, urzędnika i wonego obdarzył, nakarmił, upoił i natychmiast dał rozkazy do podróży.

Ponieważ w napaci na wojewodę brat i syn Borkowicza widziani byli i czynni, oni też oba do odpowiedzialności pociśgnięci zostali, wołano i ich.

Jako z Czacza stchórzył i skrył się, choć Maciek chciał go mieć z sobą. Syn byłby z nim jechał, lecz po namyle sam mu nie pozwolił towarzyszyć sobie.

Miał jednego i wahał się na niebezpieczeństwo narazić, choć sam się go nie lękał...

Podpiewując, wiszcząc, żartując ze strwożonych, butno. wesoło, pańsko wybrał się pan starosta, tak pewien swego, iż nigdy go jeszcze nie widziano mielszym... na co rachował, przyjaciele nie pojowali, lecz to ich na duchu podtrzymało, iż go nie odstąpili.

Maciek swojego pewien mówiono nic mu nie będzie!

W Krakowie król wiadomość o zabiciu Beńka przyjął z wielkim zrazu oburzeniem przeciwko zabójcy. Dostyc już nabroił Borkowicz, wszyscy nań powstawali, ostrzegali zewszęd, obwiniano go jednołonie... król musiał domierzyć sprawiedliwość surową.

Tak się zdawało wszystkim, którzy króla bliżej nie znali. Miał to w sobie Kamirz, iż do czego skłonić go chciano gwałtownie, temu się instynktownie opierał.

Wszystkie dotychczasowe zarzuty przeciw Borkowiczowi żadnymi dowodami przekonywającymi nie były poparte.

miałość, męstwo i energia z dala królowi go więcej zalecały, niż mówiły przeciwko niemu. Potrzebował takich ludzi.

Nim więc przybył Borkowicz powołany przed króla, Kamirz sam jego sprawę czas miał rozważyć i powiedział sobie, że jeli się odważy stawić osobicie a bronić, winy na nim pewnie głównej nie ma, nie będzie poczuwać się do niej.

Prorokowali wszyscy, iż Maciek nie przybędzie.

Tymczasem dnia jednego, wjazd do Krakowa z pańską wspaniałości uczyniwszy, gospodę zająwszy w rynku, Maciek przeciw wszelkim przepowiedniom osobicie się nie wahał w obronie swej jawić do króla.

Podziwienie było niezmiernie... ludzie z poczłtku wierzyć temu nie chcieli. Ciekawoć pobudzonš była do najwyższego stopnia.

Tegoż dnia nie zaniebujšc żadnego rodka obrony Borkowicz wieczorem udał się do Wierzynka.

Zbój i zuchwalec, gdy mu tego była potrzeba, przed ludmi i przed królem, nie zapierajšc się męstwa swego, umiał okazywać w wietle rycerskim, z butš pańskš. Na wykrętnych wyrazach, gdy chciał, nie zbywało mu.

Tu, w Krakowie inaczej się stawić, mówić musiał inaczej, niż w Kominie.

Wierzynka zastał, gdy od wieczerzy wstawał, i rzuciwszy nań okiem pomiarkował z chłodnej twarzy ulubieńca królewskiego, iż nie łatwo mu się przyjdzie oczyszczać.

Wierzynek z dala go pozdrawiał nie poczynajšc rozmowy, a choć przy nim był jeden z rajców krakowskich, Keczer, nie zważajšc na wiadka Borkowicz natychmiast, wprost o sobie mówić poczył:

Dziwicie się może, iż mnie tu widzicie rzekł miało. Oczernili tu Borkowicza tak, iż tylko głowę pod topór nachylić... Ha? Otóż ja jš tu przynoszę królowi pod stopy, niech czyni, co chce...

Wierzynek słuchał i milczał.

O co tam więcej mnie obwinać będš, nie dbam, a o zabójstwo Beńka sam się skarżę. Tak jest! zabiłem go, tak, bo mnie pokrzywdził czyniśc przeciwko panu zdrajcš, bo się on na mnie odgrażał więzieniem i gardłem... Musiałem za potwarz zemsty szukać...

Keczer nie chcšc słuchać wysunšł się; zostali sami z Wierzynkiem.

Król bardzo na mnie zagniewany? zapytał Borkowicz.

W sprawie waszej jam z miłociš jego nie mówił odparł Wierzynek.

Choćbycie nie mówili dołożył Borkowicz wy wiecie wszystko, bocie króla najbliżsi. Jak mylicie, czy mi stać będš na gardło?

Mówił to z takš obojętnociš, jakby się wcale mierci nie obawiał. Wierzynek popatrzywszy nań ruszył ramiony.

Nie pytajcie mnie rzekł bom ja niewiele wiadom. Gdyby szło o żupy, o kopy. o pienišdze, o skarb, domyliłbym się. co was czeka... krwawe sprawy nie moje...

W tym się tylko nie mylicie dodał iż na was oskarżeń jest różnych wiele... alem nie słyszał od króla nic, z czego by o wyroku jego można wróżyć. Pan nasz cierpliwy jest i rozumny. Na próżno Borkowicz zagadywał różnie, chcšc go wyrozumieć; nie dobył nic z rozumnego Wierzynka i poszedł z niczym, innymi drogami szukać języka, jednać sobie przyjaciół i popleczników.

Wierzynek tegoż wieczora był na zamku. Miał on przystęp do króla, jakiego nikomu nie dawano,

wchodził w każdej godzinie, mówił z nim, kiedy chciał.

Kamirza znalazł już uwiadomionym o przybyciu Borkowicza i uprzedzonym dlań lepiej tym, że w sprawiedliwoci króla zaufanie miał...

Spytany Wierzynek powtórzył Kamirzowi, co z ust jego słyszał; król słuchał milczący.

Po Wierzynku nadszedł Kochan i zagadnął o Borkowicza, którego nie cierpiał występując zjadle przeciwko niemu. Większej mu przysługi nie mógł uczynić. Zmarszczył się król, ruszył ramionami. Nastawanie na Maćka budziło w nim włanie nieufność i chęć obronienia go... Wysłuchawszy Rawy król rzekł krótko:

Sędzia obu stron słuchać powinien, nim wyrok ogłosz, a ty pono nie słyszał więcej nikogo, tylko tych, co potępiajś? Zdziwiony Kochan zamilkł.

Drugiego dnia Borkowicz niezbyt pieszśc pęślał prosić o posłuchanie u króla. Naznaczono je na dzień następujący.

Gdy wieć się po Krakowie rozeszła, iż osławiony warchoł wielkopolski przybył i miał być sędzonym, ci, co przeciwko niemu mieli zarzuty wielkie, popieszyli z nimi do króla.

Ks. Suchywilk między innymi, któremu wuj arcybiskup polecił sprawę Beńka, przyszedł z całym spisem gwałtów, zabójstw, napaci, które przypisywano Borkowiczowi, domagając się, aby go naprzód do więzienia dać i zapobiec zdradzie, bo tej były jawne poszlaki w stosunkach z Brandenburgami.

Król wielkie miał zaufanie w Suchywilku, wierzył w jego rozum i naukę, lecz wszystkie te nalegania zawsze na nim skutek przeciwny czyniły.

Żal mu było energicznego i miałego człeka. Zbywał milczeniem nic nie dając poznać po sobie.

Gdy chwila posłuchania nadeszła, a Maciek, jako łaskę największą dopraszał się u króla, aby mu pozwolił w cztery oczy naprzód mówić z sobą, chociaż zwyczajowi to było przeciwnym, Kamirz zezwolił.

Wszedł Borkowicz ani zbyt zuchwale, ni wielkiej nie okazując trwogi... Król przyjsł go zimno.

Dopełnilicie miary waszych gwałtów, o które was nieustannie obwiniajś... padł pod Waszymi ciosami najlepszy mój stary sługa, wuj wasz Beńko.

Borkowicz ręce założył na piersiach.

Tak, miłociwy królu poczęł gorśco i ze wzruszeniem zabiłem go, abym sam przez niego zabitym nie był. Stawię szeciu, postawię dwunastu wiadków ziemian, jako się jawnie i głośno odgrażał, iż mnie za mniemane jakie bunty, nie czekając wyroku waszego, na gardle karać będzie.

Czynił mnie przeciwko miłoci waszej zdrajcą, tego mu darować nie mogłem. Człowiek jestem,

grzesznym się czuję, krwiś się nieraz zmazałem, nie będę przeczył, biję się w piersi... ale mnie ludzie stokroć gorszym uczynili, niż jestem... Rzucajś na mnie potwarze...

Król słuchał milczący.

Z Brandenburgami macie konszachty? rzekł krótko.

Na brandenburskiego, jako na ssiada rzekł oko pilne mieć muszę, bo gdy ja nań patrzeć nie będę, to kto z nas u nich czuwać potrafi. Czy Wierzbęta nieudolny i łatwowierny? czy nieboszczyk Beńko, który z domu się nie wychylał?...

Nie dla siebie ja ich starałem się podpatrzeć i podsłuchać, ale dla miłoci waszej. I za to mnie zdrajcś czyniś. Kamirz nic nie odpowiedział.

Mówić na swojś obronę umiecie dobrze odezwał się lecz dlaczego wszyscy na was powstajś? powszechny głos was obwinia? Jeden przeciwko wszystkim nie możecie słusznoci mieć. Kto za wami choć słowo rzecze?

Miłociwy królu zawołał Borkowicz w Krakowie ja obrońcy pewno nie znajdę, ani się go szukać kuszę, a w Wielkopolsce głosów za mnś więcej znajdę niż tu przeciwko sobie... Dajcie mi ich postawić przed sobś...

Wszyscy, co się pisali do zwiśzku ze mnś, za który mnie też oskarżono, potwierdźś, żem ładu i porzśdku chciał i o niego się starał. Musiałem się nieraz z warchołami zetrzeć i niejednego trupem położyć. A co by dzi w Wielkopolsce za oczyma było, gdyby nie ja...

Nie mogli na mnie innej winy znaleźć, zmylili głównś czyniśc zdrajcś przeciwko tobie... Czyżem ja niepamiętny, co królowi winienem, kto mnie uczynił, czym jestem, kto obdarzył i wzbogacił? Byłbym wart mierci za niewdzięczność...

Spojrzał mówiśc to na króla, który nie okazywał gniewu i zamyłony słuchał. Dodało mu to odwagi.

Poczśł się rozwodzić szeroko nad stanem Wielkopolski, nad nieprzyjaciółmi swymi, dowodźśc, że oni razem królewskimi byli albo na dobro pańskie lepymi. Kilka razy król słowo jakie wrzucił, na ostatek powrócił znowu do zarzutu morderstwa na Beńku popelnionego.

Maciek do niego przynajśc się na kolana padł, ręce złożył i miłosierdzia błagał. Winie swej nie zaprzeczał; ale był do niego popchnięty, zmuszony.

Posłuchanie trwało niemal godzinę, na ostatek król wstał i rękś znak dał, aby się oddalił, odchodźśc do komnat osobnych.

Borkowicz z posłuchania wracajśc zmęczony, znękany, przybity, naumylnie się ukazał, aby się nie domniemywano, że król nadto był dlań łaskawym, i nie nastawano więcej przeciw niemu.

Poszła wiec po miecie, iż sprawa Borkowicza le stała... On zamknśł się w swej gospodzie, z wejrzenia króla i z mowy jego domylajśc się wcale inaczej.

Nie mylił się; Kamirz na przekór wszystkim, choć go nie uniewinniał, skłonny był do łagodnego sędzenia.

Zabójstwo Beńka nie mogło ująć bezkarnie, lecz o to ze stryjecznymi wojewody, jak bywało zwyczajem, mógł się Borkowicz

ułożyć płacść za głowę... Dowodów nie brakło, że Beńko się w istocie na siostrzeńca odgrażał...

Z ks. Suchywilkiem mówiąc tego wieczora król dał mu poznać, iż Maćka zdrady winnym nie sędził, a dla zabójstwa skazywać surowo nie chciał.

Zdziwiony prawnik usiłował króla skłonić, aby nie pobłażał, lecz znalazł go twardo stojącym przy swoim.

Dnia następnego ze wszech stron posypały się znowu oskarżenia, nalegania, wpływy.

Nikt za Borkowiczem nie był, przeciwko niemu wszyscy. Kamirz chłodno, ale stanowczo owiadczył, że tak wielce winnym go nie widzi...

Wszelako zmęczony tym, co słyszał, nie chcąc sobie narazić Suchywilka i innych, w ostatku rzekł, że Borkowiczowi nakaże zgodę z rodziną zabitego, skaże go na grzywny, ale mu swobody nie odbierze ani na gardle ukarze...

Tym, którzy czynili zdrajcę Borkowicza, król folgując zgodził się na to, iżby nowe zaręczenia wiernoci na pimię dał i poprzysięgł służby królowi gorliwe, pod gardłem...

Ksiądz Suchywilk kanclerzowi pismo miał kazać zgotować.

Tak w chwili, gdy go wszyscy zgubionym sędzili, Maciek cudem prawie, przytomności umysłu, chytrości i szczęciem nadzwyczajnym ocalał.

Zdumienie było wielkie.

O zbyt niś dobroć obwiniano króla, o słaboć niewytłumaczoną. Kochan, który pana swego znał dobrze, umiechał się dwuznacznie i mruczał:

Wszyscy się na niego rzucili... nikt mu dobrego słowa nie dał! Nie mogło inaczej być!

Maciek, przywołany do wysłuchania wyroku, na kolana padł przed królem, bił się w piersi, obiecywał poprawę, zaręczał, że życie dać gotów za pana swego. Ochrypl, tak krzyczał i zmagął się na okazanie swej miłoci i wdzięczności.

Przesadzone te objawy przywiśzania na Kamirzu uczyniły wrażenie przykre. Ukazując mu się z tej strony, Borkowicz nie obrachował się, że król miał instynkt w poznawaniu prawdy;

i odróżnianiu jej od fałszu. Kamirz z brwiami zmarszczonymi wysłuchawszy dziękczynienia zimno odprawił Maćka.

W progę już był, gdy posłyszał głos króla goniący za nim:

Przebaczyłem wam, starosto... lecz pomnijcie, że dobroć i pobłażanie się wyczerpuje... Nie spodziewajcie się łaski mej, jeżeli raz jeszcze obwinia was...

Borkowicz, pismo na siebie wydawszy pod pieczęcią przy wiadkach, opuścił zamek szczęściem swym upojony, triumfujący, zuchwalszy, niż był kiedykolwiek.

W gospodzie czekali nań Wielkopolanie, którzy mu towarzyszyli, a których był pewien.

Nie zważaj na miejsce, w którym się to działo, bo izba cianaś tylko z tarcic oddzielona była od mieszkania gospodarza, Maciek od progę wołać zaczął:

Wszystko skończone! Winszujcie i uczcie się, że miałość zawsze wygrywa! Biały jestem i czysty jak nowiutki ršbek. Poczciwy król dał się obalamucić! Wmówiłem mu, co chciałem, podpisałem, co kazali, a teraz silniejszy jestem niż kiedy! Niech mi kto się w drogę wleć odważy!

I nim się przyjaciele na odpowiedź zebrali, dodał szydersko:

Z tym królem ja zawsze zrobię, co zechcę, tak jak inni, co koło niego są, czynię z nim, co się im podoba. Siostra mu koronę wzięła dla swojego syna, Suchywilk mu prawa dyktuje... Żydówka mu się sprzykrzy, królowa młoda, a to moja pani, bom jej łask pewny... przez nią i mój rozum doprowadzę do tego, com zamylał...

Natychmiast kazał Borkowicz miód i wina przynieść, szaty swe zrzucił, które w dworze miał, bo mu one ciężyły, rozparał się na ławie, legł i językowi pucił wodze.

Inni ostrożniejsi na próżno się go hamować starali; nie dbał o nic, nie lękał się niczego.

W początku zamierzał natychmiast Kraków opuścić i do Wielkopolski powracać, nieprzyjaciółom swym okazując, że nad nimi wziął górę; namylił się potem i dzień lub dwa, jak powiada, dla wypoczynku, chciał jeszcze zabawić.

Ci, co go znali, wiedzieli o tym dobrze, że Borkowicz spoczywać ani potrzebował nigdy, ani lubił. Co więcej jeszcze miał do czynienia. Dnia następnego począł odwiedzać co znaczniejszych przy królu bawiących panów, pojechał do biskupa, odwiedził postarzałego Neorzę, który uzyskawszy przebaczenie króla cicho siedział i pokłonie tylko szemrał przeciw niemu.

Z jego to ust pono wyszło po raz pierwszy owo przezwisko obelżywe, które Kamirzowi pozostać miało jako chwała jego króla chłopów...

Neorza przyjął wielkopolskiego warchoła z większą ciekawością niż wiarą w niego.

A co? rzekł mu. I wycie przybyli królowi do nóg pać, o przebaczenie prosić i nie mylicie już o waszych swobodach ziemskich. Tacycie wszyscy... na języku u was wiele, a gdy przyjdzie do roboty, nikogo nie ma!

Tak sǳdzicie? odparł szydersko Maciek. Omylicie się pono na mnie! Ja długo moje pisklę wysiaduję, ale gdy się ono narodzi, będzie na co patrzeć...

Znosek! rozmiar się Neorża, ramionami ruszając i splunął.

Borkowicz z czerwonego stał się usłyszawszy to karmazynowym. Spojrzał pogardliwie na ociężałego starca.

Jakom żyw, nigdy nie miałem myli, której bym nie dokonał! rzekł. Zobaczycie wy i ci, co mi zawierzili, że mu Wielkopolskę wyrwę...

Podniósł pięć stuloni w górę.

Może mu i co więcej wezmę, o czym mówić nie chcę dodał miejsc się. Zobaczycie!

Neorża niedowierzając głowę trząsnął; to Borkowicza rozjęstrzyło. Nachylił mu się do ucha.

Nim jego się stała, jam z teraniejszą królową miłość miał... Przez nią panem tu będę...

I piercień na palcu ukazał zdumionemu Neorży, który zamilkł.

Król zestarzał, łatwowiernym się stał, miękkim, żona nim władać będzie, gdy zechce, a ja nauczę ją, jak... mówił przechwalając się Borkowicz i nie dopowiedziawszy, co myślał, urwał nagle.

Rozstali się z Neorzą wkrótce, bo Maćkowi pilno było jeszcze w różne kęsy zagłęść. Chciał tu mieć swych obrońców i przyjaciół nie żałując na to, by ich ujść sobie.

Zmierzchało już dnia tego, gdy sługi swe odprawivszy do gospody, sam jeden okrywivszy się oponczą, aby łatwo poznanym być nie mógł, starosta wlicznął się do zamku. Czasu wesela wypatrywivszy, gdzie było mieszkanie królowej i niewieściego jej dworu, wprost wszedł do Konradowej.

W oknach jej wieciło się już; Maciek podszedł naprzód pod nie, rozględał się dokoła uważnie, potem miało do komnaty wkroczył.

Na widok jego stara ochmistrzyni, która słyszała już o jego pobyciu w Krakowie, lękając się, aby przy dziewczętach, których dwie tu się znajdowało, nie poczł mówić, czego one słuchać nie były powinny, skwapliwie je precz wysłała.

Widzicie odezwał się Maciek z miną wesołą że ja o starych znajomych nie zapominam, a nie mam zwyczaju z rękami próżnymi wychodzić. Choć mnie królowa le odprawiła, sǳdę, że się namyleć musiała; trzeba mi widzieć się z nią, to nic nie pomoże...

Konradowa słuchała nadśšana:

Idcie sobie szukać innego posła do tego rzekła bo ja ani wiedzieć, ni słyszeć nie chcę!

Jam to już i od was, i od niej słyszał odparł Borkowicz ano, odpędzić się nie dam... Nie

doprowadzajcie mnie do ostatka... bo le będzie... Ze piercień okażę i powiem, jakem go dostał i gdzie to jeszcze nic, lecz gdy się mcić zechcę, powiem więcej to, co było i czego nie było!!

miał się mrugajśc okiem.

Stara ochmistrzyni, tym razem już otrzaskana z pogrózkami, tak wielkiego jak wprzódy nie okazała strachu. Podniosła nań oczy, popatrzała i nie odpowiadajśc poczęła jakś robotę oglśdać.

Borkowicz stał i czekał, ale na próżno. Gniew w nim rosnił.

Namylilicie się? zapytał.

Myleć o czym nie było zamruczała stara. Idcie sobie ode mnie... nie wskóracie tu nic.

Zniecierpliwiony rzucił się Borkowicz i klść zaczął po cichu.

Czasu czekać nie mam rzekł jutro ma stśd jechać trzeba... Tyle tylko powiadam wam, abycie królowej donieli, że dziesięć dni czekać będę... Zechce mi dać ucha, przyjadę tak, że nikt mnie tu nie ujrzy, odpowie, że mnie nie zna, naówczas ja okażę, żeśmy się i dobrze znali... Dziesiśtego dnia przyjdzie tu pacholę ode mnie po odpowied... Będę wiedział, co czynić, tak lub nie.

Konradowa potrżśnęła głowś.

Ja wam dzi już powiadam nie; darmo pacholę trudzić...

Gardłem mi odpowiesz, wiedmo stara zawołał z gniewem Borkowicz jeli pani swej zataisz, z czym jeszcze raz przyszedłem!

To mówiśc popatrzał na nieruchomś staruszkę, zzymnił się i poszedł do drzwi.

Zaledwie się one za nim zamknęły, gdy drugie od komnaty królowej otwarły się zwolna. Zbladła twarz Jadwigi ukazała się w nich.

Na widok jej popiesznie wstała Konradowa chcśc się tłumaczyć, lecz królowa nie dajśc jej ust otworzyć odezwała się poważnie:

Drzwi u was dla wszystkich stojś otworem? Od dzi dnia niech pacholę moje będzie na straży i nie wpuszcza mi tu nikogo bez opowiedzenia.

Konradowa tłumaczyć się chciała, królowa skinęła rękś.

Słyszelicie? powtórzyła surowo taka jest wola moja!

Odwróciła się od niej i wolnym krokiem wróciła do swej komnaty.

Maciek zły i niecierpliwy przybiegł do gospody, po drodze ludzi swych okładajśc razami silnej pięci, zastawszy w sieni

zgrupowanych nad piwem. Kazał się natychmiast do podróży sposobić.

Przyjaciele, którzy go widzieli przez te dni wesołym i rozochocionym, nie mogli odgadnąć, co się z nim stało. On sam nie przyznał się im do niczego.

Nie mamy już tu co robić! rzekł. A w domu jest co poczynać. Jutro na koń!

Do dnia wyciśnęli Wielkopolanie nie opowiedziawszy się nikomu, tak że wielu potem znajomych do pustej gospody się dowiadywało.

Borkowicz zwycięsko ciśgnął wprost do Poznania nie obawiając się ani Wierzbicy, ani innych, których znał sobie nieżyczliwymi.

Przybyło mu buty jeszcze od ostatniego królewskiego wyroku, a gdy go towarzysze po drodze ostrzegali, aby ostrożnym był, miał się na głos wołać:

Z królem tym ja uczynię, co zechcę! Zna on siłę moją... Do walki za stary... będzie wołał Wielkopolski się wyrzec, niż ze wszystkimi ziemianami o niś się rozbijać a ja teraz mieć będę ich wszystkich.

W Poznaniu zawczasu się go spodziewano, bo z Krakowa doszły wieści, że król Borkowiczowi wielkorządzi miał zdać i wszystko zwierzyć.

Co było mniej miałych nieprzyjaciół, przycichło i usunęło się.

Wierzbicy patrzył z dala; on jeden nie zmienił ani przekonania, ani pozbył swej nieufności. Borkowicz, chociaż się nań odgrażał po cichu, po wieższej sprawie z Beńkiem zaczepiać nie miał. Wiedział, że nastraszyć nie potrafi, a nowego gwałtu popełniać nie chciał tak rychło.

Poczeka on, ale nie straci ha tym mrucał. Znajdę go później, gdy tylko zechcę.

Tak samo jak w Kominie, rozłożył się przybyły w Poznaniu otwierając dom i ugaszczając ziemian, którzy się do niego jeszcze skwapliwiej cisnęli.

Nadjechał brat z Czacza, przybył syn na powitanie zwycięzcy...

Z Jaka, który odwagi nie miał towarzyszyć mu do Krakowa, Maciek niemiłosiernie się wymiewać począł i nierychło mu to przebaczył.

mielszy niż przedtem, głono ziemianom mówił, że potrzeba, aby stara Wielkopolska nie dała się jak garć młki na upieczenie placka zgnieć i w nowš Polskę Kamirzowš, jak podbita Ru, wcielić.

My swoje prawa mamy, obyczaj dawny, odrębność i przy tym stać musimy!!

Potakiwali mu wszyscy, bo im w to grał, że ziemianie od króla więcej znaczyć powinni, oni, co sobie księżst i panów wybierali dawniej i zrzucali.

Czas upływał na tych zbiorowiskach. Borkowicz się na co oczekiwać zdawał, dni rachował, mówił, że z Krakowa posła się z ważną wiadomością spodziewa... Co mu stamtąd przywieć miano, nie mówił nikomu...

Upłynęło dni czterdzieści, a owo pachole, zręczne chłopię, zwane Chwałkiem, które Maciek zostawił w Krakowie, nie powracało. Chwałek nie był starszy nad lat dwadzieścia, ale jak ogień żywoty, przenikający, zręczny, a Borkowicz mu zwierzał często takie sprawy, na które niejednym starym by się nie wazył.

Co dzień pytał o Chwałka, co dzień się go spodziewano nie przybywał. Piętnastego dnia wreszcie Chwałek nadbiegł. Koń mu w drodze zakulał. Ledwie z niego zsiadł, kazano mu iść do starosty.

Czekał nań we drzwiach Borkowicz.

Co przyniósł? zapytał wpatrując się w posłańca.

Wróciłem z próżnymi rękami odparł Chwałek. Do baby mnie nie dopuszczono. Izby jej teraz straż pilnuje, wejść lada komu nie wolno!

I dał się jak mucha odegnąć? wrzasnął Borkowicz.

Zasię! nie! rzekł rano chłopak rozgniewany, że go o takie niedołęstwo posłdzono. Było rozkazanie ze starosty

rozmówić i odpowiedź przynieść, to się o nią starać musiał. Nie pucili mnie drzwiami, wdrapałem się do okna i później stukał, aż wyjrzeć musiała. Powiedziałem jej, com zaczął... i tyłem wskórał, że mnie natychmiast precz z zamku wyżeniono... Wrótny mi zapowiedział, że się do wieży dostanę, jeśli tam jeszcze nos pokażę.

Opowiadania tego słuchając Borkowicz zbladł, zęby zacisnął i zgrzytnął nimi, Chwałkowi pięćś pogroził i krzyknął:

Precz!...

Nazajutrz wyszedł do swoich panów ziemian jakby innym człowiekiem. Widać w nim było przez noc wezbrany gniew i zapamiętałość wielką.

W rozmowie u biesiady codziennej nie o Wielkopolsce i jej prawach mówić począł, ale się z króla urzągał.

Tym nawet, co do jego miałych przechwałek byli nawykli, wydało się dziwnym, iż pomiarkowania nie miał żadnego.

Król to żydowski i chłopski! nie darmo go tak zwąsł począł na głos... Nas, ziemian, nie lubi, tak jak my jego... Ano, zobaczymy, czy, gdy całe rycerstwo przeciwko niemu się podniesie, chłopci go, Żydzi i mieszczanie obroniś...!

Mało kto odważył się nawet głowś mu potakiwać. Borkowicz mówił, jakby w sobie utrzymać nie zdołał, co mu dopiekało.

Królowę sobie też dobrał, jakiej był wart. Jam ci jś znał i ciskał, nim królowi jś dano... Podniósł rękę do góry.

Na wiadectwo mam oto ten piercień na palcu... Dała mi go na pamięć, żemy się z niś kochali, gdy już była zaswatana... A nie inny piercień, tylko ten, co go od króla miała...

Słuchajšcy osłupieli. Mówiono wprawdzie o stosunkach jego na dworze lšskim, ale tak jawne przechwalanie się wszystkim Usta zamknęło.

O! królowa! królowa! dodał wychylajšc kubek Borkowicz niech nam będzie zdrowa! po lubie przecie nie zapomniała o mnie, bom u niej w sypialni bywał... jako mnie żywego widzicie!

Kilkadziesišt osób słuchało powieci nazajutrz jś z ust do ust powtarzano.

Mieniš się ludzie.

Stara Konradowa, która znała Jadwigę księżniczks dosyc płochš, wesołš a łatwš, królowš jej poznać nie mogła.

Z koronš razem, włożonš na skronie, dostojnoć, powaga i rozum przybyły. Życie nie płynęło jej wesoło, nie chmurzyła się nim zbytnio.

Król dla młodej żony ani złym, ani dobrym nie był. Czuła, że serce jego gdzie indziej mieszkało, nie skarżyła się. Patrzała nań jakby z miłosierdziem, oczyma miałymi, tak że często przed jej wzrokiem Kamirz musiał uchodzić. Nadto czytała w jego duszy.

Dni kilka czasem król się u niej nie pokazywał; powiadano, że na łowach był, słyszała od drugich, że odpoczywał w Łobzowie.

Nie spytała go nigdy ani się użaliła. Ciężarem mu być nie chciała.

Zbliżył się do niej nie okazywała żalu, ale nie kłamała czułoci zbytniej. Chłód męża dumę w niej wywoływał. Była piękns, młodš i widziała się godnš przywišzania, żebrać go nie chciała. Zdawało się jej może, iż ono przyjąć musi samo.

Niekiedy król z ciekawociš się w niš wpatrywał, badał chłodno, lecz zbliżać się więcej nie zdawał skłonny.

Była jakby obawa jaka w nim... Chociaż na jednym zamku mieszkali, gdy Kamirz mógł sprawami pilnymi się wytłumaczyć, niekiedy po kilka dni ani przychodził do królowej, ani jś widywał.

Naówczas młoda pani zasiadała do krosien i szyła lub kapelanowi rozkazujšc sobie czytać pobożnš księgę jakš, słuchała.

Skąd się jej te obyczaje wzięły? mruczała Konradowa. Kto by to powiedział, że z niej taka będzie królowa?

Jednego poranku zdziwił się mocno król, gdy mu Kochan przyszedł oznajmić, że królowa doprasza się z nim rozmowy.

Pierwszy się to raz trafiało. Kamirz zadumał się usiłując odgadnąć, czego by żądać mogła niewiasta, która mu się dotąd nigdy nie narzucała.

Spodziewał się proby lub skargi... Dnia tego nie bardzo był rad rozmawiać. Do wyjazdu wszystko było gotowym. Estera, która niedawno drugim synem obdarzyła pana swego, słabsz jeszcze była; król widzieć ją pragnął.

Wysłał więc Kochana do Jadwigi z tym, że jeli sobie czego życzyła lub żalić na co chciała, mogła to posłowi zwierzyć.

Gdy Rawa przyniósł odpowiedź króla, Jadwiga, która ubrana czekała, oczyma go zmierzyła chłodno i rzekła:

Jeli król czasu nie ma, czekać mogę, nie chcę mu być przeszkodą; lecz sama z nim mówić muszę. Powiedzcie mu to ode mnie.

Nie okazała najmniejszej niecierpliwości, chociaż strój zdradzał, że się Kamirza widzieć spodziewała. Już przez wrodzoną niewiecią zalotność, już dlatego, że niczym innym zajmować się nie mogła, królowa co dzień lubiła się przystrajać bogato i wdzięcznie. Tych dni, gdy króla się mogła spodziewać, ubiór jej bywał najstaranniejszy. Dobierała szaty i klejnoty, lubować się zdawała w piękności swojej. To jedno jej z dawnych, młodszych czasów pozostało.

Po wyjściu Kochana królowa, westchnawszy, zwolna klejnoty, w które się przystroiła, zdejmować zaczęła, gdy pacholę nadbiegło, o królu znać dając.

Zarumieniona Jadwiga włożyła na palce zrzucone piercienie, spojrzała w małe zwierciadło i krokiem wolnym wyszła do swojej komnaty gocinnej, do której w tejże chwili Kamirz, w stroju myliwskim, drugimi drzwiami szybkim krokiem wchodził.

Skłoniła się nisko królowa nie zbliżając nazbyt.

Chcielibyście mówić ze mną? zapytał król.

Tak jest głosem trochę drżącym odpowiedziała królowa. Potrzebuję mówić... Posłuchajcie mnie, a jeli słusznym uznacie, wecie stronę moją.

Rumieńcem oblała się twarz jej młoda. Król wpatrywał się w nią pilnie.

Milczałam, dopóki mogłam dodała zwolna Jadwiga dzi moje i wasze dostojęństwo dłużej nie dozwala.

Coraz bardziej zdziwiony król słuchał z uwagą natężoną.

Dni temu parę rzekła z Wysiłkiem mężnym królowa na zgromadzeniu wielkim, na głos, jawnie przechwalała się ten, któremu wy życie darowalicie, że mnie dziewczynę znał, że mnie miłował... kłamał, że go miłowała miał rzec, że po lubie, tu... w zamku był w sypialni mojej.

Pobladł król i krokiem się cofnął, twarz mu się zmieniła dziwnie, straszno. Nie był to już zubożniały ów człowiek któremu nudne życie obrzydło, ale monarcha obrażony na czci gromy.

Posłuchaj mnie ciśnieła dalej omielając się królowa. Bywał Borkowicz na dworze naszym, widywałam go chętnie, przekupił sługi, aby się ze mną na osobności widywać, Byłam młodą, niedowiadczą, a sługi miałam niegodziwe... Wkradłszy się do mnie raz ostatni, gwałtem mi wasz piercień z palca ciśnieł. Winę jest moją, że nie krzyczała naówczas i matka ukarać nie dała. Tym piercieniem skradzionym on się przechwala...

Boga biorę na świadka dodała królowa że nad to nie miał ode mnie więcej nic, nawet słowa dobrego. Gardzę nim. Zuchwalec czasu wesela naszego wdarł się do izby ochmistrzyni i był na progu mej sypialni. Precz go wypędziłam!

Tu królowej głosu na chwilę zabrakło,

Zeznaję to jak na spowiedzi i gotowam poprzysiąc dodała. Domagam się ukarania tego człowieka... tym bardziej... tym usilniej... że...

Zamilkła i twarz nowym się rumieńcem okryła.

Ze spodziewam się być matką i ani na mnie, ni na dziecięciu cień nawet potwarzy nie powinien postać!

W przerwach mowy, gdyż kilkakrotnie uczucie wezbrane siły jej odbierało, król się nie odzywał, nie dał po sobie znaku żadnego, jak przyjmuje to zeznanie, Błędem był i oczy jego ciskały pioruny... Odgadnąć było trudno, na kogo one wymierzone były, na obwinionego czy na niewinną a mężną królową.

Spojrzała nań niemialo i odezwała się po chwili małej:

Co mówię, sprawdzić możecie... Dlatego precz nie odegnała starej Konradowej, która była pomocniczą niegodziwego człeka, aby mi na wiadectwo stanąć mogła.. Badać już kaźcie... wyzna... Winną nie jestem... Człek ten tak zuchwałym był, iż mi pochwyconym piercieniem groźbę domagał się... tajemnego widzenia ze mną precz go odegnać kazałam.

Czyńcie, co przystało!!

To mówiąc królowa, która stała dotąd, zachwiała się wysilona; obejrzała się szukając siedzenia, a król popieszył, podając jej rękę, doprowadzić do bliskiego krzesła.

Nie powiedział słowa jeszcze...

Człowiek ten zginąć musi wyjąknął wreszcie otwierając usta zacinięte i zginie mierzwi takż, by dziesiąte pokolenie jż pamiętało, a wiedziało, jak ma królewski majestat szanować...

Oczy królowej podniosły się ku niemu; spotkała wzrok, jakiego nie widziała nigdy i nie znała. Król był sędziż, nieubłaganym, czuła, że na łaskę jego, na miłosierdzie rachować nie mógł winowajca.

Prawdem wyznała! dodała cicho na mojs obronę więcej słowa nie mam...

I obrony nie potrzebujecie wcale! odparł król z zimns powagş. Słowo wasze starczy mi. Prawdę w nim czuję... winy nie ma...

Mówiżc król odstşpił kroków kilka zadumany.

mierzwi zginie okrutns potwarca dodał. Przebaczyłem mu mordy i gwałty, oskarżano go o zdradę, nie wierzyłem. Urósł dobrodziejstw y moimi... padnie zgnieciony jak nędzny robak, którego stopş mojs wbiję do ziemi...

Widżc królowsz zbladłż i drżcş Kamirz przybliżył się do niej i ujsł jż za rękę.

Proszę was, dla zdrowia i spokoju, abycie się o los tego nędznika nie dowiadywali. Rzeczcie sobie, że go już nie ma na wiecie. Pomszczonş będziesz, jak być powinna królowa, na którş nikczemnik miał się porwać...

Słabym głosem dokończył król i w dłonie uderzył, aby służbę do na wpół omdlałej przywołać.

Dopiero gdy stara Konradowa, przelękniona, pokazała się na progu, Kamirz z przymuszonym na ustach umiechem zwolna wyszedł z komnaty.

Ci, co go spotkali po drodze, spostrzegli, że co się stać musiało nadzwyczajnego. Rzadko widywano Kamirza, który powagş chłodns w najcięższych wypadkach utrzymać umiał, zmienionym tak jawnie i tak straszno, Często włanie pod martwym wyrazem twarzy szukana w nim wzruszenia, teraz ono było tak uderzajşcym, wyraz oczów tak gronym, iż wszyscy pierzchali przed nim...

Konie do wyjazdu stały w przedsieniu, Łowczy i podkomorzy czekali przy nich; Kamirz skinşł, aby je odprowadzono,

Ponieważ szedł od królowej, domylano się, iż ona gniew jego na siebie obudzić musiała.

Nie znajşc przyczyny, która wywołała nie skrywany ten gniew Kamirza, wszyscy, co go znali, widzieli, że strasznego co zaszło pomiędzy małżeństwem; nikt nie miał ani pytać, ani się nawet zbliżyć do pana, którego oblicze pałało, a ręce drżały... Jeden Rawa, widżc go powracajşcym do swych izb i konie odesłane do stajen, popieszyl pytać, czy sukni zmienić nie zechce.

Zastał króla siedzşcego w krzele przy stole i pogrşżonego w mylach głąboko. Nie widział go tak zmienionym nigdy, bo zwykł był trzymać uczucia na wodzy.

Zobaczywszy Rawę, król jakby się obudził, chciał co mówić, zatrzymał się, zamilkł, wstał,

przeszedł, siadł znowu.

Sędziego mi powołać każ rzekł krótko.

Sędziś krakowskim, który z ramienia i rady ks. Suchywilka na ten urząd wyznaczony został, był Mikołaj Doliwczyk, którego za młodu przewano lepcem, dlatego że, krótki wzrok mając, oczy przymrużał i z bliska wszystkiemu się przypatrywać musiał.

Człowiek był w prawie biegły, niegdy do stanu duchownego przeznaczony zimny, obojętny i całś duszś oddany powołaniu bezzenny i bezdzielny, nadzwyczaj skšpy, zdawał się mieć

dwa w życiu cele zostać najuczestszym z prawników i najmajętniejszym z Doliwów.

Ani dobry, nie zły, co tylko mógł poprzeć jakim kodeksem, przykładem, statutem, jakś uchwałś, prawem zwyczajowym, to mu się zdawało usprawiedliwionym. Pojęcie prawa dla niego całe było w giętkoci jego i zastosowaniu do potrzeb chwili; zasadzał rozum na tym, aby umieć zawsze znaleźć to w zasobach nauki, czego mu było potrzeba.

Sama powierzchowność człowieka odstręcająca była. Nie patrzył w oczy nikomu, chodził z powagś wielkś, nie poruszał się niczym, oprócz sprawy majątnoci własnej, nie przyjanił z nikim nie kochał nikogo, Wrażał bojań we wszystkich, bo znano zasadę jego, że prawo było przeznaczone do powciśgania i karanja ludzi.

Względem panujšcego, którego jako najwyższego sędziego, nad wszelkie prawo pisane i zwyczajowe mającego większ władzę szanował, Mikołaj był zawsze najposłuszniejszym z narzędzi.

Ks. Suchywilk cenił go dla wielkiej pamięci, erudycji i... nieskazitelności jego. Jakkolwiek bowiem lubił grosz i kapitał, nikt by nawet nie miał pomyleć o zyskaniu go lub przekupieniu,

Życie, które sędzia prowadził, było zastosowane do charakteru. Na godzinę oznaczonś zjawiał się w sšdzie nikomu nie przebacząc opieszaloci nielitociwie dosiadywał do końca i jeli go urzędowe czynności nie wzywały nigdzie, zamykał się potem w domu nad księgami. Nikt go nigdy nie widział na żadnej biesiadzie, przy żadnym stole, ale tam, gdzie miejsce dla sędziego, był niemiłosiernym także.

Na zamku odbywały się włanie sšdy, gdy Mikołajowi znać dano, że król pilno go wzywał.

Król? to znaczyło, że wszystko porzucić natychmiast musiał i biec posłuszny.

W chwili odprawił strony, które sprawę swś wywodziły, i popieszyl do komnat pańskich.

Zastał Kamirza jeszcze nie ostygłego...

Sprawa jest rzekł król po namyle w której ja obrażonym i dotkniętym jestem na czci mojej, a ta czeć moja to czeć korony i królestwa!! Sędziś być waham się, bom razem stronś... a muszę!!

Błysnęły oczy Kamirzowi.

Słuchaj rzekł na co zasłużył człek, potwarca i kłamca, który na sławę i spokój pana swojego nastaje... chlubi się...

Król był tak poruszony, iż mówić przestał na chwilę. lepiec stał namarszczony, chciwy posłyszania, o co chodziło. Nie mogąc doczekać rychło reszty mowy królewskiej odezwał się suchym głosem pedagoga:

Obraza majestatu królewskiego, choćby tylko przedsięwzięta a nie spełniona, jest obrazem Boga, którego pomazańcem i zastępcą jest każdy monarcha na ziemi. Kara główna... mierz!

To mało! zawołał król uderzając o stół ręką.

Rodzaj mierci może monarcha sam naznaczyć, wedle stopnia winy rzekł sędzia.

Wina większa być nie może nad popełnioną przez tego złoczyńcę odparł Kamirz. Obsypałem go dobrodziejstwami, przebaczyłem mu wielokrotnie. więź przekonany o zabójstwo darowałem życie.

Maciek Borkowicz? spytał cicho lepiec.

Imieniem tym ohydny ust sobie kłać nie chcę... podnosząc głos począł król.

Stało się milczenie na chwilę.

Sędzia z oczyma wlepionymi w podłogę, zamylony, wahał się, co powiedzieć miał. Król czekał.

Pomnij wtrącił że nie tylko zdrajcę go dziś uznaję, czemu niedawno wierzyć nie chciałem, lecz... na królowej cześć potwarz miał rzucić!... Na niewiastę, na ukoronowaną małżonkę naszą!...

Sama ona ze łzami i skargą na niego przyszła do mnie... Dowodów nie potrzebuję, obrona niemożliwa, wina jawna.

Sędzia myślał.

Gdyby gardło dał... mało by było rzekł. Pod pręgierzem język mu kłamliwy wyrwać kat powinien i kara taka jak na ojczobójców, jak na wietokradców... Większej nie znamy.

Wzdrygnął się król i zadumał. Gniew z wolna ustępował, wrodzona mu dobroć brała górę.

Chciałem sumienie moje mieć przez was objanione odezwał się dosyć mi na tym... Przebaczyć mi nie podobna, przykładu potrzeba... zginąć powinien...

Zginąć jako ojczobójca powtórzył sędzia z przyciskiem. Zaszyty w wór, razem z wężem, kotem...

Król dał znak ręką, że więcej słyszeć nie chciał. Myśl jaka przeszła mu snad po głowie.

Dziękuję wam rzekł odprawiając sędziego. Zachowajcie przy sobie, cocie słyszeli ode mnie. Milczenie nakazuję. Nie chcę, by złoczyńca zasłyszawszy zawczasu, co go czeka, uszedł od słusznej

zemsty mojej do swych przyjaciół Brandenburgów, do moich nieprzyjaciół Krzyżaków.

Szybko zwrócił się król ku drzwiom drugim. Kochan! zawołał głos podnosząc, pewien, że ulubieniec blisko być musi.

Rawa stał już w progu, gdy lepiec, schylony do ziemi pokłonem, wysuwał się drugimi drzwiami.

Zobaczywszy go Kamirz się przeszedł po izbie milczący, jakby sobie chciał dać czas z gniewu ochłonąć.

Maciek Borkowicz jest przeze mnie na mierzć skazany rzekł stając. Potwarca miał się przechwalać łaskami królowej, skradzionym jej piercieniem usiłował wedrzeć się do sypialni jej...

Spojrzenie na Rawę wstrzymało dalsze słowa. Kochan twarzszą i ruchami dawał znać, że o wszystkim tym był zawiadomiony.

Mów przerwał król.

Dawno tego zbója na wiecie już być nie powinno odparł Kochan. Wart najsroźszej kary... ale miłosierdzie wasze...

Będę niemiłosierny, srogi okrutny! zawołał król. Wiesz wszystko?

Wiedziałem wiele, domyślałem się wszystkiego rzekł Kochan.

I milczałem? z wyrzutem oburzenia spytał Kamirz.

Czekałem sposobnej chwili.

Wejrzenie dziwne, podejrzliwe rzucił król na ulubieńca.

Pomnisz Baryczkę? rzekł nagle. Za twoją sprawę, za tę mierzć, której ja nie nakazywałem, której nie chciałem... za twą samowolę, Kochan cierpiałem i milczałem... ocaliłem ci życie... nie zapierając się... Pomnisz to? Dzi powinienie za to odpokutować!

Kochan zdziwiony podniósł głowę. Nie pojmował, jaki związek dwie te sprawy z sobą mieć mogły.

Tak, za karę, że miał być katem samowolnie, dzi ja cię katem czynię nad Borkowiczem. Daję ci moc... Rób, co chcesz... Powiniene mu wziąć życie... Wieszaj go, cinaj, rwij na sztuki... to rzecz twoja... ale mi się nie staw na oczy, póki on żywy chodzi po wiecie... Głowę mi jego przynieść musisz...

Kochan, który się najmniej podobnego polecenia spodziewał, stał jak osłupiały. Tłumaczyć się nie było sposobu ani wypraszać. Rozkaz stanowczy, nieodwoalny, z jednej strony był dlań zaszczytem, z drugiej trudnym i przykrym.

Wiedział Kochan, że zadanie łatwym nie było, że złoczyńca silny, przebiegły, zuchwały, w obronie życia mógł się do ostateczności posunąć. Znaczyło posłannictwo to, że życie swe stawić musiał.

Wspomnienie Baryczki czyniło przykrzejszym rozkaz króla, który milczał długo, a winy nie zapomniał.

Kochan głowę zwiesił.

Słyszałe! powtórzył król id, wybieraj się w drogę. Spiesz, aby ci nie zbiegł... Jeżeli ucieknie, biegnij za nim. Życie nie powinien. Jako znak mierci, przyniesiesz mi piercień królowej, skradziony, porwany siłs. Milcz, jed i nie daj mi czekać na spełnienie rozkazu.

Rawa chciał co przemówić, lecz spojrzawszy na króla nie ważył się, głowę pochylił i wyszedł.

Na zamku zawsze jeszcze tajemnicz było, czym króla gniew został wywołany. Przywołanie sędziego, potem Kochana, odprawa jego nagła, rozkazy wydane pocztowi do drogi, posłanie po kanclerza, który list królewski otwarty dla Rawy miał sporządzić, Wszystko to razem do najwyższego stopnia obudziło ciekawość dworu.

Królowa po wyjściu Kamirza, zamknięta, płakała.

Trwoga jakiego wypadku tajonego a straszego ogarniała wszystkich. Nie dowiadczono srogoci króla, ale czuli to otaczający go, że w gniewie mógł się do nieubłaganego posunąć okrucieństwa.

Drżało wszystko.

W godzinę potem wiedział już Wierzynek, iż co zaszło na dworze; uwiadomionym był ks. Suchywilk, który do króla popieszył nawykłym będąc, iż go do rady w ważniejszych sprawach powoływał.

Gdy nadszedł powiernik, król już w znacznej części z pierwszego gniewu ochłonął, lecz jak po ogniu gorycze dymu pozostaję w powietrzu, tak po nim została w duszy Kamirza żółć i boleć.

Miarkuję się, spokojnym być staraję, opowiedział ks. Janowi sprawę swoją kończę krótko nieodwołalnym mierci wyrokiem.

Ks. Suchywilk nie miał przemawiać za winowajc.

mierci jest godzien rzekł lecz miłość wasza, karzę go, dasz rozgłos sprawie niemiłej... którą ciemności i milczenie na wieki pogrzebać powinny...

Któż będzie miał usta otworzyć po spełnieniu wyroku? odparł Kamirz.

Ks. Suchywilk zamilkł.

Król usiedzieć w miejscu nie mogę przechadzał się cięgle.

Otóż macie przykład tego, czym jest rycerstwo moje,

czym dla mnie ziemianie, którzy podporś tronu być powinni

odezwał się z goryczą. Rzucajś mi w oczy jak zbrodnię, żem chłopów umiłował, że Żydom daję opiekę, że mieszczan bronię!!! Na Boga! zaprawdę, tak, czynię to, bo u tamtych pokrzywdzonych, ucinionych czuję, że mam miłość, u ziemian za dobrodziejstwa odbieram niewdzięczność i zdradę!!! Tak ci jest! Nie taję, Jednych podnieć pragnę, drugich okiełznać... Sprawiedliwa rzecz i winy za niś przed Bogiem nie będę mieć.

Uczuł się ks. Suchywilk, jako dziecię ziemian, jako rycerstwa potomek, dotkniętym.

Miłociwy panie rzekł dla jednej owcy parszywej całego stada potępiać się nie godzi.

Gdyby jedna tylko w nim była! rozmiar się król. Wiem ja i czuję, na kogo rachować, a kogo się obawiać muszę,,. Któż, jeli nie ziemianie, zmusili mnie niemal do tak wczesnego przekazania korony siostrzeńcowi, który im złote obiecuje góry?

Król westchnś i zwracajśc się do Suchywilka dodał ciszej:

Bóg jeden wie, co przyszoć gotuje królowa przy nadziei.

Ks. Jan skłonił się winszujśc i ręce składajśc do modlitwy.

Daj Bóg, by nam dziedzica tronu na wiat wydała! rzekł cicho.

I w takiej to chwili złoczyńca ten wybuchnś król z gniewem wznowionym miał na niś potwarz rzucić, aby plamś skazić kolebkę mojego następcy...

Kapłan zmuszony był pocieszać i umierać króla, pozostał przy nim długo i nie odszedł, aż go zobaczył ułagodzonem i spokojnym. Przyczyniało się do tego, że sprawę pomsty czci swej powierzył Kochanowi, którego wierność dla siebie, przywiśzanie, odwagę i przebiegłość znał dobrze.

Wybór ten i ks. Suchywilk pochwalił; trudno było o lepszy.

Wyszedłszy od króla uczuł potrzebę widzenia się z Rawś, który, mimo największego popiechu, wyjechać jeszcze nie miał czasu.

W mieszkaniu królewskiego ulubieńca panował nieład największy. Służba zwijała się ciśgajśc rzeczy, gotujśc oręż, wiśżśc sakwy... Dworzanie napływali jedni żegnać, drudzy wybadać i co się dowiedzieć od niego.

Kochan opowiadał fałszywie, że do Pragi był wysłanym... Nie chciał, aby cel podróży odgadywano. Dziwnym się musiało wszystkim wydawać, że najdobrańszych, najmielszych, najsilniejszych brał do boku towarzyszów. W spokojnej Pradze postawnych i okazałych mógł potrzebować tylko.

Ujrzawszy u progu ks. Jana Kochan wybiegł na spotkanie dostojnego przyjaciela królewskiego i szedł z nim na osobność do przyległej komory.

Nie potrzebował nawet dopytywać o to, że on o wszystkim był zawiadomiony.

Ciężar na was spadł wielki odezwał się ks. Suchywilk.

Nie łudzę się żywo odpowiedział Kochan głowę swš niosę idšc jš wzišć temu warchołowi, lecz pan rzekł...

Zamylił się nieco i dodał:

Tak, życie mu wzišć, to nic, ale potrzeba go ukarać, jak zasłużył, i przykład na nim dać zdrajcom, co się na majestat pana targać miejš. Muszę być okrutnym, będę nim.

Nie nad miarę rzekł zwolna ks. Suchywilk. Srogoć kary każe się większej winy domyłać.

Większš być nie mogła żywo przerwał Kochan. Wiem więcej, niż królowi powiedziano... Zdradę knuje, pani naszej sromotę uczynić chciał, a przechwalał się jej łaskš. Małoż tego?

Ksišdz popatrzał nań z natężeniem i powagš.

Ukarz rzekł a nie mcij się; zemsta dowodzi, że ciężko się czuł obrażonym. Majestat króla zbyt wysoko stoi, aby go jeden nikczemnik mógł dosięgnšć.

Rozumne te słowa, które Kochan milczeniem przyjšł, nie uczyniły na nim wrażenia, jakie zrobić były powinny. Miał już zbyt silne postanowienie okazania się okrutnym.

Miłość dla króla, gniew pana, którego był wiadkiem, czyniły go tak jak osobicie dotkniętym.

Lecz nie doć było powiedzieć sobie: ukarzę, pomszczę. Kochan. wiedział, że porywał się na zadanie trudne, które tylko

z nadzwyczajnym popiechem i odwagš wielkš mógł spełnić. Potrzeba było dniem i nocš biec za Maćkiem Borkowiczem, nimby wieć do niego doszła, co mu grozi...

Szczęciem tajemnica, choć w połowie niewiastom zwierzona, uchowała się i na dworze nic nie odgadnięto, a Maciek, uzuchwalony ostatniš swš bytnociš w Krakowie, wcale nie przeczuwał, iż słowa jego, nierozważnie rzucone, tak się odbijš daleko i prędko...

Szydził z niedołączności króla, a tym, co go do większego pomiarkowsnia i ostrożności skłaniali, odpowiadał grubiańskimi szyderstwami.

Z Poznania, w którym przebywał czas doć długi, włanie gdy Kochan, majšcy go cigać, z Krakowa wyruszał, Borkowicz z dosyć licznym przyjaciół pocztem udał się do Kalisza.

Cišgnęło go tam co, z czego, mimo gadatliwoci swej, spowiadać się nie chciał. Miał jakie nadzieje, że kasztelan kaliski i mała załoga, jaka na zamku była, zdadzš mu gród lub że przynajmniej upewni się o łatwe jego opanowanie. Stšd on chciał rozpocząć otwartš wojnę przeciw królowi pochlebiając sobie, że mu Wielkopolskę z pomocš Brandenburgów oderwie...

Na pochwylenie Poznania od razu kusić się nie mógł jeszcze, od Kalisza chciał rozpocząć.

Wysłańcy jego, którzy dawno tam kršżyli, przynieśli mu dosyć dobre wieści. Kasztelan na króla się gniewał i odgrażał, siła na zamku była niewielka.

W najlepszej więc nadziei, że skromnym pocztem, bo mu nigdzie nic nie groziło, jechał Maciek Borkowicz do Kalisza tak, jakby się wybrał na przejażdżkę.

Przyjmowano go wszędzie jako przyszłego pana ugaszczając we dworach, wyjeżdżając przeciwko niemu i zapraszając w gocie. Rosło znaczenie i moc, a z nimi zuchwalstwo człowieka zalepionego.

Pochlebcy go wbijali w dumę.

Ochoczo więc i wesoło tocząc się tak ku Kaliszowi, w którym zawczasu gospody sobie upatrzyć kazał, przybył Borkowicz

do miasta naprzód i, nimby na zamek się dostał, po podróży wypoczywał.

Drugi już dzień upływał od przybycia Maćka Borkowicza do Kalisza, a z gospody jeszcze nie wyruszył ani do zamku, ani na miasto.

Nie można było odgadnąć, czy mu się tu nie wiodło po myli, czy jeszcze swych zabiegów nie rozpoczął; znajdował się tu wcale inaczej niż w Poznaniu, niż w podróży, jak gdyby to, co przedsiębrał, wielkich wymagało ostrożności.

Po drodze część tłumnego dworu i orszaku swego zostawił w majątności znajomego ziemianina. Sam przybył tu z niewielu ludmi, cicho, nie rozkładając się nazbyt szeroko. Brata Jaka ani syna z sobą nie miał, kilku wyrostkami się posługiwał, chodził zaszępiony, jakby to, na co się teraz ważył, nawet jemu wydawało się niebezpiecznym.

Nazajutrz po przybyciu posłał się dowiedzieć o kasztelana. Nie było go w Kaliszu; siedział w majątności swej o mil parę, zapowiadano powrót jego.

Na zamku dowodził stary wojak, niejaki Wilczura, który tak samo jak Borkowicz do szczytu Napiwonów należał. W tych czasach szczyt jeden, choćby najbardziej rozrodzony, stanowił jeszcze jedną rodzinę, nawet gdy członkowie jego z różnych się majątności pisali.

Czy Wilczura przyjęty był dawniej do zawołania tego, on lub rodzic, czy w istocie ze krwi Napiwonów pochodził, nie wiedział Borkowicz, ale w starym żołnierzu widział pobratyma.

Możny pan ubogiego rycerza, który całe życie w żelaznej koszuli przesłużył i pamiętał sławne boje Łoktkowe, a jak inne rycerstwo króla tego w bogactwo się nie wzbilił mało sobie szacował.

Lecz co dziwniejsza, i Wilczura, wojak prosty, który krom swego rzemiosła niewiele znał wiata, owego strasznego i potężnego Borkowicza niewiele też ważył.

Chciał się doń dawniej zbliżyć Borkowicz i wabił go sobie, ale stary mu kazał powiedzieć, że jeli

poznać się z nim życzy, aby sam pierwszy doń przybył.

Teraz Maciek go sobie ujść potrzebował koniecznie. Nazajutrz więc po przyjeździe swym posłał pierwszego dworzanina do niego z prośbą, aby przyszedł z nim chleb przełamać.

Wrócił poseł z tym, iż Wilczura go znowu zbył hardo, że czasu nie ma, stary jest, a jeli łaska, Borkowicza u siebie na zamku z chlebem czeka.

Chleb ten starych wojaków nadto znał Maciek, aby mu się go kosztować zachciało. Wprawdzie niewykwintna była własna jego kuchnia, lecz nawet w drodze na zwierzynie, na omacie i na nabiale nie zbywało i Borkowicz, jeć lubiwszy a żarłoczny, na strawę zamkową nie był łasy.

Przeczuł on to, co w istocie było, że Wilczura jadł to samo, co jego ludzie, lada jaki mięsa kawał, chleb czarny i polewkę z krupami, często stęchłymi.

Zagniewał się w poczstku na tego pokrewnego, naburczał, wreszcie u siebie podjadłszy na zamek samotrzeć konno ruszył.

Zamczysko było położeniem warowne, ale go jeszcze dotśd ręka Kamirzowa nie tknęła, nie odrodził się z muru jak innych wiele; broniły go wały, ostrokoły, przekopy, a we wnętrzu murów mało co było, więcej szop i szałasów.

Nie było na co spojrzeć, tak nędznie wyglśdało, a przecież Się Krzyżakom kilkakrotnie oprzeć mogło. Nie czyniono około niego dotśd nic, włanie może dlatego, iż wkrótce nań kolej przyjć miała, gdy cały z muru wznieć się był powinien.

Wilczura, dowodźcy załogś, mieszkał w izbie poczerniałej od dymu, majścej ledwie ławy i stół, a tokowisko miasto podłogi. Tuż była łania, od której buchajśca para małe wejcie zasłaniała.

Gdy Borkowicz wjechawszy w podwórze, butnie i głośno o Wilczurę dopytywać zaczął, w progu izby zza pary łaziennej

ukazała mu się postać, w której trudno się było dowódcy domyleć, chociaż nim była.

Człek słusznego bardzo wzrostu, chudy, kocisty, z szyjś długś, łysy, z brodś postrzyżonś, siwś, policzki zapadłymi stał, w boki się ujśwszy, w kaftanie i spodniach skórzanych, w skórzniach grubych, w narzuconej na ramiona opończy zszarzanej.

Stał, słuchał, patrzył i milczał; dopiero gdy Maciek narobił srogiego hałasu, huknśł głosem ogromnym:

A czegóż od dowódcy chcecie?!

Borkowicz tedy domylajśc się, kto był, z konia zsiadł i ku niemu szedł z wesołś twarzś powiadajśc, iż pobratymś poznać pragnśł. Sam mu się jako starosta wielkopolski mianował.

Na Wilczurze ani przyjazd, ni wspaniała postawa, ni nazwisko i godność przybyłego nie zdawały się

czynić najmniejszego wrażenia.

Skłonił nieco głowy i rzekł:

Rad jestem panu bratu, a że innej izby na zamku nie mam, jeno tę . wskazał na drzwi do niej proszę.

Rad nie rad, w niskich drzwiach karku ugiśwszy, Maciek musiał wnijść.

Do wielkich zbytków nie był nawykły, wszelako ta komora ciemna, w której resztki dymu, ostatki strawy, dziegieć, smołę i tłustość czuć było, zarzucona żelastwem i skórami nie bardzo mu się podobała,

Siadłszy na ławie wśkiej a twardej, nie pokrytej niczym, u stołu, na którym bułka chleba i nóż żelazny a na miseczce bryłka soli leżała, Borkowicz sapnął i zamruczał co, lecz nie rzekł nic.

Wilczura posadziwszy go sam stał, nimby sobie miejsce znalazł.

Cieszę się niemało, że nareszcie was poznaję poczęł Maciek bomy to jednego szczytu oba. Dawnom chciał się do was zbliżyć, alecie wy do mnie nie chcieli...

Słuchał Wilczura.

Była temu przyczyna i niejedna odezwał się stary wojak. Naprzód ta, zecie wy Napiwon możny, a jam Napiwon ubogi. Gdy się biedny do bogatego zbliża, daje myleć, że od

niego chce czego, a ja od nikogo nic nie żsdam. Potem, jam żołnierz, w jarzmie żelaznym chodzę, czasu nie mam. Patrzę tego, z czego chleb jem.

Ano! rozmiar się Borkowicz wnosząc z tego chlewa, w którym wam król mieszkać każe, i chleb być musi ocisty...

Pewnie, ale taki żołnierzowi przystoi odparł stary. Zębów on nie łamie, a do lepszego przywykły, co by na wojnie robił, gdzie i o ten trudno?

Ale wam, cocie postarzelu pod zbroję, już by czas też i odpocząć rzekł Maciek.

Wilczura potrząsnął głową.

Nie. Człowiek, choć stary, co robić musi; cóż bym ja poczęł, gdy nic nie umiem innego, krom jak się zbroja chędoży i konia siodła?

To mówiąc Wilczura siadł poufale naprzeciw starosty na Siodle wysokim, które blisko znalazł.

Starosta bśd co bśd dla swojego dostojęństwa, sławy i bogactw, spodziewał się od niego większego poszanowania, lecz potrzebując człowieka zniósł lekceważenie.

Pierwszego was widzę odezwał się co się nie skarży na swój los... i innego nie pragnie.

Wilczura się umiechnął.

I na to jest przyczyna! rzekł. Żony nie miałem, dzieci nie mam, sam do tego chleba nawykłem, na co mi więcej i inaczej?

A jakże tu u was na zamku? odezwał się Maciek. Mnie się widzi, licho sklecony... król co o nim zapomniał.

Bo ma pilniejsze do opatrzenia przerwał Wilczura a te kletki, jak je widzicie, niepozorne, woda i ziemia broni dobrze i lepiej niż drugie mury! Mało to jest ludzi dodał stary co niepoczenie wyglądasz, a przecie co są warci. Tak i zamek nasz!

Umiechnął się.

Przyjdzie kolej i na niego! Gdy Bóg królowi życie przedłuży, to go kamiennym uqzyni jak inne.

Nie wiodło się Borkowiczowi, który dwakroć o króla zaczepiwszy odprawę dostał; poczył więc z innej beczki, o sobie, o tym, co on dla Wielkopolski czynić zamierzał, a potem jakby był rad krewniakowi usłużyć czym i lepsze obmyśleć zajęcie.

Wilczura słuchał obojętnie, lecz ujść się za serce niczym nie dawał.

Do takiego oporu nie był nawykły Maciek; naposiadł się więc nie żałując czasu Wilczurę sobie pozyskać. Przyjść od niego piwsko kwane, rozgadał się szeroko, starego do mówienia wyciśgał i słuchał odjeżdżać nazad do gospody ani myślał.

Kiedy się to na zamku działo, a dwaj dworzanie, przybyli z Maćkiem, w podwórku pozostawszy, nie mając co czynić, chodzili po zamku ciekawie się w nim rozpatrując na miecie zaszło co, co nagle położenie zupełnie zmienić miało.

Kochanowi Rawie zawsze i prawie we wszystkim szczęście służyło tak mu się też z trudnym tym ujęciem warchoła powiodło.

Z Krakowa wyruszywszy, dniem i nocą pędził Kochan do Poznania. Nie dojechawszy tu, dowiedział się przypadkiem o wyjedzie Maćka do Kalisza. Natychmiast za nim zawrócił.

Po drodze ledząc siły przeciwnika Kochan z wielką radością swą przekonał się, iż poczet towarzyszący starocie był mały, a w Kaliszu ludzi przy nim zostać miało niewiele.

Tu wprost ku gospodzie mu wskazanej dążąc, w rynku dopytał znowu Rawa, iż dziwnym losu zrzędzeniem Borkowicz właśnie przed chwilą samotrzeć do zamku pojechał. Szczęśliwszego wypadku ani mógł zśdać, ni się spodziewać Rawa.

Chociaż konie i ludzi miał pomęczonych, musiał natychmiast do zamku zawrócić. Drugi raz się tak złożyć nie mogło, by Maćka samotrzeć i to w zawartym miejscu chwycić.

Jak szalony popędził Kochan ku wrotom i naprzód swoimi ludmi je obsadził. Zaczynali się widząc to

zbiegać żołnierze; wypadł z wrót drugi pułkownik, który był pod rozkazami Wilczury, lecz temu Rawa rozkaz pod pieczęcią królewską pokazałszy milczeć polecił.

Chciano wołać Wilczury, na co Kochan się zgodził, ale nie wprzód, azby wszystko, co potrzeba, było przygotowanym.

Dwaj dworzanie Maćka posłyszawszy u wrót wrzawsz powoli szli się o niś dowiadywać, gdy Rawa, spostrzegłszy ich, wnet kazał pochwycić, zwiśzać i zakneblować, aby wrzawy nie czynili. Stało się to tak szybko i łatwo, bo się wcale nie spodziewali tego, co ich spotkało, że żaden z nich nawet krzyknąć czasu nie miał.

Zwijał się Rawa jak szalony, miecza dobywszy i od wrót nie odstępując.

Chociaż wielkiego hałasu nie było na zamku, przecież czujne ucho Wilczury co pochwyciło. Borkowicz wciśz uparcie na ławie dosiadywał, musiał więc niespokojny dowódca wyprosić mu się, aby zobaczyć, co w jego grodzie pokój zakłóciło,...

Maciek sam pozostawszy na swej ławie kwany był jak to piwo, które pić musiał, lecz trwał w miejscu, bo się zawsze spodziewał ujść sobie Wilczurę.

Zaledwie ten w podwórzu wyszedł. Rawa poskoczył ku niemu z królewskim rozkazem. Osłupiał Wilczura, lecz na krótkš chwilę. W dwóch słowach Kochan objanił mu wszystko. Wahać się i namylać nie było można.

Stary żołnierz umiechnął się tylko widząc, jak Opatrzność Boska złoczyńcę do łapki wpędziła dając go w ręce sprawiedliwoci.

Chociaż Borkowicz sam jeden był, a ludzi wielu nań czekało, Kochan nadto go znał, by mógł pomyśleć, że się podda nie broniśc... Trzeba się było gotować do zajadłej z nim walki.

Wilczura, zamiast do izby swej powracać, kazał sobie przynieć zbroję żołnierskš i miecz. Ludzie pętle i powrozy przygotowali; Kochan stał korda dobywszy.

Naradzano się, jak Maćka z izby wykurzyć.

Tymczasem ludzie się u wnijcia ustawili kołem, aby nie uszedł na wały, z których mógł do wody się rzucić.

Po oddaleniu się Wilczury siedział Borkowicz z poczštku spokojnie, dumając i oczekując powrotu jego. Wrzawa przytłumiona w podwórzu wcale go nie obchodziła, nie domyślał się nic wcale.

Gdy wreszcie dowódca nazbyt długo nie powracał, a to odejcie jego za ubliżające sobie poczył uważać, Maciek wstał z ławy, jeszcze się nic więcej nie dorozumiewając, oprócz grubiaństwa Napiwona...

Kłśł gbura... Miałli nań czekać czy wynijć i jechać precz obrażony? Wilczury mu przecież potrzeba było koniecznie; nie rozpaczał jeszcze, że go zjedna. Musiał więc w izbie mierzścej, w zaduchu

czas jaki jeszcze spędzić. Siadł mruczśc. Wilczury jak nie było widać, tak nie było. Borkowicz z nudy nasłuchiwać poczęł.

Co się na zamku działo, nie mógł zrozumieć. Słyszał wyranie szepty, stępanie szybkie, tłumne, bieganie około cian, stłumionymi głosy wydawane rozkazy...

Lecz i teraz jeszcze nie przeszło mu przez głowę, by się to jego tyczyć miało...

On, co marzył o panowaniu tutaj!

Oczekiwanie trwało dobry czas, gdy na ostatek, diabłem wyklęwszy niegocinnego Napiwona, Borkowicz kołpak nałożył i do drzwi kroczył.

Drzwi, jak mówiliśmy, były niskie, a para z łani wprost ku nim buchała. Maciek otwierając je schylić się musiał i za obłokiem pary nic dojrzeć nie mógł, oprócz, że siła dokoła ludzi stała...

Głowy jeszcze zgiętej we drzwiach nie miał czasu rozprostować, gdy niewolnik Tatarzyn, który na zamku do posług był używany i konie na arkany łapał tak zręcznie, iż mu żaden nie uszedł, postawiony umylnie z boku, na szyję starocie pętlę cisnął.

Nie spodziewając się niczego Maciek na ziemię padł ryk wydawszy z piersi jak dzika bestia. Wnet też całś siłś, a miał ogromńś, podniósł się, rzucił, targnął i byłby pętlę zerwał może,

gdyby wnet ludzi kilku nie przypadło i nie obaliło go, na kark mu i na ramiona siadłszy.

Borkowicz rękami miecza sięgał, gdy mu je w tył porwano i krępować zaczęto. Drudzy nogi już, którymi wierzgał broniśc się, wiśzali.

Pomimo przewagi ludzi tyłu, starosta długo się rzucał, targał i rycząc bronił się, jak mógł, w ostatku zębami chwycił, co napadł, tak że jednemu z wiśższych go kawał ucha ugryzł.

Próżny to był wysiłek; po krótkiej chwili leżał obalony zbój, sznurami cały spowity, a Kochan z papierem królewskim stał nad nim.

Cizba się ogromna zbiegła z zamku całego na to widowisko, a że wszyscy nim zajęci byli, nie zważano na to, że niespokojny o pana starszy dworzanin Maćka wpadł dowiadywać się o niego na zamek i ujrawszy zaledwie, co się działo, ponieważ wrót już nie strzeżono, zbiegł zaraz do miasta.

Kochan tymczasem wobec wiadków czytał leżścemu wyrok królewski, skazując go na mierzć. Kara jak na ojcobójców wymieniona w nim była.

Piorun ten, który padł na człowieka uzuchwalonego szczęciem włanie w chwili, gdy się zwycięstwem przechwalał i roił nowe zamachy, innego byłby ubił może... Borkowicza tylko wciekłym uczynił.

Zakrwawione oczy zdawały się mu na wierzch wychodzić, twarz zsiniała, żyły nabrzmiały, piana okrywała usta. zwiśzany wyprężał się tak, iż sznury niektóre porwał i nowymi go krępować musiano, nie prosił jednak litoci ani rycząc rzekł co innego nad przekleństwa okrutne.

Jak gdyby tego, w czyjej był mocy, okrutniejszym chciał uczynić, zamiast go błagać, Borkowicz bezczecił Kochana i łajał najsromotniejszymi wyrazami.

Ale Rawa w tej chwili tak był szczęśliwy, iż trudnego dzieła z nadzwyczajną łatwością dokonał, iż przekleństwa i obelgi miejsc się znosił.

Niektóre z nich utkwiły w jego pamięci i sercu, choć nie dawał poznać tego po sobie, bo ludzi było dosyć przytomnych.

Przeczytawszy mu wyrok i rozkaz królewski, Borkowicza do izby na dole w zamku kazał zawlec, więzów nie tylko nie ulżywszy mu, ale mocniej jeszcze dla bezpieczeństwa skrupowawszy. Dwudziestu ludzi z załogi postawiono na straży, pod gardłem im zagroziwszy, aby na chwilę więnia z oka nie spuszczała i nikomu się do niego zbliżać nie dopuszczali.

Kochan na chwilę ustąpić musiał, aby spocząć, gdyż na nogach ze znużenia ledwie się mógł utrzymać.

Z zamku natychmiast oddział wysłano silny, aby ludzi Borkowicza zagarnął i wszystko, co przy nich było, gdyż całe mienie zdrajcy i majętnoci, nadane mu przez króla., na skarb miały być zabrane.

Wysłani wszakże, gdy do gospody przybiegli, już w niej nie znaleli nikogo, porzuceni tylko słomę, siano i jeden wóz pusty z kołem złamanym. Borkowicza ludzie wszyscy się rozbiegli, pochwycając, co kto mógł.

Nie chciał Kochan z obawy rodziny i przyjaciół Borkowicza ani w Kaliszu trzymać na zamku, ani go tu karać, gdyż i rodzaju mierci nie postanowił był, i chciał o, to słać do Krakowa. Wprawdzie król zostawił mu wolę tak z nim postąpić, jak sam chciał, byle życie postradał miernie okrutnie i trwożę obudzając, lecz Rawa na siebie za niego odpowiedzialności brać nie chciał.

Pamiętał, iż z ust króla wyrwało się, gdy go odprawiał:

Żadnego miłosierdzia nad nim ani względu na urząd i ród... Bydlę to, niech jak bydlęta ginie...

mierć ta bydlęca, jakś być mogła, Rawa nie umiał odgadnąć, a wprost łeb mu uciąć kazać, za mało było...

Wieć o ujęciu Borkowicza i wyroku na niego piorunem się rozeszła po okolicy. Roznieśli już zbiegli ludzie jego.

Tejże nocy nie opodal znajdujący się brat dowiedział się

o tym, a że mu w wielu napaciach i gwałtach posiłkował i podobnego obawiał się losu natychmiast pospieszył na radę z synem, chcąc z nim razem, zabrawszy trochę ludzi i grosza, przerzucić się za granicę.

Kochanowi z Kalisza pilno było, lecz i on, i towarzysze jego,

i konie ze znużenia padały, musiano więc spoczywać.

Tymczasem brat Maćka i syn znieśli się z sobą. Jako uchodzić chciał, aby pomścić brata, syn ratować, odbijać, wykupić pragnął i zdawało mu się to możliwym. Nie słuchając rady stryja gnał co najprędzej do Kalisza, gotów za ojcem i do Olkusza pędzić, póki go żywym wiedział.

Przybywszy do miasta, nie tracąc chwili, choć wiedział, że go to życie kosztować może, młody Borkowicz wpadł na zamek. Do ojca chciał nie puszczono go.

Wrzawa wywołała Kochana, który miał czas ochłonąć, stał więc z krwiś zimną naprzeciw młodego, który z gniewu, złości i żalu ledwie mógł mówić. Ojcowska duma nie opuciła dziecka... Uniżyć się i prosić nie umiał poczył od napaci i wyrzutów... od pogroźek... Chciał do króla jechać, czynił Kochana odpowiedzialnym za życie ojca...

Trudno go było zrozumieć, tak wszystko się w mowie jego mieszało bezładnie... Rawa przywieszaniem dziecka tłumacząc to sobie słuchał dosyć obojętnie.

Posłany jestem z ramienia króla odparł zimno uczynię to, co mi rozkazano. Ani postrachem, ani błaganiem nic ze mnie nie uczynicie. Mamli radzić, bo mi waszej młodoci żal uchodźcie, pókićie wolni.

Nie podobna było krzyczącego i rzucającego się pozbyć inaczej, tylko go gwałtem z zamku wyganiając. A że nowych najęć lękał się Kochan, natychmiast wóz sposobić kazał; rzucono więc Borkowicza przywieszając do desek, ludzie straż trzymający posiadali dokoła, otoczono wóz żołnierzem silnie uzbrojonym, sam Kochan na koń siadł i ruszył do Olkusza.

Tu z Krakowa miał wyglądać odpowiedzi, jakś miernie król go ukarać każe. Na zamku olkuskim bezpieczniej czekać z nim było, a przyjacielom Maćka nie łatwo się tam dostać.

Nie tajno było Kochanowi, że Maciek oprócz brata i syna, prócz tych, którzy ze strachu do niego lgnęli, miał wielu w Wielkopolsce skojarzonych i przyjaznych, którzy się mieć mogli.

W Olkuszu, dokąd naprzód dano znać, znalazł Rawa u wrót przestraszonego burgrabiego zamkowego, który wypraszał się więzienia królewskiego pilnować i odpowiadać zań wiedząc, kto był. Przynosił klucze, stawał pod rozkazy Kochana, ale sam od wszystkiego się wymawiał tym, iż ani straży dosyć, ani izb zamczystych nie miał.

Postawiono w podwórzu wóz, nimby Kochan obmyślił, gdzie Borkowicza umieścić.

Czasu drogi mógł się przekonać towarzysząc mu, iż Maciek bynajmniej nadziei wyrwania się z więzów nie rzucił. Nocami, leżąc na wozie, gryzł i rozrywał sznury, straż usiłował obietnicami wielkimi przekupywać, miotał się, na chwilę nie ustając krzyczeć i odgrażać się.

Na zamku olkuskim nie było w istocie zamknięcia bezpiecznego dla człowieka, do którego się mogli usiłować dostać brat, syn lub przyjaciele.

Burgrabia, którego Morawcem zwano, na ostatek powiodł Kochana ku wieży północnej. Ta była na więzienie dla najniebezpieczniejszych złoczyńców umyślnie zbudowana. Drugie tyle, ile jej wyżyna nad ziemię wyrosła, w głąb było obmurowanego lochu, do którego po drabinie schodzić musiano.

Sklep bez okien miał jeden ten tylko otwór w górze, który drzwiami żelaznymi się zamykał. Ciemny, głęboki, wilgotny i wśki jak studnia, służył dotąd tylko dwóm zbójom, których z niego na rusztowanie wyciśnięto, po miesięcznym pobycie, już prawie ledwie żywych. Był to grób, w którym mierć przychodziła powolnie, w męczarniach nocy, chłodu, zgnilizny...

Morawiec jednę tę jamę znajdował dla zamknięcia Borkowicza bezpieczną, a Kochan spojrzawszy w nią zgodził się, aby do niej spuszczonego złoźyńcę. Chciał z nim doczekać tu ostatniej królewskiej woli. Morawiec tylko za tę studnię chciał ręczyć, iż z niej się więźień nie dobędzie i nikt do niego dostać nie może. Litoci nie miał nikt nad nielitociwym.

Tymczasem, nim od króla otrzymał wolę jego, Kochan na smutnym, pustym, więziennym zamku osiść musiał.

Borkowicza, mimo oporu, spuszczonego na dno, rozcięto mu wiśzy i rzucono garć słomy. Morawiec natychmiast drabinę kazał wyciśgnąć, drzwi zamknąć i straż u góry postawił.

Dziesięć dni czasu upłynęło, nim odpowiedź nadeszła z Krakowa. Tam skargi na Borkowicza, dowody zdrady, opowiadania o okrucieństwach popełnionych przez niego płynęły tak liczne, tak obarczające, a znalazło się tylu domagających się jak najsurowszej kary, iż wyrok przywieziony brzmiał... głodem go umorzyć.

Razem z nim główny wróg Borkowicza, Nałęcz, Grusza zwany, któremu on żonę zbeszczył i o mierć przyprawił, nadbiegł dobrowolnie się ofiarując za oprawcę. Miał ustne pozwolenie króla tak z nim postąpić, jako chciał.

Jego to sprawą było, iż Maćkowi do lochu wiśzkę siana spuszczonego jak bydłociu i miarkę wody. Grusza sam usiadł u drzwi jamy i czatował na jęki skazanego napawając się nimi.

Zgroza przejmowała wszystkich, bo choć zbrodnie i winy były niezliczone i wielkie, kara się wydawała nieludzka.

W sile wieku, Borkowicz męczył się dłużej, niżeli sam wróg jego się spodziewał. Pił wodę, gryzł suche siano; być bardzo może, iż, gdy Grusza spał, ludzie przez litoć chleb mu rzucali doć, że tydzień i dwa upłynęły, a na dnie studni jęk, ryk i przekleństwa słychać było.

Grusza wołał czasami nań, Borkowicz mu urąganiem i obelgami odpowiadał jedli się tak słowy, dopóki znużony Nałęcz drzwi nie spucił i nie położył się na nich. Następnego dnia słycał, zawsze spodziewając się, iż mierć go od katowania tego uwolni; lecz Borkowicz żył i żył...

Głos jego tylko, z początku silny, słabnął, chrypl i stawał się coraz niewyraniejszym.

Grusza, gdy czwartego tygodnia nie słycał już nic, tylko sapanie i mruzenie, spuszczał na sznurach pochodnię, aby zobaczyć, co się działo ze skazanym.

Stan jego był okropny, lecz serca mciwego nie zmiękczył.

Opadła z niego przegniła i poszarpana odzież, ciało okryte było ranami, twarz straszliwie zmieniona.

Z głodu pokłsał sobie

ręce. Wstać już i ruszyć się nie mógł, leżał na barłogu zmoczonym wilgocią, ohydnie skalanym... dysząc ostatkiem życia, a o litość nie prosił... Wiedział pewnie, iż Grusza jej mieć nie będzie...

Kto wie, jaka nadzieja może do ostatka mu męczarnie te osładzała?... W piątym tygodniu Nałęcz, gdy pochodnię spucić kazał Aa dno, ujrzał wroga swego tak jak martwym, z głową w słomę wciniejąc, nie poruszonym, ale dyszącym jeszcze.

Spucił się sam po drabinie chcąc przekonać, czy wiele w nim życia zostało jeszcze.

Gdy nad nim stanął Nałęcz i kopnął go nogą, zgnębiały ten trup żywy poruszył się, podniósł głowę z wolna, wlepił w niego oczy, zasze już bielmem mierni i wyjąknął:

Księdza!

Tobie? księdza? aby piekła, które ci się należy, uniknął? Giń marnie, jake żył... giń bez pociechy i przebaczenia...

Grusza domawiał tych słów, gdy, wpatrzywszy się w twarz Borkowicza, nagle strwożony, umilkł. Mimo woli jego, mimo wiedzy, litość schwyciła go za serce...

Nie rzekł nic i drżący, jak pijany, na drabinę się wdrapał... Siadł u góry i płakać zaczął.

Potem posłał po księdza...

Gdy kapłan, który szedł do lochu, po krótkim w nim pobycie dobył się na wiatło dzienne, osłabłym był tak widokiem męczarni i powietrzem, którym oddychać musiał, iż go podtrzymać trzeba było, aby nie padł...

Czterdzieci dni konając tak, Maciek Borkowicz, po spowiedzi odbytej słowa już nie rzekłszy skonał...

Taki był koniec człowieka, którego wspomnienie długo potem na zamku olkuskim, jak straszna bań z prastarych wieków, pozostało.

KSIEGA ÓSMA

KRÓL CHŁOPÓW

Dzień był wiosenny, ale wiosna roku tego tak smutną była jak jesień, co ją poprzedziła...

W całym królestwie Kamirzowym i sąsiednich krajach jakby zagniewanego Boga prawica odjęła

ludziom, co życie utrzymać miało...

Pola zasiane nie okryły się kłosami, Jaki żółkły wypalonej powodzie, grady, słoty i skwary na przemiany do ostatniego kłoska zniszczyły...

Błady głód wiodł z sobą do chat zagłdał... Ludzie żywili się zieleń, korę drzew, wszystkim, co przez zeschnięte gorzkie usta przejść mogło, często mierać, chorobę, szaleństwo przynosząc.

Wszystkie stały pustkami, a mieszkańcy ich rozbiegli się szukając choćby najcięższej pracy, choćby niewoli, byle męczarni i śmierci uniknąć...

Leżały na gocińcach nie pogrzebane trupy, na wpół przez zwierza pożarte, przez kruki potargane, zgnilizną zatrutą napełniając powietrze.

W miasteczkach, do których cięgnęli wynędzniali wieniaci, szerzył się mór, który przywozili z sobą. Rozpacz rozpasywała oszalałych.

Nikt bezpiecznym nie był, bo dla kawałka chleba suchego zabijali się bracia, gromady napadały na dwory, odbijano spichrze, mordowano po gocińcach podróżnych.

Trwoga ogarniała i tych, co jeszcze chleb mieli, aby im go z życiem nie wydarto, unosili je możliwie chroniąc się za granicę... Ziemianie do miast się chronili. Lecz i znaczniejsze grody drżały o siebie... Mór już do nich głodowy zagłdał, rozpręgåło się wszystko, gawied mrucała i jęczała...

Po kociolach na próżno zanoszono modły do Boga, który znękanym ulitować się nie chciał....

W tym roku, po strasznej zimie, której tysiące padło ofiar, gromady białych i wynędzniałych widać było zbiegające się koło Bochni i Krakowa... Inne, na odgłos królewskiego miłosierdzia szły trzebić gocińce, budować zamki... Spichrze pańskie stały dla nich otworem...

Pod Bochnią, którego kanał poczęty miał z Krakowem połączyć, pomiędzy tłumami robotników, z daleka przywlekającymi się, wśród tych ludzi odartych i nędznych, których połowa spoczywała u ognisk na koniu, okrytym szkarłatną oponą, widać było w małym poczcie stojącego męża nie pierwszej młodości, którego włos piękny, ciemny i bujny gdzieś srebrem się zasiewał...

Był to król...

Sam on chciał widzieć i pracę ludu, który kochał, i płacę którego mu ze skarbcza wyznaczył. Szły na to zapasy pańskie i nagromadzone bogactwa...

Rycerstwo i ziemianie szemrali znowu... Zamiast karmić głodnych kmieci, czemu Kamirz im nie chciał do utrzymania ich na gruntach pomagać!

Tym, co się doń zgłaszali, odpowiadał pan, iż zasoby mieć byli powinni z dawna gospodarząc, a lud z roku na rok biednie przeżywający czynić ich nie mógł, słuszną więc było ratować tych, co ratować się sami nie mogli...

Sprzedajcie klejnoty mówił Kamirz zbśdcie to, co do zbytku służy, ja też gotów jestem na ofiary, ale dla tych, którym oprócz mnie nikt nie wyciśgnie ręki. A dajśc kmiociom nie upodlę ich jałmużnś... niech idś pracować, aby gocińce wodne i lśdowe otworzyli dla handlu i życia. Tak głód się nawet przyda królestwu temu.

Urażony na króla, jeden z ziemian krakowskich, nawykły z dawna szemrać przeciwko niemu... zadawał mu na głos, iż ziemiaństwu i rycerzom ginśc daje, a czerń nędznś żywi.

Prawdę rzekł odparł król bo z czerni tej, gdy przyjdzie zamożność i wiatło, łatwo uczynię ziemian i rycerzy, a z nich, gdy rśk zabraknie do roli, co żywi, do rzemiosła, które trzyma, do handlu, który bogaci, nie wydobędzie nic...

Na tak jawnś wżgardę, okazywanś stanowi, który się głównym a pierwszym na tej ziemi mniemał, odpowiadano cicho owym przezwiskiem król chłopów...

Kamirz nim być chciał i z tym się nie taił.

Nie tylko królem, ojcem bym dla nich być chciał, gdy drudzy im braćmi być nie raczś, choć Chrystusowe na to majś przykazanie...

Tysiśce łopat pracowało około kanału, który z Krakowa do Bochni kopano, zwijały się tłumy jak mrowie, pod wodzś postanowionej starszozny. Ład był w tych gromadach jakoby w wojsku, które ciśgnie na nieprzyjaciela. Z białymi laskami prowadzili dziesiętnicy i setnicy dobrane pułki. Nad brzegami kopanicy stały szałaszy i budy, gdyby wsie naprędce sklecone... król i piece dla chleba, i łanie dla zdrowia, i szopy od słyoty chroniśce kazał powznosić.

Stał tu teraz i patrzył na lud swój, a serce mu rosło i radowało się. O wielu troskach zapominał, wiele przebytych chwil ciężkich płaciła ta godzina... Usta mu się umiechały, a oko chodzśc po tłumach dumało... Kiedy niekiedy z gromady bliższej głowś mu się jak znajomy pokłonił człek jaki, który pamiętał, że z królem mawiał, a król go też sobie przypominał. Czasem wyszedł odarty człek i z tś poufałociś dziecka, które wie, że mu rodzic le nie życzy, zbliżał się powoli do króla.

A przykazanym było, aby nigdy nikt nie miał bronić ubogim przystępu do niego.

I teraz włanie, gdy król, wysunśwszy się naprzód przed orszak swój, na pracujścych spoglśdał, ojcowskim ich zagrzewajśc okiem, dorodny, ale wynędzniały mężczyzna łopatę swś w ziemię utkwiiwszy wolnym krokiem zbliżać się poczśł do Kamirza. Król patrzył nań z uwagś wielkś usiłujsć go sobie przypomnieć, a poznać nie mogśc...

Rysy twarzy przypominały mu się, jakby całkiem obcymi nie były, lecz lud ma pokrewne lica i bratersko wyglśda cały.

Mężczyzna był silny, zbudowany jak dziecię plemienia którego niemowlęta słabsze, do trudów życia nie doć wyposażone, umierajś w kolebce, a ci tylko na zimnie i głodzie rosñ, którzy do walki sś zbrojni.

I ten człek wiele przecierpieć musiał i zwyciężyć, widać to na nim było. Prawem tym, które dziwnym

się zdaje, a jest rzeczywistym, cierpienie zahartowało go, nie wyczerpało. Widać było, że wiele jeszcze znieć potrafi dlatego, iż przebolewał już wiele.

Z oczów, wpadłych głęboko, patrzył smutek ostygły, rezygnacja męstwa wielkiego. Wyzółkły, wybladły, wyschły, przed czasem zestarzały, silnym był jeszcze... Zapracowane ręce nie drżały znużeniem, głowę niósł wysoko, plecy mu wiek nie przygniótł, trzymał się prosty jak sosna... Odzież miał lichš, wyszarzanš, połatanš, koszulę zgrzebniš i grubš, skórznie korš lipowš pootykane, siermięgę dziurawš, czapkę od słoty wyblakłš lecz w tym nędznym ubraniu tak szedł przed króla miało i pańsko, jak gdyby jedwabiami i złotogłowy był okryty.

Król stał na koniu chłop przystšpił i do nogi się pochylił. Podniósł potem wejrzenie smutne ku panu.

Z czymże to przychodzisz spytał Kamirz łagodnie.

Z pokłonem, z pokłonem odparł wieniak wpatrując się w pana. Dawnom ja nie widział króla mojego, a dobrzem zapamiętał!

Westchnšł mówiąc to.

Wszak ci to biedne ojczyisko moje to szczęście miało, żecie u niego w chacie gocili, a macierz i siostra posługiwały wam... Lepsze czasy były... Przyjść choćby pana czym się znalazło a dzi...

To ty z Pršdnika? zapytał Kamirz przypominając

sobie Wiaducha.

A tak! miłociwy panie... ale dzi mnie i moich już tam nie ma rzekł powoli wieniak. Ojca... zabił Neorza, gdy z Wilicy powracał, macierzy się zmarło... i mnie się nie wiodło... Przyszło choróbsko i wymiotło mi chałupę... zostałem sam...

Spucił głowę...

Nieurodzaj, głód... bydło i chudoba wypadły, spaliła się chata... nie było co w niej robić, poszedłem w wiat. Nie zlitował się nikt nade mnš, do króla się dostać z bólem i skargš nie mogłem... Już mylałem, że mi gdzie pod płotem przyjdzie kończyć, kiedy nas do roboty zawołali. Poszedłem z łopatš! Niech wam Bóg płaci, panie nasz: gdybycie nie zlitowali się nad nami, nie ja jeden, ale tysišce by nas jak muchy popadało...

Słuchał król westchnieniami przerywanej mowy, milczšcy

i zadumany.

le uczynił rzekł że nie przyszedł do mnie zawczasu... Jadłem wasz chleb, byłbym ci go obmylił...

Chłop głowš potrzšsł. Swobodniš miał mowę jak ojciec.

Choćbycie chcieli odparł powoli z umiechem smutnym nie moglibyście wszystkim biedzie ludzkiej

zaradzić. Nie jam jeden był bez chleba. A na zamek za rycerstwem, dworem i pany nie docisnšby się człek biedny...

Wiecie, że u mnie dla was drzwi otwarte zawołał

Kamirz.

Ano, strażę przy nich stać muszš poczšł wieniak siermięgi połatanej nie puszczš.

Cóz z gruntem i chatš się stało? spytał król.

Chałupa spłoneęła, grunt zajałowiał, Neorża tam już wsadził jakiego przybłędę.

Potrzasł głowš.

Mnie tam już nie powracać rzekł cišgle by człek na swoich nieboszczyków patrzeć musiał i sam by się tym żalem zamorzył...

Za królem stał pisarz, ku któremu się zwrócił Kamirz.

Ziemię ci w królewszczynie wyznaczyć kaę odezwał się dajšc znak pisarzowi, aby go zapamiętał zgło się po niš, a na chudobę także ci z Bochni grosz jaki dadzš...

Słuchał obojętnie dosyc syn Wiaducha.

Ršk opuszczać nie trzeba dodał król starym nie jeste, pracować mozesz...

Rękš ukazał mu pisarza, który skinšł, aby się przybliżył.

Ten ci sprawi wedle rozkazania mojego. Nim staroć nadejdzie, masz czas jeszcze gniazdo usłać sobie...

Nic nie mówišc, obdarowany, w nogę króla pocałowawszy, ustšpił.

Nie pierwsza to była rozmowa i dobrodziejstwo tego rodzaju; powtarzały się niemal codziennie nadania ziemi i osadzania bezdomnych a ze skarbu pieniężne datki.

Wszystko to w wiadkach, rycerstwie i ziemianach, zamiast poszanowania dla króla, coraz więkzš ku niemu niechęć budziło. Ukaranie Borkowicza, o którego zbrodniach zapomniano, a mierć straszń pamiętano tylko, szło także na karb niechęci króla ku ziemianom i rycerstwu.

Potwierdzenie Bolesławowskiego przywileju Żydom, spanoszenie się Wierzynka, który służšc królowi zebrał skarby, o których cuda prawiono wszystko to potwierdziło przekonanie, iż Kamirzowi szło o poskromienie przewagi tego stanu, który nawykł się był za najzacniejszy i najdostojniejszy uważać.

Król czuł to może, lecz nie dał nigdy poznać po sobie, iżby się troszczył o to, co myłš i mówiš o nim

ludzie jakiegokolwiek bśd stanu... Szlachta cała już w tym pokładała nadzieję, iż następca Kamirza, Ludwik, dwignie jś i dawne jej znaczenie przywróci.

Matka domniemanego następcy i on sam w ciśgłych byli stosunkach z możniejszymi panami królestwa, których coraz większymi obietnicami ujmowali sobie.

Nadzieje męskiego potomstwa i tym razem króla zawiodły. Rodziły się córki. Z Rokiczany i Estery byli synowie; z prawego małżeństwa Bóg nie dał Piastowi potomka. Korona szła po kśdzieli na Węgry...

Król wyrzekł się już marzeń wszelkich i zamiast syna ze krwi swojej chciał tylko pozostawić prawa i zakłady, które by imię jego uwieczniły...

Kraj cały odżywał, zaludniał się, urzśdzał, zagospodarowywał. Wznosiły się mury, prostowały drogi, nasypywały spichrze, napełniały skarbcce... Tylko po wiatło musiano jeszcze jedzić za granicę i szukać go u obcych...

Wszystkiego dokonawszy król własną szkołę wielką chciał mieć w Krakowie i na Bawole rzucił pierwsze posady tej Akademii, która z jego myli wyrosnąć miała na matkę nauczycielkę narodu.

Umierać mogę teraz spokojny mówił do księdza Suchywilka z łagodnym umiechem i dumą człowieka, który cel życia osiągnął. Ani głodu, ani nieprzyjaciela, ni ciemnoty i barbarzyństwa, ani niesprawiedliwoci kraj mój obawiać się nie powinien.. Sam sobie wiatłem i sśdem starczyć może nie sięgając po prawa i naukę do obcych. Ziarno rzucone, Bóg zele na nie rosę i słońce.

Miłociwy królu odpowiadał Suchywilk uczynilicie wiele, ale żyć wam potrzeba dla nas, aby to, cocie zasadzili, urosło, wkorzeniło się, a pierwsza burza młodych latoroli nie obaliła.

Było to ostatnich dni wrzenia roku 1370. Jesień już przejmowała chłodem, przymrozki ciskały ziemię, niebo szarymi osłonięte oponami rzadko promieniom słońca dawało się przecisnąć.

Innych lat pora ta roku przynosiła z sobą wesele stodoły były pełne, po wsiach kojarzyły się wesela, myliwi ciśgnęli w lasy za zwierzem na zimę przyodzianym, po miastach przygrywały muzyki i wypełniały się gospody... W tym roku niepokój jaki ogarniał wszystkich, lękano się czego pomorku, głodu znowu czy wojny? Nikt powiedzieć nie umiał. Na ludziach ciążyło jakiej klęski przeczucie...

W Krakowie tęskniono za królem... Dawno go tu już nie było. Wybrał się oglśdać swe zamki i ziemie swoje, naznaczać, gdzie jeszcze nowe mury wznosić się miały i nowe karczować gocińce. Objechał był Wielkopolskę, ciśgnąć miał potem przez Sieradzkie na południe i zatrzymał się w niedawno dokończonym zamku swoim w Przedborzu.

Spodziewano się go z powrotem, obiecywano wkrótce... król nie powracał.

Wieczorem ostatnich dni wrzenia Mikołaj Wierzynek, spokojnie na ławie siedząc, z jednym z panów rajców rozprawiał, który stał przed nim w postawie pełnej poszanowania, jakie należało temu, co cesarzów i królów miał szczęście ugaszczać i obdarzać.

Urosł był pan Wierzynek, herbu Łagoda, na jednego z najzacieńszych w królestwie tym ludzi, tak jak samo to królestwo za panowania Kamirzowego urosło i spotęźniało... na jedno z wielkich mocarstw na Północy.

W komnacie gorzał piękny ogień na kominie, który wieczorne wiatło zastępował... Ruchomymi jego blaski lniły się naczynia i sprzęty, których izba ta pełń była.

Najmoźniejszy mieszczanin krakowski mógł się otoczyć zbytkiem i ić o lepsze z pierwszymi ziemiany. Nie posiadał może tyle, co inni, ziemi i majątnoci, ale w skrzyniach jego nagromadzone skarby starczyłyby nie jedne pańskie dobra opłacić.

Rozprawiano o sprawach miasta, które, urosłemu z jego handlu, w jego łonie Wierzyńkowi na sercu zawsze były. I ono też za tego panowania błogosławionego z nędznego i zniszczonego, mimo morów, głodów i pożarów wzniosło się i zabudowało wspaniale. Katedra na Wawelu wieciła dachami kruszcowymi, licznych kociołów wieże podnosiły się ku niebu, zamek rozrosńł się, rozszerzył, ozdobił, okrył jakby królewskš purpurš. Poznałżeby go dzi Łoktek, który na gruzy, popiołem okryte, wjeżdżał tu niegdy, ledwie izbę dla siebie i żony na schronienie znalazłszy?

Nagle, wród spokojnej rozmowy, Wierzynka ucho uderzył tętent konia, który się u wrót kamienicy jego zatrzymał. Nie było w tym zaiste nic niezwyčajnego, przecież drgnł jakim przecuciem tknięty gospodarz, dał znak rękš, zamilkł i pilno ucha nadstawił.

Rajca widzšc oczy jego zwrócone na drzwi, które sobš za słaniał, usunł się od nich zdumiony nieco.

Wkrótce popieszne kroki zbliżajšce się ku nim usłyszano. Wierzynek też wstał i szedł ku nim skwapliwie. Otworzyły się one i w stroju podróźnym, płaszczem przyodziany, w butach zabłoconych, Kochan Rawa ukazał się na progu. Towarzyszył on panu swojemu w podróży i wracał z niej; widać było na twarzy jego znużenie wielkie i jakby rozgoršczkowanie.

Wierzynek rękę doń wyciřgnł z umiechem, lecz spojrzawszy na zmienione i smutne lice jego nie zdołał nawet powitać. Oczy niespokojne wlepił w Kochana.

Wraca król? odezwał się wreszcie do wahajšcego i oglšdajšcego się po izbie gocia.

Nic więc dotřd nie wiecie?

Na Boga, cóż wiedzieć mam? mówcie!... chodziły smutne wieci!...

Wkrótce to dla nikogo już tajemnicy nie będzie zawołał Rawa z westchnieniem ciężkim. Nieszczęcie się stało! Bóg może nas od większego uchowa...

Żyw król? krzyknł łamišc ręce Wierzynek.

Żyw, Bogu dzięki... lecz srodze cierpišcy...

Kochan stojšcy dotřd rzucił czapkę na stół i padł na bliskie siedzenie; drżał ze znużenia.

Mówcież, na Boga, co się panu naszemu stało! zawołał przerażony Wierzynek pana naszego, ojca, spotkałoli nieszczęcie jakie? zachorzał?... nie wierzyliśmy pogłoskom...

Rawa spuścił głowę i potrzęsnął niś,

W Przedborzu bylimy rzekł na samo Narodzenie Najw. Panny. Królowi się na łowy wcale nie chciało, choć go na nie namawiano. Nieszczęsny dzień, nieszczęsna godzina... Bogdajby był na te łowy nie jechał. Kapelan mu odradzał dla

uroczystoci, on sam ociśgał się, znaleli się doradcy, co go namówili... Jelenia miano gdzie upatrzonego Dzień był piękny, konie gotowe, myliwi niecierpliwi... Król mszy na zamku wysłuchał i siadł na koń.

Wiecie, jak on poluje; kilka czasem miesięcy o łowach nie pomyli ani tęskni za nimi, a wybierze się w las, posłyszysz psy, zobaczy drugich goniących za zwierzem, nikomu się wyprzedzić nie da... Tak i w lasach przedborskich było.

Jeleń pomknął przed nim. Pucili się za nim łowcy ze psy i oszczepami, król konia swego pognął w gęstym lesie, gdzie powalów i kłód tyle było, co żywego drzewa. Gnalimy za nim, ledwie mogśc nadżyć. Jam z oka go nie spuszczał. Nagle znikł mi, jakby się pod nim ziemia zapadła.

Przyskoczyłem przerażony... patrzę, koń na ziemi wyciśgnięty, król pod nim z lewś nogś naciniętś, która na ostrś gałś padła... krwiś broczy. W jednej chwili zbiegło się nas dosyc do niego, koniamy podnieli, król ledwie się mógł, stłuczony i ranny, z ziemi podwignść...

Lekarze oba, i mistrz Henryk z Kolonii, i pan Maciej z Krakowa, którzy nam towarzyszyli, w Przedborzu na zamku pozostali.

Jako tako chustami obwiśzalimy ranę, krew płynścś zatamowali. Trzeba było nosze sporządzić, aby go na rękę przenieć, bo na konia siśc nie mógł.

miał się przecieź zrazu i lekceważył sobie ranę, choć mymy widzieli zaraz, że szkodliwś była. Po lekarzy pobiegł łowczy, aby naprzeciw popieszali.

Wiadomoć o przypadku jak piorun na wszystkich padła. Przychodziło teraz na myl, że kapelan w dzień wiścteczny polowanie odradzał... Za póno było.

Jeszczemy do zamku z królem, którego nieć trzeba było zwolna, nie nadżżyli, gdy już oba lekarze naprzeciw nas wybiegłszy stanęli przy panu.

Gdyby z nich jeden był tylko, może by król już zdrów do tego czasu z łoża powstał.

Westchnął Rawa i wród milczenia ciśgnął dalej.

Znacie ich obu... mistrza Henryka i pana Macieja Oba uczeni i pana miłujśc, ale z sobś jak pies z kotem Doć by jeden z nich powiedział biało, aby drugi zaraz czarno zawołał.

Mistrz Henryk ma Macieja za nieuka, Maciej Niemca za kuglarza. Jeden wierzy w mśdroć z księgi, drugi trzyma, że u ludu tylko tajemnice tego, co zdrowiu pomocne, przechowały się. Mistrz Henryk przyprawia lekarstwa nieustannie, Maciej ziół szuka i naturze wiele zostawuje...

Nigdy się jeszcze na nic nie zgodzili... a dnia nie ma, żeby zśb za zśb nie klócili się z sobś nawet o strawę, którś król żyje...

Ale mistrz Henryk w opatrywaniu ran biegleszy jest i Maciej nasz ustśpić musiał mu pierwszeństwa.

W ciśgu tego opowiadania, przerywanego westchnieniami, Wierzynek i rajca słuchali z oznakami przestachu i niecierpliwości, aż pan Miklasz nie mogśc się przewyciężyć zawołał:

Na Boga, trzebaż go było rychlej tu, do Krakowa, choćby na rękach nieć! Przecież i lekarzy, i dozór, i wszystko by znalazł, czego mu tam brak, a my bymy nań patrzeć i czuwać nad nim mogli.

A zapewne, i król sam chciał zaraz do Krakowa, na Wawel! rzekł Rawa ale mistrz Henryk nakazał spoczynek. Z rany się zaraz wywiśzała gorścicka... nocś mówił bezładnie, krzyczał aż strach; a wiecie to, że nie lubi, aby go, gdy przez sen czasem co woła albo i w gorścicce, podsłuchiwno.

Wierzynek i Rawa dali sobie znak oczyma. Wiadomym to było, iż Kamirz przez sen często jęczał przypominajśc Amadejowe prorocstwo.

Musielimy mówił dalej po przestanku Rawa z Przedborza, gdy gorścicka ta jako ustała, co mistrzowi Henrykowi przypisać należy, więc go i nieć na przemiany do Sandomierza. Na wozie zbyt go rzucało i cierpiał więcej, mieniali się więc ludzie z noszami i powoli jako zawleklimy się na zamek.

Ale chociażemy zawczasu tam oznajmili, aby izby chędogo wyporzśdzono i poopalano, bo najgorsze jesienne w murach starych i nie zamieszkanym powietrze, gdymy stanęli na miejscu,

nie było gdzie chorego położyć, takemy zastali w jednych izbach zaduch wilgotny, w drugich chłód przejmujśc...

Niedługomy też tam popasali, bo król do Krakowa spieszył. Było mu lepiej znacznie, więc surowego mistrza Henryka nie bardzo chciał słuchać, a Maciej korzystajśc z tego wcisnł się chcśc mu przypochebić. Nakazał był Henryk spoczywać, jeć niewiele, łani wcale nie używać; król się przeciwko temu dśsał powiadajśc, gdy gorścicka opuciła go, że się już całkiem zdrów czuje.

Nasz mistrz Maciej poczśł też w to grać mówiśc królowi, że najlepsza lekarka natura wskazuje chorym, czego im potrzeba, i do czego tylko król smak czuje, żeby sobie swobodnie zażywał.

Mimo więc Henryka, opierajśc się na tej radzie, poszedł król gwałtem do łani, choć dowiedziawszy się o tym lekarz z Kolonii za włosy się chwycił.

Nie doć na tym, że mu wszyscy radzi służyć byli, nawieli dlań jabłek, gruszek i orzechów siła, które król zawsze lubił.

Powstała o to kłótnia między lekarzami, bo Henryk trzymał, iż owoce gorśczkę wznowić mogš, a Maciej się upierał, iż je natura na to włanie dała, aby chłodziły i orzewiały.

Król posłuchał mistrza Macieja i zaraz po łani i owocach tych nocš znowu majaczyć zaczął.

Dopieroż trwoga nas zdjęła straszna, a między lekarzami spór powstał taki, iż Henryk chciał dwór opucić. Jeden na drugiego zło składał.

Z gorśczi król pragnienia straszego dostał wołajšc wody... Mistrz Henryk nie chciał jej dozwolić, Maciej się upierał, aby mu jej dano, ile zapragnie, bo to przesilenie sprowadzi.

Odstšpił więc koloński lekarz ręce umywajšc i wodę pić dano. A tummy dopiero spostrzegli, iż coraz gorzej być zaczynało. Król cokolwiek oprzytomniawszy do Krakowa wołał i pędził. Zaprosił go na spoczynek do siebie pan wojewoda lubelski, a że po drodze było, niesiono go tam.

Ile było. Mistrz Maciej dowodził wcišž, iż przesilenie bliskie, że wprędcie choroba zniknie, że król do Krakowa zdrów

przybędzie Koloński Henryk patrzył tylko, ramionami ruszał i nic czynić już nie chciał. Mymy głowy tracili.

Mało co zabawiwszy u pana wojewody, kazał Kamirz nieć się do Krakowa, bo wozu nie mógł już dla boleci wycierpieć. Choć wojewoda na klęczkach prosił, Henryk, spytany, nie radził się ruszać, Maciej rzekł, że króla słuhać trzeba.

Więc chociażemy go okrywali, ale w porę chłodnš i wietrznš powoli cišgnšc, często na spoczynek dymnš izbę majšc tylko... z biedš wielkš dobralimy się do Koprzywnicy, do cystersów.

Tu w klasztorze wygodniej mógł król spoczšć, a i na niczym nie zbywało, bo lekarstwa się u nich znalazły i co dla chorego na stół było potrzeba... I choć pieszno było królowi do swojego Krakowa, że gorścza powróciła i wzmogła się, stalimy z nim w klasztorze dni om.

Król, co przytomność cokolwiek odzyskał, pytał cišgle, czy już w Krakowie jest, niepokoił się bardzo. Om dni tylko przebylimy w Koprzywnicy, a stalibyśmy dłużej i lepiej by było, ale Maciej, który na siebie wszystko wzišł, też do Krakowa naglił mówišc, że tu lekarstwa swe i księgi ma...

Cišgnęlimy z chorym do Osieka westchnšł Rawa i ja stamtšd za rozkazaniem króla przodem tu przybyłem.

Więc lepiej jest? zapytał Wierzynek niespokojnie.

Maciej powiada, że nie gorzej, Henryk milczy, a wyglšda, jakby sam był na mierzć skazany... Ie ja z jego oczu i milczenia wróžę.

Jak wprzódy o wodę, tak w Osieku się jeszcze raz starli lekarze o miód. Król czuł się osłabionym bardzo, więc wina lub miodu starego zažšdał.

Koloński doktor, który już do niego się mieszać nie chciał, zobaczywszy miód, który w kubku niesiono, wpadł we wciekłość.

Zawołał wprost, że nieuk króla zamorduje, jeżeli mu pić da miód.

Maciej na złość i przekorę królowi miodu zanieć kazał. A co prawda, wyznać muszę, iż się przepowiednia Henryka ziciła, gorśczi chory dostał, a sił mu nie przybyło. Bóg jeden wiedzieć raczy, jakim go doniosł do Krakowa...

Kończąc Rawa sparł głowę na rękę i zamilkł, ponuro zadumany.

Wierzynek stał dłonie zacisnwszy, a dwie łzy mu po twarzy spływały.

A! nie! nie! przerwał nagle milczenie. Nie może to być! Bóg nas tak nie skarze, nie dopuci... król nie jest tak stary,, silną naturę ma, zwycięży ona...

I mymy tak sędzili odezwał się Rawa dopiero dni ostatnich trwoga nas opanowała. Choroba ta straszliwie go wycieńczyła... a ja Maciejowi nie ufam, choć on cięgle prawi, że przesilenie nastąpi rychło...

A król, król sam, jakże się czuje? co mówi? spytał niespokojnie Wierzynek.

Na pytanie to Kochan, pogrżony w jakich smutnych myłach, nie dał długo odpowiedzi.

Nie chciałbym ani was, ni siebie nękać i odbierać, nadziei rzekł w końcu ale król, król straszliwie zmieniony... Piękna jego twarz wychudła, oczy tylko gorejś ogniem jakim strasznym... policzki wypalone, usta spieczone... Więcej drzemie i usypia, niż czuwa, a przebudziwszy się, nie zawsze jest przytomny. Sen ten niespokojny mistrz Henryk ma za złś oznakę, a Maciej powiada, że natura go zsyła, aby nim osłabionego pokrzepiła...

Najlepszy lekarz Pan Bóg! wykrzyknł, gwałtownie się rzucajśc, Wierzynek ja w Nim ufnoć pokładam, a jednemu i drugiemu z lekarzów wiary nie daję. Gdyby umieli co, nie dopuciliby chorobie się wzmóc...

Zamilkli chwilę, słyhać tylko było wrywajśc się z ust ich westchnienia...

Kiedyż przybędzie król? zapytał gospodarz, który nie chcąc odejć od Kochana, a w miejscu wytrwać nie mogśc, kręcił się około niego jak nieprzytomny.

Nie wiem i obiecywać nic nie mogę odparł Rawa. Nieć go muszś powoli, nieustannie spoczynek potrzebny. Któż odgadnie, co w drodze jeszcze zajć może?...

Tyle wiem, że i choremu, i Maciejowi do Krakowa pilno. Ale gorścza popieszyć nie daje ale...

Drzwi się otwarły nagle i młodziuchny chłopak, pięknej twarzy, wyglśdajscy pańsko, wpadł do izby. Nie pozdrawiajśc nawet Wierzynka podbiegł wprost do Rawy.

Król? król? zapytał go głosem, w którym popiech, z jakim tu biegł, czuć było.

Rawa podniósł wzrok ku niemu nie wstając z siedzenia.

Na Boga, co się stało? co się dzieje? Wiemy, iż przypadek na łowach miał, że potem lepiej mu już było! Dlaczego opucili go? Czemu nie powraca?

Kochan nie dawał odpowiedzi.

Mówże, abym choć ja do niego jechał!... zawołał przybyły jeżeli gdzie obiegł? Nie gorzej jużci?...

Czekał na próżno odpowiedzi od Kochana, który na podłogę patrząc milczał.

Wierzynek z wolna ujął go za rękę.

Królowi nie jest lepiej rzekł niosz go tu z Osieka, rana nie zagojona... gorączki dostał... le się ma, ale nadzieja w Bogu...

Młody panicz ręce załamał...

Wy tam nic nie pomożecie, choćbyście jechali do niego odezwał się niedbale Kochan. Rychło go się tu spodziewać można... le jest...

A lekarze?

Kochan ramionami poruszył i zamilkł.

Młodzieniec padł na ławę i głowę zwiesiwszy zadumał się, a twarz jego zmieniła się dziwnie...

Co się ze mną? co się z nami stanie? zamruczał uchwaj, Boże, nieszczęcia...

Z wami?... podchwycił Wierzynek mówcie z nami wszystkimi i z królestwem tym... Nie o was jednych idzie... Gdy jego nie stanie, wszystkim ojca zabraknie...

Słów tych domawiał Wierzynek, gdy głosy tłumne dały się słyszeć w sieniach i kroki popieszne... Sprzeczano się o wnijcie,

którego odwierny wzbraniać musiał. Wołanie coraz żywszym się stawało.

Wiadomość o chorobie królewskiej, o przybyciu Kochana, rozeszła się już po mieście, mieszczanie i ziemianie znajdujący się w Krakowie chcieli zasięgnąć o stanie króla wieści od jego sługi. Dobijano się do Wierzyńka..

Jeden z przybyłych, któremu wstęp nie mógł być wzbroniony, wbiegł do pierwszej izby, drudzy gwałtem się za nim wparli.

Przodem szedł ks. Suchywilk, tuż cisnęli się mieszczanie, kilku dworzan z zamku, Dobek Bończa i

syn kasztelana krakowskiego.

Król! król! zaczęto wołać od progu.

Kochan wstał zobaczywszy ks. Jana, który z posępną twarzą przybliżał się ku niemu...

Tłum otoczył go natychmiast.

Uciszone się, aby usłyszeć spodziewane szczegóły. Wieści o chorobie króla już były tu doszły, lecz jedni im wiary nie dawali, drudzy sobie lekceważyli małą obrazę przy szwanku z konia, znalazł króla silnym i wielce wytrzymałym.

Dla ks. Suchywilka Kochan musiał, choć krócej, powtórzyć wszystkie szczegóły.

Słuchano ich z natężoną uwagą, a niekiedy wykrzykniki i płacz cichy przerywał mu mowę. Na twarzach przytomnych malował się niepokój i trwoga. Przyszłość bez tego króla, niepewne losy Polski mającej się dostać pod panowanie obcego monarchy, przerażały...

Przecucia złowrogie mieli wszyscy, opowiadanie Kochana wcale ich rozproszyć nie mogło...

Nie jestem lekarzem odezwał się ks. Suchywilk lecz widzi mi się, że dwóm leczyć dać chorego, gdy się z sobą nie godzi nie należało. Mistrza Henryka znam z nauki głębokiej, Macieja z serca dobrego a żywego temperamentu... Czemuż Henryka nie słuchano??

Kochan nie odpowiedział.

W tej chwili na ławie siedzący zadumany panicz młody wstał, przystąpił do Suchywilka, w ręce go pocałował i rzekł głosem cichym:

Ojcze, nie zapomnijcie o nas...

Był to Jan Boguta, Rokiczany syn, z twarzy do króla podobny, a po trosze i z temperamentu... Majętnoci macierzyńskiej wiele już był utracił, król niezbyt go lubił i wiadczył mało.

Ks. Suchywilk dość zimno mu odparł:

Król, mam nadzieję, tak nie jest, aby wszelka nadzieja odjęta została...

Boże uchroni! podniosły się głosy zgromadzonych.

Byle do Krakowa przybył przerwał Dobek tu przecież więcej lekarzy się znajdzie.

Mistrza kolońskiego słuchać potrzeba rzekł ks. Suchywilk. Z kolońskiej szkoły po wielkim Albercie najlepsi medycy wychodzą.

Ten i ów zagadywał jeszcze Kochana, który, półsłowy już tylko odpowiadając niechętnie, za czapkę ze stoła wziął i pokłoniwszy się gospodarzowi za ks. Suchywilkiem wyszedł.

Poczęli się wysuwać i inni za nim, i wkrótce Wierzynek pozostał sam, a choć godzina była spóńona, nierychło poszedł na spoczynek.

Długo potem jeszcze w ulicach widać było niespokojnie się przesuujących ludzi, a gdy dzień następny chmurny i posepny miasto rozbudził, całe ono zdawało się jednš tylko troskš o króla zajęte.

Nie mówiono po domach, po ulicach, po sklepach, tylko o chorobie króla. Brali jedni stronę lekarza Macieja, drudzy mistrza kolońskiego.

Duchowieństwo pomimo licznych fundacji kociołów i łask królewskich, pamiętne mierci Baryczki, przyjani z Esterš, na ostatek dnia, w którym król na polowanie jechał nie chcšc poszanować uroczystoci, le wróżyło.

Wszystko wydawało się mu mciwym palcem Bożym, który za mierć kapłana swego na królu domierzał karę.

Gdy mieszczanie, Żydzi, lud pospolity i mała garstka tych, co bliżej stali Kamirza, boleli okrutnie na samš grobę utracenia pana swego, znaczniejsza większość spozierała ku Węgrom z nadziejš, iż Ludwik naprawi, co im Kamirz popsował...

Rycerstwo szczególnie i duchowni zmiany tej chciwie i z upragnieniem wyglšdało. Można było poznać usposobienia z twarzy posepnych i rozjanionych.

Ci, co z Ludwikiem trzymali, tegoż dnia potajemnie wyprawili poselstwo do Budy donoszc Elźbiecie i jej synowi o chorobie niebezpiecznej, wzywajšc, aby co rychlej spucznię obejmować przybywali.

Dla innych nadzieja utrzymania króla przy życiu jeszcze nie była straconš. Nie mogli i nie chcieli przypucić, aby zmarł ten, którego żywot był tak potrzebny, bo wlewał życie w tysiące tych, co pozbawieni go być mieli bez niego. Król chłopów i biednych ludzi nie mógł się rychło w innym odrodzić, bo wieki zaledwie wydajš wielkie umysły i serca te wielkie...

Jak skoro wiadomoć o rychłym przybyciu króla do Krakowa potwierdziła się i stała pewnš, co dzień go tu wyglšdać poczęto. Co dzień też przybywali gońce, których w ulicach zatrzymywano dopytujšc tęskliwie...

Lecz ci nie przynosili żadnej pociechy. Niesiono króla już nieprzytomnego prawie, dopytujšcego cišgle, gdy z sennych marzeń się budził, azali jest już w Krakowie.

Pamiętał Kamirz, iż mistrz Maciej tu go do zupełnego zdrowia przywieć obiecywał.

Nareszcie dnia 30 października oznajmiono, iż dnia tego król na zamek przybędzie.

Miasto całe wyległo na ulice... a choć deszcz jesienny padał dnia tego cišgle, nikt nie zszedł się schronić chcšc powrotu umiłowanego króla doczekać. Już pod wieczór ukazały się wozy i konni; króla niesiono osłoniętego kabłškami, na których skóry szczelnie były poopinane.

Szeregi ludzi z wolna postępowali z nim w milczeniu, a obok noszących pieszo szli z głowami spuszczonej lekarz, dwór, urzędnicy.

Pochód len powolny, nasze te żałobne, cichość wielka, bo i w tłumie żaden gwar się słyszeć nie dawał, czyniły pochód królewski do pogrzebu podobnym.

Po cichu łzy tłumił I jęki, płakali ludzie spoglądając z dala na czarne owe mary, w których król, żywy jeszcze, ale bezsilny, wycieńczony, bezpamiętny spoczywał...

Oczy ciekawych mogły tylko dojrzeć opon czarnych, ludzi smutnych, orszaku, którego twarze opowiadały, co cierpiał... Lud z wolna szedł aż ku Wawelowi, za panem swym, za którym wrota się zaraz jakby na wieki zawarły...

Pogłoski w mieście krzężyły jak najsprzeczniejšie nazajutrz. Utrzymywali jedni, że król oprzytomniał, mówił, czuł się lepiej, że nadzieja powróciła, drudzy że nie rozpoznawał nikogo i że najbliżsi we łzach czekali strasznej godziny...

Oprócz rozporządzenia koronę, która już niewstępliwie siostrzanowi Ludwikowi dostać się miała król nie uczynił żadnego swym mieniem osobistym.

Pozostawił dzieci i wnuki, a oprócz potomstwa z pierwszej i ostatniej żony syna jednego z Rokiczany, Jana Bogutę, któregośmy widzieli u Wierzyńka, z Estery jednego Niemirę, bo Pełka zmarł młodo, i córek kilka. Wszyscy oni wyglądali od króla wyposażenia, opatrzenia losu swojego...

Tymczasem głośno już z tym odzywało się duchowieństwo, aby dzieciom Estery i Rokiczany żadnej nie dać spucizny, pochodzenie ich uprawniającej. Chciano pamięć tych miłostek nieszczęsnych zatrzeć na zawsze...

Czwartego dnia po przybyciu Kamirza do Krakowa nikt już nie rachował na dłuższe życie jego... Henryk z Kolonii otwarcie owiadczył, że król, którego siły się wyczerpały, żyć nie może.

Mistrz Maciej u łoża królewskiego siedział płacząc, bezmówny, w dolnej izbie południowego skrzydła zamkowego...

Około tej części zamku gromadziły się tłumy tych, którzy przystęp na Wawel uzyskali. Opowiadano sobie po cichu, że Ka-

mirz odzyskał całość umysłu przytomność i sposobił się na śmierć, której zbliżanie się czuł od powrotu do Krakowa.

Dnia tego ujrano przybywającego na zamek biskupa, przyjechał Władysław księżę opolski, kasztelan, wojewodowie i pierwsi urzędnicy przywołani zostali.

W dolnej izbie tej rozstrzygły się losy wielu, tylko los kraju pozostał, wedle dawnych umów, przekazany Ludwikowi...

Przez cały dzień trwały u łoża króla narady. Spisywano wolę jego. Umierający miał do zwalczania

opór duchownych, niechęć rodziny prawej ku dzieciom, którym za ledwie małe mógł zostawić wyposażenie...

Od tej chwili zdawała się już mierzć króla nieodwołalną. Czekano tylko na odezwanie się dzwonów żałobnych na Wawelu.

Dnia piątego listopada grobowa cisza panowała w mieście, ledwie ze snu o rannym brzasku rozbudzonym, gdy pierwszy dzwon wielki u w. Wacława poruszył się i jęknął...

Wielkiej duszy pan nie żył... Płaczem rozległo się miasto...

Gdy za pogrzebem króla, żałobnie odziana, z dwojgiem córek szła milcząca Jadwiga, królowa, osierocona, opuszczona już, mająca wkrótce zstąpić z tego zamku, na którym nigdy nie panowała, czuła, jak się dokoła niej rozstępował: ludzie we dworze murowanym w Łobzowie, patrząc przez okno na gałęzie drzew z liści obnażone, siedziała niewiasta piękna jeszcze, postaci wspaniałej, poważna i jakby z bólu skamieniała. Czarne jej oczy wlepione w szary widok, jesiennymi spowity mgłami, nie widziały nic, patrzyła w przeszłość i zapłakać nawet nie mogła. Dla niej wszystko się skończyło z uderzeniem dzwonu na Wawelu, nie król umarł dla niej, ale ona sama skończyła z nim.

Dziesięcioletnie chłopię Niemira, syn jej, siedział niedaleko patrząc na matkę... nie rozumiejąc jej wielkiej boleści, która jej pamięć nawet o dzieciach odjęła. Opodal nieco dwie dziewczeczki ciekawie i niemiale spoglądały też na matkę.

Cisza panowała dokoła, lecz wiatr przynosił na skrzydłach mokrych z Krakowa jęk oddalonych dzwonów...

Estera od powrotu króla, przebrana, osłonięta, wcisnąwszy się na Wawel, stała czekając miłosierdzia. Nie żądała więcej nic, żadnego daru dla dzieci, żadnej ofiary dla siebie, jednego spojrzenia, jednego stygnącej ręki ucisku.

Oczy króla szukały jej dokoła, serce czuło, usta się upomnieć nie mogły.

Surowe twarze duchownych i mężów, którzy słaboci życia i serca nie znali, na straży stały, aby pożegnania nie dopuścić, wspomnienia nie dozwolnić.

Ci, co niedawno dworowali i kłaniali się Esterze, przechodzili teraz koło niej nie widząc jej i znać nie chcąc. Stała na próżno i czekała nadaremnie, nie chciała ustąpić sama dobrowolnie.

Drugiego ranka wyszedł kapelan królewski z brwiś namarszczoną, głosem ostrym i szyderskim; kazano oczyścić przedsię, wszystkim obcym ustąpić z zamku...

A ona obco była! Sama jej przytomność kalala zamek królewski, widzieć jej tu nie chciano. Kapelan głono zapowiedział, że wszyscy ustępować byli powinni, Estera nie poruszyła się.

Zadumany Kochan Rawa przechodził; schwyciła go za suknię, która z ramion spadając za nim się wlokła, ale nie odezwała się ani słowa. Podniosła zasłonę z twarzy i spojrzała nań wielkimi oczyma...

Kochan stanął poruszając ramionami..

Mógłże on tu co jeszcze?

Noc nadchodziła, szedł do królewskiego łóża...

Kamirz pogrążony był w tym nie przedmiertelnym ciężkim, który często jest konania zwiastunem. Leżał rzucając się niespokojny, usta i oczy otwierały się niekiedy. Z ust wychodziły wyrazy bez zwiśzku, odbłyśki wspomnień wielu, ludzi wielu, cierpień długich... oczy patrzyły i nie widziały...

W chwili, gdy król zdawał mu się przebudzonym, Kochan zniżył się do ucha jego i szepnął mu jedno słowo, imię jedno. Drgnął król i oczy otworzył szeroko, szukał nimi cienia przeszłości nie zobaczył nic, oprócz sługi i księdza.. Ksiądz na straży stał i nie opuszczał już łóża.

Powieki z wolna zapadły na oczy znużone, Kamirz usypiał i marzył...

Kochan wyszedł wolnym krokiem w przedsienie. Na tej samej ławie, samotna, tam gdzie już zostawił, siedziała Estera...

Poczuła go przechodzącego, drgnęła, podniosła się, poruszyła nadzieję jakąś. Kochan nie miał jej odjąć słowa, ręce rozpostarł szeroko, głowę zwiesił ruch jego wyrażał zwątpienie...

Podał jej rękę, w milczeniu wskazując ku wrotom. Niema scena odegrała się między nimi dwojgiem. Estera wierzyć nie chciała opuszczeniu, zapomnieniu, sieroctwu. Kochan przez miłosierdzie chciał jej ostatniś odebrać nadzieję.

Prawie siłą uchwycił ją, opierając się jeszcze, i pociągnął z sobą. Estera obejrzała się wahając, nagle jakby odzyskawszy moc duszy, odtręciła rękę. Kochana i krokiem poważnym iść zaczęła ku bramie. Rawa w milczeniu postępował za nią.

Z licznej i zamożnej rodziny Estery mało kto, oprócz Lewka, zbliżał się do niej.. Ona sama unikała z nią cielejszych stosunków, powięcając królowi, któremu pochodzenie przypominać mogła niemile. Współwyznawcy, dla których była opiekunką, gdy szło o sprawy narodu, szanowali ją i patrzyli pobłażając nawet na to, że synów ochrzcić, jak było wolał król, zgodziła się.

Lewek przychodził czasem do niej, gdy ważne sprawy wymagały, inni też jej nie potępiali.

Lecz w ciągu lat tych mało kogo widywała, żyła od swoich odosobnioną i oprócz żeńskiej służby Izraelitek nie miała przy sobie nikogo prawie.

W tej chwili, gdy odepchnięta, osamotniona wychodziła z zamku, przeprowadzana przez Kochana, który litość jakąś miał nad nią, na drodze ku wrotom zjawił się, jakby oczekując na nią, stary Lewko.

Teraz na niego przychodziła kolej być opiekunem tej, która już nikogo nie miała. Domyleć się było łatwo, iż wszyscy, co okiem niechętnym patrzali na te miłości królewskie, które z latami stały się trwałym przywiśzaniem, teraz korzystając ze zgonu starać się będą upokorzyć, odpędzić gdzie, ogołocić może ze

wszystkiego kobietę, której za życia Kamirza ani się pozbyć, ani odegnąć nie mogli od niego.

Lewko z obowiszku krwi przychodził jej w pomoc i przez pamięć dla Kamirza, którego jak dobroczyńcę narodu swojego czcił wielce...

Kilka słów w języku Żydów przemówionych z cicha zatrzymały Esterę. Rawa zobaczywszy opiekuna tego, nie widząc potrzeby iść za nią, zawrócił ku zamkowi. Stary milcząc i posłusznie wyprowadził, ciśnie po kilka słów szepcząc, za wrota.

To, co mówił, ona tylko zrozumieć mogła, lecz czy słuchała, czy słyszała, czy jakieś słowo mogło jej w tej chwili trafić do duszy?

Prawie bezprzytomnie wiodąc tak z sobą, kierując się, bo nie wiedziała, dokąd szła, Lewko u stóp góry do stojącego tam wozu już wsadził i wonicy jechać kazał do Łobzowa.

Stara służba Estery czekała na nią i otuliła, posadziła, trzymać musiała przez drogę, ciśnie w osłupieniu rozpaczliwym pogrążona.

W Łobzowie spały dzieci, gdy już przywieziono i bezwładnie położono do łóżka. W ciszy królewskiego konania nikt się tu z zamku nie zjawił. Być może, iż Kamirza wolano albo już widzieć, lub przynajmniej dać znać o sobie, lecz pilniejsi łóżka kapelan, biskup Florian i inni duchowni pilnowali, aby nawet myśl nie powrócił do grzechu, którego wyrzec się musiał.

Przed zgonem króla jeszcze przybył stary Lewko. Znał on nadto Esterę. aby do niej z pomocą i pociechą pieszyl, wiedział, że dla niej nie było jej że żalu po królu nic nie mogło umniejszyć. Chciał tylko przynieść wiadomość, iż w rozporządzeniu ostatnim, a którym wiedział przez Wierzyńka i ks. Suchywilka, król o małym Niemirze równie jak i Bogucie nie zapomniał.

Pomimo oporu otaczających, przekazywał im wieści Kutaw, Jurznicz, Drugnię i co z ruchomości na pamięć.

Esterę wysłuchiwała opowiadania z taką obojętnością rozpaczliwą, która już od choroby króla nie opuszczała...

Starzec widząc, jak mało na niej uczynił wrażenie przyniesione wieści, niepewien nawet, czy go rozumiała, dokończył

wierszem psalmu jakiego i z politowaniem spojrzawszy na tę ofiarę oddalił się polecając służbie czuwanie nad nieszczęśliwą.

Tak dotrwała ust prawie nie otwierając Esterę, aż do tego ranka, w którym dźwięk wszystkich dzwonów Krakowa oznajmił jej, że wszystko było na wieki skończone...

Płakać nie mogła...

Patrząc na nią, skamieniała, bezmowna, dzieci, które się niemiłosiernie zbliżać próbowały, ogarniał strach jaki. Mówiły do niej na próżno, targwały za suknię, nie widziała i nie czuła. Oprócz służby,

przerażonej i milczącej, w ciżgu tych dni nie było nikogo...

W trzy dni po zgonie... popiesznie, zbyt cicho i skromnie odprawiono pogrzeb królewski, lecz uroczystości tej, która wielkoci zmarłego i zasługom jego nie odpowiadała, bo duchowieństwo zmarłemu nawet przebaczyć nie mogło wspomnienia ks. Baryczki szczególnego blasku dodało zbiegowisko ludu. Z rycerstwa i ziemian, z urzędników znajdowali się ci tylko, których obowiązki powoływały z tych ludzi, co w zmarłym jedyne go tracili opiekuna, cisnęły się tłumy nie mogąc już do przepełnionego a małego dostać kocioła i zalegały podwórca, drogę, stopy góry... Tłum ten stał w milczeniu uroczystym, z prawdziwymi łzami, z nieklamany bólem po panu swoim.

Gdy dostojni już się niepokoili nowego wygląda jąc pana ci czuli, że drugiego podobnego zmarłemu mieć nie będą.

W mieście panowała żałoba, bo miasto dzisiejsze za jego panowania powstało, wzrosło, można było rzec, stolicę się dopiero stało i bijącym sercem państwa...

Żydzi, którym przystęp był bliższy wzbroniony, z dala też przytomności swojej chcieli okazać, iż nie byli niewdzięczni. Lewko wprost z pogrzebu pojechał do Łobzowa.

Już we drzwiach oczekująca nań stara sługa, Ruchla, opowiedziała mu, że w stanie Estery nie było zmiany. Nie wychodziła z osłupienia i nawet głosy dzieci wywieć jej z niego nie mogły.

Lewko nie odpowiadając wysłuchał skargi Ruchli, pomyślał nieco i wszedł do izby.

Jak gdyby nie posłyszała go i nie zobaczyła, Estera, blada i zmieniona, siedziała patrząc suchymi oczyma w tę dal jakś poza wiaty, w której przebywała dusza.

Stary Żyd stał długo zadumany, jak gdyby szukał rodka, którym by już mógł rozbudzić do życia. Po chwili wsiadł za rękę Niemirę i dziewczęta, przyprowadził je do matki i rozkazawszy im chwycić już za ręce z wołaniem po imieniu, czekał na wrażenie tych głosów dziecięcych błagających i płaczliwych.

Dzieci długo powtarzały to imię matki, nim wreszcie Estera zadrżała, wtrząsła się i, jak zbudzona, ze szlochaniem się ku nim rzuciła, wszystko troje obejmując rękami.

Naówczas Lewko zbliżył się do niej i powolnym głosem począł przywoływać do życia, w imię macierzyńskiego obowiązku.

Łzy długo powstrzymywane odpowiadały mu tylko, ale już Estera żyła. Lewko spokojniejszy usiadł na ławie.

Żal twój sprawiedliwy rzekł ktoś by go nie żałował i nie płakał po nim. Wieki długie wspominać go będą ludzie i czcić pamięć jego, ale matce zabijać się rozpacz nie wolno... Wielkie szczęście i cześć wielka spotkała córkę Izraela trzymała w dłoniach swych serce pana, który jej wiernym pozostał do zgonu, ale Bóg zawsze szczęście płacić każe łzami i bólem, a Imię Jego i w boleci, i w łzach niech będzie błogosławione.

Piskłeta te życ ci każš, aby sierotami nie były... Estera podniosła ku niemu splakane oczy.

Nie dziwuj się żalowi mojemu ani mi go za grzech poczytuj rzekła cicho głosem znużonym. Błogosławię i ja Imię Pańskie, ale nigdy żadna niewiasta sierotš takš jak ja nie była. Odłšczyłam się dla niego od narodu mojego... zaparłam krwi, wyrzekłam rodziny, któž mi teraz rękę poda, kto przyjmie? Za miłość dla niego ludzie mnie na nienawić i pogardę skažš... a wy? między wami ja też miejsca nie znajduę. Muszę więc być samotnš, odłšczonš i wyklętš.

Dzieci! zawołał Lewko. Matce dzieci wszystko zastšpić powinny. Ani mył, by naród twój cię odpychał, pamiętny

on jest tego, co ty dla niego uczyniła... nie potępia cię, nie potępi, szanuje.

Milczeli, Estera płakała.

Jam tu przybył z radš dodał starzec. Nie godzi ci się czekać na to, aby ludzie, bez miłosierdzia mciwi, spod tego dachu z dziećmi cię wygnali. Ty sama, dla pamięci jego, dwór ten opucić powinna.

Oczy Estery podniosły się ku mówišcemu i utkwily w nim. Obejrzała się po cianach mieszkania, którego każdy sprzęt króla jej przypominał, po komnatach pełnych jeszcze zmarłego... i płakała znowu.

Tak jest odezwwała się żywo i znowu chwytajšc swe dzieci. Siebie i tę krew jego od sromoty ocalić powinnam. Jedmy... ale nie do Krakowa... Chcę powrócić tam, do starego domostwa ojca, do Opoczna...

Jedmy... Jeli odbierać zapragnš, co on mi dał, niech biorš wszystko. Zostanie mi po nim wiele, tyle, ile potrzeba, abym karmišc się tym doszła do grobu...

Nie odpowiedział Lewko wstajšc także, chociaż wcale inaczej za niš myłał i rozporzšdził. Przewidujšc wyjazd z Łobzowa, przygotował wozy i piesznie całe mienie ruchome Estery ładować na nie rozkazał. Wiedział, że w pierwszej godzinie nadto wszyscy zaprzštnieni będš przyszłociš, skarbieniem łask nowego pana i tych, co prawdopodobnie w zachowaniu być mieli, by myleć o Esterze.

Spucizna wielkiego króla, który, pomimo dzieł dokonanych, skarby zostawił ogromne, od Bolesławowskich czasów nie widziane w Polsce, rozsypać się miała na licznych spadkobierców. Dostojni panowie biegli przeciw Elżbiecie i Ludwikowi; nie myłał nikt o biednej Esterze, tak, jak mało kto troszczył się o równie, o straszniej może jeszcze osieroconš królowę, która nawet serca męża nie miała.

Dano jej więc ujechać z Łobzowa i nikt cichej boleci nie uršgał

O parę lat zaledwie króla przeżywszy, którego dzieci też marnie zapomniane popinšć miały, Estera zmarła zabytš, miłość i czeć dla Kamirza unoszšc z sobš do grobu.

Na osierocony tron Piastów wstępował węgierski król, sercem obcy krajowi, którego miłoci

pozyskać się nie kusił.

Król chłopów zstąpił do grobu z przewiskiem tym, które dzieje miały zamienić na zasłużone Wielkiego imię.